

A R T U R K. D O R M A N N

CO
ZBARZYŁO
SIĘ
W LAKE
FALLS



DARK
LEMON

A R T U R K. D O R M A N N

**CO
ZDARZYŁO
SIĘ
W LAKE
FALLS**

WYDAWNICTWO
LEMONIADA.PL

DARK
LEMON

Copyright © by Konrad Potrzebowski

Copyright © by Grupa Wydawnicza Literatura Inspiruje Sp. z o.o., 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Redakcja: **Elwira Izdebska-Kuchta**

Korekta: **Małgorzata Majewska, Justyna Jakubczyk, Jolanta Chrostowska-Sufa**

Skład i łamanie: **Justyna Jakubczyk**

Projekt graficzny okładki: **Ilona Gostyńska-Rymkiewicz**

Zdjęcie na okładce: **copyright © by Rafinade (fotolia.pl)**

ISBN: 978-83-65897-04-6

Słupsk/Warszawa 2017

Wydawnictwo Lemoniada.pl

zamowienia@literaturainspiruje.pl

www.wydawnictwolemoniada.pl

www.literaturainspiruje.pl

Skład wersji elektronicznej: **Marcin Kapusta**

virtualo

konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Podziękowania

Dwa narody zginęły tutaj,
choć jeden został obwołany zwycięzcą.
Zapytaj umarłych, która strona wygrała wojnę.
Karl E. Wagner

PROLOG

Ostry zakręt ukazał rozległą panoramę doliny ze spoczywającym na jej dnie uśpionym jeziorem. Rozmigotane promienie słońca odbijały się od wpółzamarzniętej tafli, przedzierały przez drzewa i niczym w soczewce odsłaniały ukryte detale: ścieżkę wśród lasów, ratusz na pożegnanie szczerzący się szyderczo wybitymi szybami oraz malownicze kaskady rzeki Ashuelot. Z tej perspektywy dolina tchnęła spokojem i ciszą.

Bezmyślnie patrzyła na krajobraz za szybą, nie mogła sobie pozwolić, aby obraz mijanych domów i cichych, pustych uliczek przywołał niechciane wspomnienia.

Kiedyś, dawno temu, urzekł ją panujący tu spokój, który kazał jej zatrzymać się na zawsze. Ale przyszłość miała pokazać, że nie znajdzie go ani w odwiecznych lasach i solidnym domu, ani w sobie. Za każdym razem, gdy wyciągała po niego rękę, czmychał sprzed jej oczu, zostawiając chaos, pustkę i rozpacz głębszą niż otchłań jeziora. Teraz zabierała to wszystko ze sobą niczym najdroższy klejnot, który stał się jednocześnie źródłem tęsknoty i bólu.

Nie uciekała z Lake Falls, jedynie próbowała uciec od siebie, od tego, kim się stała przez dwa miesiące zamknięta w świecie skurczonym do rozmiarów domu i najbliższej okolicy.

Już po raz drugi zostawiała za sobą przeszłość, lecz tym razem jej los przypominał jadące w przeciwnych kierunkach pociągi, podczas gdy ona stała na peronie zagubiona i zdeorientowana, niezdolna do podjęcia żadnej decyzji. Jakaś część umysłu rozpaczliwie pragnęła wrócić do miejsca, w którym odkryła i doświadczyła tak wiele. Inna zaś nawet nie brała pod uwagę takiej możliwości; była głosem zdrowego rozsądku, który mówił, że oprócz śmierci i zniszczenia nie odnajdzie tam niczego.

Kierowca milczał, ona także. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Oboje głęboko skrywali tajemnicę Lake Falls, która była niczym jątrząca się rana. Za wszelką cenę starali się z nią normalnie żyć, chociaż jednocześnie nieustannie wracali pamięcią do tego, co na zawsze i bezpowrotnie utracili. A może czynili tak tylko po to, aby ponownie coś poczuć, bo przecież każda namiętność niesie ze sobą przepowiednię cierpienia niczym drugą stronę tej samej monety.

Wszystko, na czym jej zależało, osunęło się w próżnię. Ruiny świata, który

opuszczała, były jednocześnie jej własnym pogorzeliem. Kim była?

Nikim. Bez imienia, nazwiska, własnego miejsca na ziemi, uciekiniarką skazaną na niekończącą się tułaczkę. Samotna i wewnętrznie wypalona od tej chwili musiała podejmować wysiłek przeżycia kolejnych dni.

Za szybą od oślepiającej jasności świeżego śniegu odcinały się ciemne pnie potężnych drzew. Samochód wszedł w ostatni zakręt, za którym zniknęły dolina i jezioro. Zniknęła także ostatnia szansa na powrót i pożegnanie. To był jedyny moment, aby ocalić pod powiekami widok drewnianego domu pośrodku zbocza. Obiecała sobie, że nie będzie za nim tęsknić. Miejsce, gdzie doznała tak wiele bólu, powinna opuszczać z ulgą. Dlaczego jednak jej nie czuła? Gdzie podziały się radość udanej ucieczki i podniecenie nowym początkiem?

Zostały z Nim w dolinie, która kiedyś przywitała ją z otwartymi ramionami, szczelnie osłaniając swoje najmroczniejsze sekrety leśnym płaszczem. Dolina zapewne niebawem zniknie z powierzchni ziemi, a wraz z nią miejsce, gdzie w jej marzeniach i koszmarach On będzie jej wypatrywał, gotowy, by z naddatkiem zwrócić miesiące oczekiwań i lata łez. Gotowy, by zemścić się za to, co mu uczyniła.

Wzdrygnęła się lekko, choć już nie musiała się niczego obawiać. Słońce stało wysoko na niebie, swoim blaskiem osłaniając ich ucieczkę. Dopiero teraz nadszedł czas, żeby raz na zawsze pozbyć się wspomnień, chociaż tak naprawdę tylko one jej zostały po dwóch latach spędzonych w Lake Falls.

ROZDZIAŁ I

Przyjechała tu razem z córką, bo Lake Falls miało być dla nich nowym początkiem, startem w jasną, niezmaconą koszmarami przyszłość.

Na swój nowy dom wybrała miejsce zatopione wśród wzgórz, w jednej z tych niezwykłych dolin głęboko ukrytych przed zewnętrznym bałaganem świata.

W kotlinie rozciągającej się wzdłuż wąskiego jeziora tkwiła niewielka osada. Była zbudowana przy drodze, nie wiadomo dlaczego nazywanej przez wszystkich Główną, która zaczynała swój bieg na południowym wzgórzu jako wąska, kręta asfaltówka i schodząc ze wzniesienia, mijała jezioro Surry, naturalny zbiornik wodny zasilany małutkimi wodospadami, którymi spływała rzeka Ashuelot. Później docierała do zapomnianego przez świat miasteczka leżącego pośród dolin i lasów stanu New Hampshire. Ponad siedmiuset mieszkańców uważało się za szczęściarzy, utrzymując, że znaleźli dla siebie kawałek najprawdziwszego raj.

Gości wjeżdżających do miasteczka witała wspaniała panorama. Od zachodu otwierał ją stary żelazny most czuwający ponad kaskadami Ashuelot. W oddali błyszczała rozmigotana tafla wody, nad którą domy, wykorzystując niewielką płaską przestrzeń, przycupnęły niczym skupione praczki. Inne zabudowania, uciekając od zgiełku, zagnieździły się na wzgórzach wśród gęstych lasów. Ich obecność zdradzały tylko połyskujące czerwienią dachy, na wpół ukryte za gęstą zieloną kurtyną. Gdy pogoda była idealna, nieliczni mogli dostrzec zapomniany dukt przecinający strome wzgórze. Rzadko jednak ktokolwiek zapuszczał się w tamten rejon pełen ciemnych liściastych lasów, głębokich parowów i niebezpiecznych jaskiń.

Lake Falls corocznie przyciągało rzesze letników zjeżdżających nad jezioro do swoich drewnianych domków, kempingów i niechlujnych przyczep. Wraz z nadejściem jesieni pustoszało, a od listopada niepodzielnie panowała tu sroga zima trzymająca w mroźnym uścisku dolinę aż do końca marca. Niektórzy na ten czas wyprowadzali się w cieplejsze rejony, a na placu boju zostawiali tylko najtwardsi z mieszkańców.

Jezioro, które całkowicie zamarzało zimą, było miejscową chlubą. Latem głęboki granat odbijał w swoim lustrze strome północne stoki Appalachów, które zdawały się wyrastać prosto z wody.

W naturalnej dolinie utworzonej przez lodowiec przysiadło kilkaset mniej lub bardziej okazałych domów, szkoła z przedszkolem, księgarnia, niewielka kaplica, kilka podrzędnych barów i całkiem niezła restauracja. Nie zabrakło nawet dużego sklepu z obszernym parkingiem dla klientów.

Prawdziwym sercem miasteczka był owalny plac przed reprezentacyjnym budynkiem ratusza, obok którego ulokowały się stare eleganckie domy, obejmując parkowy skwer długimi ramionami. To w nich właśnie znajdowały się okoliczne sklepy, bary i restauracje, które latem wystawiały stoliki na zewnątrz, aby strudzeni wędrowcy mogli napawać się ciszą i spokojem panującym w tej skromnej, ale urokliwej miejscinie.

Każda ludzka osada ma swoją historię i nie inaczej było z Lake Falls. Założone pod koniec dziewiętnastego wieku przez wspólnotę religijną, która szukała tu izolacji od gwaru wielkich miast leżących wzdłuż wschodniego wybrzeża, rozrastało się powoli, ograniczone naturalnym ukształtowaniem terenu. Po purytańskich gustach osadników pozostała skromna kaplica, którą nadal wykorzystywano jako miejsce modłów, choć w wolnym czasie służyła także za salę koncertową i teatralną. Wybudowana na obrzeżu miasteczka, wśród gęsto rosnącej dębiny i brzoź, była ceglany przysadzistym budynkiem, z którego wychodziło się niemal prosto do lasu – ot taka mała niespodzianka dla wiernych.

W identycznym stylu zbudowano także ratusz. Szeroki i ciężki, kipiał od zaniechanych w połowie pomysłów architektonicznych i zaskakujących dobudówek, w których mieściły się posterunek policji oraz przyklejony z boku gabinet lekarski.

W niedalekiej przyszłości jej gabinet.

A tak naprawdę wszystko zaczęło się od zdjęcia przedstawiającego dolinę i wzgórze. Od pierwszego wejrzenia urzekł ją niesamowity widok, który rozpościerał się z okien starego drewnianego domu, ulokowanego niemal w połowie wzniesienia. Górował stamtąd dumnie nad miasteczkiem i od razu, kiedy go zobaczyła, pomyślała, że warto byłoby się w nim zestarzeć.

Bez wahania wpłaciła zaliczkę i przyjechała na stałe leczyć swoje rany, jakby od samego patrzenia na okolicę mógł zostać wymazany koszmar poprzednich lat spędzonych pomiędzy kancelarią prawniczą, pracą a sądem.

W dole wśród drzew migotało jezioro, a tu i ówdzie lśniły w słońcu pojedyncze czerwone dachy. Siedząc na swoim tarasie, widziała doskonale całą dolinę i zbocze, którym można było zejść na skróty do centrum. Dookoła pachniało spokojem, lasem oraz niespiesznym przemijaniem kolejnych pór roku.

Z poprzedniego życia zabrała tylko niezbędne do przetrwania rzeczy. Trochę

ubrań Kat, mnóstwo zabawek, książki i płyty. Reszta za bardzo przypominała jej Roberta, którego miała zamiar ostatecznie wymazać z pamięci.

Bez żalu opuściła ich jasną, przestronną rezydencję, udekorowaną samymi bliznami. Zamieniła ją na dom, na którego widok była teściowa pewnie skrzywiłaby wymalowane usta w grymasie obrzydzenia i pogardy. I właśnie dlatego podobała jej się myśl, że zamiast marmurowych schodów wiodących ku imponującym wnętrzom będzie miała po prostu zwykły dom, wypełniony głośnym śmiechem córki i ciepłem kominka.

Obiecała sobie, że uczyni wszystko, co w jej mocy, aby ich nowa siedziba stała się najszczęśliwszym miejscem pod słońcem.

Od początku miała wrażenie, że samo Lake Falls emanujące ciszą i spokojem pozwoli jej uleczyć rany będące spuścizną nieudanego małżeństwa oraz koszmarne go rozwodu.

Zadrżała. Ból ostrzegawczo ścisnął skronie.

Zostawiłam to za sobą – pomyślała. I po raz kolejny obiecała sobie nie wracać pamięcią do wspomnień, które mimo stanowczych postanowień dopadały ją najczęściej późnym wieczorem, kiedy nie mogła zmrużyć powiek.

Wielokrotnie próbowała od siebie odpędzić zmy, najpierw lekami, a kiedy te nie skutkowały – potężnym kopniakiem wódki. Jednak najlepszym sposobem okazywało się zasypianie przy ciepłym zwiniętym ciałku Kat. Zyskiwała wtedy, przynajmniej na krótko, ulotne poczucie bezpieczeństwa, które bezpowrotnie opuściło ją dawno temu.

– Szanowna pani! – Usłyszała nagle. Poznała ten głos i mimowolnie się uśmiechnęła. Zasapany i purpurowy z wysiłku Tom wyłaniał się razem ze swoją różową łysiną, wschodzącą powoli zza krzaków niczym słońce znad horyzontu. Widać było, że zmęczyła go wspinaczka po stromej ścieżce.

Tylko tutaj – pomyślała z rozbawieniem – jeszcze w ten sposób zwracają się do kobiet.

Ponad pół roku temu – zdesperowana, na granicy kompletnego załamania – zadzwoniła do pośredników w kilku miejscowościach, gdzie gwarantowano jej pracę. Oprócz jednego, żaden z nich nie był zainteresowany listą jej wymagań i oczekiwań. Tym jedynym, który bez wahania zgodził się na prowadzenie poszukiwań, był właśnie Tom, i do tej pory nie żałowała, że go zatrudniła.

Wypatrzył dla niej odpowiednią siedzibę, dopełnił formalności, nie okazując nawet śladu rozczarowania tym, że przez kilka tygodni nie miała czasu odpowiedzieć na maile. Kupił meble, urządził wnętrza według nadesłanych wzorów, załatwił kredyt, zorganizował przeprowadzkę, kontaktując się jedynie

telefonicznie. A pewnego dnia przywiózł ją na miejsce, wręczając klucze opakowane w czerwone pudełko. Od tej pory nieustająco trwały jej oczarowanie i zachwyty domem.

Był zbudowany z grubych drewnianych bali, stary ową szlachetną starością, która barwi ciemnym brązem ściany i dodaje miejscu charakteru. Dom stał na niewielkiej płaskiej wcinającej się w zbocze półce. Jedną stroną przytulony do lasu ogromnym tarasem, a od wejścia skierowany w stronę gór i leżącego u ich stóp jeziora. Był przysadzisty, a jego czerwony dach opadał, ocieniając szeroki podjazd i stojący nieopodal garaż.

Wnętrze nie było ani praktyczne, ani wygodne, jakby projektant zapatrzonej w otaczający krajobraz postanowił do minimum ograniczyć liczbę ścian w środku.

Drzwi wejściowe ułożone na długiej i wąskiej werandzie były bramą do ich nowego życia. Nacisnęła ozdobną klamkę, puszczając córkę przodem.

Niewielki ciemny korytarz przywitał je żywicznym zapachem. Po prawej stronie otwierał się widok na salon, który zajmował całą powierzchnię parteru. Stała w progu, patrząc z przyjemnością na pokój.

Ściany pociemniałe od upływu czasu dawały wrażenie solidnego, bezpiecznego oparcia, którego brakowało jej przez całe życie. Na jednej z nich cierpliwie czekała jeszcze ziejąca pustką okazała biblioteczka. A sterty pudeł obok obiecywały, że wcześniej czy później pokój dzięki księgozbiorowi nabierze nobliwego charakteru prywatnego gabinetu.

Ogromne dębowe biurko – zdobyty cudem antyk – błyszczało szlachetnym, ciepłym mahoniem, przedzielając pokój na dwie części: oficjalną i wypoczynkową, w której królował rozłożysty komplet beżowych kanap i foteli zwróconych w stronę okopconej czeluści otwartego kominka. Patrząc na nie, chciało się natychmiast zapaść w ich przepastne głębiny i delektując ciepłem, oprzeć nogi na podnóżku, by godzinami wpatrywać się w płonący ogień z dala od wszelkich trosk.

Skromne wyposażenie i olbrzymia przestrzeń, w której meble niemal ginęły, zostawiały dużo wolnego miejsca do wykorzystania w przyszłości.

Kiedy Tom po raz pierwszy pokazał jej zdjęcie wnętrza, od razu wiedziała, jak powinien wyglądać salon. Widziała go w wyobraźni, a teraz ożył, urzeczywistniając jej marzenia. Nie rozumiała, dlaczego jej entuzjastyczna reakcja tak go wtedy zaskoczyła. Okazało się – o czym ucziwie ją poinformował, zyskując tym od razu szacunek w jej oczach – że właśnie przez salon dom od pięciu lat nie mógł znaleźć kupca. Każdy potencjalny nabywca rezygnował na widok ogromnej przestrzeni, której nie dało się w całości wykorzystać,

i zdecydowanie niefunkcjonalnego rozłożenia pomieszczeń na górze.

Szerokie schody prowadzące z korytarzyka na piętro kończyły się przed drzwiami do pierwszej, największej sypialni. Obok znajdowały się łazienka i kolejna sypialnia – wąska, długa, ze wspianym widokiem. Do niej dokleiono niewielki pokój pełniący z założenia funkcję jadalni, gdyż obok na podeście znajdowała się mała otwarta kuchnia.

Po dokładnych oględzinach Vic uznała, że absolutnie nie przeszkadza jej ani niefunkcjonalna zabudowa, ani tylko jedna łazienka.

– Jesteśmy we dwie – powiedziała mile zaskoczonemu Tomowi. – Damy sobie radę.

Pod kierunkiem zaradnego pośrednika ekipa remontowa przebiła od obu sypialni drzwi do przestronnej łazienki, która teraz stała się ich wspólnym dobrem. Wolno stojąca wanna na lwich łapach kłóciła się nieco z ustawioną obok nowoczesną kabiną prysznicową, ale w końcu to był ich dom i mogły sobie pozwolić na każde szaleństwo.

Usłyszała tupanie na górze, co było dowodem, że Kat wpadła właśnie do swojego pokoju.

Trudno – pomyślała z ciężkim westchnieniem – dzisiejszej nocy zostałam skazana na samotność. Co nie było niczym dziwnym, zważywszy, że córka miała decydujący wpływ na urządzenie własnego przedsiwionka rajy.

– Na szczęście nikt tego nie zobaczy – powiedziała, gdy Kat przedstawiła jej swoją wizję.

I dokładnie spełniła wszystkie zachcianki dziecka. Od różowego łóżka z baldachimem po minigród zoologiczny na ścianach, kolorowe naklejki na szafie oraz mapę nieba na suficie. Widocznie jej córka nie do końca była pewna, kim chce zostać w przyszłości, i wahała się pomiędzy zawodem tresera, modelki i kosmonauty.

Widok rozszalałych kolorów – granatu łączącego się z wybujałą zielenią awokado i różem – drażnił zmysły, ale uśmiech, który wykwitł na twarzy córeczki, wart był tego oczopląsu.

Swoją sypialnię dla kontrastu urządziła w sposób niemal ascetyczny. Ogromne dwuosobowe łóże – a nuż mała zdecyduje się od czasu do czasu ją odwiedzić – nosiło cechy modnego japońskiego stylu. Niewielka szafka nocna i fotel przy oknie dopełniały całego umeblowania. Nawet decyzja, gdzie zawiesić telewizor, w takim wnętrzu okazała się niełatwa. W końcu wybrała jedyne satysfakcjonujące dla siebie rozwiązanie.

Telewizor będzie w salonie – zdecydowała. Nie zważając na protesty

oburzonej Kat, konsekwentnie odmawiała wprowadzenia dysharmonii do swojego azylu.

– Od teraz – powiedziała na głos do siebie – zaczynamy nowy rozdział.

Ale nie było łatwo pozbyć się wspomnień, które prześladowały ją, wracając w snach, echach słów i mimowolnych skojarzeniach. Vic, na zewnątrz zimna i opanowana, nocami trzęsa się ze strachu, że koszmar prędzej czy później powróci, przybierając postać jej przystojnego męża.

O tym, jaki jest rzeczywiście, przekonała się dopiero po narodzinach Kat, jakby upragnione dziecko stało się czymś w rodzaju katalizatora najgorszych cech i emocji u człowieka, któremu pochopnie przysięgła miłość aż po grób.

Właściwie jeśli miała być ze sobą całkiem szczerą, pierwsze symptomy zauważyła już wcześniej. Ignorowała je, oślepiona blaskiem, który wokół siebie roztaczał. Blaskiem swobody, pozycji, majątku i tej niesłychanie zniewalającej nonszalancji wobec wszystkiego i wszystkich, jaką daje tylko odpowiednie pochodzenie oraz prowadzony styl życia.

Wcześniej stroniła od ludzi, uciekając w świat książek, więc dosyć szybko na studiach uznano ją za kujona i odstawiono na boczny tor życia towarzyskiego. I właśnie wtedy w jej stateczną egzystencję wtargnęło tornado w postaci Roberta. I właśnie wtedy w jej stateczną egzystencję wtargnęło tornado w postaci Roberta. Różnili się od siebie jak ogień i woda, co sprawiło, że od samego początku dała się porwać wirowi wydarzeń.

Przystojny brunet o pięknych brązowych oczach zaczął ją uwodzić od pierwszego dnia. Był szalony, niezwykły, romantyczny i zachwycający. Krótko grała trudną do zdobycia, bo oczarował ją kompletnie i do zatracenia. Każda rzecz, którą robił, była tak egzotyczna i do takiego stopnia nie mieściła się w granicach jej pojmowania, że trwający rok romans przypominał cudowny sen.

Nic dla niego nie stanowiło problemu. Swoim urokiem osobistym podbijał otoczenie, które nie ustawało w wysiłkach, aby ułatwić mu życie, wyprostować kręte ścieżki i usunąć sprzed nóg każdą przeszkodę.

Przypomniała sobie, jak owinął sobie dookoła palca jej największą zmore – ordynatora pediatrii doktora Pattisona, u którego miała praktyki. Był to służbista i wyjątkowy arogant, człowiek, do którego gabinetu wchodziło się jak na ścieżkę. Jego komentarze znad biurka i wymowne spojrzenia doprowadzały najodważniejszych do palpacji. Pewnego wieczoru miała dyżur na oddziale, ale Robert mimo jej protestów koniecznie chciał porwać ją na kolację. Wpadł do szpitala z kwiatami, podszedł do ordynatora i przedstawił się:

– Miło mi poznać człowieka, który sterroryzował cały rok medycyny.

Po kilku minutach uprzejmej i, sądząc po wybuchach śmiechu, wesołej konwersacji wrócił po nią.

– Idziemy – powiedział wyraźnie rozbawiony. – Dziś masz wolne.

Od tego dnia była jedyną osobą, która miała spokój na pediatrii. To, co zrobił, było czarujące i kompletnie szalone, a ona była głupio i naiwnie zakochana.

Oczy powinny jej się otworzyć w momencie, kiedy została zaproszona do jego rodziców. Jednak magiczna bańka, w której tkwiła, nie dopuszczała do świadomości przeblysków prawdy.

Zaczęło się od wykaligrafowanego na eleganckim papierze i miłego w tonie zaproszenia na podwieczorek. Gdy zapytała Roberta: „Co to jest?” – odparł zmieszany, że jego mama postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, ponieważ nie mogła się doczekać, kiedy przedstawi swoją przyszłą narzeczoną. Nie wiedziała, co bardziej ją zaskoczyło, czy zaproszenie na rozmowę, czy określenie, którego użył – „przyszła narzeczoną”.

Pojechali razem do letniej rezydencji jego rodziców, położonej na klifie górującym ponad oceanem. Posiadłość obejmowała kilka kilometrów plaży oraz okolicznych lasów. Olbrzymi dom powitał ich z otwartymi ramionami.

Ojciec, lekko szpakowaty i wysportowany, wyglądał jak filmowy wzór gentlemiana, matka, w zwiewnej beżowej sukience, okazała się najbardziej uprzejmą, sympatyczną i życzliwą osobą, jaką kiedykolwiek poznała. Od razu przeszły na ty i Jane objęła ją serdecznie.

– Od dawna marzyłam, żeby poznać dziewczynę, której udało się utrzymać zainteresowanie Roberta dłużej niż tydzień – powiedziała z ciepłym uśmiechem. – Musisz być doprawdy niezwykłą osobą.

Zanim Vic się zorientowała, rozmawiały i śmiały się niczym stare przyjaciółki. Ktoś tymczasem przyniósł kawę i deser, ktoś sprzątnął ze stołu, ale ona zaaferowana rozmową niczego nie zauważyła. Przy bliższym poznaniu Jane okazała się jeszcze bardziej ujmująca.

Jej naturalne lekko falujące blond włosy były gdzieś rozjaśnione siwymi pasemkami. Oczy, których kolor odziedziczył Robert, były ciepłe i inteligentne. Ciemne rzęsy i wspaniałe wykrojone usta przy leciutko, kokieteryjnie zadartym nosie świadczyły, iż kilkanaście lat temu jaśniała wyjątkową urodą. A z każdego jej gestu, z każdego ruchu emanowało to nieuchwytne coś, co dawniej nazywano klasą.

Ze swobodą rozmawiały o wszystkim. Jane знаła osobiście większość wykładowców na uczelni i o wielu miała nie najlepsze mniemanie.

– Pamiętam doktora Pattisona z naszych popołudniowych herbatek. –

Uśmiechnęła się. – Naprawdę nie musicie się go obawiać, to bardzo sympatyczny człowiek, który ubzdurał sobie niestety, iż młodzież należy trzymać krótko. Wiesz – na jej ustach pojawił się lekki grymas – jest samotny, nigdy nie miał dzieci, co wpływa na jego stosunek do studentów.

W tej miłej atmosferze plotek towarzyskich popołudnie minęło jak z bicza strzełił.

Pod wieczór ojciec Roberta zabrał ją na – jak to określił – rajd po okolicy. Prezentując wspaniale utrzymany park, dwa wielkie baseny, korty tenisowe i wszystkie możliwe atrakcje, wypytywał o jej plany na przyszłość, a robił to z takim wyczuciem, że nawet przez sekundę nie pomyślała, iż jest to w jakiś sposób niestosowne.

Jej zdaniem podwieczorek udał się znakomicie i nie mogła zrozumieć, dlaczego Robert ponagla ją niecierpliwie do wyjazdu, kategorycznie odmawiając skorzystania z zaproszenia na cały weekend. Sama nie miałaby nic przeciwko temu, podobał jej się dom, urzekły okolica i sposób, w jaki ją potraktowano.

Nie była – wbrew swoim wcześniejszym lękom – niechcianą biedną dziewczyną, która przez przypadek wpadła w oko ich synowi. Wręcz przeciwnie, rozmawiano z nią, słuchano tego, co ma do powiedzenia, otaczano dyskretną uwagą należną raczej gościowi o znacznie wyższej pozycji. W samochodzie, gdy zostawiali za sobą gościnną rezydencję, zapytała go wprost, dlaczego odrzucił zaproszenie.

– Co za wspaniali ludzie – dodała, a w jej głosie mimowolnie zabrzmiało rozżalenie. – Na twoim miejscu wcale nie chciałoby mi się wyjeżdżać.

– Masz rację – warknął. – Nie jesteś na moim miejscu.

Temat się urwał i aż do samego kampusu nie zamienili słowa. Poczowała się dotknięta tą niczym nieuzasadnioną agresją i przez cały następny dzień starała się go unikać, nie odpowiadała na telefony, ignorowała zaczepki na stołówce.

Rano, kiedy obudziła się w swoim pokoju, zobaczyła go siedzącego z książką na fotelu.

– Nie złość się na mnie – powiedział cichym, przeprasającym tonem. – Wizyty u rodziców wyprowadzają mnie z równowagi.

– Dlaczego? – Zaintrygował ją, więc odłożyła na bok dąsy.

– Wiesz, że kota czasem można zagłaskać na śmierć. – I najwyraźniej skończywszy temat, wsunął się obok niej pod kołdrę. – Obiecuj mi, że nigdy więcej się na mnie nie zezłościś.

Pod wpływem dotyku jego ciepłych dłoni obiecałaby mu to i tysiąc innych rzeczy. Znaczenie jego słów dotarło do niej dużo, dużo później, gdy byli już

szczęśliwym młodym małżeństwem. Ślub był bajką zaplanowaną i zorganizowaną przez teściową – jej własną bajką, w której Vic nie miała nic do powiedzenia. Podobnie jak podróż poślubna...

– Ależ moi kochani – Jane założyła swój serdeczny uśmiech – do Francji pojedziecie podczas wakacji, wtedy będzie czas na zwiedzanie. Miesiąc miodowy w zatłoczonym Paryżu? Już wam zarezerwowałam domek na Hawajach – zwróciła się do Vic. – Nic tak nie działa na kobiety jak szmaragdowa toń oceanu, rozjarzone gwiazdy, zapach kwiatów i obecność męża u boku. Zobaczysz, będą to najszczęśliwsze chwile w twoim – poprawiła się – w waszym życiu.

I rzeczywiście były. Podczas obowiązkowych raportów składanych każdego wieczoru przez telefon często mówiła Jane o swojej wdzięczności za ten wspaniały pomysł. Słyszając to, Robert ironicznie rzucał:

– Tylko tak dalej, dziewczyno.

Tymczasem ona szczerze była zachwycona dwoma tygodniami na Maui i uznała, że sierpniowy pobyt w Paryżu na pewno nie przysporzyłyby im tylu wrażeń. Po powrocie Jane i Marc przywitani ich na lotnisku. Dumny jak paw teść wręczył im klucze do kupionego w prezencie domu.

– Będiesz tam szczęśliwa – powiedziała Jane. – Zrobiłam wszystko, aby uwić wam wspaniałe gniazdko.

Jednak tym razem jej przepowiednia się nie sprawdziła.

W drodze do nowego domu dowiedziała się, że ojciec Roberta załatwił jej staż w renomowanej klinice, więc znów poczuła tę dozgonną wdzięczność, która powoli zatruwała jej małżeństwo.

Od tej pory w każdym punkcie, w każdym miejscu czuła ich opiekę i dyskretny nadzór. Kieliszki – wybrane przez Jane, zastawa stołowa – skompletowana przez Jane, dekorator – polecony przez Jane. Teściowa niemal zamieszkała razem z nimi i nawet gdy fizycznie była nieobecna, to w całym domu czuć było jej rękę i wolę. W końcu Vic poskarżyła się Robertowi, że jego matka wtrąca się we wszystko.

– Sama ją do nas zaprosiłaś – usłyszała odpowiedź męża.

W pracy osaczali ją sami dobrzy i bardzo dobrzy znajomi teściów. Myślała – do pewnego momentu – że pacjenci są odporni na koneksje rodziny Roberta. Aż zorientowała się, że zlecano jej opiekę tylko nad prostymi przypadkami. Tak na wszelki wypadek, aby nic nie zepsuło znakomitej renomy synowej Jane i Marca.

To nie teściowie jednak doprowadzili do kryzysu w jej związku, oni byli tylko katalizatorem, dzięki któremu uwolniła się w końcu z tego na wskroś chorego

układu. Trwało to dość długo, jej sen na jawie śnił się bez cienia jakiegokolwiek skazy przez prawie dwa lata.

Czasem żeby człowiek przejrzał na oczy, musi nieźle oberwać. Ona dostała swoją porcję ciosów równocześnie z czterech stron. Po pierwsze dowiedziała się, że jest w ciąży, po drugie została zwolniona z pracy po koszarnej rozmowie z dyrektorem kliniki, który najpierw wyściskał ją serdecznie, gratulując przyszłego szczęścia, po czym bez ogródek dodał:

– W związku z zaistniałą sytuacją rozmawiałem przedwczoraj długo z pani teściami i doszliśmy wspólnie do wniosku, że powinna pani zawiesić staż na okres ciąży i opieki nad dzieckiem. Jak sądzę, rozumie pani moje intencje i wie, że to najlepsze wyjście.

– Dla kogo, panie ordynatorze, jest to najlepsze wyjście?

Czuła, jak powoli, nieuchronnie ogarnia ją furia.

– Oczywiście dla pani i dziecka, które od teraz powinno być absolutnie w centrum naszej troski. Ma pani do swojej dyspozycji wszystkich lekarzy, a zgodnie z ustaleniami będzie pani rodzić u nas, pod opieką najlepszych specjalistów, których osobiście sprowadzę.

– Z tego, co wiem – ze wszystkich sił starała się nie krzyknąć – jestem dopiero w czwartym tygodniu, mogłabym pracować jeszcze przez pół roku bez szkody dla dziecka.

Fałszywy uśmiech spełzył mu z twarzy.

– Myślałem, że jest pani rozsądniejsza. – Wstał, chcąc zakończyć dyskusję. – Dobro dziecka jest najważniejsze, a praca przy chorych mogłaby je narazić na kontakt z niepotrzebnym ryzykiem.

Zignorowała jawną prowokację, bo nie zamierzała puścić mu tego płazem.

– Wizyta w sklepie, rozmowa z zakatarzonym sąsiadem także jest narażeniem na niebezpieczeństwo, jednak z tego powodu nikt nie każe ciężarnym zamykać się w domu ani nie wysyła ich na przymusowy urlop.

– Proszę zrozumieć, że pani obecność w szpitalu nie jest uzasadniona. Oferuję możliwość odejścia albo za obopólną zgodą, dzięki której zachowa pani możliwość podjęcia stażu ponownie, albo zmusi mnie pani do rozwiązania naszej umowy ze skutkiem natychmiastowym. Drugą opcję szczerze odradzam, ponieważ nie będzie pani miała możliwości powrotu, a szanse zatrudnienia w innej placówce bez odpowiedniej rekomendacji mogą okazać się znikome.

– I zwalnia mnie pan, bo jestem w ciąży?

Mówiła spokojnie, ale w środku się w niej gotowało.

– Absolutnie nie. – Zauważyła, nie bez satysfakcji, że lekko pobladł. – Zwolnię

panią, ponieważ mamy redukcję etatów, a do tej pory nie dała się pani poznać jako odpowiednia osoba na samodzielne stanowisko w naszej klinice.

– Czyli zwolni mnie pan, ponieważ nie jestem dość dobrym lekarzem?

Zawahał się, zaczął dobierać słowa ostrożnie i powoli.

– Staralbym się unikać tak ostrych sformułowań. My, jako placówka naukowa o światowej renomie, szukamy wyjątkowych lekarzy, z dorobkiem naukowym o odpowiednim prestiżu w środowisku, a pani, mimo pomocy z naszej strony, do tej pory nie potwierdziła swoich predyspozycji do pracy w tak znaczącym ośrodku. Jest pani dobrym lekarzem, ale dla nas to trochę za mało.

– I oczywiście tak sformułowany zarzut nie ma nic wspólnego z pańską rozmową z Markiem i Jane?

– Proszę mnie nie obrażać.

Nagle odechciało jej się dalszej jałowej dyskusji. Wstała, podeszła do niego i patrząc mu prosto w oczy, zimno powiedziała:

– Nie wiem, czym pana kupili. Ale żądam, żeby mnie pan zwolnił. Nie mam zamiaru pracować w renomowanej placówce, którą kieruje kurwa, nie lekarz.

Wyszła, ostatkiem sił powstrzymując się, żeby nie trzasnąć drzwiami.

Na jej oddziale już wszyscy wiedzieli. Nieszczere wyrazy żalu, drobny pożegnalny prezent i zapewnienia o dozgonnej sympatii były tak fałszywe, że wyszła stamtąd pełna głębokiego niesmaku do siebie i całego świata.

Wróciła do domu, oczekując, że Robert poprze jej stanowisko. Tymczasem on wściekł się, że w ogóle myślała o dalszej pracy w szpitalu.

Po tej pierwszej poważnej awanturze między nimi coś się zepsuło, Robert częściej zaczął dzwonić do rodziców, a z zasłyszanych fragmentów domyśliła się, o czym rozmawiają.

– Nieodpowiedzialna... Rozumiem waszą decyzję i ją popieram... reakcje histeryczne...

Trzecim ciosem była niespodziewana wizyta jej brata. Pewnego dnia Patryk zadzwonił, wyrywając ją z pogłębiającej się depresji, i poprosił o spotkanie. Uradowana z powodu niespodziewanego odnowienia kontaktu z dawno niewidzianym bratem i nieco zaniepokojona oficjalnym brzmieniem zaproszenia ubrała się szybko, zbyła czymś zbyt ciekawską pokojówkę – oczywiście poleconą przez Jane – i pojechała na spotkanie.

Wyszła z niego po dwóch godzinach na obcy i nieprzyjazny świat, który jak po równi pochyłej osuwał się w nicość.

Patryk opowiedział o wydarzeniach przed ślubem, przyczynach, dla których nikt z rodziny nie brał udziału w tych najszcześniejszych dla niej chwilach.

Powiedział również, że zmusił się do tej rozmowy wbrew opinii matki. Przyjechał specjalnie, żeby ją ostrzec.

– Dlaczego dopiero teraz? – jęknęła. Była jednocześnie wściekła i rozżalona. – Gdybym wiedziała wcześniej...

– Nie wyszłabyś za niego? – odpowiedział z przekąsem. – Nie żartuj, byłaś śmiertelnie zakochana, świata poza nim nie widziałaś. My natomiast byliśmy przekonani o tym, że wiesz o wszystkim. Przynajmniej tak nam powiedziano.

– Dlatego nie byliście na ślubie!?

– Ty naprawdę nie znasz tych ludzi. – Pokiwał głową, jakby litował się nad jej naiwnością. – Sądziś, że z nimi jest wszystko w porządku?

Czuła to od dawna. Podskórnie zdawała sobie sprawę z tego, że nic nie było w porządku, i ta rozmowa, która otworzyła jej oczy, utwierdziła ją tylko w tym przekonaniu.

Do jej rodziców pofatygowali się całą trójką. Przedstawili swój punkt widzenia i zostawili rozszlochaną matkę, wściekłą siostrę i śmiertelnie obrażonego ojca.

Podczas rozmowy bardzo grzecznie zasugerowali, że ona – ambitna, wspaniale zapowiadająca się lekarka – nie powinna być przez całe życie spętana dorastaniem w patologicznej rodzinie. Oni, którzy stanowili mroczny rozdział w jej młodości, powinni teraz stanąć na wysokości zadania i zerwać wszelkie kontakty.

– Zapewne ucieszy was, że dla Vic po ślubie otworzy się wielki świat. Ale musimy zastrzec – dodał milczący do tej pory Marc – że z tytułu przyjęcia do rodziny waszego dziecka nie zamierzamy w żadnym stopniu spełniać państwa zachcianek finansowych. Dodatkowo stanowczo zabronimy Victorii tracenia naszych środków na poprawę waszej sytuacji materialnej. Po tym piekle, które jej zgotowaliście w przeszłości, jesteście jej winni zadośćuczynienie, a to nie będzie możliwe, jeśli będziecie stać u naszego progu z wyciągniętymi rękoma.

– Ona ma zbyt dobre serce, a przy tym jest niebywale wręcz naiwna – powiedział jej przyszły małżonek. – Daje się łatwo wykorzystywać ludziom, którzy nigdy niczego dla niej nie zrobili i nie zrobią. Teraz my jesteśmy jej prawdziwą rodziną i postaramy się naprawić krzywdy, których doznała w tym domu.

Dlatego – pomyślała Vic z bólem rozrywającym serce – mimo ponawianych próśb nikt z rodziny nie przyjechał na ślub. Po takim zaproszeniu trudno się dziwić.

Wróciła do domu w ponurym nastroju, nie miała zamiaru rozmawiać

z Robertem o tym, czego się dowiedziała, gdyż intuicyjnie czuła, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Jej mąż od kilku tygodni był nieustająco poirytowany i zwracał się do niej w tonie niemalże oficjalnym:

– Zejdiesz na obiad?

A kiedy słyszał odpowiedź odmowną, na głos komentował:

– Fanaberie ciężarnej.

Teściowie wpadali co dwa dni, racząc ją niekończącą się listą dobrych rad i wskazówek, do których musiała się stosować. Była niczym ptak uwięziony w złotej klatce. Co z tego, że klatka miała rozmiary hangaru, marmurowe schody i olśniewające elegancją wnętrza, skoro i tak była więzieniem. A Vic nie czuła się na tyle silna, by się z niego wyrwać.

Stres odbił się na jej zdrowiu i na trzy miesiące wylądowała w szpitalu.

Narodziny Kat były największym szczęściem, jakie ją spotkało. Nie mogła oderwać oczu od małej drobinki, która zagościła w jej życiu. Od początku nieprzytomnie zakochała się w córce, a każda sekunda rozłąki była dla niej prawdziwą katuszą.

Wtedy do akcji wkroczyła niezastąpiona Jane. Tuż po porodzie wysłała ją do psychologa.

– Na wszelki wypadek. – Była miła, zbyt miła. – Gdybyś miała, jak wszystkie kobiety, dostać depresji poporodowej. Sama przez nią przechodziłam, ale wtedy nikt nie podał mi pomocnej dłoni.

Opierała się krótko i, bardziej dla świętego spokoju niż z przekonania, zaczęła chodzić na spotkania. Rzeczywiście, trafiła na wspaniałą terapeutkę, która krok po kroku wydobywała z niej prawdę o walącym się w gruzy związku, nadopiekuńczych teściach, prześladowających ją nachalną obecnością i ingerencjami w każdy wybór i decyzję. A także o tym, jak wstrząsnęła nią utrata pracy.

Kiedy siedząc wygodnie w fotelu, spojrzała na swoje obecne życie, odkryła z przerażeniem, że jest kompletnie sama. Terapeutka zastępowała jej przyjaciółki, których nigdy zresztą nie miała, i rodzinę, która zerwała z nią kontakty. Cotygodniowe wizyty stały się zbawienną odskocznią, dzięki nim w końcu, mimo protestów męża, zaczęła szukać pracy.

Tak trafiła do szpitala, tym razem publicznego, gdzie nikt nie zwracał uwagi na jej koneksje. W tłumie stażystów była traktowana na równi ze wszystkimi, obrażana z byle powodu i wyzyskiwana do nieprzytomności. Wracając do domu po czterdziestoosmiodzinnym dyżurze, chciała tylko przywitać się z córeczką i od razu położyć się spać. Decyzja o podjęciu pracy była o tyle łatwiejsza, że

roczna Kat, zgodnie z panującą modą, była otoczona opieką niani, nauczyciela języków oraz osobistej pani od zabaw i spacerów. W natłoku codziennych zajęć dziewczynka nauczyła się zupełnie ignorować nieobecność matki. I to bolało bardziej niż wszystko inne.

Bardziej nawet niż cios czwarty – zdrada Roberta.

Okazało się, że w ich małżeństwie działo się jeszcze gorzej, niż myślała. Nieustanne szykany wiodły prym nad drobnymi złośliwościami i wybuchami gniewu.

– Jesteś kompletnie niezorganizowana – mówił, gdy spotykali się w przelocie.
– Zostawiłaś rano filiżankę po kawie, ile razy mam ci tłumaczyć, że sprzątaczką nie jest twoją niewolnicą i należy jej się trochę szacunku. Człowiek na poziomie sprząta po sobie. Przykre, że dopiero ja muszę cię tego uczyć.

I odchodził od stolika, na którym zostawiał szklanki po whisky.

– Wyglądasz okropnie. – Rzucił krzywy uśmiech sponad gazety, kiedy wracała z dyżuru, ledwie trzymając się na nogach. – Mam nadzieję, że nie idziesz w takim stanie do Kat? Niepotrzebnie ją wystraszysz.

Wersja wściekła:

– Co ty sobie wyobrażasz?! Chcesz mi powiedzieć, że zamiast jechać do moich rodziców, wolisz iść do tego przekłętą szpitala, w którym nie zarabiasz nawet na porządne perfumy? Za kogo ty się uważasz? Ach, byłbym zapomniał, pewnie wolisz sprzątać brudy po pacjentach, niż spędzić ze mną dzień!

Albo:

– Nie umiesz wychować dziecka, dlatego muszą się nią zajmować obcy.

Wybiórczo zapominał o tym, że to Jane zorganizowała cały zastęp ludzi do opieki nad Kat, tłumacząc Vic, jak ważne są pierwsze lata dziecka, w których rozwijają się wszystkie uzdolnienia i umiejętności. A ona w tej kwestii skapitulowała dopiero na wyraźne żądanie męża.

W nagrodę usłyszała:

– Gdyby nie ja, Kat w ogóle nie wiedziałyby, że ma matkę. Do tego doprowadziłaś swoim egoizmem, bo tylko to, czego ty pragniesz, jest ważne. Ważniejsze niż dobro naszej córki. Skoro wolisz pracować, po co w ogóle zdecydowałaś się na dziecko?

Nieprzerwany potok inwektyw uodpornił ją na tyle, że starała się nie zwracać na niego uwagi. Robert był niczym zły pies, którego należy omijać szerokim łukiem, bo gryzie za każdym razem, gdy się koło niego przechodzi. Równocześnie była tak zmęczona i otepiała, że bez protestów trwała w tym związku, starając się

po prostu przetrwać kolejny dzień.

Czarę goryczy przelała plotka, która stała się w końcu oficjalnym newsem, że jej mąż miał kochankę. A na procesie okazało się, że ową tajemniczą flamą była osobista terapeutka Vic. To podobno dzięki pani psycholog Robert zaprzestał skandalicznych romansów, o których oczywiście Vic nie miała pojęcia.

Kiedy dowiedziała się o zdradzie, rozżalona i wściekła pojechała porozmawiać z jego rodzicami.

– A czego, na litość boską, się spodziewałaś? – Życzliwa Jane ostudziła jej emocje. – Niech się wyszaleje. Ma przecież ciebie i dziecko, nie zostawi was dla przypadkowej kobiety. Mężczyźni w naszej rodzinie nie porzucają swoich żon tylko dlatego, że jakaś sprytniejsza lub młodsza laleczka im dogodzi. Ten romans szybko się skończy, a on wróci skruszony. Poza tym część winy leży także po twojej stronie. Najpierw ciąża, długi pobyt w szpitalu, później opieka nad Kat, a teraz praca. Czy ty choć raz pomyślałaś, jaki czuł się samotny? Jego potrzeby zeszły na drugi plan, więc nie dziw się, że znalazł sobie kogoś, kto go wysłuchał, pocieszył i zapewnił ciepło, którego ty, zajęta pracą, dla niego nie znalazłaś.

Po tych słowach Vic poczuła się winna.

Pomyślała, że może jest w tym ziarno prawdy. Faktycznie, oddaliliśmy się od siebie i pewnie stało się to za obopólnym przyzwoleniem.

Chciała ratować ten związek, przede wszystkim dlatego, żeby zapewnić Kat prawdziwą rodzinę. Rozmowa z Robertem, co do której miała głupią nadzieję, że przebiegnie w sposób cywilizowany, obdarła ją z resztek złudzeń.

Pomyliła się bardzo. Tak bardzo, jak w ogóle myliła się w stosunku do niego i jego rodziny. Utrata złudzeń bezlitośnie obnażyła klęskę, którą były wspólnie spędzone lata.

Zaraz po powrocie od teściów spotkała go w salonie. Siedział na kanapie i czytał gazetę. Na jej widok złożył starannie czasopismo i odłożył na stolik.

– Wiem... – zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

– Ty cholerna idiotko – wysyczał. – Po co tam pojechałaś? Sądziłaś, że nastawisz ich przeciwko mnie? Wielka pani Nikt z prowincji Nigdzie. Zero z ambicjami?

Słyszając te słowa i sącząc się z nich wściekłość, chciała uciec na piętro i przeczekać, aż minie mu atak furii. Nie zdążyła.

Poderwał się z kanapy i stanął między nią a drzwiami.

– Dałem ci wszystko. Moje znajomości pomogły ci skończyć studia, miałaś piękny dom, pozycję i pieniądze. – Mocny cios w brzuch nastąpił, kiedy najmniej się tego spodziewała. – Musiałaś się na to wypiąć jak zwykła wywłoka! Musiałaś

wszystko popsuć!

Popatrzył na nią zimno. To już nie był jej Robert, lecz jakiś obcy, szalony człowiek, który chciał ją skrzywdzić. Przez łzy zawodu z przerażeniem spostrzegła jego nienaturalny uśmiech.

– Chciałem tylko odrobiny wdzięczności za wszystko, co ci dałem, a ty próbujesz przeciwko mnie nastawić rodzinę. Nie chciałem słuchać, gdy matka mówiła, czym kończy się wpuszczanie do domu hołoty.

Zamyślił się, patrząc niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

Stała przed nim, nie zwracając uwagi na strumień łez ściekający z jej policzków. Płakała nie tyle z fizycznego bólu, ile upokorzenia i złości. Mogła w każdej chwili skończyć tę zabawę, ale do tego potrzebne były siły, których jej zabrakło.

– Miałaś być inna – kontynuował. – Inna od tych wszystkich lafirynd. Uczciwa. Czysta. Takiej kobiety szukałem. Nie roześmianej dziwki. Miałaś być moja. Tylko moja. Ale ty ciągle nie miałaś dosyć. Załatwiliśmy ci staż, który porzuciłaś, chciałaś dziecko, to ci je dałem, sądząc, że przynajmniej tym się zajmiesz, jednak ciągle ci było mało. Porzuciłaś swojego bachora, żeby się puszczać w jakimś podrzędnym szpitalu. – Głos mu się podniósł niemal do pisku. – Myślisz, że o tym nie wiem? Przychodziłaś po dwóch dniach śmierdząca rują i obrażałaś mnie, posądżając o naiwność. Wiem, jakie były te twoje dyżury. Nikt normalny, mając takie warunki, nie pracowałby za tak śmieszne pieniądze. Ilu czekało na moją żonę, żeby ochoczo rozłożyła przed nimi nogi? Dlatego nie podobało ci się w klinice, bo tam z szacunku dla mojego nazwiska nikt nie chciał cię przelecieć. A teraz możesz to robić na oczach i za przyzwoleniem wszystkich.

Łzy wyschły i była całkowicie pewna, że ma dosyć. Na zawsze. Odepchnęła go mocno sprzed drzwi i wyszła z domu. Obolałe oczy drażniło słońce, które jak gdyby nigdy nic świeciło jasno nad koronami drzew.

Świat się nie skończył – jeszcze. Wsiadła do samochodu i pojechała przed siebie. Była kompletnie świadoma i pewna tego, co robi. Tak, jak była pewna, że podczas zajścia nikogo nie było w domu, że bił ją w taki sposób, aby nie zostawić śladów. Być może nawet to elegancka Jane zażądała, żeby z nią porozmawiał i nie dopuścił do skandalu. Chociaż w jednym punkcie się pomylił.

Szkoła życia, jaką odebrała w dzieciństwie, okazała się w tej chwili bezcenna. Dzięki niej nie była przerażoną światem idiotką, ale silną i dumną kobietą.

Odwaga popchnęła ją wtedy na drogę opanowania i dała wewnętrzną pewność, że decyzja, którą podjęła, jest ostateczna i nieodwracalna.

W przeblasku zrozumienia dostrzegła u Roberta cechy psychopaty. Uwikłał ją

w starannie utkaną sieć, pozbawił rodziny, znajomych – uzależnił od siebie, aby kompletnie nad nią zapanować. Najgorsza z możliwych zależności – pan i władca oraz bezwarunkowo podległa, ubezwłasnowolniona kobieta. Marionetka, zabawka dla jego pokręconego umysłu.

Wiedziała doskonale, że na pierwszym akcie agresji się nie skończy. Kiedy wróci skruszona do domu, rozpęta się prawdziwe piekło. Z drżeniem będzie oczekiwała dnia, w którym pokojówka dostanie wolne, ogrodnik nie przyjdzie do pracy, a Kat pojedzie do dziadków.

Wtedy zacznie się zabawa, bo jej oprawca z niecierpliwością będzie czekał, żeby zacząć od początku swoją chorą piosenkę. Jeśli wróci i da mu na to przyzwolenie, otwarta dłoń zamieni się w pięść, pięść w każdy przedmiot znaleziony pod ręką, aż pewnego dnia być może ją zabije.

Znacznie gorsza jednak od śmierci fizycznej byłaby w tej sytuacji śmierć psychiczna. Zabijałyby w niej systematycznie wszystko, czym była, sprowadzając w końcu do roli worka treningowego.

Nie bała się jechać w nieznaną, nie bała się biedy zamiast życia w marmurowym pałacu, w którym od początku się dusiła. Strach ściskający ją za gardło miał twarz Kat. Twarz niewinnego dziecka, które znalazło się na linii frontu.

Te obawy okazały się całkowicie uzasadnione.

Nie miała dokąd pójść. Chociaż Robert zablokował jej karty kredytowe, to właśnie wtedy okazało się, że jest otoczona ludźmi, którzy pragną pomagać bezinteresownie i bez oglądania się na konsekwencje. Dzięki wstawiennictwu pielęgniarki z oddziału wynajęła niedrogie mieszkanie. Ordynator, który zobaczył ją na drugi dzień, kiedy pojawiła się w pracy – spokojna tym niezwykłym opanowaniem człowieka niemającego już nic do stracenia – porozmawiał z nią życzliwie i szczerze, a później wcisnął wizytówkę znajomego prawnika.

Dostała płatny urlop, wyrzuciła telefon i rozpoczęła batalię o córkę.

ROZDZIAŁ II

Nie mogła zasnąć pozbawiona przyjaznego ciepła i cichego, sennego pochrapywania Kat. Do północy przewracała się z boku na bok, szukając pomocy w cichym liczeniu baranów, a kiedy w końcu wstała, aby przynieść sobie szklanek wody, sen czmychnął bezpowrotnie.

Usiadła w wielkim fotelu pod oknem, z którego roztaczał się widok na otuloną ciemnościami dolinę, z rzadka rozjarzoną kilkoma niewielkimi ognikami świateł.

I wtedy wróciły niechciane wspomnienia, które zatruwały ją swoim jadem przez ostatnie lata.

W trakcie korowodów prawnych tak bardzo potrzebowała otuchy i dobrego słowa, że wygospodarowała czas, aby odwiedzić rodziców. Miała nadzieję znaleźć w nich oparcie, przeprosić za wszystko, co się stało. Mimo starań rany zadane przez Jane i Roberta kładły się cieniem na wzajemnych stosunkach rodzinnych. Siostra, którą praktycznie wychowała, w ogóle nie chciała z nią utrzymywać kontaktu.

W tym czasie zakończyła wreszcie staż, zyskała prawo do wykonywania zawodu, z odszkodowania spłaciła obu adwokatów i postanowiła natychmiast zmienić klimat, okolicę oraz swoje życie.

Tak właśnie znalazła to niezwykle miejsce.

Za oknem pojawiły się pierwsze przebłyski nadchodzącego świtu. Wstaje nowy dzień. Nic nie może być gorsze od tego, co zostawiłam za sobą, pomyślała, przeciągając się w cudownie wygodnym fotelu. Nie mogła się bardziej pomylić.

Przez kilka dni porządkowała dom, układała starannie zbiory na półkach, a pozostały czas poświęcała Kat.

Dla małej dziewczynki odkrywanie tajemnic nowej siedziby było niekończącą się zabawą, zaglądała we wszystkie zakamarki, starała się być bardzo pomocna, robiąc przy tym mnóstwo zamieszania. Każda praca nudziła ją szybko, bo obok było jeszcze tysiące rzeczy do odkrycia, więc upilnowanie jej było sztuką samą w sobie.

Vic dostała sądowe pozwolenie na zabranie z rezydencji osobistych rzeczy, prezentów, ubrań i wszystkich drobiazgów nagromadzonych przez lata. Gdy pod nadzorem Jane i prawnika weszła do swojego starego domu, przeraziło ją, jak bardzo nie był już jej.

Otwierała szafy i oglądała sukienki, w których niegdyś chodziła, bo Robert lub Jane uważali, że dobrze w nich wygląda. Dziś nie włożyłaby ich za żadną cenę. Tak samo do niej nie pasowały jak biżuteria i inne otrzymane kosztowności. Z tamtego domu zabrała jedynie swoje książki, kolekcję płyt i ponad dwadzieścia ogromnych pudeł z rzeczami Kat. Bez żalu zostawiła diamentowy pierścionek, robione na zamówienie perfumy i eleganckie futra. Zanim opuściła na zawsze dawne więzienie – odprowadzana zdziwionym spojrzeniem prawnika i pogardliwym wzrokiem teściowej – mimo protestów zabrała jedyną kosztowną rzecz, która nie była jej własnością. Ogromny portret, na którym pewien znany malarz uwiecznił jej małą córeczkę. I to było wszystko. Miejsce dla niego znalazła nad kominkiem, gdzie idealnie pasował zarówno kształtem, jak i ciepłą kolorystyką.

Obie zmęczone rozgardiaszem usiadły na kanapie z ogromnymi kubkami gorącego kakao w dłoniach.

Przeprowadzka dobiegła końca. Tom, jako dobry duch zadbał o wszystko. W kuchni oprócz koniecznych sprzętów znalazła prostą i funkcjonalną zastawę stołową, sztukę, a nawet zapas worków na śmieci. Nie musiała się o nic martwić, szczęśliwa jak nigdy dotąd zapadła w błogostan, przytulając swój mały skarb.

Następnego dnia czekała ją wizyta w gabinecie doktora Benjamin Kenta, po którym, zgodnie z umową, miała przejąć praktykę. Podczas pierwszego spotkania nie zrobił na niej pozytywnego wrażenia – wysoki i szpakowaty za bardzo sposobem bycia i wyglądem przypominał byłego teścia. Od razu potraktował ją z góry.

– Nie sądziłem – powiedział, taksując ją krytycznie – że jest pani taka młoda. Ile pani ma właściwie lat?

Uznała to pytanie za wielce nietaktowne, więc uśmiechnęła się nieco sztucznie. – Jestem starsza, niż na to wyglądam – powiedziała – lecz widocznie młodsza niż obowiązujące tu standardy.

Roześmiał się, miał przyjemny, niski tembr głosu.

– I zdecydowanie bardziej pyskata. – Podniósł się z fotela. – Widzę, że wspaniale da sobie pani radę.

Doktor Kent odchodził na zasłużoną emeryturę i miał zamiar przeprowadzić się do Kalifornii.

– Na stare lata – powiedział, puszczając do niej oko. – To co oferują słoneczne plaże jest potrzebne, aby się przekonać, czy się jeszcze żyje.

Zostawił jej swój gabinet i pacjentów.

– Nie licz tu na ciekawe przypadki. Miejscowi nie chorują za często, czasem trafi się angina, czasem jakiś atak reumatyczny. Nic, co przydałoby się do pracy naukowej. Gorzej, kiedy zjeżdżają turyści, nie można się wtedy opędzić od pacjentów. Złamania, rany kłute i zatrucia są na porządku dziennym. Zawsze mnie zastanawiało, jak się to dzieje i co ci ludzie robią, że od rana do wieczora kłębi się u mnie nieopisany tłum. Pracy ci przez letnie miesiące nie zabraknie, to pewne.

Podpisała z nim wyjątkowo korzystną umowę, na mocy której przez pięć lat będzie spłacać gabinet w ratach, określonych wysokością dochodów.

– Zdobędę w ten sposób dodatkowy grosz do emerytury – uśmiechnął się ciepło. – A ty pewnie jesteś spłukana po tylu zakupach.

Niestety, była to okrutna prawda, na koncie zostało jej tylko tyle, żeby przetrwać do pierwszej wypłaty. Pieniądzy, które dostawała Kat z alimentów, a były to spore sumy, postanowiła nie ruszać, dopóki mała nie stanie się na tyle dorosła, żeby sama nimi dysponować. Dzięki tej decyzji, czuła się całkowicie uwolniona ze szponów rodziny Roberta. Nie zawdzięczała im nic i chciała, aby tak pozostało.

Wyszła z domu podniecona i nieco zdenerwowana. Do opieki nad Kat nieoceniony Tom polecił dawną znajomą, która od razu zjednała sobie ich sympatię. Była to niezwykle ujmująca kobieta, która notabene wychowała prawie cały młody narybek w miasteczku. Sama miała trójkę dzieci, więc wszystko przekładała na własne doświadczenia.

– Nie będę kłaść jej po południu – odparła zaraz po otrzymaniu konkretnych wskazówek – dziecko odkrywa nowy dom i okolicę. Pani by na jej miejscu zasnęła? Kiedy będzie zmęczona, zauważę, ale proszę mnie nie zmuszać do przestrzegania rygorystycznie określonych godzin.

Vic bez słowa skapitulowała i od razu polubiła rozgarniętą, rumianą Mary, jak zaczęła ją w myślach nazywać.

Jednak najważniejsza okazała się aprobata Kat, która z radością powitała nową opiekunkę.

– Tu jesteś, urwisie – przywitała ją Mary z promiennym uśmiechem. – Pewnie chcesz mnie oprowadzić po domu?

Onieśmielona Kat wyłoniła się zza nóg mamy, uśmiechnęła ufnie i podała Mary rękę.

Kamień spadł Vic z serca. Na ile było to możliwe, organizowała sobie powoli życie, miała dom, pomoc do dziecka i pracę.

Zapowiadał się dobry dzień. Tarcza słoneczna wychylała się znad drzew,

w powietrzu trwał rześki zapach sosen i panował przyjemny chłodek wrześniowego poranka, który zwiastował krystaliczne przedpołudnie.

Mary i Kat, trzymając się za ręce, pomachały do niej z werandy.

Nie mogła się oprzeć głupiej zachciance i zamiast jechać samochodem, poszła pieszo. Na zakręcie spojrzała jeszcze raz na tonący wśród drzew piękny dom i ruszyła przed siebie, nie mogąc nacieszyć się świeżością dnia oraz cudownym uczuciem wolności, które wręcz rozrywało serce.

Dookoła panowała cisza przerywana tylko z dala niosącym się śpiewem ptaków. Długi łuk drogi opadał łagodnie w stronę, skąd rozpościerał się widok na całe miasteczko.

Jezdnia schodziła możliwie łagodnie ze zbocza, co rusz to oddalając się, to przybliżając do dwóch ogromnych, czarnych sosen stojących u wylotu szerokiego parkingu. Tu przebiegała granica lasu, który musiał ustąpić miejsca rozłożonym na płaskim terenie domom. Stojące obok siebie, białe i zadbane tworzyły bardziej promenadę niż ulicę.

Subtelny zapach kwiatów przypominał jej wieczory na Hawajach, ale pospiesznie odrzuciła to skojarzenie.

Uliczka zawiodła ją na szeroki plac. Centralnym punkt placu stanowił rozciągnięty owal, na którym wśród niskich krzewów i starannie utrzymanych kwiatowych klombów górowała wyjątkowo nieudana rzeźba. Urody monumentu nie można się było dopatrzeć w topornie oddanych rysach ludzi, ich zamaszystych gestach i przedziwnych pozach. Jednak sam – jak go szumnie nazywano – park robił bardzo miłe wrażenie.

Drewniane ławeczki rozsiadły się przy wysypanych białym żwirem alejkach, a pięknie utrzymane róże oplatały niewielkie cztery pergole, które stanowiły wejście do wnętrza tej oazy ciszy i spokoju.

Skwer był otoczony przez rynek poważnymi, przysadzistymi budynkami. Na wprost pomnika stał ratusz, którego dobudowywane skrzydła symbolicznie obejmowały plac. Ta budowla, która w każdym innym miejscu raziłaby architektonicznym chaosem, tu wyglądała jakby była na właściwym miejscu, nadając całości specyficzny styl.

Po lewej stronie mieściły się restauracja i pizzeria, obok było kilka sklepów oraz niewielka księgarnia, wzdłuż pętli, którą wyznaczała droga, stała jeszcze ceglana biblioteka i sklep z rękodziełem.

Na prawo od ratusza połączony z nim ścianą znajdował się biały, parterowy budynek, tu mieściła się apteka i gabinet lekarski.

Przed gabinetem na krześle siedział doktor Benjamin Kent ostentacyjnie

wystawiając twarz na być może ostatnie w tym roku promienie letniego słońca.

– Witam szanowną koleżankę po fachu – powiedział na jej widok, osłaniając oczy dłonią. – Coś nie spieszyłaś się pierwszego dnia do pracy. To źle wróży na przyszłość.

– Sądząc po liczbie oczekujących pacjentów, mogłabym spokojnie obejść cały New Hampshire i wyskoczyć na szybkie zakupy do Bostonu – uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Pozory mylą. Cały wczorajszy dzień zastanawiałem się, jak umilić ci pierwszy dzień w pracy, i przygotowałem trochę dokumentów do przejrzenia. Poproś Eve, żeby zaparzyła mi kawę i wyniosła stolik. Jeśli będziesz miała jakieś pytania, wal jak w dym, bo nie zamierzam się stąd ruszyć przez następne kilka godzin. Robię grunt pod kalifornijską opalenizną. Otworzyła drzwi i weszła do sporej poczekalni pomalowanej wesołą, słoneczną farbą. Za lśniącem kontuarem siedziała, zacięcie tłukąc w klawisze komputera, recepcjonistka Eve, którą odziedziczyła wraz z gabinetem. Była to dość młoda, na oko trzydziestoletnia, pielęgniarka, a ponieważ nie dzieliła ich zbyt duża różnica wieku, od razu przypadły sobie do serca.

– Bardzo marudził? – spytała Eve, podbródkiem wskazując zamknięte drzwi.

– Nie specjalnie, chce żebyś mu zrobiła kawy i wyniosła razem ze stolikiem. Okopał się tam i zamierza spędzić popołudnie, łapiąc opalenizną.

Dziewczyna westchnęła z udawanym żalem.

– Rażąca niesprawiedliwość – powiedziała. – Napiszę skargę do związku, bo każe mi usługiwać poza miejscem pracy.

Vic szybko rozgryzła ich wzajemną grę. Oboje się uwielbiali, a drobne złośliwości, naburmuszone miny i kąśliwe uwagi nigdy nie przeradzały się w poważniejsze kłótnie, jakby były czymś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa. Kent nie zwracał się do niej inaczej niż „panno Eve”, lecz gdy zachodziła taka potrzeba, umiał usadzić jednym słowem niecierpliwego lub niegrzecznego pacjenta. Zdarzało się to jednak niezwykle rzadko, ponieważ znacznie częściej musiał przywoływać do porządku tych, którym młoda pielęgniarka wpadła w oko.

Ciemnowłosa, kształtna, o ładnych rysach mimowolnie prowokowała mężczyzn uśmiechem i swobodnym zachowaniem do zamiany formalnej rejestracji niemal we flirt. Doskonale wiedziała, jak grać kobiecymi atutami. Stonowane garsonki lekko uwypuklały apetyczne krągłości, a spódniczki sięgające powyżej kolana idealnie podkreślały zgrabne nogi. Wizerunku dopełniał dyskretny makijaż i skromnie upięte, długie włosy. I choć jej twarz krytykom mogłaby wydawać się nieco zbyt krągła, jednak ładnie zarysowane kości policzkowe oraz wyjątkowo

miły sposób bycia sprawiały, że prawie wszyscy byli pod jej urokiem.

Eve świadoma czaru, jaki roztaczała, z całą premedytacją wykorzystywała go wobec doktora Kenta, pacjentów, a nawet Vic. Robiła to w tak rozbijającym urokliwy sposób, że nawet „surowy” Kent wielokrotnie kapitulował na widok jej spojrzenia spod długich rzęs. Ona z kolei traktowała przełożonego z szacunkiem, któremu daleko było do służalczości, umiała grzecznie, choć stanowczo przedstawić swoje zdanie. Najczęściej sięgała po subtelnie kąśliwe docinki, których była mistrzynią.

Razem stanowili zgrany zespół. Vic bardzo chciała popracować z nimi przez kilka miesięcy, aby wdrożyć się do nowych obowiązków spokojnie i bez pośpiechu. Niestety plany doktora Kenta nie uwzględniały jej powolnej adaptacji. Miał zamiar dokładnie za tydzień leżeć na plaży w Santa Monica i korzystać z życia do woli.

Oczywiście nie żartował, mówiąc o przygotowanym dla niej stosie dokumentów. Starannie ułożone i posegregowane w pudłach oznaczonych napisami „Ważne” i „Mniej Ważne” znajdowały się karty pacjentów wypisane drobnym, starannym pismem. Jak zapowiedział, nie lubił i nie używał komputera do prowadzenia dokumentacji, więc każda sporządzona odręcznie karta liczyła co najmniej kilkadziesiąt stron.

Zabrała się najpierw za pudło opisane „Ważne” i zaczęła przeglądać informacje o przewlekle chorych. Nie miała żadnych uwag do samego przebiegu leczenia, podawanych leków ani sposobu diagnozowania. Doktor Kent był rzetelnym fachowcem o ogromnym doświadczeniu i wiedzy. Dopiero zapadająca powoli ciemność zmusiła ją do wstania z fotela. Zapaliła światło i mimowolnie spojrzała na zegarek. Było już późno. Wyszła do poczekalni, Eve podniosła na nią wzrok.

– Ależ panią urządził – powiedziała z nieukrywanym współczuciem. – Co prawda doktor Kent prosił, żeby pani nie przeszkadzać, ale dochodzi szósta i chciałabym zapytać, czy będę jeszcze potrzebna?

– Możesz iść do domu, ja tu jeszcze chwilę posiedzę i skończę, co zaczęłam, a jeśli jutro będzie tak samo, możesz wyjść znacznie wcześniej, nawet o drugiej.

Asystentka wstała, obciągając krótki, kremowy żakiet, a dusza Vic westchnęła rozdzierająco. Zazdrościła kobietom takim jak Eve urody, swobodnego stylu bycia i odwagi, uważając się za dokładne ich przeciwieństwo. Skazana trudnym dzieciństwem i dorastaniem narzuciła sobie dystans do świata i ludzi, tym bardziej że według własnej oceny nie miała nic ciekawego do powiedzenia ani zaoferowania.

O czym miała opowiadać podczas spotkań towarzyskich? O tym, jak z regularnością szwajcarskiego zegarka jej ojciec upijał się co sobota, urządzając karczemne awantury, a pasem próbował wtedy wychowywać dzieci? A może o tym, że od najmłodszych lat musiała zajmować się siostrą i bratem, bo matka bez reszty poświęciła się oglądaniu programów telewizyjnych ze szczególnym uwzględnieniem tych, które specjalizowały się w sprzedaży wysyłkowej?

Młodość i dzieciństwo zapamiętała jako ponury rozdział swojego życia. Na każdą nową rzecz musiała sobie zarobić, a wypominanie, ile oni wydają i jak nędznie żyją, stanowiło główny temat każdej rodzinnej rozmowy, przeradzającej się w końcu w mniejszą lub większą awanturę. Koleżanki ze studiów plotkowały o chłopakach, pierwszych randkach i skrytych pocałunkach; swobodne, beztroskie miały barwne wspomnienia i radości – dla niej niedostępne. Czowała się wśród nich jak zakompleksiony Kopciuszek. Od czternastego roku życia rozwoziła pizzę, więc zaraz po szkole gnała do pracy, później biegiem do domu, aby nakarmić młodsze rodzeństwo, sprawdzić im lekcje, przygotować do szkoły, zrobić pranie i posprzątać ten cały domowy chlew.

Nie miała czasu na to, żeby umawiać się z chłopcami, a czasem po prostu była tak zmęczona, że nie miała siły, aby choć zauważyć ich zainteresowanie. Byli dla niej odrębnym światem, który w żadnym punkcie nie był styczny z jej bytem. Z całego serca nienawidziła swojego domu, nieustannych awantur i siebie – za to, że tak łatwo dała się zaprząć do kieratu. Żałowała, że nie ma odwagi przeciwstawić się ojcu, potrząsnąć otepiałą matką albo chociaż raz zbuntować się i zostawić brudne naczynia w zlewie. Jeśli nawet źle się czuła, to przerośnięte poczucie odpowiedzialności i tak kazało jej posprzątać, wyrzucić śmieci, ugotować obiad oraz dopilnować niesforne go rodzeństwa. Przecież nie mogła o tym opowiadać, kiedy inni chwalili się swoimi podbojami, wyjazdami i całym

tym szalonym życiem, którego ona nigdy nie zaznała. Dom rodzinny okradł ją z młodości, rzucając na pastwę zbyt wczesnego dojrzewania i skaził przy tym charakter nieustannym zamartwianiem się, braniem odpowiedzialności za siebie i wszystkich dookoła. Czasem czuła się wśród rówieśników jak zmęczona życiem kobieta po przejściach. W końcu sama wychowała dwójkę dzieci, z wyróżnieniem ukończyła szkołę, zdobyła stypendium, załatwiła sobie pracę i spłaciła kredyt studencki. Krótkie, burzliwe małżeństwo tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że szczęście dziwnym zbiegiem okoliczności omija ją szerokim łukiem. Na wszystko, co dobre, musiała ciężko zapracować. Niepewna siebie, zakompleksiona i nieufna wobec świata robiła, co mogła, aby zniknąć z horyzontu, nie odpowiadała na zaczepki, nie ripostowała dwuznacznych żarcików, przekonana, że ich

nadawcy pomylili obiekty lub są zwyczajnie uprzejmi. Taki subtelny akt litości dla brzydkiego kaczątka. Z reguły nie wiedziała, jak ma wybrnąć z takich sytuacji, jej policzki pokrywał wtedy lekki rumieniec, który traktowała jako kolejny powód do wstydu.

– Czerwienię się jak pensjonarka – mówiła, za wszelką cenę próbując pozbyć się tej paskudnej przywary.

Spotykani mężczyźni mówili o niej z podziwem, ale i lekko pogardliwie: „piękny posąg”, po czym biegle podrywać inne kobiety. Być może odwiecznym instynktem łowców wyczuwali konsekwencję przysięgi, którą złożyła sobie tuż po rozstaniu z Robertem.

– Żadnych miłości, romansów, przygód ani stałych związków – powiedziała z całą mocą i stanowczością, na jaką ją było stać – Nigdy więcej nie pozwolę, żeby ktoś mnie tak upodlił.

Zdecydowana rozpocząć samotne życie, całkowicie skupiła się na wychowaniu dziecka i na pracy.

Łatwo stłumiła potrzebę bliskości, bo cały męski świat podzieliła na Robertów i potencjalnych Robertów.

Patrząc teraz na Eve, zazdrościła jej nie urody i powodzenia, lecz nieskażonej złymi doświadczeniami naiwności. Przed nią otwierała się przyszłość, świat wypełniony nadziejami i szansami. Była niczym niezapisana karta, dla której dzień jutrzejszy mógł okazać się łaskawy i przyprowadzić księcia z bajki. Przy niej Vic czuła się zgorzkniała i obdarta ze wszelkich złudzeń.

Te niewesołe myśli przerwał dźwięk telefonu. Dzwoniła rumiana Mary z pytaniem, kiedy można spodziewać się jej powrotu do domu, bo nie wie, czy już usypiać zmęczoną po całym dniu zabaw dziewczynkę.

Zerwała się z fotela jak oparzona, w pierwszym odruchu chciała zabrać do domu pozostałą dokumentację, ale w porę przypomniała sobie, że jak na złość przyszła na piechotę. Klnąc na własną głupotę i bezmyślność, szybko zamknęła gabinet i minęła opustoszałe biurko Eve.

Było bardzo późno, a ją czekał długi spacer.

Szła energicznie, mijając opustoszały park i wyludnione miasteczko. Teraz, gdy noc zapadła nad ulicami i skryła w mroku las, dolina zmieniła się nie do poznania.

Vic wychowała się w mieście, więc cisza wieczoru wśród gasnących lamp i nieznanych odgłosów przenoszonych echem ze wzgórz sprawiła, że poczuła lodowaty dotyk strachu.

Byle dotrzeć do parkingu, przekonywała się bez efektu.

Ogromne, czarne sosny wcześniej robiły na niej wrażenie strażników pilnujących bezpieczeństwa miasta, teraz stanowiły bramę, za którą rozpościerała się budząca grozę ciemność. Żadna lampa nie oświetlała drogi, żaden znak fluorescencyjnym blaskiem nie rozpraszał budzących trwogę głębin mroku. Dochodzące stamtąd dźwięki jeżyły włosy na karku. Instynktownie przyspieszyła, nie bacząc na stromiznę wiodącej pod górę drogi.

W połowie wzgórza musiała przystanąć, bo nie mogła złapać tchu. Odruchowo podniosła głowę, spojrzała w górę i zamarła z otwartymi ustami wpatrzona w ogromny, ciemny kształt szybujący ponad lasem. W pierwszej chwili chciała zawrócić i pobiec z powrotem do miasteczka, ale przypomniała sobie o telefonie Mary i o tym, że Kat czeka na nią w swojej niebieskiej piżamce.

– Wariatka – powiedziała na głos, próbując w ten sposób odegnąć lęk.

– Przestraszyłaś się nietoperza. – Nieco uspokojona ruszyła przed siebie, ale za nic nie spojrzała ponownie na niebo, bo to, co zobaczyła, na pewno nie było nietoperzem i wiedziała, że drugi raz nie dałaby się tak łatwo oszukać.

Sierpień dobiegał końca, natomiast turystów jak na złość przybywało. Zdarzały się takie dni, gdy w poczekalni panowała absolutna cisza i spokój, oraz takie, kiedy miała istne urwanie głowy.

Według naprędce ułożonej przez Vic teorii wszystkie wypadki szły seriami, jakby pacjenci zmówili się, że w tym samym czasie złapią przeziębienie, ulegną przeróżnym wypadkom, a przy okazji wpadną po poradę i na plotki. Najgorsze z tego były nagłe wizyty domowe, ponieważ nigdy nie było do końca wiadomo, czego należy się spodziewać.

Domki do wynajęcia i letnie posiadłości rozłożyły się za centrum tam, gdzie skręcająca droga miała odnogę wiodącą nad brzeg jeziora. Pośród drzew stały przyczepy kempingowe i namioty, a nieco dalej zaczynały się tereny prywatne.

Samo jezioro nie było duże. Wąskie i długie, kształtem przypominało rozciągniętą skarpetkę. Z jednej strony zamykało go potężne wzgórze bez plaż, obrośnięte gęsto drzewami, które moczyły swoje korzenie w wodzie. Dziki, nieskażony ręką człowieka krajobraz na każdym przybyszu robił ogromne wrażenie.

Przy dobrej pogodzie wzgórze rzucało na jezioro przyjazny cień i kusiło gęstym lasem rozpiętym na jego stromym stoku.

Podczas deszczowych, ponurych dni wzgórze zdawało się rosnąć i wyniośle władać doliną, zamykając ją dla świata i wprowadzając do niej mrok. Las stawał się czarny i nieprzystępny, a surowe zbocza potęgowały wrażenie klaustrofobicznej obręczy zaciskającej się na jeziorze i miasteczku.

Rzeka, zasilająca jezioro, była małym górskim strumykiem spływającym urokliwymi kaskadami z niewielkiego wzniesienia. To właśnie od nich wzięła się nazwa miasteczka – „Lake Falls”. Za wodospadami odnoga szosy łączyła się już z drogą międzystanową, która zataczała rozległy łuk i zabierała ze sobą koniec ulicy biegnącej koło jej domu. Doskonały dojazd i wspaniałe tereny wędkarskie co roku ściągały tu setki turystów. Jedynie dla nich i przez nich funkcjonowało jeszcze wyludniające się miasteczko. Jednak obecność gości przynosiła nie tylko korzyści.

Od początku sezonu, czyli końca maja, właściwie do połowy września lub października – jeśli rok był ciepły i słoneczny – przewalały się nieprzebrane tłumy, których jedyną rozrywką, jak twierdził doktor Kent, było upijanie się i sprawianie wszystkim kłopotu.

Nie był odosobniony w tym poglądzie.

Stali rezydenci, którzy wykupili działki i zbudowali tu domy, nie mogli ukryć pogardy dla niedzielnych wycieczkowiczów. Przybysze z dziką namiętnością oddawali się wędkowaniu za dnia, wieczorem zaś – rozróbom. Zdarzało się, że wzywano ją do nagłego przypadku. Nie dość, że dotarcie na miejsce było nie lada wyczynem, zważywszy, gdzie i jak rozkładali swoje przyczepy, to jeszcze często pijani imprezowicze dzwonili po lekarza, nie bardzo pamiętając dlaczego.

Pewnego razu okazało się, że wezwana do chorego miała po drodze kupić butelkę wódki i coś na ząb.

Po tym zajściu wściekła się na dobre i napisała kartkę, że każde nieuzasadnione wezwanie lekarza będzie dodatkowo płatne, jednak nigdy jej nie wywiesiła, ponieważ nad jezioro przybywali także ludzie, którzy przestraszeni tą informacją, nie wezwaliby pomocy nawet w razie konieczności.

A przypadków bardziej lub mniej skomplikowanych było bez liku. Od pogryzienia przez komary, otwartych złamań po wstrząsy, udary mózgu i najgorsze – paraliże powypadkowe.

Dookoła jeziora kilka ogromnych tablic przestrzegało, że skakanie do wody jest niebezpieczne. Ale ludzkiej głupoty i brawury nie da się pokonać nawet za pomocą największych billboardów, toteż co najmniej dwa przypadki w sezonie miała niemal beznadziejne.

Młodzi ludzie odjeżdżali na sygnale całkowicie sparaliżowani, a ona myślała ze zgrozą o ich przyszłości, zdeterminowanej przez ten ułamek sekundy, gdy myśleli, że doskonale się bawią.

Praca w gabinecie wbrew zapowiedziom doktora Kenta dostarczała jej mnóstwa wyzwania i w duchu dziękowała sobie za przeżone odbycie rocznego

stażu na oddziale ratunkowym.

Miejscowi nie chorowali często, co przypisać należało ich zdrowemu stylowi życia, bo od dawien dawna wszyscy poruszali się na rowerach. Nikogo nie dziwił widok wiekowych mieszkańców jeżdżących po zakupy z koszykami przyczepionymi do kierownicy. Do tego dochodziła zdrowa dieta złożona głównie ze świeżych ryb oraz hodowanych w przydomowych ogródkach warzyw.

Kilkoro starszych ludzi chorowało na reumatyzm, kilkoro miało inne związane z wiekiem dolegliwości, lecz najczęściej pomiędzy październikiem a kwietniem poczekalnia ziała pustką.

W takie dni dziękowała w duchu poprzednikowi, że wynegocjował niezależną od ilości pacjentów stałą pensję płaconą z kasy rady miejskiej, bo o ile w lecie spokojnie mogłaby mówić, iż jest to złoty interes, o tyle zimą nierzadko zdarzało jej się urywać z pracy. Wieszala wtedy na drzwiach kartkę z numerem telefonu, chociaż nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś zadzwonił.

Pierwsza zima upłynęła jej w podłym nastroju, Kat była marudna, a ziąb za oknami skuteczniej niż zakazy utrzymywał ją w domu, gdzie nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Vic kolejny raz w duchu przeklinała Jane.

Mała rozbestwiona przez dziadków i przyzwyczajona do nieustannych zajęć teraz musiała zadowolić się krótkimi spacerami z Mary i – jak mówiła, zabawnie przeciągając głoski – znosić nuuudę. Vic nie była w stanie dostarczać jej ciągle nowych rozrywek, bo jej wyobraźnia w tej kwestii już od dawna odmawiała posłuszeństwa.

Krótkie dni, dojmujące chłody i absolutny brak urozmaicenia nawet dla niej okazały się ciężką próbą, dlatego obie powitały z radością nadejście wiosny, a wraz z nią kolejną falę najeźdźców, którzy podbijali i kolonizowali małą miejscinę.

Od owego wieczoru, gdy zobaczyła na niebie ogromny cień, zaczęła mieć obsesję, że ktoś ją obserwuje. Zasłaniała szczelnie żaluzje, zwracała uwagę na zbyt ciekawskich przybyszy i nigdy sama nie wychodziła nocą. Kat poszła do małego przedszkola prywatnego, więc często razem wracały ścieżką wśród drzew prowadzącą na skróty do domu i Vic zawsze nosiła ze sobą latarkę oraz gaz paralizujący. Pewnego dnia, podczas pobytu w Bostonie, kupiła broń. Nie był to spontaniczny zakup, lecz wynik dogłębnie przemyślanej decyzji.

W czasach studenckich jedyną jej rozrywką były zajęcia na strzelnicy, dzięki nim wyrobiła sobie niezłe oko i pewną rękę.

Wybrała model staroświecki, ale bardzo skuteczny, żadnych nowinek, samopowtarzalnych pistoletów, tylko klasyczny colt z drewnianą rączką

i sześciostrzałowym magazynkiem. Nie miała zamiaru go używać, choć jej poczucie bezpieczeństwa dziwnie wzrastało, gdy trzymała w dłoniach solidną i gładką w dotyku kolbę.

Schowała broń do sejfu, ale kiedy miała iść przez las, zabierała ją ze sobą, ponieważ obawiała się dzikich zwierząt, od których roiło się w okolicy. W jej wspomnieniach cień nad drogą malał, aż zamienił się w sporego nietoperza, przerośniętego *Antrozousa pallidusa*, których było w okolicy sporo; przynajmniej tak twierdził chiropterolog amator.

Pierwsza wiosna i lato w Lake Falls były wspaniałe, pogoda dopisywała, a ludzi przed wakacjami przybywało z tygodnia na tydzień.

O planach budowy tamy po raz pierwszy usłyszała z ust pacjenta. Wszedł do jej gabinetu mocno już posunięty w latach mężczyzna. Miał problem z kolanem, które przeciążył podczas wielogodzinnego wędkowania „na podryw”. Był gadatliwy i sympatyczny, podczas badania opowiedział jej wszystko o technikach łapania ryb oraz swoich przygodach.

– Szkoda tylko – dodał – że te wspaniałe czasy w Lake Falls się kończą. Pomyślała, że mówi cały czas o łowisku.

– A co? Ryby uciekły? – zażartowała dla podtrzymania miłej konwersacji.

– Gdzieżby, jest ich więcej niż kiedykolwiek, ale kiedy zrobią tu zaporę, skończą się złote lata wędkowania. Bo wie pani...

Myślała, że się przesłyszała i zaśmiała się nieco sztucznie.

– To jakiś dowcip z tą zaporą?

– Jaki tam dowcip, pani kochana, toż wszyscy wiedzą. Od ponad sześciu lat przygotowują się do zbudowania tu hydroelektrowni. Robili pomiary przepływu wód, geologiczne i licho wie jeszcze jakie. Od pewnego czasu, bodajże od półtora roku plany są już gotowe. Pani o tym nie wiedziała?

Skinęła tylko głową, bo nagle załała ją fala wściekłości. Gdy wędkarz wyszedł, kazała Eve zatrzymać pacjentów i zadzwoniła do Toma.

– Czy to prawda, że na miejscu Lake Falls ma powstać zapora? – zapytała, cedząc słowa przez zęby.

Po drugiej stronie zapadła cisza i nagle zupełnie zmienionym tonem, tak różnym od typowego dla siebie śliskiego ugrzecznienia, zapytał:

– Skąd wiesz?

– Nieważne, skąd wiem, pytam, czy to prawda?

– Prawda czy nieprawda. Od wielu lat o tym mówią, a nic się w tym kierunku nie dzieje, pewnie doczekamy starości i hydroelektrownia powstanie dopiero za życia naszych wnuków.

– Z tego, co wiem, plany są gotowe i wcale nie wygląda na to, że dotyczą odległej przyszłości. Znowu chwila ciszy.

– Nie przejmuj się tym tak bardzo – powiedział chłodno z wyraźnym lekceważeniem – obojętnie, co się stanie, i tak rząd wykupi twój dom. Zapewniam cię, nie stracisz na tym.

Trzasnęła słuchawką.

Nie chodziło o pieniądze, bo zysk nie figurował na liście jej życiowych priorytetów. Pokochała to miejsce, swój wspianały dom oraz niezwykłą okolicę, nawiązała – czasem z oporami, czasem zupełnie spontanicznie – kontakty z ludźmi, polubiła ich i dobrze się tu poczuła.

Tama miała wszystko zmienić, sprawić, że będzie musiała zaczynać od początku, w innym miejscu, wśród innych ludzi. Nie miała charakteru nomady, przywiązywała się do miejsc i osób, a każda zmiana była dla niej poważnym wyzwaniem. Gdy tu przyjechała, pomyślała, że warto było szukać, bo znalazła dla siebie wymarzony raj. Bezpieczny, spokojny, dający w prezencie zwyczajne codzienne szczęście. W obliczu nowych faktów wszystkie te plany nabrały charakteru tymczasowości.

Zamiast solidnego poczucia stabilizacji, dostała niepewność i brak perspektyw.

Ręce jej opadły. Gdyby Tom ją uprzedził, prawdopodobnie nie zdecydowałaby się na zapuszczenie tu korzeni.

Eve była bardzo zdziwiona, że Vic o niczym nie wiedziała.

– Słuchy o tamie krążą od kilku lat – powiedziała. – Znałam nawet pewnego całkiem miłego inżyniera, który nadzorował prace badawcze, od niego wiem, że plany są bardzo realne.

– Co tu dokładnie chcą zrobić? – zapytała z rezygnacją w głosie.

– Zamkną dolinę i zbudują zaporę. Na miejscu miasteczka powstanie ogromne jezioro, które będzie zasilać hydroelektrownię. Z tego, co mówił, wynikało, że ze względu na kształt doliny jest to niemal idealna lokalizacja. – A co z mieszkańcami?

Nie dawała jej spokoju wizja doliny zatopionej przez gigantyczne jezioro.

– Gdy zapadnie ostateczna decyzja, rząd ma wykupić nasze działki i zaoferować nam inne, równie malownicze, miejsce do przesiedlenia. Niektórzy z mieszkańców są całkiem z tego zadowoleni, inni odgrają się, iż nigdy nie opuszczą swoich domów, ale gdy na poważnie wkroczą tu maszyny, obawiam się, że nikt z nas nie będzie miał wyjścia. Ty patrzysz na to inaczej, z punktu widzenia przybysza, dla ciebie zmiana będzie tylko kolejną przeprowadzką, ja i wielu z tych, którzy się tu wychowali, nie wyobrażamy sobie innego miejsca do życia.

Znamy tu każdy kamień, każdą ścieżkę, tu są nasze korzenie. Tego nie da się odbudować nigdzie indziej. Dlatego tama jest tematem, którego się nie porusza, nie omawia przy kolacji. Nie usłyszysz z ust miejscowych słów takich jak „zapora”, czy „hydroelektrownia”. Wszyscy rozumieją, że to jest konieczność, ale większość pyta, dlaczego właśnie nas to spotkało.

Nie wypadało jej zaprotestować, co prawda zdążyła już pokochać dolinę, lecz nie wiązała ją wspólna przeszłość tak jak rdzennych mieszkańców.

Rozczarowała się co do Toma i cały czas była na niego zła. Winiła go, że nie uprzedził jej o planach zagospodarowania terenu. Od tej pory, kiedy przypadkiem go spotykała, natychmiast odwracała wzrok. Była pewna, że na sprzedaży tego domu zrobił interes życia.

Gdy nadeszła jesień, a z nią pierwsze chłody, opustoszały także pola kempingowe. Mając nieco wolnego czasu, postanowiła zainwestować w siebie. Dysponowała niewielką kwotą zaoszczędzonych pieniędzy i odpowiednią porcją determinacji. Kupiła narty, ale nie zwykłe zjazdówki, lecz najprawdziwszy sprzęt do biegania. Postanowiła zimą, zamiast umierać z nudów zamknięta w domu, przypomnieć sobie jazdę na łyżwach i nauczyć się narciarstwa biegowego. Po tych zakupach nie mogła się już doczekać pierwszego śniegu, aby wypróbować nowy sprzęt. Namówiła także córkę do spróbowania zabawy z raketami śnieżnymi.

Od grudnia do połowy marca, w przeciwieństwie do poprzedniej zimy, kiedy marzyła jedynie o wiośnie, bawiły się wspólnie w traperów, budowały ogromne igloo, razem próbowały okiełznać łyżwy; przy czym okazało się, że w konkursie na brak koordynacji i najdziwniejsze ewolucje obie miały gwarantowane pierwsze miejsce.

Vic przekonała się także, że jazda na nartach nie jest sportem ani łatwym, ani bezpiecznym. Przez dwa tygodnie z rozpaczliwym skutkiem i wywichniętym nadgarstkiem uczyła się wykonywać podstawowe obowiązki domowe, ale nie porzuciła myśli o bieganiu i po kilku tygodniach okazało się, że całkiem nieźle sobie radzi.

Wokół niej po raz pierwszy w życiu zaroilo się od ludzi, z niektórymi udało jej się nawet nawiązać całkiem bliskie relacje. Było to o tyle zaskakujące, że do tej pory uważała się za kompletnego samotnika, a krytycznie zaniżona samoocena skłaniała do przyjęcia wniosku, że nie ma jakichkolwiek szans, by zdobyć przyjaciół. W tym mniemaniu utwierdzała Vic przeszłość, która odcisnęła się piętnem na wszystkich jej dotychczasowych kontaktach.

I właśnie wtedy, gdy powoli odzyskiwała równowagę, odnajdywała sens

i radość życia, do jej świata wtargnął mrok.

ROZDZIAŁ III

Razem z nadejściem wiosny sprzęt wylądował w garażu, gdzie – miała nadzieję – poczeka do przyszłego sezonu. Kat powoli zapominała, jak wyglądało jej poprzednie życie, już nie skarżyła się na nudę i sama nauczyła się szukać rozrywki.

W ich świecie zagościł określony porządek i przynosząca wewnętrzny spokój rutyna.

Dziewczynka chodziła do przedszkola odprowadzana przez rumianą Mary, która odbierała ją stamtąd koło drugiej. Czasem się zdarzało, że Vic miała mniej pacjentów, wtedy sama zabierała małą do domu na obiad. Później obie zajmowały się swoimi sprawami. Kat malowała, wycinała i kleiła, zacięcie próbując pierwszych ćwiczeń z czytania i pisania, a Vic mogła chwilę odpocząć czy nadrobić zaległości w lekturze.

Popołudniami chodziły razem na długie spacerunki, robiły mnóstwo zdjęć, czasem pływały i zajmowały się małym ogródkiem koło domu. Dzięki aktywności ona i Kat zupełnie straciły piętno miasta, odzyskały siły fizyczne i energię, a cera obu nabrała zdrowego koloru.

Zadomowiły się na dobre, choć Vic nie miała jeszcze odwagi powiedzieć córce, że pobyt tu może okazać się krótszy, niż planowały.

Od czasu do czasu słyszała plotki o przybyciu do miasteczka kolejnych inżynierów lub geologów, lecz były to bardziej przypuszczenia niż wiarygodne informacje. Gdy nadeszła jesień i Kat poszła do pierwszej klasy, wieść przestała być plotką. Stała się faktem.

Vic wzięła udział w posiedzeniu rady otwartym dla wszystkich mieszkańców.

Poważny mężczyzna w ponurym garniturze przedstawił ostateczne plany zagospodarowania doliny. Mówił dużo i używał wielu wzniosłych komunałów, „patriotyczny obowiązek”, „bezpieczeństwo energetyczne”, które miały ułatwić ludziom opuszczenie na zawsze Lake Falls. Brutalna prawda wyglądała znacznie mniej efektownie. Przez najbliższe dwa lata dolina miała zostać rzucona na pożarcie ogromnej hydroelektrowni. Zalew miał wchłonąć jezioro, a miasteczko na zawsze zatonać w głębinach.

W kilka dni po posiedzeniu przybyli urzędnicy. Oferowali nowe domy i spore odszkodowania za pozostawienie za sobą bagażu wspomnień i sentymentów.

Ponieważ budowa miała charakter priorytetowy, przygotowania ruszyły pełną parą i każdy musiał w określonym terminie zorganizować sobie przeprowadzkę.

Biurokratyczna maszyna omijała domy na wzgórzach, skupiając się na razie na leżących w dole posiadłościach, działkach i budynkach.

Zamiast październikowego zastoju jej gabinet znowu pękał w szwach. Tym razem masowo zaczęli odwiedzać ją stali mieszkańcy. Wraz ze schorzeniami – szczególnie starsi pacjenci – zaczęli wносить swoje problemy, bo na wielu z nich wyraźne piętno odcisnęła pogłębiająca się depresja. Uskarżali się na bezsenność, problemy z sercem i ataki duszności. Z tymi dolegliwościami pojawiły się także znacznie poważniejsze problemy.

Pani Collins zasłała w domu, jej stare serce nie wytrzymało i pewnego listopadowego dnia pożegnano staruszkę – chodzącą kronikę miasta. Doktor Kent, który regularnie raz w miesiącu dzwonił, ciekaw plotek i losów swoich pacjentów, po usłyszeniu tej przykłej wiadomości, przez chwilę milczał, po czym oznajmił:

– Wraz z nią odszedł kawał historii. Szkoda, że nikt nie spisał jej wspomnień. Pani Collins miała dziewięćdziesiąt dwa lat i jej śmierć była w jakiś sposób przewidywalna, gorzej, że zaczęli chorować także ludzie młodzi. Nawet przychodzili do niej czterdziestolatkowie, co wcześniej było zjawiskiem niemal nieznanym, skarżąc się na problemy z sercem. Kilku zmuszona była wysłać do szpitala, bo ich stan wydawał się poważny. Gdy sugerowała, że dolegliwości są powiązane ze stresem, zbywali ją wzruszeniem ramion, do końca grając bohaterów.

– Jaki stres, pani doktor? – mówili. – Rząd bardzo przyzwoicie wycenił nam grunt, znaleźliśmy wspaniałe osiedle, w którym zamieszkamy i które nie będzie odcięte od cywilizacji jak ta dziura. Któż by się martwił? W końcu nasze dzieci będą mogły chodzić do centrów handlowych, my zyskamy możliwości, o jakich tu nikomu się nie śniło. Zmiana przyniesie same korzyści – wygłaszali, ale była to tylko żalosna próba samooszukiwania.

Każdy z nich miał w oczach identyczny smutek – tak wyglądali ludzie z dnia na dzień tracący wszystko.

Odbierano im świat, w którym dorastali, a w zamian dawano osiedla sklonowanych domków i hałaśliwe centra handlowe. Taka transakcja była ze wszech miar niekorzystna.

Im więcej ludzi odwiedzały urzędnicy, tym więcej pacjentów miała w przychodni. Nagle rozmnożyły się przeziębienia i anginy i ni z tego, ni z owego kilkoro dzieci okazało się ciężkimi alergikami.

Cała populacja z regularnością szwajcarskiego zegarka zaczęła zapadać na zdrowiu, nawet niemowlęta przywożono do niej z objawami chorób, których wcześniej tu nie odnotowała.

Zaczęła rutynowo do każdego zestawu leków zapisywać środki uspokajające. Zaprzyjaźniona farmaceutka zwróciła jej na to uwagę.

– Odkąd tu pracuję – powiedziała – nigdy nie wydałam nawet połowy zamawianych leków. Za czasów doktora Kenta zdarzało mi się je zwracać, bo upływał termin ważności, a teraz, co kilka dni muszę wysyłać zamówienie do hurtowni.

Zabrzmiałoby to jak oskarżenie, gdyby nie jej następne słowa poprzedzone głębokim westchnieniem.

– Zresztą pani wie najlepiej. Sama zjadam codziennie swój zapasik. Takich przyszło nam dożyć czasów.

Zrozumiała dokładnie sens jej wypowiedzi w dniu, kiedy przyniesiono jej pod drzwi gruby folder z projektami domów, aby mogła sobie coś wybrać. Dołączona do niego kartka, utrzymana w uprzejmie stanowczym tonie informowała: „Drogi kliencie, przedstawiamy ci nasze oferty, które prezentują różne opcje wyboru zarówno miejsca, jak i kształtu przyszłego domu. Wierzymy, że na pewno któraś z nich przemówi Ci do serca”.

Przekartkowała broszurę z ciekawości i poszła połknąć tabletkę uspokajającą.

Dopiero teraz do niej dotarło, jak bardzo Lake Falls stało się dla niej wymarzonym miejscem. W pewnym stopniu to ono wybrało ją.

Folder przedstawiał kilkanaście osiedli rozsianych w różnych miejscach stanu. Jednakowo śliczne domki kusiły wypielęgnowanymi trawnikami, pastelowe ściany zachęcały, aby skorzystać z dobrodziejstw strzeżonych, podmiejskich enklaw. Zachwalano w nim doskonały dojazd, kuszono – za niewielką dopłatą – możliwością wybudowania basenu, oferowano członkostwo w country klubach. Dodatek zawierał jeszcze oferty z górnej półki, neoklasycystyczne pałacyki i położone za miastem rezydencje.

Wszystko było piękne i aż pachniało nowością. Nie znalazła tam jednak starego domu z drewnianych bali, widoku, który co rano mogłaby podziwiać z okna sypialni, lekko zarośniętego podjazdu i lasu, który niemal pukał do drzwi. Nie znalazła tam zapachu żywicy i ściółki, chłodnej bryzy znad jeziora i chwastów okupujących ścieżkę za domem. Tylko na taką zamianę zgodziłaby się bez wahania.

W ostatnim akcie desperacji wpadła nawet na szalony pomysł zabrania domu ze sobą, jednak koszt tej operacji okazał się astronomiczny. Specjalista

od trudnych przeprowadzek obdarł ją ze złudzeń.

– Psze pani – powiedział, gdy zadzwoniła do niego z prośbą o informację. – Może pani zlecić jego rozbiórkę i przewiezienie we fragmentach, ale uprzedzam, że w tym wypadku koszt byłby wyższy niż budowa nowego domu, nawet z bali, jeśli pani sobie życzy.

Za jego namową obejrzała w Internecie oferty drewnianych domów, jednak żaden jej nie przypadł do gustu. Były bardzo piękne oraz bardzo drogie, lecz nie pasował jej płowózłoty kolor ścian, funkcjonalnie zaprojektowane wnętrza i nachalny blask nowości. Żaden z nich nie umywał się do jej skrzypiącego, pełnego dziwnych odgłosów, pachnącego nobliwą starością, pociemniałego domu. Cokolwiek się działo w przychodni, gdy wracała, siadała na wprost kominka i patrzyła w buzujący wesoło ogień, łapała wtedy drugi oddech i wiedziała, że nic złego jej nie grozi, bo jest u siebie. Nawet szaleńczy jesienny wiatr, który wzmagał muzykę stawiającej mu opór drewnianej konstrukcji, sprawiał miłe wrażenie. Dom roztaczał nad mieszkańcami opiekę solidnymi ścianami, szerokimi oknami oraz masywną, przysadzistą sylwetką.

Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i za żadne skarby nie chciała porzucić. Nikt obcy nie miał do niego wstępu, jak ognia strzegła swojej prywatności, odosobnienia. Była w nim szczęśliwa, z daleka od gwaru miasteczka, panoszących się hord turystów i całego zamieszania, jakie ze sobą przynosili.

Droga przez wzgórze była rzadko uczęszczana, jeśli zapuszczał się tu jakiś samochód, zapewne należał do któregoś z jej sąsiadów, mieszkających na szczycie lub w okolicznych lasach.

Znali się wszyscy z widzenia jak również okazjonalnych spotkań w przychodni, jednak nikt z nich nie zamierzał rezygnować ze swojej prywatności. Mówiono o nich z lekkim przekąsem „ci ze wzgórza”, jakby miejsce determinowało zachowanie, zmieniając normalnych ludzi w samotników i dziwaków. Ale taki właśnie styl życia bardzo jej odpowiadał, mogła w ciszy i spokoju leczyć rany i powoli odzyskiwać równowagę. Zamiast tego oferowano jej szeregowy domek na podmiejskim osiedlu. Jak w tej sytuacji można było nie brać tabletek?

Z miasteczka powoli zaczęli znikać ludzie. Nie zaskoczyła jej wiadomość, że jednym z pierwszych dezertarów jest Tom.

Wpadł do przychodni wspólnie z „szanowną małżonką”, którą zobaczyła pierwszy raz na oczy. Niska, korpulentna kobieta o miłej, szczerzej twarzy od razu przeszła do rzeczy.

– Mówiłam mu wiele razy, Tom, bądź uczciwym człowiekiem, ale moje słowa

odbijają się od niego jak grochem o ścianę – westchnęła ciężko. – Mężczyźni. Kilka dni temu dopiero się przyznał, że nie powiedział pani o budowie. W jego i swoim imieniu chciałabym serdecznie przeprosić. Od Mary wiem, jaka z pani wspaniała kobieta, nie zasłużyła sobie pani, żeby spotkać takiego szubrawca jak mój mąż. Co było, minęło – zawiesiła dramatycznie głos. – Wyprowadzamy się na dniach. Wyszukałam całkiem przytulną okolicę, niewielkie miasteczko niedaleko Chayenne. Jeśli można, w ramach rekompensaty za bezmyślność i głupotę Toma, sama zajmę się znalezieniem dla pani odpowiedniego domu. Obiecuję, że będę z panią absolutnie szczerą. Chciałabym, żeby w okolicy pojawiło się jak najwięcej byłych mieszkańców Lake Falls, moglibyśmy stworzyć razem nasz drugi dom. Przez cztery lata byłam w zarządzie stowarzyszenia Tamie Stop, ale niczego nie zwojowaliśmy. Jeśli razem zamieszkamy, może uda nam się przenieść choć odrobinę atmosfery stąd – zatoczyła ręką koło i otarła łzę.

– Szkoda, że się wcześniej nie poznałyśmy, w końcu to ja, a nie mój mąż, urządzałam dla pani dom – złapała Vic za rękę – i zgadzałam się z każdą pani sugestią. Dlatego właśnie sądzę, że zostałybyśmy dobrymi przyjaciółkami.

Vic nie wiedziała co odpowiedzieć, żal do Toma pozostał, lecz czy miał jakieś znaczenie z perspektywy rozstania?

Wyciągnęła dłoń na pojednanie i pożegnanie. Wiedziała, że nigdy nie skorzysta z tej propozycji, bo jeśli już będzie musiała rozstać się z Lake Falls, w żadnym zastępczym rozwiązaniu czy osiedlu przesiedleńców nie odnajdzie utraconej na zawsze atmosfery. Po ich wyjściu posmutniała i z grobową miną wyszła do Eve.

– Kiedy zamierzasz wyjechać?

– W weekend – odpowiedziała Eve, zmierzwiwszy ją zaskoczonym wzrokiem. – Mówiłam ci kilka dni temu.

Vic ciężko usiadła na krześle dla pacjentów i poczuła zbierające się pod powiekami łzy. Zanim jednak ostatecznie popłynęły, Eve znalazła się przy niej z paczką chusteczek.

– O co chodzi? – spytała zaniepokojona pielęgniarzka. – Powiedziałam coś niewłaściwego?

Vic pociągnęła nosem, wytarła oczy i odparła z pretensją w głosie.

– Mam być szczęśliwa z tego powodu, że wszyscy się wyprowadzają? Eve roześmiała się szczerze.

– Wyprowadzę się stąd dopiero, kiedy kierowca buldożera wpadnie do mnie przez ścianę na śniadanie – przybrała rozmarzoną minę i zamrugowała rzęsami. – Budowlańcy są strasznie sexy, nie uważasz? W ten weekend urywam się

do Bostonu, bo mam randkę z dentystą. Zapomniałaś, jak rozmawialiśmy o sposobach podrywania stomatologów na fleczer?

Serce Vic wypełniła bezbrzeżna ulga, chętnie uściskałaby Eve, gdyby nie obawiała się jej reakcji.

– Obiecuj mi, że jeśli już zaprosisz tego budowlańca do siebie, będę pierwszą, która się dowie o twoim wyjeździe.

– Szefowo! – Eve puściła do niej oczko. – Tam, gdzie ty, tam ja. U kogo będzie mi tak dobrze? Kto mnie będzie puszczał do fryzjera przed lunchem? Jest pani na mnie skazana. Na dobre i złe.

– Jak stare małżeństwo – dodała Vic z miną świadczącą o mocnym zde gustowaniu.

– Jak Tom i jego szanowna małżonka – odcięła się zaraz Eve.

Tego popołudnia łyzy szybko wyschły, lecz kilka tygodni później ich obfite źródło zdawało się niewyczerpane.

Ryczały obie z Kat, przytulone na kanapie. Mary – anioł nie opiekunka odchodziła w ślad za pozostałymi. Opuszczała na zawsze Lake Falls i zamierzała osiąść koło swojej przyjaciółki, która wyszukała jej skromny, śliczny domek. Dla Kat był to prawdziwy cios. Rumiana Mary stała się dla niej przyszywaną babcią, razem piekły ciasteczka, robiły konfitury i mała przywiązała się do niej bezgranicznie. Zresztą ze wzajemnością, o czym świadczyły czerwone oczy i nos najwspanialszej z opiekunek.

– Nie martw się maleńka – drżący głos Mary zdradzał, że zapewnienie to, nie jest do końca szczere. – Twoja mama pewnie niedługo także kupi dom koło nas i znów będziemy mogły być razem. Musisz zrozumieć, że czasem ludzie rozstają się, aby ponownie spotkać w innym miejscu i innym czasie. Wtedy dopiero jest największa radość.

Po jej wizycie Kat rozpętała piekło oraz zażądała wyjaśnień.

– Tylko mi nie mów – powiedziała bardzo dorosłym, stanowczym tonem – że jestem za mała i nie rozumiem. Z tatą ci się upiekło, bo wiem od Julii, że rodzice lubią się rozwodzić, ale Mary nie jest twoim mężem.

Dlaczego odchodzi?

Musiała powiedzieć prawdę, wyjaśnić, co oznaczają dokonujące się wokół zmiany.

– Mamo – powiedziała jej na końcu Kat. – Chciałabym bardzo być z Mary i tak samo bardzo zostać w naszym domu. Co ja mam zrobić?

– Kochanie – odpowiedziała ze ściśniętym gardłem, cierpiąc, że musi zadać córce tyle bólu. – Obie te rzeczy są niemożliwe.

Po tych słowach z dwóch par oczu trysnęły łzy.

Wszystkie mniejsze i większe troski rozplynęły się niczym obłoczki na widok tornada w dniu, kiedy odebrała telefon ze szkoły. Dzwonił sam dyrektor, po jego głosie słyhać było, że nie chciał jej zdenerwować, co automatycznie doprowadziło ją do białej gorączki.

– Czy mogłaby pani zajrzeć do nas? – zapytał, powoli ważąc słowa. – Kilka minut temu pani córce zrobiło się słabo...

– Co to znaczy: słabo? Zemdlała? – przerwała mu gwałtownie. – Czy może tylko kręci jej się w głowie? Może się gdzieś uderzyła?

– Proszę się uspokoić, najlepiej będzie, jeśli pani przyjdzie.

Odpowiem wtedy na wszystkie pytania.

W ułamku sekundy była przy wyjściu, na śmierć zapominając o włożeniu kurtki. Eve, widząc, jak wypadła blada i roztrzęsiona, zastygła z otwartymi ustami.

Vic nie zwracała uwagi na zdziwione spojrzenia mieszkańców, którzy nie mogli się nadziwić jej pośpiechowi oraz temu, że biegnie przez ulicę w cienkiej, jedwabnej garsonce.

Wpadła do gabinetu dyrektora i spanikowana spojrzała na sofę. Przeczucie jej nie myliło. Kat leżała blada i spocona z zimnym kompresem na głowie. Przez ułamek sekundy pomyślała, że to nie jej córka.

Zmieniona bólem twarzyczka, poszarzała i zapadnięta w niczym nie przypominała rumianej, pełnej buzi Kat. Według opisu zdarzenia, który przedstawiła jej trzęsąca się ze strachu nauczycielka, podczas lekcji nic się specjalnie nie działo. Nagle Kat złapała się za głowę, wstała i jęcząc, upadła na podłogę. Ostrożnie przeniesiono ją do gabinetu dyrektora i niezwłocznie wezwano matkę.

Oczywiście wszyscy mieli nadzieję, że to nic poważnego, jednak jedno spojrzenie na drżącą dłoń córki powiedziało jej więcej, niż chciałyby kiedykolwiek usłyszeć.

– Bardzo boli mnie głowa – cichy szept zjeżył jej włosy na głowie. Usiadła przy dziecku, dotknęła czoła małej, było zimne i spocone.

– Wezwijcie karetkę – powiedziała spokojnym, opanowanym tonem, choć w środku czuła narastającą panikę. – To pilne.

Dyrektor bez słowa podniósł słuchawkę, a rozhisteryzowana nauczycielka próbowała rozmawiać z Vic, swoją relacje, co rusz zadając pytanie o przyczyny zasłabnięcia.

Miała ochotę ją zabić, wtłoczyć słowa z powrotem do gardła i patrzeć, jak się nimi dusi.

– Tak – usłyszała słowa dyrektora z trudem przedzierające się przez jazgot nauczycielki. – Wezwanie potwierdzone przez lekarza...

Jak najszybciej...

Obawiała się, że gdy karetka przyjedzie, nie znajdzie w sobie siły, by wstać i udzielić rzeczowych informacji.

Głaskała Kat po drżącej ręczce, a mózg z oszalamiającą prędkością podsuwał zastępcze hipotezy i diagnozy. Dopiero wycie karetki przenoszone echem przez zbocza gór wyrwało ją z odrętwienia.

Kiedy do gabinetu wpadli dwaj ratownicy i lekarz, wbrew swoim obawom znalazła dość siły, żeby wstać na uginających się kolanach i zrobić im miejsce.

Nauczycielka w tle po raz chyba setny opowiadała tę samą historię.

Lekarz uważnie osłuchiwał serce Kat.

– Niech ona się zamknie – powiedziała zimnym, nieswoim głosem.

Nauczycielka zamilkła w połowie wypowiedzanego słowa, a pozostali spojrzeli na Vic z zaskoczeniem. Lekarz odłożył stetoskop i wstał.

– Pani jest matką?

Zapytał, jakby nie było to absolutnie oczywiste. Wystarczyło spojrzeć na jej kredowobiałą twarz i zaciśnięte dłonie.

– Tak – odpowiedziała sztywno, nie odrywając wzroku od córki.

– Mówił pan, że jest tu jakiś inny lekarz?

Zwrócił się do dyrektora, który przytaknął i wskazał ją palcem. Spojrzała w oczy człowieka w białym fartuchu i dostrzegła cień. Ten sam cień pojawił się później na kliszy tomografu i zaczął ją prześladować w snach, zamieniając życie w koszmar.

Kat trafiła na oddział onkologii dziecięcej pod opiekę Mata, młodego, lecz bardzo uzdolnionego lekarza. Nieustanne badania, coraz dłuższe pobyty w szpitalu i zdobywana dzień po dniu pewność odebrały jej resztkę nadziei.

Konsultacje z najlepszymi klinikami, setki rozmów z najwybitniejszymi w kraju specjalistami przynosiły tylko kolejne rozczarowania. Po ostatnim badaniu Mat miał dla niej najgorszą z możliwych wiadomość.

Gdyby ktoś ją zapytał, co naprawdę zdarzyło się później, tamtego październikowego wieczoru, kiedy wróciła po rozmowie z lekarzem, prawdopodobnie nie byłaby w stanie odpowiedzieć.

W jej pamięci nie zachowały się żadne szczegóły. Nic, co mogłoby przywołać wrażenia, obudzić uśpione wspomnienia i przenieść ją do chwili, kiedy umierający dzień powoli przechodził w noc.

Trwała w stanie zawieszenia, zanurzona w narastającym zmierzchu, który

niepodzielnie zawładnął okolicą. Deszczowe rozmyte popołudnie traciło ostatnie resztki udawanego blasku, przechodząc w ciemnoszary wieczór.

Słabe światło w gabinecie rzucało dziwne cienie na ściany. Duszna atmosfera niewietrzonego od wielu dni pokoju, w którym unosiły się smużki z niedopalonych i zapomnianych papierosów, sprawiała wrażenie równie przygnębiające jak sterty porzucanych papierów oraz na wpół spakowanych pudeł. W całym pomieszczeniu panowała atmosfera tymczasowości, dopełniona ciężkim posmakiem rezygnacji i goryczy.

Znowu to zrobiła. Wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa, zapaliła i powoli zaciągnęła się dymem, który jej nie uspokajał, ale sprawiał, że myśli płynęły leniwie, niczym strugi deszczu pełzające po szybach. Miała wrażenie, że odpalenie papierosa, błysk małego płomienia zapalniczki, był jedynym momentem powrotu do rzeczywistości, ułamkiem chwili, gdy jej mózg przestawał pracować.

Wykradzoną sekundą normalności.

Właściwie wcale nie chciało się jej palić, jedyne, czego chciała, to zwinąć się w kulkę na łóżku i zastygnąć w czasie. Do jej świadomości nie docierało nic. Ani chaos panujący w pokoju, ani szum deszczu, ani powoli skradająca się ciemność.

Dwa słowa wędrowały po jej umyśle z siłą i gwałtownością wodospadu. Dwa słowa, które posiadały tak niszczycielską moc, że zmieniły jej życie na zawsze. Ich znaczenie sprawiło, że wszystko w mgnieniu oka straciło sens. Poza nimi nie było już nic.

Do dzisiejszego poranka mogła się oszukiwać, mimo że cała jej wiedza i wykształcenie krzyczały, próbując przygotować na nieuniknione. Ale tę prawdę i tak musiała ostatecznie usłyszeć z ust człowieka w białym fartuchu. Obca twarz, obcy korytarz, słowa, które zaatakowały jak przyczajony wąż i ukąsiły prosto w serce.

Glejoblastoma multiformae. To coś ukrywało się w mózgu jej córki. Nieoperacyjne, niewrażliwe na promieniowanie. Nieuleczalne. Miało średnicę monety i rosło z każdym dniem, a swoją żarłocznością odmierzało czas trwania życia Kat.

Krótki czas.

Nic na świecie nie mogło zatrzymać potwora zagnie; dzonego przy pniu mózgu, cała wiedza medyczna okazała się bezradna. Słyszała słowa lekarza, którego twarzy nie była w stanie zapamiętać, b. zmiały pocieszająco, dużo w nich było o nowoczesnych metodach eksperymentalnej terapii, adresach najlepszych klinik w kraju. Bełkot. Sama używała ich wielokrotnie, dając nadzieję, która tak naprawdę nie była nadzieją, ale samooszukiwaniem.

Nic nie zdoła wyleczyć rozległego guza mózgu, przyrośniętego do pnia, odpornego na promieniowanie i chemioterapię. Chyba żeby stał się cud, ale one zdarzają się nielicznym. Cuda są dla wybranych, widocznie jej córka do nich nie należała.

Nie musiała pytać, ile czasu jej zostało. Doskonale wiedziała, że – ile by go nie było – i tak stanowczo za mało. Za mało, żeby zobaczyć, jak Kat dorasta, poznaje swojego pierwszego chłopaka. Za mało, żeby towarzyszyć jej w wyborze studiów, czy zobaczyć swoją córkę, gdy staje się kobietą. Za mało, żeby spojrzeć w oczy wnukom.

Odpaliła kolejnego papierosa, przez chwilę wpatrując się tępo w drgający płomień zapalniczki. Przeleciała jej przez głowę myśl, że gdy gaz się skończy, ona po prostu rozplynie się w mroku, bo zabraknie jakiegokolwiek drogowskazu, który sprowadzi ją z powrotem do rzeczywistości.

I wtedy usłyszała pukanie do drzwi.

ROZDZIAŁ IV

Przez jednostajny szum deszczu i własne myśli usłyszała natarczywe walenie do drzwi. Najpierw chciała je zignorować, lecz ktoś, kto stał po drugiej stronie, nie dał się tak łatwo zbyć. W końcu jej cierpliwość się wyczerpała i poszła otworzyć.

Stał na progu ubrany w zniszczony, popielaty płaszcz, a z jego mokrych włosów spływały strumienie wody. Nie sposób było go zostawić za drzwiami.

Gestem zaprosiła nieznanego do środka, trzymając zapalonego papierosa w dłoni. Nie drgnął nawet, nie podniósł wzroku.

– Nie mogę panu pomóc – powiedziała, nawet nie starając się ukryć irytacji w głosie. – Nie prowadzę już praktyki.

– Przyszedłem porozmawiać o pani córce. – Zaskoczył ją ten niski, melodyjny głos.

Prawie trzasnęła mu drzwiami przed nosem. Słowa zaboląły niczym cios, przywołując coś, o czym daremnie próbowała zapomnieć.

– Nie chcę z panem rozmawiać na ten ani żaden inny temat – powiedziała zbyt głośno, choć przecież nie zamknęła tych cholernych drzwi. – Pani córka umiera – obwieścił zimno i podniósł wzrok.

Wic mimowolnie wstrząsnął dreszcz. Nie uderzyła go w twarz za to, co powiedział, nie pobięła po schowany w czeluściach sejfu pistolet. Zwyczajnie zaprosiła Obcego, który jako pierwszy miał odwagę wypowiedzieć złowieszcze słowa, o których istnieniu wiedziała dopiero od wczoraj.

– Wejdz – powiedziała to wbrew logice i odsunęła się o krok.

– Dziękuję – odpowiedział zdawkowo, niemal impertynencko. Przesunął się koło niej i wszedł do ciasnego korytarza. Stali teraz prawie twarzą w twarz. Był wyższy od niej o pół głowy, ale udało się jej spojrzeć mu prosto w oczy. Ten człowiek miał najdziwniejszy kolor tęczy, jaki kiedykolwiek w życiu widziała. Szare tło rozpalał wewnętrzny blask, podobny do płonących gorączką oczu.

W tej chwili odniosła wrażenie, że żarówka w korytarzu zmatowiała, jakby obcy wchłonął w siebie jej światło. Otoczył ją mrok, który przekroczył próg domu razem z nieznanym.

– Mogę ci pomóc – powiedział cicho. Parsknęła mu w twarz wymuszonym

śmiechem.

– Daruj sobie. Jestem lekarzem...

– Nie handluję lekami – przerwał jej w pół zdania.

– Za posługę duszpasterską i wsparcie duchowe również dziękuję.

– Jeśli poświęcisz dwadzieścia minut, aby wysłuchać, co mam do powiedzenia, zamiast wyprzedzać moją propozycję, dowiesz się wszystkiego. Jeśli cię nie przekonam, wyjdę stąd i nigdy więcej się nie spotkamy. Zakładam, że w obliczu nieuchronnego, jesteś w stanie poświęcić trochę czasu, tym bardziej że poza rozpaczą nic ci nie zostało.

Zrezygnowana wskazała mu drogę do pokoju. Nigdy później nie mogła znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego pozwoliła mu wkroczyć do swojego życia. Być może wyczuła w jego słowach tę bezlitosną szczerłość, tak obcą naciągaczom i kaznodziejom. Weszła za nim do salonu, który robił koszmarne wrażenie.

Porozrzucane sterty pudeł, puste, niezłożone kartony, śmieci walające się na podłodze, a ponad tym wszystkim unosił się ów nieuchwytny zapach zapuszczenia i dewastacji. Tak wyglądałby dom po przejściu trąby powietrznej. Ale to nie żaden kataklizm, tylko widmo śmierci doprowadziło mnie i dom do ruiny, pomyślała, nie odczuwając wstydu, że wprowadza obcego do legowiska własnej rozpacz.

Patrzyła na niego z mieszaniną fascynacji i zgrozy. Tam, gdzie się pojawiał, światło przygasało. Zdawał się wypełniać pustkę ogromnego salonu i w dziwny sposób zagarniać całą przestrzeń. Miała odczucie, że sama jego obecność dusi ją, wywołując skurcz w żołądku.

Zdjął płaszcz i przewiesił go przez drewniane oparcie fotela. Ubrany gustownie w prostą, popielatą koszulę rozpiętą przy szyi robił niesamowite wrażenie. Pod lnianym materiałem ukrywała się wysportowana, szczupła sylwetka. A spadające na twarz mokre włosy stanowiły idealną oprawę dla niemal klasycznych męskich rysów. Wysokie czoło, mocny zarys brwi i prosty nos mogły być doskonałym wstępem dla niespokojnych, sennych marzeń, ale Vic patrzyła na niego, nie dostrzegając oczu okolonych ciemnymi, gęstymi rzęsami, ust o idealnym wykroju ani ostrego rysunku kości policzkowych.

Patrzyła, zastanawiając się tylko nad jednym: dlaczego go wpuściłam? Na znak protestu wobec tej dziwnej sytuacji, nie usiadła na kanapie ani nie zaproponowała gościowi niczego do picia. Podeszła do biurka i wyrzuciła do szklanki niedopałek, sięgnęła po następny papieros, lecz zanim zdążyła włożyć go do ust, Obcy znalazł się koło niej tak blisko, iż podświadomie skonstatowała, że używa doskonałej wody toaletowej. Wyjął niezapalony papierosa z jej palców

i nieznoszącym sprzeciwu tonem, dodał:

– Zapalisz później.

W odpowiedzi przeszła na środek pokoju, założyła ręce przed sobą i stojąc, czekała, aż intruz przejdzie do meritum. Niezrażony niecierpliwymi gestami, usiadł swobodnie w fotelu i oparł łokcie na poręczy.

– Przyszedłem ofiarować ci lekarstwo – powiedział prawie szeptem. Marnował jej czas. Prychnęła pogardliwie i odwróciła się na pięcie. Nie odeszła jednak dalej niż pół kroku, gdy znalazł się przed nią z nożem w dłoni.

Mozna było się tego spodziewać, pomyślała bez cienia strachu. Wpuściłam do domu szaleńca.

I zupełnie irracjonalnie się ucieszyła.

W taki sposób skończy się mój koszmar, przebiegło jej przez myśl. Czekwała na cios, jak na wybawienie, bez lęku patrząc mu prosto w oczy. Tymczasem mężczyzna starannie podwinął rękaw koszuli i długim powolnym ruchem przeciął sobie wzdłuż przedramię. Zemdlilo ją. Cięcie było tak głębokie, że odsłoniło warstwy skóry aż do pulsującego mięśnia. Rozciągnął ranę, z której krew wypływała, skapując wprost na drewnianą podłogę. Spojrzała w dół i zobaczyła powiększającą się czerwoną plamę. Widziała już kilka ran w swoim życiu, ale nigdy nie była świadkiem podobnej sceny – celowego, wykonanego z zimnym okrucieństwem samookaleczenia.

Odwróciła głowę, żeby nie patrzeć. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że powinna zabandażować mu rękę i zatamować upływ krwi.

Silna męska dłoń odwróciła jej głowę tak, by ujrzała z powrotem paskudną ranę. Poddała się bezwolnie, im więcej krwi wypływało, tym bardziej czuła się bezbronna.

– Patrz – syknął. – Oto mój dar.

Odrazające! – niemy krzyk rozległ się tylko w jej umyśle.

– Nie chcę patrzeć – powiedziała płaczliwie.

Ale nie mogła zamknąć powiek, bo to, co zobaczyła, sprawiło, że jej serce niemal zamarło.

Rana przestała gwałtownie krwawić, a oba brzegi przyciągane do siebie magnetyczną siłą zatrzasnęły się, tworząc szczelinę, która już po chwili była tylko szeroką, brzydką blizną. Kilka sekund później szrama zaczęła znikać, aż stała się cienką, czerwoną linią. I zanim Vic zdążyła mrugnąć, blizna rozmyła się, a ciało wyglądało, jakby nigdy nie doznało zranienia.

Westchnęła głęboko i osunęła się bez sił. Męskie dłonie posadziły ją niczym szmacianą lalkę w fotelu. Obcy oparty o poręcz nachylił się nad nią tak, że mogła

zajrzeć w głąb pulsujących czerwienią źrenic.

– Widziałaś. Twoje doświadczenie zawodowe – skrzywił się z nieskrywaną ironią – mówi ci zapewne, że byłaś świadkiem zręcznej sztuczki. Muszę cię rozczarować, nie jestem kuglarzem.

– Co to było? – wyjąkała zbyt zaszokowana, żeby poddać wydarzenie jakiegokolwiek racjonalnej weryfikacji. – Mój dar – powtórzył i odsunął się.

Swobodnie usiadł naprzeciwko, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło, bo przecież tak naprawdę po obrzydliwym rytuale nie pozostał żaden ślad prócz drażniącej woni krwi krzepnącej na podłodze.

– To, czego byłaś świadkiem, uratuje twoje dziecko. Nie ma na świecie rany i choroby, której nie byłaby w stanie uleczyć kropla mojej krwi. Zatem do ciebie należy decyzja, czy jesteś zainteresowana naszą współpracą. Jeśli powiesz: nie, zniknę na zawsze, jeśli przyjmiesz moją ofertę, twoja córka będzie bawić się z innymi dziećmi i szybko zapomni o przeżytych koszmarze.

– Mam jej zrobić transfuzję z twojej krwi? – powiedziała, ale pomysł jej samej wydawał się absurdalny. Mężczyzna roześmiał się gardłowo.

– Ależ skąd. Jeśli byś to zrobiła, uśmierciłabyś ją szybciej niż rak. Takiej transfuzji nie przeżyłby żaden człowiek. – Uśmiechnął się, dziwnie podnosząc do góry kącik ust. – Musisz pobrać ode mnie próbkę krwi i wyizolować czynnik, który daje takie efekty, podpowiem, że nie będzie to miły ani łatwy zabieg, zrozumiesz, gdy spojrzysz na podłogę.

Jej wzrok przesunął się w miejsce, gdzie kilka minut temu zakrzepła rdzawobrazowa ciecz. Na drewnianych deskach leżał czarny, połyskujący obiekt, przypominający smołę lub...

– O mój Boże – westchnęła cicho. – To przypomina roztopioną lukrecję.

Zsunęła się na kolana i nie dowierzając własnym oczom, podpełzła bliżej, żeby postukać w zaschniętą substancję paznokciem. W odpowiedzi usłyszała pusty, szklany dźwięk.

– Za szybko się krystalizuje – powiedział. – Dlatego badania musisz robić niezwykle ostrożnie. Mogę cię jednak pocieszyć, że jest to możliwe. Było kilku, którym udało się zbadać moją krew, zanim zamieniła się w to – wskazał palcem plamę.

– Wierzę, że i tobie się uda, tym bardziej że masz dość silną motywację. I mało czasu – dodał.

– Jeśli to prawda. – Jej mózg nie był w stanie przyjąć i zaakceptować tego, co miała przed oczami.

– Masz czas do jutra. Zastanów się. Wrócę dokładnie o tej samej porze

i oczekuję, że do tego czasu podejmiesz decyzję. Abyś nie straciła całkiem wiary w to, co widziałaś, zostawiam ci prezent. Nie musisz mnie odprowadzać, trafię sam do wyjścia.

I zanim podniosła wzrok, już go nie było. Łatwo było się domyślić, że odszedł, bo światła rozjarzyły się mocniej i mogła ponownie odetchnąć. Poczowała głęboką, fizycznie dojmującą falę wstrętu. Nie potrafiła określić, czy wyzwoliła ją obecność Obcego, czy pozostawiona przez niego gruba, oprawiona w skórę książka.

Wzięła ją i bez zaglądania do środka, odłożyła na biurko. Była zbyt poruszona, by skupić się na czytaniu, a śliska, zniszczona okładka wydawała się odrażająca.

Noc przeszła w dzień, a ona nadal roztrząsała każdą sekundę spędzoną z Obcym, każde słowo, minę, szukając wskazówki, która pozwoliłaby jej się zorientować, czy padła ofiarą genialnej mistyfikacji, czy może...

Tego sformułowania bała się użyć, ponieważ zdawała sobie sprawę jakie miałyby to konsekwencje. Nadzieja podpowiadała – a jeśli? Rozum kwitował – to niemożliwe.

Miotana skrajnymi emocjami nie mogła sobie znaleźć miejsca w domu, wyszła na przechadzkę do lasu, ale ponury, jesienny krajobraz nie sprzyjał rzeczowej analizie, działał zbyt przygnębiająco.

Wróciła do domu, usiadła w fotelu, z którego poderwała ją obudzona nagle chęć działania.

W końcu podjęła decyzję i mimo że było zdecydowanie za wcześnie, zabrała ze stolika kluczyki, gotowa jechać do szpitala i tam u boku córki szukać rozwiązania.

Wyszła z domu, a po minucie wróciła, bo zostawiła dokumenty. Zanim dotarła do samochodu, uświadomiła sobie, że od dwóch dni nie zmieniała ubrania. Poczucie wstydu kazało jej wrócić, wziąć szybki prysznic i przebrać się. Po raz kolejny opuściła dom, tylko po to, żeby się przekonać, że zostawiła na półce w łazience kluczyki do samochodu. Za każdym razem, miotając się między domem a podjazdem, składała sobie kolejne zapewnienie: Nie wpuszczę go za próg – które po chwili zamieniało się – Wysłucham tylko, co ma do powiedzenia – aż po – Dlaczego nie, przecież nie mam nic do stracenia?

Tworzyła setki scenariuszy spotkania, w których radość z odkrycia oszustwa, miała dziwnie gorzki posmak.

Nie wiedziała, czego pragnie bardziej, tego, aby oferowane jej rozwiązanie okazało się skuteczne, czy tego, że mężczyzna był zwykłym naciągaczem. Jednak gdyby okazał się oszustem, wtedy wzniecony maleńki ogień nadziei zgasłby

bezpownotnie razem z błękitnymi oczami Kat.

Wyjechała na drogę i dopiero ryk klaksonu jadącej na czołowe zderzenie furgonetki uzmysłowił jej, że w ogóle nie zwraca uwagi na szosę, zaabsorbowana własnymi myślami. Nie mogła skupić się na trasie, więc tylko swojemu szczęściu zawdzięczała to, że podróż na oślep zakończyła się bezpiecznym parkowaniem przed szpitalem.

Kat, zgodnie z zapowiedzią lekarza, spała głęboko. Nie chciała jej budzić ani wystraszyć. Przycupnęła na niewygodnym krzeselku, wpatrzona przez szybę w twarz córeczki.

Katherine Annabell Mc'Petersen nie wyglądała na sześciolatkę. Jej zmizerowana blada twarzyczka, obcięte krótko, złote włosy, które straciły dawny blask, i oczy w sinych obwódkach poruszające się niespokojnie pod powiekami należały do okrutnie doświadczonego dziecka. Czyjaś dłoń w pocieszającym geście opadła na ramię Vic.

– Prosiłem, żebyś dziś nie przyjeżdżała. Nie pomożesz córce, mdlejąc z wycieńczenia na szpitalnym korytarzu, a przede wszystkim nie powinnaś się jej pokazywać w takim stanie, szczególnie teraz.

– W ostatnich chwilach jej życia – dopowiedziała z duszącą rozpaczą słowa, których nie mógł albo nie chciał jasno wypowiedzieć. – Dopiero przyjechałam – zabrzmiało to jak usprawiedliwienie, ale przecież miała prawo tu być. Musiała tu być, aby nie stracić nawet sekundy, ani jednego oddechu, który z trudem poruszał cienką kołderkę na piersi jej maleństwa.

– Będzie jeszcze spała przez kilka godzin – powiedział. – Zapraszam do gabinetu.

Poszła za nim, jak posłuszna marionetka i ciężko opadła na wskazany jej fotel.

Młody, sympatyczny lekarz spojrział na nią współczująco, widać było wyraźnie, że nawet dla niego ta rozmowa jest trudna.

– Proszę mimo wszystko nie tracić nadziei – powiedział cicho. – Nawet jeśli nie uda się nam pokonać choroby, nie powinnaś okazywać córce rozpaczę. Kat jest dzielną i bardzo inteligentną dziewczynką. Na tym etapie choroby niewskazane byłoby dodatkowe obarczanie jej twoimi emocjami.

– Staram się, jak mogę – powiedziała, bezradnie rozkładając ręce. – Ale to nie jest takie proste. Ona jest moim... – Zaskoczyła go nagłym pytaniem. – Czy masz dzieci? Zmieszał się lekko.

– Niestety, jeszcze nie.

– Więc nie zrozumiesz, o czym mówię. Trudno jest uśmiechać się radośnie, gdy...

– Akurat to doskonale rozumiem – przerwał, jakby starał się odparować jakiś zarzut. – Jednak wierzę, że znajdzie pani w sobie dość siły, aby wspierać przynajmniej jej nadzieję. Dopóki jest choćby cień szansy, dopóty nie wolno pozwolić, aby pacjent przestał walczyć. Cuda się zdarzają i ja, jako onkolog, wiem o tym najlepiej.

– Cuda niepotwierdzone medycznie, przypadkowe, równie rzadkie jak interwencja aniołów – powiedziała z goryczą w głosie. – Ilu lekarzy konsultowało ten przypadek? Dwudziestu? Do ilu ośrodków najnowocześniejszych w kraju rozesłaliśmy dokumentację, z iloma zagranicznymi klinikami były prowadzone rozmowy? Żaden z onkologów nie daje cienia szansy na pomyślną terapię. Nikt, oprócz ciebie nie podjął się prowadzenia tego beznadziejnego przypadku, z góry skazanego na... – urwała, jakby te słowa nie mogły jej przejść przez gardło. – Więc nie rozmawiajmy o szansach i nadziei, ale o tym, co zrobić by jej ostatnie miesiące były przynajmniej znośne. Od ciebie oczekuję tylko rzeczowej odpowiedzi. Co byś zrobił na moim miejscu?

Popatrzył na nią z powagą.

– Zabrałbym ją do domu i pozwolił nacieszyć się życiem. Wiem, że z medycznego punktu widzenia, to nie jest najlepszy pomysł, ale...

– Wiesz, gdzie mieszkamy? Czy jest szansa... Przerwał jej w połowie zdania.

– Szansę wyznaczają granice kwot, jakie możesz na to przeznaczyć. Ze swojej strony ułatwię przenosiny i przygotuję niezbędny sprzęt oraz personel. Będziesz mogła liczyć na moją opiekę i wsparcie.

Podziękowała mu skinieniem głowy, dopiła zimną kawę i wstała na znak, że usłyszała wszystko, na czym jej zależało.

– Dopóki nie zorganizujemy przenosin – jego słowa zatrzymały ją, kiedy naciskała klamkę – proszę, żebyś zadbała o siebie. Nie możemy pozwolić na zbyt wczesne szafowanie siłami, które będą ci później potrzebne. Umówiliśmy się wczoraj, że dopóki Kat jest pod wpływem leków usypiających i przeciwbólowych, możesz pojechać do domu, aby się wyspać i wzmocnić. Na tym etapie nieustająca obecność matki nie jest ani wymagana, ani korzystna. Proszę, przemyśl moje słowa, tygodniami tkwisz przy jej łóżku, a tak przecież nie można żyć. Chętnie zorganizuję ci spotkanie z psychologiem.

– Dziękuję za troskę – powiedziała na wpeł rozbawiona, na wpeł wściekła. – Nie sądzę, żeby w moim przypadku korzystne były kontakty z psychologami. Poradzę sobie sama – i dodała w myślach: chyba.

O tym, że nie miał dzieci najlepiej świadczyła jego ostatnia rada, naiwnie uważał psychologów za ludzi, którzy mogą w czarodziejski sposób przegonić

dręczące ją demony.

Rozmowa jednak odniosła pozytywny skutek, natychmiast zrozumiała, co powinna zrobić.

Rzut oka przez szklaną ścianę upewnił ją, że Kat mocno śpi. Wyszła na zewnątrz i wykręciła numer Roberta. Była zła, że musi się do niego odezwać, szczególnie po ostatniej strasznej rozmowie, podczas której zawiadomiła go o chorobie ich dziecka.

Usłyszała wtedy stek obelg, z których najbardziej zabolalo ją zdanie: „To twoja wina, więc nie wiem, czego ode mnie oczekujesz?”.

Teraz miała do niego konkretną sprawę i nie musiała znosić jego impertynencji. Po krótkim oczekiwaniu usłyszała zniechęcony głos.

– Czego chcesz? – zapytał bez ogródek, a ona równie obcesowo odpowiedziała:

– Pieniądzy, i to niemało. – Usłyszała, jak po drugiej stronie głośno wciągnął powietrze, ale zanim zaczął protestować dodała: – Zabieram Kat ze szpitala, chcę urządzić w domu opiekę stacjonarną i potrzebuję pieniędzy na zapewnienie naszemu dziecku – teraz nie miała żadnych oporów, żeby to powiedzieć na głos – godziwych warunków do umierania. Czy ci się to podoba, czy nie, jeśli się nie włączysz finansowo, pierwsze, co zrobię po pogrzebie naszej córki, to udzielię wywiadu prasie i opowiem żalną historię mojego życia ze szczególnym naciskiem na twoją rolę w opiece nad własnym dzieckiem. Zrozumiałeś? – Cisza pod drugiej stronie trwała zaledwie chwilę.

– Ile chcesz? – Te słowa padły, gdy już myślała, że rzucił słuchawką.

– Każda suma z szczęsioma zerami będzie stosowna i na miejscu. Usłyszała przeciągły sygnał. Rozłączył się. Vic była jednak całkowicie spokojna, wiedziała, że spełni jej żądania.

Ludzie jego pokroju bardziej niż zarazy bali się publicznego prania brudów. A on zrozumiał, że wściekła, nie darowałyby mu, gdyby zostawił ją w tej sytuacji na pastwę losu.

Poza tym – uśmiechnęła się krzywo do swoich myśli – dałoby to całej rodzinie złą prasę. Znany playboy zostawia bez pomocy swoją umierającą córeczkę, tego nikt by im nie darował.

Wróciła na oddział i zaczęła planować. Pomysł zabrania córki do domu wyzwolił w niej pokłady energii, których istnienia nawet nie podejrzewała. Wszystkie wątpliwości zniknęły. W duchu skarciła się za poranne wahania.

– Dlaczego nie? – powiedziała do siebie. – Jeśli jest choć jedna szansa na miliard, trzeba ją wykorzystać. Najgorszym z grzechów jest grzech

zaniechania.

Kimkolwiek był Obcy, przynajmniej zasługiwał na uwagę. Nie dlatego że nagle uwierzyła w cuda, po prostu postanowiła kilku dokonać samodzielnie.

Zdażyła. Zanim jeszcze zapadł zmrok, wpadła do domu i po gorączkowych przygotowaniach, ku własnemu zaskoczeniu, zaczęła niecierpliwie czekać na zapowiadaną wizytę. Tymczasem wykonała kilka ważnych telefonów, z których każdy przynosił jej coraz większą ulgę.

Okazało się, że jej koszmarna depresja brała się z otepiałego poczucia bezradności. Do wczoraj nie miała wpływu na nic, mogła tylko biernie czekać na to, co przyniesie kolejny dzień, ale po rozmowie z Matem wszystko się zmieniło. Choroba co prawda nie ustąpiła, lecz piętrzące się problemy związane z przeniesieniem dziecka, nadały jej życiu konkretny cel. W takim stanie była jak rozpędzony taran i nic na świecie nie mogło jej zatrzymać.

Przez prawnika załatwiła sobie pełnomocnictwa, zamówiła ekipę remontową, umówiła się z Eve w sprawie pilnego zorganizowania dodatkowej pomocy i nawiązała kontakt z najlepszymi hurtowniami medycznymi. Udało jej się niespłaconą hipotekę domu obciążyć dodatkowym kredytem i poczuła, że jak na jeden dzień zrobiła dosyć.

Cała ta krzątanina pozwoliła przez chwilę poczuć, że ma swoje życie pod kontrolą. Vic chciała powrotu córki do domu najszybciej jak to możliwe i aby to osiągnąć, była gotowa na wszystko.

Tym razem nie usłyszała pukania.

Odwróciła się nagle. Stał, patrząc na nią spod zmrużonych powiek. Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Kiedyś, dawno temu, jeszcze w poprzednim życiu matka w takich sytuacjach mówiła, że śmierć przeszła po świeżo rozkopanym grobie.

– Kim lub czym jesteś? – spytała wprost, nie okazując zaskoczenia.

– Przecież wiesz – odpowiedział i uśmiechnął się do niej swoim lekko krzywym uśmiechem.

Nie dała po sobie poznać, że przecenił jej inteligencję.

– Chcę usłyszeć z twoich ust.

– Przez wieki różnie nas nazywano, dla jednych byliśmy nocnymi łowcami, dla drugich aniołami ciemności. Używano też prostszych określeń i wtedy byliśmy po prostu nosferatu lub wampirami.

Jej spontaniczny wybuch śmiechu wprowadził go w osłupienie.

– Żartujesz? – zapytała, gdy tylko odzyskała zdolność mówienia. – Prawdziwy Drakula?

Już wiedziała, co sądzić o niezwykłym gościu.

– Nie do końca – odpowiedział ze śmiertelną powagą. – Jednak bardzo blisko. Jestem El'lar z rodu Hanedar, nieśmiertelnych. Ale możesz się do mnie zwracać, jak ci się żywnie podoba, miałem już tysiące imion i setki przydomków.

– A masz na potwierdzenie swoich słów prawo jazdy lub jakiś dowód tożsamości? – powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć. Nie spodziewała się tak gwałtownej i natychmiastowej reakcji. Jego twarz zmieniła się, rysy wyostrzyły i pociemniały, w oczach zapłonęła siatka krwawych żyłek. Z półotwartych ust wydobył się syk. Zamarła.

Nagle Obcy wybuchnął szczerym, wręcz zaraźliwym śmiechem, w którym pokazał swoje normalne i równe zęby – żadnych nienaturalnych kłów.

– Punkt dla ciebie – powiedział i usiadł na fotelu – zaskoczyłaś mnie.

– Ubawiliśmy się wzajemnie – odparła, mając jeszcze przed oczami jego drugie, koszarne oblicze – ale wróćmy do meritum. Zatem jesteś wampirem i ofiarujesz mi swoją krew, żebym przygotowała z niej lekarstwo dla córki. A teraz podpowiedz mi, dlaczego jeszcze nie wyrzuciłam cię za drzwi?

– Bo mimo tego, że mi nie wierzysz, intryguję cię. Szukasz logicznego wytłumaczenia, czekasz, żebym wyjaśnił ci, na czym polegała sztuczka.

W ogólnym zarysie miał rację. Zastanawiała się jeszcze nad jednym, dlaczego to robił? Jakie wynaturzone okrucieństwo kazało mu się z nią bawić w ten sposób?

– A zatem, jak tego dokonałeś?

W jej głosie zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie. Miała szczerze dosyć tej rozmowy.

– Niewiele zrozumiałaś. A nie mam ochoty na ponowną demonstrację.

Stała koło biurka. Od miejsca, gdzie siedział, dzieliła ją cała szerokość pokoju, mimo to, nie zdążyła nawet mrugnąć, kiedy stanął koło niej i złapał za ramiona. Był niewiarygodnie silny.

– Możesz udawać, że nic się nie stało, po prostu padłaś ofiarą zwykłego naciągacza. Będiesz w to wierzyć za dnia, ale nocą... myślisz, że powstrzymają mnie zamknięte drzwi. Sądzisz, że tak łatwo odegnąć strach?

Wtedy naprawdę zaczęła się bać. Z kompletną niefrasobliwością wpuściła do domu niezrównoważonego psychicznie człowieka. Co gorsza, stało się to tuż przed powrotem Kat. Wczoraj mógł z nią pogrywać, bawić się jej kosztem, ale dziś sytuacja diametralnie się zmieniła.

– Natychmiast proszę opuścić mój dom – przyjęła kategorię, lodowaty ton – jeśli pan tego nie zrobi wezwę policję.

– Lub?

Nie wydawał się wystraszony, raczej zaciekawiony. Szarpnęła się gwałtownie, oswabdzając ręce – To jest najście i pan stosuje wobec mnie przemoc. Powiedziała głośno, nie patrząc na niego. Wiedziała, że ukryty dyktafon, wyłowi nawet ciche bicie serca. O dziwo, puścił ją bez szarpaniny. Nie spuszczać wzroku z jego rąk, sięgnęła za siebie i pod papierami wymacała rewolwer. Był odbezpieczony. Nie podniosła go ostentacyjnie, nie machała na oślep, tylko spokojnie trzymała w ręce.

– Mam broń – powiedziała – jeśli pan nie wyjdzie, będę musiała jej użyć.

– A więc było jakieś „lub” – lekko się skrzywił – musisz wiedzieć, że tego bardzo nie lubię, ale dam ci ostatnią szansę.

Z całej siły szarpnął jej dłoń ku sobie, przyłożył do własnej piersi, dokładnie na sercu.

Nie spodziewała się takiego obrotu wydarzeń, lecz to nie ona nacisnęła spust. Rozległ się głuchy trzask. Natychmiast poczuła swąd prochu połączony z odorem spalonego ciała.

Odsunął się na krok i rozerwał koszulę, żeby mogła zobaczyć dziurę po kuli. Z oczami rozszerzonymi strachem spojrzała mu w twarz, pewna, że zobaczy w niej odbicie nachodzącej śmierci. Stał nieruchomo ze swoim zagadkowym uśmiechem i ani myślał padać martwy na podłogę. Milczeli oboje. Po chwili rana zaczęła lekko pulsować, splaszczony pocisk został z niej wypchnięty, po czym opadł na jego wyciągniętą dłoń.

Rozwarł jej palce zaciśnięte kurczowo na kolbie dymiącego rewolweru, odłożył go na biurko i wcisnął Vic pocisk do ręki. Nabój był jeszcze ciepły. Rana zasklepiła się szybciej, niż nadążały rejestrować zmysły. Otwór oczyścił się sam, nie pokazała się nawet kropla krwi, poszarpane brzegi – podobnie jak poprzedniego dnia – spinane nadnaturalną siłą, zbliżały się do siebie. Po chwili na ciele nie było żadnego śladu.

– Trudno jest zabić coś, co już nie żyje – powiedział spokojnie. – Czy w końcu jesteś gotowa na poważną rozmowę? I jeśli o mnie chodzi, nie musisz wyłączać tego – wskazał palcem kieszeń w jej marynarce – proponowałbym raczej później odtworzyć sobie naszą rozmowę. Przekonasz się, że tak jak nie odbijamy się w lustrach, tak samo nie można nas sfotografować, także nie nagrywamy się na żadne, nawet najczulsze nośniki. Masz na taśmie wspaniały przykład ataku schizofrenii.

Ciężko łąpała oddech i czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach. Uwierzyła mu. Musiała.

Wyminęła go i usiadła na kanapie. Jakaś część jej umysłu szalała ze szczęścia. Była gotowa na tę rozmowę, od której zależało życie jej dziecka.

– Masz jeszcze jakieś pytania? – Siedział przed nią w ulubionej pozycji, wygodnie rozparty na fotelu. – Nadszedł czas, abyś je zadała, bo gdy dobijemy targu, będzie za późno.

– Tysiące – przedarło się przez jej ściśnięte gardło. – Mówiłeś, że twoja krew ma niezwykle właściwości, możesz to sprecyzować?

– Dzięki niej szybko się regenerujemy, nie dotykają nas choroby, bo nie przenosimy żadnych zakażeń.

– Jak to jest możliwe? Przecież z filmów pamiętam, że pijecie krew swoich ofiar. Bo tak jest, prawda?

– I to mówi lekarz. – Pokiwał głową na znak dezaprobaty. – Nic podobnego. Oczywiście żywimy się krwią naszych ofiar, lecz ona nie ma nic wspólnego z tym, co płynie w naszym krwiobieg. Tak jak z twoją nie ma nic wspólnego zjedzony stek. Owszem, w ten sposób dostarczamy niezbędne naszym komórkom składniki, ale obca krew nie wpływa do naszych żył. Jest tylko pokarmem.

– Czy przez kontakt z twoją krwią można zostać wampirem?

– Moją nie, ale pojawia się co kilkaset lat jeden wampir, którego krew ma zdolności przemieniania. Mogę cię jednak uspokoić, nikt taki nie objawił się od ponad dwóch wieków.

– Rzeczywiście jesteście nieśmiertelni?

Nie wierzyła, że dalej prowadzi tę absurdalną rozmowę.

– Niemal nieśmiertelni – poprawił ją – ale nie nadeszła jeszcze pora na omawianie sposobów uśmiercania wampirów. Mogłabyś przedwcześnie spróbować któregoś z nich, a tego oboje byśmy sobie nie darowali.

– Mówiłeś wczoraj, że kilku ludzi badało waszą krew, do czego doszli?

Skrzywił się nieznacznie, jakby ubawiło go to pytanie.

– Byli tacy, nieustraszeni alchemicy, szaleni badacze, którzy myśleli, że jest to klucz do zrozumienia mojej rasy. Udało im się jedynie odkryć, czym jest prawdziwy strach, jednak kilku dotarło daleko w swoich poszukiwaniach. Dlatego tu jestem, od nich dowiedziałem się, że nasza krew jest panaceum na wszystkie znane ludzkości choroby, od gruźlicy po czarną ospę z katarem włącznie. Osoba, której zostanie podana, wyzdrowieje bez efektów ubocznych i nie stanie się wampirem, jeśli to cię dręczy. Problemem jest tylko zdobycie i podanie takiego leku. Nasza krew krystalizuje się w niesamowicie szybkim tempie. Po kontakcie z powietrzem staje się bezużyteczna lub co gorsza jej zmieniona struktura może doprowadzić do śmierci biorcy. I tu zaczyna się twoja

rola. Musisz opracować sposób utrzymania jej w postaci cieczy, aby bezpiecznie podać córce. I ostrzegam, nie będzie to łatwe.

– Czego chcesz w zamian? Bo przecież zawsze jest jakiś haczyk – zapytała z drżącym sercem. Właśnie była o krok od zaprzędania duszy najmroczniejszej z piekielnych sił.

– Jest oczywiście, ale w tym momencie możesz jeszcze bez konsekwencji odrzucić układ, jaki ci proponuje. Później, gdy dobijemy targu, rezygnacja nie wchodzi w grę. Pamiętaj o tym. W zamian za moją pomoc, ty z kolei uwolnisz z niewoli wampiry. Tylko tyle mogę ci tylko powiedzieć. Zgadzasz się ?

– Ile mam czasu do namysłu?

– Dam ci całe piętnaście minut. W końcu to czysta propozycja: życie dziecka za wolność moich braci.

Była zaskoczona. Miała za mało czasu, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję, tym bardziej, że dysponowała tak skąpymi informacjami.

– Ilu ich jest? – zapytała, modląc się w duchu, żeby podał jakąś akceptowalną liczbę.

– Nie wiem, ilu przetrwało, uwięziono czterech.

Jeżeli filmy nie kłamią, wypuszczę na świat bandę opanowanych żądzą krwi demonów, pomyślała z rozpaczą. A wszystko za cenę życia mojej córki.

Minuty mijały, ale nie potrafiła podjąć decyzji. Z jednej strony mogła mieć na sumieniu śmierć wielu niewinnych ludzi. Z drugiej zaś gdyby udało jej się opracować lek – co wcale nie było takie pewne – mogłaby uratować życie nie tylko Kat. Taki środek dawałby niebywałe możliwości.

Przed oczami zobaczyła długi korytarz onkologii dziecięcej, pokój przy pokoju, a za białymi zasłonami wymizierowane twarze naznaczone śmiercią. Nagle w jej umyśle zakiełkował pewien pomysł...

– Zgadzam się – powiedziała szybko. – Przyjmuje twoją ofertę. Jeśli moja córka wyzdrowieje, pomogę ci ich uwolnić, lecz nie wcześniej niż potwierdzą to badania. Muszę mieć stuprocentową pewność, że guz zniknął, a ona nie zamieniła się w jednego z was. Jeśli cokolwiek pójdzie niezgodnie z planem, z naszej umowy nici.

– Cieszę się, że dobiliśmy targu, a teraz pora na moje dodatkowe warunki.

Zachnęła się i zaprotestowała.

– O tym nie było mowy.

– Bez nich nasz plan będzie niemożliwy do wykonania. Dobrze się składa, że zamówiłaś robotników, zanim oddasz mi pokój Kat, najpierw założysz w nim podwójne okiennice, wewnętrzne i zewnętrzne.

– Dlaczego mam ci oddawać pokój mojego dziecka? – zapytała drżącym głosem. Kat co prawda miała po powrocie zamieszkać na parterze, ale między ich dawnymi sypialniami była wspólna łazienka. Dzielenie przestrzeni z wampirem nie bardzo jej odpowiadało. Poza tym skąd znał jej plany, które dopiero dzisiejszego popołudnia uległy konkretyzacji?

– Nie będę się zjawiał nocami jak tajemniczy nieznajomy. Przedstawisz mnie jako psychologa, którego wynajęłaś, aby pomógł tobie i córce. Nikt nie będzie wtedy zadawał niewygodnych pytań. Pewien problem dręczył ją coraz bardziej.

– Umiesz czytać w myślach? Zaśmiał się.

– Wyjaśnijmy sobie kilka podstawowych kwestii. Ponad połowa tego, co wiesz o wampirach, to mity. Nie umiem czytać w myślach, nie jestem wybiórczy w wyborze pokarmu, tak jak ciebie nie interesuje uroda krowy, z której jesz kotlet. Nie boję się wody święconej, chociaż rzeczywiście nie lubię słońca. Drewniany kołek wbity w serce prawdopodobnie mnie zabije, jednak najpierw musiałabyś trafić dokładnie, a wierz mi, nie jest to proste. Czy masz jeszcze jakieś pytania?

Postanowiła zagrać uczciwie.

– Skąd wiedziałaś, że sypialnia Kat będzie wolna?

– Nie trzeba być geniuszem, żeby po usłyszeniu kilku twoich rozmów, wywnioskować, co zamierzasz. Nie ukrywam, lubię podsłuchiwać. Co będzie z naszymi planami, zgadzasz się na moją propozycję? – Brzmi logicznie.

Zgodziła się, choć nadal gnębiła ją wizja dzielenia łazienki z wampirem.

– W swoich badaniach będziesz musiała zadowolić się jedną próbką krwi dziennie, nie chciałbym, żebyś powzięła szalony plan wypompowania ze mnie całości. I nie życzę sobie żadnych niespodzianek.

– Jak to się odbywa... Zmieniasz się, gdy...

– Gryzę? Nie jest to miły widok, ale mogę cię zapewnić, że nigdy mnie w takiej sytuacji nie zobaczysz, chyba że spróbujesz w którymś momencie zmienić zasady. A jeśli pytasz z czystej, naukowej ciekawości, wiedz, że nie rosną mi zęby ani nie robię się śmiesznie pomarszczony. W zasadzie odbywa się to bez zmian, a jeśli nawet następują, ofiara nigdy nie ma takiego szczęścia by je zauważyć.

– Jak to się stało, że zostałeś...

– Wampirem? Wasza hipokryzja jest rozbrajająca, siedzisz i rozmawiasz ze mną, a boisz się nazwać rzecz, czyli mnie, po imieniu. Wampir, zebra, człowiek to tylko gatunki nomen omen ssaków. Moja historia jest mało dramatyczna. Zostałem dawno temu przemieniony na własne życzenie, i tyle. Każdy ma wybór, swojego dokonałem z rozmysłem i w pełni świadomie.

– Kiedy to było?

– Jakiś czas temu, mam trochę więcej lat, niż na to wyglądam. Powiedzmy, pamiętam czasy pierwszej wojny. Wystarczy?

Na razie, pomyślała i przytaknęła głową twierdząco.

– Czy muszę cię ostrzegać, że nie możesz nikomu powiedzieć o naszej umowie?

Tego akurat nie musiał mówić, było to oczywiste. – A zatem, kiedy zakończysz przygotowania, zjawię się pewnego dnia. Oczekuję także, że przygotowany dla mnie pokój, nie będzie miał tej oszalałej kolorystyki. Nie, żeby zabijało mnie zestawienie barw, tylko to drażni moje zmysły, a wtedy robię się głodny i zły.

Światło w pokoju pojaśniało. Była sama.

W ciągu tygodnia dokonała niezbędnych przeróbek, co samo w sobie zakrawało na cud, biorąc pod uwagę, skalę, na jaką rozpoczęła przebudowę. Udało jej się przy tym nie zaniedbać codziennych wizyt w szpitalu.

W salonie powstały dwa pokoje, większy z wyjściem na taras ozdobiony błękitno-białą markizą miał należeć do Kat. Stojący tu sprzęt mógłby stanowić wyposażenie niewielkiego szpitala, wszystko zostało tak przemyślnie ukryte, aby budząc się rano, jej mała córeczka nie widziała stelaży do kroplówek czy respiratora – wszystkich tych drobiazgów jednoznacznie kojarzących się z chorobą.

Ciemne ściany pokryły płyty pomalowane w wesołe, pastelowe kolory – na ten pomysł wpadł Jonathan, człowiek, dzięki któremu zdołała ukończyć wszystkie prace w zaplanowanym terminie. Wynajęła go pod wpływem usilnych nalegań Eve.

– Jest – zapewniała – jedynym rzetelnym fachowcem, jakiego znam, prawdziwą złotą rączką. Nie pożałujesz, że go zatrudniłaś.

Umówiła się z nim na rozmowę o dziesiątej wieczorem, czym w ogóle nie był zdziwiony.

Wszedł do domu, barczysty, wesoły człowiek, którego oczy błyszcząły pod czupryną niesfornych ciemnoblonde włosów, i od razu dał wyraz swojemu niezadowoleniu.

– Przebudować salon? – Spojrzał na nią, jakby urwała się z księżycą.

– Zepsuje pani cały charakter domu. Ten salon jest jego największą ozdobą. – Wiem – odpowiedziała.

Od razu ujął ją tym, że nie akceptował bez zastrzeżeń głupich pomysłów, właśnie o kogoś takiego jej chodziło, samodzielnego w podejmowaniu decyzji i rozsądnego. W duchu już dziękowała Eve.

– Nie mam wyjścia. Za kilka dni sprowadzam córkę ze szpitala. Zbladł lekko

pod opalenizną charakterystyczną dla kogoś, kto pracuje na świeżym powietrzu. Od tego momentu nie narzekał na termin, rozmiar przebudowy ani żaden z jej kaprysów, co więcej, jego ekipa pracowała dzień i noc, a on tryskał niekończącymi się pomysłami.

– Położymy płyty kartonowe. Nie zniszczymy ścian, a będziesz mogła pomalować je w jakieś radosne i ciepłe kolory, bo ten brąz jest zbyt gabinetowy. Mała potrzebuje słońca, barw i radości.

Tak jak się spodziewała, konto Kat zasilila duża suma, dzięki której mogła sobie pozwolić na wszystkie fanaberie i podwójne drewniane okiennice, których zażądał Obcy.

Najcięższe prace toczyły się na podjeździe. Stojący obok domu garaż zamienił się w domek gościnny. Wygospodarowano w nim pokoje dla pielęgniarek, a na dole, ukryte przed wścibskimi oczami, jej własne laboratorium.

Wielkie świetlówki rozjaśniały pomieszczenie, które od sufitu do podłogi było zastawione szafkami wypełnionymi podstawowym sprzętem do badań. To miało być miejsce epokowego odkrycia i doskonale zdawała sobie sprawę, jak wiele czasu przyjdzie jej tu spędzić.

Rozbuchane pomysły Jonathana zaowocowały niesamowitym efektem i musiały przyznać, że na większość z nich sama by nie wpadła. Okazało się zresztą, iż majster korzystał z pomocy dwóch doradców... Dowiedziała się o tym, kiedy Mat zaczepił ją pewnego dnia na korytarzu szpitalnym.

– Dzwonił do mnie twój pracownik – powiedział z dziwnym uśmiechem. – Kazałem mu przyjechać jutro. Kto to w ogóle jest?

Po co Jona miał dzwonić do lekarza Kat? – to pytanie dręczyło ją całe popołudnie, więc na drugi dzień, tuż przed powrotem do domu, odwiedziła Mata, żeby dowiedzieć się, o co chodziło.

– Nie zgadłabyś, przyszedł poprosić mnie o pomoc. Chce wiedzieć dokładnie, czego Kat może potrzebować w swoim pokoju, aby czuć się dobrze. Na litość boską, skąd go wytrasnęłaś?

– Czasem i ja miewam odrobinę szczęścia – odparła z uśmiechem. – Co mu odpowiedziałeś?

– Wysłałem go na górę do Alicji, która jest naprawdę świetną psychoterapeutką, proponuję, skorzystaj z jej pomocy, również dla Kat takie zajęcia okazałyby się wskazane.

Nie mogła dłużej udawać. Prędzej czy później i tak dowie się prawdy.

– Już zatrudniłam psychologa – powiedziała. Głos jej nawet nie zadrżał. – Ma doskonałą opinię.

Kolejną niecierpiącą zwłoki sprawą było wynajęcie odpowiedniego personelu medycznego. Potrzebowała co najmniej trzech doświadczonych w opiece nad dziećmi pielęgniarek. Z kłopotu wybawiła ją Eve, która znalazła najlepszą pomoc, jaką można było sobie wymarzyć.

Kilka dni później do ledwie ukończonej przybudówki, wprowadziły się trzy nowe lokatorki, które doglądały szczegółów, odbierały sprzęt medyczny, kierowały ekipą Jonathan tak, aby wszystko było gotowe na czas.

Beth pracowała wcześniej na onkologii dziecięcej – opanowana i rozsądna, z racji starszeństwa oraz doświadczenia przejęła dowodzenie.

Zawczasu ustaliła grafik dyżurów i przeprowadziła z pozostałymi dziewczynami rzeczowe i poważne rozmowy. Istny generał w spódnicy. Doskonale zorganizowana, profesjonalistka od stóp do głów. Szczupła, kostyczna, o surowej twarzy i dość obcesowych manierach komenderowała całym domem, wprowadzając porządek. Każda z dziewczyn wiedziała, co do niej należy, i chodziły, jak w zegarku pod jej czujnym okiem. Najmłodsza z nich Marta – miła, uprzejma i wiecznie spłoszona. Wydawało się, że policzki płoną jej za każdym razem, gdy ktoś się do niej zwróci. Robiła wrażenie osoby bardzo przejętej swoją rolą, dlatego Beth od początku miała ją w garści. Martha bez szemrania zносиła każdą uwagę i spełniała wszelkie polecenia. Jasnowłosa, pulchna, o szerokim, szczerym uśmiechu budziła sympatię od pierwszego spojrzenia.

Trzecia – Dorothea – najmniej komunikatywna. Solidnie, w milczeniu wypełniała wszystkie obowiązki, była dokładna i zdyscyplinowana. Jednak w jej zachowaniu wyczuwało się wyraźny dystans. Ciemnowłosa, w trudnym do określenia wieku, rzadko się uśmiechała i niechętnie brała udział w „kuchennych naradach”.

Dzięki ich pomocy i sugestiom Vic zorganizowała przeprowadzkę nawet szybciej, niż planowała. Termin przekazania pacjentki ustalono na sobotę i był to idealny dzień. Mały ruch na drogach nie zatrzymał niewielkiego konwoju zmierzającego do Lake Falls. Na czele Vic z Matem, za nimi karetka ze śpiącą Kat, na końcu dwie wynajęte furgonetki przewożące niezbędne wyposażenie i wszystko, co mogło być potrzebne do opieki nad chorą. Od wacików poprzez dziesiątki kompletów różnej wielkości strzykawek aż do urządzenia, które sprowadzono dla niej specjalnie z kliniki – komputera monitorującego stan dziecka i samodzielnie wysyłającego raporty do portu docelowego w laptopie Mata. Vic miała nadzieję, że nie zapomniła o niczym. Z jej domu do szpitala były dwie godziny szybkiej jazdy, do najbliższej hurtowni medycznej znacznie dalej. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby cokolwiek przeoczyć.

Dojechali zgodnie z planem. Kat z wolna wybudzała się ze snu, gdy karetka skręciła na podjazd. Na widok Jonathana i jego ekipy czekającej przed domem Vic ogarnęła fala ciepła. Swoją pracę skończyli poprzedniego dnia, zapłaciła im i osobiście pożegnała się z każdym pracownikiem. Nie musieli przychodzić...

Z karetki wyskoczyło dwóch sanitariuszy, na ten sygnał czekał Jonathan i jego ludzie. Pomogli wypakować stelaże i pod czujnym okiem Mata delikatnie wysunęli nosze.

Było chłodno, więc Kat zapakowana została w termoizolacyjny śpiwór, jej zaspane na wpół przytomne oczy wodziły po nieznanym twarzach z wyrazem zdziwienia i zaniepokojenia. Vic podeszła do niej, żeby w końcu wypowiedzieć słowa, dla których rozpętała całe zamieszanie.

– Witaj w domu, kochanie.

I czule pogłaskała jej chude ramionka. Jonathan rozmawiał właśnie o czymś z Matem, żywo gestykulując. Widocznie spodobała mu się odpowiedź, bo podeszedł do niej i powiedział:

– Zgodził się. Mogę ją wnieść na rękach, w ten sposób będzie mogła zobaczyć dom i okolicę. Pozwolisz? – Popatrzył na Vic, miał w oczach niezwykłą dla siebie powagę.

Skinęła potakująco głową, bo coś nagle ścisnęło ją za gardło, gdy ten obcy mężczyzna z tkliwością pochylił się nad jej córką.

– Cześć – powiedział cicho. – Nazywam się Jonathan. Chcesz zobaczyć swój dom?

Z delikatnością, o którą go nie podejrzewała, wziął na ręce mały tłumoczek, tak jak bierze się niemowlę. Szedł, niosąc ją w ramionach i co chwila przystawał, aby coś powiedzieć lub pokazać. Mat nie odstępował go na krok.

Została z tyłu, bo musiała dyskretnie wytrzeć łzy, które napłynęły jej do oczu.

W środku wszystko było już na swoim miejscu, pracownicy przenieśli rzeczy z furgonetek pod czujnym okiem pielęgniarek. Kat znalazła się w swoim łóżku osłuchiwana przez Mata, sanitariusze podłączali sprzęt, a Jonathan zniknął.

Vic zastała go na tarasie zapatrzonego w niebo ponad koronami drzew.

– Dziękuję – powiedziała cicho – za wszystko, co dla mnie – poprawiła się – dla nas zrobiłeś.

– Jeśli – odpowiedział także niemal szeptem – będziesz czegokolwiek potrzebowała, nawet zwykłej rozmowy z przyjacielem, będę szczęśliwy, gdy do mnie zadzwonisz. O każdej porze dnia i nocy. Znasz numer, będę czekał – zawahał się i spojrzał w jej stronę z uśmiechem, który nie obejmował oczu – także na wieści o tym, jak się czuje mała.

Powiedział to w taki sposób, że przez chwilę miała ochotę przytulić się do jego szerokiej, opiętej kraciatą koszulą piersi i wypłakać za te wszystkie beznadziejne miesiące, kiedy samotnie walczyła z depresją i rozpaczą.

Pragnęła wylać w końcu tłumione łzy, które dławiły ją nocami i doprowadzały na skraj szaleństwa. Podświadomie czuła, że Jonathan by zrozumiał. Ale nie mogła pozwolić sobie na żadną chwilę słabości. Nie wtedy, gdy jej córka leżała za szybą, przez którą łatwo mogła zauważyć matkę szlochającą w ramionach nieznanego mężczyzny.

– Pójdziemy już, chyba że jestem ci jeszcze do czegoś potrzebny. Potrząsnęła przecząco głową i wyciągnęła do niego dłoń. Ujął ją swoją mocną, ciepłą prawicą, a lewą ręką delikatnie przesunął po jej wargach.

Wzdrygnęła się zaskoczona, choć ten intymny dotyk nie miał w ogóle erotycznego podtekstu.

– Skaleczyłaś się – powiedział, pokazując swój palec, na którym była krew. – Zadzwonisz?

Wiedziała, że zadzwoni. Stał przed nią człowiek, z którym chciała rozmawiać, potrzebowała takich ludzi, szczególnie teraz.

Opieka domowa nad chorym dzieckiem nie była łatwa. Mat, zgodnie z obietnicą, został do końca weekendu. Pomysły Jonathana okazały się bezcenne. Głośniki, z których sączyła się cicho muzyka, dyskretnie ukryty w ścianie telewizor, który zmieniał się po naciśnięciu guzika w ogromne akwarium pełne rybek połyskujących złotem, światła reagujące na kłaśnięcia, projektor rzucający na sufit mapę nieba i mnóstwo innych niespodzianek, które co rusz zaskakiwały dziewczynkę.

Eve, którą Kat bardzo lubiła, podjęła się wprowadzić zatrudnione pielęgniarki w ich obowiązki, a przy okazji robiła, co w ludzkiej mocy, aby nieprzyjemne czynności higieniczne i konieczne zabiegi sprawiały małej jak najmniej bólu.

Dzień rozpoczynał się wraz ze świtem, kiedy na podjazd wtaczała się stara honda Teresy, gosposi i kucharki w jednym. Później przychodziła ciężka próba wmuszenia w Kat śniadania. Na wpół sparaliżowana dziewczynka już w momencie podnoszenia łóżka do pozycji siedzącej zaczynała popłakiwać. Podczas posiłku pluła utartymi jabłkami i wymiotowała po kaszce. Zaniepokojona Vic zbadała ją dokładnie, raz jeszcze obejrzała dokumentację ze szpitala i doszła do wniosku, że Mat miał rację. Problemem było zbyt długo utrzymywane żywienie pozaustrojowe. Zgodnie z zaleceniem lekarza Kat powinna zjeść samodzielnie choć jeden posiłek, ale dotychczas odbywało się to strasznym kosztem.

Nocą, mimo że czuwały zawsze dwie pielęgniarki, Vic nie miała ochoty

odchodzić od łóżka córki. Śmiertelnie zaczęła się bać, że nie zdąży. Nie zrobi na czas badań koniecznych do opracowania lekarstwa, że spotkanie z Obcym tylko jej się przyśniło lub było projekcją pobożnych życzeń.

Minęła niedziela, a poniedziałkowy wieczór przechodził już w późną noc. – Nie dziś – pomyślała głęboko rozczarowana.

Kat dostała środek nasenny i powoli zapadała w stan lekkiej drzemki. W przyciemnionym świetle nocnej lampki, Vic siedziała koło łóżka, trzymając ją za rękę i z rozpaczą patrzyła na mizerną twarz swojej córeczki. Gdzie podziiała się jej radość życia? Kiedy obcięto jej piękne blond włosy? Gdzie zniknęły dołeczki wywoływane uśmiechem? Kto ukradł jej rumieniec rozświetlający policzki? Patrzyła na swoje dziecko i widziała ostatnie stadium raka. Tam na łóżku to już nie była Kat, ale śmiertelnie chore dziecko, dla którego każdy dzień może być ostatnim. Jej córkę porwał zły giejak. Zabierał życie i powoli niszczył duszę.

– Pora na zmianę – powiedział cicho dobrze jej znany, męski głos – musisz odpocząć.

ROZDZIAŁ V

Próbowała protestować, gdy podszedł do niej i podniósł jej trzęsące się z nerwów oraz zmęczenia dłonie. Popatrzył na nią z lekceważeniem i powiedział:

– Może i jestem nieśmiertelny, ale tymi dłońmi kłuć mnie nie będziesz. Zawołała pielęgniarkę i przekazała jej opiekę nad córką. Milcząc, weszli po schodach, on – do swojego pokoju, ona – do sypialni, pewna, że nie będzie w stanie zasnąć.

Zamontowany w drzwiach do łazienki potrójny zamek przestał nagle wyglądać równie solidnie jak w ciągu dnia.

Przekręciła klucz i w ubraniu padła na łóżko. Była jednocześnie podekscytowana perspektywą badań i potwornie zmęczona. Miała zamiar chwilę odpocząć, a później wziąć się do pracy, jednak zmęczone powieki zdecydowały za nią. Tym sposobem znalazła się w środku koszmaru.

W bladobłękitnym blasku laboratoryjnych lamp zobaczyła skuloną na fotelu postać. Rozpuszczone, siwe włosy opadały na przeraźliwie chude ramiona okryte strzępami cienkiego, białego materiału, w którym rozpoznała stary fartuch lekarski. Dłoń, ledwie powleczone skórą, oparta o marmurowy blat bardziej przypominała rękę mumii niż żywego człowieka. Ale palce wystukujące gwałtowny rytm świadczyły o tym, że kimkolwiek jest ta kobieta, bez wątpienia jeszcze żyje. Obok leżał gruby notes oprawiony w czarny aksamit.

Vic wstrzymała oddech, z niewytłumaczalnego powodu bała się tej kobiety, choć jednocześnie coś ją do niej przyciągało. Postanowiła zwrócić na siebie jej uwagę i dotknęła wychudłego, starczego ciała.

Czas się zatrzymał, a wyciągnięta dłoń zawisała w powietrzu, nie mogąc pokonać niewidzialnego oporu. Vic mimowolnie spojrzała do góry. Na suficie wisiało ogromne, przechylone lustro – zimny kawałek szkła, w którym odbijała się straszna twarz. Z głębi poranych zmarszczkami, sinych otworów patrzyły na nią pełne udręki oczy kobiety. Jej własne oczy.

Zacęła krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Tkwiła uwięziona w zasuszonym ciele starej kobiety, a język bezskutecznie próbował odnaleźć zęby w zapadniętych dziąsłach. Wzrok powoli mętniał, a lodowaty chłód wpełzał w każdy zakamarek ciała, mroząc do bólu kości i stawy. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła i zapamiętała, był czerwony napis na blacie: „Dar krwi jest mrocznym

dziedzictwem” wydrapany połamanymi paznokciami.

Rano obudziło ją ciche pukanie. Przekonana, że za drzwiami stoi Obcy zerwała się szybko i przyglądała włosy. Po drugiej stronie drzwi stała Eve.

– Jak on to zrobił – zapytała, przyglądając się Vic krytycznie. – Zapędził cię do łóżka i zmusił do zaśnięcia bez używania hipnozy lub wyrafinowanej przemocy? To chodzący cud, a nie psycholog. – Widząc jej zdziwioną minę, dodała: – Wiem wszystko, twój gość zdążył już wczoraj wywołać sensację. Podobno jest niebywale przystojny.

Zaskoczyło ją, że Eve określiła go mianem, którego sama by nigdy nie użyła. Obcy owszem był intrygujący, ale przystojny, nigdy w życiu.

– Do tej pory go nie widziałam, lecz wiem z opowiadania pielęgniarek, które się nad nim wprost rozplývają. Zejdź lepiej na śniadanie i posłuchaj, co mówią. Zdziwisz się.

Miała rację. Obie pielęgniarki jedna przez drugą relacjonowały wydarzenia z ubiegłej nocy i od nich dowiedziała się, że gość siedział niemal do rana w pokoju Kat. Dziewczynka rzucała się niespokojnie we śnie, a on zaczął ją głaskać po ręce.

– Żeby pani to zobaczyła – mówiła podniecona Beth. – Uspokoiała się natychmiast, westchnęła i do rana był kompletny spokój. Teraz proszę spojrzeć jej w oczy. Przysięgłabym – tu uderzyła się w piersi na znak, że nie kłamie – ma dzisiaj znacznie zdrowszą buzię. Proszę popatrzeć. Nie uwierzy pani.

Vic bez słowa poszła do Kat. Dziewczynka nie spała, siedziała w pozycji półleżącej i bawiła się pilotem sterującym akwariem. Pierwszy raz od wielu dni była ożywiona, a w jej oczach jaśniał wrócony cudem leciutki blask. Cień dawnego spojrzenia.

– Mamo – cichutkim głosem spytała Kat. – Kto był u mnie w nocy?

Główka opadła jej na poduszkę, ogromne, podkrążone oczy wpatrywały się w matkę pytająco.

Była to najdłuższa wypowiedź Kat od kilku tygodni. Od czasu, gdy postępujące uszkodzenie mózgu niemal odebrało dziewczynce mowę, zastępując ją bełkotliwym gulgotaniem niemowlaka. Vic wiedziała, że córka czeka na odpowiedź, ale ze wzruszenia żadne słowa nie mogły jej przejść przez gardło. Musiała odwrócić wzrok, żeby Kat niczego nie zauważyła.

– Będiesz miała nowego lekarza – wykrztusiła z siebie. Kolejne kłamstwa przychodziły jej coraz łatwiej. – Psychologa, który pomoże ci odzyskać siły.

Kat spojrzała na nią przenikliwie i powiedziała:

– Śniło mi się coś bardzo przyjemnego – urwała, zbierając siły, żeby

powiedzieć kolejne słowo. – Ładnego – dodała. – Zjem śniadanie, jeśli będzie mi się śniło to samo.

Vic odwróciła wzrok i spojrzała w okno. Wstawał dzień, słońce powolutku zaczynało muskać trawnik, bladymi promieniami sącząc się przez okno. W końcu nie miała nic do stracenia – powinien to zrozumieć.

Wstała bez słowa i poszła pod drzwi jego sypialni, a gdy nie odpowiedział na pukanie, zdobyła się na odwagę i lekko je uchyliła.

Panująca ciemność odcięła ją od możliwości zerknięcia na pokój. Bała się przekroczyć próg, choć – jak śmiała się z siebie w duchu – ten strach miał wydumane oblicze horrorów klasy B. Po prostu nie wiedziała, jak zareaguje na widok trumny stojącej na środku pokoju.

– Czego chcesz? – zapytał.

Światła zapłonęły. Nie było żadnej trumny. Normalne proste łóżko, szafka z rozrzuconymi książkami. Pustawo i gdyby nie pewien trudny do zidentyfikowania – choć przyjemny – zapach, można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka.

– Czy mógłbyś? Jedyny raz...

Zupełnie bez powodu poczuła się niezręcznie. Stał bez słowa z rękami zaplecionymi na piersi i patrzył na nią z góry zmrużonymi oczami. Zakłopotana spuściła wzrok na swoje stopy. Gdy cisza zaczęła uwierać ich oboje, tonem nieznośnym sprzeciwu powiedział:

– Opuść żaluzje na dole.

Energicznie odwróciła się na pięcie i prawie zbiegła ze schodów. Nie wiedziała, czy ucieszyła się z jego kapitulacji, czy może poczuła ulgę, że opuszcza ten obcy już dla niej pokój, przesączony dziwnym, lekko mdłym zapachem. Koniec końców najważniejsze było, że zgodził się odwiedzić jej córkę.

Zasłoniła wszystkie okna, sprawdziła kilka razy szczelność ciężkich, ciemnych żaluzji i w panującym gęstym półmroku czekała na niego z pilotem w dłoni.

Zszedł po schodach, ostrożnie rozglądając się na boki. Bez słowa odebrał od niej urządzenie i wszedł do prowizorycznie zorganizowanej kuchni.

Przy stole, zaskoczone nagłym zapadnięciem ciemności, siedziały dwie pielęgniarzki z nocnej zmiany rozmawiając z Eve. Na jego widok zapadła cisza. Vic minęła się z nim w drzwiach i weszła do kuchni. Chciała go wprowadzić, przedstawić siedzącym kobietom, lecz nie wiedziała jak. Okazało się, że przeoczyła bardzo istotną kwestię. Nie uzgodnili wcześniej, kim dla domowników będzie El'lar z rodu Hanedar.

– To jest...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Nazywam się William Barrow – powiedział spokojnie i bez zająknięcia. – Jestem psychologiem z APA. Będę opiekował się Kat i Victorią. – Uśmiechnął się swoim nieco dziwnym, krzywym półuśmiechem. – Miło mi panie poznać.

Vic prawie usłyszała, jak Eve wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. Patrzyła, nie wierząc własnym oczom. We wszystkie kobiety nagle coś wstąpiło. Kokietowały go!

Pulchna Martha, rozchichotana Eve urokliwie wystudowanym gestem odrzucająca włosy, które opadły jej na policzek, nawet zasuszona Beth, której twarz nie nawykła do uśmiechu, przekrzywiła wdzięcznie głowę i spod rzęs rzuciła mu ukradkowe spojrzenia. Niemożliwe, pomyślała Vic, kupił je już przy pierwszym spotkaniu.

Podobnie jak kupił Kat, gdy tylko do niej wszedł. Dziewczynka spojrzała na niego z wypisaną na buzi radością.

– Mam na imię William – powiedział ciepłym, aksamitnym głosem, wywołując uśmiech na twarzy Kat.

Usiadł przy niej z talerzykiem owocowego przecieru w jednej ręce i łyżeczką w drugiej.

– Zjesz mango – oznajmił, nie dodając żadnej obietnicy ani zachęty. Ku zdumieniu Vic, dziewczynka przełknęła bez słowa protestu przeznaczoną dla niej porcję. Nikogo nie opluła ani się nie zakrzuszyła. Jedną ręką trzymała go za dłoń, którą podawał jej łyżeczkę. – Dzisiaj nie dawaj jej środków usypiających – powiedział. – Przyjdę później i pomogę jej zasnąć. – Niedbałym gestem pogładził rzadkie, matowe włosy Kat. – Na mnie pora. – Wstał od łóżka dziewczynki i patrząc na Vic, dodał: – Powinnaś zacząć testy.

Nie mogła oderwać oczu od buzi córki, dlatego jego słowa dotarły do niej z opóźnieniem. Wczoraj oddałaby wszystko za widok, który dziś zobaczyła.

Na policzkach Kat pojawił się delikatny rumieniec, w kącikach ust połyskiwały żółte kropelki soku. Spokojna i ufna wodziła wzrokiem za mężczyzną, który przed nią stał, pogrążając jej łóżko w jeszcze gęstszym mroku.

Z wdzięczności za ten zwykły cud Vic spojrzała mu w oczy i przez ułamek sekundy zobaczyła w nich coś, co uznała za przewidzenie spowodowane zmęczeniem oraz ciemnościami panującymi w pokoju. Tylko czasami, tuż przed zaśnięciem, wracało do niej to spojrzenie – przesycone lodowatą pogardą. Kamienny wzrok drapieżnika, który w ostatnim akcie obdarowuje nim wystawione na jego łaskę ofiary.

Ocknęła się z zamyślenia, bez słowa podeszła do metalowego blatu, wzięła

strzykawkę i mechanicznie rozerwała opakowanie. W oczach Kat pojawił się pełen bólu protest. To małe dziecko miało zdecydowanie dosyć widoku igieł.

Podwinęła mężczyźnie rękaw, zadzierzgnęła opaskę, ani raz nie podnosząc głowy. Nie mogła spojrzeć mu w twarz.

Pod naciskiem palca miękkie ciało ustąpiło i krew wpompowana do strzykawki zabulgotała spienioną czerwienią. Ostrożnie wyjęła igłę i założyła na nią ochronny kapturek. Dziewczynka, nic nierozumiejąc, oczami wodziła od niej do mężczyzny, zaskoczona, że nie ją tym razem użądliła igła.

Oboje wyszli, mijając się w drzwiach bez słowa.

Obcy wszedł po schodach, a ona wezwała pielęgniarkę i przekazała jej opiekę nad Kat. Za nic nie chciała odchodzić od łóżka swojej córki, miała jednak ważne zadanie do wykonania. Niosąc do połowy wypełnioną strzykawkę niczym największy skarb, wkroczyła do swojego azylu – świeżo ukończonego laboratorium.

Gdy panująca ciemność ustąpiła ostremu, błękitnemu światłu jarzeniówek, usiadła ciężko na obrotowym taborecie i położyła przed sobą fiolkę z bezcennym płynem. Patrzyła tępo na zegar i przeskakujące cyferki. Czekała.

Szum klimatyzacji, lekki chłód i połyskująca czerwienią krew zamiast dodać jej energii do działania sprawiły, że po raz kolejny dopadły ją wątpliwości, niczym rój wściekłych komarów, kłusząc każdy obwód w mózgu.

Dla dobra własnego dziecka podpisała pakt z demonem. Prawdopodobieństwo porażki było w niego wpisane szkarłatnymi literami. Kilka lat temu – bez doświadczeń, które zahartowały ją w ogniu bólu i rozczarowań – prawdopodobnie przyjęłaby dar Obcego z naiwnością oraz wiarą w jego dobre intencje. Dziś...

Poranna wizyta w pokoju córki upewniła ją, że coś jest bardzo nie w porządku, jakby przeoczyła ukryty dopisek wyskrobany maluteńkimi literkami. Dopisek, którego nie chciała widzieć, oszołomiona otrzymaną szansą.

Dlaczego jednak czuła się w pewien sposób oszukana? Nie potrafiła wskazać momentu, od którego jej intuicja zaczęła bić na alarm.

W domu była świadkiem czegoś ważnego. Miała wrażenie, że wątła nitka domysłu umyka jej uwadze, jakiś szczegół, niemal nie wart zainteresowania, ale mogący rzucić snop światła na ich wzajemne relacje.

Analizowała krok po kroku każdy jego ruch, sposób, w jaki zwracał się do pielęgniarek i Kat. Starła się wychwycić ulotne gesty i słowa, które mogły mieć poważniejsze znaczenie, niż z pozoru na to wskazywały.

Zrozumiała, że od dzisiejszego poranka zaczęła się między nimi śmiertelnie

niebezpieczna gra. Zwycięzca w niej odchodził z wygraną, a pokonany, oprócz wiecznego potępienia, zostawał z niczym. Jeśli choć przez chwilę żywiła nadzieję, że szanse są wyrównane, to była skończoną idiotką.

Z drugiej strony, bawiąc się w koci łapci z lwem, nie można mieć do niego pretensji, że w pewnym momencie instynkt weźmie górę. A ona właśnie zaczynała taką zabawę z pełną świadomością, że lew nie jest oswojony i nie gra czysto.

O wampirach słyszała tyle, co każdy. Widziała kilka kiepskich horrorów, w których większość podawanych „prawd” była wyssana z palca scenarzysty. Sam powiedział, że boi się słońca, a w skuteczność krzyża nie chciało jej się wierzyć. Zarzekał się, że nie używa manipulacji i nie potrafi ingerować w ludzkie umysły. O ile pielęgniarki i Eve mogły rzeczywiście ulec jego fascynującej urodzie – choć ona sama okazała się kompletnie odporna na ten typ – o tyle ów argument nie był w stanie wyjaśnić wpływu, jaki „nowy lekarz” wywierał na Kat.

Dzień wcześniej dwie małe łyżeczki przecieru jabłkowego ozdobiły ściany, dziś bez słowa sprzeciwu zjadła mango, bo podał go wampir? Spała dobrze, poczuła się wypoczęta, powiedziała pierwsze zdania od tygodni, bo znalazł się w pobliżu?

Najwyraźniej jej nowy znajomy grał znaczonymi kartami. Potrafił wpływać na ludzi i narzucać im swoją wolę, a zatem dlaczego nie używał tej umiejętności na niej? Dwukrotnie musiał udowadniać, kim jest, zamiast od razu przekonać ją do swojego pomysłu. Ba, nie musiałby wcale pomagać Kat, mógł po prostu pewnego dnia zmusić ją lub kogokolwiek innego do uwolnienia pozostałych wampirów. Coś tu ewidentnie nie grało i koniecznością stało się zdobycie większej wiedzy o nim i jego gatunku.

W tym momencie przypomniała sobie o książce – tak lekceważąco potraktowanym prezencie. Co gorsza nie widziała jej nigdzie od czasu przebudowy.

Wzięła do ręki strzykawkę i potrząsnęła nią, krew nie zmieniła koloru, lecz w tulejce nic nie zakolebało. Od pobrania upłynęło dokładnie dwadzieścia minut.

Płyn zamienił się w ciało stałe. Rozbiła rurkę i wytrząsnęła na metalową tackę czerwony walec. Obejrzała go dokładnie, włożyła lateksowe rękawiczki i rozpoczęła badania.

Zważony i zmierzony krwawy sopel należało rozłupać na małe fragmenty, które mogłyby stać się materiałem do dalszej obróbki. Delikatnie skalpelem zeszkrobała cienkie strużyny i włożyła je do wcześniej przygotowanych probówek. Teraz należało czekać, aż któraś z dodanych substancji zdoła przywrócić im płynny charakter. Jeśli żadna, miała poważny problem.

Zostawiła włączony mieszalnik i poszła szukać książki.

Dotarła do domu, ale zamiast zajrzeć do dziecka, rozpoczęła metodyczne poszukiwania.

Po przebudowie parter zmienił się nie do poznania, zamiast salonu powstał ogromny pokój, w którym przebywała Kat, oraz mała kuchnia, służąca pielęgniarce jako miejsce przygotowania posiłków i odpoczynku.

Wszystkie meble ekipa Jonathana wyniosła do pokoju gościnnego, który powstał w przybudówce nad dawnym garażem. Z wyposażenia salonu pozostał jedynie komin, zajmujący część ściany w kuchni. Swoje poszukiwania zaczęła właśnie tam.

Odsunęła każdą szafkę, w gruncie rzeczy nie wierząc, że Jonathan i jego ludzie mogliby ustawić meble na leżącej w kącie książce. Ale musiała się przekonać na własne oczy, dlatego zajrzała wszędzie, nawet w czarny otwór paleniska. Oprócz nadpalonego polana nie było w nim nic. W szafkach z wyjątkiem koniecznych naczyń i sztuców także.

Poszła na górę, przeszukała dokładnie nieużywany pokój, aneks kuchenny i w końcu trafiła do swojej sypialni. Przejrzała każdy możliwy zakamarek, wyrzuciła na środek całą zawartość szafy, nawet zanurkowała pod łóżko. Z takim samym skutkiem. Książka zniknęła.

Przez taras zeszła do garażu, aby poszukać w ostatnim możliwym miejscu – pokoju gościnnym.

Niewielką przestrzeń pomieszczenia całkowicie zagracały nagromadzone sprzęty z salonu. Rozłożyste biurko i masywne regały swoimi ciemnymi kolorami dominowały i przytłaczały za niskie dla nich wnętrza. Pokój sprawiał wrażenie nieco klaustrofobicznego, był ciasny i mroczny, gdyż małe okno nie było w stanie zapewnić odpowiedniego oświetlenia.

Szukała tej jednej opasłej i nieprzyjemnie śliskiej w dotyku książki, wodząc palcem po tak dobrze jej znanych grzbietach. Bez efektu.

Zajrzała do biurka, przeglądając szufladę po szufladzie. Nic. Przez całe poszukiwania przeklinała w duchu swoją głupotę i krótkowzroczność.

Usiadła załamana w fotelu i zaczęła się zastanawiać. Pierwszym pomysłem, który przyszedł jej do głowy, był telefon do Jonathana. To byłby doskonały pretekst, aby usłyszeć jego głos. Myślała o rozmowie z nim od niedzieli, dlatego siłą powstrzymywała się od wzięcia słuchawki i wystukania znanego numeru.

Doskonale wiedziała, że na pierwszym kontakcie się nie skończy. Mogłaby z nim rozmawiać codziennie, opowiadając o wszystkim, bo przyjaciel taki jak on był jej bardzo potrzebny. Z drugiej strony nie chciała wikłać Jonathana

w swoją beznadziejną sytuację. Nie znali się za dobrze i nie wypadało, by w sumie obca kobieta zawracała mu głowę swoimi problemami. Tak poważnymi, że nie miałyby sumienia grzecznie ją spławić. Musiałby przykuć się do aparatu i godzinami wysłuchiwać opowieści o jej stanach emocjonalnych. Jej problemy miały za wielki gabaryt, aby obciążać nim nieznanego mężczyznę. Raz na jakiś czas krótkie: Co słyhać? – wystarczy. Nie powinna zawracać mu głowy kłopotami, które przerosną każdego.

Poderwała się z fotela, obiecując sobie, że w ostateczności zadzwoni do niego wieczorem.

Wróciła do laboratorium, gdzie mechaniczne mieszało trzęsło probówkami. W żadnej z nich nie pojawił się wyczekiwany płyn. Każda pobrzękiwała czarnymi kryształkami.

Wyjęła próbki i wyrzuciła do kosza. Ani jeden z dostępnych środków nie rozpuszczał jego krwi, chyba że...

Otworzyła notes i zaczęła na szybko zapisywać wyniki oraz spostrzeżenia. Przyszło jej do głowy proste rozwiązanie. Powinna znaleźć rozpuszczalnik, który nie dopuści do krystalizacji. Nieistotne było, jak upłynnić zestaloną krew, ale jak nie dopuścić do jej zamiany w ciało stałe. Żaden proces biologiczny nie przypominał tego, co miała przed oczami.

Płyny krzepły, parowały, utleniały się, lecz żaden nie zamieniał w kryształy. Zatem struktura chemiczna jego krwi musiała być różna od wszystkich znanych nauce cieczy.

Starannym, drobnym maczkiem zapisywała swoje rodzące się jedna pod drugiej hipotezy. Powinna zachować do badania, choć milimetr płynnej substancji, aby określić jej skład. Bez tego analiza była trudna, jeżeli w ogóle możliwa.

Kryształy pod mikroskopem przypominały małe, półprzejrzyste rubiny, które w kontakcie z powietrzem matowiały, czerniały, stając się twarde i odporne na mechaniczne uszkodzenia.

Potrzebny byłby geolog lub mineralog, pomyślała, wkładając kolejną szalkę Pietriego na okular. Na monitorze pojawił się identyczny obrazek. Ziarenka podobne do piasku, o zastanawiająco regularnej budowie przylegały do siebie niczym sklezione. Nie było jednak między nimi żadnego płynu, żadnego elementu spajającego. Stanowiły strukturę podobną do plastra miodu lub układanki z puzzli, gdzie każdy element był idealnie dopasowany do następnego.

Ciemnoczerwone kryształy w masie nabierały odcienia przechodzącego od granatu do czerni, a ich ścianki załamywały światło. To już nie była krew, lecz minerał.

Podobne zjawisko następowało przecież w bursztynie, z tą różnicą, że bursztyn poddawany działaniu agresywnych rozpuszczalników, wracał do swojej pierwotnej formy miękkiej żywicy.

Rozpaliła palnik i zaczęła ogrzewać trzymaną w szczypcach drobinę, ku jej zaskoczeniu pod wpływem temperatury zmienił się kolor bryłki. Podkreśliła ogień i nagle fuknęło. Drobiną rozjarzyła się jasnym ognikiem i spopieliała, pozostawiając na szczypcach czarny, tłusty osad. Odruchowo, nie odwracając wzroku, sięgnęła w poszukiwaniu kolejnej próbki i ze zdumieniem odkryła, iż nie został nawet jeden kawałek. Ostrożnie i z namaszczeniem zebrała osad ze szczypiec w nadziei, że z takiej resztki spektrometr zdoła uzyskać wyniki, lecz wyświetlony na ekranie komunikat nie pozostawiał złudzeń. Próbka okazała się niewystarczająca.

Uporządkowała zdobyte dane i od razu zapisała kolejne spostrzeżenia, wśród których na pierwszym miejscu znalazł się zakup książek z zakresu geologii, mineralogii i chemii organicznej. Informacje zdobyte w Internecie były albo zbyt ogólnikowe, albo zbyt naukowe i niewiele z nich rozumiała. Potrzebne jej były konkretne wskazówki dotyczące hodowli kryształów, ponieważ mogły odpowiedzieć na podstawowe pytanie – jaki czynnik determinuje ich powstawanie.

Zamknęła notes w sejfie, sprzątnęła blat, wyrzuciła niepotrzebne już fiolki, po czym zamknęła za sobą drzwi na zamek szyfrowy. Ten nadmiar ostrożności nie był podyktowany rodzącą się paranoją. Po domu kręciło się zbyt wielu ludzi, aby zostawiać dane w zasięgu ich ciekawskich oczu.

Wyszła z garażu i z niedowierzaniem rozejrzała się po okolicy. Słońce chyliło się ku zachodowi, prześwietlając swoimi słabymi, jesiennymi promieniami okoliczne drzewa. Nadciągał wieczorny chłód. Ubrana w jeansy i cienką koszulę zadrzała od przenikliwego powiewu, który smagnał ją po ramionach.

Spojrzała w górę na okno zasłonięte ciężkimi, drewnianymi okiennicami.

Czym on się żywi, pomyślała i włosy stanęły jej dęba. Przebywa z nami pod wspólnym dachem, przecież musiał coś – poprawiła się w myślach – kogoś jeść.

Nagle zaczęła drżeć bardziej z nerwów niż pod wpływem chłodnego powietrza.

Priorytetowa okazała się kwestia zapewnienia wszystkim bezpieczeństwa bez narażania siebie i dziecka. Oczami wyobraźni zobaczyła roześmianą Eve i twarze wynajętych pielęgniarek.

Żyły nieświadome zagrożenia pod jednym dachem z legendarną istotą, wampirem, którym straszy się niegrzeczne dzieci, a nawet i one nie bardzo wierzą

w jego istnienie. Gdyby zdradziła tożsamość doktora Barrowa, mogłoby się okazać, że prędzej ją uznałyby za niebezpieczną i niepoczytalną, niż psychologa, któremu jadły z ręki od pierwszego spotkania.

W ten sposób naraziła wszystkich wokół na niebezpieczeństwo, które wynikało bezpośrednio z jej ignorancji. Koniecznie musiała z nim porozmawiać.

Przemarznięta weszła do ciepłego domu, odruchowo spoglądając na zegarek. Do zmroku pozostała godzina, więc postanowiła wyjaśnić sprawę zaginionej książki.

Usiadła na schodach i wystukała numer Jona. Ciepły głos rozproszył ponure myśli i trochę wyciszył emocje.

– Dobrze, że zadzwoniłaś, bo właśnie się do ciebie wybierałem – powiedział oschle. – A nie byłaby to miła wizyta. Zupełnie bez powodu zrobiło jej się przykro.

– Nie jestem jednym z tych ugrzeczniowanych miastowych facetów i powiem wprost: jestem zły, że tak długo się nie odzywałaś. Wygląda na to, że nie masz zwyczaju dotrzymywać obietnic – głos mu zmiękł. – Martwiłem się o was.

Jonathan był chyba jasnowidzem, właśnie na te słowa czekała i żeby je usłyszeć, gotowa była zadzwonić już dwa dni temu.

– Dziękuję ci – głos jej się lekko załamał – ale dla mnie „od czasu do czasu” oznacza nie częściej niż raz w tygodniu.

– Trzeba doprecyzować umowę, bo dla mnie jest równoznaczny ze słowem codziennie. Powiedz, co u małej?

– Ma się nieco lepiej, nawet zjadła śniadanie.

Mówiąc to, poczuła się winna. Od świtu nie miała czasu, aby zajrzeć do swojego dziecka.

– A ty? Spałaś w ogóle? – zapytał.

– Tak, wyobraź sobie, ale tylko dlatego, że jest już przy mnie.

– Rozumiem doskonale, dopóki nie zobaczysz lekarzy i szpitala wydaje ci się, że wszystko jest w porządku.

Roześmiała się szczerze.

– Pamiętaj do kogo mówisz. Zmieszał się lub doskonale udawał.

– Od każdej reguły są wyjątki.

– Komplementarz – powiedziała z udawaną przyganą.

– Skąd wiesz, że mówiłem właśnie o tobie? Speszyla się lekko i wbrew sobie podjęła słowną grę.

– To było oczywiste – mimo wszystko nie umiała przybrać owej lekkiej niezobowiązującej tonacji charakterystycznej dla flirtu. – Musiałbyś mnie

zobaczyć w szpitalu.

– Chęć widywania się z tobą nie ma nic wspólnego z medycyną i wiesz o tym doskonale – słowa Jonathana zabrzmiały zaskakująco poważnie.

Czuła jak zdradliwy rumieniec wypełza jej na policzki. Zdecydowanie zabrnęła za daleko.

– Czy bardzo byś się pogniewała... – Vic ze świstem wciągnęła powietrze. – Gdybym jutro wpadł na kawę?

Od początku wiedziała, że kontakty z Jonathanem nie doprowadzą do niczego dobrego. Miła, odprężająca pogawędka niebezpiecznie skręcała w uliczkę oznaczoną znakiem – Uwaga! Ślepy zaułek.

– Zapraszam – odpowiedziała szybko. – Miło będzie pogadać, a tak przy okazji, nie przypominasz sobie poniewierającej się gdzieś starej książki w czerwonych, skórzanych okładkach?

– Twoje intencje zostały rozszyfrowane – roześmiał się. – Gdybyś jej nie zgubiła, pewnie czekałbym na twój telefon do zimy, ale wygarnę ci to jutro w cztery oczy. Niestety, nie przypominam sobie żadnej takiej książki, jeśli podasz tytuł, zdobędę ją w księgarni i przywiozę.

– Nie rób sobie kłopotu – odpowiedziała odrobinę rozczarowana. – To tylko powieść, którą czytałam, nic ważnego.

Nagle coś delikatnie stuknęło ją w ramię. Nie odwróciła się, bo doskonale wiedziała, kto za nią stoi.

– Wobec tego do jutra, muszę już kończyć – rzuciła lakonicznie i rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Wstała, posyłając mu wściekłe spojrzenie.

Opierał się o balustradę ubrany z naturalnie elegancką nonszalancją w czarną koszulę, na której tle plamą czerwieni odcinała się okładka książki.

– Szukałaś mojego prezentu? – zapytał z jawnym lekceważeniem.

– Podśluchiwałeś! – syknęła oskarżycielsko.

– Skoro nie chciałaś, żebym słyszał, dlaczego siedziałaś na schodach?

– odpowiedział, a z jego miny wywnioskowała, że bawi się doskonale.

– To mój dom i siadam, gdzie chcę, czyżbyś nie potrafił, jak cywilizowany człowiek, po prostu dać znać, że czaisz się za moimi plecami?

Roześmiał się szczerze i zaraźliwie.

– W jednym zdaniu udało ci się strzelić dwa piramidalne idiotyzmy. Wiedziałem, co robię. Z tobą nie można się nudzić.

Zmieszała się, przyjęła pozycję bojową i oparła dłonie na biodrach, tarasując przejście.

– Oddaj mi książkę – powiedziała oschle.

Po raz drugi w twoje dłonie. – Podał jej opasłe tomisko. – Zejdiesz ze mną do Kat, czy wolisz, żeby zapomniała, jak wyglądasz?

Odczuła palącą żądze mordy, spojrzała na niego z pogardą i bez słowa usunęła się z drogi. Owionął ją niepokojący, ciężki zapach, gdy się mijali. Zszedł i odwróciwszy się nagle, grzbietem dłoni dotknął jej twarzy.

– Purpurę na twoich policzkach wywołał chłód czy efekt tej jakże fascynującej rozmowy?

Zignorowała zaczepkę, teraz gotowa była wbić mu kołek prosto w serce i długo, bardzo długo przyglądać się, jak kona. Zacisnęła usta w wąską kreskę.

Nie dam się sprowokować, powiedziała w duchu, za żadne skarby świata nie okażę, że potrafi wyprowadzić mnie z równowagi.

Uwaga o Kat zabolęła, tym bardziej że była celna. Nie dość, że z tego powodu miała potworne wyrzuty sumienia, to jeszcze doskonale sobie zdawała sprawę, iż jutrzejszy dzień najprawdopodobniej będzie wyglądał tak samo. Nie mogła, siedząc przy niej i trzymając za rękę, szukać leku, który być może uratuje jej życie. Doskonale o tym wiedział i świetnie bawił się, raniąc ją w samo serce.

Podążyła za Obcym do pokoju córki, ale wewnątrz gotowała się ze złości.

Bezczelny wampir, myślała. Złośliwy, wstrętny krwiopijca. Jadowitym spojrzeniem przewiercała jego plecy, a konkretnie jeden ich fragment na wysokości mostka, nieco po lewej stronie.

Po wcześniejszej rozmowie nabrała pewności, że kolejne dni okażą się dla niej drogą przez mękę, próbą cierpliwości i charakteru. Nie stosował wobec niej żadnej taryfy ulgowej i wyraźnie prowokował, dążąc do starcia, dlatego musiała za wszelką cenę zachować zimną krew.

Gniew ulotnił się bez śladu, gdy dowiedziała się o kolejnym maleńkim cudzie, jednym z tych, które do końca oszukują i zmuszają, żeby ożywiać ulotną nadzieję.

Kat po południu zażądała spaceru. Zaskoczona pielęgniarka nie mogła uwierzyć własnym uszom. Szukała Vic, żeby jej o tym powiedzieć, a ponieważ nigdzie jej nie znalazła, sama podjęła decyzję. Zapakowała dziewczynkę do śpiwora i na kilka minut wystawiła na taras.

Beth niepewna, czy jej pomysł przypadł Vic do gustu, zaczęła się tłumaczyć, że poczyniły wszystkie konieczne środki ostrożności. Doktor Barrow poklepał ją z uznaniem po ramieniu a wniebowzięta pielęgniarka nie potrzebowała już innych słów aprobaty.

To zmusiło Vic do przywrócenia mocno zachwianej hierarchii.

– Jeśli coś takiego zdarzy się ponownie – powiedziała zimno, z przyjemnością

obserwując, jak kobieta zmienia się na twarzy – proszę pamiętać o ogrzewaniu na tarasie. Można je wcześniej włączyć z pokoju Kat. Za kilka minut powinno się na zewnątrz zrobić bardzo przyjemnie.

Spłoszona Beth odetchnęła z ulgą.

Kat leżała na łóżku i z zainteresowaniem oglądała bajkę, na ich widok uśmiechnęła się radośnie.

– Boli mnie gardło – powiedziała wesoło. – I byłam na spacerze. Vic sprawdziła jej temperaturę, a tymczasem doktor William usiadł w fotelu koło małej i delikatnie ujął ją za rękę.

– Opowiedz mi, co widziałaś...

Vic bezceremonialnie przerwała im pogawędkę, precyzyjnie się koło niego i nachyliła lampkę.

– Otwórz buzię – zażądała i zajrzała małej do gardła.

Było czerwone, ale nawet jej trudno było odróżnić początki zapalenia od zadrapań po rurce intubacyjnej. Kat nie mówiła od ponad trzech tygodni nie jadła normalnych posiłków, więc ból mógł być spowodowany mechanicznym podrażnieniem. Z drugiej strony ryzyko infekcji było realne i poważne, bo jej system immunologiczny w ogóle nie działał.

Zniecierpliwiona i podenerwowana Kat z trudem znosiła badanie, które przeszkadzało jej w rozmowie z ulubionym lekarzem. Gdy Vic w końcu odeszła od łóżka, w oczach małej pojawiło się głębokie rozczarowanie. Dziewczynka, zobaczywszy, że fotel obok był pusty, westchnęła i ciężko opadła na poduszkę.

Doktor Barrow wywierał ogromny wpływ na jej córkę i Vic dałaby dużo, aby dowiedzieć się, w jaki sposób tego dokonał. Być może odpowiedź ukrywała się w książce lub w nagraniach z kamer monitoringu. Powinna koniecznie sprawdzić, co zaszło ubiegłej nocy. Podobnie jak Kat westchnęła ciężko, wizja odpoczynku z każdą chwilą odchodziła do krainy niespełnionych obietnic.

Brakowało wam mojej obecności?

Cichy szept za uchem sprawił, że prawie podskoczyła z wrażenia.

– Oszalałeś! – udało jej się krzyknąć szeptem. Przestraszona swoim nagłym wybuchem spojrzała na Kat i łatwo mu wybaczyła, bo ujrzała córkę zaśmiewającą się do łez. Jak za dawnych, szczęśliwszych czasów.

– Ze mnie się śmiejecie, łobuzy? – zapytała łagodnie. – Wiecie, że niegrzecznie jest straszyć ludzi?

– Do usług – odpowiedział i odsunął ją lekko. Usiadł na łóżku z małą filiżanką w ręce.

– Wypijesz i zapomnisz o bólu gardła, obiecuję.

Kat otworzyła usta, gdy Vic złapała go za rękę, w której trzymał łyżeczkę.

– Co to jest? – zapytała. – Nie życzę sobie, abys dawał jej cokolwiek bez mojego pozwolenia.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Długo trwało zawiesiste milczenie, zanim powtórzyła zupełnie innym tonem. – Powiesz mi, co to jest?

– Tylko zioła.

I na jej oczach zaczął podawać Kat łyżeczkę po łyżeczce ciemnobrązowy napar, a ona chętnie wypijała każdą podaną porcję, siorbiąc przy tym rozczulająco.

Chciałaby wierzyć, że puściła jego rękę i pozwoliła wypić córce nieznanego napój, bo w jakiś specjalny wampirzy sposób wpłynął na nią, zahipnotyzował i zmusił do kapitulacji. Prawda miała znacznie bardziej gorzki smak. Ustąpiła, widząc w jego oczach protekcyjną pogardę, która wydawała się mówić: Kobieto, czy myślisz, że chciałbym ją otruć? Dlatego nie znalazła żadnego argumentu, którym mogłaby mu wytrącić z ręki tę cholerną filiżankę.

Rozumiała doskonale, że cokolwiek się stanie, on nie zagrozi życiu ani bezpieczeństwu Kat, przynajmniej dopóki oboje przestrzegają reguł umowy. Z tego powodu nie mogła się z nim spierać, nie przy wścibskich pielęgniarkach, czy dziecku ufającemu doktorowi Williamowi. Każde wypowiedziane w sprzeczce słowo, mogło naprowadzić niepowołanych na trop ich tajemnicy, a wtedy los Kat byłby przypieczętowany.

Słowna potyczka tak czy inaczej oznaczałaby jej przegraną, wolała zagryźć zęby i przełknąć gorzki porażki. Miała przy tym dziwną pewność, że podany napar rzeczywiście złagodzi ból gardła.

Zgodnie z daną rano obietnicą doktor Barrow przystąpił do usypiania dziecka. Delikatnie dotknął twarzy Kat, odgarnął zlepione kosmyki z czoła i zniżając ton do szeptu, zapytał:

– Bajka? – Mała potakująco kiwnęła głową.

Vic za nic w świecie nie odeszłaby teraz od jej łóżka, musiała usłyszeć historię, po której jej dziecko zaśnie bez jakichkolwiek leków.

Kolejny pieprzony cud, pomyślała zadowolona, że oprócz jej zawodnych zmysłów całą scenę rejestruje włączona kamera.

– Dawno temu, tak jak we wszystkich baśniach, za siedmioma górami żyła sobie dziewczynka, która miała na imię Łucja.

– Czy była do mnie podobna? – zapytała Kat wpatrzona w jego oczy niczym zahipnotyzowana przez wężyka mysz.

– Nic a nic – powiedział. Kat skrzywiła się płacząco. – I nie była beksą.

Miała swój niewielki domek w lesie koło strumienia, gdzie sarny i lisy przychodziły każdego ranka, aby napić się krystalicznie czystej wody. Nikt nie wiedział, ani czujny jastrząb, ani płochliwe zające, że dwa dni temu do ich lasu zawitał niezwykle gość.

– Kto to był? Książę? – zapytała z oczami rozplomienionymi ciekawością.

– Zły i okrutny wilk. Był to największy wilk, jaki przemierzał lasy i równiny, największy, jakiego kiedykolwiek mieli zobaczyć myśliwi. Był stary i mądry. Wiedział, że przy strumieniu, jeśli cierpliwie poczeka, złapie najlepszą zdobycz. Nie spieszył się tylko obserwował, zaczajony wśród krzaków. Sarny były dla niego zbyt chuderlawe, lisy zbyt głupie. Postanowił, że zje na śniadanie coś zupełnie wyjątkowego. I wtedy zobaczył Łucję, która z dzbanem przyszła po wodę. Mniem, oblizwał się, a po jego strasznym, wilczym pysku spłynęła strużka śliny. Oto właściwy posiłek dla króla lasu – słodka i miła dziewczynka. Będzie pyszna na początek wspaniałego dnia. Vic słuchała tej historii z niedowierzaniem, przeczuwała, w którą stronę zmierza opowieść, ale widok zafascynowanej buzi Kat, jej skupienie, żeby nie stracić choć słowa, skutecznie odebrały chęć do interwencji.

Jak postanowił, tak zrobił. Obserwował Łucję dzień i noc, w końcu wiedział o niej wszystko, co było mu potrzebne, aby zacząć polowanie. Następnego ranka, nie spodziewając się niczego złego, dziewczynka poszła do strumienia, a tam już czekał na nią zły wilk.

– Zjadł ją? – zapytała Kat z niedowierzaniem. – Bajki się nie mogą tak kończyć.

Była mądrą dziewczynką i wiedziała, że w baśniach dobro powinno wygrywać. Szkoda, że w życiu zazwyczaj bywało inaczej.

– Co byś zrobiła, gdybyś była groźnym wilkiem?

– Nie zjadłabym Łucji – odpowiedziała stanowczo. – Nigdy, przenigdy. – Boli cię gardło? – zapytał, nagle zmieniając temat.

– Już nie, co się stało z Łucją? – zniecierpliwiła się niedokończoną bajką.

– Nie wiem – odpowiedział. – Sama musisz uratować Łucję. Zaśniesz szybko i wtedy znajdziesz sposób, żeby ją ostrzec przed wilkiem. – Przykrył jej dłoń swoją, a Kat posłusznie zamknęła oczy.

Nachylił się nad jej uchem i powiedział:

– Słodkich snów.

Vic chciała podejść i pocałować córeczkę w czoło, ale odsunął ją od łóżka i przyłożył palec do ust. Miarowy oddech i lekko unosząca się kołdra były oczywistym dowodem, że jej córeczka właśnie zasypiała.

Cicho i na palcach Vic wyszła z pokoju, skinieniem głowy zapraszając pielęgniarkę do zajęcia jej miejsca. Dotarła na piętro i odwróciła się, szukając go za sobą.

Korytarz i schody były puste. Doktor Barrow zniknął w absolutnej ciszy. Ani jedna stara deska podłogi nie skrzypnęła, drzwi nie zajęczały rozdzierająco jak zawsze, gdy je ktoś otwierał. Gdyby nie ulotny zapach, unoszący się w powietrzu i przypominający odrobinę gasnące kwiaty i świeżą woń lasu zatopioną w ciężkiej nucie wanilii – tak bardzo należący do niego i niemal symbiotycznie z nim połączony – można by uznać, że nikogo nie było.

Weszła do swojej sypialni i zamknęła drzwi na podwójny zamek.

Wykorzystała tę chwilę prywatności i odświeżyła się w gorącej kąpieli.

Następnie uzbrowiwszy się w dzbanek mocnej kawy, gotowa była na całonocne poszukiwanie odpowiedzi.

Zapis z kamer mogła obejrzeć u siebie dzięki wewnętrznej sieci. Cofnęła nagranie do dnia poprzedniego i ustawiła zegar na godzinę dwudziestą. Pamiętała o jego słowach, że nie pojawia się na żadnych nośnikach, ale jej doskonały, nowoczesny sprzęt musiał przecież coś zarejestrować. Dopiero, kiedy zobaczyła nagranie, uwierzyła mu, bo tylko wprawne oko dostrzegłoby niuanse świadczące o tym, że od wczorajszego wieczoru w ogóle przebywał u Kat.

Uniesiona głowa pielęgniarki, jej uśmiech posłany w próżnię, odwracające się twarze, dłonie zastygłe w połowie gestów. Przewinęła nagranie do poranka, kiedy weszła do pokoju, a Kat ucieszyła się na jej widok. Podkręciła dźwięk do maksimum, lecz oprócz szelestów i naturalnych odgłosów nie padło żadne słowo z zapamiętanej rozmowy. Nie było także talerzyka z przecierem owocowym.

Kamera zarejestrowała ją, gdy odpakowywała strzykawkę, a potem pojawiły się chwilowe zakłócenia. Patrzyła, nie wierząc własnym oczom, nawet cień nie pojawił się tam, gdzie powinien być Obcy. A nagranie z dzisiejszego wieczoru także nie pozostawiało złudzeń.

Siedziała przy łóżku własnej córki, która zasnęła. Nie było żadnej filiżanki z ziołami, opowiadanej bajki. Kompletnie nic.

Zrezygnowana wyłączyła komputer i spojrzała na leżącą książkę. Nie mogła przemóc wstrętu przed jej dotknięciem. Gruba, licząca sobie ponad czterysta stron księga oprawiona była w ciężkie, drewniane okładki, obleczone ciemną, pomarszczoną skórą. Wytłoczony tytuł dawno zatarły czas i złe traktowanie, ale struktura materiału, jej kolor i faktura, przywodziła złe skojarzenia. Ciemny brąz okładki muśnięty czerwienią był wstrętnie śliski w dotyku i nie miał nic

wspólnego z nobliwie postarzoną skórą wołową czy cielęcą. Powierzchniaznaczona pajęczą siecią subtelných spēkań nienaturalnie błyszcząca, choć na pewno nie pokryto jej lakierem. Vic nie miała pewności, lecz dziwne wrażenie, że owym materiałem jest ludzka skóra.

W końcu, śmiejąc się w duchu z własnej głupoty, odchyliła ciężką okładkę.

Na pożółkłym, grubym papierze widniał tytuł:

Nocne zmyry, czyli pierwsze kompletne opisanie drapieźników nocą polujących, jak: wilkołaki, upiory, wampierze i nocnice. Ręką brata Jakuba od Krzyża spisane.

Łacińską datę musiała sobie policzyć na kartce i wyszło jej, że księga powstała w roku 1690. Wstęp zajmował około dwudziestu stron i był mocno podkoloryzowaną biografią autora.

Wielebny Jakub, zanim został bratem od Krzyża, nazywał się James, wiódł w Anglii burzliwe życie złodzieja i drobnego rzeźmieszka. Wyrokiem sądu skazany na banicję trafił do Nowego Świata, gdzie wraz z podobnymi sobie wegetował przez pięć lat w kolonii karnej. Po tym czasie miał zamiar wyruszyć w poszukiwaniu własnego kąta na tej nowej i nęcącej ziemi, ale jego przyszłość zdeterminował dawny fach.

Wraz z kilkoma współwzięźniami założył grupę, która – miast walczyć z naturą przy karczowaniu lasu – walczyła z podróżnymi na drogach. Jego sława zapalczywego i pozbawionego skrupułów złodzieja dotarła do Bostonu, gdzie władze wyznaczyły za niego wysoką nagrodę. Życie me w grzechu, niesławie, boleść wielką mi przyniosło.

Banda została rozbita, a on sam ruszył przez lasy, umykając przed deptającą mu po piętach pogonią. Dotarł do dziwnej osady, w której nie rządziły prawa znane mu z kolonii ani ze starego kontynentu. Tu niepodzielnie panowały rządy jednej osoby – starej kobiety z szacunkiem nazywanej Widzącą.

Mężczyźni i kobiety słuchali jej prorocत्व i postępowali dokładnie, jak sobie życzyła. Steranego uciekiniera przyjęła życzliwie, choć chłodno. Obiecała mu ochronę przed pogonią, jeśli wykona dla niej pewną ważną misję.

Kazała mu udać się w głąb otaczającej się puszczy – do świętego miejsca i stamtąd przynieść rzekomo zgubioną sakiewkę.

James pomyślał, że sakiewka – rzecz godna zachodu, więc nie dał się długo namawiać. Ledwie doszedł do siebie, nakarmiony i wypoczęty ruszył w drogę, kierując się mapą narysowaną przez staruchę.

Dwa dni trwała jego przeprawa, aż dotarł do niezwykłego miejsca. Las odsunął się, tworząc polanę, kompletnie pozbawioną roślinności.

I chociaż miejsce wydało mu się mocno nienaturalne, jakoby wedle środka przez przyrząd wyznaczone, całkowicie jałowe i pokryte szarym ni to piaskiem, ni nalotem, nie zrażony zajął się poszukiwaniami.

„Ujrzawszy rzecz oną, miał paść na kolana i ku niebu miłościwemu wznieść ramiona, ochoczo ruszyłem szukać sakiewki, znajdując, że ona brzęczącym dobrem ponad miarę wypchana być musi”.

Drzewa ponad polaną tworzyły zielony dach, przez który prześwietlały ostatnie promienie światła.

Kiedy zapadł zmierzch, a wysiłek nie dał żadnego rezultatu, zrezygnowany ułożył się w krzakach, aby doczekać poranka i z niczym wrócić do osady.

Z mocnego snu wyrwały go dziwne krzyki. Nauczony ostrożności, zamiast zerwać się w popłochu, jedynie otworzył oczy i cicho obserwował, co dzieje się na polanie. A działo się dużo.

Spomiędzy okolicznych drzew zaczęły wypełzać przygarbione cienie, wiły się niczym miotane podmuchami wiatru, podchodząc coraz bliżej środka polany. Gdy pojawiło się ich około dwustu, utworzyły okrąg, którego granice wyznaczał pas szarej ziemi.

Ciszę rozdarł dźwięk bębnow, w ich takt postaci zaczęły się gnać w obłąkańczym tańcu. Czarna postać, wynaturzona i pokraczna opuściła kordon i rozpoczęła śpiewną inkantację w nieznanym języku. Na ten znak rozpalono pochodnie i złożono z nich stos.

James, ze strachu przed odbywającym się rytuałem, chciał po cichu odpełznąć w bezpieczne miejsce i uciec, lecz na pierwszy trzask gałązki pod jego stopami bębny umilkły, a uczestnicy obrzędu zwrócili swoje twarze w stronę, gdzie właśnie zastygł w pół kroku.

Ruszyli na niego ławą, dzielny człowiek opierał się długo, choć za jedyną broń miał gruby konar i nóż. Pokonali go w końcu i przy wtórce dziwnych świergoczących dźwięków zawiedli na środek polany w miejsce, gdzie jasnym płomieniem gorzały rzucone pochodnie. W ich blasku przyjrzał się uczestnikom rytuału i krzyk przerażenia uwiązał mu w gardle.

Twarze mieli naznaczone stygmatami najgorszych z chorób, beznose, z niezliczonymi bliznami, ślepi z białym bielmem na tęczęwkach, obarczeni monstualnymi garbami, powykręcani nieznanymi mu przypadłościami wyglądali jak z piekła rodem. Otoczyli go kołem, a bębny z powrotem rozpoczęły swoją przerażającą pieśń, niosącą się głośnym echem pośród drzew.

Na gest człowieka, który prowadził inkantację, płomienie zbladły, przygasając z sykiem. Oczom Jamesa ukazał się obraz, którego do końca życia nie mógł

zapomnieć...

Pomiędzy złączonymi dłońmi uczestników pojawiły się iskry czerwonych wyładowań. Ogniki pełgały, strzelając w niebo z cichymi trzaśnięciami. Ludzie na polanie zdawali się cali pokryci snopami rdzawych błyskawic, które wykwitwały także z ich oczu i ust. James z przerażeniem poczuł, jak podnoszą mu się włosy na głowie, a z jego palców trysnął strumień isker.

Polana rozjarzyła się ludzkimi pochodniami, na ten znak potężny grzmot przewalił się przez mroczne niebo i powietrze wokoło zaczęło drgać. Połyskujący czerwienią portal otwierał się powoli, uwalniając...

Kształt jego formujący się z materii, zdawał się materię ową wsysać, czyniąc powietrze tak rzadkim, że dech brałem z trudem, jakobym w wodzie tonął. Z każdą chwilą ogień świętego Elma trzaskające z dłoni przybierały na sile, tworząc ramę dla coraz cieńszej, błękitnawej błony, która była granicą naszego świata. Na jej drugim końcu stał demon – diabeł we własnej postaci. Ogromny łeb z rogami chwiały się niepewnie, z pyska ku ziemi spływały dym i para, a błyskające czerwienią i nienawiścią oczy przeszywały mnie na wylot. Zadrzałem z lęku, że pomiot piekielny opuści swoją otchłań i odbierze mi duszę. Wtedy myśli moje po raz pierwszy za żywota zwróciły się do Boga. Błagałem go i zaklinałem na wszelkie świętości, aby powstrzymał nadejście demona, lecz widocznie inna była jego wola.

Istota długimi na stopę szponami przedarła ciekłą błonę i stanęła na ziemi, ziejąc wokół odorem siarki. Był wielki jak okoliczne drzewa, a jego czerwone ślepia omiotły stojących wyznawców. Nie interesowali go.

W końcu wzrok bestii spoczął na Jamesie, który z zamkniętymi oczami klęczał w szarym pyłe, modląc się pierwszy raz w życiu gorąco i żarliwie. Demon delikatnie podniósł go z ziemi i ustawił do pionu, wtedy James zdobył się na odwagę i spojrzał mu w oczy. To, co tam zobaczył, sprawiło, że całkowicie osiwił. Potwór, na którego patrzył, był czystą nienawiścią, skupieniem całego ziemskiego i piekielnego zła.

Ale widocznie nie miał w planach rozerwania małego człowieczka stojącego przed nim. W głowie Jamesa pomiędzy wywrzaskiwanymi ku niebiosom słowami Pater Noster rozległ się sykliwy, upiorny głos: Powołany, by mi służyć.

Na chwałę Jamesa przyznać należy, że stanowczo zaprzeczył i mimo przerażenia łamiącego kolana wywrzeszczał je czerwonookiemu monstrum.

Demon nie przejął się jego protestem, szarpnął za rękę, na szczęście urywając tylko rękaw, i dotknął olbrzymim paluchem miejsca, gdzie ze strachu szalał puls biednego łotra. Gdy oderwał rękę, płonął na niej czarny znak. Jesteś moim

narzędziem – głos w jego głowie ryknął.

Na widok potęgi i mocy bestii pod stojącym człowiekiem ugięły się nogi. Zemdlał, odchodząc w bezpieczny świat bez koszmarów i demonów. Wydawało mu się, że przez cienką kotarę snu, słyszy podniecone głosy i krzątanie, lecz po ocknięciu nie zobaczył nikogo. Polana była pusta i tylko czarny, piekący ślad po wewnętrznej stronie nadgarstka świadczył o tym, że wypadki w nocy nie były jedynie wytworem jego wyobraźni.

Po powrocie do osady wiedźma wezwała go na rozmowę, podczas której okazywała mu graniczący z uwielbieniem szacunek.

– Nie takie były plany – powiedziała, zanim zdążył zadać pytanie – byłeś przeznaczony na ofiarę dla Azdarotha, a stałeś się jego wybranym sługą. Pan zajrzał w twą duszę i odnalazł coś, co czyniło cię lepszym od przygotowanego dlań kapłana. Zatem, wybrańcu, czego oczekujesz od nas? Wiedz, że od tej pory udzielimy ci każdej pomocy i wesprzemy w działaniach, boś oczami i uszami pana naszego.

Długo w nocy rozświetlała horyzont łuna pożaru, w którym szczęśliwie przekłęci wyznawcy demona. James pierwsze swoje kroki skierował do klasztoru, gdzie przyjął imię Jakuba od Krzyża i od tej pory cały swój wysiłek poświęcał walce ze złem pod postacią opisanych w księdze sług demona. Z każdym spotkał się osobiście i z każdym stoczył walkę na śmierć i życie. Jego wiedza o wyznawcach i sługusach zła była nieocenionym przewodnikiem dla grupy łowców, którą stworzył z braci zakonnych, aby na zawsze oczyściła świat z synów piekieł.

Wiele z tworów, o których opowiada gawiedź przy ogniskach nie istnieje, te zaś, które nosi ziemia są potężniejsze i straszniejsze niż dane wam sądzić. Pokonanie ich w pojedynkę jest niemożliwe. Brat Jakub walczył z nimi mieczem i wiarą, uzyskując specjalne wsparcie najwyższych władz kościelnych. Każda jego wyprawa była dokładnie opisana i zrelacjonowana, a zapieczętowane pergaminy odesłane zostały do Watykanu, aby na zawsze stanowić dowód istnienia zła. Dla zwykłych ludzi brat Jakub postanowił opisać pomioty piekielne, by żaden człowiek nie wpadł w ich szpony, żaden nie stał się ofiarą mrocznych sił, bo nie tylko swe życie złożył na szali, lecz przede wszystkim duszę. Na zawsze potępiona dołączy wiecześnie do istot, które odwróciwszy się od Boga najjaśniejszego, ku wiecznemu piekielnemu zatraceniu są kierowane mocą silniejszą od woli człowieka. Tak kończyła się historia brata Jakuba od Krzyża, choć na ostatniej stronie był odręczny dopisek sporządzony niewprawną ręką. Brat Jakub poległ w starciu z siłami piekielnymi roku pańskiego 1698. Znamię żywym ogniem płonące do końca ku hańbie i abominacji

nosił. Po śmierci miał zniknąć, zarzewiem płomieni objęło ciało naszego najukochańszego brata. Władze kościelne uznały to za nieomylny znak, iż mimo swej pokuty brat Jakub nie dostąpił rozgrzeszenia w niebiesiech i odszedł do komnat piekielnych. Od dziś po kraniec świata zakon nasz obowiązuje się trzy razy dziennie błagać o odpuszczenie mu win, aby na sądzie ostatecznym wzięte pod uwagę zostały także jego bogobojne uczynki, bojaźń, jaką czuł wobec stwórcy, i waleczność, z jaką tępił siły piekielne na ziemi. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. Przerzucając bogato ilustrowane strony, znalazła rozdział zatytułowany: Wampierza niecnego opisanie.

Vic rozłożyła się wygodnie na łóżku, bo historia brata Jakuba rozpałała jej ciekawość i zafascynowała niewiarygodną wręcz obrazowością. Styl, w jakim została napisana, całkiem współczesny i czytelny niemal doskonale oddawał myśli i uczucia, a nieprawdopodobne wydarzenie na polanie przedstawione zostało z nerwem i zacięciem godnym prawdziwego pisarza.

Wampierz – zwany dla nocnego życia, jakie prowadzi, nosferatu bądź strzygoniem – jest gatunkiem równie starym jak Ziemia, którą kalając, przemierza w poszukiwaniu ofiar. Inaczej niżli inni potomkowie demonów niczym się spośród ludzi nie wyróżnia. Powierzchnowość jego i płęć zdają się niemal urodziwe, za jedno u mężczyzn, jak i u kobiet. Po czym wampierza łącno poznać, a owóz po oczach, z których każdy jeden inny rodzaj zmian nosi. Toteż w klanie owym i takie najdziecie, które w oczach miast Bogu miłych kolorów nosić będą, a to ciemne, krwiste plamy, a to inaczej, jasne niemal białe.

Oko zaprawdę zwierciadłem jest duszy, której wampierz nie posiadając, zdradzi wam po onych plamach swe piekielne pochodzenie.

Kłów jak w onych legendach nie posiadają, zęby ich zdają się normalne do czasu, kiedy wampierz gryźć zaczyna, wtedy zarówno oczy jego stają się straszne, najczęściej w kolorze, jaki zdradzają wcześniej zauważone plamy, jak i kły, które wzorem węzowych wysuwają się dopiero, bo pierwaj złożone są ku wnętrzu ust.

Obyczaje tych potworów abominację i grozę winny siać wśród bogobojnych ludzi, albowiem posiłkiem ich krew jest najczęściej niewinnych ofiar, które czujności zbywszy, oddały się we władzę najprawdziwszych synów piekła.

Atakują nocą, bo blask słoneczny skórę ich pali, niechybnie do śmierci doprowadzając. Języka ani słów cywilizowanych oni nie znają, jako dzikie bestie w lasach i uroczyskach żywiąc, modlitw nie wznoszą, domostw nie budują. Polowanie zaczynają ode sprawdzenia, czy we wsi lubo osadzie bezpieczne być mogą, żadna ofiara im wtenczas nie ujdzie.

Zabijają siły życiowe człowieka poprzez całkowite odjęcie mu krwi z ciała, miejsca na ukąszenia wybierając różne. Czasem ofiarę swoją przy życiu zostawiają, aby pośmiewisko z niej czynić, bo wraz z krwią, jakowejś czary nad takim osobnikiem odprawiają, całkowicie go zmysłów pozbawiając.

Siła wampierza zdumiewająca jest, a jeszcze bardziej szybkość jego, która w polowaniu za ofiarami sprawić umie, że żadna noga z sióła nie ujdzie.

Dla mnie i łowców spotkanie z tym pomiotem piekielnym było najtrudniejszą z prób, jakich dane nam było w służbie Boga doświadczyć.

Tropiliśmy rok cały ślady grupy, która atakowała domy i farmy na środkowym wschodzie, kierując się bardziej instynktem niż świadków zeznaniami, bo wampierze łatwo ludziom wolę swą narzucają.

Naszliśmy wreszcie dowód. Po przybyciu naszym do wioski, w nocy zdarzył się wypadek. Parobek z drabiny spadł i nieszczęsny kark sobie złamał.

Wnikliwie obejrzawszy ciało onego nieszczęśnika, skonstatowaliśmy, iż miał on wiele zadrapań, z nich dwa szczególnie ciekawe. Świadkowie mówili, iż spadając z drabiny, na żerdź się nadział i stąd ran obfitość, ale uczeń mój brat Anzelm, nie wierząc pospółstwu, przeżegnał się i z imieniem Najwyższego na ustach, żyłę zmarłego otworzył. Tak jak sądziliśmy, choć ciało ciepłe jeszcze było, ani kropla krwi nie pojawiła się w ranie. Snadź wyssany do cna. Znak najlepszy, że w okolicy wampierz się pojawił, a wraz z nim grupa, bo one jako i inne drapieżkę w grupach polują.

Postanowiliśmy wspólnie – dwudziestu wojowników Boga – zasadzkę w osadzie uczynić, aby bestie zabić, jednakowoż one na widok naszych mnisich strojów w popłochu uciekły. To nieprawda, że wampierz znaku krzyża bolesciwego, święconej wody czy oznak kapłaństwa się przelęknie. Starszą są oni rasą niż wszystkie religie na Ziemi, zatem żaden czyniony znak, ani odprawiany rytuał mu nie straszny. Boi się on – jak każdy pomiot szatana – wiary gorejącej w sercu przeciwnika, który zda się woli sam zginąć, niżli bestię wolno puścić na obrazę nieba.

Słodki głos i dziwne gesty odprawowane jako czary na ofiarach, w sercach oddanych woli bożej zamętu nie czynią, z jedynej, słusznej drogi sprowadzić wiernego nie zdołają.

Skórę wampierz ma przedziwnie twardą, że odbijają się od niej pociski przez gawieź używane, także kamienie i kule. Mieczem go zabić nie można ani też utopić, odporny się zdaje na oręż wszelaką, nawet poświęconą.

Srebro krzywdy mu nie czyni także złoto. Sposobów pokonania bestii są trzy: dekapitacja, wystawienie na promienie słoneczne i wbicie drewnianego kołka

w serce. Aliści ostrzec tu muszę pochopnych, że klatka, w której ono spoczywa, jest niczym pancerz żelazny bez młota niemożliwy do skruszenia, zatem, mając się trzeciego sposobu, należy pierś wampierza zgnieść, kości połamawszy, skórę naciąć i odszukać serce. Wbity weń kołek musi być z drewna osikowego, tudzież klonu lub jesionu, inne drewno, moce jego są w stanie wniwecz luboż w proch obrócić i sprawić, iż bestia ożyje, albowiem ich siły witalne na urągowisko bożego dzieła stworzone zostały. Kołka onego wyjąć nie wolno, albowiem silny czort po odjęciu niewolącej szczapy do żywych łącno powrócić może.

Mocami on włada niezwykłymi, gdy kres zbliża się żywota jego, umie snadnie sprawić, iż ludzie go nie widzą. Ponoć nie obca mu także sztuka latania, alem tego na własne oczy nie widział.

Magią zdają się władać piekielną, urok rzucając nieodparty, gładkim obliczem zwiedzone ofiary często same im się na żer oddają. Proceder ten częsty u kobiet obserwować można, jako że płochliwsze są z natury i niestateczne, zatem niejedna zwiedziona białogłowa wierzeje domu dla poczwary otwarła, sądząc, że zazna z nim igr miłosnych. O biedna niewiasta, jakże gorzkich igraszek musiała z wampierzem posmakować! Nie gustuje on bowiem w niczem innem niżli krwi, a partnerkę do zapasów miłosnych wśród swoich sobie wyszukuje, tworząc stadła stałe, które są początkiem zabójczych grup.

Tu winienem dodać, że gdybym z grupą takową miał do czynienia, los mój i łowców byłby przesadzony, bo noc całą trwał nasz pojedynek z jednym monstrem, a i to los jego nie był do końca przypieczętowany. Trzech z naszych na śmierć poharatał, pozostałych, ze mną włącznie, ciężiej lub lżej ranił. I choć na początku ufni w swoje siły oraz Bożą pomoc na cały miot się zasadziliśmy, pojedynek ten pokazał nam naocznie, słabość naszą i mizeryję.

Dwa tygodnie po bitwie dochodziliśmy do sił fizycznych, modląc się o wiarę, aby zwątpienie nie odebrało nam woli walki. Jednego tylko potwora udało nam się owej wiosny upolować, więc wracaliśmy do klasztoru z minami posępnymi i mrokiem w sercach.

Grupa wampierzów liczy sobie sztuk około dziesięciu, aby ich pokonać i armii byłoby mało. Wampierz, na którego polowaliśmy, zwabiony został dziecięciem niewinnym, które samo wśród drzew pomocy wołało.

Noc ciemną była, wokoło żywej duszy, jeno nasza dwudziestka ukryta za przemyślnie wzniesioną zasłoną. Nie kazał czekać na się długo, chłopiec nagle odskoczył, a przed nim na ścieżynie wyrósł nadobny mężczyzna. I byłaby nasza przynęta stała się jego kolejną ofiarą, bo wpatrzony w przybysza ani myślał uciekać, jednak z woli Opatrzności udało nam się czar przełamać, gdyśmy

do walki poszli.

Opisu potyczki nie zamieszczę, aby przyszły czytelnik nie myślał, że chwalić się zamierzam odwagą swoją i dzielnych mych współbraci, jedno wiedz, uważny słuchaczu – sam na wampierza iść może jeno człek szalony lub śmierci szukający.

Groza tej bitwy opisana została i jeśliś gotów dołączyć do łowców, a serce twe szlachetne płonie z chęci dokończenia dzieła naszego ku chwale Ojca w niebiesiech, aby z ziemi nam danej, na zawsze zniknęło diabelskie plemię, urągające wszelkiemu stworzeniu, możesz zapiski w klasztorze naszym odnaleźć. Jedno wiedz, praca, której się podjęliśmy, niewdzięczna jest i trudna.

Krew niewinnych ofiar na rękach mamy pospołu demony i my, jedno nas od nich odróżnia – miłość do Pana Naszego, któremu niemiłe są stworzenia nocy.

Zaprawdę ostrzegam w swoim oraz braci imieniu, strzeż się wampierza, jak żadnego innego, albowiem umie mózg otumanić i jako żywo za jednego z ludzi wzięty być może. Nie ma w nim jednak nic, oprócz ciała ludzkiego, co jest jak skorupa zwodna lub naczynie puste, duszy w nim nie ma, uczuć ani przyzwoitości. Jakkolwiek powabna wydała ci się skorupa ona, nie daj się oszukać. To demon wcielony, odwieczny sługa Złego.

Bronić cię będą wiara twoja niezachwiana i strzeżone ognisko domowe, bo prawdę mówią legendy, iż wampierz niezaproszony przestąpić progu domu nie zdoła. Siły go mroczne na zewnątrz trzymać będą i tam niechaj pozostanie, na wieczność swego trwania.

Vic odłożyła książkę i westchnęła cicho. Bardzo spodobał się jej fragment o rozłupywaniu klatki piersiowej młotem, aby dostać się do serca wampira. Był wyrazisty i obrazowy, można nawet powiedzieć inspirujący.

Zamknęła oczy, żeby napawać się widokiem, który stworzyła jej wyobraźnia, jak z potwornym młotem zamierza się na Obcego i przy wtórze obrzydliwego chrzęstu, łamie mu żebra. Był to piękny obrazek, absolutnie przekonywujący i malowniczy. Z bólem serca musiała jednak wrócić do rzeczywistości. Na chwilę obecną pomysł zlikwidowania go był idiotyczny, ponieważ nie miała pojęcia, jak przechowywać bezcenną krew.

Mnich zanotował kilka ważnych spostrzeżeń. Obcy wbrew swoim zapewnieniom potrafił wpływać na myśli innych, a zatem logicznie należało założyć, że potrafił je także odczytywać.

Powinna szczerze zamknąć swój umysł, aby nie mógł kontrolować jej postępów, planów ani wniosków.

Odruchowo spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej i mogła swobodnie odwiedzić sypialnię obok, pewna, że jej lokator jeszcze nie śpi.

Koniecznienie chciała wyjaśnić kilka bardzo ważnych kwestii.

Zamiast użyć drzwi prowadzących przez łazienkę – wyszła na korytarz, zajrzała do Kat, która spała, smacznie pochrapując, uzupełniła dzbanek świeżą kawą i dopiero wtedy zapukała do Obcego. Zgodnie z jej przewidywaniami nie spał, okiennice były zamknięte, a na stoliku leżała odłożona książka, jedna z jej zbioru.

Nie zamierzała owijać w bawełnę, wkroczyła do pokoju i nie czekając na zaproszenie, usiadła, tym samym stawiając go w niezręcznej sytuacji, z której wybrnął, bezczelnie rozkładając się na łożku.

W pokoju unosił się intensywny i obezwładniający zapach, wywołujący wręcz zawroty głowy.

– Czym się żywisz, mieszkając u mnie?

– Myślałem, że twoja wizyta ma charakter bardziej towarzyski...

Przerwała mu bezceremonialnie, wpadając w słowo.

– Musimy raz na zawsze ustalić, nie będziesz atakował nikogo z domowników – powiedziała zimno i stanowczo. – Wliczam do nich każdego, kogo zaproszę. Nie możesz narazić żadnej osoby z mojego otoczenia, bo umowa zostanie zerwana.

Roześmiał się wesoło, jakby właśnie opowiedziała mu zabawny dowcip.

– Poza tym oszukałeś mnie – dodała.

Czuła przemożną ochotę, żeby zetrzeć mu krzywy uśmiech z twarzy. W jakiś sposób ten grymas ją obrażał, kpił z niej w żywe oczy, sprawiał, że stawała się niepewna i słaba. Nienawidziła z całych sił tego lekko uniesionego ku górze kącika ust. Otrząsnęła się ze wstrętem, uświadamiając sobie w popłochu, że zamilkła wpatrzona dokładnie w jego wargi i niechciany rumieniec pojawił się na policzkach.

– Powiedziałeś, że nie potrafisz czytać w myślach ani wpływać na umysły innych.

– Skoro to powiedziałem. – Patrzył na nią, jak na okaz wystawiony za szybą, z mieszaniną wzgardy i pobłażliwości. – Pewnie tak jest.

– Z tego, co widzę, i nie mów mi, że nie mam racji, doskonale radzisz sobie...

– Z kobietami – wszedł jej w słowo. – Nie bierzesz oczywiście pod uwagę tego, że nie musi to być zasługą manipulacji?

– A czego? Twojego uroku osobistego? – prychnęła ironicznie. – Powiedzmy.

Zamilkł i ostentacyjnie zaczął się przyglądać sufitowi – Zdradzisz mi tajemnicę, czym się teraz żywisz? Zrozumiała, że swoim zachowaniem chciał ją skutecznie wyprosić z pokoju, ale nie zamierzała wyjść, dopóki nie otrzyma odpowiedzi. Zamiast wyjaśnień, podniósł dłoń i palcem wskazał szafę.

Wstała, obawiając się tego, co zobaczy. Wyobraźnia podsuwała jej wiszące na haku zwłoki albo poćwiartowane ludzkie szczątki.

Opanowała odruch obrzydzenia i otworzyła drzwiczki.

W głębokiej szafie, należącej kiedyś do jej córki, oprócz kilku rzeczy wiszących na wieszakach sporo miejsca zajmowała lodówka, którą doskonale знаła. Była to jej własna mała kuchenna chłodziarka. Zajrzała i nie zdziwiła się na widok szpitalnych worków z krwią. Każdy z nich był opisany i na każdym widniał ten sam dobrze jej znany adres.

Wszystkie pochodziły ze szpitala Kat. Odwróciła się ze złością.

– Ukradłeś krew ze szpitala?

– Wolałabyś, żebym posilał się domownikami?

– Nie powinieneś...

Koniec zdania utknął jej w gardle. Stał przed nią w czarnym, obcisłym podkoszulku. Na litość boską, pomyślała. Rzeczywiście jest niewiarygodnie szybki.

I wizja, w której rozbija mu klatkę piersiową młotem, stała się biała i niewyraźna.

Nigdy nie udałoby się jej trafić w coś, co przemieszcza się niemal niezauważalnie dla ludzkiego oka.

– Zamierzasz mnie nawrócić na wegetarianizm? – zapytał, a jego zapach dotarł do niej z całą mocą, prawie odbierając władzę nad kolanami.

Usunęła się w bok, chcąc być jak najdalej od dusznego aromatu, który sprawiał, że coraz bardziej kręciło jej się w głowie.

– Nie powinieneś kraść krwi.

Odparła z mocą i nie spuściła wzroku przed jego stalowym spojrzeniem.

– A Ty nie powinnaś przeciągać struny, moja droga – odpowiedział. – Sojusz między nami jest oparty na chwiejnych i kruchych podstawach. Jestem wampirem, czy to ci się podoba, czy nie. Sama chcesz użyć mojej krwi dla ratowania własnego dziecka. W tym przypadku nie masz obiekcji. Ja z kolei, muszę się nią żywić, aby co dzień dostarczać ci odpowiednią dawkę, i to jest logiczne, więc jeśli nie masz nic więcej do dodania, proponowałbym ci wyjść, bo już nadużyłaś mojej gościnności. Nie spieszył jej, zamiast tego poczuła tylko głuche dudnienie krwi w uszach.

– Najwyraźniej muszę ci przypomnieć, że jesteś w moim domu i obowiązują cię zasady, które ja ustalam.

– Zatem nie gwałć praw gościnności. Skoro mnie zaprosiłaś, musisz zaakceptować to, kim jestem, a nie udzielać mi lekcji moralności.

– Nie odpowiada mi to, co robisz.

Jego oczy pociemniały, a czerwone plamki zaczęły pulsować. Nie mogła oderwać od nich wzroku, ten hipnotyzujący widok był jednocześnie straszny i pociągający.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – powiedział szeptem, któremu towarzyszyło leciutkie syczenie – Zerwiesz naszą umowę, zagroisz mi dekapitacją, czy wyrzucisz z domu? Proszę, nie rzucaj więcej gróźb bez pokrycia, bo są niewyobrażalnie nudne i wywołują we mnie irytację. Nie pouczaj mnie, bo nie zmienię swoich zwyczajów i nie zgrywaj spłoszonej dziewczyny, która mdleje na widok wampira, przy okazji nadstawiając szyję. Jestem odporny na takie gierki i uczulony na hipokryzję. – Odsunął się od niej i usiadł w fotelu. – Jesteś bardziej świętoszkowata, niż myślałem, a wierz mi, nie jest to komplement, który chciałabyś usłyszeć.

– Z twoich ust nie chciałabym usłyszeć żadnych komplementów – odgryzła się jak pensjonarka.

Już w momencie, kiedy wypaliła z niezręczną ripostą, zaczęła żałować swoich słów. Nie w tę stronę miała zmierzać ich rozmowa.

– Zapewne – odpowiedział – ale na wszystko przyjdzie odpowiedni czas. Zanim dzisiaj – zaakcentował dobitnie ostatnie słowo – wyjdiesz, postaraj się zapamiętać. Nie masz nade mną żadnej władzy.

– Tak jak ty nade mną – zdążyła wbić mu się w rozpoczętą przemowę.

– Oczywiście – zachnął się lekko. – Więc nie wyjeżdżaj mi tu z kazaniami, od których mogę stracić cierpliwość.

Przyjęła wyzwanie, bo jakaś kompletnie pozbawiona rozsądku część jej natury ewidentnie chciała podnieść rzuconą rękawicę. – Grozisz mi? – odpowiedziała butnie.

– Przeczytałaś książkę? – zaskoczyła ją nagła zmiana tematu.

– Tak – odpowiedziała, siląc się na spokój, choć cała trzęsła się z tajonej wściekłości.

– Zatem nie tylko jesteś zakłamaną świętoszką, ale też kompletną idiotką. – Syk zdawał się wydobywać z jego gardła, prawie zagłuszając słowa. Czerwone rozbłyski nadawały jego oczom upiorny wygląd. – Nasz rozejm wynika tylko z konkretnej sytuacji. Nie pomagam ci, bo jestem dobroczyńcą, i dobrze o tym wiesz. Jeśli okaże się, że nie będziesz w stanie spełnić moich oczekiwań, dotrzymać umowy, którą zawarliśmy, życie twoje i Kat będzie zależało tylko od mojego dobrego humoru. Obie będziecie umierać szybko albo bardzo, bardzo długo. Postaraj się to zrozumieć raz na zawsze. Jeśli dotrzymasz słowa, obie

odejdziecie stąd na zawsze, a nasze drogi nigdy więcej się nie skrzyżują. Dlatego w twoim interesie jest powstrzymanie złości i kontrola nad napięciem seksualnym, które wylewa ci się uszami. Nie myl nigdy jednego z drugim, bo narażasz się na śmieszność. Ponawiam swoją prośbę, dostatecznie już namieszałaś i radziłbym, abyś wróciła do siebie, nie zapominając o dokładnym zamknięciu drzwi.

Znów pokazał ten uśmiech, który pragnęła zetrzeć mu z twarzy jednym ciosem, i to na zawsze.

Dekapitacja nie jest wcale taka zła, pomyślała.

Odwróciła się na pięcie i starając się bardzo nie trzasnąć mu drzwiami przed nosem, wyszła śmiertelnie obrażona.

Do końca życia – przysięgła sobie – nie daruję ci tego, co powiedziałaś.

ROZDZIAŁ VI

Błade promienie świtu przesączały się nieśmiało przez uchylone żaluzje, oświetlając pokój i sylwetkę kobiety krążącej bez celu od ściany do ściany. Całe wieki temu położyła się do łóżka i miała zamiar przespać choć dwie godziny, ale jej plany zniweczyły kotłujące się emocje.

Po co miała przewracać się z boku na bok, licząc na sen, skoro za każdym razem, gdy zamykała powieki, widziała złą, wykrzywioną w złośliwym półuśmiechu twarz. W końcu zrezygnowana wstała i wzięła zimny prysznic dla ochłody rozgorączkowanej głowy.

Nic nie pomogło.

Od godziny chodziła tam i z powrotem, nie mogąc się skupić na niczym innym poza palącą nienawiścią.

Obraził ją na wszelkie sposoby, upokorzył i wyrzucił z pokoju. Każde wypowiedziane przez niego słowo raniło boleśnie, każde było celnym ciosem w kruchą konstrukcję z mozołem odbudowywanego poczucia własnej wartości.

Jak on śmiał? – mówiła sama do siebie. – Jakim prawem?

Sama go zaprosiła, otworzyła dom i dała pozwolenie na przekroczenie wszelkich granic. Uwikłała się w chorobliwy układ, z którego nie mogła znaleźć wyjścia. Była wobec niego kompletnie bezsilna, co złośliwie jej wytknął.

Zdawała sobie sprawę, że jego słowa bolały, bo dotyczyły uczuć i emocji, przed którymi wzbraniała się z godną pozazdrozczenia konsekwencją, spychając je na samo dno świadomości.

Obcy miał nad nią władzę – zajrzał jej prosto w duszę i odkrył starannie ukrywaną prawdę, której nie chciała przyjąć do wiadomości. A to było nie do zniesienia.

Życie zdążyło dać jej kilka bolesnych lekcji i doskonale zdawała sobie sprawę, nawet bez pomocy psychologów, że pozostałe po nich blizny już na zawsze będą wpływać na wszelkie podejmowane przez nią decyzje. Nieufna i wycofana, nauczyła się tłumić złość, aby nie zarzucono jej braku opanowania.

Tymczasem przy Obcym zachowywała się niczym pozbawiona zdrowego rozsądku idiotka, i to powodowana niezdrową ciekawością.

Czekała na wybuch furii z jego strony, aby dał jej pretekst do wykrzywienia własnych, nagromadzonych frustracji. Taka zabawa mogła okazać się śmiertelnie

niebezpieczna. Aby ją zakończyć, powinna po raz pierwszy w życiu zdobyć się na szczerą wobec samej siebie, znaleźć w sobie odwagę i spojrzeć uczciwie w kłębowisko własnych, poplątanych uczuć.

Obcy poznał ją dobrze, wiedział doskonale, że nie była w stanie znieść poczucia bezradności, a obsesyjne pragnienie, aby trzymać wszystko w garści, prędzej czy później doprowadzało ją do klęski.

Każda forma kontroli jest iluzją, co najdobitniej pokazały ostatnie wydarzenia. Musiał jej to rzucić w twarz, żeby dotarły do niej fakty. Tak jak nie miała władzy nad nim, nie miała także nad swoim życiem, przypominającym sklecony byle jak prowizoryczny szałas. Można było długo udawać, że jest solidny, jednak pierwszy podmuch wiatru zostawiał po nim tylko połamane gałęzie. A ona właśnie tkwiła w oku cyklonu...

Czuła złość, że zbyt łatwo nią manipulował, ale to była w gruncie rzeczy jej wina, bo w trakcie spotkań za każdym razem odsłaniała kawałek siebie, akurat taki, który najchętniej zakopałaby w ogródku na wieczne zapomnienie.

Najgorsza była jednak świadomość, że Obcy ją chorobliwie fascynował. Inaczej niż w przypadku pozostałych kobiet, które oczarował swoją urodą i sposobem bycia, ona widziała w nim nie mężczyznę, lecz przede wszystkim wampira.

– To wina dziwacznych filmów i książek – powiedziała cicho do siebie.

– Doszczętnie pomieszały ci w głowie. Do niczego nie jest ci potrzebne studium gatunkowe wampirów. Chcesz się czegoś dowiedzieć, zapytaj, zamiast wywoływać niepotrzebne konflikty. Nie moralizuj, bo nie masz prawa osądzać.

Ostatni wniosek przełknęła z trudem. Cały czas wydawało jej się jednak, iż ma moralne prawo poddawać ocenie jego sposób życia, ale przypomniała sobie fragment zapisków brata Jakuba, z których wynikało, że wampiry to drapieżnicy bez uczuć i sumienia.

Naiwnością graniczącą z głupotą z jej strony była próba personifikowania Obcego. Skoro nie miała możliwości ani odpowiednich zdolności, aby go oswoić i udomowić, powinna zmienić swój stosunek do niego.

Nie drażnij go, bo miał absolutną rację, mówiąc, iż nie jesteś w stanie opanować tego, co pojawi się, gdy na dobre zrzuci maskę człowieka – powiedziała w duchu.

Sugestia o frustracji seksualnej też dotkliwie ją zabolęła, bo była prawdziwa.

Po klęsce nieudanego małżeństwa schowała się do wnętrza skorupy, obiecując sobie, że nigdy nikt jej nie zrani. W ten sposób sama skazała się na samotność i pustkę. Lęk, który czuła przed nawiązaniem głębszych kontaktów z ludźmi,

wynikał z przekonania, że każda bliskość niesie ze sobą ryzyko bólu, dlatego od pięciu lat była sama. Niestety gdzieś po drodze popełniła poważny błąd – zaczęła żyć dla Kat, nie dla siebie, co było tym groźniejsze, że prędzej czy później ciężar jej poświęcenia i oddania przytłoczyłoby to biedne dziecko i nie pozwolił normalnie dorosnąć.

Kim się stała? Na zewnątrz zimna i twarda, doskonale radząca sobie, wzorowa matka, kompetentny lekarz, uprzejma, choć niezbyt wylewna sąsiadka.

Obcy od razu rozbił tę lodową maskę, pokazując, jak bardzo się myliła. Brak fizycznego aspektu bliskości zaowocował dystansem, jaki narzucała wszystkim mężczyznom i sobie samej.

– Na litość boską – powiedziała na głos i niemal się roześmiała. Za dużo teraz miała na głowie realnych problemów, aby przejmować się własną powściągliwością seksualną i jej wpływem na postępowanie.

– A niech sobie myśli, co chce – dała za wygraną – pora oprzytomnieć i zabrać się do roboty, bo czas ci ucieka!

Ubrała się machinalnie, zupełnie nie zwracając uwagi, co na siebie wkłada. Świat wrócił na swoje tory i nie było w nich miejsca na łzy i rozdzieranie szat. Musiała się przygotować do badań i zgodnie z wczorajszymi notatkami wykorzystać popularne rozpuszczalniki do powstrzymania procesu krystalizacji. To jedynie było istotne, a nie jej uczuciowe frustracje.

Na dworze panował przenikliwy ziąb, który w ten pogodny listopadowy poranek przypominał, że zima czai się tuż za progiem.

Biegiem pokonała podjazd i szybko wpadła do równie chłodnego laboratorium, przeklinając się w duchu za brak kurtki. Gdyby złapała infekcję, pobyt Kat w domu mógłby okazać się przerażająco krótki. Obiecała sobie solennie, że poszuka odpowiednich ubrań i natychmiast przystąpiła do przygotowania próbek.

Odmierzone porcje rozpuszczalników przelała do fiolek, po czym włożyła do zamykanego pojemnika.

Po powrocie do cudownie ciepłego domu, zaczęła się lekko trząść, jakby chłód z zewnątrz wniknął w kości i zmroził serce.

Po chwili wahania zapukała do jego pokoju. Drzwi uchyliły się zapraszająco, weszła, kurczowo trzymając przed sobą pojemnik niczym tarczę, i zatrzymała się tuż za progiem.

W pokoju panowała kompletna ciemność, światło zgaszone, okiennice zatrzęsnięte, a żaluzje opuszczone. Nic nie widziała, a obecność Obcego wyczuła tylko po charakterystycznym dla niego zapachu.

– Sądzę, że zanim zaczniemy, powinnam cię przeprosić. Miałaś rację, nie wolno mi osądzać. Jesteś, kim jesteś.

W odpowiedzi na te słowa zapłonęło światło. Stał przed nią z nagim torsem, w spodniach od pizamy i patrzył głęboko w oczy, tym razem bez drwiącego półuśmiechu.

– Przeprosiny przyjęte – powiedział zdawkowo. Najwyraźniej nie miał ochoty na dalszą rozmowę. Bardzo jej to pasowało. Usiadł i wystawił ku niej ramię. Rozłożyła swój sprzęt na podłodze.

– Tym razem potrwa to dłużej.

Zdobyła się na blady, przepraszający uśmiech. Nie odpowiedział, tylko skinął potakująco głową.

Ze skupieniem dotknęła jego ramienia, było przyjemnie chłodne, ale nie lodowate.

– Jaką masz normalną temperaturę? – zapytała z czystej ciekawości.

Skrzywił się lekko i wzruszył ramionami. Tego poranka zdecydowanie niewiele miał do powiedzenia. Podała mu termometr i zajęła się przygotowaniem strzykawki.

Coś lekko opadło jej na plecy. Powstrzymała się, żeby nie krzyknąć, stawiając przy tym samym na nogi cały dom. Spojrzała ze strachem przez ramię i zobaczyła kraciasty pled.

– Zmarzłaś – powiedział miękko.

Otuliła się kocem, nie dając po sobie poznać, jakie ten gest zrobił na niej wrażenie. Dopiero teraz dał jej powód, żeby zaczęła wrzeszczeć rozdzierająco. Wiedziała od początku, że jest szybki, lecz nie spodziewała się – jak niewiarygodnie. W dodatku poruszał się absolutnie bezszelestnie.

Przed sekundą siedział przed nią i mogłaby przysiąc, że nigdzie się nie ruszył. Jak duch, pomyślała i strach ścisnął ją za gardło.

– Dziękuję – wyszeptała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Zdobyła pół strzykawki bezcennego płynu i momentalnie rozdzieliła go pomiędzy przygotowane fiołki. Gdy skończyła, oddał jej termometr, na którym pulsowały cyfry 96 F.

Zgodnie z jej założeniami na skali nie powinien zaznaczyć się żaden odczyt. Wydawało jej się to ważną wskazówką, choć nie potrafiła sprecyzować dlaczego.

Zabrała koszyk, zamiast podziękować, skinęła tylko głową i już zamierzała wyjść, gdy ramieniem zastawił jej drzwi. Spojrzała mu w oczy zaskoczona.

– Nie wiem, jak długo potrwa nasz rozejm – powiedział, ustami niemal muskając jej włosy. – Ale musisz wiedzieć, że gdy tak klęczałaś przede mną

pokorna i skruszona, poważnie rozważałem możliwość udzielenia ci, za obopólną korzyścią, pomocy w rozładowaniu emocjonalnego napięcia, które czujesz na mój widok.

Nie odepchnęła go, nie wdała się w słowną przepychankę.

Zanurkowała pod jego ramieniem i kiedy znalazła się po drugiej stronie, spokojnie odpowiedziała:

– Dziękuję za twoje intencje, ale nie skorzystam – a na odchodnym rzuciła przez ramię – do zobaczenia wieczorem.

Była naprawdę zadowolona, że podniesione na dole żaluzje znaczyły schody mozaiką słonecznych promieni. Owinęła się szczelnie ciepłym pledem i wróciła do laboratorium.

Czekał tam na nią włączony mieszalnik oraz kolejna próba rozwiązania zagadki. Odszyfrowanie struktury krwi stawało się coraz pilniejsze – im szybciej tego dokona, tym szybciej wampir zniknie z ich życia.

Z zamyślenia wyrwał ją przenikliwy dźwięk brzęczyka zamontowanego na ścianie. Opiekunki miały go używać tylko w wyjątkowych sytuacjach, dlatego zerwała się z miejsca, a pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy, była paralizująca.

Nie zdążyłam.

Drżącymi rękami zamknęła drzwi i biegiem wróciła do domu. W korytarzu spotkała się z Beth, która, widząc jej bladą twarz i rozszerzone strachem oczy, natychmiast pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Z Kat wszystko w porządku. Nic się nie stało – powiedziała. – Musiałyśmy panią wezwać, bo przyszedł jakiś mężczyzna i powiedział, że ma pilną sprawę.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, osunęła się na najniższy schodek i trzymając się jedną ręką poręczy, drugą ocierała zimny pot, roszący czoło. Nie była w stanie nic powiedzieć, serce waliło jej tak bardzo, że jego głuchy łomot niósł się echem po całym ciele.

– Przepraszam, że zadzwoniłam. – Beth była wyraźnie spłoszona. – Może podać pani szklankę wody?

Pokiwała przecząco głową, prędzej by się nią udławiła, niż zdołałaby przełknąć chociaż łyk. Gardło miała ściśnięte, a ręce nadal dygotały.

Z kuchni wyszedł nieznany jej mężczyzna w garniturze. Wyglądał zbyt oficjalnie jak na poranną wizytę.

– Zgodnie z danymi mi uprawnieniami mam obowiązek wręczyć pani nakaz opuszczenia posiadłości numer – zawahał się, sięgnął do gustownego, popielatego notesu i odczytał: osiem tysięcy siedemset czterdzieści trzy. W piśmie, które

miałem obowiązek dostarczyć pani do rąk własnych, zapozna się pani ze szczegółami proponowanego wykupu oraz terminami, których należy przestrzegać pod rygorem odpowiedzialności prawnej. Dziękuję za uwagę i życzę miłego dnia.

Podał jej solidnie wypchaną białą kopertę i kłaniając się szarmancko, wyszedł. Nie zdążyła mu nawet odpowiedzieć, zresztą, jakie to miało teraz znaczenie? Dostała list, którego spodziewała się od dawna. Poraziło ją tylko, jak można, dostarczając nakaz eksmisji, zarazem życzyć komuś miłego dnia. Zakrawało to na szczyt urzędniczej perwersji.

Ledwie odzyskała władzę w nogach od razu chciała pójść do córki, aby na własne oczy przekonać się, że rzeczywiście nic się nie stało, ale Beth zagroziła przejście.

– Kat śpi i proponowałabym jej nie budzić. To zdrowy sen bez środków uśmierających, pozwólmy małej się nim nacieszyć.

Po tak stanowczym sprzeciwie, Vic nie miała nic innego do roboty, jak wrócić do laboratorium; wcześniej jednak odwiedziła sypialnię i w pośpiechu, wyrzucając stertę ubrań na środek, dokopała się do puchowej kurtki. List rzuciła na łóżko, obiecując sobie, że niebawem go przeczyta. Niebawem oznaczało odległą przyszłość, gdy każdy z jej problemów odejdzie w niebyt.

Odruchowo spojrzała na zegarek. Było dopiero wpół do dziewiątej, miała zatem dostatecznie dużo czasu, żeby sprawdzić kilka z najświeższych pomysłów.

W laboratorium czekało ją poważne rozczarowanie, żaden z rozpuszczalników nie powstrzymał krystalizacji. We wszystkich próbkach proces przebiegał w identycznym tempie. Brak odstępstw oznaczało, że kolejne próby może sobie darować. Wróciła do spektrometru, ponieważ udało jej się ocalić bryłkę krwi. Delikatnie zaczęła ją ogrzewać i zanim płomień buchnął, pobrała swoją krew do badania. Potrzebny był jej materiał porównawczy. Na pożarcie najpierw rzuciła spektrometrowi spopieloną krew Obcego. Skoro na wynik i tak musiała poczekać, bez wyrzutów sumienia poszła przywitać się z córką.

Poranek dość nietypowo jak na połowę listopada przyniósł ocieplenie, słońce rażno zaglądało przez szyby i choć czuło się delikatne szczypanie chłodu, w jego promieniach można było przez chwilę poudawać, że to dopiero początek jesieni. Kat obudziła się tuż przed jej przyjściem, była jeszcze rozespana i ziewała zaraźliwie, uświadamiając Vic jak sama mało spała przez ostatnie dni. Dziewczynka była wyraźnie ożywiona. Spokojny sen zwrócił jej siły, dlatego po krótkich namowach zdecydowała się zjeść odrobinę pieczonego jabłka. Nagrodą za śniadanie był spacer na taras. Cierpliwie zniosła wszystkie zabiegi

higieniczne, pozwoliła się ubrać i z ogromną radością obie znalazły się na zewnątrz.

Ciepłe powietrze niczym bąbel zawisło nad nimi, pozwalając, w pełni cieszyć się być może jednym z ostatnich słonecznych dni.

Las wokół przywdział swój najpiękniejszy strój – barwy jesieni. Brąz i czerwień płonęły żywymi kolorami w oprawie szmaragdowej zieleni, gdzieś wesoło połyskiwała miodowa żółć przechodząca w dojrzałą barwę gorzkiej czekolady.

Wydawało się, że majestatyczny modrzew przy każdym najlżejszym podmuchu wiatru, strząsa z ulgą martwe, blade igły. Kierując wzrok ku przycupniętemu u podnóża góry jezioru, gra barw stawała się bardziej nieokiełznana i dzika, tworząc niesamowity kontrast pomiędzy wytrawionym z letniego błękitu niebem a ziemią, która odpowiadała mu feerią nasyconych kolorów, szaleństwem odcieni i zaskakujących akcentów.

W takie dni można było tylko podziwiać malarską fantazję natury i w milczeniu zachwycać się idylliczną panoramą.

Kat, siedząc na wózku, z zacięciem oddawała się swojemu ulubionemu zajęciu – fotografowaniu lasu i poszczególnych drzew, które wydawały się stawać w płomieniach barw.

A Vic nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz na przestrzeni roku widziała tak ożywioną buzię córeczki, więc nie mogła oderwać wzroku od jej zaróżowionych policzków i błyszczących oczu.

Jeszcze tydzień temu dziewczynka wydawała się stracona dla świata, nie tylko z powodu postępującej choroby. Szpital wysysał z niej wszystkie siły, odbierał resztki nadziei i doprowadzał do psychicznej i fizycznej katatonii. Nic jej nie interesowało, zamknęła się w swoim bólu jak ślimak w skorupce; żadne opowieści, filmy, występy kłownów ani odwiedziny znajomych nie mogły jej wyrwać z powrotem do świata.

Z każdym dniem ciemność wciągała ją podstępnie w swoje szpony, odbierając najpierw jakiegokolwiek zainteresowanie otoczeniem, ścierając uśmiech z twarzy i zamykając jak księżniczkę z baśni w potwornej wieży cierpienia.

Pomysł sprowadzenia jej do domu okazał się najszcześniejszym ze wszystkich. Znajome miejsce, zapachy, ukochane drzewa, kojący szum lasu, śpiew ptaków odsunęły od niej ponure myśli, odegnały strach i pozwoliły wrócić do żywych.

Bo Kat, mimo licznych zapewnień lekarzy i stanowczych protestów Vic, wiedziała, że umiera. Czuła to jak marynarz nadchodzący sztorm.

Przez kilka pierwszych miesięcy znalazła w sobie dość siły, żeby walczyć,

czasem tylko zadawała pytanie: – Po co? – Jakby podświadomie rozumiała, że każdy zabieg potwierdza jedynie nieskuteczność poprzednich.

Od początku lata choroba ją złamała. Razem z postępującym paralizem lewej strony i coraz częstszymi atakami drgawek, osunęła się w otchłań zwątpienia. Nie miała już sił ani ochoty zadawać żadnych pytań, z rozdzierającą serce obojętnością znosiła wszystkie zabiegi, od czasu do czasu i tylko dla Vic zakładała blady uśmiech, który nie rozjaśniał oczu. Wtedy mówiła:

– Wszystko będzie dobrze, mamusiu. – Bardziej, żeby ją pocieszyć, niż dodać sobie otuchy. Od połowy października w ogóle przestała mówić, tylko jej pełne cierpienia oczy zdawały się pytać: – Jak długo jeszcze?

Nieuchronny wyrok, który zapadł z woli bawiących się ludzkim losem bogów, demonów czy przeznaczenia, zdruzgotał psychikę Vic, wystawił ją na pastwę wewnętrznego pożeracza dusz, starającego się wmówić, że ponosi winę za wszystko, i popchnąć w najczarniejszą rozpacz, gdzie nie było już miejsca na najśłabszy nawet promyk nadziei. Bo Vic wiedziała doskonale, że nie przeżyje śmierci swojej córki.

Od kilku tygodni, aby nic nie zostawiać przypadkowi, miała przygotowany w sejfie własny, złoty strzał.

Myślała wtedy: jeśli odchodzi od ciebie ktoś, kto jest całym twoim życiem, co ci zostaje? Bez trudu była w stanie zdobyć się na ten lodowaty spokój, który podziwiali z niedowierzaniem lekarze i rodzice innych dzieci, stawiając ją za przykład opanowania i godnego znoszenia cierpień. Nie wiedzieli, że dla niej nie było żadnego ratunku, bo także w jej życiu, z każdym upływającym dniem, gasło światło.

Ten moment na werandzie w środku płonącego jesienią lasu był dla obu czymś więcej niż chwilą zachwytu nad naturą. Symbolicznie wraz ze śmiercią przyrody wracały do życia, kierowane nadzieją ofiarowaną przez najmroczniejszą ze wszystkich sił. Dlatego nieważne było jak zachowa się Obcy, co powie, jak głębokie zada rany. Cel był ważniejszy niż wszystkie urazy i zdeptana duma, bo było nim jej dziecko, najważniejsza istota na ziemi. Dla niej gotowa była na wszystko, nawet zaprzękanie własnej duszy.

Drzwi od tarasu zaskrzypiały i Kat odwróciła się z oczami pełnymi ufnej radości, która zgasła równie szybko, jak się pojawiła. To nie oczekiwany przez nią doktor Barrow dołączył do nich tego poranka, lecz ktoś, kogo nie znała, choć jego twarz zdawała się dziwnie znajoma.

– Jonathan – mimo zaskoczenia, Vic na jego widok rozpromieniła się – jak miło, że wpadłeś.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku, lekko speszony.

– Nie chciałem wam przeszkadzać, nie sądziłem, że jesteście jeszcze bez śniadania.

I zrobił to, za co polubiła go od pierwszego wejrzenia. Wyszedł, aby po chwili wnieść kwadratowy stolik i dwa rozkładane krzeselka.

– Kto to jest? – zapytała dziewczynka szeptem, gdy znów zniknął za drzwiami.

– Pamiętasz pana, który niósł cię na rękach, gdy przyjechałaś ze szpitala?

Przez bladą buzię dziewczynki przebiegł cień, wspomnienie szpitala było równoznaczne z przywołaniem choroby, którą jedynie na chwilę przepędziło słońce. Vic szybko zmieniła temat.

– Ma na imię Jonathan, ale przyjaciółom każe na siebie mówić Jona. Wyremontował nasz dom i wymyślił dla ciebie akwarium. Jest naprawdę bardzo miły, sama się przekonasz.

Jakby w odpowiedzi na te słowa w drzwiach pojawił się Jonathan, niosąc niewielką tacę, na której spoczywał dzbanek świeżej, pachnącej kawy i trzy filiżanki.

Na pewno pielęgniarki powiedziały mu, że Kat nie chce normalnych posiłków, miał zatem jakiś plan. Obie z rozbawieniem obserwowały jego bieżącą, mając wrażenie, że nigdy się nie skończy, co rusz bowiem na stoliku pojawiały się nowe produkty, a to świeże bułeczki w wiklinowym koszyku, a to talerzyk z białym serem, czy sok w zgrabnym szklanym dzbanuszk.

Gdy przygotowania zostały zakończone, siedli do stołu całą trójką. Wśród archipelagu wszelakiego rodzaju łyżeczek, noży i widelców znalazło się nawet miejsce dla kolorowych rurek.

– Napijecie się kawy? – zapytał, przejmując honory pana domu.

Kat musiała się do niego uśmiechnąć, bo właśnie taki był – naturalnie bezpośredni i otwarty. Człowiek, którego nie sposób było nie polubić.

– Nie pijam kawy, proszę pana – odpowiedziała Kat niczym mała dama.

– Wobec tego powinnaś spróbować znakomitego, własnoręcznie przeze mnie wyciśniętego soku. Nie zwracając uwagi na protesty, wlał odrobinę napoju do kubka i podał jedną z długich, kolorowych słomek.

Vic nie mogła opanować podziwu dla jego taktu i wyczucia. Jonathan był kawalerem, miał co prawda dwóch młodszych braci, z którymi pracował, ale nigdy wcześniej nie miał do czynienia z tak chorym dzieckiem, zatem wszystko, co robił, wynikało z niezwykle rozwiniętej intuicji, pozwalającej mu w tej sytuacji zachować się właściwie. Rozmawiał przede wszystkim z Kat, więc śniadanie upłynęło im w doskonałej atmosferze. Dopiero po nieco wolniejszym

sposobie mówienia i sporadycznych ziewnięciach, Vic zorientowała się, że nadchodzi pora drzemki.

Poprosiła Jonathana, aby poczekał, i zawiozła Kat do środka, Marta już czekała, aby przejąć opiekę nad małą, lecz zanim przeniosły ją na łóżko, córka płaczącym głosem powiedziała:

– Mamo, Jona jest bardzo miły, ale naprawdę tęsknię za doktorem Williamem, nie mogłabyś go poprosić, żeby do mnie przyszedł?

– Przykro mi, kochanie – odpowiedziała. – Pracował całą noc i pewnie teraz śpi. Zajrzy do ciebie później, a teraz zmykaj spać.

Wraz z przypomnieniem dławiącej obecności Obcego cień zagościł w jej umyśle. Nie była w stanie zdobyć się na uśmiech i miłą pogawędkę z Jonathanem. Nawet była zła, że go zatrzymała. Powinna teraz pracować, a nie trwonić czasu na rozmowy.

Wróciła na taras i starannie zasunęła za sobą drzwi.

Siedział swobodnie rozparty na krzeselku i podziwiał rozciągający się przed nim widok.

Nie pytam, jak się czuje, bo widzę. – Nie spojrział na nią. – Lepiej powiedz, jak dokonałaś tego cudu?

– To nie ja – odpowiedziała, siadając obok.

Wlała sobie filiżankę kawy. Była doskonała, mocna i aromatyczna, takiej właśnie potrzebowała.

Chciała coś powiedzieć, ale zawahała się w pół słowa, bo przyszło jej do głowy, że Jonathan jest jednym z niewielu ludzi, przy których doskonale się milczy. Tak lekko i niezobowiązująco. Naturalnie.

– Mam nadzieję... – przerwał ciszę, spojrział jej w oczy i lekko zmieszany tym, co w nich zobaczył, zaczął jeszcze raz. – Czy moglibyśmy porozmawiać?

– O czym? – Od razu pożałowała, że zadała to pytanie.

– Od niedzieli czekałem na twój telefon – mówił powoli i z namysłem, szukając odpowiednich słów. – Kilka razy łapałem się na tym, że bezwiednie wystukiwałem twój numer, ale w ostatniej chwili... – zawiesił głos – nie chciałem ci przeszkadzać. Liczyłem, że zadzwonisz. – Spuścił wzrok. – Posłuchaj, nie zamierzam ci w żaden sposób wchodzić w życie.

– Spostrzegł, że zachnęła się, ale nie pozwolił sobie przerwać. – Nie wtedy, gdy masz tyle na głowie. Nie chcę wyjść na natręta. Jesteście dla mnie bardzo ważne. Obie. Od dawna chciałem ci to powiedzieć i prosić, żebyś od czasu do czasu pozwoliła mi po prostu wpaść.

– W moim życiu jest miejsce tylko dla Kat. Nic więcej się dla mnie nie liczy.

Nie teraz – powiedziała, ignorując jego spojrzenie. – Mam nadzieję, że potrafisz to zaakceptować. – Myślałem, że mógłbym... – nie dokończył, wziął głęboki oddech i wstał z krzesła. – Uszanuję każdą twoją decyzję. Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz gdzie mnie znaleźć. Chciałbym, abyś myślała o mnie jak o przyjacielu, z którym możesz porozmawiać o wszystkim. Z daleka dobiegł do niej dźwięk zamykanych drzwi i głuchy warkot odjeżdżającego samochodu.

Boże, pomyślała. Co ja narobiłam.

Powinna była mu od razu powiedzieć, ale wycofała się w ostatniej chwili, wybierając mniejsze zło. Przemilczana prawda odebrała całą radość słonecznego popołudnia i przygniotła ją swoim ciężarem. Lubiła go, więc jej obowiązkiem było zagrać w otwarte karty. Nie zrobiła tego bo była zakłamanym tchórzem.

Biedny Jonathanie, pomyślała, że tak należało zacząć. Pomyliłeś współczucie z zainteresowaniem. Opierając się na twojej życzliwości i uczuciach, przygniotłabym cię problemami i pociągnęła za sobą na dno. Nie mam prawa wykorzystywać czyjejś naiwnej dobroci, aby szukać pociechy. Nie wolno mi obarczać cię wziętą z dobrej woli i szlachetnego serca odpowiedzialnością, która jest za ciężka nawet dla mnie. Najlepiej dla nas obojga będzie, jeśli zapomnisz o tym, że kiedykolwiek się spotkaliśmy. Nie przychodź tu więcej, nie czekaj na telefon, szkoda twojego czasu. Tak powinna była zakończyć spotkanie, ale nie potrafiła się na to zdobyć.

Resztę dnia spędziła na niewesołych myślach i jeszcze mniej wesołej analizie wyników. Badanie spektrometrem nic nie wykazało. Skład chemiczny krwi był identyczny w testowanych próbkach. Nic nie wskazywało na jakąś strukturalną deformację, zatem proces, który przebiegał w zetknięciu z powietrzem, miał zupełnie naturalne podłoże i należało go zbadać na podstawie płynnej próbki, której nie była w stanie uzyskać.

Ustaliła wcześniej, że pełna krystalizacja następowała w ciągu kilku minut. Jakie badania mogła wykonać w tak krótkim czasie? Olśniło ją. Zamrożona próbka krwi powinna po ogrzaniu odzyskać ciekłą formę. Zapisała uzyskane wyniki oraz nowe sugestie i pomysły.

Zadowolona z siebie wróciła do domu, żeby wieczór spędzić z córką, która im późniejsza była godzina, tym częściej spoglądała w stronę drzwi. Vic udawała, że nie widzi jej ukradkowych spojrzeń na zegar i podniecenia każdym szmerem w korytarzu. Mała zdawała się jej nie słuchać i zdawkowo odpowiadała na pytania, aż w końcu nie wytrzymała.

– Czy myślisz, że doktor William się już obudził?

– Na pewno – powiedziała. – Zaraz do ciebie zejdzie.

Wymowne spojrzenie Kat było oczywistą prośbą. Z trudem podniosła się z fotela, czując, że wieczór nie upłynie tak przyjemnie, jak się zapowiadała, i przyjdzie jej gorzko żałować kolejnego spotkania z Obcym. Odłożyła trzymaną w dłoniach książkę i niczym na ścięcie poszła na górę.

Nie musiała pukać, drzwi były otwarte a w pokoju – pusto. Z jednej strony kamień spadł jej z serca, z drugiej obawa ścisnęła żołądek.

A jeśli mimo wszystko odszedł? – pomyślała spanikowana.

Ta przerażająca wizja sprawiła, że zachwiała się i oparła o framugę, a czarne mroczki pojawiły się przed oczami. Gdyby mogła cofnąć czas, wymazać słowa, które powiedziała w nocy, przeprosić, ba, błagać o powrót – zrobiłaby to bez wahania.

Zrozpaczona zajrzała do pokoju, błagając w duchu wszystkie boskie i piekielne moce, żeby jej obawy okazały się płonne. Wewnątrz nic nie wskazywało, aby jego mieszkaniec na zawsze opuścił dom. Rzucona niedbale na łóżko koszula, odłożona na szafkę książka i kubek na stoliku świadczyły, że jej lęk był bezpodstawny.

Uspokojona zajrzała do kuchni, wyjrzała na taras i dopiero usłyszane w przejściu głosy kazały jej wrócić na korytarz i dyskretnie wyjrzeć przez szybę na werandzie.

Scena, którą tam zobaczyła, sprawiła, że natychmiast pożałowała swojej ciekawości. Na ławeczce, której przez zapomnienie nie sprzątnęła przed nadchodzącą słotą, siedziała jej asystentka z Obcym. Ubrana w czerwoną, puchową kurtkę wyglądała apetycznie i olśniewająco. Vic dobrze знаła ten uśmiech oznaczający „przynęta rzucona”. Eve lekkim, starannie wystudiowanym gestem, od którego wszystkim mężczyznom robiło się gorąco, odrzucała pasemka opadających na twarz włosów, a usta odsłaniające równe, białe zęby rozchyliła prowokacyjnie. Bez wątpienia doktor Barrow wywierał magnetyczny wpływ na kobiety.

Nie słyszała o czym rozmawiali, ale z gestów i zachowania obojga można było się domyślić wszystkiego.

Patrzyła na rozgrywającą się przed jej nosem scenę i nie mogła się zdecydować, co powinna zrobić. Eve wyraźnie zagięła parol na Obcego, co mogło okazać się wygodnym zbiegiem okoliczności na przyszłość. Dawało nadzieję, że zajęty nową zdobyczą, odczepi się od niej i przestanie doprowadzać do białej gorączki swoimi aroganckimi uwagami. Jednak w tym scenariuszu istniało pewne poważne „ale”...

Doktor Barrow nie był lekarzem, nie był nawet człowiekiem. Dlatego nie

mogła spokojnie obserwować, jak nieświadoma niczego ofiara, ostrzy sobie zęby na potencjalnego kata. Jej obowiązkiem było zareagować natychmiast – przerwać w zarodku rodzący się flirt.

Gwałtownie otworzyła drzwi, zaskakując Eve, a doktor Barrow odwrócił się w jej kierunku z rozbawionym spojrzeniem, które mówiło, że od dawna się jej spodziewał.

Eve zerwała się na nogi i zaczęła chaotycznie tłumaczyć.

– Mógłbyś iść do Kat? – przerwała potok jej słów. – Czeka na ciebie. Wstał z wyraźnym ociąganiem, spojrzał na nią z dziwnym uśmiechem i zniknął we wnętrzu domu. Musiał dać wcześniej jakiś znak Eve, bo dziewczyna roześmiała się perliście i nagle zasłoniła sobie usta dłonią, jakby ta zupełnie nieodpowiednia reakcja mogła urazić spiętą i zdenerwowaną Vic.

– Musimy porozmawiać. Wolisz tu, czy w domu? – zapytała, ignorując zachowanie, które przypominało jej dawno niewidziane obrazki z liceum. Tym razem to ona odgrywała rolę poważnej matrony psującej zabawę dzieciom.

Eve spłoszył jej oficjalny ton, spoważniała i z powrotem usiadła na ławeczce, Vic ucieszyła się w duchu, bo w środku ktoś niepowołany mógłby usłyszeć tę rozmowę, a tego w żadnym wypadku sobie nie życzyła.

– Naprawdę nie chciałam, żeby tak wyszło – tłumaczyła się wyraźnie speszona dziewczyna. – Musisz podpisać zwrot na tych papierach, sprawa jest pilna, bo dotyczy rozbiórki gabinetu, który jest twoją własnością, przynajmniej tak wynika z umowy. Nie chciałam ci teraz zawracać głowy, bo zobaczyłam, że siedzisz u Kat, i postanowiłam poczekać. Will zjawił się znikąd i zaczęliśmy rozmawiać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Mam – powiedziała poważnie, patrząc jej prosto w oczy. Czekwała, aż do Eve dotrze znaczenie tego słowa, a resztę załatwi kobieca intuicja. Po cichu modliła się, żeby nie zdradzić miną ani żadnym nieopatrznym słowem planowanego podstępu. Gra toczyła się tu o wysoką stawkę.

Zgodnie z oczekiwaniami dziewczyna spojrzała na nią zaskoczona, a gdy dotarł do niej sens wypowiedzi, głośno wciągnęła powietrze. – Niemożliwe? – szepnęła. – Niewiarygodne.

– Co jest niewiarygodne? – spytała Vic, bez zmrużenia powiek, brnąc dalej.

Ty i on? – Eve sprawiała wrażenie, jakby jeszcze niezupełnie do niej dotarła ta sensacyjna wiadomość.

– Wolalabym, żebyś znalazła sobie inny obiekt westchnień, on jest dla ciebie niedostępny. Zarezerwowany. – Ale...

Vic przerwała jej bez skrępowań.

– Eve, nie rób tego. Nie okradaj nędzarza z ostatniej kromki chleba.

– W życiu bym nie pomyślała, że mogłabyś być nim zainteresowana?

– Mój błąd. – Bała się, że następna część zdania nie przejdzie jej przez gardło, wzięła głęboki oddech i powiedziała: – Jest dla mnie kimś ważnym. Tyle powinno ci wystarczyć.

– Jak...?

– Nieistotne. – Vic zawiesiła głos dla efektu. – Nie osądzaj mnie zbyt surowo – zamilkła, ale nie musiała długo czekać na reakcję. Eve poderwała się z ławki.

– Nigdy! – krzyknęła prawie, a w szczerłość jej zapewnień nie można było wątpić, patrząc na rozszerzone oburzeniem oczy – Gdybym wiedziała., możesz mi wierzyć, nigdy nie pozwoliłabym sobie. To się więcej nie powtórzy.

Vic była o tym święcie przekonana, poznała ją na tyle dobrze, że mogła zaufać zapewnieniom.

Odprowadzała wzrokiem drobną postać w puchowej kurtce i długo patrzyła w ślad za starym fordem, który zniknął i pojawiał się między drzewami, omiatając las snopem światła.

Przynajmniej jedno niebezpieczeństwo udało jej się tego dnia zażegnać.

Dumna z siebie wróciła do domu, miała zamiar iść na górę i założyć sweter, gdy pojawił się przed nią ze szklanką whisky.

– Twój upór, żeby wymusić na mnie opiekuńcze gesty, jest zastanawiający, robisz to celowo, czy podświadomie? Już drugi raz dzisiaj oczekujesz, że cię rozgrzeję. Symbolika takiego zachowania staje się aż nazbyt oczywista.

Bez słowa wyjęła mu szklankę z dłoni i z przyjemnością upiła solidny łyk, whisky uderzyła w nią falą ciepła i wywołała lekki szum w głowie.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Miała jeszcze w pamięci ślad przerażenia na widok pustego pokoju i dlatego postanowiła, że nie da się tym razem wyprowadzić z równowagi.

– Byłeś u Kat?

– Oczywiście – odpowiedział zimno, ale wykonał przy tym gest, jakby chciał dotknąć jej włosów. Zanim zdążyła pomyśleć, zrobiła gwałtowny unik i odepchnęła jego rękę. Znalazł się tuż za nią, trzymając mocno za wykręcony do tyłu nadgarstek. Poczowała rwący ból, ale stał zbyt blisko, aby mogła się wyzwolić bez zadawania sobie dodatkowego cierpienia. Nachylił się, szepcząc jej do ucha.

– Od kiedy, kochanie, jestem dla ciebie aż tak ważny?

Nie mogła odpowiedzieć, bo zaciskała właśnie zęby, żeby nie krzyknąć z bólu, absolutnie nie wolno było jej przyznać się do słabości. Łzy wściekłości szczypały

w oczy, ale wiedziała, że tym razem nie popłyną. Nie pozwoli im na to. Nigdy.

– Zepsułaś mi zabawę, a tego nie lubię. – Oddech łaskotał ją w ucho, próbowała ze wstrętem odwrócić głowę. Nie dała rady, bo została całkowicie zablokowana.

– Przyjąłem twoje warunki, ale w umowie nie było słowa o zakazie prowadzenia zwyczajnej, towarzyskiej rozmowy. – Puścił jej rękę i szarpnął za ramiona, stanęli twarzą w twarz. Z oczami zmrużonymi złością patrzył wprost w jej źrenice pociemniałe od furii.

– Jeśli będę miał na to ochotę, prześpię się z każdą z nich razem i z osobna. Ty zaś powstrzymaj swoją wybujałą fantazję i przestań opowiadać bajki. Zapamiętaj na zawsze: mnie bezkarnie nie psuje się zabawy – powtórzył, a plamki w jego oczach pulsowały intensywną czerwienią.

Gdy puścił jej rękę, nawet na nią nie spojrziała, nie chcąc widzieć nabiegłej krwi obręczy.

Dawno temu obiecała sobie, że żaden mężczyzna jej nie upokorzy, żaden nie użyje wobec niej przemocy, a jeśli nawet to uczyni, przyjdzie mu za to zapłacić straszną cenę. Jednak tym razem duma musiała się skryć w mysiej norze.

Nie mogła mu rzucić w twarz obelgi, odwarknąć oszczerstwem na podłość. Nie była sobie w stanie wyobrazić, jaki los spotkałby Kat, gdyby teraz odszedł. Lecz przecież nikt nie może odebrać siły bezbronnym..

– Po raz kolejny dzisiaj przepraszam – powiedziała spokojnie, nie spuszczać wzroku. – Wybacz, że zepsułam ci zabawę. Nie pozwoliłam Eve zostać twoją maskotką. Powinno mi być obojętne, jakie miałeś wobec niej plany, niestety jestem tylko człowiekiem ze wszystkimi przejawami. Należy do nich także troska o innych, chociaż akurat tego pewnie nie potrafisz zrozumieć. Możesz robić, co zechcesz, mówić, co ci żywnie przyjdzie do głowy, a nawet od czasu do czasu użyć w odpowiednich proporcjach przemocy. Zgodzę się na wszystko, bo doskonale wiesz, że nie zrobię nic, co przez przypadek naruszyłoby nasz wąty rozejm. Dla Kat jestem gotowa na każdy kompromis i wykorzystujesz to z niezrozumiałym dla mnie okrucieństwem, jakby bawiło cię, że jestem od ciebie tak zależna. Chodzę na krótkiej smyczy, której koniec trzymasz w dłoni. Jeśli coś pójdzie nie tak, możesz z łatwością złamać mi kark, ale wiem, że tylko dzięki mojej pokorze Kat otrzyma lekarstwo. Zatem rób, co chcesz. Puścił jej ramiona, odsunął się na krok, patrząc z niedowierzaniem i zaskoczeniem.

– Oszalałaś? – zapytał, gdy skończyła.

– Ja?

Podniosła oskarżycielskim gestem dłoni niemal pod jego oczy. Na nadgarstku

widniały odcisnięte czerwone ślady placów.

– Wydawało mi się, że tylko tchórze pastwią się nad bezbronnymi ofiarami, ale widocznie mało wiem. Kiedyś obiecywałam sobie, że nigdy nikt mnie nie skrzywdzi. Tobie pozwalałam na wszystko i to nazywałeś szaleństwem? Nie przyszło ci do głowy, że cena mojej pokory leży obok i dla niej zgodzę się na każde poniżenie. Wyraźnie przeceniłam twoją inteligencję.

Z satysfakcją zobaczyła, że po ostatniej uwadze krwiste plamki urosły i zdawały się płonąć wewnętrznym ogniem. Mimo to nie zrobił nic, nie rzucił nią o ścianę ani nie zaczął swoim zwyczajem syczeć.

– Powtarzasz się, identycznym tekstem spławiłaś skomlącego o uwagę Jonathana.

Zatrzęsła się z wściekłości.

– Za to także cię przepraszam. Mam nadzieję, że nie uraziłam cię zbyt dotkliwie, narażając na podsłuchiwanie naszej rozmowy.

– Mogłabyś przestać...

– Ależ proszę bardzo, jeśli chcesz wyładować swoją złość, jestem do usług. Chcesz poplirtować, jestem w każdej chwili do dyspozycji. Chcesz się z kimś przespać, powiedz, kiedy i gdzie mam czekać. Jak widzisz moje pełne oddanie nie ma granic. Zgodnie z umową.

Chyba się nieco zagalopowała. Roześmiał się, lecz w jego głosie pobrzmiwała fałszywa nuta.

– Za godzinę u mnie – powiedział, mrużąc oczy w swoim ironicznym grymasie. – Będę czekał z niecierpliwością. Tego się nie spodziewała.

– Wolałabym u mnie – starała się, żeby zabrzmiało to poważnie – aby się z tobą przespać musiałabym wziąć taką ilość otępiaczy, że mogłabym nie dać rady dojść do twojego pokoju.

– Czyżbym budził w tobie aż taki wstręt? Spojrzał na nią z zaskoczeniem i niedowierzaniem.

– A musisz pytać? Chyba że chcesz, abym cię znów przepraszała za odpowiedź. Teraz bała spojrzeć się mu w oczy, bo mógłby w nich wyczytać, jak bardzo pragnęła rzucić mu się do gardła. Dziwne, ale przy nim nie potrafiła ukryć emocji.

– Łączy nas tylko wspólny interes i prosiłabym, abyś w taki sposób traktował naszą umowę. Daruj sobie ataki na mnie, odpuść ironię i pozwól pracować w spokoju, bez strachu o to, jak skończy się mój dzień.

– Z tobą jest gorzej niż myślałem – popatrzył na nią z zainteresowaniem badacza, który odkrył nowy gatunek. – Chociaż... – zawahał się. – Postaram się nie wchodzić ci więcej w drogę.

Skłonił się szarmancko i w tej samej sekundzie korytarz opustoszał. Nigdy nie przyzwyczaję się do jego sposobu znikania, pomyślała. A swoją drogą ciekawe, co miał na myśli, mówiąc, że ze mną jest gorzej niż przypuszczał?

Szybko przestała się nad tym zastanawiać, wróciła do Kat i we trójkę, jakby nic się nie stało, spędzili spokojny wieczór na czytaniu bajek i opowiadaniu o urokach mijającego dnia.

Jeszcze kilka podobnie miłych dni – pomyślała, zagryzając wargi – i przejdę na dietę psychotropową.

Dokładnie z wybicciem dziewiątej wróciła do swojego pokoju. Tej nocy miała zamiar poszperać w stosie przygotowanych książek oraz Internecie.

Z reguły szła spać między drugą a trzecią, aby wstać koło szóstej. Te trzy, cztery godziny snu wydawały jej się niepotrzebnym luksusem, lecz mając do dyspozycji wykwalifikowaną pomoc, mogła sobie na to pozwolić.

Podczas pobytu Kat w szpitalu, często nie udawało jej się urwać nawet tych kilku godzin. Mała źle spała, często zrywała się w nocy, płakała przez sen i żadne środki nie były jej w stanie uspokoić. Siedziała wtedy przy niej, trzymając ją za rękę, głaskała, mówiła do niej, choć wiedziała doskonale, że dziecko tego nie słyszy. Tylko tyle mogła zrobić.

Kiedy nafaszerowana środkami nasennymi i przeciwbólowymi jej mała córeczka coraz częściej miewała koszmary i Vic po prostu nie spała ze strachu, obawiając się, że gdy będzie potrzebna, może się nie obudzić w porę. W dobre dni drzemała w dostawionym fotelu nawet przez kilkanaście minut.

Teraz wszystko się zmieniło. Kat przesyiała spokojnie noce, bez środków usmierzających, paraliż co prawda nie ustąpił i ataki drgawek dawały od czasu do czasu o sobie znać, ale były sporadyczne i o wiele słabsze niż poprzednio. Często pielęgniarki nawet jej nie wzywały, bo same doskonale sobie radziły. Dawało jej to co najmniej osiem godzin wolnego czasu, który postanowiła poświęcić na wyszukiwanie informacji o kryształach. Przejrzawszy sporo stron internetowych, odkryła, że proces krystalizacji przebiega w trzech fazach.

Pierwsza z nich polega na tworzeniu zarodków lub obudowywaniu ich wokół drobnych monokryształów, druga na wzroście pojedynczego kryształu, trzecia natomiast tworzy mikrostrukturę krystaliczną. Potem pojedyncze kryształy się zlepiają. Są dwa rodzaje zarodków krystalizacji, jedne zależą od przypadkowych ruchów cieczy, drugie są wynikiem zanieczyszczenia pojedynczymi kryształami. Od razu odrzuciła pierwszy typ.

W swoich poszukiwaniach musiała się zatem skupić na odkryciu tego pojedynczego kryształu, wokół którego nadbudowywana była cała struktura.

Wniosek nasuwał się sam – jego krew musiała być skażona naturalną substancją organiczną, która w zetknięciu z powietrzem szybko ulegała krystalizacji, lecz równocześnie nie rozpuszczała się w wodzie. W takim przypadku szukanie chemicznego rozwiązania zagadki było pozbawione sensu, bo pojedynczy kryształ ukrywał się pod płaszczykiem typowych związków.

I to wszystko działo się w ciągu kilku minut. Gdyby nie gościła w swoim domu wampira, skwitowałyby to jednym słowem – niemożliwe. Cały złożony proces wymagał wielu sprzyjających czynników i czasu, którego oczywiście nie mogła brać pod uwagę. Jeśli odkryje zarodek i go usunie, otrzyma płyn, który po przebadaniu można będzie użyć do stworzenia leku. Miała przeczucie, że „czynnik wampira” ukrywa się właśnie w owych kryształach. Starannie wypisała zadania na jutrzejszy dzień i dosłownie padła z nosem w książce i dłonią na klawiaturze.

Sen, który jej się przyśnił, był najczystszej postaci koszmarem.

Tkwiała w ciemnościach, próbując po omacku znaleźć wyjście. Wyciągniętymi rękami badała przestrzeń wokół siebie, coraz bardziej ogarnięta przerażeniem.

Szukała ścian, dzięki którym mogłaby chociaż określić kształt pomieszczenia, lecz dokądkolwiek zawędrowała, nic nie ograniczało pustki. Dotarło do niej, że oślepla. Chciała krzyknąć, ale nie udało jej się wydobyć głosu z zaciśniętej paniką krtani. Nagle zaatakowały ją odgłosy miasta, ludzkie kroki na chodniku, urywane strzępy rozmów, rozdzierający ryk klaksonów, pisk opon i czyjś zduszony okrzyk. Nie miała pojęcia, gdzie jest, czy stoi na chodniku, czy może właśnie przed nią hamował rozpędzony samochód. Miała poczucie całkowitego osamotnienia i zagubienia. Była wśród ludzi, lecz tak bardzo obok, oddzielona od nich czarną zasłoną ślepoty.

Hałasy ucichły i usłyszała niewyraźny szept, przypominający dobrze jej znane syczenie. Słowa były niezrozumiałe, tworzyły bełkot. Próbowała odwrócić się w stronę mówiącego, ale ogłuszający szept zaczął otaczać ją ze wszystkich stron.

Było w nim tak wiele skumulowanej nienawiści, którą czuła podświadomie, że zasłoniła dłońmi uszy, gotowa na zawsze ogłuchnąć, byle nie słyszeć już więcej powtarzanych, pełnych jadu słów.

– Sen ahase mesa, ta adess – głos przedzierał się przez jej zaciśnięte w pięść dłonie, docierał do mózgu, wgryzał się w niego, aby porzucić ją nagle, zwiniętą w kłębek na lodowatej posadzce.

Nadal tkwiła w gęstym mroku, który z każdą chwilą wydawał się rozjarzać bladym światłem na horyzoncie. Nie był to ani wschód słońca, ani sztuczne

światło lampy.

Przez ciemność szedł do niej człowiek. Był wyższy niż drzewa, które wydobywał z mroku blask, jaki wokół siebie roztaczał, potężniejszy od wzgórze, przy którym się zatrzymał. Od jego postaci biła nieznośna światłość. Musiała odwrócić spojrzenie, a wtedy przez powietrze przetoczył się grom – jego głos.

– A zatem stało się. Wybrałaś. Nie zmienisz tego, co przeznaczone. Czeka cię wieczna kara i potępienie na tym i każdym ze światów.

Kontury postaci rozpląwały się powoli, ustępując czerwonym rozbłyskom i narastającemu dziko pierwotnemu łomotowi bębnow. Poczwała, jak włosy stają jej dęba na głowie. Do wtóru zwielokrotnionego echa rozdieranej tkaniny nadszedł On.

Wyglądał jak na ilustracji w księdze mnicha Jakuba, jednak oglądany – paraliżował. Był kwintesencją koszmaru, ziszczeniem najpotworniejszych wyobrażeń. Jego czarne ciało zdawało się poznaczone, zamiast siecią żył wstęgami płynnej lawy, w których czerwień i żółć kotłowały się coraz intensywniej, w miarę jak stawał się wyrazistszy.

Ogromny łeb z zakrzywionymi ku górze rogami nie był ani zwierzęcy, ani ludzki. Szerokie czoło ukrywało pod spodem przepastne oczodoły, w których płonął szkarłat. Nozdrza wypuszczały kłęby pary, a ostro zarysowane szczęki – karykatura ludzkich kryły w sobie potężne kły.

Gdy postawił krok, ziemia się zatrzęsała. Rozejrzał się i nagle odkrył jej obecność.

– Zajrzyj w głąb – zadudnił w jej głowie obcy głos. Wyciągnął dłoń z długimi szponami i zamknął na jej nadgarstku.

Ręka zaczęła ją piec żywym ogniem, a ona zaczęła wrzeszczeć głośno i bardzo długo.

Ktoś nią szarpnął, próbując wyrwać z otchłani grozy. Otworzyła oczy i przez chwilę miała upiorne wrażenie nakładania się na siebie dwóch różnych obrazów.

Płonący demon Azdaroht ustępował powoli miejsca ludzkim twarzom, odcisk jego dłoni piekł jeszcze wewnętrzną stronę nadgarstka, gdy poczuła lekkie uderzenie w twarz. Obraz gór i lasów zastąpił widok białej ściany. A jego straszny ryk...

– Proszę się obudzić, na litość boską, proszę się w końcu obudzić! Oprzytomniała i spojrzała w bladą twarz Beth.

– Co się stało? – zapytała na wpół przytomnie – Zasnęłam? Koszmar zdawał się nadal czaić pod jej powiekami, nadając rzeczywistości pozory iluzji.

– Miała pani zły sen. – Beth podała jej dłoń i dodała: – Strasznie pani

krzyczała.

Vic czuła się otępiała i obolała, straszliwie paliło ją gardło, sztywność nadgarstka ustępowała pod naporem napływających fal bólu, nie mogła się ruszyć, bo jej kręgosłup wybrał właśnie tę chwilę, żeby się zbuntować.

– Kto jest z Kat? – zapytała.

– Martha. Ale pani córka – zawahała się – bardzo się zaniepokoiła. Czy mogłabym zejść na dół, żeby ją uspokoić?

– Oczywiście – odpowiedziała bez namysłu.

Nie dała rady wstać z krzesła, nawet wykorzystując podporę pomocnej dłoni.

Roześmiała się niewesoło.

– Zaraz dojdę do siebie.

– Miałbym prośbę, zanim pani wyjdzie – niski, melodyjny głos za nią zatrzymał pielęgniarkę w półobrocie. – Proszę zasunąć żaluzje. Postaram się pomóc pani Victorii.

Beth skoczyła żwawo, jedno słowo „proszę” z ust Williama Barrowa i była gotowa na wszystko.

W pokoju zapadła ciemność. Podziękował jej uprzejmie i odprowadził do drzwi, zamykając je na klucz. Podszedł do niej i stanął obok biurka.

Za nic na świecie nie mogła podnieść się do pionu, za każdym ruchem w kręgosłup wbijało jej się tysiące igieł. Czuła się zażenowana tym, że przyłapała ją w tak niezręcznej sytuacji.

Nagle znalazła się w powietrzu, patrząc mu prosto w twarz. Poderwał ją z krzeselka, jakby nic nie ważyła.

– Nieźle ci poszło, pani doktor – powiedział, nachylając się nad nią. – Postawiłaś na nogi całą okolicę. Nawet mnie zmroził twój wrzask. Śniło ci się coś aż tak przyjemnego, czy odwrotnie?

– Najgorszy koszmar, jaki można sobie wyobrazić.

Położył ją delikatnie na łóżku. Do takich rzeczy mogłaby się przyzwyczaić.

Usiadł obok i mimo lekkiego oporu, ujął jej dłoń. Spojrzał na wierzch i odwrócił. Gwałtownie zamknęła oczy ze strachu, że zobaczy na skórze wypalony czarny ślad – piętno Azdarotha. Poczowała tylko muśnięcie jego chłodnych, kojących palców i ból ustąpił.

– Jak to zrobiłeś?

Zapytała z niepewnością i strachem, przyglądając się nadgarstkowi, gdzie oprócz siniaka nie było żadnego śladu z nocnego spotkania. To był tylko sen, pomyślała i westchnęła z ulgą.

– Nic nie zrobiłem oprócz zwykłej akupresury. Nie powinno cię boleć przez

kilka godzin, musisz jednak sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Co ci się śniło?

Intucja zaczęła wrzeszczeć ostrzegawczo, nie rozumiała dlaczego, co mogło być takiego złego w opowiadaniu o śnie? Ostatecznie posłuchała jej nakazu i odpowiedziała zdawkowo.

– Wydawało mi się, że ośleplam i znalazłam się w centrum miasta. Otaczały mnie dźwięki ulicy i usłyszałam pisk opon.

Ta wersja była bezpieczna, żadnych demonów ani szepczących głosów...

Zbladła jak ściana, przypomniawszy sobie nienawistne słowa, które nadal brzmiały jej w głowie. Postanowiła, że zapisze je gdzieś, aby przy pierwszej okazji sprawdzić, co znaczą. Na szczęście, jej reakcję przypisał atakowi bólu. Bez słowa uprzedzenia odwrócił ją na brzuch i podciągnął bluzkę do samej szyi.

Oczywiście zaprotestowała i oczywiście ją zignorował. Mogła sobie w ogóle darować odzywianie się i tak robił, co chciał. Zrezygnowana poddała się cudownemu dotykowi jego dłoni, które wędrowały wzdłuż kręgosłupa, od czasu do czasu wzmacniając tylko przyjemny ucisk.

Zamknęła oczy, bo poczuła nagłą, rozplywającą się po całym ciele błogość. Było to oszałamiające i niezwykle doświadczenie, wydawało jej się, że na styku jego palców i skóry czuje delikatne mrowienie, jakby słabiutkie wyładowania elektryczne. Z jednej strony krępowały ją te zabiegi, była półnaga niemal odarta z pozorów intymności, z drugiej za nic na świecie nie chciała, żeby przestał.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Zupełnie nie panując nad odruchem, westchnęła głęboko i rozanielonym tonem odpowiedziała:

– Bosko. – Wystraszyła się swoich słów, więc zaraz dodała: – Twój masaż czyni cuda, już mogłabym biegać.

– A zatem...

Dotkliwy brak jego dotyku poczuła dopiero po chwili i z trudem opanowała odruch, aby poprosić o jeszcze. Próbowала, dla zachowania resztek przyzwoitości, naciągnąć z tyłu bluzkę i równocześnie starała się wstać, co wyglądało karkołomnie. Pchnął ją lekko z powrotem na łóżko.

– Jest piąta rano, mogłabyś jeszcze zasnąć.

– Muszę sprawdzić, co z Kat...

– Wszystkie trzy pielęgniarki pewnie się zajęły jej uspokajaniem, a ponieważ jeszcze nie świta, sam do niej zajrzę i zaraz wrócę do ciebie. Spróbujemy odgonić te koszmary.

Uśmiechnął się ciepło i Vic pomyślała, że takiego wampira mogłaby bez

moralnych skrupułów zaakceptować. Szczególnie jeśli by z powrotem zaczął masować jej obolałe mięśnie. Ułożyła się wygodnie na poduszce, owinęła kocem i... gwałtownie poderwała do pozycji siedzącej. Dopiero teraz zauważyła otwarte drzwi do łazienki.

– Stamtąd przyszedłeś – powiedziała do siebie szeptem.

Trzy potężne zamki, otwierające się wyłącznie od strony jej pokoju, okazały się nie tylko kompletnie nieużyteczne, a wręcz zdradliwe, dając złudne poczucie bezpieczeństwa.

Chciała rzucić na nie okiem, ale w porę się powstrzymała. Dobrze zapamiętała popołudniową lekcję. Siedział wtedy w pokoju Kat i nie miał możliwości ani sposobu usłyszenia jej rozmowy z Eve. Skoro potrafił ją niemalże zacytować, oznaczało to, że jego zmysł słuchu był nienaturalnie wyostrzony. Gdyby usłyszał jej kroki, domyśliłby się, po co wstała, a to nie sprzyjałoby tworzeniu miłej, pełnej zaufania atmosfery.

Ciekawe, jak to zrobił? – pomyślała i postanowiła przyjrzeć się drzwiom dokładniej za dnia.

Wyłączyć ich nie mógł, ponieważ zwróciłoby to uwagę pielęgniarek, a oprócz tego pozostawiłoby ślady. On je po prostu otworzył, jakby nie istniały dla niego podwójne zakotwiczone w podłodze i suficie rygle, jakby nie istniało sześć stalowych bolców wbijających się na długość dłoni w ścianę.

Usłyszała kroki i pomyślała, że chciał, aby wiedziała o jego obecności.

Położyła się szybko na poduszce, lecz błoga senność uleciała na amen.

Teraz jak na ironię zapukał, a ona słabym głosem zaprosiła go do środka.

Pozory są zawsze stosowne, pomyślała.

– Kat już śpi – powiedział cicho – i ty też powinnaś. Pokażę ci pewną sztuczkę, może wtedy lepiej zrozumiesz, dlaczego udaje mi się ją nakłonić do różnych rzeczy.

Usiadł koło niej i wierzchem dłoni pogładził ją po policzku. Wzdrygnęła się, lecz nie dlatego, że zaskoczył ją ten gest, ani dlatego, że był bezceremonialnie intymny. Bo nie był. Jego dotyk nie miał kontekstu erotycznego. Muśnięcie spowodowało przemiłe odczucie, jakby tysiące leciutkich bąbelków uderzyły o powierzchnię skóry, ich cudownie miłe łaskotanie odprężyło, odsuwało wszystkie myśli i pozostawiało rozkoszną pustkę w głowie, wypełnioną jedynie przyjemnością wyzwoloną musowaniem delikatnych perełek. Zrozumiała, dlaczego Kat uwielbia doktora Barrowa. Zapadając w głęboki, spokojny sen, uwielbiała go tak samo. Obudziła się wypoczęta i zrelaksowana.

Chyba po raz pierwszy od roku, pomyślała, przeciągając się leniwie.

Śniły jej się same cudowne rzeczy.

Szybowała lekko ponad ziemią unoszona w ogromnych przezroczystych bąblach. Było jej tam ciepło, spokojnie i bezpiecznie.

Czuła się jak młody bóg, wróciła dawna sprężystość, kręgosłup bez protestów pozwolił o sobie zapomnieć, a nadgarstek nie bolał. Z błogostanu wyrwał ją głuchy huk. Poderwała się żywo i usłyszała przeciągłe wycie wichury.

Odsłoniła żaluzje i spojrzała przez okno.

Potworny wiatr przyginał gałęzie drzew do samej ziemi, a w powietrzu unosiła się chaotycznie wirująca chmura poderwanych liści.

Było ponuro i szaro, zapowiadał się nieprzyjemny wietrzno-deszczowy dzień.

Spanikowana spojrzała na zegarek i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Dochodziło południe.

Kolejne huknięcie otrzeźwiło ją zupełnie. Poznałaby ten dźwięk zawsze i wszędzie, bo zaraz po wprowadzeniu się do nowego domu trzaskająca okiennica omal nie doprowadziła jej do zawału.

Wpadła do łazienki, pamiętając o sprawdzeniu zamków. Były nienaruszone. Jej nocny gość musiał je po prostu otworzyć i powinna wyciągnąć właściwe wnioski oraz zapamiętać tę nauzkę na przyszłość.

W biegu dokonała niezbędnej toalety, przebrała się zawstydzona, że zasnęła w ubraniu, wrzuciła rzeczy do pralki i gnana wyrzutami sumienia wpadła do Kat, tylko po to, żeby zobaczyć, jak jej mała dziewczynka śpi. No pięknie – powiedziała do siebie w myślach – zostałam wzorcowym przykładem wyrodnej matki, która woli się wylegiwać w łóżku, niż zająć swoim dzieckiem.

Od razu wyobraziła sobie, jak Kat cały poranek dopytywała się o nią, ale Martha obdarła ją ze złudzeń.

– Ależ skąd, proszę pani. – Była oburzona wyrzutami, które robiła jej szeptem Vic. – Cały czas był z nią doktor Barrow, który prosił, żeby pani nie budzić. W końcu wszystkie wiemy, ile ma pani za sobą nieprzespanych nocy. Toż to nieludzkie byłoby nie pozwolić pani wypocząć, gdy dziecko jest pod tak doskonałą opieką.

Musiała skapitulować po usłyszeniu takiego argumentu. Doktor Barrow niewątpliwie był najlepszym z możliwych opiekunów.

Usypiał, masował i relaksował. Prawdziwy ideał nie wampir, pomyślała z przekąsem i poszła go poszukać. Domyśliła się, że nie zasnął po wschodzie słońca, bo słońca po prostu nie było.

Zajrzała w każdy kąt domu, a ponieważ nigdzie go nie znalazła, postanowiła sprawdzić przybudówkę.

Wróciła do sypialni po kurtkę, z niesmakiem taksując wnętrze, które wyglądało, jakby wichura szalała także wewnątrz. Skarciła się w duchu za bałagan, obiecując sobie solennie, że wygospodaruje trochę czasu na porządkowanie. Kiedy próbowała opuścić przyjazny, ciepły dom, pierwsza próba niemal zakończyła się na dobrych chęciach, bo – gdy uchyliła drzwi – podmuch wiatru wepchnął ją z powrotem do środka, sypiąc kurzem i mokrymi liśćmi prosto w twarz. W efekcie zakrztusiła się, a mrugając pełnymi łez oczami, miała wrażenie, że nawpadało do nich wszystko, co unosił rozpędzony wichur.

Zacisnęła zęby i ponownie szarpnęła za klamkę. Udało jej się wyjść na zewnątrz, ale za nic w świecie nie mogła teraz zamknąć drzwi, które stawiały zajadły opór. Szamotała się z nimi, starając dokonać niemożliwego, czyli zamknąć je bez trzaśnięcia. Dopiero za trzecim razem, wykorzystując ułamek sekundy, gdy wiatr przestał nacierać z obezwładniającą siłą, udało jej się prawie bezszelestnie domknąć drzwi.

Ruszyła przed siebie skulona, bo wichur, obrażony na nią za podstępne wyproszenie z domu, postanowił ze wszystkich swoich sił udowodnić jej, że jest potężnym przeciwnikiem. Założyła kaptur i dokładnie zasunęła kurtkę, a i tak lodowate podmuchy wpychały się wszystkimi możliwymi otworami, penetrując ciało lodowatymi paluchami chłodu. Gdy podnosiła twarz, żeby spojrzeć przed siebie, dostawała odłamkami szyszek, żwirem zmieszonym z gałązkami. Aby jej szczęście było kompletne, do natarcia ruszył drobny deszczyk, pod którego zacinającym pręgierzem w końcu dotarła do przybudówki, przemoczona i przewiana na wylot. Weszła na piętro, po czym skierowała się do łazienki, wytarła byle jak twarz i włosy, nie zadając sobie trudu ich przygładzenia. Nie miała spodni na zmianę, a mokre zacieki na udach ziębiły nieprzyjemnie, więc nie zastanawiała się długo i zdjęła je, owijając się ciasno grubym, frotowym szlafrokiem. Była zła na siebie, że zapomniała wczoraj włączyć ogrzewanie, bo chłód pogłębiony wilgocią wydawał się przenikać ściany na wylot.

Huk rozległ się ponownie, tym razem znacznie głośniejszy. Przeczucie jej nie myliło, w jednym z pokoi była niedomknięta okiennica. Zanim podjęła trudną decyzję o włamaniu się do pomieszczeń zajmowanych przez pielęgniarki, zeszła na dół i włączyła wszystkie grzejniki. Teraz czekało ją nieprzyjemne zadanie naruszenia czyjejś prywatności, zajrzenia do cudzych pokoi i odnalezienia tej cholerniej okiennicy, której werbel doprowadzał ją z wolna do szału. Na szczęście zabrała ze sobą zapasowe klucze. Zaczęła od pustego pokoju gościnnego.

Właściwie nie bardzo zdziwiła się na jego widok. Siedział w fotelu i czytał jedną z jej książek, po okładce zorientowała się, że były to podstawy

patomorfologii.

– Niezła lektura – powiedziała, wskazując palcem opasłe tomisko.

– „Dzień dobry” byłoby właściwsze – odburknął, nie podnosząc głowy.

Oczywiście to tutaj łomotała niedomknięta okiennica, miała ochotę to skomentować, ale ugryzła się w język. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież, wpuszczając już na dobre rozwścieczony wicher, siekący coraz gęstszym deszczem. Próbowwała złapać drewniane skrzydło, ale wilgotne okucia za każdym razem wysuwały jej się z rąk.

Wychylona przez parapet wystawiła się jak idiotka na bolesne smagnięcia. Dopiero teraz zrozumiała, że zamykanie okiennicy w zacinającym deszczu i przy porywistej wichurze, nie było najlepszym pomysłem.

Czyjaś dłoń przytrzymała zimny metal, a silne ramię odepchnęło ją w bok. Z głośnym huknięciem spotkały się obydwie skrzydła, a skoble wskoczyły na swoje miejsce. Okno zostało zamknięte. Nie mogła się odwrócić, żeby spojrzeć mu w twarz, bo przed chwilą zrobiła z siebie kompletną kretynkę i doskonale wiedziała, że szybko oraz boleśnie jej to wypomni.

– Szukałam cię – powiedziała, bo coś musiała powiedzieć, żeby przerwać krępujące milczenie. – potrzebuję nowej próbki. Odszedł i stanął obok fotela.

– Na co czekasz? – zapytał.

Po raz pierwszy odkąd się spotkali nie mogła od niego oderwać wzroku. Czy była to wina oświetlenia, czy może jej podświadomość oczarowana nocną wizytą spletała jej figła – nieistotne. Stał przed nią bez wątpienia doskonały męski okaz.

O tym, że jest wysoki, wiedziała, sama nie była niska, a sięgała mu zaledwie do połowy głowy. Wspaniała sylwetka opięta przemoczoną, czarnym podkoszulkiem odkrywała kontury idealnych mięśni, silnych ramion i płaskiego brzucha. Dłoń oparta o fotel była dla kontrastu de likatna o kształtnych, długich palcach artysty.

Jednak to nie widok jego wyrzeźbionego torsu wycisnął powietrze z płuc, ale twarz, okolona układającymi się naturalnie, półdługimi włosami. Ostry zarys szczęk łagodziły pięknie wykrojone usta ze zmysłową dolną wargą, długi prosty nos prowadził wzrok ku wysokiemu czołu i fascynującym oczom. Mężczyzna nie powinien mieć takich oczu, pomyślała z zazdrością. Duże, szeroko rozstawione o niezwykłym kolorze zachmurzonego nieba, wydawały się bardziej ołowiane niż szare. Lekkie, wpadające w szkarłat przebarwienia nadawały im niesamowity, niepokojący wyraz. Hipnotyzowały.

Długie rzęsy i doskonały rysunek prostych brwi, były dla nich idealną oprawą. Ostro zarysowane kości policzkowe nie pozostawiały złudzeń – ta twarz należała

do dumnego, pewnego siebie mężczyzny.

– Zacziesz sama oddychać, czy ci pomóc?

Krzywy uśmiech wydał jej się nagle niezwykle pociągający. Kącik ust uniesiony ku górze sprawiał, że pod oczami tworzyła mu się siateczka zmarszczek mimicznych, która dodawała mu uroku.

Niektórzy mężczyźni, szczególnie ci obdarzeni wyjątkową urodą, wydają się zbyt sztuczni, za ładni, ale o nim nie można było tego powiedzieć. Był przystojny, lecz nie lalkowaty, emanował męskością, która kobietom uderzała do głowy jak szampan. Perfekcyjny samiec, ucieleśnienie marzeń każdej dziewczyny.

Rozszerzonymi oczami patrzyła na wampira jak w obraz i nie mogła przestać. Chłonęła widok, tonąc ze szczętem w głębi jego spojrzenia.

Nie potrafił ukryć zniecierpliwienia, a także irytacji.

– Długo jeszcze? – powiedział przez zaciśnięte zęby: – Przerwałaś mi lekturę.

Speszyła się i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Starła się lekko uśmiechnąć, ale nie potrafiła rozluźnić zaciśniętych mięśni szczęki.

– Stój sobie tam do końca świata lub jeszcze dłużej, jeśli takie masz życzenie, ale pozwól mi dokończyć czytanie.

Z powrotem usiadł w fotelu i wziął do ręki odłożoną książkę.

Powoli zaczęła wracać do rzeczywistości. Na siłę odwróciła od niego wzrok i popatrzyła na swoje dawne, porzucone królestwo. Ten widok uzmysłowił, jak bardzo brakowało jej statecznego dostojęstwa drewnianych regałów wypełnionych książkami. To one przywróciły ją do rzeczywistości i przypomniały, że od dwóch dni nosiła się z zamiarem zapytania go o dwie bardzo ważne kwestie.

– Powiedziałaś, że kilku alchemikom udało się rozwiązać zagadkę twojej krwi. I co?

– Powiedzmy, że do samego końca nie byli skłonni podzielić się ze mną wynikami badań.

Uśmiechnął się dziwnie, wyraźnie rozbawiony tamtymi wspomnieniami.

– Użyłaś słowa „alchemicy”, ale chyba miałaś na myśli chemików? – spytała wolno, zbierając rozproszone myśli – Nomen omen, jeden pies – odparł znudzonym głosem.

– Skąd się wzięłaś – poprawiła się – to znaczy, skąd się wziął twój gatunek?

– Jesteś niepoprawna – powiedział wstając. – Uciekłem przed tobą do tej mysiej nory, a ty mimo wichury przylazłaś za mną i zatruwasz mnie swoimi niekończącymi się pytaniami. Możesz już pobrać tę próbkę i po prostu spłynąć? Czy czekasz na powtórkę? Chcesz, żebym cię znowu wymasował?

Bańka pękła z hukiem. Nie był już przystojny ani pociągający, stał się na powrót zwykłym, obrzydliwym wampirem, który cierpiał na chorobliwy przerost ego. Zadufanym w sobie bucem. Z obrazu idealnego mężczyzny nie pozostała nawet rama. Znowu pozwalał sobie na tanie odzywki i słowne prowokacje na poziomie gówniarza z liceum.

– Żenujące – zmięła to słowo w ustach, jakby miało obrzydliwy smak.

– Czyżby? – zapytał i odłożył książkę na szarękę.

– Nie wysilaj się i nie próbuj mnie zdenerwować. Dostatecznie jasno wyjaśniliśmy sobie zasady obowiązujące w naszym układzie, chyba że nie przeszkadza ci, co o tobie myślę?

– Przed chwilą czy w ogóle. Kontynuuj proszę, co myślisz?

– Za bardzo polubiłeś moje przeprosiny. Może wolałbyś, żebym padła przed tobą na kolana potulna i skruszona? – nie mogła się po wstrzymać.

– A kto by nie wolał? Taka pozycja dostarcza niezbędnej w związku pikanterii.

– Ofiara smacznie doprawiona? Niezły masz gust. Nie podejrzewałam cię o zapędy smakosza. W końcu jesteś tylko zwykłym krwiopijcą, jak komar albo kleszcz.

– Bardzo się pomyliłaś, moja droga, jeszcze kilka minut temu nie patrzyłaś na mnie jak na insekta, a raczej...

Czerwień spłynęła na jej policzki.

– Nie pochlebiaj sobie – nie mogła pozwolić, żeby skończył zaczęte zdanie – próbowałam tylko zrozumieć, w jaki sposób działasz na kobiety, szczególnie na Eve.

– Miło, że o niej wspomniałaś. Smaczny kąsek, przy najbliższej okazji przetestujemy, czy wygrają u niej popędy, czy lojalność. Założymy się?

– Ani myślę – odpowiedziała. – Nie jestem hazardzistką.

– Ależ oczywiście, że jesteś – roześmiał się szczerze. – Przecież wszystko, co robisz, jest tylko grą.

Chcesz jakiejś podpowiedzi, bo badania nic nie dały, więc próbujesz wyprowadzić mnie z równowagi, ucieszyła się w duchu. Tym razem się pomylił.

– Nie ma żadnych tajemnic – oznajmiła. – Tylko chemia. – Szukaj dalej.

Stracił zainteresowanie rozmową, więc czas było przystąpić do ataku.

– Co znaczy „adess”? – zapytała.

Postanowiła dawkować tekst do tłumaczenia, bo obawiała się właśnie takiej reakcji, jaka nastąpiła po jej pytaniu. Złapał ją za poły szlafroka i przyciągnął do siebie. Nawet nie zauważyła, kiedy przemierzył całą długość pokoju.

– Skąd je znasz? – warknął, a w oczach rozgorzało szaleństwo krwawych

błysków.

– Słyszałam go z twoich ust – odparła i nawet jej powieka nie drgnęła.

– Kłamiesz – powiedział ze spokojną pewnością. – Skąd je znasz?

– Powiem ci, jeśli ty powiesz mi, co oznacza.

Nie miała pewności, że nie skłamię, ale gotowa była zaryzykować.

– Ty pierwsza. – Odsunął się, patrząc jej prosto w oczy.

– Mowy nie ma – zachnęła się. – Powiem ci, a ty mnie wyśmiejesz.

– To słowo... – zamyślił się, a oczy przesłoniła mu dziwna mgiełka – jest bardzo stare. Powstało u zarania ludzkości. Adesse znaczy przekłęci. Od wieków nie słyszałem, żeby go ktoś użył. Tym bardziej że... – zająknął się i nie dokończył.

– Twoja kolej.

– Było zapisane na zagiętym rogu w książce brata Jakuba, biorąc pod uwagę twoją reakcję, spodziewałam się czegoś istotniejszego, jakiejś tajemnicy, sekretu wampirów.

– Nawet nie masz pojęcia – cedził słowa powoli, z namaszczeniem. – Jak ważne jest dla nas to określenie. Sami siebie tak nazywaliśmy w mrokach waszego czasu. To słowo w zapomnianym przez wszystkich języku najlepiej oddaje, kim jesteśmy i jak sami siebie postrzegamy. Odrzuceni, wyklęci, zapomniani. Każde z tych znaczeń mieści się w tym jednym określeniu.

– A możesz mi powiedzieć, jaki to język? Uśmiechnął się zimno.

– Tego nie było w umowie.

– Wiesz, jaki był największy sukces waszej rasy? – Ignorując jego półuśmiezek, wyszarpnęła poły szlafroka, który zaczął rozchyłać się niebezpiecznie. – Sprawiliście, że świat przestał w was wierzyć. Wszystkie te książki – machnęła ręką w stronę regału – o wampirach, od Brama Stokera zaczynając a na Anne Rice kończąc, utrwały tylko legendę, tworzyły niewiarygodny mit. Mit, w który nikt przy zdrowych zmysłach już nie wierzy. W ten sposób udało wam się przejść ze świata rzeczywistego do baśni – przerwała, żeby nie dodać: Tam, gdzie wasze miejsce.

– Mylisz się jak zwykle. – Usiadł w fotelu. – Każda książka na nasz temat musiała zostać napisana. Taka była konieczność.

– Dzięki nim nie budzicie przerażenia. Nie taki był plan? Uśmiechnął się zdawkowo.

– A skąd mam to wiedzieć? – próbował wybrnąć z zastawionej starannie pułapki. – Czy aby nie powinnaś wrócić do domu? – Znacząco spojrział na zegarek. – Twoja córka pewnie się już obudziła, a ja nie zamierzam jej niańczyć cały czas, aby ukryć notoryczną nieobecność matki. Przypominam, że nie

taka miała być moja rola.

Zreflektowała się, rzeczywiście dochodziła druga, Kat prawdopodobnie właśnie otwierała oczy, a ona w najlepsze dyskutowała o literaturze. Nie pobrała próbki, nie osiągnęła prawie niczego, tylko wywołała kolejną burzę w szklance wody.

– Jeśli pozwolisz – nie musiała wysilać się na chłód, z jej głosu powiało samą Arktyką – zgłoszę się po krew wieczorem. Nie mam ze sobą strzykawki...

– Zauważyłem. – Znowu dał jej posmakować swoich niewybrednych złośliwości. – Pod tym szlafrokiem niewiele można ukryć.

Miała dość. Kolejny raz udało mu się wyprowadzić ją z równowagi i doprowadzić do wrzenia. Postanowiła dać mu nauczkę.

– Nie rzucaj słów na wiatr – powiedziała, ciesząc się w duchu, że stała niemal w progu. – Wyczytałam u brata Jakuba, że jesteście impotentami, a ludzkie kobiety i seks w szczególności niewiele was obchodzą.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie.

Łomot serca zagłuszył wybuch jego śmiechu, który odprowadził ją do łazienki i towarzyszył echem, gdy opuszczała przybudówkę.

Wiatr nie zelżał, w przemoczonych, nieprzyjemnie sztywnych dzinsach miała wrażenie, że za chwilę zmiecie ją z podjazdu prosto ponad pochylone czubki drzew i poniesie w dół ku głębinie jeziora. Bolały uderzenia podmuchów w rozpalone policzki, oczy szczypały od łez wyduszonych wiatrem. Ale walka z wichurą ostudziła emocje i uspokoiła galopujące myśli.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego po wejściu do pokoju tak idiotycznie zareagowała na Obcego. Od początku z jej strony wszelkie kontakty były całkowicie pozbawione erotycznego podtekstu, skąd zatem to nagłe zainteresowanie nim jako mężczyzną? Nie umiała na to odpowiedzieć ani znaleźć logicznego wyjaśnienia.

Gwałtowny podmuch szarpnął nią z całej siły, w ostatniej chwili złapała się słupka werandy. Nie zauważyła, bo nie byłaby w stanie dostrzec przez wystający daszek, ułamanego konaru, który gnany wiatrem runął prosto na nią. A właściwie w miejsce, gdzie powinna stać.

Usłyszała potworny trzask, a później rumor i na jej oczach weranda złożyła się jak domek z kart, wzniecając przy tym tuman pyłu. Całą scenę zobaczyła z daleka, spod potężnego modrzewia, gdzie trzymały ją w uścisku mocne ramiona Obcego, który właśnie uratował jej życie.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Od strony domu doszły do niej hałasy, ktoś próbował otworzyć drzwi, ale

zwalisko całkowicie je zablokowało.

Powinni wyjść przez taras, pomyślała i szarpnęła, aby wyzwolić się z jego objęć. Musiała im przypomnieć o drugim wyjściu. Uścisk ani trochę nie zelżał.

– Za wcześnie – powiedział miękko. – Zdecydowanie za wcześnie przeszłaś na drugą stronę. W mroku nie znajdziesz nic. Tylko życie wypełnia pustkę. Wróć do niego, bo gdy odejdziesz za daleko, nie odzyskasz drogi powrotnej. I nagle była wolna.

Obok niej nikogo nie było. Ciemnobraźowy pień drzewa osłaniał ją przed żywem i deszczem. Z niechęcią porzuciła jego bezpieczną opiekę, ponieważ musiała dotrzeć do domu i uspokoić przerażone kobiety, a przede wszystkim Kat.

Na wpół skulona weszła po płaskich schodach i znalazła się po drugiej stronie szklanej tafli. Uderzając w nią, zorientowała się, że otwiera się tylko od strony domu. Przez wycie wichru nikt nie słyszał rozpaczliwego dobijania się. Ogarnęła ją ślepa furia. Zaczęła kopać i bić pięściami w hartowane szkło. Bez efektu. Kiedy już powoli opadała z sił, ktoś gwałtownie odsunął drzwi i wpadła przez nie do środka. Stał przed nią suchy i beztrocki, bo przecież w sumie nic się nie stało. Ani jedna kropelka wody nie zdradzała, że przed chwilą był na zewnątrz.

– Weranda się zawaliła – powiedział na głos. – Powinnaś coś z tym zrobić.

Wkroczyła do pokoju i już miała podejść do Kat, gdy złapał ją za ramię i osadził w miejscu. Spojrzała na niego, a on pokiwał tylko przecząco głową. Jakimś cudem zorientowała się, o co mu chodzi. Zrzuciła kurtkę na podłogę, otrzepała włosy i mimo jego jawnej dezaprobaty poszła przywitać się z córeczką.

– Co się stało? – zapytała Kat z rozszerzonymi strachem oczami.

– Nic kochanie, tylko weranda się zawaliła, trzeba będzie teraz wezwać tego miłego pana, który był u nas wczoraj na śniadaniu – aż się wzdrygnęła na myśl, że będzie musiała zadzwonić do Jonathana – i poprosić go, żeby nam postawił nową. Na razie będziemy wchodzić i wychodzić przez twój pokój. Awansuję cię na klucznika. Możesz nawet pobierać opłaty za przejście. Będzie niezła zabawa.

– Kto ma pilota, ten ma władzę – odpowiedziała uśmiechnięta Kat. Już było po strachu. – Dlaczego jesteś taka mokra?

– Chciałam wyjść i zobaczyć, czy będzie można korzystać z drzwi. Ale wiatr miał inne zdanie, a deszcz mu w tym pomógł.

– Byłaś na dworze? – Małą zaciekawiła jej przygoda. – Opowiedz, jak tam jest?

– Może później mama zda ci relację ze swojej wyprawy. – Doktor Barrow jak zwykle nienaganny i opanowany stał za Vic. – Pozwól się jej najpierw przebrać, bo za chwilę obie odpłyniecie w kałużę, którą po sobie zostawia. – Nachyliwszy

się do ucha Vic, powiedział scenicznym szeptem: – Bałaganiara.

Kat roześmiała się wesoło i tak głośno, że aż zwabiła wszystkie trzy opiekunki. Zajrzały do niej zaniepokojone, lecz widząc, co się dzieje, wycofały się chyłkiem.

Vic poszła do sypialni, usiadła ciężko na łóżku i próbowała pozbierać myśli.

Za żadne skarby nie mógł zdążyć. To było fizycznie niemożliwe. Chyba że... Ten pomysł wydał jej się tak głupi, że prawie absurdalny. Mógł ją uratować tylko wtedy, gdyby umiał latać. Unosić się w powietrzu jak ptak, ale bez skrzydeł. Powinna się roześmiać na samo tylko przypuszczenie, lecz jakoś nie mogła w sobie wzbudzić koniecznej do tego szczerej radości.

ROZDZIAŁ VII

Obudziła się jeszcze przed świtem, który nie zdołał przyćmić ponurego obrazu ze snu, gdy oszalała ze strachu błąkała się wśród labiryntu drzew, ścigana przez ogromną postać w czarnym, długim płaszczu. Nie mogła zobaczyć jego twarzy, którą skrywał głęboki kaptur nasunięty na oczy, ale wiedziała, że głodny krwi łowca podąża jej śladem, od chwili, kiedy zobaczyła go stojącego na szczycie wzgórza.

Był daleko, lecz dostrzegł ją swoim wzrokiem gotowego do polowania jastrzębia. Nie miała złudzeń, że zdoła mu umknąć, jedynie drzewa stanowiły jaką taką osłonę i dlatego trzymała się ich zbawczego cienia. Im bardziej była zmęczona, tym mocniej czuła na plecach jego oddech; niestrudzony myśliwy złapał trop i nie miał zamiaru pozwolić ofierze umknąć.

Zabawa w kotka i myszkę trwała tak długo, bo największą przyjemność sprawiało mu nie złapanie ściganego zwierzęcia, ale sam pościg. Pozwalał jej wierzyć, że oszukała jego zmysły, zmyliła trop i ukryła się przez czujnym wzrokiem. Bawił się przy tym doskonale. A ona знаła zakończenie, które mogło być tylko jedno, mimo to z całych sił walczyła ze zmęczeniem, bólem i strachem. Nie miała zamiaru skapitulować. Nie nadszedł jeszcze właściwy czas na pogodzenie się z przegraną.

Po takim śnie trudno było mówić o odpoczynku i uldze. Półprzytomna zwlokła się z łóżka, bo po wichurze, która zelżała późną nocą, należało oszacować straty. A te były niemałe.

Wybite dwa okna, zawalona weranda, zerwane dachówki na przybudówce oraz linie energetyczne i telefoniczna. Z powodu wszystkich awarii i wypadków dzień wcześniej ulokowała pielęgniarki w pustym pokoju na górze. Znalazła nawet czas, żeby z grubsza ogarnąć bałagan, a w duszy gratulowała sobie zdolności przewidywania, bo na szczęście zainwestowała w generator, chociaż jego moc nie wystarczała na równoczesne ogrzanie i oświetlenie domu.

Żeby przetrwać nadchodzące dni należało wykorzystać wszystkie dostępne możliwości, dlatego rozpałała w nieczynnym od dawna kominku. Kontakt z żywym ogniem miał na nią wpływ niemal hipnotyczny, nie mogła oderwać oczu od trzaskających wesoło polan i z przyjemnością wchłaniała w siebie rozchodzące się wokół przyjazne ciepło.

Eve zastała ją w trakcie porządków i Vic poczuła ukłucie zazdrości. Sama wyglądała jak ostatnie nieszczęście, w wyciągniętych jeansach, umazana sadzą, z włosami w nieładzie oraz ścierką za pasem zderzyła się z nienagannie ubraną i pomalowaną asyistentką.

– Wpadłam zobaczyć, czy u was wszystko w porządku – powiedziała, rozglądając się po pokoju. – Nieźle wiało. – Jak sytuacja w miasteczku?

– Ach byłabym zapomniała. – Przybrała uroczą minkę pod tytułem „ależ jestem roztrzepana”. – Proszono, żebyś wpadła do Brownów. Ktoś ma tam problem.

– Wiesz doskonale, że zamknęłam praktykę...

– Poważny problem.

– Daj mi kilka minut. – Określenie „poważny” nie wróżyło niczego dobrego.

Od pół roku nie prowadziła praktyki, ale wszyscy mieszkańcy, którzy jeszcze zostali w swoich domach, znali do niej telefon i mieli świadomość, że gdy zdarzy się jakakolwiek nieprzewidziana sytuacja, mogą do niej zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Większość z nich to byli starsi ludzie, bo młodszy albo już opuścili Lake Falls, albo właśnie siedzieli na walizkach. Państwo Brown mieli jedynie stary telefon stacjonarny, niestety łączyła także uszkodzona nawałnica.

Nie marnowała czasu na niepotrzebne zabiegi, zrzuciła brudne ubrania, przetarła twarz i ze szczotką wplątaną w skołtunione włosy wbiegła na kolejny odcinek serialu obyczajowego „Doktor Barrow i piękna pielęgniarz”. Tym razem nie miała czasu na zbędne uwagi czy komentarze. – Gdyby Kat pytała, proszę powiedzieć, że musiałam pojechać do pacjenta – szepnęła do Dorothy i wyszła na podjazd tylko po to, żeby się na własne oczy przekonać, co zostało z jej samochodu.

Prawie nową, błękitną toyotę przygniotła kolumna ze szczątków werandy. Vic wróciła do domu i wbiła się w środek ożywionej dyskusji pomiędzy Eve a doktorem Williamem.

– Prowadzisz – powiedziała i pociągnęła dziewczynę za rękę. Eve była głęboko zawiedziona, że musi przerwać pasjonującą pogawędkę i zamienić się w jej kierowcę. Z wylewnością pożegnała przemiłego doktora i obie odjechały drogą ku miasteczku, a właściwie temu, co z niego pozostało.

Od kilku tygodni nie miała okazji zawitać do, jak go szumnie nazywano „centrum”, dlatego teraz z uwagą rozglądała się dookoła. I robiło jej się coraz smutniej.

Na parkingu przed zamkniętym już sklepem rozłożyły się żółte maszyny, okupując dawne miejsce spotkań mieszkańców. Opuszczone domy straszyły zabitymi na krzyż oknami, po zaniedbanych ulicach poniewierały się sterty śmieci,

a z trawników poznikały ślady ludzkiej obecności. Opustoszały ławeczki, ogródki zarosły zielskiem, dusząc wypielęgnowane krzaki róż.

Miasteczko robiło okropne wrażenie. Uczucie opuszczenia i zapomnienia wdarło się między porzucone uliczki, rozlało w powietrzu i przeniknęło uroczy niegdyś krajobraz zapachem zaniedbania i starzyzny.

Dodatkowe spustoszenia były już udziałem żywiołu, który przetoczył się ponad doliną, dokładając się do ogólnie panującego nieładu. Urwany kogut na ratuszu zwieszał smutnie łeb, z niedowierzaniem spoglądając na alejki, które niegdyś gwarne teraz były zasypane liśćmi i połamanymi gałęziami. Lake Falls już nigdy nie miał odzyskać dawnego blasku, bo na zawsze odeszli ludzie, którym by na nim zależało.

Eve zatrzymała się w głębi uliczki za ratuszem, gdzie stał dom państwa Brownów, który wbrew wszystkiemu starał się swoim schludnym obejściem zachować pozory życia. Ale podobnie jak jego mieszkańcy, urocza para staruszków, z godnością poddawał się przeznaczeniu. Dla takich ludzi pożegnanie z miastem stawało się szczególnie trudne. Vic podejrzewała, że do ich licznych schorzeń doszła także głęboka depresja wywołana koniecznością opuszczenia znanych kątów i zaczynaniem życia na nowo w zupełnie obcym miejscu.

Razem z Eve weszły przez uchylone drzwi, ale już w progu ogarnęło ją złe przecucie.

– Pani Brown! – krzyknęła. – Elizabeth!

Odpowiedziała im głucha cisza. Spojrzały na siebie i obie miały w oczach ten sam błysk zrozumienia. Vic wiedziała, że nikt im nie odpowie.

Znalazły ich w sypialni. On leżał na łóżku w swoim odświętym, ciemnym garniturze, ona siedziała obok na fotelu. Pomoc lekarza nie była już potrzebna.

Eve, szlochając, wybiegła z pokoju i zostawiła na jej głowie wykonanie najgorszego z telefonów. Gdy rozmawiała z koronerem, w oczy rzuciła się jej leżąca na podłodze kartka papieru. Odruchowo ją podniosła, aby odczytać ostatnią wolę Artura i Elizabeth Brownów.

List zawierał tylko kilka zdań, z których wynikało, że gdy mąż starszej pani źle się poczuł, wezwała lekarza. Zanim jednak ktokolwiek zdążył dojechać, umarł cicho, pogodzony z Bogiem i ludźmi.

Ubrała go i sama postanowiła za nim odejść. Cały swój majątek zostawili synowi, który – miała taką nadzieję – wybaczy im, że nie potrafili znieść rozłąki z miastem i ze sobą.

Rozumiem synku, że znajdując nam ten wspaniały dom starców, chciałeś dobrze, lecz samotne czekanie w nim na to, co i tak musi nadejść, wydawało

mi się zbyt smutne.

W ostatnim akapicie Elizabeth Brown informowała zdawkowo, że właśnie ma zamiar wstrzyknąć sobie powietrze do żyły. List kończyły przeprosiny za kłopot.

Krótko i bez zbędnych sentymentów odeszli oboje.

Nie zdążyły im pomóc, ale Vic, choć nigdy głośno by się do tego nie przyznała, uważała, że dobrze się stało. Nawet jeśli udałoby im się powstrzymać Elizabeth przed samobójstwem lub ożywić zatrzymane serce, w gruncie rzeczy nie zdołałaby jej uratować, bo dusza starszej kobiety na zawsze została w pustym domu przy zwłokach męża. Tak umierali ludzie sobie bliscy, wspierając się, idąc ręka w rękę nawet przy przekraczaniu ostatniej z bram.

– Niech wam ziemia lekką będzie – powiedziała, delikatnie odkładając na szarą zapisaną kartkę. – Zasłużyliście na spokój.

Od dawna nie mogła się pogodzić z dogmatami religijnymi. Za nic na świecie nie przekonywała jej wizja mąk piekielnych po samobójczej śmierci. Chciała wierzyć, że Artur i Elizabeth Brownowie odeszli w zaświaty, gdzie czekał na nich własny dom i wieczna radość z bycia razem. Gorsze niż to, co zrobiła Elizabeth, byłoby pełne cierpienia oczekiwanie na ponowne spotkanie po drugiej stronie.

Koszmarne wyglądanie śmierci jak zbawienia, obdzierające człowieka z ostatnich pozorów godności. Zasłużyli, by być razem, pomyślała.

Za dużo w życiu widziała cierpienia, za dużo ludzkiej rozpacz, dlatego samobójstwo nigdy nie wydawało jej się złym rozwiązaniem. Oczywiście była lekarzem i miała obowiązek ratować ludzi, często nawet wbrew ich woli, ale łąpała się na tym, że gdy inni z oburzeniem mówili o samobójstwach i eutanazji, nie kryjąc swojej dezaprobaty dla takiego „tchórzliwego rozwiązania”, ona myślała o ofiarach z sympatią i zrozumieniem. Tak jak teraz o Brownach.

Wyszła na ganek, trzymając w dłoni papierosa. Jakie to szczęście, że wymacała w kurtce zapomnianą paczkę. Odpaliła, zaciągając się powoli.

Eve już nie pochlipowała, ale podkrążone oczy i lekko rozmazana kredka świadczyły o wrażeniu, jakie wywarła na niej wizyta w domu śmierci. Vic uważała, że płakać należy tylko nad żywymi, bo spokojne dusze państwa Brownów już więcej nie zaznają bólu. Śmierć była ostatecznym ukojeniem. A żal po zmarłych szybko zagłuszało normalne życie.

Nadjechała karetka ze szpitala, Vic porozmawiała z sanitariuszami, zostawiając im na głowie cały bałagan. Musiała wracać do domu, bo zbliżał się zmierzch i Kat pewnie była zaniepokojona jej przedłużającą się nieobecnością.

Milcząca Eve odwiozła ją do domu, nie wstąpiła nawet na kawę, tylko

z piskiem opon wystartowała ze zwirowego podjazdu.

Nie ma co – pomyślała Vic, zła na siebie, że nie potrafiła znaleźć właściwych słów, aby pocieszyć smutną dziewczynę – zawsze umiałam sobie zjednywać przyjaciół.

Zwrot „zjednywać przyjaciół” obudził w niej pewne skojarzenia. Wchodziła do domu, już wystukując numer Jonathana. Swoim zwyczajem chciała usiąść na schodach, gdy przypomniało jej się, dlaczego nie powinna tego robić.

Weszła na górę, jedną ręką przytrzymując aparat, drugą zdejmując kurtkę.

– Słucham? – usłyszała jego głos z oddali.

– Mam problem. – Trochę zbił ją z tropu oschły ton i zdawkowe słucham”.

– A to ty. – W zaskakujący sposób ucieszyło ją, gdy powiedział to inaczej. Ciepłej. – Przepraszam, ale mam urwanie głowy, wichura narobiła spustoszeń i wszyscy nagle zaczęli potrzebować pomocy. Od wczoraj ciągle telefony doprowadzają mnie do szału.

– Ja właśnie w tej sprawie – powiedziała i głupio jej się zrobiło, że dorzuca mu jeszcze własne problemy. – Jeśli znajdziesz trochę czasu, może wpadłbyś do nas na chwilę.

– Co się stało? – Nie rozmawiała już z Jona przyjacielem, ale z Jonathanem „panem złotą rączką”.

– Zawaliła mi się weranda, konary wybiły dwa okna w przybudówce i zerwały spory kawałek dachu.

– Tylko tyle? – roześmiał się wesoło. – Już myślałem, że coś poważniejszego, na przykład chcesz mnie zaprosić na kawę.

– Oczywiście, że chcę, ale musiałam znaleźć dobry pretekst.

Z nim łatwo było żartować, nawet jeśli ich wzajemne przekomarzanie zamieniało się w coś innego, znacznie bardziej dwuznacznego.

– I z tego powodu zerwałaś sobie dachówki? Wystarczyło poprosić.

– Zmienisz zdanie, wchodząc do mnie przez komin, bo nie mam drzwi wejściowych.

– Naprawdę poważna sprawa. Będę za godzinę.

– Nie musisz się spieszyć – zaprotestowała słabo. – Mamy przecież drugie wejście.

– Będę za godzinę. – powtórzył stanowczo i rozłączył się bez zdawkowych uprzejmości.

Przed wizytą u Kat zajrzała do łazienki, żeby zobaczyć, jak wygląda. Nie zrobiła tego bynajmniej z powodu Jonathana, chociaż podświadomie bolał ją kontrast pomiędzy wymuskaną Eve a własnym zaniedbaniem. Spojrzała w lustro

i zobaczyła czystą makabrę. Krótkie, dwukrotnie zmoczone włosy sterczały jej na wszystkie strony, na twarzy nosiła jeszcze ślady walki z kominkiem, ale najgorsze były oczy – zmęczone i zapadnięte w obwódce sinych cieni.

– Taka właśnie jestem – pomyślała, wzdychając ciężko – stara i zmęczona.

Umyła się i starannie uczesała, starając się już więcej nie patrzeć w stronę bezlitośnie szczerzej tafli. Dopiero teraz była gotowa pokazać się światu.

Kat ucieszyła się na jej widok i od razu zasypała gradem pytań. Nie umiała odpowiedzieć na żadne z nich, więc wybrała opcję troskliwej chociaż zakłamaney matki.

– Nic się nie stało kochanie – powiedziała. – Wichura napędziła ludziom niezłego stracha. Dlatego musiałam jednej pani zrobić zastrzyk.

– Bała się bardzo?

A skąd mam wiedzieć, czy pani Brown bała się, czy trzęsącymi się ze strachu dłońmi macała w poszukiwaniu właściwej żyły, co myślała przed śmiercią? Tego, moja droga, nie dowiemy się nigdy. A jeśli jej strach wynikał z wpojonego przekonania, że po drugiej stronie za ten akt odwagi czeka ją tylko wieczne potępienie? Jak bardzo musiała rozpaczać po stracie męża, że zdobyła się na tak desperacki krok.

– Mamusiu, słyszysz mnie? Pytałam się, czy bardzo się bała? – poirytowany głos Kat przywrócił ją do rzeczywistości.

– Bardziej od ciebie, moja ty dzielna, wspaniała dziewczynko. O tak, na pewno bardziej od ciebie, pomyślała. Ale kolejne pytanie jej nadzwyczaj mądrej córki zmroziło krew w żyłach i sprawiło, że serce ścisnął niewyobrażalny ból – Czy ona umrze tak jak ja?

– Kto ci powiedział, że umrzesz?

Niski, ciepły głos odpowiedział za nią i pozwolił zaczerpnąć powietrza. Resztkami woli zapanowała nad rozdzierającym szlochem, który właśnie wędrował z dołu brzucha ku górze, aby wyrwać się na światło dzienne. – Nie jestem głupia – odpowiedziała zaczepnym tonem Kat. – Ani nie jestem małym dzieckiem. Wiem, że jestem chora. I tak, jak inne chore dzieci, umrę.

– Na pewno – odpowiedział. – Kiedyś umrzesz. Będziesz wtedy bardzo starą kobietą, która zdobędzie medal dla najstarszej babci świata. Pożegnasz się i ruszysz w dalszą drogę przez błękitne drzwi.

– Nieprawda – zełościła się. – Kłamiesz. Wszyscy kłamią, mama i Mat, i Eve. A ja wiem swoje.

– Nigdy cię nie okłamałem – powiedział poważnym tonem.

– Przysięgniesz, że nie umrę?

Przekrzywiła lekko głowę i patrzyła na niego, nie mrugając, z taką intensywnością, że Vic aż przelękała się jej reakcji. !

– Przysięgnę – odpowiedział. – Ale musisz wiedzieć, że dla mnie jest to bardzo poważna rzecz. Słowo, które daję, zobowiązuje do prawdy i uczciwości, nie wolno mi rzucać przysięg na wiatr. – Czekam.

Napięcie w pokoju było niemal wyczuwalne, jej mała córeczka szukała u Obcego resztek nadziei. Ofiarował jej i wraz z wyciągniętą dłonią wypowiedział uroczyste słowa, które zabrzmiały dziwnie nie na miejscu w pokoju ośmiolatki.

– Składam przysięgę na własne życie. Nie umrzesz.

Vic wciągnęła powietrze przez zęby, wydawało jej się, że podczas całej tej sceny ani razu nie odetchnęła.

– Wyzdrowieję? – zapytała cichutko Kat. – Będę mogła chodzić do szkoły i bawić się z innymi dziećmi?

– Jeśli będziesz chciała – spojrzał na nią krytycznie – a tego nie wiemy. Skoro masz zamiar dalej bawić się jedzeniem, pewnie nie odzyskasz sił do zabawy.

– Od dzisiaj będę grzeczna – powiedziała. – Zjem wszystko, co mi dasz. Roześmiał się wesoło.

– A jak jedzenie da ci Martha? Albo mama? Zastanawiała się, pionowa zmarszczka przecięła jej czoło.

– Nie mogę grymasić? Wcale a wcale?

– No tak, nasza mała szantażystka odzyskuje siły.

Doktor Barrow okazał się dla Kat prawdziwym darem niebios. Łomot za szybą wyrwał Vic z zamyślenia. Zerwała się, żeby otworzyć, ale Kat zatrzymała ją na miejscu.

– To ja mam otwierać! – powiedziała z wyrzutem. – Nie powiedziałaś, że będziemy mieć gościa.

– Przyjechał Jona, żeby naprawić nam werandę. – Uśmiechnęła się do niej. – Będziesz tak uprzejma i go wpuścisz?

– Oczywiście. – Czuła się bardzo ważna, trzymając w dłoniach zupełnie niepotrzebnego pilota.

Drzwi rozsunęły się i do pokoju wkroczył Jonathan, ale zamiast się przywitać od razu na nią naskoczył.

– Czemuś, kobieto, nie powiedziała, że zerwało wam linię wysokiego napięcia! Przed chwilą odjechała ekipa z elektrowni – zmienił ton i znacznie łagodniej dodał – Cześć, Kat oraz...?

– Pozwól, że was przedstawię: doktor William Barrow, psycholog, Jonathan Carter, najlepszy po tej stronie świata specjalista od niemożliwego.

Obaj uśmiechnęli się do siebie, ale powietrze wokół nich zdrzało naelektryzowane wyraźnie wyczuwalnym napięciem.

Oj! Chyba się panowie nie polubili, pomyślała.

Stali naprzeciwko siebie dwaj mężczyźni, którzy próbowali namieszać w jej życiu.

Wysoki, chmurny doktor Barrow wydawał się szczuplejszy i delikatniejszy przy trochę niższym od niego, lecz o wiele potężniejszym Jonathanie. Gęste, ciemnoblonde włosy o rudawym odcieniu opadały Jonie na czoło niesforną grzywką, miał miłą, szczerą twarz o ciepłym uśmiechu. Błękitne oczy były bystre i wesołe, o czym świadczyła sieć zmarszczek w kącikach. Szeroki tors i ramiona komponowały się z potężnymi bicepsami. Gdy stanęli obok siebie od razu w oczy rzucał się kontrast pomiędzy jasną, bladą skórą wampira, która wręcz raziła przy ogorzałej, złotobrązowej opaleniznie człowieka nawykłego do przebywania na słońcu i świeżym powietrzu.

– Miło mi poznać – powiedział Jona i od razu przeszedł do rzeczy: – trzeba do nich zadzwonić, bo jest szansa, że złapiemy ich niedaleko. – I wyszedł do kuchni z telefonem w ręku.

Usłyszała tylko strzępy rozmowy, gdy wyraźnie się z kimś wyklócał.

– Przemiały człowiek. – Tylko Obcy mógł nasycić swoje słowa takim ładunkiem pogardy, – Jona wymyślił dla mnie niebo – wtrąciła się Kat. – I zrobił mi akwarium. – Wspaniale. – Doktor Barrow był bez wątpienia zakłamanym sukinkotem.

– Mam nadzieję, że pomoże nam z werandą...

– Oczywiście – wyłonił się zza ściany – ale jej nie odbuduję. Nie ma sensu już tu inwestować. Ekipa przyjedzie rano, pozbierają drewno i wylejemy ci ze dwa stopnie, żebyś mogła bez problemu korzystać z drzwi wejściowych. Pójdę sprawdzić okna w przybudówce. Chcesz mi towarzyszyć?

Spojrzała na Kat. Dziewczynka potakująco skinęła głową. Wyszli bez słowa na taras, na którym tak dawno temu jedli wspólne śniadanie.

Okolica zmieniła się nie do poznania. Z każdej strony rozciągał się ponury widok, kilka dni temu płonące kolorami drzewa zostały doszczętnie ogołoczone przez wiatr, który zostawił za sobą sterczące ku górze nagie kikuty gałęzi. Ciemna zieleń sosen i jodeł nie robiła już wrażenia kolorystycznego kontrastu, otoczona czernią i brązem przygłębiała jednostajnością. Unoszące się na niebie ołowiane chmury nasycały krajobraz szarością, zapowiadając rychłe nadejście zimy.

Między domem a przybudówką pozostały ślady oporu jaki stawiały budynki

rozszałamemu żywiłowi, roztrzaskane dachówki, połamane gałęzie i poniewierające się wszędzie śmieci przywiane wicherą. Wyłamane skrzydło okiennicy leżało w błocie, oskarżycielskim rogiem wskazując niebo.

– Nie martw się, sprzątniemy to szybko – powiedział.

– Nie wiem, jak ci dziękować, masz tyle pracy, a ja jeszcze dorzucam swoje problemy.

– Wszystko w ramach napraw pogwarancyjnych – rzucił. – Wykonawca powinien wziąć odpowiedzialność za jakość wykonanych prac.

– Ale nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za szkody wynikające z takiej wichury. – Mogę, jeśli mi zależy na zleceniodawcy...

– Nawet nie wiesz, jak miło to słyszeć – odpowiedziała, brnąc po kostki w błocie, zadowolona, że nie zobaczył jej rumieńca.

Weszli do przybudówki, do królestwa ciemności i wilgoci, gdyż mocy generatora wystarczało jedynie na dom. W korytarzu wyczuwało się atmosferę opuszczenia i dewastacji.

Jonathan wyciągnął latarkę i w jej szerokim, jasnym snopie obejrzeliby wszystkie pomieszczenia. W dwóch pokojach wybite szyby stanowiły idealne zaproszenie dla deszczu i wiatru. Stojące kałuże zdążyły już zmatowić parkiet, a unoszący się dookoła zapach stęchlizny wskazywał, że nie tylko podłoga ucierpiała, prawdopodobnie zamokły także materace i pościel.

To wszystko będzie się nadawało do wyrzucenia, pomyślała, rozglądając się po zdewastowanych wnętrzach.

Jedynym pomieszczeniem, które nie ucierpiała od nawałnicy, był nieużywany pokój gościnny. Z trwogą spojrzała do środka, obawiając się, że zamokły jej ukochane książki. Na szczęście okiennice okazały się szczelne i obroniły cenny księgozbiór, owoc lat poszukiwań i nie do końca spójnego gustu literackiego.

– Kim on jest?

Jonathan zadał pytanie zniechęca, chociaż było oczywiste, że gnębiło go to od chwili, gdy spotkał doktora Barrowa.

– Psychologiem, którego zatrudniłam do Kat, ma pomóc jej uporać się z depresją.

– On? – zdziwił się. – To będzie prawdziwy cud, że nie dostanie przy nim jeszcze większej. Nigdy bym mu nie powierzył własnego dziecka. Wygląda na człowieka, któremu pojęcie radości życia jest równie obce jak opalanie. Roześmiała się wesoło.

Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele w tym racji, pomyślała, doktor Barrow nigdy się nie opalał. Wampiry mają z tym pewien problem.

– A ty – zająknął się i poprawił. – Czy tobie także pomaga?

Bardzo, pomyślała. Tak bardzo, że codziennie myślę, ile radości może człowiekowi dostarczyć dekapitacja. Odpowiedziała jednak zgodnie z przyjętym scenariuszem.

– To Mat zasugerował, że powinnam znaleźć dobrego terapeuty, który pomoże Kat odzyskać nadzieję, choć według niego równie ważne było wsparcie dla mnie. Nie powinnam pokazywać dziecku jak bardzo załamuje mnie ta sytuacja, szczególnie gdy toczy się walka o jej życie.

Pewnie bał się, że mój strach źle wpływa na Kat.

– Masz depresję?

– A jak sądzisz? – Nie powinna była okazać irytacji. Jonathan nie miał dzieci, więc nie rozumiał, jak bardzo może boleć codzienny lęk o życie najważniejszej istoty na ziemi. – Może nie tyle depresję, ile czasami ogarnia mnie dołujące poczucie bezsilności. Wtedy mam ochotę płakać cały dzień, a Kat nie powinna tego widzieć, przynajmniej nie teraz. Jedna z nas musi pozostać silna.

– Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam – powiedział. – A moja mama zawsze powtarzała, że płacz jest dobry, bo pozwala oczyścić serce.

– Nie zawsze – zamyśliła się. – Czasem płacz sprawia ból komuś innemu. – Nie sądziła, że kiedykolwiek wypowie te słowa na głos, że znajdzie w sobie dość odwagi, by je usłyszeć z własnych ust, ale Jonathan powinien wiedzieć. Zasługiwał na prawdę. – Ona umiera i nie chcę, żeby do tego wszystkiego martwiła się o mnie. Najgorsze cierpienie odchodzącym sprawia myśl o tych, którzy zostają. Płacz powoduje, że ciągle im o tym przypominamy – wzruszenie nie pozwoliło jej dalej mówić.

Podszedł do niej i objął swoimi, mocnymi ramionami, w których chociaż na chwilę mogła znaleźć wytchnienie i oparcie. Ciepłymi ramionami kogoś, kto rozumie i wie, jak można się czuć, gdy dookoła wali się świat.

Bardzo potrzebowała takiego gestu. I bardzo się go bała. A raczej swojej reakcji, gdy on nastąpi.

Od dawna czuła, że Jonathan jest w jakiś sposób podobny do jej wspianego domu. Solidny, dający oparcie w trudnych czasach – człowiek, przy którym dobrze jest się zestarzeć. Gdyby była w innej sytuacji, nie wahałaby się ani przez moment. Od pierwszego spotkania między nimi nawiązała się specyficzna więź. Dostrzegła ją w jego spojrzeniach, drobnych gestach i rzucanych mimochodem półsłówkach.

Byłaby dumna i szczęśliwa, gdyby mogła u boku takiego mężczyzny iść przez życie. Czasem tak się jednak zdarza, że to, co najpiękniejsze przychodzi zbyt

późno albo nie w porę. Jej chwila na znalezienie miłości skończyła się dawno temu, teraz była już zupełnie inną Victorią, daleką od myśli o jakichkolwiek związkach, daleką od wszelkich pokus, które mogłyby oderwać ją od własnych problemów.

Gdyby teraz szukała pocieszenia u Jonathana, unieszczęśliwiłaby zarówno jego, jak i siebie. Poczucie winy zabiłoby każdą pozytywną emocję szybciej, niż zdążyłaby okrzepnąć.

Gestu mogła się spodziewać, ale tego, co po nim nastąpiło, już nie. Jego gorące usta znalazły ją i przypomniały, jak wiele traci. Nie był to namiętny, pełen pożądania pocałunek, raczej delikatne muśnięcie warg, które mówiło tak wiele, że żadne ze słów nie było już potrzebne.

Nie oddała pocałunku. Nie mogła.

Odsunęła go stanowczo i już chciała coś powiedzieć, ale ją uprzedził.

– Nie planowałem tego. – Patrzył jej prosto w oczy. – Nie miałem zamiaru wprowadzić jeszcze większego zamieszania do twojego życia. I jeśli chcesz powiedzieć, że myślę miłość ze współczuciem, to jesteś w błędzie. Nie będę się narzucał. Nie teraz. – Swoimi dużymi, twardymi dłońmi ujął jej dłonie. – Jeśli – zawahał się – cokolwiek się stanie, będę przy tobie zawsze. Możesz nie dzwonić, możesz udawać, że nigdy mnie nie było. Wierzę, że pewnego dnia nadejdzie czas, gdy pozwolisz mi się objąć. Gdy będziesz potrzebowała wsparcia, wtedy bez względu na wszystko znajdę się obok ciebie. Będę czekał i chciałbym, żebyś o tym pamiętała.

Powinna mu podziękować, lecz nie miała siły wydusić z siebie słowa. Ten pocałunek przypomniał jej tak wiele, sprawił, że coś poczuła, pierwszy raz od lat. Aczkolwiek w jednym miał absolutną rację, takie uczucia nie były jej teraz potrzebne. Nie miała na nie czasu.

Skinęła tylko głową, wiedząc, że go rani, i wyszła z pokoju przybudówki, ale zamiast do domu skręciła prosto w las. Potrzebowała chwili, aby uspokoić i wyciszyć szalejące emocje.

Nie zasługuje na niego, pomyślała. Ani na żadnego innego mężczyznę, może oprócz swojego byłego męża. Dobrze mnie ocenił, byłam beznadziejną żoną, a teraz stałam się niezdolną do poświęcenia matką, która zamiast zajmować się chorym dzieckiem, woli całować się po kątach.

We własnym mniemaniu – przez tę chwilę wykradzonej słabości – okazała się złą, bezduszną kobietą. W zasadzie nie była nic warta, bo najgorsze z tego wszystkiego było to, że kiedy poczuła jego usta na swoich, wcale nie chciała, żeby przestał.

– Jesteś zwykłą szmatą – powiedziała na głos, pewna, że tylko drzewa usłyszą wyznanie. – Głupią dziwką. Twoja córka przyjmuje kolejną porcję morfiny, a ty w tym czasie...

Uderzyła podniesionym patykiem najbliższy, niczemu niewinny pień. To była gorzka ironia losu, przez trzy lata żyła w całkowitej ascezie i wtedy oczywiście nikt taki jak Jonathan nie pojawił się w jej życiu.

Gdy tylko runął jej na głowę cały świat, okazało się, że nie może się odpędzić od facetów. Butny wampir nieraz dawał jej przecież odczuć, że jest nią zainteresowany, i Jonathan, który tylko czekał, aby zgodziła się z nim być. – Obaj za wszelką cenę starali jej się namieszać w głowie.

– Zbytek łaski, panowie – powiedziała, nadal okładając okoliczne pnie, jakby biczowała chętnych do miłosnych igraszek. – Dajcie mi w końcu wszyscy święty spokój.

Usiadła na zwałonym drzewie, nie zwracając uwagi na to, że jest oślizgłe i mokre. Doszła do wniosku, że sama za wszystko ponosi winę, bo jak słusznie ujął to pewnej nocy irytujący wampir, zagłuszone na siłę napięcie seksualne wpływało na jej zachowanie i rzeczową ocenę faktów. Nie potrafi już podejść do męskich awansów w zdrowy oraz wyważony sposób.

Wystarczyło spojrzeć na taką Eve, czy przeżywałaby równie mocno przypadkowy pocałunek? Myślała o nim, zastanawiała się, analizowała konsekwencje? Oczywiście – nie. Eve miała ich pod dostatkiem i pewnie w ogóle nie zwróciłaby uwagi na takie delikatne muśnięcie ust. I to było zdrowe podejście. A ona?

Przez lata samotności doszczętnie zdziwaczała. Jonathan chciał być po prostu miły i przytulił ją, ponieważ współczuł jej po tekście, jaki mu zasunęła, a ona ma złudzenia, że rozpoczął się właśnie wspaniały romans.

Z umierającą córką w tle.

– To wszystko jest chore – powiedziała do przyglądającej się jej sosny.

– Czyżbym prosiła o zbyt wiele, pragnąc, żeby przestali mi zawracać głowę.

Gniew, który czuła, gwałtownie zmienił kierunek.

– Czy żaden z nich do cholery nie rozumie, w jakiej jestem sytuacji? Jakie mają prawo pojawiać się teraz, mieszać mi w głowie i życiu? Do dupy z tym wszystkim.

Wstała, gotowa zmierzyć się z galimatiasem, który – jak ostatecznie ustaliła z sosną – był koniec końców i tak wynikiem jej chorej wyobraźni.

– Jestem za mało stanowcza – powiedziała i na odchodnym pogłaskała zatroskane, pochylone nad jej problemami drzewko.

Wróciła do domu, trafiając w sam środek toczącej się żywo dyskusji. Kat bez oporów zaakceptowała wszystkie swoje opiekunki.

Uwielbiała doprowadzać Beth do szewskiej pasji, upierając się przy czymś albo zmuszając ją do robienia rzeczy, na które najstarsza z pielęgniarek nie zawsze miała ochotę. Dla Marthy była o wiele łaskawsza, często się razem bawiły i wtedy Vic miała wrażenie, że są dwiema rówieśnicami. Już w ciągu pierwszych dni dało się zauważyć, że Martha i Beth zostały kupione przez Kat. I nie tylko przez nią.

Wystarczyło, aby Doktor Barrow tylko skinął palcem, a wszystkie trzy zamieniały się w układne i podporządkowane służące, które wychodziły ze skóry, starając się zasłużyć na pochwałę z jego ust. Oczywiście widział to i najprawdopodobniej odczuwał głęboką satysfakcję – typowy macho. Trzeba było widzieć jego uśmiech, kiedy purpurowa z przejęcia Martha podawała mu blok do rysowania, Beth robiła wszystko, o co poprosił albo o co jeszcze poprosić nie zdążył, a Dorotha już odgadywała jego niewypowiedziane zachcianki.

Dziękował im za to w taki sposób, że byłyby gotowe skoczyć dla niego w ogień. Magia wampira działała.

Vic z niezadowoleniem patrzyła na ich wzajemne relacje, uważając, że jedynie hipnozą można wytłumaczyć to zupełne, niemal niewolnicze, podporządkowanie.

Tym razem Beth stanowczo odmówiła Kat włączenia jej ukochanych Piratów z Karaibów, tłumacząc, że trzy dni pod rząd nikt nie powinien oglądać tego samego filmu. Doktor Barrow uśmiechał się zdawkowo i pozwalał im kontynuować sprzeczkę, w której obrażona Kat nie chciała słyszeć o żadnych innych podsuwanych propozycjach. – Shrek? – Beth nie traciła nadziei.

– Głupi ogr.

Miała naburmuszoną minę oraz zacięte usta i tylko błyskające wesoło oczy zdradzały, że dobrze się bawi. – Epoka lodowcowa?

– Nudne. Głupi mamut.

– Czy istnieje dla ciebie coś, co nie jest głupie? – Pan Wielki Psycholog włączył się w końcu do rozmowy.

– Kapitan Jack Sparrow.

– Puśćmy jej dla świętego spokoju ten film, sam go jeszcze nie widziałem.

– Beze mnie. – Beth była nieugięta. – Trzeci raz nie zniosę widoku tego pajaca.

Doktor Barrow i Kat spojrzeli na siebie z błyskiem nagłego porozumienia i dziewczynka włączyła film. Pełne oburzenia prychniecie pielęgniarki zakończyło dyskusję.

Boże, ile bym dała, żeby było tak zawsze, pomyślała Vic z przyklejonym

do twarzy sztucznym uśmiechem. Bardzo dobrze zdawała sobie sprawę, że huśtawka emocjonalna, która miała chwilową poprawę stanu Kat, wyczerpywała jej ostatnie rezerwy sił. Istniało poważne ryzyko, że ta nowo obudzona nadzieja, koniec końców zepchnie ją z powrotem w objęcia mroku. Dlatego należało z radością przyjmować drobne prezenty od losu – wykradzone chorobie sekundy normalności.

Kiedy wszedł Jonathan, udała się za nim do kuchni, aby nie przeszkadzać w seansie. Przedstawił harmonogram koniecznych prac, ale nie mogła się skupić na tym, o czym mówił. Od tamtego – jak go w myślach nazywała – zdarzenia czuła się niezręcznie w jego obecności. Ze spuszczonego wzrokiem, wpatrzona w czubki butów słuchała, nie słysząc, o wymianie różnych rzeczy, w końcu podpisała się na liście zleceń. Jonathan schował starannie złożony dokument i stał przed nią w milczeniu.

Cisza ciągnęła się nieznośnie. Wyciągnął rękę i chciał pogłaskać ją po włosach. Uchyliła się, a jego dłoń przez chwilę zawisła w powietrzu.

– Do zobaczenia – rzucił w stronę Kat i doktora, którzy zajęci filmem, nawet mu nie odpowiedzieli.

Drzwi werandy zasunęły się za nim cicho. Wykorzystując czas, który podarował jej szalony kapitan Jack Sparrow, poszła sprawdzić wyniki badań. Wczoraj nie dała rady wrócić do laboratorium, więc postanowiła przechować próbówki w domu. Pobraną próbkę krwi podzieliła na trzy części, jedna leżała w zamrażalniku, druga spoczywała bezpiecznie w termosie u niej w sypialni, a trzecia...

– O cholera – wyrwało jej się na głos, a z pokoju dobiegło oburzone:

– Mamusiu!

Przepraszam – powiedziała skruszona i zła na siebie.

Na śmierć zapomniała o trzeciej próbce. Zrobiło jej się gorąco, tylko tego brakowało, żeby fiolka wpadła w niepowołane ręce i sprowokowała niewygodne pytania.

Spanikowana rzuciła się do poszukiwań. Starła przypomnieć sobie wszystkie szczegóły poprzedniego wieczoru. Ale za żadne skarby nie mogła zrozumieć, co się stało z zaginioną próbką. Dopiero przypadek sprawił, że zguba kilka godzin później wpadła w jej ręce.

Wszyscy w domu znali i respektowali zasadę – jedynie Vic mogła rozpalać w kominku. Z zaskoczeniem i niedowierzaniem wyjęła szklany pojemnik zza dolnej osłony paleniska, gdzie spoczywał ukryty przed wzrokiem niepowołanych. Mógł to być przypadek, gdyby nie fakt, że w jej życiu ostatnio nie było miejsca

na przypadki. Patrzyła na fiolkę podejrzliwie, obracając ją w szczypcach.

Ktoś doskonale wiedział o tym, że w tym miejscu tylko ona mogła ją znaleźć, ktoś chciał jej podpowiedzieć, nakierować na właściwe tory. Ktoś wykonał za nią kawał roboty.

Przecucie jej nie zawiodło, ponieważ próbka zginęła z jej pokoju, rozwiązanie musiało być tylko jedno i właśnie trzymała go w dłoniach. Od strony paleniska, tam gdzie płonął ogień, krew była w stanie półpłynnym.

A zatem kluczem do rozwiązania zagadki okazało się ciepło.

Zabrała próbkę w rękawicy termalnej i zniosła do laboratorium, gdzie przelała część płynu do mieszalnika; resztę włożyła zgodnie z zamierzeniem do kuchenki mikrofalowej. Po minucie próbka eksplodowała, obryzgując przednią szybę falą spienionej czerwieni.

Temperatura regulowała tempo krystalizacji i teraz koniecznie należało to odkrycie zastosować w praktyce. Ta noc należała do niej i wypełnionych płynną krwią pojemników.

Podczas jednego z eksperymentów wyrwał ją ze skupienia natarczywy dźwięk telefonu. Odruchowo spojrzała na zegar, by z niedowierzaniem zawiesić wzrok na połyskujących cyferkach. Dochodziło wpół do dziewiątej.

Odebrała połączenie, tym razem z radością. Z drugiego końca świata dzwonił doktor Benjamin Kent. Wiedział o chorobie Kat i był wprowadzony we wszystko, rozmawiali o jej szamotaninie, walce o każdy dzień, wynikach, jakie dały konsultacje z najlepszymi specjalistami w kraju. Znał diagnozę i perspektywy. – Co u ciebie? – zapytał. – Słyszałem, że nieciekawie. – Kat jest w domu.

– Udało ci się, jestem z ciebie dumny! Czy będziesz miała coś przeciwko temu, że niebawem wpadnę do was z wizytą i przy okazji uściskam małego urwisa?

Ucieszyła się na myśl, że go zobaczy, bo oprócz cotygodniowych rozmów telefonicznych od dawna nie miała okazji spotkać się z nim twarzą w twarz.

– Oczywiście, że nie – powiedziała z entuzjazmem, chociaż na myśl o tym, jak wygląda sytuacja w domu, włosy zjeżyły jej się na głowie.

Mam nadzieję, pomyślała, że Jonathan zdąży do tego czasu naprawić przybudówkę.

– Wcześniej zadzwonię. – Na szczęście Kent nie wyczuł jej wahania.

– Żeby się upewnić, czy nie spadnę ci na głowę w niewłaściwym momencie. Co poza tym słyhać?

W skrócie streściła mu sytuację w miasteczku. Na wieść o samobójczej śmierci Elizabeth Brown prychnął do słuchawki.

– To było do przewidzenia. Ich syn, niech mu niebiosa odpuszczą, jest

skończonym idiotą. Nie rozumiem, jak dwoje miłych, inteligentnych ludzi może spłodzić takiego półgłówka. Wysłać ich do domu starców – sapnął ze złością – wpadł na doskonały pomysł.

– Tak sądzisz? – zapytała.

– Dobrze, że ich wcześniej nie znałaś – odpowiedział. – Łatwiej ci zaakceptować fakty. Oboje kochali to miasto i dlatego wizja nieuchronnej przeprowadzki złamała mu serce, a ona... No cóż, świata poza nim nie widziała. Ale nie obawiaj się, to będą ostatnie groby w Lake Falls.

– Skąd wiesz?

– Większość starych ludzi jakoś zniesie rozstanie z miastem. Jedni potraktują to jak dopust boży, swoją własną drogę przez mękę. Inni mają bliskich, którzy wyprowadzili się stąd dawno temu, tych nawet cieszą zmiany, bo widzą w nich szansę na ponowne scalenie rodziny.

– Źle się dzieje – dodała.

Zmiany, kochana Victorio. – Był chyba ostatnią osobą, która tak się do niej zwracała. – Zawsze chowają na zapleczu swoje małe cmentarzyki z ofiarami. W dzisiejszym świecie nie ma nic stałego ani pewnego, wszystko podlega nieustannym przeobrażeniom, a Brownowie stanowią koszty własne tego procesu.

Zamyśliła się. „Koszty własne” – dwa słowa, pod którymi ukrywało się znacznie więcej niż ludzkie tragedie. Ukrywała się w nich przede wszystkim znikomość człowieka i jego problemów, przemielanych na pył przez bezlitosne żarna czasu.

Skończyła rozmowę i wtedy przyszedł jej do głowy Obcy. Jego nie dotyczył ani upływ czasu, ani zmiany, którym podlegał świat. Był niemal nieśmiertelny.

Doskonale sobie zdawała sprawę, że ją okłamał. Zdawkowe „Żyłem przed wojną” mogło oznaczać wszystko. Jego następne rzucone przypadkiem zdanie: „U zarania ludzkiego czasu byliśmy...” mówiło znacznie więcej. Co jednak dokładnie znaczyło „my”. Traktował to, jako określenie siebie w kontekście grupy, czy ogólnie gatunek?

Jeśli w grę wchodziło to pierwsze... Z wrażenia zaschło jej w ustach.

Te słowa mogły odnosić się do początków ludzkiej cywilizacji. Żyła z nim pod jednym dachem od tygodnia i nie wiedziała nic. Kim był, skąd pochodził i ile w końcu miał lat? On natomiast wiedział o niej wszystko. Znał jej uczucia i myśli nawet lepiej od niej samej.

Przez całe popołudnie spędzone u Kat układała sobie w głowie podziękowanie, do którego czuła się zobowiązana. Musiała być przygotowana i bardzo uważać, żeby wypowiedziane nieopatrzenie słowo, nie stało się pretekstem do kolejnej

sprzeczki.

Z wybiciem dwunastej stanęła w drzwiach jego pokoju.

– Dziękuję – powiedziała – że zechciałeś się ze mną podzielić swoją wiedzą. Szczerze mówiąc, czułam się trochę bezradna, bo żaden z eksperymentów do tej pory nie przyniósł rezultatów.

Patrzył na nią zmrużonymi oczami, jakby właśnie coś niezwykle interesującego przyszło mu do głowy. – Skąd wiesz, że to ja? Ale nie zaprzeczył.

Domyśliłam się...

– Inteligentna dziewczynka z ciebie, trzeba przyznać – jego słowa aż ociekały drwiną. – Co zrobisz dalej? Bo nie wiem jak tobie, ale mnie zaczyna się cokolwiek spieszyć.

– Spróbuję zatrzymać działanie czynnika, który powoduje powstawanie kryształów – Znalazłaś źródło?

– Nie, ale chyba jestem na tropie – zadeklarowała odrobinę na wyrost. Wyczuł to bezbłędnie i stracił zainteresowanie rozmową.

– Wobec tego... – zawiesił głos znacząco. Jedyne on potrafił nadać swoim słowom zimne, metaliczne brzmienie, kojarzące się z pustymi lodowymi przestrzeniami... – To wszystko, co miałaś mi do powiedzenia? Chciała wyjść bez słowa, ale rzucone pytanie osadziło ją na miejscu. Myślała intensywnie. Oczywiście, chciała zadać mu tysiące pytań, lecz nie powinna go prowokować. Nie tym razem.

– Tak – odpowiedziała, nie odwracając głowy.

Myśl, że zawsze może nacisnąć klamkę i znaleźć się pod drugiej stronie, działała uspokajająco.

– Nic na temat gościa, którego się spodziewasz?

Na śmierć zapomniała powiedzieć komukolwiek o wizycie Benjamina. Skoro o tym wiedział, znowu podsłuchiwał jej rozmowę.

Nawet tę prowadzoną za podwójnymi, stalowymi drzwiami laboratorium!

– Owszem – odpowiedziała zirytowana. – Przyjedzie do mnie doktor Kent, po którym odziedziczyłam praktykę. Zadowolony?

Było jasne, że tu nie ma prawa pojawić się nic i nikt, bez jego zgody i wiedzy. Znowu następny mężczyzna próbował osaczyć ją pętlą kontroli i krytyki, dlatego poczuła mdlącą falę złości.

– Ilu jeszcze gości zaprosisz? Czyż nie wyraziłem się jasno, że o mojej obecności, powinno wiedzieć jak najmniej ludzi?

Zmroziło ją – słowa zabrzmiały niczym prawdziwa groźba.

– Sądziłam, że mogę go przyjąć. Odmowa byłaby w tej sytuacji bardziej

podejrzana. Wbrew sobie zaczęła się tłumaczyć, chociaż nadal nie odrywała wzroku od drzwi.

Zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Nie – odparła przez zaciśnięte zęby. – Nie zamierzałam ci o tym powiedzieć. W umowie nie było nic na temat zakazu przyjmowania gości. A poza tym przecież zawsze jesteś na bieżąco, podsłuchujesz moje rozmowy i śledzisz każdy krok.

Za plecami usłyszała śmiech. Nie był to szczerzy, spontaniczny wybuch radości, lecz zimny, wyrachowany odgłos rozpoczynającej się batalii. Z żalem spojrzała na klamkę, która była na wyciągnięcie dłoni, ale codzienny rytuał musiał się dopełnić. Odwróciła się w jego stronę.

– Do czego zmierzasz? – zapytała. – Znowu chcesz mnie sprowokować?

– Ani myślę. – Jego zapewnienie nie zabrzmiało szczerze. – Aż tak bardzo się nie nudzę, mam jedynie wrażenie, że przez te wszystkie romanse i ukradkowe pocałunki termin opracowania leku zaczyna być nieznany. Z takim chaosem w głowie możesz co najwyżej odkryć skutki uboczne nieprzemyślanych decyzji.

– Najwięcej chaosu i zamieszania do mojego życia wprowadziłeś ty – odcięła się jak nastolatka.

– Miło mi to słyszeć. – Uśmiechnął się złośliwie. – Choć wolałbym mieć pewność, że słowo, które dałem Kat, nie jest obietnicą bez pokrycia.

Wchodząc do tego pokoju, obiecała sobie, że za żadne skarby świata nie wyprowadzi jej z równowagi. Nie dziś.

– Masz rację. – Spuściła głowę, żeby nie zobaczył jak bardzo jest wściekła. – Od tej pory nic nie zakłóci moich badań.

– Mam nadzieję – odpowiedział szeptem, tuż koło jej ucha. Znowu to zrobiła, bezwiednie przygryzła dolną wargę. Ledwo zagojone usta odpowiedziały ciepłą strużką krwi.

Dotyk Obcego nie był pieszczotą Jonathana. Jej głowa znalazła się w imadle silnych dłoni. Spojrzał na nią oczami, w których płonął głód. Krwistoczerwone plamy pulsowały, usta zwęziły się do wąskiej szparki. Wciągnął z lubością powietrze jak drapieznik, który z oddali wywęszył ofiarę.

Skamieniała. Na własne oczy widziała pierwszą odsłonegą ataku wampira i za nic w świecie nie chciała zobaczyć drugiej. Mimo to nie spuściła oczu, wpatrując się w niego hardo. To spojrzenie, nieprzypominające wzroku żadnej z ofiar, zrobiło na nim wrażenie. Syknął głucho i palcem przejechał po jej wardze. Na opuszku pozostał czerwony ślad. Rozmazana kropla krwi.

Zrobiło jej się niedobrze. Włożył palec do ust i zacmokał z lubością.

– Słodka – powiedział. – Taką właśnie lubię.

Szarpnęła się z całą siłą, na jaką było ją stać, bo poczuła do niego nieprzepartą odrazę. Chłodne usta miażdżyły jej wargi, próbując wysać resztki krwi. Zachłanne, głodne usta mężczyzny, które za nic miały oszalałą samotanię i beładne mlócenie jej rąk.

Ohydny dotyk wyzwolił w niej energię, której się po sobie nie spodziewała. Kopnęła go w goleń. Bez efektu, czuła, że oczy jej łzawią i coraz bardziej brakuje oddechu.

Dusiła się ze wstrętu, nie chcąc zaczerpnąć powietrza. Nie zamknęła oczu, wzrokiem, który płonął wściekłością i gniewem, starała się przepalić go na wylot.

W końcu lekko zdziwiony odsunął się od niej.

– Dostarczyłem ci materiału porównawczego – powiedział, na szczęście, bez uśmiechu. Gdyby się na niego odważył, prawdopodobnie zmasałyby mu go z twarzy pięściami, ale i tak nie zdążyła zatrzymać ręki, która wymierzyła siarczasty policzek. W ciszy pokoju głucho kłaśnięcie rozległo się dźwięcznym echem.

Rozgorączkowana z emocji, rozpalona nienawiścią szarpnęła za klamkę i znalazła się po drugiej stronie. Wierzchem dłoni otarła usta, aby zetrzeć ohydny ślad jego warg. Nie pomogło.

Biegiem wpadła do łazienki i przez wiele długich minut zawzięcie szczotkowała zęby, jakby chciała zetrzeć je w proch.

W tym pocałunku było coś odrażająco nachalnego, odebrała go prawie jak gwałt. Najgorsza w tym była jej całkowita bezradność.

Za wszelką cenę pragnęła pozbyć się go na zawsze z domu i swojego życia. Ale niestety, było to niewykonalne. Nagromadziło się w niej tyle gniewu, że musiała znaleźć gdzieś dla niego ujście.

Wzięła szybki prysznic, założyła dres i po cichu wyszła z domu.

Noc dogasała, choć niebo zdawało się tego nie zauważać, przesłonięte welonem grubych chmur. Droga była mokra, a w powietrzu unosił się wilgotny, listopadowy chłód. Czy to od jego przenikliwej zajadłości, czy też na wspomnienie tamtego dotyku – zadrżała.

Zaczęła biec. Zamiast wybrać łatwiejszą drogę w dół z zawziętą determinacją ruszyła pod górę. Do szczytu było około dwóch kilometrów. Dużo, jeśli ustawicznie puszczało się z dymem własną kondycję.

Już po kilku minutach obolałe płuca palacza powiedziały jej głębokim rżeniem, jak bardzo jej nienawidzą. Zlekceważyła ich ostrzeżenie.

Biegła dalej. Pot zlepił jej włosy, a przed oczami zatańczyły czarne mroczki.

Nic nie zwojowały. Nogi niosły ją jak zaklęte coraz dalej od domu, coraz dalej od niego.

Potworna kolka złapała ją w miejscu, gdzie za zakrętem widać było jeszcze dach domu. Musiała przystanąć. Z niepokojącym furczeniem wciągała do zbuntowanych płuc kolejne płytkie hausty powietrza. Nie czuła już chłodu. Ból – jej stary przyjaciel – przepędził go razem ze złymi myślami.

Unosiła się na fali zmęczenia, nogi uginały się jej w kolanach, w głowie tępo pulsowało, a w boku kłuło, gdy zerwała się do dalszego biegu.

Zamierzała dotrzeć na szczyt i nic nie mogło jej zatrzymać. Po drodze dwukrotnie stawała złamana gwałtownym atakiem bezdechu. W końcu dach przesłoniły drzewa, a ona znalazła się w ciszy, zakłócanej jedynie rytmicznymi uderzeniami stóp o asfalt.

Pot, wilgoć i łzy obmyły jej twarz skuteczniej niż mydło. Spływały łączącymi się strużkami od czoła poprzez nos, kapiąc na przód dresu słonym deszczem. Na podjeździe mijanego domu zobaczyła sąsiada, który przyglądał jej się z zaskoczeniem.

Pomachała do niego, bo z gardła zamiast słów w najlepszym wypadku mogłaby wydobyć tylko rozpaczliwy wrzask.

Nogi poniosły ją dalej. Nie myślała, nie zastanawiała się, walczyła o każdy oddech z trudnym przeciwnikiem, którym w tym starciu było jej własne ciało.

Mniej więcej w połowie drogi dopadł ją poważny kryzys, miała wrażenie, że za chwilę straci przytomność. Zgięła się wpół, pozwalając krwi dopłynąć z powrotem do mózgu. Trwała tak kilka minut, niemal zrezygnowana, lecz jej umysł nie był przygotowany na zaakceptowanie porażki.

Ponownie ruszyła, przyspieszając, jakby goniło ją stado demonów, a każdy z nich szeptał do ucha.

– Smakował ci pocałunek wampira?

W końcu dotarła na szczyt wzniesienia, wysoko ponad ścielące się ponad jeziorem stalowe chmury. Stąd droga prowadziła już tylko w dół. Usiadła na poboczu, odczekała, aż oddech jej się uspokoi i zapaliła papierosa.

Las zawsze dawał jej ukojenie, nawet ten skąpany w chmurach i posępnie jesienny tchnął spokojem, któremu obce były ludzkie rozterki.

Przyszedł czas refleksji i zastanowienia się, co dalej. Musiała puścić wszystko w niepamięć. Tyle przynajmniej była winna Kat. Nie miała zamiaru wykonać wyroku, który w głowie wydała na wampira jakiś czas temu. Jeszcze nie... ale natychmiast powinna wymyślić, co zrobić, by nie dopuścić do eskalacji przemocy, bo w jego pokręconym umyśle mógł zrodzić się pomysł wykorzystania

jej bezradności do końca.

Była od niego absolutnie zależna – wiedział o tym i nie miał żadnych oporów żeby wyzyskiwać jej uległość. Należało zatem zrobić coś, aby powstrzymać te zapędy natychmiast i na zawsze. Nic nie przychodziło jej do głowy. Rozmowa, prośba, apel do honoru nie zdały egzaminu, potrzebny był radykalny ruch ostatecznie kończący tę chorą zabawę.

Nie stać jej było na rzucanie kolejnej groźby bez pokrycia, szafowała nimi już od tak dawna, że zdołał się na nie uodpornić. Rzuciła niedopałek na drogę.

Tym razem nie mogła sobie nic zarzucić, żadnym gestem ani słowem nie sprowokowała go do takiego zachowania. Pomyślała sobie, że na jego tle Jonathan wydaje się niemal ideałem. Niemal, bo w zepchniętych poza granicę umysłu zakamarkach duszy – na samym ukrytym dnie, do którego nigdy nie miała zamiaru zajrzeć – jakaś zapomniana cząstka odpowiedziała na głód wyzierający z oczu Obcego. Jej ciało zareagowało na pocałunek, jakby pragnęła ostatecznego zatracenia się w szaleństwie nienawiści i przemożnym, niemal bolesnym, pragnieniu. Okazało się, że naprawdę niewiele w niej było z marmurowej księżniczki za jaką chciała uchodzić.

Ten cichy dreszcz, który nią wstrząsnął, był w jej mniemaniu wyłącznie efektem obrzydzenia, choć zdumiewająco podobnym do pożądania, którego smaku nie zaznała od wielu pustych lat.

– Być może nigdy – powiedziała szeptem do siebie.

Przez cały czas trwania żalosego małżeństwa przeżyła huśtawkę najróżniejszych uczuć, ale nigdy z powodu Roberta nie miękły jej kolana, nie miała wrażenia, że gdy odpowie na jego pragnienie, to świat się skończy. Ale Robert był człowiekiem i mimo wszystko nie ciągnął jej w dół, ku otchłani.

Obcy istniał już wiele niehumanicznych lat i miał mnóstwo możliwości, aby nauczyć się, jak budzić w kobietach pierwotny, dziki instynkt, czyniąc je bez reszty poddanymi swojej woli. Było w nim coś, co potrafiło doprowadzić krew do wrzenia. Nie tylko umiał jednym zdaniem wzbudzić w niej furję, potrafił także zmusić, żeby spojrzała na siebie inaczej, dlatego teraz zastanawiała się z przerażeniem, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie uciekła z pokoju.

Nie chciała o tym myśleć. Obcy budził w niej odrazę, reprezentował wszystko, czego z całej duszy nienawidziła.

Podły, przewrotny demon, pomyślała i roześmiała się głośno. W ciągu kilku dni odkryła tak różnych mężczyzn. Jonathan był dniem, Obcy – nocą. Mogłaby godzinami opowiadać o przeżytych przygodach purpurowym z przejęcia przyjaciółkom. Tyle że nie miała żadnych przyjaciółek, była sama z chorym

dzieckiem, złośliwym wampirem i własnym, nieposłusznym umysłem, który tworzył pozbawione sensu fantazje.

Podjęła decyzję. Zasuwała dres i pobiegła z powrotem. Droga w drugą stronę była samą przyjemnością. Rytmiczny tupot adidasów o asfalt dawał jej poczucie kontroli i siły. Budził wolę walki.

Dotarła do domu nie zmęczona, ale ożywiona. Wzięła szybki prysznic i przebrała się we właściwy do takiej rozmowy strój – szary golf i czarne wyciągnięte spodnie.

W bojowym nastroju weszła do jego pokoju. Leżał na łóżku i czytał książkę. Spojrzał ze zniecierpliwieniem i nie raczył nawet wstać. Był przygotowany na wymówki, dlatego postanowiła go zaskoczyć. Stanowczym głosem powiedziała:

– Jeśli coś podobnego się powtórzy...

– Jak było na wzgórzu? – przerwał jej bezceremonialnie.

– Przyjemnie, choć chłodno.

Czas zaskakiwania mnie takimi tekstami właśnie minął, pomyślała.

– A jeśli nawet? Odrzucisz szansę stworzenia lekarstwa przez zranioną dumę?

Prawie roześmiał jej się w twarz, lecz dla niej na łóżku nie leżał już doktor Barrow, ale El'lar – nieśmiertelny wampir.

– Jeżeli zrobisz coś takiego – powiedziała zimno. – Pamiętaj, każda sekunda, gdy choćby spojrzysz w drugą stronę podczas ratowania swoich braci, będzie dla jednego z nich wyrokiem śmierci. Zamknięci w grobowcu od dawna tracą siły. Będę gotowa.

Z trudną do wychwycenia szybkością znalazł się przy niej, mięśnie jego twarzy skamieniały, a białka oczu przybrały szarawy odcień.

– Jak wielu zdołasz uratować? – spytała butnie, nie spuszczać wzroku. – Za każdy taki gest zabiorę ci jednego, zanim odzyska siły. Nie zdołasz uratować wszystkich.

– Zginiesz za to – powiedział głosem przepełnionym wściekłością. – Wiem – odpowiedziała spokojnie.

Odsunął się. Stał twarzą do okna i milcząc, wpatrywał się w zamknięte okiennice.

Cisza w pokoju zdawała się trwać wieki. Napięcie rosło od chwili, gdy oboje umilkli, aż stało się niemal namacalne.

– Mówiłem ci – odezwał się, lecz jego głos zabrzmiał głucho. – Że dla ciebie jest za wcześnie. Nie chciałaś słuchać – przerwał i dodał słowa, po których odetchnęła głośno. – Zgadzam się na twoje warunki.

- Bez wykrętów i dyskusji?
- Wystarczy. Wyjdź.

Jego nieznoszący sprzeciwu ton, był dla niej wyzwoleniem. Zamknęła cicho za sobą drzwi, ale w duszy krzyczała z radości. Tym razem wygrała, zdobyła przewagę, przyparła go do muru. I choć cichutki głos w jej umyśle szepnął: szkoda, wiedziała, że nie powinna go słuchać. Ten podstępny zdrajca nie pozwalał jej w pełni napawać się świeżo osiągniętym zwycięstwem.

Kolejne dni upływały we wzajemnej, pełnej dystansu ostrożności. Jonathan wchodził do domu tylko po to, żeby zdać relacje o postępach i poinformować o niezbędnych zakupach, Obcy nocami krył się w swoim pokoju, a popołudnia oraz wieczory spędzał z Kat. Pobierała krew za jego milczącą zgodą i mijała się z nim, wymieniając ledwie zdawkowe uprzejmości. W tym rozdaniu to Vic trzymała asa w rękawie. Wiedziała, że nie powinna nim zbyt często wymachiwać, bo znaczona karta straci swoją moc, jednak wystarczyła, aby wprowadzić relacje z Obcym na zupełnie inne tory.

Pielęgniarki, nieskore do rozmów, wolały spędzać czas w swoim towarzystwie. I tak w pełnym ludzi domu poczuła się kompletnie samotna, co w jej przypadku nie było niczym nowym.

Kat dawała jej jednoznacznie do zrozumienia, że zamiast nudnego towarzystwa matki woli nowego pana doktora. Rozumiała to doskonale i nie czuła ukłucia żalu nawet wtedy, gdy jej córeczka po raz dwudziesty powtarzała pytanie.

- Kiedy przyjdzie?

Matka kojarzyła się Kat ze szpitalną gehenną, a teraz, gdy mała powoli odzyskiwała siły, potrzebowała dokoła siebie innych ludzi, nieskażonych ponurymi wspomnieniami.

Obcy pojawił się w jej życiu wraz z powoli odzyskiwaną nadzieją i był uosobieniem pozytywnych zmian.

Vic przypuszczała, że córka znalazła w nim substytut ojca, którego bardzo jej brakowało. Nigdy nie rozmawiały o tym, co się stało z Robertem, a teraz było już za późno. Mała księżniczka, otoczona dworem opiekunek, miała z ojcem kontakt sporadyczny, a dzięki temu wspaniały. Był kimś w rodzaju jej własnego świętego mikołaja – człowiekiem z torbą zawsze wypełnioną prezentami i obdarzonym wspaniałą wyobraźnią. Podczas spędzanego razem czasu nieustannie organizował niezwykle zabawy i szalone wypadki.

Jednak Kat najmilej wspominała dziadków. Ich ogromna posiadłość zapraszała i kusiała wszystkimi możliwymi atrakcjami, jakie mogłyby wpaść do głowy dziecku. Dlatego była tak nieszczęśliwa, gdy trafiła do skromnego,

dwupokojowego mieszkanca, gdzie z trudem, wśród dąsów i wiecznego popłakiwania, przeczekały zimę. Dopiero w Lake Falls powoli zapomniała o przeszłości, tak przynajmniej wydawało się jej matce. Dziewczynka bez wątpienia potrzebowała ojca, mężczyzny, który obdarzyłby ją bezwarunkową uwagą i opieką. I taki ku zdziwieniu Vic okazał się doktor Barrow.

Stosunek Obcego do Kat był zdumiewający. Traktował ją poważnie, rozmawiał jak z dorosłą, był nieszkodliwie obcesowy, lecz jednocześnie zabawny i – o co by go nigdy nie podejrzewała – ciepły.

Nie sądziła, że kiedykolwiek zobaczy, jak wampir poprawia jej córce poduszki, czyta ulubione bajki i rozmawia o filmach. Wiele z jego odzywek i sposobu zwracania się do ludzi Kat natychmiast podchwyciła – w jej ustach brzmiały zachwycająco. Gdyby Vic nie znała prawdy, musiałaby przyznać, że doktor Barrow był znakomitym psychologiem. Przywrócił jej córce radość życia, obudził ciekawość i sprawił, że w końcu poczuła się bezpieczna, dlatego bez żadnych obiekcji pozwalała im spędzać wspólnie czas, często ograniczając się tylko do milczącej asysty.

Cięzka, naładowana chłodem cisza zaczęła jej doskwierać i z ulgą przyjęła wizytę Eve, która wpadła pewnego dnia późnym wieczorem. Wydawała się czymś zaaferowana i odrobinę nieobecna, co Vic przypisała zmęczeniu, które wynikało z przepracowania. Wygodnie zrzuciła na asystentkę cały swój bałagan, bo po zamknięciu praktyki pozostało mnóstwo rzeczy do zrobienia. Eve opracowywała kartoteki doktora Kenta i nadal prowadziła doraźny punkt medyczno-opatrunkowy.

Siedziała cały dzień w przychodni, a mimo to wspaniałomyślnie zaoferowała się do pomocy przy Kat, gdyby nie jej wsparcie, nie udałoby się Vic tak szybko i sprawnie zorganizować przeniesienia córki do domu. A przecież dodatkowym obciążeniem dla tej młodej, pełnej życia kobiety musiała być ogólna atmosfera panująca w pustoszejącym miasteczku.

Na wzgórzach nie odczuwało się tak mocno wichru zmian, który zabierał po drodze kolejne rodziny, opróżniał domy i zmieniał doskonale znane miejsca w próżnię. Eve, siedząc cały czas w przychodni, widziała, co ze sobą przynosi, i pewnie nie była z tego powodu szczęśliwa.

Piły kawę pogrążone w niezobowiązującej rozmowie, gdy oczy Eve błysnęły i wyprostowała się na krześle, wystudiowanym gestem poprawiając spódnicę. Vic nie musiała się odwracać, doskonale wiedziała, że do pokoju wszedł, poprzedzany zapachem wanilii i piżma, doktor Barrow. – Kat cię prosi – powiedział do niej.

Wypadła z pokoju zadowolona, że nie musi już zabawiać swojego gościa,

bo rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Nie tego oczekiwała po tym spotkaniu.

Kat potrzebowała jej opinii w bardzo ważnej kwestii.

– Kiedy będę mogła wyjść na dwór? – zaczęła poważnie. – Doktor William powiedział, że muszę się wcześniej spytać.

Zrozumiała, do czego zmierzało pytanie i grubymi nićmi szyty kontekst. Obcy pozbył się niewygodnego świadka, aby bez przeszkód czarować Eve.

Uśmiechnęła się pod nosem, była spokojna o wynik tej rozgrywki. Po rozmowie na świętej pamięci werandzie miała pewność, że jej asystentka nie zrobi nic, aby go zachęcić do kontynuacji flirtu. Bez zastrzeżeń wierzyła w jej stanowcze „nigdy”, bo przez dwa lata wspólnej pracy dobrze ją poznała. A dopóki Eve myślała, że ona i doktor Barrow są razem, była bezpieczna.

Rozmawiała z Kat i nawet do głowy jej nie przyszło, żeby sprawdzić, co się dzieje na górze.

Pozwólmy mu się sparzyć, pomyślała z mściwą satysfakcją. Rozgrywka na piętrze widocznie nie poszła po jego myśli, bo pół godziny później zajrzała do nich wyraźnie poruszona Eve. Lekkie rumieńce, z którymi było jej do twarzy, wykwitły na policzkach, a oczy lśniły. Przeprosiła, że nie może dłużej zostać, co Vic odebrała jednoznacznie.

Aha, próbował na niej tych samych sztuczek co na mnie, pomyślała i poczuła przypływ sympatii do dziewczyny. Musiała z nim ostro postąpić.

Im obu udała się trudna sztuka ukrócenia zbyt pewnego siebie wampira o rozdmuchanym ego. A dla niej to także musiało być przykrym przeżyciem. Nie zatrzymywała jej. Eve, tak jak ona wcześniej, musiała sobie sama poradzić z emocjami.

W badaniach dokonała pewnego postępu – spowolniła proces krystalizacji. W jednej z ogrzewanych próbek krew zastygała znacznie wolniej, dając jej ponad godzinę na testy. Gdy wskaźnik temperatury rósł, krew wchodziła w stan wrzenia, gdy malał, na dnie próbówki od razu tworzył się osad – główny winowajca, ponieważ w nim ukrywały się podstępne monokryształy. Próbowala je dokładnie odsączyć, pewna, że w ten sposób powstrzyma ich dalszy rozwój. Niestety, po odwirowaniu i schłodzeniu krew nadawała się, podobnie jak pozostałe próbki, tylko do kosza.

Świtem, po wykradzionych dwóch godzinach snu, otworzyła oczy i spojrzała w okno.

Szary, listopadowy poranek ścielił się gęstą, stalową mgłą, a jej nieprzenikniona zasłona odcięła dom od reszty świata. W pokoju panowała mroczna, duszna atmosfera, jakby cień za oknem wkradł się do środka i rozgościł

na dobre zapowiadając fiasko wszystkich podejmowanych działań. Poranek przepowiadał ponury i wilgotny dzień. Właśnie taki, w którym najlepsze, co można było zrobić, to wskoczyć z powrotem pod ciepłą jeszcze kołdrę. Dzień, kiedy wszyscy wydają się okryci mgłą, posepni.

Mimo zmęczenia i głębokiej niechęci przed opuszczeniem przyjaznego łóżka, musiała wstać. Potrzebowała kolejnej porcji krwi, żeby dokończyć pewien obiecujący eksperyment. Zajrzała do sypialni Obcego. Pozornie nic się nie zmieniło, na fotelu leżała rzucona niedbale czarna koszula, na stoliku stał kubek, ale ułożona starannie pościel świadczyła, że jego właściciel tę noc spędził zupełnie gdzie indziej.

Pewnie zabrakło mu krwi, pomyślała i ogarnęło ją obrzydzenie przemieszane ze złością.

Oczami wyobraźni widziała, jak włamuje się do szpitalnego magazynu i kradnie woreczki z krwią, która mogła być potrzebna chorym pacjentom. Mimo kompromisu w sprawie odżywiania, ten proceder cały czas budził w niej wewnętrzny sprzeciw.

Nie weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i pomyślała, jak spokojne było jej życie zanim..

Za dużo było tych „zanim”. Nie pamiętała momentu, w którym naprawdę była szczęśliwa. Jedyna chwila, do której wracała w myślach z przyjemnością, był to moment, gdy po raz pierwszy ujrzała swój nowy dom.

Najpierw poczuła aromat świeżej kawy, później wyłonił się z kuchni, trzymając oburącz parujący kubek. Spojrzała na niego z takim wyrazem, że zapytał:

– Chcesz? – Swobodnie oparty o framugę podał jej parujące zbawienie.

Nie mogła odmówić. Nie potrafiłaby odmówić. Zapach podrażnił jej węch i ścisnął żołądek.

Wyciągnęła dłoń, do której włożył kubek.

– Dziękuję, pojęcia nie masz, jak bardzo jej potrzebowałam – powiedziała. – Od kiedy pijesz kawę?

– Czemu sądziłaś, że jej nie piję? – odpowiedział pytaniem.

– Tak mi się wydawało.

– Niech zgadnę. Za dużo filmów i tanich powieści?

– Możliwe.

Upiła łyk, niemal parząc sobie usta. Kawa była wspaniała.

– Co on ci zrobił? Pytanie ją zaskoczyło. – Kto?

– Twój były mąż.

– Czemu cię to interesuje?

– Z czystej ciekawości. – Spojrzał na nią beczelnie, powoli, z ironicznym uśmiechem, omiół taksującym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na włosach, które odruchowo przyglądała. – Planowałaś się wtopić w dzisiejszą pogodę?

– Co masz na myśli?

Wysoka, szczupła, o krótkich blond włosach uważała, że nie posiada żadnego z atutów kobiet w typie Eve. We własnych oczach uchodziła za wręcz nieatrakcyjną i starała ukryć się w ubraniach, zamiast podkreślać zalety figury. Nosila bezbarwne, zawsze nieco zbyt obszerne garsonki, dobierając do nich spodnie, nigdy spódnice.

Jasne, formalne bluzki zastępowała przy okazji flanelowymi koszulami, w których czuła się znakomicie. Nie malowała się i bardzo rzadko korzystała z wizyt u kosmetyczki, czując się zażenowana swoim brakiem urody Tymczasem zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak atrakcyjną jest kobietą.

Miała typowy dla wielu blondynek piękny, lekko złotawy kolor skóry, który nawet niewielka opalenizna zmieniała w ciepłą, brzoskwiniową barwę niezepsuta ingerencją kosmetyków czy solarium. Nieco krótkie, gęste włosy idealnie współgrały z wysokim czołem i prostym, szlachetnym rysunkiem nosa. Niebieskoszare oczy o migdałowym kształcie objawiały całe spektrum emocji, jakie można wyrazić wzrokiem; gdy była zamyślona, jej spojrzenie zasnuwało się lekką mgiełką, gdy górę brała złość – oczy ciemniały, rzucając pioruny. Kiedy patrzyło się w jej oczy, wydawało się, że przez ich okno można zajrzeć w głąb duszy Vic. Ponieważ miała kompleksy na tle swojej sylwetki, nieświadomie lekko się garbiła, zamiast nosić dumnie uniesioną głowę. Ze swoimi stu siedemdziesięcioma pięcioma centymetrami wzrostu i nieskazitelną figurą mogłaby zawojować niejedno męskie serce.

Najpiękniejszą jednak jej ozdobą były usta, idealne w kształcie, o zmysłowym wykroju tworzyły doskonałą oprawę dla prostych, białych zębów. Gdy patrzyła w lustro, wszystkie te atuty zamieniały się niemal automatycznie w wady, ponieważ dostrzegane pojedynczo nie odpowiadały hollywoodzkim standardom. Zamiast nieco staroświeckiej, szlachetnej w wyrazie twarzy dostrzegała za wysokie czoło, często poorane zmarszczkami, zbyt długi nos – jak u wiedźmy – uśmiech nieszczerzy i za pełne usta.

Nikt nie był jej w stanie przekonać, że jest więcej niż ładna. Były momenty, gdy zamyślona spoglądała przed siebie, a wtedy na jej twarzy malował się wyraz, jaki chętnie portretowano w minionych czasach, gdy uroda kobiet była doceniana.

Przy pierwszym spotkaniu Vic w ogóle robiła wrażenie kobiety trochę nie z tej

epoki. Każdy, kto ją poznał, czuł podświadomie, że pewnych rzeczy przy niej nie wypada, była inna od ślicznych i niekonfliktowych dziewcząt, narzucała pewien dystans oraz respekt, który nie zjednywał jej czatujących na łatwą zdobycz adoratorów.

Ten typ dziewcząt określany był przez znawców słowami „prawdziwa dama” i wiele w tym było prawdy. Sposób poruszania się, niewątpliwy wdzięk, oszczędność w gestach i sposobie wyrażania, subtelność drobnych, urokliwych szczegółów czyniły z niej osobę wyjątkową, której smak docenić mogli jedynie koneserzy.

Dla mężczyzn pokroju byłego męża zdobycie takiej kobiety było ukoronowaniem podbojów. Skromna, zupełnie nieświadoma swojej urody, a przy tym reprezentacyjna i naturalnie elegancka nadawała się jedynie na żonę, nigdy na kochankę. W obecnym świecie wszystkie te cechy spychały ją na margines, nie umiała zdobywać mężczyzn, nie potrafiła jak Eve prowadzić gier słownych i uwodzić każdego w promieniu kilometra.

Wampir uśmiechnął się. Tylko on potrafił to zrobić z tak nieskrywanym poczuciem wyższości.

– Ten nietwarzowy gołębi kolor, beżowa marynarka, biała bluzka licealistki. Próbujesz się schować w ubraniach, które mogłaby nosić twoja prababka.

– Stąd przypuszczenie, że mój były mąż był draniem? Oburzyło ją, że skrytykował jej ulubioną garsonkę, w której – jak wierzyła – wyglądała elegancko i dystyngowanie.

– Tylko kobieta dotkliwie zraniona może się w ten sposób ubierać.

– Czy ty aby nie za bardzo wczułeś się w swoją rolę?

– Bynajmniej. Każdy jest sumą swoich doświadczeń, stąd moje zainteresowanie twoimi.

– Muszę cię rozczarować, to był zwykły banał, nic ciekawego, żalony melodramat z konkursową idiotką w tle.

– To nigdy nie jest banał.

Zamyśliła się. Zaskoczyło ją, że chce mu opowiedzieć o swoim życiu. Może takie rozliczenie z przeszłością było jej potrzebne, a może liczyła na odrobinę współczucia z jego strony, bo jeśli pozna prześladowające ją koszmary, przestanie w końcu torturować nieustanną krytyką i obraźliwymi aluzjami, zrozumie, że powinien dać spokój, odpuścić oraz poskromić złośliwe uwagi. A może to mgła zasnuła jej zdrowy rozsądek i instynkt samozachowawczy.

– Dobrze – powiedziała – ale wyjaśnisz mi coś później. Sekret za sekret,

tajemnica za tajemnicę. Skinął potakująco głową.

Stali oboje w korytarzu, każde oparte o swoją framugę, a opowieść potoczyła się gładko.

Nie ubarwiała, nie dodawała komentarzy i nie wzbogacała treści łązawymi wynurzeniami o złamanym sercu. Suche fakty bez ozdobników.

Słuchał z zainteresowaniem, od czasu do czasu wtrącając celne pytania, których ona nie postawiłaby sobie nigdy w życiu.

Gdyby ktoś taki znalazł się przy mnie w tamten mroczny czas...

pomyślała, iluż błędów udałooby mi się uniknąć. Wzdrygnęła się zaskoczona, że w ogóle przyszło jej to do głowy.

Skończyła opowieść na przyjeździe do Lake Falls i zamilkła. On także milczał.

Niepotrzebne były słowa. Ze zdziwieniem odkryła, że w trakcie opowiadania wypita całą kawę i spojrzała z żalem w pusty kubek. – Powiedziałas o tym Kat? – zapytał.

– Była za mała, nie chciałam jej obarczać swoimi problemami.

– Dziecko nigdy nie jest za małe, żeby zrozumieć.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

Nie mogła się powstrzymać przed drobną złośliwością, ale miała w życiu dosyć teoretyków przeróżnej maści. Bezdzielnych – perorujących o wychowaniu, zdrowych – uczących, jak ma postępować chory, czy bogatych, wiedzących najlepiej, jak wyżyć za zasilek. Jak to powiedział kiedyś pewien mądry człowiek „Zawsze znajdują się Eskimosi, którzy wypracują dla mieszkańców Konga wskazówki, jak zachowywać się w czasie upałów”.

Złagodziła nieco swoją uwagę, dodając według niej logiczne usprawiedliwienie – Sądziłam, że tak będzie dla niej lepiej.

– Lepiej, bo bez słowa wyjaśnienia wyrwano ją z cudownej bajki, czy lepiej, bo odkryła, że ma tylko jednego rodzica?

Zatkało ją, poczuła się naprawdę głupio.

– Miała dopiero trzy lata, za mało, żeby uświadomić jej...

– Jakim palantem jest jej ojciec?

Obruszyła się, jakby to oskarżycielskie określenie było wymierzone także przeciwko niej.

– Dlaczego mówisz w ten sposób? – zaprotestowała.

– To jest twój podstawowy problem. Główny powód, przez który rozpadł się wasz związek. Nie potrafisz mówić. Owszem rozmawiasz, opowiadasz, ale nigdy nie nauczyłaś się mówić.

– Po co? Uważam, że powściągliwość jest wspaniałą cechą i umiejętnością

równocześnie – broniła zajadle swoich racji.

– Choćby tylko po to, żeby ułomni, zwykli ludzie domyślili się, co ci chodzi po głowie.

– Opowiadanie na okrągło o uczuciach, wykrzykiwanie na zewnątrz emocji niszczy wszystko i wszystkich dookoła, a niczego w gruncie rzeczy nie zmienia.

– To opowiedz mi, jak zgrywając „pannę zasznurowane usta”, uratowałaś swój związek? – zakpił.

– Myślisz, że gdybym mówiła więcej, moje małżeństwo byłoby do uratowania? Roześmiał się.

– Myślę, że w ogóle by do niego nie doszło.

– Nie możesz tego zrozumieć. – W końcu był wampirem i obce mu były jakiegokolwiek uczucia. – Byłam zakochana w Robercie. – Czyżby?

Tym razem nie droczył się z nią. Wiedział coś, czego nawet jej podświadomość nie przyjmowała do wiadomości.

– Popraw mnie, jeśli się mylę. Zahukana, trzymana w „ciemnościach” gęś odkrywa na swojej drodze zapaloną świecę, której blask może pomylić ze słońcem. Nie pomieszały ci się czasem uczucia?

– Łatwo ci osądzać – zachnęła się.

– Nie osądzam, tylko uważam, że jesteś wyjątkowo zakłamana. Gorzej, bo stworzyłaś z tego sztukę wyniesioną do poziomu artyzmu. Nazywa się to samooszukiwaniem. Nigdy nie zdobyłaś się na szczerłość wobec samej siebie?

– Nie było mi to potrzebne...

– A przydałoby się, choćby po to, żeby odkryć autentyczne uczucia i zrozumieć, kim naprawdę jesteś. – Nie – zaprotestowała.

Ta rozmowa zaczęła ją męczyć. Znowu zbaczała w niebezpieczne rejony najeżone samymi pułapkami.

– Spróbuj. Kiedyś. Może odkryjesz tam coś więcej niż tylko obowiązki, powinności i odpowiedzialność.

– A cóż innego mogę tam odkryć? – odpowiedziała z goryczą.

– Sama się przekonasz, wszystko, co mówię i tak odrzucasz dla zasady.

Uśmiechnął się. Krzywo. Był w tym naprawdę dobry. Udawało mu się tym jednym grymasem wyrażać całe spektrum uczuć i opinii.

– Skąd się bierze twoja pewność, że wiesz o mnie wszystko? Że pojedynczym komentarzem możesz mnie zmusić do przewartościowania całego życia? Że potrafisz słowami zdziałać cuda?

– Na cuda w twoim przypadku jest za późno, zresztą doskonale o tym wiesz. – Był zastanawiająco poważny. – Mrok niepodzielnie zapanował w twojej duszy

i nawet ja, okazuje się, jestem wobec niego bezradny. Tym mnie zaskoczyłaś, a wiedz, że od dawna nikomu się to nie udało. Postrzegałem cię jako dumną, niezależną kobietę o hardym, odważnym sercu. Takie nie rosną na każdej łące. Jednak nie przypuszczałem, że twoja dusza jest mroczniejsza od mojej. Zatruta. Nikt nie zdoła ci pomóc, ani „klękajcie narody” Jona, ani ja. Możesz jedynie sama próbować, chociaż jeśli będziesz nadal tkwić w swoim błogim samooszukiwaniu, nie widzę żadnych szans.

– Co masz na myśli? – Zaintrygował ją.

– Proszę cię, nie rozmawiajmy jak dzieci.

– Naprawdę nie wiem. – Nie żartowała, po raz trzeci powtarzał ten sam tekst, a ona nadal za grosz nie rozumiała, co miał na myśli.

– Nie ułatwię ci tego. I przebierz się.

– W tym jesteś podobny do mojego męża – palnęła bez zastanowienia – nie obchodzi cię, że swoimi słowami możesz kogoś zranić.

– Tylko mi nie mów, że to jest twój ulubiony – spojrzał na nią z niesmakiem – przyodziewek: chomąto, habit, bo ubranie bym tego w życiu nie nazwał.

– Jest, i to bardzo. Widzisz, tą wyśmiewaną przez ciebie powściągliwością nie można ranić, upokarzać ani niszczyć.

– Żartujesz sobie ze mnie, prawda? Twoja powściągliwość jest uwłaczająca. Leży na tej samej półce co śmierć, ale jest od niej gorsza, ponieważ obojętność uśmierca cię już za życia. Jeśli cię zraniły, lub dotknęły moje słowa, chwała mi za to. Może nie jesteś do końca stracona.

– Czy zadawanie ciosów słowami jest dobre? – Jej zdziwienie nie miało granic.

Oto najczystszy przykład pokrętej logiki wampira, pomyślała.

– Owszem – odparł bez wahania – jeśli dzięki niemu można przeniknąć do uczuć innej osoby, przebić się przez szczelny pancerz, dotknąć czułego punktu. Podobnie jest z bólem, jeśli go doświadczasz, wiesz, że żyjesz. Tylko martwi nic nie czują. Uśmiechnęła się z triumfem.

– A zatem zgadnij, kto z nas dwojga jest oschły i nieczuły?

– Kiedyś tak mi się wydawało. Dopiero spotkanie z tobą zmusiło mnie do przewartościowań. Czuję pożądanie i głód, czuję wiatr i pragnienie, a przy tym gwałtowne, niezrozumiałe współczucie w stosunku do ciebie.

Wiem, że każda z tych emocji jest w twoim przypadku nieosiągalna i odległa niczym nieznana galaktyka.

– Dlaczego tak uważasz?

– Spójrz na siebie, na zewnątrz zimna jak lód, a w środku... Może opowiesz mi,

co czułaś po naszej wspólnej przygodzie?

– Której? – udawała zbitą z tropu. Nieudolnie. Roześmiał się szczerze ubawiony.

– W tobie już nawet nie tli się ogienek, zdusiłaś go w samym zarodku.

– Bo nie rzuciłam się w twoje ramiona?

– Bo nie rzuciłaś się w moje ramiona – odpowiedział, nagle poważniejąc – to nie zdarzyło mi się od... poczekaj niech policzę – zawiesił teatralnie głos. – Nigdy.

– Zarozumiały pyszałek – powiedziała.

– Ty naprawdę nie wiesz, o co chodzi? – Jego szeroko otwarte oczy zdradzały niedowierzanie, patrzył na nią, jakby dopiero co się poznali – Nie – odpowiedziała szczerze.

Jego śmiech brzmiał w korytarzu nawet wtedy, gdy zatrzasnęły się za nim drzwi. Była pewna, że po drugiej stronie zaśmiewa się do łez. – Buc – pomyślała – pewny siebie gnojek.

Nie zauważyła, jak z niszy pod schodami oderwał się ciemny cień.

ROZDZIAŁ VIII

Nadszedł dzień wyczekiwanej wizyty Mata, który zgodnie z ustaleniami miał wpadać od czasu do czasu, aby ocenić stan swojej podopiecznej.

Od rana Vic nie mogła usiedzieć na miejscu, najpierw zagoniła całą załogę do sprzątania, później zajęła się doprowadzeniem do ładu swojego pokoju.

Jonathan zajrzał do domu i chciał jej coś powiedzieć, ale przepłoszył go rozgardiasz i Martha ze ścierką w dłoni, która stanowczo – co samo w sobie było niezwykle – rzuciła mu od progu:

– Błoci pan! Poszedł jak zmyty.

W ogólnym chaosie nikt nie zauważył, że pod dom zajechał land rover i wysiadł z niego rudowłosy doktor Mathew Harris. Niewiele brakowało, żeby w ogóle nie wszedł do domu.

Chłopcy z ekipy Jonathana wylewali właśnie zaprawę na rampę. Był to oczywiście kolejny z genialnych pomysłów ich szefa, który stwierdził, że schody będą niepraktyczne i wymyślił wygodną, szeroką rampę, po której mógł swobodnie jeździć wózek Kat.

Spłoszony zamieszaniem Mat nie bardzo wiedział, którędy może dostać się do domu. Jego telefon zastał Vic podczas zmiany pościeli. Ponieważ w domu panowała kryzysowa sytuacja i nie było gdzie szpilki wcisnąć, postanowiła na tę noc oddać mu swoją sypialnię. Gdy Kat zobaczyła, że wchodzi jej lekarz, usta same ułożyły się w podkówkę. Vic poprosiła Beth, aby czyniła honory pani domu, i sama zaczęła pocieszać córkę.

– Nie martw się, Mat przyjechał do mnie, musimy omówić wiele spraw, przy okazji chciał cię odwiedzić, bo jest zwyczajnie ciekawy, jak się czujesz.

– Nie zabierze mnie do szpitala? – odetchnęła z ulgą.

– Skąd. Co ci w ogóle przyszło do głowy. – Uśmiechnęła się uspokajająco. – Po co miałby cię zabierać, skoro lepiej się czujesz, masz doskonałą opieką i wszyscy się cieszymy, że jesteś w domu?

– Nie pojadę na badania?

– Żadnych więcej badań. – Musiała skłamać, nie było innego wyjścia.

– Obiecuję.

Pielęgniarki na widok Mata przeistoczyły się w karny i zdyscyplinowany oddział.

Beth z nosem w prowadzonym przez siebie dzienniku, zrelacjonowała wszystkie działania podjęte w ciągu minionego tygodnia. Lekarz znudzony drobiazgowo opisanymi szczegółami wyrwał się w końcu z jej szponów i z ulgą poszedł do Kat. Zbadał ją, porozmawiał chwilę, przeglądając równocześnie wyniki z rejestratorów.

Kiedy po badaniu Vic i Mat zasiedli do późnego śniadania w sypialni na górze, mężczyzna bez ogródek powiedział:

– Mam nadzieję, że pozostałaś obiektywna i nie zmyliła cię chwilowa poprawa, oboje powinniśmy być realistami – zaczął obcesowo. – Nie potrzebne są nam fantastyczne przypuszczenia, ani tym bardziej złudne oczekiwania. Wiesz, co mam na myśli. W ostatniej fazie choroby często następuje polepszenie. Chorzy odzyskują wiarę, a bliscy popadają w euforię. Wszystkim się wydaje, że groźba – poprawił się – wyrok został cofnięty. Po tym czasie nadchodzi ostatni etap. Mamy szczęście, że możemy jeszcze cieszyć się Kat, lecz zdajesz sobie sprawę, jak szybko może nadejść załamanie. Rak, szczególnie ten, nie cofa się nigdy. Tym razem także nie nastąpił cud.

– Paraliż? – powiedziała ze ściśniętym gardłem. To nie było pytanie, ale potwierdzenie.

– Właśnie, gdyby cud się zdarzył, ustąpiłoby przede wszystkim porażenie, które objawia się drżeniem ręki i opadającą powieką. On cały czas tam jest, a pozwolił o sobie na chwilę zapomnieć tylko po to, aby zaatakować ze zdwojoną siłą.

– Ile według ciebie czasu nam zostało? – zapytała, doskonale rozumiejąc, że nie był w stanie konkretnie odpowiedzieć. W końcu nie był prorokiem tylko onkologiem. Wzruszył ramionami.

– Czy później będziesz chciała ją przewieźć do szpitala? Na te ostatnie...

– Mowy nie ma – przerwała mu. – Do końca zostanie w domu.

Nie będę jej męczyć, tym bardziej że nikt nie może nam pomóc. Tu jest wszystko, czego potrzebuje.

Pokiwał głową, dając tym wyraz swojej aprobacie, a ponieważ niewiele zostało już do dodania, położył swoją dłoń na jej ręce. Milczeli.

Mam nadzieję, pomyślała rozpaczliwie, że zdążę. Mam tylko taką nadzieję.

Rozległo się pukanie i do pokoju wkroczył doktor Barrow. Przedstawił się i dosiadł z filiżanką kawy. Między nim a Matem nie wyczuwało się tego elektryzującego napięcia, jakie występowało w konfrontacji z Jonathanem. Obaj szybko znaleźli wspólny język i Vic z niedowierzaniem przysłuchiwała się rozmowie.

Wiedza medyczna doktora Barrowa oraz znajomość teorii i terminologii

psychologicznej wprawiły ją w osłupienie. Z wprawą linoskoczka balansował pomiędzy dziedzinami, ani razu nie zaliczając wpadki. Omawiali dawki leków, ustalali sposoby ich podania i ewentualne reakcje uboczne. Vic ze zdumieniem otwierała oczy. Z tego, co mówił, wynikało, że przeczytał wszystkie jej książki z zakresu medycyny i psychologii, okraszając dodatkowo podstawami farmakologii. Był naprawdę przekonujący w swojej nowej roli.

Gdy dwóch profesjonalistów żywo dyskutowało, ona odpłynęła do krainy własnych rozważań.

W badaniach dokonała kilku znaczących postępów. Sprawdziła, że za proces krystalizacji oprócz monokryształów odpowiadała temperatura, a powietrze jedynie go przyspieszało. Od kilku dni fascynowała ją pewna kwestia: Jak to było możliwe, że alchemicy potrafili wydestylować czystą krew wampira?

Przekopała się przez sterty informacji na temat alchemii, z góry odrzuciwszy wszystkie traktaty dotyczące transmutacji i sposobów uzyskiwania złota. Ówczesni, żyjący pomiędzy średniowieczem a wiekiem osiemnastym badacze, musieli poradzić sobie dostępnymi sposobami z zagadnieniem, z którym ona przy wykorzystaniu nowoczesnego sprzętu i nauki miała nie lada problem. Należało uważnie przyjrzeć się ich metodom, bo mogły ją skierować na obiecujący trop.

Poprzedniej nocy sporządziła uszczuploną listę najczęściej stosowanych przez alchemików substancji, wierząc, że któraś z nich musi neutralizować monokryształy. Odkurzyła alembik, wyjęła retorty i powróciła do wieków średnich.

Dzięki chwilowemu zatrzymaniu procesu krystalizacji, mogła dowolnie dzielić próbki. Miała już za sobą kilkanaście chybionych testów, po których okazało się, że alchemia nie była ani prostą, ani szybką drogą do osiągnięcia pozytywnych wyników. Substancji co prawda było niewiele, ale ich kombinacji, sposobów dawkowania i przetwarzania – nieskończone ilości. Dała sobie dwa dni na dalsze testy, a ponieważ Mat i tak zajął jej sypialnię, cały wolny czas chciała poświęcić eksperymentom.

Wstała, uśmiechnęła się przepraszająco i zeszła na dół. Kat oglądała swoją ulubioną bajkę, więc usiadła koło niej z opracowaniem traktatu Paracelsusa. Oczy zamykały się same przy czytaniu zawiłych przepisów, z których większość była nie tylko bzdurna, ale najprawdopodobniej śmiertelnie niebezpieczna. Miała zamiar notować nazwy stosowanych składników, lecz zmęczenie wzięło górę.

Zobaczyła siebie samą w fotelu z rozłożoną książką na kolanach. Słyszała Kat śmiejącą się z kolejnych scen, szmer rozmów z kuchni, głuchy warkot pracujących na dworze maszyn. Podeszła do drzwi tarasu, lecz nie było za nimi znajomego

widoku.

Od ciemnej, wilgotnej piwnicy oddzielała ją jedynie tafla szkła, którą odsunęła, zanurzając się w obrzydliwym smrodzie i posępnym mroku ceglanych ścian.

Trudny do sklasyfikowania odór zatykał dech. Był to amalgamat stęchlizny przesycony wyziewami ostrych chemikaliów, z których rozpoznała jedynie siarkę.

Za rogiem regału stał mężczyzna pochylony nad bulgoczącym alembikiem i bełkotał niewyraźnie pod nosem. Przysunęła się bliżej, ignorując odruch wymiotny, spowodowany spotęgowanym wyziewem wydobywającym się z ogromnej retorty.

– Każda substancja – mówił do siebie mężczyzna, skupiony na odmierzeniu kolejnych porcji przedziwnych odczynników, które dorzucał do szklanego pojemnika – jest jednością, każdą można odnaleźć zarówno w postaci kosmicznej, jak i ziemskiej, bo to, co na górze, jest i na dole. Od ziarenka piasku poprzez pył gwiazdowy jedność rządzi uniwersum. Szukając praw, należy spoglądać ku niebu, a nasiona zbierać z ziemi.

Co za bzdura, pomyślała rozbawiona tym, że jak na zamówienie, przyśniło jej się laboratorium z najprawdziwszym alchemikiem.

Wtedy mężczyzna się odwrócił. Zobaczyła starca o żywych, jasnych oczach i pomarszczonych, chudych policzkach. Przez chwilę miała wrażenie, że patrzy wprost na nią. Odwrócił się jednak z powrotem do zastawionego stołu i kierując słowa do poczerńiałej od osmaień ściany, powiedział:

– Poprzez jedność poznacie prawdziwą naturę rzeczy. To cztery pierwiastki, cztery kierunki i cztery stany materii pomogą odkryć klucz. Droga prowadzi od wielkości do małości i z małości do wielkości.

Czyjś dotyk na ramieniu omal nie doprowadził jej do zawału. Zerwała się z fotela, upuszczając na podłogę książkę. Beth położyła palec na ustach. Vic spojrzała na łóżko córki. Kat właśnie zasnęła, więc pora była udać się do laboratorium, gdzie czekało na nią wielkie wyzwanie.

Podniosła książkę i ze zdumieniem przeczytała na przypadkowo otwartej stronie zdanie: „Tak jak gwiazdy rządzą człowiekiem, tak i człowiek rządzi gwiazdami”. Zaskoczyło ją podobieństwo tego stwierdzenia do snu, który miała przed chwilą.

Zamyślona udała się wprost do domku gościnnego, otworzyła drzwi do laboratorium i usiadła na obrotowym krześle. Cztery to słowo klucz, pomyślała. Ogień powstrzymuje krzepnięcie, powietrze je przyspiesza, co zatem czyni woda i jaki jest czwarty czynnik według alchemii?

Zacząła przeglądać Internet, robiąc jednocześnie notatki. Odrzuciła z góry cały metafizyczny bełkot, skupiając się na konkretach. Sprawa wydawała się prosta – cztery stany skupienia, cztery kierunki geograficzne i cztery podstawowe substancje tworzące świat. Pozostało pytanie, jak to wszystko połączyć, aby miało sens?

Zabawa w poszukiwanie alchemicznego klucza wciągała do takiego stopnia, że kompletnie nie zauważyła upływu czasu. Natarczywy dzwonek telefonu wyrwał ją z zamyślenia i sprowadził brutalnie do rzeczywistości.

Dzwonił Jonathan, który koniecznie chciał się z nią zobaczyć. Zdenerwowałaaby się, że przerwał jej w niestosownym momencie, gdyby nie spojrzała na zegar. Dochodziła piąta. Od dwunastej tkwiła zamknięta w laboratorium przesączonym dusznymi zapachami wydobywającymi się z kilkunastu probówek.

Akurat podczas wizyty Mata musiała karygodnie zaniedbać własne dziecko.

– Ciekawe, co on sobie o mnie pomyśli? Tak czy siak mam przechlapane – powiedziała do siebie i zaczęła się spieszyć.

Kolejną godzinę zajęło jej uporządkowanie wyników i sprawdzenie każdej mieszaniny. Dopiero po szóstej, spocona i oczadziła wyszła na zewnątrz, z ulgą wciągając do płuc świeże powietrze.

Klimatyzacja w laboratorium działała bez zarzutu, ale na dwudziestu metrach kwadratowych zapach gotującej się siarki, amoniaku i innych obrzydliwych substancji pokonał najlepsze wentylatory.

Jonathan czekał na nią w kuchni. Zanim wysłuchała, co ma do powiedzenia, zajrzała do Kat, która grała ze swoim ulubionym lekarzem i Matem w bitwę morską.

Vic uspokoiła się odrobinę. Najwyraźniej mała na tyle dobrze się bawiła, że nie tylko zignorowała jej nieobecność, ale wręcz zbyła rodzicielkę krótkim:

– Już dobrze, a teraz daj mi spokój.

Usprawiedliwiona w swoich oczach Vic była gotowa wysłuchać w końcu Jonathana, który zamiast rozpocząć monolog, najpierw podał jej kubek kawy. – Masz ochotę na kanapkę? – zapytał z troską w głosie.

Od razu przypomniało jej się, dlaczego polubiła go od pierwszego wejrzenia. Zamiast odpowiedzieć kiwnęła głową potakująco. Nie była w ogóle głodna, a smród, który przyszedł za nią z laboratorium, całkowicie odbierał resztki apetytu, jednak czekała ją długa noc i na siłę powinna coś w siebie wmusić, a nie ograniczać diety tylko do papierosów oraz kawy.

Siedzieli w milczeniu, ona mordowała po kawałku wyborną kanapkę, a Jonathan bez słowa patrzył w okno.

Jak stare małżeństwo, pomyślała rozbawiona.

– Kim on jest? – zapytał i Vic serce podjechało do gardła. Odłożyła tost na talerz i zaczęła gorączkowo myśleć.

– Nie chodzi mi o ten stek bzdur, którym karmisz wszystkich dookoła, ale o to, kim naprawdę jest?

Naiwny Jonathanie, pomyślała. Gdybyś wiedział...

Zdawała sobie sprawę, że mimo gwaru w pokoju Kat, włączonego telewizora i szeptem prowadzonej rozmowy doktor Barrow słyszał każde wypowiedziane słowo, każdy oddech, jaki przecinał powietrze nie tylko w samej kuchni, ale w całym domu.

Nie mogła zaryzykować ani popełnić żadnego błędu.

– Jest więcej niż psychologiem – powiedziała ostrożnie. – Kimś szczególnym.
– Spojrzała mu w twarz, lecz nie zobaczyła tego samego błysku zrozumienia co u Eve. – Osobą dużo ważniejszą dla mnie, niż sądzisz...

Albo nie pojął sugestii, albo nie przyjął jej do wiadomości. Nie chciała powiedzieć wprost, używać górnolotnych sformułowań ani popadać w banały, bo doskonale sobie zdawała sprawę, że wyrazem twarzy prędzej czy później zdradzi swe prawdziwe uczucia.

Z kobietami takie gierki przechodzą dużo, dużo łatwiej, pomyślała z niechęcią. Nie powinna tu siedzieć, rozmawiać o Obcym, szukać wykrętów i tłumaczyć. Nie miała na to czasu.

– Jesteśmy razem od pół roku – powiedziała i zobaczyła w oczach Jonathana niedowierzanie.

Słowa „jesteśmy razem” prawie skaleczyły jej usta.

– Nikt o tym nie wie i wolałabym, żeby tak zostało.

Chciała w ramach pocieszenia dotknąć jego dłoni, ale cofnął ją nagle.

Wystraszył się, pomyślała, mój Boże Jona wystraszył się, że go dotknie.

Na myśl o tym, zrobiło jej się przykro.

– Sam teraz rozumiesz – dodała, kontynuując wyprowadzony cios. – Zależy mi na nim.

Nie mogła mu spojrzeć w oczy. Nie teraz.

Wstał bez słowa, a ona podniosła wzrok znad blatu dopiero wtedy, gdy usłyszała zamykające się za nim drzwi.

Tak w ciągu kilku minut udało mi się stracić przyjaciela, pomyślała z goryczą.

Nie chciała wchodzić do Kat, nie miała nastroju na zabawę, ale poczucie winy i obowiązku zwyciężyło. Do ósmej spędziła czas w pokoju córki, uśmiechała się i rozmawiała wesoło z oboma mężczyznami, kibicując swojemu dziecku, gdy

odnosiło spektakularne zwycięstwa nad flotami przeciwników. Później pożegnała się z Kat, odprowadziła Mata do pokoju i założyła kurtkę, gotowa wrócić do laboratorium. Doktor Barrow zatrzymał ją w drzwiach.

– Wiem, że oddałaś swój pokój – powiedział szeptem. – Możesz przespać się u mnie.

Siłą powstrzymała złośliwą ripostę, która sama cisnęła się na usta. Tym razem wygrała cudem ocalona resztką zdrowego rozsądku. Podziękowała zdawkowo i z ulgą opuściła dom.

Nareszcie mogła wrócić do swoich badań.

Co, do cholery, jest z facetami nie tak? – myślała gniewnie, idąc przez podjazd. Dlaczego nie dadzą mi spokoju? Ale nie czuła się dobrze, przypominając sobie rozmowę z Jonathanem.

Całą noc spędziła na emocjonalnej huśtawce od euforii do zwątpienia, czasem wydawało jej się, że jest o krok od dokonania przełomu, aby na widok kolejnej ciemnoczerwonej bryły popaść w otępiającą niemoc.

Próbki definitywnie skończyły jej się przed świtem. Uzupełniła notatki, uprzątnęła resztki i opadła z sił. Nie dość, że od samego rana ból przewiercał skronie, to na dodatek utknęła w martwym punkcie. Zwłokła się ze stołka, każdą cząstką dotkliwie czując trudy nieprzespanej nocy, i weszła do domu, w którym panowała kompletna cisza.

Wszyscy jeszcze spali, więc po cichu zrobiła sobie kawę i oparła ciężką głowę na blacie. Niestety, tabletki przeciwbólowe trzymała w łazience, do której aktualnie nie miała dostępu.

Głuche łupanie wywoływało falę mdłości i nawet aromat kawy działał odpychająco. Nie czuła się fizycznie zmęczona, raczej zrezygnowana i otępiała.

Obcy usiadł naprzeciwko i przyglądał się ciekawie, a jej brakło sił, żeby zareagować.

– Proponuję jeszcze raz, a odmowa bynajmniej nie postawi cię w dobrym świetle, skorzystaj z mojego pokoju. Prześpisz się i odpoczniesz – powiedział szeptem.

Nie była w stanie oprzeć się pokusie. Jego pokój wydawał się teraz przedsionkiem raj, w którym za drzwiami wisiała apteczka, a w niej wymarzone tabletki przeciwbólowe. Bez słowa wstała i zostawiwszy nieruszoną kawę, poszła na górę. Nie interesowało jej, co zrobi, czy wejdzie za nią i czy będzie próbował kolejnych prowokacji. Miała to serdecznie w nosie. Nalała sobie szklankę wody, połknęła od razu dwie tabletki i padła w ubraniu na łóżko.

Subtelnym waniliowo-leśnym zapachem przesycone były poduszki, kołdra

i cały pokój, od tej mdłej woni coraz bardziej zaczynało ją łupać w skroniach... Przyszedł do niej – gdzieś pomiędzy kolejnymi majakami i wywołał falę ściskającego serce przerażenia – krwawy demon Azdarothe. Stał na wzgórzu, a blask pełzających po nim płomieni nasycił las i niebo czerwono-złotą poświatą. Łuną płonącego zachodu.

Widziała go doskonale, czuła przenikliwy swąd spalenizny i gorąco bijące od szczytu. Zaczął schodzić w jej stronę, a ona nie miała zamiaru uciekać, zafascynowana przemianą, jaka w nim zachodziła z każdym kolejnym krokiem. Zanikały ogniste strumienie spływające po ciemnym, potężnym torsie, a ogromny łeb przyozdobiony imponującymi rogami malał, odzyskując ludzki wygląd. Szpony stały się palcami dłoni, nozdrza przestały zionąć dymem. Gdy doszedł do podnóża góry wyglądał niemal normalnie. Wysoki mężczyzna, o brązowych i długich włosach, rozwiewanych przez wiatr, ubrany w obszerną pelerynę z kapturem. Stanął przed Vic i wyciągnął długi, połyskujący srebrem miecz. Po kłindze opisanej czarnymi symbolami pełgały ogniki. Spojrzał w jej oczy, a ona zapadła się w otchłań.

Obudziła się po krótkim, niedającym odpoczynku śnie. Ból głowy nie zniknął, tylko zamienił się w tępe pulsowanie. Drażniło ją światło, denerwował unoszący się wszędzie zapach wampira.

Czekał ją ciężki dzień, w którym przez cały czas będzie się uśmiechać, rozmawiać z ludźmi, słuchać, co mają jej do powiedzenia, i marzyć o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w laboratorium.

Musiała pobrać od niego kolejną dawkę krwi, ale czuła podświadomie, że – jeśli spróbuje jednej ze swoich gier – najprawdopodobniej nie zdoła się opanować.

Wstała i na wszelki wypadek łyknęła jeszcze jedną tabletkę, przeczuwając nadchodzący atak. Była dopiero dziewiąta, śniadanie już na nią czekało, ale nie zdobyła się na przełknięcie ani kęsa.

Każdy lokator jej domu czuł się w obowiązku zapytać, jak się czuje. Muszę naprawdę źle wyglądać, pomyślała, kolejny raz zapewniając, że czuje się doskonale, tylko odrobinę boli ją głowa.

Codzienna rutyna nie została zachwiana, zanim Kat się przebudziła, miała czas na pobranie kolejnej próbki, co tym razem, ku jej zdziwieniu, odbyło się bez najmniejszych problemów.

Obcy był milczący i trochę nieobecny, co bardzo jej odpowiadało. Kiedy z nim skończyła, przejrzała i uzupełniła notatki, a później zajmowała się córką aż do dwunastej. Dopiero w czasie popołudniowej drzemki córeczki mogła

z doskoku sprawdzić wyniki badań. Od czternastej kolejne godziny upływały jej na zabawie, rozmowach, oglądaniu bajek i czytaniu.

Koło siódmej, gdy mała przygotowywała się do snu, nadeszła w końcu jej pora. Mat wyjeżdżał wieczorem. Po krótkim pożegnaniu z głębokim westchnieniem ulgi usiadła na obrotowym krześle, zewsząd otoczona kojącym błękitem i bielą.

Nareszcie była tam, gdzie być powinna, w miejscu, gdzie nadzieja mogła dokonać cudu. Otworzyła notatki i zaczęła kolejne eksperymenty. Po północy z amoku wyrwał ją telefon, spojrzała i ze zdziwieniem odkryła, że dzwoni Jonathan.

Wściekł się, czy co? – pomyślała zaintrygowana i zdenerwowana. Nie wiedział przecież o tym, że właśnie pracuje, a ich znajomość nie była na tym etapie, aby mógł sobie z błahego powodu pozwolić na wyrwanie jej ze snu. Odebrała po kolejnym natarczym sygnale.

– Jestem pod twoim domem, poświęć mi chwilę. Chciała coś powiedzieć, ale ją uprzedził. – To naprawdę ważne – dodał takim tonem, że zamiast go zrugać, zgodziła się natychmiast.

– Dobrze, poczekaj na mnie kilka minut.

Nie zadała sobie trudu posprzątania bałaganu, wyłączyła tylko palniki, schowała notatnik i zarzuciła na siebie kurtkę.

– Nie na długo – uspokajała się, włączając zamek szyfrowy i alarm – na wszelki wypadek. Okazało się że nie miała racji.

Podeszła do samochodu, w którym czekał, otworzył drzwiczki i poprosił, żeby wsiadła.

– Powinnaś o czymś wiedzieć. – Pociemniałe oczy, zaciśnięte szczęki należały do Jonathana, jakiego do tej pory nie znała. – Pojedziemy niedaleko.

Zapуścił silnik. Na każde pytanie o cel i powód nocnej przejażdżki odpowiadał jednym zdaniem:

– Sama zobaczysz – ucinając w ten sposób dyskusję.

– Nie mam czasu – próbowała oponować – cokolwiek chcesz mi pokazać, może poczekać do jutra.

Milczał. Z boku widziała tylko jego wąskie, zaciśnięte usta, świadczące o tym, że był naprawdę zły. Nie rozumiała przyczyny jego gniewu, do momentu, kiedy zatrzymali się przed domem Eve.

– Wsiądź – oznajmił tak kategorycznie, że chcąc nie chcąc, musiała posłuchać.

Zamknęła za sobą drzwiczki i już była gotowa zrobić karczemną awanturę, ale zobaczyła, że wyjętym z kieszeni kluczem otwiera drzwi i gestem zaprasza ją do środka. Położył palec na ustach i zniknął w ciemnościach korytarza. Poszła

za nim.

Słabe światło padające z otwartych na oścież drzwi wydobywało z mroku porzucone części damskiej i męskiej garderoby.

Za późno zorientowała się, co chciał jej pokazać.

W oświetlonej ciemnoczerwonymi lampkami sypialni dwoje ludzi było tak bardzo zajętych sobą, że nie zwrócili uwagi na postacie, które pojawiły się w drzwiach.

Scena była żenująca, Vic w okamgnieniu znalazła się przy wyjściu, szarpnęła za kłamkę i wzięła głęboki wdech.

Była wściekła na Jonathana, że ją tu przywiózł, na Eve, że nie umiała zapanować nad swoimi zmysłami, i na siebie, że marnuje bezcenny czas i pozwala sobą manipulować. Doskonale wiedziała, że Obcy wyczuł jej obecność, słyszał od chwili, gdy podjechali samochodem, i zapewne teraz miał niezły ubaw. Wygrał zakład, upokorzył ją, wytykając kompletną nieznaną ludzkich charakterów, ośmieszył, przy okazji spędzając interesujący wieczór w towarzystwie pięknej kobiety. Po stronie zysków wampir – chociaż raczej nie zdawał sobie z tego sprawy – powinien także zaliczyć obnażenie brzydkich cech charakteru Jonathana oraz własnego romansu z Eve.

Zapaliła papierosa, na próżno próbując się opanować. Po chwili dołączył do niej Jona, z trudem powstrzymała się, żeby go nie spoliczkować.

– To mi chciałeś pokazać? – powiedziała spokojnie, choć w środku szalał w niej wulkan. – Odwieź mnie z powrotem, chyba że chciałbyś sobie jeszcze popatrzeć. Mogę wrócić na piechotę.

– Nie traktuj mnie w ten sposób – robił wrażenie zmieszanego i zdziwionego zarazem. – Dlaczego skłamałaś, od razu widać, że nic cię z nim nie łączy ani nie łączyło?

– Odwieszysz mnie do domu, czy nie? – zapytała lodowatym głosem, nie spuszczać z niego wzroku.

Puścił ją przodem, otworzył drzwiczki i poczekał aż wsiądzie. Przez całą drogę nie odezwała się słowem, zapatrzona niewidzącym wzrokiem w szybę kompletnie ignorowała jego monolog.

– Wiedziałem od początku, że coś jest z nim nie tak, i miałem rację. Nie okazał się człowiekiem godnym zaufania, zwykły, podły uwodziciel, musiałem ci to pokazać, żebyś nie miała złudzeń. Nie mogłem pozwolić...

Tacy jak on tylko wykorzystują kobiety do swoich własnych celów. Wiem, że to był może brutalny sposób, ale powinnaś mi wybaczyć. Zrobiłem to dla twojego dobra. Przez przypadek usłyszałem kiedyś waszą rozmowę. Naiwnie powierzyłaś

mu swoje tajemnice, już wtedy powinienem zareagować, uprzedzić cię o podejrzeniach, jakie żywię w stosunku do niego. Dobrze znam takich cwaniaczków, żerujących na łatwowiernych ofiarach...

Z jego ust płynęły kolejne bzdury o tym, jak bardzo go bolało, że w tak trudnej sytuacji życiowej padła łupem pozbawionego skrupułów oszusta. Z całych sił pragnęła, żeby się po prostu zamknął. Podjechali pod dom i dopiero wtedy mu przerwała.

– Dosyć – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Koniec zlecenia. Wynoś się z mojego życia.

Nie dodała nic więcej, wysiadła, a zamiast pożegnania trzasnęła drzwiczkami.

Weszła do cichego domu, w łazience wzięła ciepłą kąpiel i poszła do łóżka. Przed oczami cały czas miała scenę, której była świadkiem.

Czuła się splugawiona tym widokiem i dlatego niesmak wziął górę nad złością.

Zdrada Eve nie bolała zbyt, zachowanie Obcego jej nie dziwiło, natomiast Jonathan...

Jeśli byłaby naprawdę zakochana w wampirze, przyjaciel zraniłby ją śmiertelnie, święcie przekonany, że ma szlachetne intencje. Obrzydliwy był sposób, w jaki to zrobił. Brutalnie i bezwzględnie. Z całym okrucieństwem uzmysłowił bezmiar naiwności, który wykazała, sądząc, że jest poza toczącymi się wokół rozgrywkami. Oczywiście było, skąd Jonathan miał klucz do domu Eve, mniej oczywistym było, jak dowiedział się o romansie tych dwojga. Najprawdopodobniej śledził jedno z nich, ale pytanie, w jakim celu? Po to, żeby uratować ją przed niewłaściwym facetem, pokazać, że kochanek puszcza się za jej plecami, gdy ona walczy o życie dziecka? Z bezwzględnością uprzytomnić, jaka jest głupia? To było zbyt prostackie. Chyba że... Jonathan stał się po prostu bezwolnym narzędziem w rękach doskonałego gracza. Ten pomysł wcale nie wydawał się jej aż tak absurdalny.

– Co on sobie myślał? – Przewracała się z boku na bok, nie mogąc wyrzucić z pamięci widoku włosów kobiety rozsypanych w nieładzie na nagim torsie Obcego. Była pewna, że spojrział na nią znad obejmujących go ramion. I czuła wstyd, bo zobaczyła w jego oczach triumf.

Jeszcze do niedawna wydawało jej się, że wymyślonym na poczekaniu doskonałym kłamstwem dostatecznie chroniła Eve, jednak nie wzięła pod uwagę siły perswazji wampira i słabości charakteru kobiety, która od zawsze dostawała to, czego chciała.

Eve była próżna i naiwna, a nie panując nad popędami, wystawiła się na śmiertelne niebezpieczeństwo, które zagościło w jej sypialni pod postacią

przystojnego „psychologa”. Vic nie miała pojęcia, jak inaczej mogłaby ją obronić.

Była zła na siebie, że nie przewidziała takiego rozwoju wypadków. Szkoda, pomyślała, że zniknął już zwyczaj zabijania posłańców, którzy przynoszą złe wiadomości.

Nie mogła zasnąć, chociaż ciało i umysł na gwałt domagały się odpoczynku. Postanowiła uspokoić myśli lekturą i wyciągnęła spod sterty szpargałów księgę brata Jakuba.

Przemogła już swoją uprzednią niechęć, wręcz była zafascynowana opowieściami łowcy wampirów. Otworzyła na pierwszym z brzegu rozdziale, ale jeśli tekst o demonach miał być środkiem nasennym, to w swoim życiu miała kilka lepszych pomysłów.

Napisany żywym, obrazowym stylem rozpalał wyobraźnię i wywoływał gęsią skórę. Przerwała czytanie i przekartkowała całość, przyglądając się kolejnym rozdziałom.

Opisane tam potwory kojarzyły jej się do tej pory tylko z chorą wyobraźnią lub mieszkańcami świata baśni. Strzygi, wilkołaki, upiory, ożywieńcy wypełzały ze swoich ciemnych nor, aby bezkarnie atakować ludzi, wyrywać im wnętrzności, rozszarpać kawałek po kawałku.

Miała ochotę się roześmiać przy opisach tych strachów z szafy, ale świadomość, że żyje pod jednym dachem z wampirem, obdzierała ją z błogiej niewiedzy i pewności siebie.

Ignorancja jest zdecydowanie niedoceniana, pomyślała, wpatrując się w niesamowitą ilustrację przedstawiającą atakującego upiora. Przeczytała podpis pod spodem, który głosił: Upiorem zawsze się staje czarownik lubo adept sztuk magicznych, któren ku ciemnym mocom zwraca swoją ciekawość. Po śmierci pokoju zaznać nie może, bo ani niebios, ani ziemia kości ni prochu jego przyjąć woli nie mają.

Przekartkowała książkę do końca i na ostatniej odkryła odręczny dopisek, który ją zaintrygował.

Mędrcom jest człek niepróżnujący w prawdy dociekaniu.

Sprawdziła i doszła do wniosku, że nie został napisany tą samą ręką co notatka o śmierci brata Jakuba.

Księga musiała kryć w sobie jakąś tajemnicę. Nikt bez powodu nie zmarnowałby strony wyśmienitego pergaminu na zdanie, które było banalne w treści i oczywiste w znaczeniu.

Na pierwszy ogień wzięła grzbiet. Za pomocą wziernika zajrzała pod skórzaną okładkę, ale nic w niej nie ukryto. Drewniane deszczułki były dokładnie oklejone

i nie dało się wyczuć żadnego zgrubienia. Ostukała je miejsce przy miejscu, lecz wszędzie dźwięk brzmiał tak samo.

Zabrała się za środek, delikatnie przeciągając po pergaminowej okleinie. Przeczucie jej nie myliło.

Ostatnia kartka naklejona na drewno nie była idealnie gładka. Pomiedzy oprawą zawiniętą do wewnątrz na szerokość kilku milimetrów a przyklejoną stroną wyraźnie można było wyczuć niewielkie zgrubienie.

Podeksycytowana poszła do łazienki po skalpel, który trzymała w apteczce. Przecięła pergamin blisko dolnej krawędzi, i pęsetką wydobyla spod niego złożoną na dwoje, cienką jak bibuła kartkę.

Ostrożnie rozłożyła ją na blacie i nachyliła lampkę, aby lepiej zobaczyć na wpół wyblakłe litery. Brat Jakub przesłał jej poprzez stulecia wiadomość.

Jeśliś księgę ową do rąk swych wziął i w słowa w niej zawarte uwierzył, winieneś do walki stanąć ze złem wszelakim, nieuchronnymi znakami niebieskimi prowadzony.

Grozę istot diabelskich poznałeś, sposoby pokonania ich takowoż, zatem, wierny mój czytelniku, mam dla cię jeszcze dwie rady.

W obręb działań sił diabelskich wchodząc i w onych kręgu pozostając, uwierz w sny swoje, zdaj się na duchowe ich przewodnictwo, posłuchaj mówiących w nich głosów, które ostrzegą cię w każdym kroku twoim i jego następstwach, albowiem siły niebieskie dały człowiekowi przewodnika, którego głos jedynie we śnie słyszalny być może. On ku drodze właściwej skieruje twe myśli, od upadku powstrzyma i w mroku ścieżkę twą oświetli.

Nie słuchaj doradców, nie ufaj wrogom, choćby język ich gładki obiecywał spełnić najskrytsze pragnienia. Większość istot, o których księga ta prawi, ma naturę przewrotną i ku nieprawości łącno człowieka zagubionego popchnąć zdoła. Na niego czyha zło, którego największym zwycięstwem jest przekonanie ludzi ciemnych, że od wieków na ziemi nie gości. Prawdę poznasz łatwo, choć skrywa ją ciemność.

Wyzbyć się musisz takowż wszelakiej nadziei, bo gdy spojrzysz w stronę piekła, śmierć stąpać będzie za tobą i druhem twym stanie się nieodłącznym. Każdy, kto choć raz ujrzał, co kryje mrok, nigdy już nie spojrzy tak samo w noc. Zło prześladować go będzie po kres dni jego, jedynie miłość do Boga i wiara siłę mogą ofiarować niezbedną w trudnym i nieustannym dziele uzdrowienia świata.

Jeśliś człkiem prawym abominację przed dotykiem księgi poczujesz, wstrętu opanować nie zdołasz, znak to niechybny, że powołaniem twym walka z siłami nieczystymi. A jeśliś odkrył pismo moje w księdze ukryte, to i mądrości ci do niej

wystarczy. Człek prawy takóž winien przed ilustracjami nie kryć swej odrazy, albowiem zaklęcia w nie wpisane moc mają potężną. Magia, której zmuszony będziesz używać, przez wielu nazywana drogą ku wiecznemu potępieniu prowadzącą na użytek celów zacnych i w imię zwycięstwa stosowana być może, za nią odpuszczenie łatwo uzyskasz, jeśli tylko głosu swego serca słuchać będziesz uważnie i na manowce nie dasz się sprowadzić. Wskazówki, jak jej używać, takóž w nich znajdziesz.

Wierzę, że Bóg twe kroki poprowadzi, aby dokończyć dzieło moje i wielu ludzi szlachetnych, którzy życie swe poświęcili na walkę z siłami ciemności.

Pamiętaj także, że szadz i pył jeno ostaną się z łez i miłości świata tego, albowiem, jako rzecz Księga, wszystko pospołu marnością jest ziemskiego padółu. Zatem cześć i chwała jedynie światłości wiekuistej są należne i w jej imię walka z mocą diabelską obowiązkiem jest, a zatem nakazem każdego człowieka. Niechaj słowa Pana cię prowadzą, a odwaga wyprostuje twe ścieżki. Podpis głosił, że list był autorstwa „nawróconego grzesznika”.

Zastygła zamyślona nad niemal przezroczystą kartką. Do tej pory intencje Obcego, który ofiarował jej księgę, wydawały się oczywiste. Był to znak dobrej woli, mówiący wprost: „Daję ci przepis, jak mnie zabić, a zatem możesz mi ufać”.

Jednak teraz sprawa nie wydawała się już tak prosta. O tym, że w okładce jest ukryta wskazówka, nie mógł nie wiedzieć, nie mógł po prostu jej przeoczyć. Nie on.

Zatem ten dar miał jeszcze jeden podtekst. Magiczne zaklęcia skuteczne w walce, próby dla przyszłego mordercy wampirów? Za dużo użytecznych rad, za dużo informacji, więc zakładając, że znał treść listu, zostawił go, aby dać jej dodatkowe narzędzia do walki z wampirami? Nauczyć zaklęć, które mogły mu wyrządzić szkodę?

Czy tylko uspić czujność, dać iluzoryczne wrażenie, że weszła w posiadanie broni zdolnej do pokonania wampirów? A może uspokoić sumienie, oburzone zawarciem diabelskiego paktu?

Chytry plan, pomyślała z rozbawieniem. Ciekawe, jak wiele z tych zaklęć jest rzeczywiście skutecznych?

Na tym etapie nie miała najmniejszego zamiaru sprawdzać. Zawsze wydawało jej się, że najprostsze rozwiązania są najskuteczniejsze, a magia do nich nie należała.

Po kolejnym odczytaniu listu doszła do wniosku, że najprawdopodobniej Obcy przebiegle użył go jako próby lojalności. Ostatecznie mogła się nie przyznać

do odkrycia. Ale wtedy wampir, widząc pociętą okładkę, zdobędzie pewność, że ona nie chce się wywiązać z zawartej umowy i szuka rozwiązań, aby pozbyć się raz na zawsze wampirów z jaskini. Jeśli zaś odda mu list, być może zyska jego zaufanie...

Położyła się świadoma, że do świtu zostało jej zaledwie dwie godziny, które musi wykorzystać na odpoczynek. Tajemnica listu brata Jakuba skutecznie odpędziła obraz Eve i Obcego oraz ukołowała nerwy, dlatego już po kilku minutach zasnęła.

Tym razem przyśniło jej się, że tkwi w samym środku lasu, na ogromnej polanie powstałej z centrycznie powalonych drzew, tworzących wokół niej rozszerzający się okrąg.

Nic jej nie chroniło, żaden krzew nie zasłaniał przed wzrokiem nadchodzącego. Czowała, że ją widzi, zwabiony zapachem krwi. Nie miała dokąd uciec, stała pośrodku nieznanego, a każdy ruch zamiast uwolnić, mógł doprowadzić ją wprost do prześladowcy.

Nie widziała go jeszcze, ale jej intuicja wiedziała o nim więcej, niż był w stanie przyjąć mózg. Niebo z ciemnogramatowego przeistaczało się w purpurowe, chmury przybrały krwistoczerwoną barwę, coraz mocniej przez zapach lasu przedzierał się swąd spalenizny i siarki.

Miała świadomość, że się zbliża, nadchodzi coraz szybciej i ona nie zdoła przed nim uciec. Była gotowa na śmierć. Nie czuła już strachu. Zanim jednak ostatecznie miało pochłonąć ją piekło, musiała poznać odpowiedzi na kilka pytań. Dlatego wbrew logice nie kuliła się za pniami, lecz stała wyprostowana, czekając na jego pojawienie.

Pierwszym sygnałem były płomienie, które buchnęły aż po horyzont, przesłaniając niebo gęstym dymem. Drugim była atmosfera grozy przepełniająca las, umilkły ptaki, nie słychać było owadów, cała natura zastygła przerażona w oczekiwaniu na jego nadejście.

Pojawił się na skraju lasu, potężniejszy i większy niż zapamiętała, jego płonąca ogniem skóra i zwieńczony rogami łeb przesłoniły największe drzewa. Oto on w swojej prawdziwej postaci – demon Azdaroht.

Ku jej zdumieniu nie przekroczył linii kręgu, ale zatrzymał się na samej jego granicy. Chciała krzyknąć.

W jaki sposób mam odebrać wiadomość? – i wtedy w jej głowie pojawiła się odpowiedź.

Obudziła się, gwałtownie łapiąc powietrze. Coś ją nagle, przestrzegając, żeby pamiętała odpowiedź, wyszarpnęło z płonącego lasu. Niestety po otwarciu oczu,

wiadomość umknęła jej z głowy.

Niech to szlag, pomyślała. Te sny mnie wykończą.

Kolejny listopadowy poranek przyniósł słotę i chłód, wystarczyło spojrzeć na lekko zamglone szyby, aby poczuć zimno, które coraz szybciej przejmowało władzę, zapowiadając rychłe nadejście prawdziwej zimy, bo listopad był tylko posłańcem mrozu, heroldem zbliżających się śnieżyc, prorokiem bieli, która na długie miesiące skuje Lake Falls i skutecznie odetnie od świata.

Stała przy oknie, przypominając sobie z bólem, jak w zeszłym roku planowały z Kat zimowe zabawy. W szaleństwie jesiennych zakupów nabyły kombinezony narciarskie i sprzęt sportowy – ekwipunek którego celem było oswojenie zimy. Dzisiaj porzucone i zakurzone rzeczy leżały gdzieś w przybudówce.

Ta zima nie niosła ze sobą radości z nadchodzących świąt ani przyjemności rozkoszowania się nieskazitelną bielą, jedynie gorycz i smutek tak głęboki, że oprócz niego nie było już miejsca na nic. Wiele myślała o tym, jak będzie wyglądać ich życie, gdy uda się znaleźć lekarstwo, ale oprócz mglistej wizji rozpieszczania Kat do granic ludzkich możliwości, nie mogła niczego innego wymyślić. Dotychczasowe przejścia kompletnie złamały jej wolę życia. Zawsze uważała, że największą bzdurą, jaką wymyślił człowiek, było stwierdzenie, iż przeciwności losu hartują charakter, a to, co nie zabija, prędzej czy później wzmacnia. Zły los łamał człowieka i upokarzał w taki sposób, że niemożliwe było z powrotem podnieść go do pionu, a przetrącony kręgosłup i podkopana psychika nie mogły nigdy stać się tym samym, czym były wcześniej. Ktoś, kogo dotknął prawdziwy dramat, nie stawał się tytanem, lecz jednym szlochającym nieszczęściem. Niczym więcej. Podświadomie oczekiwał na kolejny cios, który prędzej czy później musiał nadejść i pogrążyć go kompletnie. Gdyby Vic sama była chora, łatwiej byłoby jej się z tym pogodzić, ale głębia doskonale wiedział, kogo wybrać na ofiarę.

Po takim nokaucie nie wstaje się na ring życia i nie podnosi rękawicy, jest się zdegradowanym do roli biologicznego przetrwalnika, odliczającego dni i godziny do momentu, aż nadejdzie ukojenie.

Gehenna, którą przeżywała, na zawsze odcisnęła się w duszy mrocznym piętnem, odbierając smak i radość, zamieniając istnienie w wegetację. Takie dni jak dzisiejszy pogłębiały tylko jej depresję i zamykały w kokonie milczenia. Brak słońca, przenikliwy chłód, pochmurne, ołowiane niebo były idealnym odzwierciedleniem jej obecnych uczuć i nastroju.

Ubrała się z ociąganiem, gdyż – nawet przed sobą – wstydziła się przyznać, że

nie chce iść do Kat. Coraz ciężej było udawać dobry humor, a wymuszony uśmiech kosztował coraz więcej.

Gdy siedziała przy łóżku córki miała koszmarne poczucie winy, że nie pracuje, że nie szuka ratunku, każda zaś chwila spędzona w laboratorium, a nie przy łóżku umierającego dziecka, wydawała się nie do zniesienia.

Rozdarta między dwoma wykluczającymi się obowiązkami cały czas miała uczucie, że sumienie szarpie nią niczym chorągiewką na wietrze, nie dając chwili ukojenia.

Zeszła na dół dokładnie w momencie, gdy Kat otwierała oczy – pora najwyższa rozpocząć uśmiechem kolejny dzień.

Doktor Barrow zniknął, prawdopodobnie odsypiając nocne szaleństwa. Tymczasem w poranną krzątalinę wytyczoną przez rutynę wkraść się pewien dysonans.

Koło dziesiątej na podjeździe zatrzymał się samochód. Nie zwróciła na to uwagi, zajęta czytaniem córce, dopiero gdy otworzyły się drzwi od tarasu, podniosła wzrok i zobaczyła ducha.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy, a w gardle poczuła dławiący ucisk.

Przez zaciśnięte szczęki, wciągnęła głośno powietrze.

– Tatus! – radosny okrzyk Kat postawił na nogi cały dom, Vic zaś poczuła, że zapada się w jakąś nieokreśloną głębię.

Tylko tego brakowało, pomyślała, z trudem panując nad atakiem paniki, żeby mój dzień stał się kompletny.

Wkroczył do jej świata niczym gwiazdor filmowy. Świeża opalenizna zdradzała, że wrócił właśnie z egzotycznego wojażu, doskonale skrojony płaszcz z wielbłądziej wełny podkreślał nienaganną figurę, a lekki zarost i niedbale ułożone włosy musiały być owocem pracy renomowanego stylisty. Jej były mąż wyglądał wspaniale, bił od niego blask – mieszanina pewności siebie i zasobnego konta. Każdym najmniejszym gestem zdradzał ego rozrośnięte do granic wszechświata.

– Miałbym prośbę, gdyby jedna z pań była tak miła i przyniosła z samochodu podarunki dla Kat... Błysnął olśniewającymi zębami i kluczami z emblematem ferrari.

Nie zdziwiła się, że Dorotha podskoczyła i z uśmiechem je odebrała. Większość kobiet postąpiłaby podobnie, bo wyświadczenie przysługi komuś takiemu jak Robert, było godnym zazdrości przywilejem.

Vic poczuła falę nienawiści, bez słowa wstała z fotela, pozwalając mu się przywitać z córką, której oczy zapłonęły radością na widok dawno niewidzianego

ojca. Nie chciała nawet przez chwilę pozostawać w tym samym pomieszczeniu co on, nie chciała oddychać tym samym powietrzem, które natychmiast nabrało aromatu doskonałej wody toaletowej.

Zdjął płaszcz i nonszalanckim gestem rzucił go na fotel, na którym przed chwilą siedziała. Postanowiła mimo wszystko zachować spokój – dla dobra dziecka. Obserwowała, jak podekscytowana Dorotha wnosi kolejne paczki do domu, jak jej córka piszczy z radości na widok kolejnej rzeczy wyłaniającej się z pudeł, ale myślami była bardzo daleko od sceny, która rozgrywała się na jej oczach. Wróciła do krainy na poły zapomnianych koszmarów, gdzie istniał tylko lęk przed tym co miało nastąpić, bo przyjazd Roberta, nie mógł być przypadkowy. Nie myliła się.

Po kilkunastu emocjonujących momentach przywitania i radości dziecka z prezentów jej były mąż nie bardzo wiedział, jak ma się zachować.

Kat opowiadała coś z przejęciem, a on wyraźnie znudzony rozglądał się dookoła. Złośliwie pomyślała, że taksuje wnętrze, aby sprawdzić, na co poszły jego pieniądze. W końcu przerwał monolog swojej córce i powiedział zdanie, którego Vic bała się najbardziej.

– Za chwilę do ciebie wrócę, ale muszę najpierw porozmawiać z mamą.

Twarzyczka Kat sposepniała, bo była już na tyle mądra, że dotarło do niej subtelne lekceważenie zawarte w owym zdaniu.

Stał w drzwiach kuchni, wyraźnie dając odczuć, że oczekuje aż wszyscy oprócz byłej żony wyjdą.

Zrozumiały. Beth zamknęła się w pokoju Kat, Dorotha i Martha poszły na górę.

Zostali sami. Vic w duchu podziękowała za cienkie przepierzenie i przesuwne drzwi, które nie były dostateczną izolacją, więc musiał liczyć się ze słowami. Nie bardzo mu to odpowiadało, bo zaproponował:

– Wyjdziemy na zewnątrz?

Potrząsnęła przecząco głową. Za nic na świecie nie zostałaby z nim sama.

– Sytuacja się zmieniała. – Usiadł na krześle. Przemowa zapowiadała się na długą i bardzo dobrze przygotowaną – jesteś sama na pustkowiu z chorym dzieckiem, któremu własnymi środkami nie możesz zapewnić właściwej opieki, chciałbym z tobą rzeczowo przedyskutować propozycję, abyś na czas... – zawahał się, jakby trudno mu było wypowiedzieć te słowa, ale było to zbyt teatralne i wystudiowane – pobytu Kat przeprowadziła się z powrotem do naszego domu. Oferuję ci nieograniczony dostęp do środków finansowych, jakich będziesz potrzebowała, i najlepszych lekarzy.

– A co z Natalie? – przerwała mu. – Ona równie chętnie przyjmie pod swój

dach twoją byłą żonę z chorym dzieckiem?

– Nie jesteście już razem – powiedział bez najmniejszego drgnięcia powieki.

Był przygotowany na atak, więc sytuacja nie wyglądała dobrze. Vic nie była już naiwną dwudziestolatką, doskonale zdawała sobie sprawę, że Kat łowi każde słowo, które pada między nimi, bo jak wszystkie dzieci na świecie pragnęła mieć z powrotem oboje rodziców. Pozbycie się przez Roberta wygodnej kochanki musiało mieć ukryty cel i na pewno nie było nim dobro ich dziecka.

Zaczęła ostrożniej.

– Przeprowadzka w obecnej chwili nie wchodzi w grę, nie mogę narazić Kat na związane z tym niewygody.

– To nie jest rzeczowy argument, doskonale wiesz, że jeden telefon wystarczy, aby jeszcze dziś wylądował helikopter, który bez problemów przetransportuje ją do posiadłości Marca.

Uśmiechnęła się – zrozumiała już zasady. Babcia i dziadek domagali się, by zmusił ją do powrotu, chcieli zobaczyć wnuczkę i zapewnić sobie dobrą prasę. Nieciekawie musiało się dziać między nimi.

– Możesz przekazać Jane i Marcowi, że zawsze są tu mile widziani – kłamstwo gładko przeszło jej przez usta – a za twoją propozycję dziękuję. Nie mamy o czym dyskutować, Kat zostanie w domu.

– Czy rozważysz możliwość mojego powrotu? – Vic kompletnie to zaskoczyło, usiadła i popatrzyła na niego, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. – Moja pomoc ułatwiłaby ci te trudne chwile, wiem, że jesteś w obcym miejscu, zdana na łaskę ludzi, których nie znasz. Nadal bardzo mi zależy na tobie i dziecku. Z trudem znoszę narzucony przez ciebie dystans, chociaż rozumiem, że nie był on wyłącznie twoją winą. Niepotrzebnie pozwoliliśmy prawnikom grzebać w naszym życiu i decydować o wzajemnych kontaktach. Minęło już trochę czasu od rozvodu i zrozumiałem, jak pochopnie postąpiliśmy. Oczywiście popełnialiśmy liczne błędy, ale teraz w obliczu choroby naszego dziecka oboje powinniśmy dorosnąć i spróbować je naprawić. To jest wielka szansa dla naszego związku i nie odrzucajmy jej.

Zakłamaną sukinsyn, pomyślała.

Z trudem nad sobą panowała, do szału doprowadziło ją uporczywe stosowanie przez niego liczby mnogiej. Taki miał pewnie cel – starał się wyprowadzić ją z równowagi – i dążył do niego z takim samym uporem, jaki jego rodzinie umożliwił zbudowanie imperium. Dlatego nie pozwoliła sobie na żaden wybuch.

– Wydaje mi się – jej furia objawiła się tylko tym, że mówiła wolniej, cicho cedząc słowa – że próba odbudowania naszego związku w obecnej sytuacji jest

niemożliwa. Tak jak powiedziałaś, oboje popełniliśmy wiele błędów, niemniej to nie jest czas ani miejsce na ich wypominanie czy próby reanimowania małżeństwa. Stawiasz mnie w bardzo niezręcznym położeniu. O ile mogę ostatecznie zgodzić się na twoje wizyty i od czasu do czasu zaprosić Marca z Jane, poza tym nic innego nie wchodzi w rachubę.

– Rozważyłaś oczywiście wszystkie konsekwencje swojej odmowy? Zrobiło jej się gorąco na widok jego uśmiechu. Siedział przed nią pewny siebie zwycięzca, człowiek, który przyjechał tu nie po to, aby zobaczyć córkę, ale zadać ostateczny cios swojej eks. Sadystyczny psychol, który – póki żyje – prawdopodobnie nie da jej spokoju. Dla własnej satysfakcji i przyjemności będzie się nad nią pastwił, aż pokaże jej, kto tak naprawdę rządzi.

– Kiedy mogę się spodziewać pozwu? – zapytała spokojnie.

– Przywiozłem go ze sobą. Sędzia, jak sama rozumiesz, w tej sytuacji zdecydował się na rozprawę w tempie natychmiastowym. – Powód?

Zimna i opanowana czuła w sobie kompletną pustkę, nawet poprzednia furia gdzieś się bezpowrotnie ulotniła.

– Odrzucenie wniosku o zakazie zbliżania się.

– Oczywiście doskonale uzasadniony? – Ten niski, męski głos nie należał do Roberta.

Podniosła wzrok i ze zdumieniem zobaczyła, że w drzwiach kuchni ktoś ostentacyjnie przysłuchuje się ich rozmowie.

Tylko jego jeszcze tu brakowało, pomyślała zrezygnowana. Doktor Barrow wszedł i bez ceregieli powiedział:

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem lekarzem pana córki. Robert wstał i wyciągnął do niego dłoń, która zastygła w powietrzu.

Po raz pierwszy tego dnia poczuł się lekko zbity z tropu. Wyglądał naprawdę głupio z dłonią zawieszoną w próżni i konsternacją na twarzy.

– Powinienem przeprosić – głos Obcego zabrzmiał lodowato – że przez przypadek usłyszałem tę jakże zajmującą dyskusję i moje zdziwienie nie ma granic. Złamał pan zasadę określoną przez sąd, zlekceważył zakaz zbliżania się, z wyjątkową bezczelnością dostarczając pozew na kolejną rozprawę w sądzie? W chwili, gdy pańska córka leży ciężko chora w pokoju obok?

– Nie sądzę, żeby był to pański interes...

– Owszem, mój, ponieważ zgodnie z umową mam obowiązek dbać o stan emocjonalny pańskiej córki i żony.

– To zdecydowanie wykracza pan poza swoje kompetencje. Obrona Roberta zabrzmiała słabo i nieprzekonująco. Obcy miał w oczach coś, co sprawiło, że jej

były mąż zaczął się pocić. Doktor Barrow uśmiechnął się drapieżnie.

– Jakże się cieszę, że miałem okazję poznać pana osobiście i pogratulować doskonałego wycucia czasu, jednak z kilku powodów żaden z zamiarów, jakie żywi pan wobec byłej żony, się nie powiedzie. Jeśli nie wycofa pan pozwu, będę zmuszony zająć stanowisko w tej sprawie.

Vic patrzyła na nich i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jej mąż zmalął, wręcz skurczył się w sobie pod wpływem spojrzenia, które nawet ją przyprawiło o ciarki. Doktor Barrow swoim zwyczajem nieźle się bawił.

– Proszę mi uwierzyć na słowo, nie chce pan zrobić sobie ze mnie wroga.

Słowo „wróg” zabrzmiało w jego ustach nieprzyjemnie zgrzytliwie. Cisza, która zapadła, była ciężka jak ołów.

Z przyjemnością obserwowała Roberta wijącego się pod stalowym spojrzeniem człowieka, który potrafił złamać jego pewność siebie. Przyjechał święcie przekonany, że będzie mógł zastraszyć ją kolejną sprawą sądową, tymczasem okazało się, że nie jest sama, zdana na jego łaskę.

– Pan mi grozi? – głos Roberta zabrzmiał zbyt wysoko. Histerycznie.

– Tylko ostrzegam, że osobiście wytoczę panu sprawę o nękanie, następnie przedstawimy sędziemu opinie biegłych w sprawie pańskiej córki i doprowadzimy do rujnującej dla pana ugody. Jak sądzę, media będą zachwycone, obserwując proces, który na pewno stanie się sensacją na wiele tygodni. Oczywiście zadbam także o to, żeby Victoria nie musiała uczestniczyć w żadnej z rozpraw, bo stać mnie na wynajęcie naprawdę dobrych adwokatów, a moja opinia w tej sprawie... Może jeszcze raz powtórzę nazwisko, żeby pan je dokładnie zapamiętał. Jestem doktor William Barrow. Łatwo mnie znaleźć w każdej wyszukiwarce.

Proszę się dokładnie zastanowić, przeciwko komu pan chce walczyć, obliczyć szanse. W tej chwili możemy się bardzo grzecznie i kulturalnie rozstać, oczywiście pod warunkiem, że przeprosi pan Vic za wszystkie niezręczności, które nieopatrznie się panu wyrwały. Powinien pan także uspokoić Kat i wyjaśnić jej, dlaczego były to pańskie ostatnie odwiedziny w tym domu.

– Nie zrobię tego... – zaczął mówić Robert, ale doktor Barrow nachylił się nad stołem, a jego oczy znalazły się dokładnie naprzeciwko twarzy Roberta. Szepnął coś cicho i jej były mąż zbladł. Szarpnął się gwałtownie, jakby spojrzenie wampira go uządliło.

Gdy szedł do pokoju Kat, nie był już tym samym człowiekiem, co kilkanaście minut wcześniej, a zadowolony z siebie William rozparł się wygodnie na krześle i patrzył na nią z wyraźnym wyczekiwaniem.

– Oczekujesz podziękowań? – zapytała złowrogo.

Naprawdę była mu wdzięczna, ale jakaś przekorna część natury wzbraniała się przed podziękowaniem. Nie chciała czuć się jego dłużniczką, okazując tym samym słabość.

– Poradziłabym sobie sama.

– Jesteś niewiarygodna. – Roześmiał się szczerze. – Nie musisz mi dziękować. Robiłem to, co uważałem za stosowne. Prawdopodobnie potraktowałabyś jego słowa poważnie i zamiast skupić się nad badaniami, zaczęłabyś szukać adwokatów, a na to nie mamy czasu.

Nie zdążyła się w porę opamiętać i palnęła:

– Ty natomiast wczorajszej nocy wygospodarowałeś go aż nadto. Tylko parsknął, nadal wyraźnie rozbawiony. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na Roberta, który odarty z glorii pana i władcy, chyłkiem opuścił dom.

– Mówiłem ci, że przegrasz z kretesem. – Pewność siebie wampira była zdecydowanie irytująca. – Kobiety są bardzo przewidywalne, a ich lojalność względem siebie ograniczona. Prawo doboru naturalnego. Jednym słowem miałaś wczoraj okazję skonfrontować swoje poglądy z rzeczywistością. Nawet nie pytam, jak ci się podobało, interesuje mnie jedynie, czy spędziliście później interesujący wieczór poświęcony omawianiu konsekwencji tej zdrady?

– Nie rozmawiałam z nim na ten temat...

– A szkoda – powiedział, nagle poważniejąc. – Dowiedziałybyś się wielu interesujących rzeczy.

– Tak się składa, że niewiele spraw mnie interesuje, a już wyjątkowo nie obchodzą mnie stosunki między tobą, Jonathanem i Eve. Widzisz... – zawahała się. Z pokoju Kat dobiegały głośne dźwięki z włączonego filmu, mogła więc pozwolić sobie na rozmowę pewna, że nikt niepowołany ich nie usłyszy, a jednocześnie bezpieczna przed konsekwencjami jego nieprzewidywalnych reakcji. – Miałam wczoraj dziwny sen.

– Widzę, że awansowałem z insekta eunucha do roli osobistego psychoanalityka.

Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, jak kruchy jest lód, po którym właśnie stąpa.

– Daj mi dokończyć – łatwo nadała swoim słowom ton lekkiej irytacji.

– Śniło mi się, że byłam w jaskini...

– Wiesz, co by na to powiedział Freud? – Uśmiechnął się złośliwie. – Dzięki mnie odkrywasz głębię swoich pragnień, sięgasz do zatrzaśniętego na głucho libido i odkrywasz pierwotne popędy, które w tym przypadku, jeśli będziemy

to rozpatrywać dosłownie, są ukierunkowane na zmianę orientacji seksualnej. Pragniesz powrotu do łona nawet w formie miłości lesbijskiej, czyżby tak na ciebie podziałał widok rozpalonej żądzą Eve?

Pozwoliła mu się wygadać, gdyż potok słów odsuwał nieuniknioną burzę. Wiedziała, że rozbawiony własnymi, ironicznymi uwagami, straci czujność, co pozwoli jej zadać właściwe pytania. Z drugiej strony nie była gotowa, aby omawiać wrażenia, jakie zrobił na niej widok Eve splecionej z nim w miłosnym uścisku. Na poczekaniu wymyślała dalszy ciąg rzekomego snu...

– Było dość ciemno, ale nie na tyle, żebym nie widziała cieni, które zbliżały się od strony wejścia. Było ich wiele, a coraz więcej dochodziło, zamykając mi drogę ucieczki. Milcząca grupa ciemnych postaci odgradzała mnie od światła. Czułam podświadomie, że są groźni, chociaż żadna z postaci nie wykonała w stosunku do mnie bezpośredniego gestu...

– zawiesiła głos.

– Moja droga – znowu przybrał swój protekcyjny ton, który doprowadzał ją do białej gorączki. – Aby odczytać sen, nie trzeba geniusza. Twoja przeszłość, ludzie pokroju Roberta czy ojca blokują cię, czujesz się przez nich osaczona, zamknięta w stworzonej przez siebie jaskini powściągliwości i opanowania, ale nie jesteś tam bezpieczna. Pragniesz wyjść na zewnątrz, odzyskać wolność, porzucić złe doświadczenia i spróbować ponownie. Ofiarowuję ci swoją pomoc przy poszukiwaniach zagubionych pragnień. Wiesz doskonale, że dobry seks wyzwoli cię z jaskini, w której tkwisz, a na moje poświęcenie w tej kwestii możesz zawsze liczyć.

Zignorowała go, udając, że nie słyszała jawnej prowokacji, wpatrzona w jeden punkt wydawała się nieobecna duchem. Żeby poznać prawdę musiała zdobyć się na cierpliwość i spokój.

– I wtedy – powiedziała cicho – jeden z nich wystąpił przed grupę, powiedział kilka słów, które zapamiętałam dokładnie. Wtedy wszyscy rozstąpili się, pozwalając mi wyjść.

Zakończyła swoją bajeczkę, pewna, że ciekawość zmusi go do podjęcia tematu.

– Jak on wyglądał?

– Nie wiem – odpowiedziała. – W mroku wszystkie postacie wydawały mi się jednakowe.

– Co powiedział?

Teraz dopiero zaschło jej w gardle. Spuściła wzrok, szukając okruchów na idealnie czystym stole.

– Pomożesz mi zrozumieć?

Spojrzał na nią dziwnie i przez twarz przeleciał mu cień.

– Oczywiście. – Już się nie uśmiechał.

– Powiedział – udawała, że przywołuje tekst z zakamarków pamięci – sen ahasa mesa.

Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

Z nich dwojga, to on okazał się prawdziwym mistrzem powściągliwości. Nie zerwał się z krzesła, nie zaczął błyskać czerwienią tęczy. Kompletnie spokojny, jakby oznajmiła mu właśnie, że nadeszła pora na kawę, zapytał.

– Od dawna masz takie sny?

– Ten był pierwszy i mam nadzieję jedyny. Miałeś mi powiedzieć, co oznacza, i nie zasłaniaj się z łaski swojej Freudem, bo oboje wiemy, że podświadomość nie tworzy takich obrazów.

Zamyślił się. Nie miała pewności, czy powie prawdę, choć poznała go na tyle, żeby wiedzieć, iż łatwiej mu będzie w ogóle nie odpowiedzieć na pytanie, przesłonić je złośliwością, niż ostentacyjnie skłamać. Był doskonały w odwracaniu uwagi.

Milcząc, czekała na reakcję. Między nimi zaczęła się gra, w której stawką było zaufanie, i tylko głupiec za darmo oddałby pole.

– Jesteś pewna, że tak właśnie powiedział? Dobrze usłyszałaś?

– Nie traktuj mnie jak idiotki – okazała zniecierpliwienie, bo tego oczekiwał. – Przecież ich nie wymyśliłam.

– Kiedy ci się przyśnił?

– Odpowiesz w końcu, czy może wolisz, żebym kolejnym szantażem przyparła cię do muru?

Uśmiechnęła się mimo woli, musiała mu pokazać, jak niewielką wagę przykładła do jego taktyki unikania odpowiedzi.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Słowa, które przytoczyła, musiały mieć niebagatelne znaczenie.

Zanim zmusił ją do kombinowania, jak wydobyć z niego tłumaczenie, przekopła się przez dziesiątki informacji, setki stron i nie znalazła żadnych powiązań z jakimkolwiek współczesnym ani starożytnym językiem. Paradoksalnie, do użycia wybiegu zmusiła ją jego gwałtowna reakcja po pierwszym rzuconym słowie, z niej wywnioskowała, że niechcący dotknęła poważniejszej sprawy, niż wydawało się na początku.

Teraz musiała iść za ciosem, jeśli kiedykolwiek miała poznać sens całego zdania szeptanego przez wyznawców Azdarotha.

– „Jedna z nas” – powiedział to w taki sposób, jakby słowa z trudem

przechodziły mu przez usta. – Sen ahase mesa oznacza, że staniesz się, lub jesteś jedną z nas.

– Powiesz mi w jakim języku? – Udawiała naiwną, ale zrozumiawszy sens całego zdania, włosy zjeżyły jej się na karku.

– Najstarszym ze wszystkich – odpowiedział. – Dlatego nie mogę uwierzyć, że przed chwilą go usłyszałem. Powinniśmy ze sobą poważnie porozmawiać. Wieczorem zapraszam do mnie.

– Chętnie skorzystam – odpowiedziała zupełnie szczerze. – Uważam, że wiele powinniśmy sobie wyjaśnić.

– Twoja kolej, a więc czym chciałaś mnie przyprzeć do muru? – spytał, zmuszając do ujawnienia karty przetargowej.

– Znalazłam w twoim podarunku ciekawą notatkę, pokażę ci wieczorem.

– Wolałbym teraz.

Świetnie się maskował, a może się pomyliła w swoich przypuszczeniach i rzeczywiście nic nie wiedział o liście brata Jakuba. W milczeniu poszli na górę. Ostrożnie podała mu kruchy list i z ulgą zamknęła drzwi do swojego pokoju.

Nareszcie została sama.

Zwariowany poranek odsunął na trochę upiorne wspomnienia, pozwolił uspokoić myśli i zastanowić się rzeczowo nad wszystkim. Sytuacja gmatwała się coraz bardziej. Zawierając umowę z wampirem, zdawała sobie sprawę z konsekwencji, ale pojawiające się znaki zaczynały ją coraz bardziej przerażać.

Brat Jakub ostrzegł, że w momencie nawiązania kontaktu z mrocznymi siłami pojawią się sny. Nazwał je przewodnikami duszy. Ale nie uprzedzał, że będą to koszmary, które przychodziły do niej co noc, wprowadzając do życia dodatkową porcję grozy i zamęt. Usłyszała w nich przepowiedziane w pradawnym języku proroctwo, że stanie się jedną z przeklętych i zostanie potępiona na wieki. Nic optymistycznego. Jak zwykle.

Zeszła na dół, przez chwilę posiedziała z Kat, towarzysząc jej aż do zakończenia filmu. Kiedy dziewczynka głośnym ziewnięciem oznajmiła, że jest zmęczona, mogła w końcu wrócić do laboratorium. Tam, za stalowymi drzwiami czekało na nią niedokończone zadanie. Każdy inny problem musiał poczekać przed progiem. Wstukując sześciocyfrowy kod, pomyślała na wzór Scarlett O'Hary, że o wszystkim pomyśli jutro, nawet jeśli w jej przypadku jutro odsuwało się w bardzo odległą i nieokreśloną przyszłość.

– Muszę dokończyć to, co zaczęłam – powiedziała na głos, za świadka mając jedynie nagie ściany. – Obojętnie, czy zostanę za to przeklęta, czy nie.

Tego dnia szczęście jej dopisało. Zaczęła od dokładnego badania próbki

pobranej od siebie, wyniki zapisała w notesie i przystąpiła do analizy ogrzanej krwi wampira. I ku zaskoczeniu, pomysł, który wynikał z determinacji, okazał się obiecującym tropem. Dysponując kilkoma próbkami o różnej temperaturze, odkryła, że z każdym stopniem w dół na skali liczba płytek krwi wzrastała, aż osiągnęła wynik astronomiczny.

Okazało się, że krystalizacja krwi przebiegała zgodnie z biologią i nie była niczym innym jak tylko spotęgowanym procesem krzepnięcia. Znalezienie decydującego czynnika umożliwiło zawężenie badań do jednego obszaru.

Zegar odezwał się przeciągłym buczeniem, oznajmiając, że wraz z próbkami, skończył się także czas. Musiała iść do Kat, żeby przynajmniej na kilka ciągnących się w nieskończoność popołudniowych godzin wrócić do roli matki.

Najważniejsze było jednak, że odkryła ślad, który mógł doprowadzić do rozwiązania zagadki. Z trudem powstrzymywała własną niecierpliwość, która kazała jej bez względu na wszystko kontynuować badania. Sprzątnęła laboratorium i wyszła na podjazd, niemal zderzając się z Jonathanem.

– Musimy porozmawiać – powiedział tonem, w którym równocześnie brzmiała prośba i ponaglenie.

– Nie ma o czym – odpowiedziała, myślami będąc gdzie indziej. – Temat jest zamknięty.

Odwróciła się od niego plecami. Nie chciała, żeby poznał kod do zamka. Od wczorajszego wieczoru przestała mu ufać. – A jednak.

Złapał ją za ramię. Był naprawdę silny.

– Muszę ci powiedzieć coś ważnego.

Tak długo trzymane na wodzy nerwy poniosły ją ostatecznie.

– Powiem ci, co jest naprawdę ważne – odwróciła się na pięcie, ignorując ból, który przeszył jej rękę. – Moja córka umiera. W każdej chwili może przyjść załamanie i wtedy z dziecka zamieni się w śliniacą, niezdolną do samodzielnego oddychania istotę, wypełnioną cierpieniem, o którego skali nie masz bladego pojęcia. I ty chcesz mnie uświadamiać, co jest naprawdę ważne? Ty? – szarpnęła rękę, chcąc się uwolnić ze stalowego uścisku. – Wynajęłam cię tylko do przebudowy domu, ale nadużyłeś zaufania i bez zaproszenia wkroczyłeś w moje życie. Uzurpujesz sobie prawo do bycia kim? Moim strażnikiem? Kochankiem? Zbawicielem? Wynoś się z mojego życia.

Zaskoczony furją, która brzmiała w jej głosie, zwolnił uścisk i odsunął się o krok.

– Nie rozumiesz... – powiedział.

– Doskonale rozumiem – syknęła. – Cała ta sytuacja cię podnieca, dodaje

pieprzyku konwencjonalnym związkom, a może ukartowałaś to ze swoją eks? Eve ostrzyła sobie pazury na doktora, a ja byłam niewygodną przeszkodą, którą należało odsunąć? Dlatego mnie uwodziłeś? Okazałam się łatwym łupem, sterana nieszczęściem i samotna, rozpaczliwie czekająca na kogoś bliskiego, komu mogłabym się wypłakać w rękaw. Dostyc mam waszych chorych zagrywek. Nie obchodzi mnie, kto z kim sypia ani...

– To nie tak...

Próbował jej przerwać, lecz wypuszczony na wolność gniew, nie chciał zostać zagłuszony.

– Przyjdź za godzinę po odbiór czeku, bo jestem ci winna pieniądze za ostatnie zlecenie, dolicz do nich dodatkowe koszty i podlicz sumiennie, na ile wyceniasz swoją rolę żigolaka. Stać mnie jeszcze na uregulowanie zaciągniętych długów.

Cofnął się i pobladł. Przez chwilę miała wrażenie, że ją uderzy, ale w porę się powstrzymał. Spojrzał tylko na nią oczami pełnymi bólu.

Wiedziała, że przesadziła, pozwoliła sobie na niepotrzebne okrucieństwo, ale w jakiś niezrozumiały i perwersyjny sposób, sprawiło jej to przyjemność.

Zakończyła rozmowę, odwróciła się do niego plecami i odczekała, aż umilknie odgłos butów na żwirowej ścieżce. Jakby nic się nie stało, wróciła do domu, żeby pobawić się z Kat nowymi, wspaniałymi zabawkami.

– Dlaczego tatuś myśli, że ciągle jestem małym dzieckiem i kupił mi następne lalki?

Zbyła pytanie jakimś naprędce skleconym banałem. Od dawna oczekiwała, że kiedyś jej dziecko będzie chciało szczerze porozmawiać o ojcu. Doktor Barrow nie byłby zadowolony ze sposobu, w jaki odsuwała od siebie niewygodne tematy, lecz teraz nie miała ochoty spowiadać się Kat; przyjdzie kiedyś i na to właściwy moment.

Popołudnie upływało wyjątkowo schizofrenicznie, część mózgu była zajęta analizowaniem uzyskanych wyników, inna zastanawiała się nad czekającą ją rozmową. Wyrzuty sumienia wytykały sposób, w jaki potraktowała Jonathana, a wszystko w tym samym czasie, kiedy z uśmiechem zabawiała córkę.

Nic więc dziwnego, że wieczorem rozboleła ją głowa. Zamiast wziąć tabletki, które mimo wszystko lekko otępiły, postanowiła przeczekać atak. Musiała być gotowa, aby w każdej sekundzie, całym zdolnym do działania umysłem kontrolować przebieg rozmowy, pilnować, by przez przypadek nie wyrwało jej się o słowo za dużo.

Koło dziewiątej zastukała do znieawidzonych drzwi. Otworzył.

Ciężki zapach w pokoju ranił jej zmysły i niemal wyciskał łzy z oczu.

Usiadła w fotelu, na bok odkładając torbę ze strzykawką i próbkami. Najpierw czekało na nią zupełnie inne badanie.

– Kiedy poprosiłaś mnie o wyjaśnienie słowa adesse, nie znalazłaś go w książce... – To było stwierdzenie, a nie pytanie. – Zatem ponawiam kwestię, skąd je znałaś? – Był zbyt poważny, co nie wróżyło dobrze.

– Nie uwierzysz.

Ćmiący ból głowy zabarwiał głos rezygnacją i zmęczeniem, który sugerował, że ma dosyć podstępów i kłamstw.

– To zależy, jak wiarygodnie zabrzmie twoje tłumaczenie.

– Nie chciałam ci mówić, bo wiem, że zabrzmie to idiotycznie, ale obudziłam się pewnej nocy z tym wyrazem tkwiącym w głowie.

– I od razu pomyślałaś, że tylko ja będę wiedział, co oznacza?

– Wydawało mi się logiczne, w końcu skoro jesteś nieśmiertelny, zapewne znasz dziesiątki języków, a gdy Internet okazał się bezużyteczny, wpadłam na pomysł, że możesz być jedynym, który go wyjaśni.

Zagrała jego metodą: bądź szczerą w detalach, a przełknie wielkie kłamstwo.

– Mam ci uwierzyć? – Przyglądał jej się uważnie.

– Rób, co chcesz – odpowiedziała. Łupanie w głowie przeszło w nową fazę. Nie potrafię cię przekonać, trudno. Chciałabym się tylko dowiedzieć, jaki język przesładuje mnie w snach.

– Powiedziałaś, że pierwszy raz miałaś taki sen. Omal jej nie złapał, więc postanowiła zagrać va banque.

– Czytałeś notatkę brata Jakuba i dziwi cię to, że mam koszmary?

– Nie zamierzałaś mi o niej powiedzieć?

Poczuła się jak na przesłuchaniu i irytacja wzięła górę nad migreną.

– Oczywiście, że nie, dlatego przy pierwszej okazji ci ją dałam. Odpowiedz w końcu na moje pytanie, czy zamierzasz mnie egzaminować do świtu?

– U zarania dziejów istniało wiele gatunków istot człękkształtnych, ale wśród nich wyróżniał się jeden, który nazywano nocnymi łowcami. Z wielu powodów wybrali bowiem inny tryb życia niż twoi przodkowie, woleli polować po zachodzie słońca, gdy homo sapiens krył się w bezpiecznych jaskiniach. W ten sposób rozdzieliły się nasze drogi. Szybciej niż ludzie odkryliśmy pismo, szybciej stworzyliśmy coś, co można nazwać podwalinami cywilizacji. Zawsze było nas niewielu, lecz stanowiliśmy zbiorowość doskonałą, rządzącą się swoimi prawami i tworzącą własną kulturę. Dzięki nam zresztą twoi przodkowie wspięli się na kolejny szczebel ewolucji, bo polowaliśmy na niebezpieczne drapieżniki zagrażające waszym siedzibom. Nie bez powodu nocni łowcy określali siebie

mianem strażników. Wtedy też narodził się język, w którym przemawiają do ciebie sny. Najstarszy i święty. Wraz z powstaniem miast łowcy stali się niepotrzebni, dziwni i tajemniczy. W swoim małym mózgu człowiek wymyślił opowieści o demonach czających się w mroku oraz rozpoczął eksterminację mojego gatunku. Nie było to trudne. Rozmnażamy się powoli i rzadko, łatwo na nas polować, wykorzystując światło słoneczne. Gdy zasypialiśmy, nachodzili nasze świątynie, zabijali bezbronnych, rabowali i palili. A wszystko w imię Amona, Heliosa i kolejnych wymyślonych przez siebie bogów. Nazywali nas wtedy przekłętymi – w jego głosie zabrzmiała gorycz. – Powoli stawaliśmy się gatunkiem ginącym. Do dziś dnia pozostało nas rozpaczliwie mało, rozsianych na wszystkich kontynentach. Ukrywamy się przed wami, szukamy ratunku w ginącej szybko tradycji, próbujemy za wszelką cenę wtopić się w cywilizację. Jak do tej pory bezskutecznie. Mit krwiopijcy, bezdusznego wampira jest wieczny. Znikniemy, lecz opowieści o nas będą trwałe, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie straszył dzieci historią o potworze polującym w nocy. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz słyszałem niezmiennie od wieków brzmienie słów, dlatego chciałem się dowiedzieć, skąd je znasz.

Nie tylko opowieść zrobiła na niej piorunujące wrażenie. Smutek i żal brzmiący w głosie istoty, którą do tej pory uważała za ucieleśnienie najgorszego z koszmarów, były przejmujące. Mimowolnie poczuła drganie współczucia, wyciągnęła dłoń i położyła ją na ręce Obcego. Nie odtrącił jej ani nie podniósł wzroku.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadła Eve. Vic nigdy wcześniej nie widziała jej w takim stanie. Z rozpuszczonymi, potarganymi włosami, bez makijażu, z wypisaną na twarzy wściekłością wyglądała wręcz odpychająco.

– Jak śmiesz! – krzyknęła od progu.

Vic nie wiedziała do kogo skierowany był ten zarzut, ale skrzywiła się mimowolnie, bo piskliwy głos spotęgował nieprzyjemny ucisk w skroniach.

– Jakim prawem dobierasz się do mojego mężczyzny, ty zimna, wyrachowana suko!

Teraz zrozumiała w czyją stronę skierowana była furia, jednak paradoksalność sytuacji całkowicie odebrała jej mowę.

– Nie masz prawa wkraczać między nas. Nie dałaś mu nic. – Eve miotła się po pokoju ogarnięta gorączką. – Co ty możesz ofiarować mężczyźnie? Nawet ci na nim nie zależy, robisz to tylko dlatego, żeby mi dopiec, bo jesteś zazdrosna! – Obwieściła swoje odkrycie z triumfem w głosie. – Właśnie tak. Zazdrościsz

mi urody, młodości i tego, że faceci na mnie lecą. Żaden z nich o zdrowych zmysłach, nawet nie spojrzalby na ciebie. Przestałaś być kobietą, jesteś bryłą lodu. Z zemsty chcesz mi odebrać jedyne go mężczyznę, na którym mi zależy. – Wydawało się to prawie niemożliwe, ale zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej. – Zachowujesz się jak dziwka, twoje dziecko leży na dole, śmiertelnie chore, a ty z nim..

Tego było już zdecydowanie za wiele, Vic podniosła się z fotela i stanęła przed nią.

– Milcz – powiedziała takim tonem, że ostatnie słowo uwięzło Eve w gardle. – Nie waż się nic więcej powiedzieć.

– Bo co?

Rozszalała kobieta wyciągnęła zakrzywione palce w stronę Vic, która patrzyła na nią rozszerzonymi ze zdumienia oczami, niewiele z tego rozumiejąc.

Obcy znalazł się nagle między nimi i szepnął do Eve.

– Spokój.

Młoda kobieta, która przed chwilą gotowa była walczyć o swojego mężczyznę na śmierć i życie, zwiotczała i opuściła bezwładnie ręce.

To by było na tyle, w temacie kontroli umysłu, pomyślała Vic, a głuche dudnienie gniewu idealnie komponowało się z kolejnymi atakami bólu.

– Wyprowadź ją stąd – powiedziała zimno. – Nigdy więcej nie chcę być narażona na takie sceny.

Odwrócił się do niej i dopiero teraz mogła na niego spojrzeć. W oczach zamiast szarości błyszczała purpura, zaciśnięte szczęki uwydatniły ostrość kości policzkowych. Znała dobrze ten wyraz twarzy. Był zły. Ale to jej nie powstrzymało.

– Jeśli ta kobieta – nawet jej powieka nie zadrzała – obudziła Kat, oboje tego gorzko pożałujecie. Jesteś podobno nieśmiertelny, ale oczywiście nie mogłeś przewidzieć, jakie będą konsekwencje tego, że prześpisz się z wariatką. Twoje wybryki zaczynają drogo mnie kosztować.

– Widzę, że przyszedł czas, żebyś mnie ustawiła do pionu, tak samo jak Jonę – jego głos zabrzmiał nieprzyjemnie zgrzytliwie. – Może i mnie wręczysz czek za wykonane usługi.

– Tobie? – Udało jej się nadać swoim słowom głęboki odcień lodowej pogardy. Była w tym coraz lepsza. Praktyka czyni mistrza, pomyślała i nie mogąc się oprzeć ironii tej chwili, uśmiechnęła się dziwnie. – Uwierz mi, gdybyś chciał mi wystawić rachunek, nie wypłaciłabym się do końca życia.

– Zaczekaj tu – powiedział.

Dopiero teraz mogła spokojnie spojrzeć na otępiałą Eve. Dziwnie było obserwować kogoś będącego pod wpływem tak głębokiej hipnozy.

Ciało dziewczyny lekko drżało, wstrząsane wewnętrznymi spazmami, a twarz wyglądała, jakby wymazano z niej każdą myśl i emocję. W oczach zastygła przerażająca pustka, rozchylone usta z kropelką śliny i zapadnięte rysy mogłyby należeć bardziej do katatonika niż do osoby, która zaledwie kilka minut temu miała zamiar przejść do rękoczynów.

Boże, pomyślała Vic, jaką on dysponuje siłą woli, skoro może w ułamku sekundy zamienić człowieka w bezmyślny worek mięśni.

– Obym nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji. – Gniew wyparowywał zastąpiony przez litość.

Zjawił się tak samo nagle, jak zniknął.

– Na dole wszystko w porządku, uspokoiłem pielęgniarki, a Kat smacznie śpi – powiedział.

Czerwień w jego oczach nie pojaśniała nawet na jotę.

Wpatrzona w Eve, Vic zrozumiała, na czym polegał jej błąd. Stojący koło niej mężczyzna był i na zawsze pozostanie Obcym. Nie miał prawa robić czegoś takiego nikomu, a szczególnie kobiecie, z którą sypiał. To nie był przedstawiciel żadnego ginącego gatunku, ale najprawdziwszy drapieżnik, pozbawiony skrupułów, zimny i przerażająco potężny. Nieludzki. W tym momencie wybrała człowieczeństwo, bo to nie on zasługiwał na współczucie.

– Zabierz ją stąd – powiedziała, nie patrząc w jego stronę – i cofnij urok.

– Nie przewidziałem takiego scenariusza. – W głosie wampira zabrzmiało coś, co z wielkim trudem można było uznać za przeprosiny.

– Jasne. – Gdzieś na granicy jej pola widzenia pojawiły się blade rozbłyski. – Nie mogłeś przecież wiedzieć, jak kończą się zabawy ludzkimi uczuciami.

– Może mnie czegoś o nich nauczysz? – Wyraźnie chciał odreagować, więc swoim zwyczajem dążył do konfrontacji. – W końcu masz o nich wiedzę pełną i nieograniczoną.

– Daruj, ale nie mam czasu, siły ani ochoty na kolejną awanturę. – Natychmiast musiała wziąć tabletkę, czuła się coraz gorzej. – Pobiorę kolejną próbkę i znikam. A ty rób, co chcesz, byle nie w moim domu. Możesz także przekazać swojej – zmieniła to słowo w ustach – zazdrosnej kochance, że nie ma tu wstępu. Nigdy.

– Chcesz w takim stanie zarwać kolejną noc? – Wyraźnie zlekceważył jej słowa. Rozsiadł się na łóżku i patrzył na nią, niczym na przedziwny obiekt badawczy.

– Ustalmy jedno, to, co robię, nie jest i nigdy nie będzie twoim interesem.

Rozbłyski na zmianę z kolejnymi łupnięciami obwieszczały nadejście kryzysu. Z trudem powstrzymywała mdłości, a nogi w kolanach zaczęły drżeć niepokojąco. To był ostatni dzwonek do ewakuacji.

– Zawieź ją do domu, a jak wrócisz, wejdź do mnie, wtedy pobiorę ci krew.

Wiedziała już, że nie zdąży. Za długo zwlekała z wzięciem tabletek, ale starając się głęboko oddychać, wyszła wyprostowana z jego pokoju. Na tyle wystarczyło jej sił.

Błyskawica bólu przeszła skroń. Zaraz za drzwiami zgięła się wpół i oparła o ścianę, musiała chwilę odczekać, żeby zebrać całą energię niezbędną do pokonania czterech metrów korytarza.

W łazience czekał ratunek. Na pastylki było za późno, ale miała schowane awaryjne zastrzyki przeciwbólowe. Należało tylko do nich dotrzeć o własnych siłach.

Pot zrosił jej czoło, a wszystko dookoła przybrało odcienie szarości. Od tej pory liczyły się sekundy. Przeczekała chwilę i gdy tępięcia lekko osłabły, podjęła ostateczny wysiłek. Udało jej się dotrzeć do pokoju, zamknąć za sobą drzwi i dopiero wtedy odpłynęła w niebyt.

ROZDZIAŁ IX

Ocknęła się ze świadomością, że powinna zrobić coś ważnego. Leżała na podłodze, a zdrętwiałe mięśnie dotkliwie uzmysławiały, jak idiotycznie postąpiła, czekając do ostatniej chwili z wzięciem środków przeciwbólowych.

Takiego ataku migreny nie mogła sobie przypomnieć od dawna. Ostatni raz coś podobnego zdarzyło jej się wiele lat temu, od tej pory zawsze pamiętała o profilaktycznym zażywaniu leków.

Według znajomego neurologa jej organizm w ten sposób reagował na przedłużający się stres. Najpierw pojawiał się ucisk w skroniach, który z czasem zamieniał się w dudnienie połączone ze światłowstrętem – ostatni dzwonek do przerwania ataku. Teraz przeciągnęła fazę ostrzegawczą poza czerwoną linię i skończyła na podłodze. Z trudem rozprostowywała mięśnie, bojąc się usiąść, bo nieprzyjemny ucisk tkwił nadal w skroniach, w każdej chwili gotowy ukąsić kolejnym atakiem. Zdecydowanie nie czuła się jeszcze na tyle dobrze, aby doczołgać się o własnych siłach do łazienki, musiała odczekać, aż ból zelżeje, wtedy będzie mogła wstrzyknąć szybko działający koktajl przeciwbólowo-uspokajający. Jedyne, co w tej sytuacji sprawiało jej pociechę, to fakt, że nie zrobiła teatralnej sceny w jego pokoju.

Spojrzała w okno, noc królowała niepodzielnie, miała więc trochę czasu na dojście do siebie i powrót do laboratorium. Właśnie ta myśl przywróciła ją do przytomności – za wszelką cenę powinna skończyć badania.

Z trudem podniosła się na kolana i ostrożnie na czworakach przeszła do łazienki.

Nie zapaliła światła, wiedząc doskonale, że ostry blask żarówki podrażni wzrok. Za jedyne oświetlenie służył słaby blask lampki docierający z pokoju.

– Kto, do cholery, powiesił szafkę z lekami tak wysoko – zakląła niewybrednie i podtrzymując się sprzętów, powoli wstała.

Mogła do woli ignorować drzenie nóg, choć trudno jej było pozostać obojętną na podobny problem z dłońmi. Jakoś rozerwała foliowe opakowanie, pomagając sobie przy tym zębami i wyjęła gotową do użycia strzykawkę. Z ulgą osunęła się na przyjaźnie chłodną podłogę, ale nie mogła wbić igły. Dłonie za bardzo jej dygotały, w dodatku było zbyt ciemno; strzykawka upadła i potoczyła się w kąt.

Chciało jej się wycić. Gdyby była sama w domu, prawdopodobnie rozryczałaby

się w głos. Wszystkie wydarzenia zebrane z całego dnia, poczucie totalnej bezsilności oraz depresja po migrenie ścisnęły jej gardło i zeszkliły oczy.

Oparła głowę o drzwi szafki, zagryzła zęby. Nie mogła okazać słabości. Nie teraz.

Należało za wszelką cenę znaleźć źródło siły, żeby odpędzić nadpływającą czerń, która falami zalewała jej mózg, podsuwając obrazy, jakich nie chciała widzieć ani analizować.

Żadna pora nie była dobra na uświadomienie sobie, jak bardzo ma przechłapanie.

Wymacała w kieszeni spodni zmiętą paczkę papierosów i złamała swój własny, żelazny zakaz. Odpaliła papierosa z nadzieją, że uspokajający wpływ nikotyny pozwoli jej zapanować nad nerwami i nie dopuści do tego, aby rozkleiła się całkowicie. Zaciągnęła się głęboko i powoli, a potem z namaszczeniem wypuściła strużkę dymu.

Natychmiast powinna wstać, zapalić światło i wziąć zastrzyk, powinna iść do laboratorium i skończyć badania, powinna tolerować Obcego dla wyższego celu, powinna... Ile jeszcze razy była zmuszona powtarzać to słowo?

Załamanie nie dało się odpędzić szamańskim okadzaniem. Na policzku poczuła ciepłe krople i bezgłośnie wciągnęła powietrze. Od dawna miała wrażenie, iż balansuje na krawędzi, ale natura z całym swoim bezwstydnym szyderstwem wybrała właśnie tę chwilę, aby pokazać jej, że bezpieczną granicę dawno już zostawiła za sobą.

Z każdym dniem było gorzej. Zapadała się w sobie, zostawało jej coraz mniej, jakby rozciągana przez przeciwstawne moce, robiła się coraz cieńsza i cieńsza, bardziej odsłonięta na ciosy. A im staranniej chciała to ukryć, tym głębiej brnęła w pułapkę okrucieństwa wobec wszystkich i samej siebie.

W chwili bolesnej szczerości musiała przyznać, że wszystkie źródła jej siły wyschły dawno temu, nie miała skąd brać kolejnej dawki energii, woli walki ani chęci do życia. Pozostał tylko chłód i nienawiść.

Przypomniała sobie – tylko dla samej przyjemności poczucia czegokolwiek – wyraz twarzy Jona, pogardę, którą poczuła wobec Eve, rozmowy z Obcym, które przypominały rozdrapywanie bolących ran.

Zło, które potajemnie wpełzło do jej domu pod postacią glejaka, załęgło się także w jej duszy niczym inna, nieznaną postać raka i powoli obejmowało we władanie serce oraz mózg. Przypuszczalnie znajdzie na tyle samozaparcia, że odkryje lekarstwo dla Kat. I co wtedy? Na jaką matkę skaże swoje dziecko?

Na wpół wypalony papieros wypadł z jej dłoni, łzy obeschły na policzku,

a powieki zamknęły się, przyciągane niewidzialną siłą.

I wtedy nadeszła wizja...

Ponad jej głową rozjarzyło się miliardami gwiazd głęboko granatowe niebo. Frunęła lekko w przestrzeni, zjednoczona z całym rozciągającym się wokół uniwersum. Była jedną z nich, drobinką we wszechświecie, kometą na firmamencie, bladym światełkiem poruszającym się zgodnie z muzyką sfer niebieskich. Całkowicie oddzielona od swojej fizycznej powłoki, beztroska i szczęśliwa zrozumiała, czym naprawdę jest spokój wewnętrzny. W ułamku sekundy doznała całkowitego zespolenia z absolutem, a ten akt dał jej niewyobrażalnie głębokie poczucie spełnienia. Cichy, ciepły głos zabrzmiał w jej głowie – słuchała go z zachwytem. Był jednocześnie kojący i czuły.

– Znajdziesz w sobie to, czego potrzebujesz – powiedział – ból i cierpienie odpłyną. Aby stać się jedną z nas, musisz doznać wszystkich ludzkich emocji. To uczyni cię niezniszczalną, tak jak siła, którą czerpiesz w tej chwili.

– Kim jesteś? – zapytała. – Bogiem?

Szczery śmiech rozniósł się echem, a ona, zarażona radosną wesołością, dołączyła do niego, rozcinając pustkę niesłyszczanym wśród gwiazd dźwiękiem.

– Nie nadszedł twój czas, więc nie poznasz mojego prawdziwego oblicza. Jesteś moim dzieckiem. Wybrany i naznaczony, zasługujesz na wytchnienie.

Zastanowiły ją te słowa, ale cudowne uczucie, jakiego doznawała, odsunęło w niebyt wszelkie wątpliwości.

– Czy to czuje człowiek po śmierci? – spytała cicho.

– Nie. Tym jest za życia – odpowiedział głos. – Ale tylko nieliczni otrzymują dar zrozumienia.

– Jestem jedną z nich? – zapytała z lękiem, myśląc, że czar pryśnie, kiedy głos zrozumie, jak bardzo jest niegodna łaski.

Musiał o tym wiedzieć, że już dawno przestała się modlić, a wiarę traktowała niczym nieszkodliwe dziwactwo. A jednak teraz oddałaby wszystko, aby z powrotem stać się jego dzieckiem. W myślach obiecała sobie poprawę i przysięgła, że już nigdy nie pozwoli sobie na zwątpienie.

– Oczywiście – głos oznajmił z uspokajającą pewnością. – Nosisz przecież mój znak.

Przez chwilę nie rozumiała, ostatnie słowo zabrzmiało w jej uszach niczym zgrzytliwy dysonans, przypominając o czymś, czego nie chciała pamiętać.

– Znak? – zapytała, doskonale wiedząc, że już nie chce poznać odpowiedzi – Dzięki niemu możesz czerpać siłę, którą ci ofiaruję, odszukać spokój, gdy tego pragniesz. On otwiera dla ciebie zamknięte drzwi i prowadzi przez mrok. Dzięki

niemu pojmiesz i zrozumiesz więcej niż każdy człowiek. Ofiarowałem ci go wraz z błogosławieństwem. W potrzebie sięgaj w głąb siebie i odkrywaj jego potężną moc. Będzie dla ciebie ucieczką i pomocą, sprowadzi cię do mnie i pozwoli na wieki cieszyć się równowagą. Czyżbyś zapomniała?

Gwiazdy zamigotały na pożegnanie, czerń wokół stała się zimna i odpychająca.

Poczuła, jak coś z ogromną mocą ściąga ją z powrotem do ciała, tylko po to, aby mogła zrozumieć.

Otworzyła usta do krzyku, który nie opuścił jej gardła. Serce ścisnął potworny ból. Już wiedziała. Zobaczyła go na swoim nadgarstku wypalony czernią odcisk dłoni Azdarotha. A zatem to nie Bóg prowadził ją ku niebu, ale demon ku otchłani.

Otworzyła oczy i w stanie kompletnego szoku poderwała się na nogi. Ból głowy minął całkowicie, mięśnie odzyskały sprawność, w środku zaś lodowy supeł nie ustępował. To był pierwotny, paralizujący strach, który wyciskał powietrze z płuc, zagnieździł się w żyłach i odebrał zdolność logicznego myślenia.

Rzuciła się przed siebie i niczym bomba wpadła do pokoju Obcego. Nie zauważyła leżącej na łóżku Eve i nie zawracała sobie głowy jakimikolwiek wyjaśnieniami. Kierowana resztką zdrowego rozsądku zamknęła za sobą drzwi i starając się nie krzyczeć, zapytała:

– Kim, do ciężkiej cholery, jest Azdaroth?

Jeśli teraz próbowałby swoich sztuczek, uchylał się od odpowiedzi, była gotowa rozszarpać go gołymi rękami. Musiał dostrzec to w jej oczach, bo bez wstępnych pytań odpowiedział. – Pierwszym.

– W czym pierwszym? Jakim pierwszym? – Nawet ona słyszała w swoim głosie panikę.

– Pierwszym z nas. Ojcem. Protoplastą. Przodkiem. Wystarczy czy przeliterować?

– Chcesz powiedzieć, że Azdaroth jest wampirem? Dalej nie docierało do niej, co usłyszała.

– Kiedyś tak – odpowiedział. – Dawno temu.

– Co się z nim stało? – Strach wędrował właśnie wzdłuż jej kręgosłupa i wsączał się powoli do mózgu. Zaczynała rozumieć, a to było gorsze niż poprzednia ignorancja – Umarł – powiedział spokojnie. Doskonale wiedziała, że nie mówi całej prawdy.

– Jesteśmy niemal nieśmiertelni, jednak nie sądzę, żeby komukolwiek z nas, udało się istnieć tak długo. Natura, przeciwnicy, wypadki dokonują nieuchronnej

selekcji także wśród przedstawicieli mojego gatunku.

– Aha! – powiedziała ze złością – i właśnie dlatego stał się bogiem wampirów, bo uległ wypadkowi, naturalnie się zestarzał lub zginął w jakiejś zapomnianej rzezi.

– Miałaś sen? – bardziej oznajmił, niż zapytał.

– A skąd. – Najgorsze było to, że był jedynym jej źródłem informacji i nie mogła ot tak po prostu wytknąć mu kłamstwa, trzasnąć drzwiami i poszukać wiedzy gdzie indziej. – Czytałam prasę kobiecą i tam, pomiędzy reklamą szminki a podpasek spotkałam wzmiankę o demonie, w którego żyłach płonie wieczny ogień. Niezwykłe, prawda?

– Odpowiedziałem ci na pytanie, mogłabyś zrobić podobnie, przynajmniej przez grzeczność. – Wyraźnie unikał jej wzroku.

– Niemal odpowiedziałeś na moje pytanie, prawie udzieliłeś mi wyjaśnień. Przeliterować czy zrozumiałeś?

– Co ci się tym razem śniło?

Zabrzmiało to zdawkowo i lekceważąco, ale ciut za bardzo się starał, aby właśnie tak to odebrała.

– Nieważne.

Podjęła wyzwanie. Była po prostu ciekawa, jak zareaguje.

– Skoro wpadasz tu jak bomba, żeby się podzielić wrażeniami po swoim kolejnym śnie, oznacza, że jest dla ciebie istotny – przeholował i chyba był tego świadom, bo na pocieszenie rzucił: – Azdaroht to mit. Jeden z wielu, które wymyśliła nasza rasa, żeby ocalić tożsamość. Potrzebowaliśmy ikony, idola, do którego mogliśmy się modlić w ciężkich czasach. A on nadawał się doskonale. – Dlaczego? – zapytała.

– Jest czwarta nad ranem, jesteś pewna, że zamiast pracować nad lekiem, chcesz poświęcić resztę nocy na wysłuchiwanie starych opowieści?

– Jestem pewna – odpowiedziała bez wahania.

– Ten sen musiał być naprawdę poruszający – powiedział, uśmiechając się krzywo.

– Był. Czekam.

Nie chciała opowiadać mu swoich doznań, a nie miała czasu przygotować wymyślonej opowieści. Wzruszyła tylko ramionami i usiadła w fotelu, zasługiwała, żeby poznać prawdę.

– Dobrze. Był sobie pewien nocny łowca, nazywał się Aedrin z rodu Ewalah. Słynął z odwagi i prawego charakteru. Prowadził swoich braci na polowania, z których zawsze wracali szczęśliwi i zadowoleni, a ich sakwy wypełniały

wspaniałe łupy. Było to w czasach, kiedy wampiry nie żywiły się krwią, ale mięsem i nie były jeszcze długowieczne. Oczywiście ich tryb życia sprawiał, że w porównaniu do twoich przodków, okrytych skórą prymitywnych istot, wydawali się półbogami.

Budowali miejsca kultu, mieli swoje siedziby, a technika i narzędzia, jakich używali, dawała im znaczną przewagę podczas łowów. Pierwsi ludzie dożywali średnio dwudziestu kilku lat, moi przodkowie osiągający wiek ponad pięćdziesięciu wydawali im się prawie nieśmiertelni. Wtedy nadeszła zaraza. Mędracy uważali, że przyniosła ją przedstawicielka waszego gatunku, której nieopatrnie udzielili schronienia. Faktem jest, że dziwna choroba zaczęła zbierać straszliwe żniwo. Dzieci umierały w kołyskach, matki oszalałe z bólu wzywały pradawne bóstwa, a bezradni mężczyźni patrzyli, jak ich świat ginie, zmieciony przez tajemniczą gorączkę. Kilku z nich podjęło się trudnej misji ocalenia niedobitków i uratowania chorych. Prowadzić ich miał właśnie Aedrin. Udali się na północ w poszukiwaniu leku, a właściwie śladów zapomnianej legendy. Według kapłanów wśród gór mieszkali potomkowie bogów, istoty tak stare i mądre, że żadna tajemnica stworzenia nie była im obca, w nich pokładano jedyną nadzieję. Na północ wyruszyło dwudziestu pod wodzą Aedriny, który w imieniu swojego ludu błagał półbogów o ratunek, lecz zepsuci i egoistyczni mieszkańcy nie chcieli zdradzić tajemnicy, by pomóc przybyszom.

Aedrin zrozumiał, że ich ofiara poszła na marne, a jego lud skazany jest na powolną śmierć. Z sercem rozdartym rozpaczą wypowiedział wojnę okrutnym istotom. Bohaterski wojownik doprowadzony do ostateczności, nie miał już nic do stracenia. Gdy tylko zaszło słońce, mieszkańcy wioski zaczęli ginąć. Wtedy nadeszli bogowie wstrząśnięci rzezią swoich dzieci. Nieulekły Aedrin zginął wraz z towarzyszami, lecz jego ciało nie doczekało się godnego pochówku.

Mściwi bogowie wyrzucili zwłoki poza mury na pastwę dzikich zwierząt. Tymczasem dusza Aedriny, jak na herosa przystało, zamiast trafić do krainy pokoju i dostatku, została z niej wyrzucona, bo władał nią żądny zemsty bóg, któremu zabił syna. Poszedł zatem w otchłań, gdzie było miejsce potępionych. Przeszedł ścieżką demonów, poznał smak niewyobrażalnego cierpienia, które równocześnie dało mu mądrość i nieśmiertelność. Tam poznał odpowiedź na swoje pytanie, a ponieważ nie zapomniał o przyrzeczeniu, jakie złożył, opuszczając dom, że żywy lub martwy powróci, aby uratować umierających braci, wywalczył sobie drogę powrotną. Jego dusza odnalazła porzucone ciało. Zmartwychwstały Aedrin przybrał miano Azdarotha Pogromcy i najpierw przekazał swojemu ludowi lek, a później samotnie poszedł szukać zemsty

na starych bogach. W ten sposób przechodzi się ze świata żywych do legendy. Bardzo szybko zaczęto oddawać mu niemal boską cześć, tym bardziej że lekarstwo okazało się nadzwyczaj skuteczne...

– Bo była nim jego krew – powiedziała cicho. – Dlaczego Azdarothe pojawia się jako płonący demon?

– W otchłani jest tylko ogień. Ogień wiecznego bólu, wiecznego pożądania i głodu. Aby pokonać armię stojącą mu na drodze, stał się jednym z nich. Od czystego zła odróżnia go jedynie nieskończona miłość do swojego ludu i współczucie, które mimo niewyobrażalnych tortur, jakie mu zadawano, kazało mu pamiętać o ich krzywdzie. Masz więc do czynienia z typowym, archetypicznym przykładem poświęcenia i zmartwychwstania, jak sądzę, znasz to dobrze także w innych wersjach, bo wszystkie mity całego świata, opierają się na podobnym wzorcu.

– I Azdarothe nawiedza moje sny, bo wie że jestem niesłychanie podatna na oddziaływanie archetypów?

Nie potrafiła zapanować nad cisnącymi się na usta złośliwościami. Obcy po prostu tak na nią działał.

– Wyjaśniłbym ci więcej, jeśli raczyłabyś mnie wprowadzić w temat. Z braku pomysłu opowiedziała mu sen z ubiegłej nocy Opisała szczegółowo demona, który nie przekroczył kręgu zwałonych pni, i dodała:

– Powiedział mi, że nie mogę zmienić tego, co przeznaczone, i czeka mnie wieczne potępienie.

– To wszystko? – Nawet jeśli był zdziwiony, nie okazał tego. – Widzę, że zmartwiła cię wizja potępienia po śmierci.

– Nic a nic – odpowiedziała szczerze. – Obawiam się natomiast czegoś zupełnie innego.

Wydawał się znudzony tą rozmową, co rusz zerkał na łóżko i leżącą na nim Eve.

Sygnal był oczywisty.

– Powiesz mi? Tylko w miarę zwięźle, bo nie chcę marnować resztek nocy na czczą gadaninę.

– Wszystkie znaki na niebie i ziemi – zignorowała jego ostentacyjne ziewnięcie – wskazują, że ktoś lub coś pragnie, bym dołączyła do wybranych. Nic o tym nie wiesz? – Jeśli sugerujesz, że mam taki plan wobec ciebie, grubo się mylisz. Nie zamierzam przemienić cię w wampira, w swojej obecnej postaci jesteś zaledwie nieznośna, ale wieczność z kimś takim...

Wzdrygnął się teatralnie.

– Dajesz mi słowo? – Nie czuła się uspokojona, a wręcz przeciwnie.

– Nieuchronnie przeszliśmy do szastania słowami bez pokrycia. Jeśli nawet ci to obiecuję, uwierzysz mi? – Sam zadał pytanie i sam sobie na nie odpowiedział. – Oczywiście, że nie. Będziesz domagać się kolejnych zapewnień, przyrzeczeń i przysiąg, które i tak cię nie uspokoją, bo musiałabyś wtedy uwierzyć, że mówię prawdę, a to chyba raczej niemożliwe?

Wstał i podał jej zapomniany kuferek.

– Pora przejść do działań, słowotokiem nie wyleczysz Kat. Wyszarpnęła z jego dłoni torbę, wyjęła strzykawkę i nie starając się być delikatna, pobrała kolejną próbkę.

W jednym miał rację. Absolutnie mu nie wierzyła i cokolwiek by zrobił lub powiedział, nie mogło tego zmienić.

Gdy zamknęły się za nią drzwi laboratorium, odsunęła na bok wszystkie myśli dotyczące ich niełatwych relacji. Teraz była tylko badaczem, na którego ramionach spoczął niewyobrażalny ciężar i odpowiedzialność. Musiała wygrać wyścig z czasem, a na podliczenie kosztów nadejdzie właściwa pora.

Oby tylko było warto, pomyślała i zagłębiła się w świat czystych liczb, eleganckich analiz i jednoznacznych wyników. To był prosty sposób na zgłębienie tajemnic życia, niewymagający myślenia na wielu poziomach i przewidywania rozwiązań, których liczba sięgała nieskończoności. Ostatni trop okazał się długo szukanym kluczem. Do pełnego sukcesu potrzebowała szpiku, ale ponieważ zdobycie go było prawdą podobnie niemożliwe, musiała poradzić sobie za pomocą tego, czym dysponowała.

Hipertrombocytoza była jej znana, przyczyny powstawania także. Nareszcie znalazła się na bezpiecznym terytorium i zamiast błądzić w ciemnościach, mogła skupić się na odwróceniu lub przynajmniej zahamowaniu procesu. Usunęła wszystkie płytki i krew, mimo oziębienia, pozostała płynna. Teraz należało zbadać, jakie ma właściwości i czy nadal pozostaje superlekiem.

Obstawiona szalkami Petriego, w których mnożyły się bakterie i wirusy, zastanawiała się, jak do takiego rozwiązania doszli wieki temu alchemicy oraz, jak na litość wszystkich bogów, udało im się bez odpowiednich narzędzi usunąć mikroskopijne komórki.

Opisała badane próbki i w poczuciu doskonale spełnionego obowiązku odchyliła się na fotelu. Omal nie przepłaciła tego upadkiem, bo mimowolnie spojrzała do góry.

Zegar wiszący nad jej głową musiał być zepsuty. Za nic w świecie nie mogła dochodzić piąta, chyba że...

Poderwała się spanikowana i spojrzała na leżącą obok komórkę. Jak ostatnia idiotka wyłączyła w niej dźwięk, więc nie zobaczyła nieodebranych wiadomości i połączeń, a na ekranie migały cyfry – 4.53. Myślała gorączkowo i równocześnie porządkowała notatki. Bez względu na to, która była godzina, nie mogła sobie pozwolić na żaden błąd ani zaniedbanie. Kiedy zdyszana wpadła do domu, zanim zamknęła drzwi, zdążyła gorzko pożałować swojego pośpiechu.

W kuchni siedzieli Mark i Jane zajęci rozmową z doktorem Barrowem. W okamgnieniu dwanaście godzin spędzonych w laboratorium wydało jej się cudownym snem. Bez słowa powitania zrzuciła kurtkę i wpadła do pokoju Kat, zasuważąc za sobą starannie drzwi.

– Gdzie byłeś cały dzień, mamusiu? – w głosie dziewczynki brzmiała lekka nuta nagany. – Babcia i dziadek przyjechali, a ty zniknęłaś.

– Nie chciałam wam przeszkadzać – skłamała bez zająknięcia. – Myślałam, że chcesz się nacieszyć ich wizytą, mnie w końcu masz na co dzień.

– Ale oni się o ciebie ciągle pytali.

No to przegrywam na wszystkich frontach, pomyślała niewesoło. Jak nie skończy się procesem o zaniedbanie. I uśmiechając się niewyraźnie, powiedziała:

– A ja niekoniecznie chciałam się z nimi spotkać.

– Nie lubisz ich? – Wraz z wiekiem dociekliwość Kat stawała się coraz bardziej męcząca. – Dlaczego? Przecież babcia jest taka miła.

Postanowiła wbrew swoim obietnicom, wysilić się na szczerość.

– Mili są dla ciebie, bo jesteś ich jedyną wnuczką i bardzo cię kochają, tak jak wszyscy.

– A dla ciebie nie są?

Nic na świecie nie było w stanie powstrzymać Kat, gdy złapała świeży trop.

– Kochanie – powiedziała z obawą, że powie coś, czego przyjdzie jej gorzko żałować. – To są rodzice twojego taty. Nie moi.

Moi, pomyślała z nagłym bólem, którego się nie spodziewała, od wielu lat nie mają już córki. Wykreślili mnie ze swojego życia, jak wyrzuca się starą, niepotrzebną kartkę z kalendarza. A zawdzięczam to twoim przesympatycznym dziadkom.

– Dlatego ich nie lubisz? – spytała Kat z rozbijającą szczerością.

– Ależ lubię – odparła z przekonaniem, dodając w myślach: gdy są kilkaset kilometrów ode mnie.

– To czemu się przed nimi schowałaś?

Najwyraźniej jej nad wiek inteligentna córka uznała, że coś tu nie gra.

I miała rację.

– Nie schowałam się. – Vic uznała, że dalsze brnięcie po zdradliwym gruncie, doprowadzi do katastrofy. – Powiedzmy, że zesłam im z drogi. Kiedy rozstaliśmy się z twoim tatą, dziadkowie nie byli zbyt szczęśliwi z tego powodu, tym bardziej że zabrałam im ciebie i wywiozłam bardzo daleko. Nasze wzajemne relacje uległy ochłodzeniu. Można nawet powiedzieć, że nastąpiła w nich epoka lodowcowa.

Kat uśmiechnęła się ze zrozumieniem, te wyjaśnienia nareszcie ją przekonały i z zapałem zaczęła opowiadać o wszystkich nowościach. Zażądała, aby Vic koniecznie obejrzała prezenty i wyraziła o nich swoją opinię.

Emocje powoli opadały, nawet wizja nieuniknionego spotkania z Jane i Markiem odpływała w nieokreślony niebyt. Spokój i ciepło panujące u Kat podziały na nią rozluźniające. Mówiła coraz wolniej i ciszej, aż w końcu zamilkła. Dwie godziny snu na trzy dni zemściły się okrutnie. Oparła głowę na miękkim zagłówku i pozwoliła sobie na chwilę zamknąć oczy.

Ktoś delikatnie potrząsnął jej ramieniem. Spanikowana, z potwornymi wyrzutami sumienia zerwała się z fotela.

Doktor Barrow z uśmiechem przyłożył palec do ust, nakazując milczenie.

Kat już spała, a zatem udało jej się dziś dwukrotnie rozczarować własną córkę.

– Zabrałem ich do siebie – szepnął, a jego oddech musnął jej szyję. Wzdrygnęła się, zaskoczona tym, że odebrała to jako bardzo przyjemne odczucie. Spojrzała na niego, ale w szarych oczach nie zobaczyła ani wesołości, ani lekceważenia.

I zanim zdołała się powstrzymać, kierowana niezrozumiałym impulsem, dotknęła jego bladego policzka.

Przerazona własnym zachowaniem próbowała cofnąć rękę, ale mocno złapał ją za nadgarstek. Stał za blisko, ciężki aromat wanilii i piżma oszołomił ją i tylko w taki sposób mogła wytłumaczyć wszystko, co stało się później.

Próbowała się oswobodzić, ale w połowie gestu zawahała się i gdy uścisk zelżał, zamiast uciec na drugi koniec świata, palcem musnęła jego wargę. Poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa przeszył ją elektryzujący dreszcz, a nogi w kolanach zadrżały. Była pewna, że łomot jej serca słychać w promieniu kilometra.

Jego reakcja zaskoczyła ją kompletnie. Cofnął się o krok i puścił jej rękę.

– Musisz się przebrać – powiedział, a cały nastrój szlag trafił. Na szczęście. Wyminęła go bez słowa i weszła na górę.

Skoro tyle czekali, dziesięć minut ich nie zbawi, pomyślała skracając prosto do swojego pokoju. Zamknęła drzwi, oparła się o nie i ciężko westchnęła:

– Co ja, do licha ciężkiego, robię?

Zadała sobie pytanie, na które nie знаła odpowiedzi.

Odczekała, aż jej oddech wróci do normy, a dłonie przestaną drżeć. Weszła do łazienki, rozbierając się po drodze. Upokorzenie, którego doświadczyła, było w pełni zasłużone. Nie powinna pozwolić sobie na takie dwuznaczne i prowokujące gesty, bo naraziła się na śmieszność i obnażyła własną głupotę. A on odtrącił ją z ostentacją, na jaką zasługiwała.

– Czego się spodziewałaś, idiotko? – powiedziała do siebie ze złością. Pod prysznicem, w ramach pokuty, odkręciła kurek z lodowatą wodą i stanęła pod chłощzącym strumieniem z nadzieją, że ostudzi jej najwyraźniej przegrzane doszczętnie zwoje mózgowie. Podziałało znakomicie.

Otrzeźwiona zupełnie, trzęsąc się z zimna, ubrała się błyskawicznie, dwoma ruchami uczesała mokre włosy i rezygnując z jakiegokolwiek makijażu, była gotowa stawić czoło upiorom przeszłości.

W bojowym nastroju wparowała do apartamentu wampira bez pukania.

Zanim otworzyła drzwi, przez ułamek sekundy chciała wierzyć, że obrażeni jej zachowaniem Marc i Jane już odjechali. Niestety, jak zwykle pobożne życzenie się nie spełniały, siedzieli w trójkę i najwyraźniej wejście Vic przerwało im niezwykle zajmującą rozmowę.

– Po co przyjechaliście? – zapytała, darując sobie zbędny wstęp. Oboje się zmieszali.

– Dziwi cię to? – Pierwsza pewność siebie odzyskała Jane. – Chcieliśmy zobaczyć Kat.

– Miło z waszej strony. – Nie mogła sobie odmówić drobnej przyjemności, w końcu była u siebie. Gestem wskazała drzwi. – A zatem...

Zignorowali jej żalostną próbę wyproszenia z domu.

– Rozmawialiśmy długo z doktorem Barrowem. – Marc przejął pałeczkę. – I wiele nam wyjaśnił. Szkoda tylko, że tak późno się poznaliśmy. – Skinął w jego stronę, zawsze nienagannie uprzejmy. – Robert – zawahał się – popełnił wiele błędów, a my byliśmy ślepi. Dopiero teraz zrozumieliśmy, przez co musiałaś przejść i jak wiele jeszcze przed tobą. Uwierz mi, oddałbym wszystko, aby naprawić krzywdy, jakich doznałaś, i chciałbym wierzyć, że nie jest jeszcze za późno na odkupienie win. Zrobię, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Możesz dzwonić do nas o każdej porze dnia i nocy.

– Zatrzymaliśmy się niedaleko w hotelu, masz tu aktualne numery telefonów – dodała jej była teściowa.

Vic dostrzegła, że Jane bardzo się zmieniła, idealny makijaż nie zdołał ukryć

podkrążonych oczu, zaczerwienionych od łez oraz bladej, napiętej skóry, jakby postarzała się o dwadzieścia lat. Podobnie jak jej mąż. Czyżby powodem była choroba Kat? – pomyślała, ale od razu odrzuciła taką możliwość. Nie teraz, nie tak nagle i po tak długim czasie. Powód musiał być zupełnie inny.

– Pozwól nam być przy tobie, w tych trudnych dla nas wszystkich chwilach. – Jane o coś prosiła, a nie żądała ani narzucała. To samo w sobie było już na tyle niezwykle, że cała agresja Vic po prostu się ulotniła. Usiadła obok.

– Czego ode mnie oczekujecie?

– Że pozwolisz nam od czasu do czasu spotkać się z wnuczką. Głos Marca zdrzął i Vic mogłaby przysiąc, że usłyszała w nim głęboko ukrytą rozpacz. Takiej prośby nie wypadało odrzucić. Musiało wydarzyć się coś naprawdę złego, aby tych dwoje starych ludzi przyszło do niej po rozgrzeszenie.

– Nie będą mi przeszkadzać wasze wizyty, jeśli tylko wcześniej zadzwonicie – powiedziała ostrożnie, doskonale wiedząc, w co się pakuje.

Robiła to przede wszystkim dla Kat, która naprawdę kochała swoich dziadków.

– Rozumiemy to doskonale. – Tego wieczoru Marc przejął monopol na rozmowę, Jane w zasadzie tylko przytakiwała. I było to równocześnie dziwne i straszne – Musimy cię przeprosić za dzisiejsze wtargnięcie. Doktor Barrow wyjaśnił nam, dlaczego ta wizyta była tak niefortunna, oboje nie zdawaliśmy sobie sprawy, że cały czas walczysz o życie Kat, byliśmy pewni...

Spojrzała zaskoczona na Obcego, który tylko się do niej uśmiechnął.

– Że zrezygnowałam? To chciałeś powiedzieć?

Wydawało nam się – jej teść był zastanawiająco pokorny – że skoro najlepsi specjaliści w kraju orzekli... Nie nam oceniać szanse, w końcu to nie my jesteśmy lekarzami.

Postanowiła nie kontynuować tematu, aby nie wpaść w jakąś pułapkę. Nie mieli sobie już nic więcej do powiedzenia. Milczenie, które zapadło, było ciężkie i sztuczne, jak cała ta sytuacja.

W końcu Jane podniosła się z fotela, dając mężowi znak, że nadeszła pora pożegnania. Na odchodnym spojrzała jeszcze na doktora Barrowa i powiedziała:

– Proszę nas informować o wszystkim. Będziemy wdzięczni. Zająknęła się i Vic była pewna, że usłyszała w jej głosie z trudem powstrzymany płacz.

– Oczywiście – odpowiedział nonszalancko. – Mogą państwo na mnie liczyć.

Wyszli, a Vic chciała zrobić to samo, bo za nic nie mogła sobie wyobrazić, że zostanie z nim sam na sam. Ale okazało się to nie takie proste. Zatrzasnął jej drzwi przed samym nosem. W ten sposób utknęła, zablokowana jego ramieniem.

– Co to, do cholery, było? – zapytał i nie musiał tłumaczyć, o co mu chodzi,

ponieważ oboje doskonale wiedzieli.

– Trudno mi zdobyć się wobec nich na grzeczność. Odwróciła kota ogonem, udając, że chodzi o dziadków Kat. Nie miała na podorzędziu żadnego wytłumaczenia, dlatego pozwoliła sobie na tak intymny gest wobec niego.

– Wiesz doskonale, że nie o tym mówię. – Nie dał się łatwo zbić z tropu. – Interesuje mnie tylko, co sobie tym razem wymyśliłaś? – Lekceważenie w jego głosie było wręcz obelżywe.

W pełni sobie na to zasłużyłam, pomyślała i odpowiedziała z przekąsem.

– Nie zrozumiałaś? Chyba cię wobec tego przeceniłam. – Odwróciła się i spojrzała mu w twarz. – Powiedz mi, co się stało z Eve? Nie żeby mnie to specjalnie obchodziło, ale jestem ciekawa, czy żyje?

– O nią nie musisz się już martwić – powiedział zimno. – Dziwną doprawdy wymyśliłaś zemstę za moją rzekomą zdradę. Zaczynając taką zabawę, radzę uważaj na mój odwet.

Nic nowego – powiedziała z jawnym szyderstwem w głosie. – Od samego początku jestem przerażona, oszołomiona lękiem i sparaliżowana ze strachu.

– Widzę, że rozpaczliwie poszukujesz pretekstu, żeby renegecjować naszą umowę.

Na śmierć zapomniała o tamtej rozmowie, gdy odgrażała się, że za każdy niewłaściwy gest z jego strony, zabije jednego z uwięzionych wampirów. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że swoim zachowaniem prowokuje go, aby popełnił pomyłkę, która będzie go drogo kosztować. A wtedy zostanie za nią ukarany, zgodnie z obietnicą. Zmieszła się i spuściła wzrok.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego, naprawdę tym razem chciałam cię tylko zirytować. Bez żadnego podtekstu.

– I prawie ci się udało – powiedział.

Opuścił ramię, ale się nie odsunął, patrząc na nią dziwnie.

Zapadło milczenie, tak pełne napięcia i oczekiwania, że Vic dopiero teraz poczuła prawdziwy lęk.

Nie bała się jego, lecz siebie. Jej ciało za nic nie chciało słuchać stalowego nakazu rozsądku. Imperatywu, który nakazywał natychmiastową ucieczkę, zanim stanie się coś, czego będzie żałowała do końca życia.

– Odsuń się – powiedziała, starając się, aby zabrzmiało to możliwie zimno i odpychająco.

– Chyba coś przeoczyłem.

– Najwyraźniej – syknęła z udawaną złością i chciała go lekko odepchnąć. W tym samym momencie chłodna dłoń delikatnie przejechała po jej policzku.

– Idiotka – powiedział cicho, ale stał zdecydowanie za blisko.

Teraz każda odległość wydawała się niebezpieczna. Dla niej.

Nigdy wcześniej się tak nie czuła w pobliżu żadnego mężczyzny. Co dziwniejsze, nie czuła się tak wcześniej w jego obecności. Nie mogła tego niczym wytłumaczyć, nie miała żadnego usprawiedliwienia dla dreszczy, które wstrząsały jej wnętrzem, ani dla płytkiego, przyspieszonego oddechu.

Nie jestem idiotką – powiedziała, a resztką zdrowego rozsądku podpowiadała, że za chwilę będzie za późno na odwrót. Niewyjaśniona gorączka obejmowała powoli jej umysł i zagłuszała myśli. W akcie ostatecznej desperacji dodała: – W ten sposób przynajmniej zatrzymam cię w domu i nikomu więcej nie wyrządzisz krzywdy.

Poskutkowało. Odwrócił się do niej plecami i przeszedł pod okno.

Usiadł w fotelu i spojrzał na nią z mrozącą krew w żyłach pogardą.

– Chcesz się ze mną przespać z tego powodu?

– A jak myślałeś? – powiedziała, z trudem odzyskując równowagę, nadal miała jednak problemy ze złapaniem tchu. Rozszalałe serce próbowało sobie utorować drogę na wolność, rozrywając klatkę piersiową.

– Odrobina poświęcenia z mojej strony kupi mi spokojne sumienie. Uważam, że to doskonała transakcja.

Może z powodu oświelenia, a może wybujałej fantazji i przeżytych emocji wydawało jej się, że jego oczy się zmieniły, nabrały ciemniejszego odcienia pogłębianego purpurą. Nie było w nich odbicia uśmiechu, który pojawił się na ustach.

– Masz rację – powiedział spokojnie. – Tym na pewno kupisz sobie spokój sumienia. Rozbieraj się.

– Co?

Oszołomiona i zaskoczona spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Słyszałaś dobrze. – Jego krzywy uśmiech doprowadził ją momentalnie do furii. – Oboje doskonale rozumiemy, że bez mojej współpracy nie dokonasz transakcji.

– Oszalałeś zupełnie?

– Bynajmniej. Możesz zacząć od bluzki, tylko powoli, proszę. Poczwała się, jakby uderzył ją w twarz.

– Może innym razem.

Odwróciła się i złapała za klamkę. Była gotowa go zabić, gdyby jeszcze raz spróbował ją zatrzymać. Ale nie spróbował. Tego dnia miała naprawdę wiele szczęścia.

Wróciła do swojego pokoju, musiała się opanować, w takim stanie nie była gotowa zmierzyć się z żadnym naukowym wyzwaniem. W takim stanie mogła jedynie wziąć tabletkę uspokajającą i kolejny lodowaty prysznic, modląc się w duchu o jego skuteczność.

Dlaczego coś takiego się z nią działo? Dlaczego kompletnie straciła kontrolę nad sobą? Jedynym możliwym i sensownym wyjaśnieniem była jego zdolność wpływania na ludzkie umysły. Musiał ją zauroczyć, podobnie jak wcześniej Eve. Innego wyjaśnienia po prostu nie było. W ten sposób zmuszał ją do tego, żeby miała się przez cały czas na baczności i unikała wszelkiego sam na sam, co było nie tylko trudne, ale wręcz niemożliwe, biorąc pod uwagę ich codzienny rozkład zajęć.

Należało zatem koniecznie obmyślić plan, który pozwoliłby jej zachować bezpieczny dystans, lub załatwił opiekę niewtajemniczonych świadków. Inaczej...

Tej możliwości nie brała nawet pod uwagę.

Nie zastanawiała się, dlaczego czuje głębokie rozczarowanie i coś na kształt żalu, że mimo wszystko pozwolił jej odejść. Nie miała za wielkich szans, aby przeciwstawić się woli istoty, która jednym słowem potrafiła wprowadzić człowieka w głęboki trans i zrobić z nim wszystko, na co miała ochotę.

Przypomniała sobie jego dotyk i fala gorąca wróciła. W tamtej chwili gotowa była na całkowite zatracenie, to, co czuła, było tak intensywne i oszałamiające, że nie wyobrażała sobie, jakie jeszcze emocje mógłby wywołać kolejny gest z jego strony.

Nie powinna o tym myśleć, nie w taki sposób. Obezwładniająca słabość rozgościła się w jej brzuchu i wracając, uderzyła purpurą w policzki.

Jeszcze trochę takich dywagacji i wróć do jego pokoju, pomyślała, chcąc okiełznać rozszalałe myśli, co przyniosło wręcz odwrotny skutek.

Dopiero teraz fantazja zaniósła ją na terytoria, których nigdy nie chciała odwiedzić.

– Dosyć – powiedziała na głos i z całej siły uderzyła dłonią o marmurowy blat. Ból otrzeźwił ją na tyle, że zamiast, jak ogłupiała nastolatka stać przed lustrem i marzyć, sięgnęła po fiolkę z pastylkami uspokajającymi. Wysypała je na dłoń i po dłuższym namyśle wzięła na wszelki wypadek dwie. Tyle powinno wystarczyć, żeby mogła się skupić na swoim podstawowym obowiązku.

Ręką przetarła zaparowane lustro i to, co w nim zobaczyła, podziałało równie skutecznie jak wcześniej tępy ból.

Podkrążone, rozgorączkowane oczy, zapadnięta twarz – niechciana spuścizna po migrenie – uświadomiły jej nieprzyjemną prawdę. Wyglądała źle i staro.

I podobnie się czuła.

Doszła do wniosku, że nikt przy zdrowych zmysłach, nie miałby ochoty na kogoś takiego. Myśl, choć szczerą i bolesną, wywołała uśmiech na twarzy. Tabletki zaczęły działać.

Nie dość, że owinęła się ręcznikiem, to jeszcze narzuciła na siebie grubą szlafrok, a mokre włosy przykryła kapturem.

W przyjaznym laboratorium, które było bezpiecznie daleko od domu, czekało na nią być może rozwiązanie wszystkich problemów. Nie mogła pozwolić, aby czekało za długo.

Wyszła z łazienki i otworzyła szafę. Zaczęła przesuwając wieszaki w poszukiwaniu ulubionego swetra, gdy przebłysk intuicji kazał jej się odwrócić.

Stał tuż za nią. Już otwierała usta, żeby powiedzieć mu dosadnie, co o tym myśli, gdy mocne ramiona przesunęły ją i objęły. Była uległa oraz całkowicie podporządkowana. W końcu czekała na to cały wieczór...

Zrzucił jej kaptur i wsunął dłoń w mokre włosy. Zgodnie z jego wolą odchyliła głowę, chciała tego tak bardzo... usta miał chłodne, delikatne, ale sam pocałunek...

Był w nim nieokiełznany gniew. Odpowiedziała tajnym pragnieniem, siłą, która pozwoliła jej tak długo nad sobą panować.

Świat zaczął wirować, a ona sama zapadała się coraz głębiej. W końcu nic z niej nie pozostało oprócz pożądania, które paliło niczym ogień i wprowadzało na nowy poziom bólu, rozlewający się po całym ciele.

Jedną ręką wyplątała się z ręcznika, drugą trzymała go kurczowo za szyję, bo obezwładniająca słabość podcięła jej kolana. Miała wrażenie, że przeszkadza jej nawet skóra, która była płonąca barierą, utrudniającą pełne odczuwanie. Biegła drogą ku zatraceniu, świadoma, że nic nie jest już w stanie jej zatrzymać.

Jego pocałunki, dotyk dłoni uzmysławiały, czym jest nienasycony głód.

Zareagowała niecierpliwie, bo wiedziała, że nie jest w stanie dłużej znieść równoczesnej ekstazy i męki niespełnienia. Stała się płomieniem, od którego mógł zapłonąć cały świat.

Z trudem zauważyła, że jej stopy oderwały się od podłogi. Niósł ją na rękach, ale miała wrażenie, że szybuje w powietrzu. Kręciło jej się w głowie od nadmiaru wrażeń, bo z równoczesną utratą zdolności racjonalnego myślenia, zastąpiły ją wyostrome do nieprawdopodobieństwa zmysły.

Czuła go wszystkimi komórkami ciała, jej palce musiały go dotykać, to było ważniejsze niż oddychanie. A gdy jego usta odkryły delikatne miejsce na szyi, krzyknęła cicho. Nic już nie miało znaczenia.

Nagle wszystko się skończyło. Zniknęły ramiona, w których utonęła, zniknął ciężar wyznaczający jej kształt, a razem z nimi zniknęło całe powietrze z płuc.

To gorsze niż śmierć, pomyślała z rozdzierającym bólem w okolicach serca. – Co wzięłaś? – zapytał.

Owinęła się szlafrokiem zawstydzona własną nagością. Chciała się w ten sposób odgrodzić od niego, zasłonić przed kolejnym upokorzeniem. Coś w niej rozsypało się jak domek z kart, by nie zostawić nic oprócz cierpienia.

– Wynos się – powiedziała cicho. – Natychmiast. Złapał ją za ramiona i potrząsnął.

– Co wzięłaś? – powtórzył pytanie, a gdy nie odpowiedziała, wstał i poszedł do łazienki.

Nienawidziła go teraz tak mocno, jak wcześniej pragnęła. Wrócił, trzymając w dłoniach znajomą fiolkę.

– Ile!?

Nie chciał dać jej spokoju, nie widział, jak z każdą sekundą z dala od jego ust i dłoni, powoli wchodzi we własną strefę mroku. A może nie chciał widzieć.

Ból nie przechodził, zmieniał tylko swoją postać i atakował rozwścieczony, zamieniając ją w nicość.

Położyła się na poduszce, zwinięta w pozycji embrionalnej.

Szarpnięcie ustawiło ją z powrotem do pionu.

– Ile !? – prawie krzyknął, w jego oczach nie widać było już szarości jedynie czerwone rozbłyski. – Ile tego wzięłaś?

– Za mało – odpowiedziała – żeby z tobą skończyć.

Wysypał na prześcieradło zawartość opakowania i policzył. Usłyszała jego westchnienie, gdy wkładał je z powrotem.

– Jesteś większą idiotką, niż myślałem – powiedział zimno. – Dwa dni bez snu i tabletki uspokajające, jeśli nawet wzięłaś ich niewiele, mogą zwalić z nóg każdego. Jeśli to zrobimy, muszę mieć pewność, że jestem z tobą, a nie z nimi. – Potrząsnął fiolką. – Nie sprawia mi przyjemności kochanie się z na wpół przytomną kobietą. Prześpij się, a jeśli jutro nie zmienisz zdania, skończymy, co zaczęliśmy.

Był zimny i wyrachowany, kiedy ona rozpadała się na cząsteczki elementarne. Jeśli miałyby znaleźć dobry powód, żeby go kompletnie znienawidzić, ten był wymarzony.

– Jutro znikniesz z mojego życia na zawsze – powiedziała z absolutnym przekonaniem.

– Być może. – Spojrzał na nią dziwnie i wstał. – Jeśli tego właśnie będziesz

chciała.

I tyle go widziała.

Nie poszła do laboratorium, wybrała rozsądny kompromis. Położyła się spać.

Nastawiła budzik na piątą i postanowiła, że w razie konieczności zostanie później tak długo, jak będzie trzeba. Nie była w stanie myśleć, pracować, robić notatek ani tym bardziej czegokolwiek logicznie analizować.

To, co działo się w jej głowie, za nic nie przypominało chłodnego umysłu naukowca, lecz tornado zmiatające z powierzchni miasta, po których zostawały jedynie zgliszcza.

Nie chciała wracać pamięcią do tego, co się stało. Nie teraz. Rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku. Chwili, gdy umysł pogrążony we śnie, sam przetworzy wydarzenia i pozwoli jej spojrzeć na wszystko z innej perspektywy.

Emocje miały ją niczym szmacianą lalką, w trakcie tego jednego wieczoru przeżyła i doznała więcej niż w ciągu całego życia.

Wszystkie uczucia wydawały się intensywniejsze, aż po granice wytrzymałości zmysłów. Tak jakby do tej pory istniała tylko z wierzchu, pozornie otwarta na świat i dopiero Obcy sprawił, że poczuła się kompletnie obnażona, obdarta z zasłon oraz wzniesionych murów.

Intensywność wrażeń przypisała działaniu tabletek, które musiały dać tak przerażające skutki uboczne.

Nie była taka ani nie zachowywała się w ten sposób, nie przekraczała dopuszczalnych norm, nigdy nie dawała się ponosić uczuciom, szczególnie destrukcyjnym.

Przez lata udało jej się wypracować pełną kontrolę nad swoim ciałem i umysłem. Założyła żelazną uprzęż na wszystkie zmysły i nauczyła je posłuszeństwa. Zawsze była z tego dumna, że każdy krok, każda podjęta decyzja powstawały pod dyktando rozsądku i racjonalizmu. Aż do teraz.

Przypomniała sobie Roberta, swoje uczucia do niego na samym początku znajomości, jak z rozwagą podjęła decyzję o pójściu z nim do łóżka po wielu miesiącach spotkań. Smak pierwszego pocałunku i uczucia, które mu towarzyszyły.

Bez możliwości porównania myślała wtedy, że trafił ją piorun z jasnego nieba. Dziś, gdyby miała zestawić obie sytuacje, musiałaby znaleźć wspólny mianownik pomiędzy delikatnym wstrząsem a trzęsieniem ziemi. I to takim, w którym skala dochodziła do dziewiątki.

Psychicznie nie była przygotowana na coś takiego. Nic nie ostrzegło jej wcześniej, że takie odczucia są w ogóle możliwe, nie przygotowało na szczerę

spotkanie z własnym ciałem. Smak tego, czego zaznała, przeraził ją tak bardzo, że chciała uciec na koniec świata z podkulonym ogonem.

– Nigdy więcej – powiedziała do mokrej od cichych łez poduszki. Teraz dopiero doceniła, jak dobrze i wygodnie było w bezpiecznej skorupie. Próba wyjścia z niej, co brutalnie udowodniły dzisiejsze wypadki, oznaczała tylko cierpienie, i nic ponadto.

Jeśli nawet przespałaby się z nim, nie czekała na nią żadna nagroda, nawet pocieszenia, bo przecież w ostatecznym rozrachunku, na sam koniec zostaną tylko we dwoje. I wtedy będzie musiała zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, aby go zabić.

Od samego początku zdawała sobie z tego sprawę i była na to przygotowana. Pójście z nim do łóżka uczyniłoby tę decyzję znacznie trudniejszą, jeśli w ogóle możliwą.

Sen przyszedł dopiero po godzinie wewnętrznej szamotaniny, ale nie przyniósł ukojenia. Wręcz odwrotnie. Ponownie dopadły ją koszmary.

Weszła do domu, niosąc strzykawkę z gotowym lekiem. Zamiast znanych jej pomieszczeń, pojawił się skąpany w niebieskawej poświacie labirynt. Biegła przez długie korytarze, wiele z nich prowadziło do ślepych odnóg, a jej czas się dramatycznie kurczył. Za chwilę w strzykawce pojawi się rubinowy kryształ zamiast upragnionego leku, ta myśl kazała jej przyspieszyć.

Z ulgą zobaczyła, że koło drzwi stoi Eve, wpatrzona w ścianę naprzeciwko.

Ucieszona, że spotkała przewodnika, podbiegła do niej i z przerażeniem ujrzała, że po szyi dziewczyny spływa krwawa strużka.

– Dlaczego? – Eve spojrzała na nią pustymi oczami i podniosła do góry zakrwawione dłonie.

Wyminęła ją, uciekając zawstydzona, że nie zna odpowiedzi. Na zakręcie potknęła się o coś okrągłego. Spojrzała zdziwiona. Kolejny rzut oka przekonał ją, że nie była to żadna piłka.

Ciemne, zakrwawione włosy oblepiały czaszkę Roberta, a jego rozwarte oczy śledziły jej ucieczkę, aż do kolejnego rozwidlenia. Tam, z kolejnych korytarzy wychodzili ludzie, każdy z nich miał otwarte rany. Jonathan z odciętą dłonią, Marc z wyłupionymi oczami, Jane z dziurą ziejącą w miejscu serca. Wszyscy zbliżali się do niej, szeptem powtarzając: – Dlaczego?

Głosy narastały, w miarę jak przybywało coraz więcej osób, a szept zamienił się w ogłuszający grzmot. Osaczali ją, oskarżycielsko wskazywali kikutami. Wiedziała, że ponosi całą odpowiedzialność za wszystko, co ich spotkało. Chciało jej się płakać, ale nie mogła z siebie wydusić łez. W gruncie rzeczy się

nie liczą – usłyszała w głowie cichy, niski głos – dla ciebie zawsze jest i była najważniejsza Kat. Oni są jedynie nic nieznaczącymi kosztami jej powrotu do świata żywych. Rozumiesz to przecież doskonale.

Mocne szarpnięcie przeniosło ją do ponurego, małego pokoju, w którym siedziała czwórka obcych mężczyzn. Słyszała każde ich słowo, a strach ścisnął jej serce, gdy usłyszała, o czym rozmawiają.

– Co zrobimy z tą kurwą wampira?

– Którą? – Jeden z nich zaśmiał się rehotliwie. – Ma ich co najmniej trzy, nie licząc tej małej.

– Pytałem o jej matkę. – Ponury, ubrany w głęboką czerń człowiek wstał i zaczął się przechadzać nerwowo. – Nie wiemy, co knuje.

– A co cię to obchodzi, powiedziane jest wyraźnie „Bestii ani spółkującej z nią niewieście życ nie dozwolisz” – odpowiedział inny, rozparty nonszalancko na krześle.

– Nie wiemy... – próbował jeszcze bronić swoich wątpliwości mały, zasępiony człowieczek.

– Czy z nią spał? – Ponury przejął pałeczkę. – Nie ma znaczenia. W takim przypadku jedyne, co ratuje nam życie, to zakładanie najgorszego ze scenariuszy.

– Nie potrafię chyba zabić dziecka – odpowiedział cicho najmniejszy. Z trudem przyszło mu przyznanie się do słabości.

– Nie musisz, zostaw ją nam – zaśmiał się ten rozparty na krześle. – Tom nie będzie miał twoich rozterek, bo to prosty chłop, co nie?

– Jestem prosty – odpowiedział jeden z nich. – I wiem swoim prostym umysłem, że mała jest skażona. Nie mamy innego wyjścia, jeśli chcemy raz na zawsze pozbyć się stąd wampirów, musi zginąć. Mogę ci tylko obiecać, że stanie się to szybko.

– Ile ona ma lat? – Mały nie odpuszczał. – Osiem? Nie może być jeszcze wampirem.

– Jest czymś znacznie gorszym...

Ostatnich słów nie dosłyszała, bo ta sama siła wciągnęła ją w wirującą pustkę.

Znalazła się na polanie wśród powalonych drzew. Sam na sam ze stojącym przed nią demonem.

– Rozumiesz już? – zapytał. – Twój wybór jest prosty: mój syn albo oni. Trzeciego wyjścia nie ma.

– Kim są ci mężczyźni? – zapytała. Od czasu, gdy poznała tragiczną historię Azdarotha, nie przerażał jej tak jak dawniej. – Co chcą zrobić?

– Następcy brata Jakuba, łowcy, którzy zwietrzyli twój ślad – odpowiedział. –

Nigdy się nie wahają, nie zadają pytań ani nie posiadają luksusu wątpliwości. Doskonałe maszyny do zabijania. Nie pozwolą ci skończyć badań, dla nich już jesteś martwa. Tak samo jak twoje dziecko.

– Dlaczego, na litość boską, chcą zabić Kat?

Jeszcze była w szoku. Nie dowierzała temu, co usłyszała.

– Bo według nich każdy, kto się zetknął z nami, jest skażony na wieki – odpowiedział. – Widzą w tym wolę tego, którego imię przed chwilą wymieniłaś, zapominając, że wampiry są także jego dziećmi. To on je stworzył na swój obraz i podobieństwo.

– Co mam zrobić? – zapytała, nie zastanawiając się, dlaczego rozmawia z demonem i pyta go o radę.

– Wybór, którego dokonasz, jest wiążący – odpowiedział. – Ale bez względu na to, po czyjej stronie się opowiesz, mój syn zginie w twojej obronie. Tak nakazuje prawo. – Jakie prawo?

Nie wiedziała do tej pory, że wampiry mają jakiegokolwiek zasady.

– Odwieczny kodeks, który nakazuje nam bronić tego, co dla nas najcenniejsze. – W jego głosie usłyszała dziwny smutek. – Swoich najbliższych braci, sióstr i wybranek serca. Każdy z wampirów dokonuje jeden jedyny raz w życiu obrzędu zjednoczenia. Mój ukochany syn wybrał ciebie na towarzyszkę i dlatego jest gotów umrzeć. Pamiętaj o tym. Będzie u twojego boku zawsze, do ostatniego oddechu, chroniąc ciebie i dziecko, które już uznał za swoje.

– Wybrał mnie? – zapytała, nie mogąc się zorientować, czy ta wiadomość bardziej ją ucieszyła, czy zmartwiła.

– Mówiłem ci, abyś zajrzała w głąb, pokazałem prawdę, jak możesz jeszcze wątpić?

– Zapomniałam – dodała tonem usprawiedliwienia – myślałam, że to tylko sen.

– Nic z tego, co widzisz, nie jest snem.

Był wyraźnie zniecierpliwiony. Czubki drzew zapłonęły niczym pochodnie.

Ciekawe, co się dzieje, gdy jest zły, pomyślała.

– Nie mogę wejść do waszego świata. – Silił się na spokój, jakby rozmawiał z małym dzieckiem. – Dlatego cię tu sprowadzam. To miejsce jest neutralne, rodzaj przestrzeni pomiędzy. Mogę jednak pokazać ci różne rzeczy z twojego wymiaru. Już raz to zrobiłem i mam nadzieję, że tym razem zapamiętasz.

Tak się stało.

Otworzyła oczy, mając w pamięci obraz, który nią wstrząsnął.

Była we wnętrzu jaskini, naturalnej, ogromnej komnaty, której szczyt ginął w nieprzeniknionych ciemnościach. Na środku stał wielki ołtarz oświetlony

dziesiątkami pochodni. Przedstawiał Azdarotha w połowie człowieka, w połowie demona, a stojący przed nim mężczyzna wydawał się karłem.

Ubrany w czarny, sięgający do kostek płaszcz, który z czymś jej się kojarzył, odprawiał przedziwny obrzęd.

Podeszła bliżej, powoli przypominała sobie swoją pierwszą wizytę w tym miejscu.

Mężczyzna podniósł głowę, nie bez trudu go rozpoznała.

To nie był doktor Barrow, ale El'lar z rodu Hanedar. Jego oczy całkowicie wypełnił szkarłat, skupiona twarz zdradzała napięcie, a rozwarte wargi raz po raz błyskały białymi kłami. Był przerażający.

Usłyszała jego słowa wypowiedane w prastarym języku, dziwne, szeleszczące słowa, które w jej głowie przekładały się błyskawicznie w zrozumiałą inkantację:

– Ty, który przeszedłeś ścieżką demonów, dawco życia i śmierci, panie nocnych strażników, błagam cię o łaskę.

Wrzucił do ognia płonącego w ogromnej czaszy szczyptę jakiegoś proszku. Zadymiło i zaiskrzyło, a unoszący się wokół zapach przypominał tak dobrze znaną mieszankę wanilii z piżmem.

– Jestem gotowy, aby złożyć wieczyste śluby, zatem przyjmij moją ofiarę.

Chciała krzyknąć na widok tego, co zobaczyła, ale głos uwiązł jej w krtani. Była tylko bezcielesnym duchem obserwującym wydarzenia z przeszłości. Nie mogła zakłócić ceremonii.

Wampir podniósł lśniący w świetle pochodni miecz i wbił go sobie w brzuch. Krew trysnęła obficie, znacząc stopnie ołtarza.

Upadł na kolana.

– Ofiaruję swoją krew jako pieczęć przymierza. Uświęć nią kobietę i dziecko. Ją wybrałem i dla niej jestem gotów przyjąć twoje prawa. Przysięgam – głos mu się łamał, ból musiał być nie do zniesienia – służyć im wiernie aż po kres. Moją wolą jest, abyś ją przyjął jako córkę i dał swoje błogosławieństwo.

Oparł się na jednej ręce, przerwy pomiędzy słowami stawały się coraz dłuższe. Cierpiał, ale makabryczny rytuał wymagał, żeby go zniósł do końca.

To była próba, każdy, kto naruszał spokój Azdarotha, musiał się wykazać siłą woli zdolną poruszyć serce demona. Odwieczny nakaz boga ginącego ludu.

– Spójrz w moje serce i zobacz w nim prawdę – powiedział. – Jestem, tak jak ty, gotów poświęcić się dla tych, których wybrałem.

Jedno szarpnięcie i krwawiący miecz spoczął u stóp posągu. Akt ofiarowania dopełnił się, a demon przyjął prośbę swojego syna.

Na samą myśl o tym, czego była świadkiem, zrobiło jej się słabo. Pamiętała

każdy detal i czuła, jak ziemia usuwa jej się spod stóp.

Z jednej strony byli łowcy, którzy wydali na nią i dziecko wyrok śmierci, z drugiej – on, chodzące ucieleśnienie koszmaru, przeklęty na wieki wampir. Jaki miała wybór? Pomiedzy złem a złem jeszcze gorszym? Powinna zgodzić się, żeby czterech obcych w imię świętej misji zabiło ją i dziecko? Dać zgodę na rzeź? Poświęcić bez wahania Kat, o którą cały czas walczyła? Czy może oddać swoje życie wampirowi i podporządkować się prawu demona?

Została wybrana przez Obcego, stała się częścią jego życia przez krew przelaną na ołtarzu, ale nie wyraziła na to zgody, tak jak nie miała wpływu na uczucia, jakimi ją obdarzył.

Perspektywa śmierci z ręki łowców była bliska, potępienie odległe i bardzo mgliste. Jeśli w ogóle istniało. Podział na białe i czarne, niebo i piekło stał się zamazany, niewyraźny.

Zdrowy rozsądek nakazywał przede wszystkim ostrożność i rozwagę, ostrzegał przed Obcym, groził wizją wieczystych mąk za sprzymierzenie się z siłami ciemności.

Ale Vic była przede wszystkim matką i w jej głowie tkwił imperatyw kategoriyczny – za wszelką cenę ocalić Kat. Takie były prawa biologii oraz odwieczne ludzkie zasady nakazujące bronić potomstwa, nawet kosztem własnego życia. Do tego dochodziły jeszcze uczucia – czynnik najbardziej niestabilny i najniebezpieczniejszy.

Pragnęła go, jak nikogo wcześniej na świecie, i równocześnie kochała Kat do szaleństwa. W tym wypadku odpowiedź mogła być tylko jedna.

Zwlokła się z łóżka i narzuciwszy na siebie zimowy płaszcz, wyszła na zewnątrz. Nie zważając na drobny, siąpiący deszczyk, wyjęła papierosa i zapaliła. Ten prosty gest pozwolił jej skupić się nad najważniejszym. Powinna, zanim zadecyduje ostatecznie, dowiedzieć się, na ile prawdziwa była wizja zesłana przez Azdarotha.

Zaczęła przypominać sobie szczegóły, oddzielając rozmowę, przepełnioną zbyt mocno emocjami, od ogólnego obrazu, który mógł być istotną wskazówką.

Obskurny pokój z dwoma łózkami, stary stolik nakryty brudnym obrusem, dwa fotele z wytartymi poręczami mogły wskazywać na zaniedbane mieszkanie...

Zdecydowanie, to nie było mieszkanie – mozolnie odtwarzała w myślach każdy detal.

Istotne było okno przesłonięte brzydką, jasnobrązową zasłoną, za którą migotał neon. Tego światła nie można było z niczym pomylić. Na stoliku stały butelki po piwie, a jedna z nich spoczywała na czymś, co wyglądało jak rachunek. Jej

pamięć niestety nie zarejestrowała wszystkiego. Pozostała zatem jedynie droga logicznej eliminacji.

Skoro łowcy byli w motelu, musieli już wyruszyć na szlak. Rozmawiali o niej, więc najprawdopodobniej byli niedaleko, ale w najbliższej okolicy nie było już żadnych czynnych pensjonatów i moteli. Miasteczko powoli się wyludniało, a właściciele takich przybytków nie wynajmowali już pokoi. W grę mogły wchodzić okoliczne miasta, rozsiane na przestrzeni do pięćdziesięciu kilometrów – to znacznie pogarszało sprawę.

Nie mogła porzucić badań i opieki nad Kat, żeby odwiedzać każde z nich i sprawdzić, w którym stoi podobny motel. Pewnie by nie zdążyła, tym bardziej że nie wiedziała, kiedy miała miejsce obserwowana przez nią rozmowa. Równie dobrze mogłaby się w trakcie poszukiwań z nimi rozminąć i...

Taki scenariusz był zbyt przerażający, aby mogła się nad nim teraz zastanawiać.

Nawet jeśli ich jakimś cudem odnajdzie, co powinna zrobić? Porozmawiać, przekonać, w jakim tkwią błędzie? Miała dziwne wrażenie, że nie będą zainteresowani negocjacjami, o wiele bardziej rzeczywista była wizja jej zwłok z odstrzeloną głową leżącą na podłodze, niż obraz, w którym czwórka łowców odjeżdża, przepraszając za zamieszanie.

Przypomniały jej się słowa brata Jakuba, które przedziwnym trafem wryły jej się w pamięć: Krew na rękach niewinnych ofiar mamy pospołu demony i my, jedno nas tylko od nich odróżnia – miłość do Pana Naszego. Ona i Kat miały stać się owymi niewinnymi ofiarami, które powinny być szczęśliwe, że zginęły w imię słusznej sprawy, zabite przez ludzi głęboko wierzących i mających w sercach miłość do Boga.

Jakoś dziwnie jej to nie pocieszało.

Odpaliła kolejnego papierosa, kompletnie ignorując przenikliwy chłód, który wędrował od przemarzniętych stóp do serca.

Z drugiej strony to byli ludzie tacy jak ona. Nie mogła sobie wyobrazić sytuacji, jak wpada do pokoju i robi z nimi porządek czterema celnymi strzałami.

Wzdrygnęła się na samą myśl, mimo złości i determinacji nie była zimnym zabójcą, prawdopodobnie także nie potrafiłaby się w kogoś takiego zamienić.

Stała przed poważnym wyborem i miała głębokie przekonanie, że nie będzie on pierwszym, jakiego dokona, zanim to wszystko się skończy. A decyzja, którą teraz podejmie, będzie wiążąca i ostateczna. Demon albo ludzie, zło przeciwko złu jeszcze gorszemu? Nic już nie było jasne, klarowne i czyste. – Nikt ci nie mówił, że palenie kiedyś cię zabije? Jego głos podziałał na nią jak kubał lodowatej wody.

Nie zapomniała tego, co stało się kilka godzin temu, nie zapomniała upokorzenia bólu i płomienia nienawiści, który ogarnął jej umysł. Nie zapomniała i nie wybaczyła.

– Kiedyś może tak – odpowiedziała, z trudem nad sobą panując. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i zniknąć w bezpiecznym laboratorium. Ale to nie była prawda. Sama się oszukiwała, jej serce nadal płonęło żądzą krwawego odwetu. Chciałaby zobaczyć go upokorzonego i powalonego bólem, takim samym, jakiego ona doświadczyła.

Na odsiecz przyszły jej lata treningu w trudnej nauce powściągliwości, więc zupełnie opanowana dodała:

– Prawdopodobnie tego nie dożyję.

– Wszedł ci całkiem zręczny paradoks – powiedział ze swoim szyderczym uśmiechem. – Masz konkretny powód, żeby złapać przeziębienie lub zapalenie płuc, czy robisz to w ramach tak lubianego przez siebie samobiczowania?

– Musimy porozmawiać – powiedziała poważnie.

– Nie. – Spojrzał na nią z góry. – Nie będziemy rozważać różnych opcji ani analizować w tę i z powrotem tego, co się między nami stało. Wracaj do laboratorium, bo przez emocjonalne huśtawki praca zesza na dalszy plan. Czyżbym znów musiał ci przypomnieć, co jest twoim priorytetem? – Musimy porozmawiać. Natychmiast – powtórzyła zimno.

Nie sprawdzała, czy idzie za nią. Weszła do niedokończonej przybudówki i udała się wprost do biblioteki. Usiadła i czekała.

Każda upływająca sekunda pozwalała jeszcze raz na chłodno przeanalizować decyzję, którą podjęła. On wprowadzał do jej umysłu tylko niepotrzebne zamieszanie. Wiedziała, że prędzej czy później przyjdzie. W końcu ciekawość nie jest tylko cechą ludzi.

Zjawił się po chwili. Stał w progu, dając wyraźnie odczuć, że uważa rozmowę za stratę czasu. Oparty o framugę z założonymi rękami sygnalizował dystans i, gdyby miała jakiegokolwiek wątpliwości, także oczywisty zamiar trzymania się od niej z daleka.

Zapaliła i pozwoliła wybrzmieć ciszy. Nie była jeszcze całkiem gotowa na zrealizowanie powziętego planu. Jej sumienie wrzeszczało, nadużywając słów, takich jak: człowieczeństwo, dobro i wybór mniejszego zła. Próbowала go ignorować, jednak nie było to łatwe.

– Miałam sen – powiedziała i poprawiła się od razu. – Tak, teraz już wiem, że to nie był sen. Twój pan Azdaroht zabrał mnie na wycieczkę i pokazał ciekawą sytuację.

Opowiedziała mu dokładnie i ze wszystkimi szczegółami, czego była świadkiem. W miarę jak relacjonowała, jego twarz się zmieniała, aż w oczach zapłonęły krwawe błyski. Porzucił swoją lekceważącą pozę i usiadł, przysuwając sobie fotel naprzeciwko, jakby musiał bezpośrednio z jej ust odczytywać każde słowo. Wpatrywał się w jej oczy z taką intensywnością, że poczuła lekki niepokój.

– Przestań tak patrzeć – powiedziała rozdrażniona. – Rozpraszasz mnie.

– Sprawdzam, czy to nie kolejny podstęp.

Udało mu się ją wyprowadzić z równowagi. Jak zwykle.

– Jasne, uknułam to, ale przypomnij mi tylko w jakim celu? – powiedziała z jawnym szyderstwem.

– Żeby na przykład trzymać mnie na dystans. Nie dał się zbić z tropu.

– Dlatego tu właśnie siedzimy. Razem. Sami. Wszystko w ramach dystansu. Pewność siebie i rozrośnięte do absurdu ego są nawet bardziej przerażające niż twoja dieta. Miło wiedzieć, że bez zmrużenia oka będziesz patrzył, jak banda łowców zabija nas obie, na wszelki wypadek nie podejmując żadnych kroków, bo być może realizują mój chytry plan, aby cię zaciągnąć do łóżka lub trzymać na dystans. Wersja zależna od okoliczności.

– Czyżbym wyczuwał w twoim głosie irytację?

Uśmiechnął się krzywo, a ona zobaczyła przed oczami fruujące czarne płatki.

Miała dosyć. Wstała i bez słowa opuściła pokój. Dogonił ją przed schodami i zatrzymał, łapiąc za ramię – Powiedziałaś mi o wszystkim? – Już się nie uśmiechał.

– Ależ skąd – odcięła się. – Zataiłam najważniejsze szczegóły. Wydawał się lekko zaskoczony i dezorientowany.

– Jakże?

Popatrzyła na niego z takim wyrazem w oczach, że puścił ją bez słowa.

– Co chcesz, żebym zrobił?

A więc padło to pytanie, którego się najbardziej obawiała.

Nie była w stanie odpowiedzieć, tylko wzruszyła ramionami. Słowa nie mogły opuścić jej zaciśniętego gardła, wiedziała, że samym gestem podpisuje wyrok śmierci na czterech obcych mężczyzn, a mimo to, jak na rasową hipokrytkę przystało, nie umiała wyartykułować tego na głos.

Pięknie, pomyślała z goryczą. Dokonałam wyboru.

Ale nie czuła się z tym dobrze. Podjęta decyzja uwierała ją, zalegając w duszy. Wyrzuty sumienia znów rozpoczęły swój oszalały dwugłos, wytykając bezduszność i łatwość, z jaką przeszła na mroczną stronę, czym pogarszały tylko

jej parszywy nastrój. Wyminął ją i zatrzymał się stopień niżej.

– Nie czekaj dzisiaj na mnie – powiedział dziwnym tonem. – Mogę wrócić późno. Lub wcale.

Ku jej zaskoczeniu pocałował ją, bez wcześniejszej zachłannej łapczywości, delikatnie dotknął warg. Na pożegnanie.

Nawet przez sekundę nie brała pod uwagę tego, że może mu się przytrafić coś złego. Chociaż był tylko jeden przeciwko czterem uzbrojonym i gotowym na spotkanie łowcom, to w głębi duszy miała pewność, że nawet mała armia nie poradziłaby sobie z El'larem, nieodrodnym synem Azdarotha.

O nie, zdecydowanie jej wampir nie był zwyczajny. Widziała go w kilku dających do myślenia sytuacjach i wiedziała, jak potężną władą mocą. Jego siła i szybkość były poza ludzkim zasięgiem. Dlatego nie poprosiła o zapas próbek krwi, przekonana, że zanim zapadnie wieczór, wróci po obfitym posiłku, którym będzie coś innego niż zmagazynowana w woreczkach namiastka.

A ona została z porażającą pewnością, że jeśli istnieje piekło, rozpalany jest tam dla niej osobny kocioł – za wyrzeczenie się człowieczeństwa, nasłanie wampira na ludzi, samolubne wykorzystanie go w celu zapewnienia sobie i córce bezpieczeństwa.

Nikt nie zasługiwał na taką śmierć, pomyślała. Ciekawe, co powiedziałby brat Jakub w takiej sytuacji.

Chcąc nie chcąc, powoli z każdym dniem przechodziła na stronę demonów.

– Bo żywi nie pozostawili ci wyjścia – powiedziała na głos, próbując w jakikolwiek sposób usprawiedliwić swoją decyzję.

Nie pomogło.

Poszła do laboratorium, by tam szukać pocieszenia. Kultury bakterii i wirusów były czymś zdecydowanie przyjemniejszym, niż ciągłe miotanie się pomiędzy rozsądkiem a uczuciami. A na pewno prostszym.

Wyniki badań zaskoczyły ją kompletnie. Usiadła, niedowierzając własnym oczom. W każdej szalce szalała bujna rozrodczość jednokomórkowców. Ani jedna, obficie użyżniona jego krwią, nie była pusta.

Dokładnie obejrzała każdą z nich pod mikroskopem i z głębokim rozczarowaniem musiała przyznać się do porażki.

Wyeliminowanie czynnika krystalizacji oznaczało utratę właściwości bakteriobójczych. W ten sposób powstało idealnie błędne koło.

Zdusiła w zarodku atak rezygnacji i przystąpiła do dalszych testów. Podzieliła próbkę na kilka mniejszych dawek i z każdej usunęła inne ilości płytek. W końcu musiały pojawić się jakieś rezultaty. Nagle tknęło ją dziwne przecucie.

Poszukała w Internecie dokładnej informacji o budowie komórek odpowiedzialnych za krzepliwość. Z wydrukowanym schematem zaczęła porównywać jego płytki ze wzorem. Wewnątrz nich odkryła dziwną strukturę, której ludzkie komórki nie zawierały. Pod mikroskopem przypominała ona cztery sczeplone ze sobą banieczki. Nie miała sprzętu ani narzędzi do tak precyzyjnej pracy, więc nie mogła ich wydobyć i poddać dalszym badaniom. Ale mogła skorzystać ze swoich poprzednich doświadczeń...

Wyodrębnione płytki potraktowała zgodnie z przecuciem i doświadczeniem czterema podstawowymi substancjami używanymi przez średniowiecznych alchemików. Teraz pozostało jedynie oczekiwać na wyniki, a ponieważ dochodziła już dziewiąta, postanowiła wrócić do Kat.

W momencie, gdy przekraczała próg domu, zorientowała się, że coś jest nie tak. Kat miała atak. Tym razem nie był to zwykły ból głowy, ale najprawdziwszy gigant, zatrważająco podobny do wcześniejszych.

Wszystkie trzy pielęgniarki biegały jak oparzone, gdy drgawki miały dziewczynką, wyprężając jej drobniutkie ciało w pałąk. Dłonie raz po raz otwierały się i rozpaczliwie zaciskały na kołdrze.

Cierpiała – upiorne, mimowolne skurcze twarzy doprowadziły do tego, że przygryzła sobie język, a strużka krwawej śliny spływała po mokrym od łez policzku.

Vic natychmiast rzuciła się do jej łóżka i nagle wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Oszalałe wykresy na monitorze informowały ciągłym piskiem o sytuacji kryzysowej, serce biło trzykrotnie szybciej, niż przewidywała norma, ciśnienie skoczyło w kosmos, a parametry życiowe wskazywały na przedłużające się niedotlenienie.

Z kompletnym poczuciem oderwania od rzeczywistości Vic przejęła dowodzenie.

Wcześniej obawiała się podświadomie, jak zareaguje w takiej sytuacji, czy emocje pozwolą jej zachować spokój i rzeczowość. Teraz przekonała się, że wyuczone procedury pozwalają doskonale opanować strach i osiągnąć całkowitą, wewnętrzną kontrolę.

Świadoma, co robi, bez chwili wahania założyła rurkę intubacyjną, wbijając ją niemal w zaciśnięte gardło córki. W ciągu ułamka sekundy łóżko Kat znalazło się na środku pokoju, a defibrylator ładował się na podstawie. Pokłute do nieprzytomności żyły na rękach dziecka uciekały spod igły, w końcu zniecierpliwiona podłączyła kroplówkę do jedyne miejsce, do którego się mogła dostać – żyły szyjnej. Żeby to zrobić musiała przywiązać własną córkę

pasami do łóżka, ryzykując złamaniem usztywnionych stalowym skurczem rąk.

Sama podała leki i ze stetoskopem w uszach cierpliwie czekała, aż zaczną działać.

Rzuciła krótkie polecenie i obok pojawił się przygotowany sprzęt do reanimacji. Nie zapomniała nawet o połączeniu z Matem, który obserwował, co się dzieje na monitorze u siebie w gabinecie, oraz przez głośnik udzielał wskazówek.

Uderzenie ciśnienia spowodowało krwotok we wnętrzu oka, paraliż nienaturalnie wykrzywił całą lewą stronę ciała, grożąc połamaniem żeber lub uszkodzeniem kręgosłupa, a Vic w transie wykonywała właśnie masaż serca. Nawet jej dłoń nie zdrząła. Nigdy w życiu nie była tak absolutnie skoncentrowana i opanowana.

Leki powoli zaczynały działać. Ciśnienie kreska po kresce zjeżdżało w dół. Aparat do podawania tlenu włączał życiodajne powietrze do płuc jej dziecka, a serce zwalniało.

Działała jak automat i dopiero, gdy zgasły czerwone lampki na monitorze, a mięśnie Kat rozluźniły się nieco, pozwoliła sobie na odejście od łóżka. – Wiesz, co się dzieje – powiedział Mat. Nie musiał dodawać nic więcej.

Glejak się obudził i przystąpił do kontrataku, od tej pory perspektywy stawały się coraz czarniejsze, a przewidywania mogły jedynie objąć kolejne godziny, już nie dni.

Każdy następny atak czynił nieodwracalne spustoszenia, każdy mógł być tym ostatnim.

Przez godzinę tkwiła przy córce, która zapadła w rodzaj katatonicznego odrętwienia. Głaskała ją po pokaleczonych dłoniach, szeptała słowa, mogące uspokoić przerażone dziecko, które właśnie straciło nadzieję na wyzdrowienie. Po chwilowym cudzie, koszmar powrócił. A zamknięta wewnątrz własnego, cierpiącego umysłu Kat wiedziała o tym doskonale.

Vic nie nawrzeszczała na pielęgniarki, że w porę jej nie zawiadomiły o tym, co się dzieje. Nie rozplakała się ani nie urządziła innej dramatycznej sceny. Uspokojona stabilnym stanem córki wyszła na papierosa.

Wiedziała już, że nie wróci do tamtego pokoju. Nie dziś.

Nogi same zaniósły ją do laboratorium.

– Tylko jeden atak – umysł powtarzał te słowa jak mantrę, która tak naprawdę była rozpaczliwą modlitwą.

Skupiona do granic możliwości zajęła się badaniami i analizą. Nie słyszała telefonu, bo nie zwróciłaby uwagi nawet na koniec świata. Kilka próbek

wyglądało obiecująco, ale jedna z nich...

Pozostawiona sama sobie w ogrzewaczu próbówka z płytkami krwi zatopionymi w rozcieńczonej siarce zmieniła swoją konsystencję, pod mikroskopem widać było napęczniałe od płynu bąble. Teraz mogła delikatnie odsączyć ich zawartość i zbadać.

W szalkach sytuacja wyglądała równie interesująco. Dwie z nich, w których poziom płytek zbliżony był do ludzkiej normy, nosiły ślady stoczonej walki. Środek, miejsce wkropienia krwi, pozostawał pusty, a kolonie mnożyły się obok. Dokładnie zbadała całą próbkę i zamiast wydać z siebie okrzyk zwycięstwa, zacisnęła zęby i rozpoczęła ponowny eksperyment. Musiała mieć stuprocentową pewność.

Na tym etapie, nawet przyparta do muru, nie odważyłaby się wstrzyknąć swojej córce nie do końca zidentyfikowaną substancję. Jednak wyglądało na to, że trop, którym poszła, okazał się strzałem w dziesiątkę. Pozostawało tylko czekać i obserwować, co się dzieje. Najwięcej nadziei wiązała ze znalezieniem tego, co sama określała „czynnikiem wampira”. I wyglądało na to, że czaił się on w płytkach krwi, ukryty w tajemniczych banieczkach.

Nie czuła nic, bez jedzenia, kawy, poprzestawała jedynie na wodzie mineralnej. Korzystała z małej łazienki przy laboratorium, aby się odświeżyć lub – gdy zmęczenie brało górę – włożyć głowę pod strumień zimnej wody.

Odcięła się od rzeczywistości i wszystkiego, co nie wiązało się z Kat. Umiała sobie poradzić z napięciem, stresem oraz zwątpieniem, a jeśli kilka dni temu wydawało jej się, że straciła siły lub wolę walki, ten dzień udowodnił, jak bardzo się myliła.

Zdeterminowana i skupiona na jednym celu, prawdopodobnie zbliżała się niebezpiecznie do granicy, poza którą nie było już nic. Jej żelazna wola nie pozwoliła nawet na chwilę odreagować psychice skumulowanych emocji, mózg przestawił się na myślenie jednorowe, którego trzymała się jak tonący brzytwy.

– Nie wyjdę stąd bez lekarstwa dla Kat – obiecała sobie, przekraczając próg i wiedziała, że zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, aby dotrzymać słowa.

Dlatego, gdy pojawiły się powtórzone rezultaty badań, bez wahania przystąpiła do dalszych testów. Nie spoglądała na zegarek, nie kontrolowała czasu. Nic nie miało znaczenia oprócz kolejnych, starannie wcześniej zaplanowanych kroków.

W laboratorium nie siedziała Vic, lecz perfekcyjnie zaprogramowany robot, który niczego nie odczuwał i nie myślał o niczym innym niż bieżące zadanie.

Punkt pierwszy: określenie tempa wzrostu kolonii ze starannie dobraną próbką, punkt drugi: określenie skutecznej, ale najmniejszej, bezpiecznej ilości płytek,

punkt trzeci: analiza wyników spektrometru...

Cały świat za stalowymi drzwiami był odległy i abstrakcyjny. Nawet Kat z biegiem czasu stawała się coraz mniej wyraźna. Istniał tylko punkt czwarty, piąty... kolejny i z powrotem.

Atak jej córki był z tej perspektywy niefortunnym zbiegiem okoliczności, bo odebrał jej możliwość przetestowania receptury. Musiała zaufać sobie oraz własnym przeczuciom, powtarzać wszystkie czynności, aż do uzyskania absolutnej pewności co do ich prawidłowego przebiegu i analizy.

Upraszczała procedury, z nieprawdopodobną szybkością dokonywała kolejnych podsumowań i wyciągała wnioski. Po drodze odkryła tok myślenia alchemików i zaskoczyło ją, jak prostymi metodami doszli do rozwiązania tego, co jej zajęło sporo czasu.

Wystarczyło tylko doprowadzić do rozpadu komórki krwi i wprowadzić do niej roztwór siarki w niewielkim stężeniu. Uzyskany efekt był niemal identyczny z jej wynikami. Pozostawało określić jedynie proporcje i lek byłby gotowy.

W ten sposób znów wracała do początku. Spektrometr pokazał chemiczną strukturę czynnika W. Teraz należało tylko dokładnie sprawdzić, z czym miała do czynienia. I ponownie określić bezpieczną dla życia dawkę. Wraz z rozpisаныmi wzorami, receptura nabierała coraz bardziej konkretnego kształtu. Kiedy miała już przekonanie, graniczące z pewnością, okazało się, że zużyła cały zapas krwi.

Wstała i zakręciło jej się w głowie. Z zimną logiką stwierdziła, że to wynik działania nikotyny – potwierdzony kilkoma pełnymi popielniczkami. Tym razem nie sprzątnęła laboratorium, bo miała do niego za chwilę wrócić. Nie spojrzała też na telefon wypełniony dziesiątkami nieodebranych połączeń. To nie on był ważny, ale – na szczęście milcząca – czerwona lampka na ścianie, która miała ją informować o kolejnym ataku. Otworzyła drzwi i pierwszy haust świeżego powietrza prawie zwałił ją z nóg.

Odczekała chwilę, aż jej organizm przyzwyczai się do zmiany otoczenia, i weszła do domu. Bez słowa wyminęła zaskoczoną Beth, nie zajrzała nawet do pokoju Kat, pewna, że nie da rady później z niego wyjść. Nadeszła pora konkretnych działań, nie pustych obietnic.

Weszła do jego pokoju bez pukania, nie miała czasu na okazywanie zdziwienia ani zadawanie pytań, na które nie chciała znać odpowiedzi. Rozłożyła swoje akcesoria i zażądała kolejnej dawki.

Mówił coś do niej, ale niczego nie rozumiała, bo poszczególne słowa nie

układały się w sensowną całość. Posunął się nawet do tego, że próbował złapać ją za ramiona, wywinęła się jednak łatwo i wyszła, zabierając ze sobą bezcenne próbówki. Gdyby ktoś zapytał ją, w co był ubrany albo jak wyglądał, wzruszyłaby tylko ramionami. Jej umysł wyłączył wszystkie obwody niepotrzebne do pracy, skutecznie blokując się przed każdym czynnikiem, zdolnym zakłócić wyznaczony zakres działań.

Wróciła do laboratorium i podziękowała sobie w duchu za cudownie szczegółowe notatki. Dzięki nim mogła zacząć dokładnie w tym miejscu, w którym zakończyła.

Efekt pracy stanowiła strzykawka wypełniona do połowy „przyszłym cudem”. Pozostawało ostatnie pytanie bez odpowiedzi, czy przygotowany roztwór ma zdolność zamiany człowieka w wampira? Na sprawdzenie tego właśnie zabrakło jej czasu.

Bez zastanowienia wbiła igłę w swoją żyłę, wpuszczając do niej mętnawy płyn.

Włączyła stoper i rozpoczęła ostatnią fazę badań.

Na wszelki wypadek przygotowała kilka mniejszych porcji i je opisała. Należało przecież wziąć pod uwagę każdą ewentualność. Postanowiła ograniczyć czas oczekiwania do czterech godzin. W tym czasie sprzątnęła laboratorium i na starannie ułożonym ręczniku rozłożyła przed sobą dodatkowe akcesoria – skalpel, rewolwer oraz strzykawkę wypełnioną kompozycją wcześniej przygotowanych specyfików. Jej własny złoty strzał.

Minuty upływały, a ona nie czuła żadnych efektów działania wstrzykniętego środka. Gdy migotające cyferki pokazały wyczekiwaną czwórkę, wzięła do ręki skalpel i z ciekawością badacza zacisnęła dłoń na ostrzu.

Lśniąca podłogę laboratorium upstrzyły czerwone kropki. Nie czuła bólu. To byłyby w jej sytuacji niepotrzebny luksus. Zaciskając rękę, wlała do próbówki dostateczną ilość krwi, aby na jej podstawie dokonać weryfikacji wyników.

Mikroskop nie ujawnił różnic, jej krew wyglądała tak jak powinna, a płytki krwi nie przenosiły czynnika W.

Lek był bezpieczny, lecz jego skuteczność mógł potwierdzić wyłącznie ostateczny test.

Spakowała dwie strzykawki ze specjalnie opracowaną dla Kat dawką i z zacieklą determinacją, nie dopuszczając do siebie już żadnych wątpliwości, wróciła do dziecka.

Odesłała zaskoczoną pielęgniarkę i wykorzystując, że mała śpi, wstrzyknęła jej pierwszą porcję leku. Postanowiła rozpocząć kurację małymi kroczkami. Jeśli coś

poszłoby nie tak, córka po prostu umarłaby nieco wcześniej. To dla niej właśnie matka postanowiła poświęcić swój złoty strzał. W końcu obie nie miały nic do stracenia.

Kat i tak była skazana na śmierć, jeśli lek okazałby się nieskuteczny, Vic nie miałaby możliwości zweryfikowania badań i rozpoczęcia testów od początku. Musiałaby patrzeć bezradnie, jak podczas kolejnych ataków jej dziecko powoli przechodzi na drugą stronę. Mogłoby się to zdarzyć w każdej chwili, bez względu na okoliczności i liczbę godzin poświęconych na szukanie ratunku.

W ostatecznym rozrachunku eutanazja nie jest najgorszym z rozwiązań.

Świt zastał ją przy łóżku córki. Zamiast wykorzystać darowane godziny na sen, analizowała od początku każdy krok, szukając potencjalnych błędów. Gdy mała otworzyła oczy, Vic przygotowywała się właśnie do pobrania krwi.

Kat patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, w których krył się wyrzut i zaskoczenie. Skrzywiona buzia i bełkotliwe dźwięki wydobywające się z gardła świadczyły o gwałtownym pogorszeniu – prawdopodobnym skutku poprzedniego ataku.

Vic wyznaczyła termin podania następnej dawki do godziny dwunastej, do tego czasu musiała zdobyć pewność, że lek nie pogorszy stanu córki. Dlatego zaraz po napełnieniu strzykawki, wróciła do laboratorium i rozpoczęła badania.

Krew Kat, podobnie jak jej własna, wyglądała normalnie, nie zaobserwowała żadnych niepokojących zmian. Od dawki, która wstrzyknęła sobie, minęło już ponad dziesięć godzin, a w płytkach krwi nie pojawiły się tajemnicze bąbelki, nośniki czynnika W.

Zabrała ze sobą kolejną porcję i wróciła do domu. Postanowiła dokonywać zastrzyków w odstępach sześciogodzinnych, co dawało cztery dawki na dobę.

Najgorszym problemem było teraz przeczekanie kilku następnych dni, aby obiektywnie potwierdzić skuteczność opracowanego leku.

Zastanawiała się nad tym intensywnie cały poranek i doszła do wniosku, że nie potrafi wymyślić żadnego, racjonalnego rozwiązania. Pozostawało tylko czekać i modlić się, aby specyfik zadziałał.

Ludzie, których spotykała po drodze, próbowali z nią rozmawiać, kojarzyła Beth i Marthę, kątem oka zarejestrowała nawet obecność doktora Barrowa.

Widziała poruszające się usta, słyszała wydobywające się z nich dźwięki, ale jej mózg nie był w stanie ich przetworzyć. Zanim weszła do Kat, zrobiła sobie mocnej kawy i poszła na górę. Wzięła prysznic, zmieniła ubranie, z rozrzewnieniem spoglądając na łóżko, które tej nocy także miało pozostać puste. Zręcznie wyminęła stojącego w drzwiach Obcego, który samą swoją obecnością

przypomniął jej o czymś nie do końca załatwionym. Tak jak tysiące innych, leżących odłogiem spraw.

Ale dochodziła właśnie dwunasta i musiała być gdzie indziej. Każdy problem mógł poczekać, nawet w nieskończoność. Zeszła na dół i ignorując obecność pielęgniarki, zrobiła kolejny zastrzyk.

Teraz miała odrobinę czasu, żeby wypić kawę i na siłę przełknąć kanapkę. Kromka rosła jej w ustach, zamieniając się w obrzydliwą kluchę, więc odłożyła ją na bok. Widocznie organizm nie był gotowy na posiłek. W małym, podręcznym notesie zapisywała na bieżąco wszystkie obserwowane u siebie i Kat symptomy, natychmiast dołączył do nich także jadłowstręt.

Kawa natomiast smakowała znakomicie. Po wypiciu kubka miała niesamowitą ochotę na następny, a po nim kolejny. Koło drugiej, po nasyceniu się morzem zbawczej kofeiny, nadszedł czas na pobranie następnego materiału badawczego. Tak właśnie o tym myślała, nie była to krew jej córki, ale substancja wymagająca dogłębnej analizy.

Gdyby w trakcie swoich wędrówek przez przypadek spojrzała w lustro, prawdopodobnie by się nie poznała. Najgorsze były oczy, przekrwione brakiem snu, patrzące z otępiałym wyrazem człowieka zaprogramowanego tylko w jednym, konkretnym celu. Oczy osoby, która znalazła się na granicy szaleństwa. Przez cienie pod oczami, wpadające już w odcień ciemnej szarości, wyglądała jak chodzący upiór. Zapadnięte, blade policzki uwypuklały zarys kości, a wyschnięte, popękane usta straciły zdolność uśmiechu. Cała twarz zdradzała krańcowe wyczerpanie i chorobliwe napięcie człowieka ogarniętego z wolna pożerającą go obsesją.

W tym stanie Vic mogła przerazić, wydawało się, że patrząc na ludzi dookoła, nikogo nie dostrzega, a spojrzenie ujawniało, oprócz całkowitej obojętności, brak jakiegokolwiek kontaktu z otoczeniem. Odporna na wszelkie bodźce zamknęła się we wnętrzu własnego umysłu, który wbrew pozorom, pracował w stanie podwyższonej aktywności.

Ogłoszony podczas ataku alarm zmusił ją do totalnej mobilizacji.

Patrząc na Kat, widziała nie umierającą córkę, ale obiekt testowy.

Wszystkie emocje zeszły do podziemia i zatrzasnęły za sobą podwójne drzwi, a ona wyrzuciła od nich klucz daleko aż za horyzont. W takim stanie nie poczułaby nic, żaden ból, strach ani wątpliwości nie mogły się przedrzeć przez barierę, którą stanowiły kolumny równań i reakcji chemicznych, wzory, przeliczniki i powtarzane do bólu: punkt pierwszy...

Mechanicznie pobrała próbkę krwi, zamknęła ją w probówce i bez słowa

wyszła z domu. Do szóstej zostało niewiele czasu na dokładne badania.

Szła wydeptaną, tak dobrze znaną, żwirową ścieżką, drzwi od laboratorium migąły zachęcająco ciemną zielenią, gdy ktoś stanął jej na drodze. Chciała go wyminąć, ale tym razem nie dał się zwieść. Całym ciałem odgradzał ją od upragnionej ciszy w bladobłękitnym pokoju skupienia. Żle.

Odłożyła na ziemię bezcenny kuferek i była gotowa na wszystko, aby utorować sobie drogę. Starał się coś powiedzieć, ale nie dała mu dokończyć. Nie chciało jej się z nim rozmawiać. Przeszkadzał jej.

Zadziałała bardziej intuicyjnie niż z rozwagą. W ciosie, który wyprowadziła, nie było ani szybkości, ani siły, toteż bez trudu go odparował, łapiąc przy tym za nadgarstek. Błyskawicznie pociągnął w swoją stronę, a gdy straciła równowagę, zamknął w stalowym uścisku.

Ręka wykręcona za plecami szarpnęła przesywającym bólem.

Bezwolnie dała się zaprowadzić na tył przybudówki, poza zasięg ciekawskich oczu. Nie zwolnił uścisku wokół jej pasa, tylko puścił dłoń.

Zanim zdążyła się zorientować, najpierw zakręciło jej się w głowie, a później ogarnęła ją fala mdłości. Wysunęła się z poluzowanych objęć i upadła na kolana, z rozpaczliwym rżeniem wciągając do płuc powietrze.

Przed nią rozciągała się ciemna tafla jeziora, w której odbijały się pojedyncze, odległe światelka. Stali na brzegu wśród pozółkłych trzciny i przyprószonych bielą tataraków. Woda leniwymi falami odbijała się od głazów rozrzuconych przy zatoczce, docierając do stóp spienioną czernią. Patrzyła jak zahipnotyzowana w nieprzeniknioną toń i wraz z kolejnym cichym chlupnięciem, mózg powoli zaczynał rejestrować obraz sytuacji.

Najpierw dotarło do niej, że jest zimno, potworny chłód wstrząsnął całym ciałem, wywołując głośnie staccato zębów. Kolejnym obudzonym do życia zmysłem był węch, który wraz z mroźnym powietrzem przyniósł mieszaną odoru padłych ryb i rozkładających się szczątków roślin połączonych z rześkim zapachem wody.

Przez barierę wybiórczej głuchoty przedarł się dźwięk, krzyk jakiegoś ptaka niesiony echem w oddali.

– Spadł już pierwszy śnieg – powiedział za nią cichy, męski głos. – Ale pewnie tego nie zauważyłaś.

Rozejrzała się dookoła zdziwiona.

Rzeczywiście, w mroku gdzieniegdzie połyskiwały niewielkie płaty bieli, resztki kolb tataraku spowijała cienka pajęczynka utkana z lodu i zawieszonych na nich śnieżnych płatków.

Wstała, z trudem podnosząc się z kolan. Czekał na nią z ciepłym pledem w dłoniach. Owinął niczym kokonem i przyciągnął do siebie.

Oparła się o niego plecami, zapatrzona w migotliwą grę świateł. Miasteczko podobnie jak tonący transatlantyk wysyłało w przestrzeń ostatnie błyski kolorów, układających się na wodzie w mozaikę drgających świetlnych plam. Pojedyncze gwiazdy pojawiły się na niebie rozmigotane w podobnym rytmie, a woda wchłaniała w siebie ich blask, oddając go w postaci bladej poświaty. Wszystko dookoła tchnęło spokojem i ciszą, która przynosiła powoli ukojenie odradzającym się zmysłom. To było dobre miejsce, żeby wrócić do żywych. Problemem okazał się mózg.

Na widok jeziora, atramentowego nieba i ginących w mroku domów uznał po prostu, że śni. A ponieważ był to dobry sen, nie zadawał pytań, nie próbował racjonalnie weryfikować rzeczywistości, ani nie wrzeszczał ostrzegawczo.

Otulona ramionami Obcego, rozgrzana ciepłem koca patrzyła w przestrzeń, napawając się chwilą. Bo przecież za moment się obudzi i wszystko wróci do normy. Będzie chora Kat, zimne laboratorium i On, irytujący wampir, który... Odetchnęła głęboko, do szczęścia brakowało jej tylko jednego. Wiedziony impulsem, jak to zazwyczaj w snach bywa, odwrócił ją delikatnie w swoją stronę i pocałował. Nic się nie stało, ogień nie zapłonął w żyłach, obezwładniająca słabość nie podcięła kolan. Ten pocałunek należał do zupełnie innego gatunku, miał sprawić, żeby poczuła się bezpieczna oraz ukojona. I taki właśnie odniósł skutek.

Przytuliła się do niego, wsłuchana w chlupot wody i nagle potwornie zachciało jej się spać, co było o tyle dziwne, że przecież już drzemała zwalona z nóg przez nieopanowane wyczerpanie.

Ziewnęła i jej stopy oderwały się od ziemi. Trzymał ją na rękach niczym piórko. Zamknęła oczy, dopiero dotyk chłodnej poduszki na policzku lekko ją otrzeźwił. Napędzana resztkami poczucia obowiązku chciała wstać, lecz jego dłonie unieruchomiły ją, jednocześnie otulając kołdrą. Usiadł obok i zaczął głaskać uspokajająco. Dopiero teraz przypomniała sobie, jak niezwykle ma dotyk.

I była to ostatnia rzecz, jaką zarejestrowała.

ROZDZIAŁ X

Obudziła się przerażona. Tym razem nie była to wina koszmaru, ale potwornego przecucia, że zaważyła kompletnie na wszystkich frontach. Zerwała się z łóżka jak oparzona. Ostatnia przytomna resztką jej doszczętnie spanikowanego umysłu zauważyła, że zasnęła w ubraniu, więc bez chwili zwłoki pognęła do Kat. Ku swojemu zdziwieniu przy łóżku dziecka nie zastała nikogo.

Żadna z pielęgniarek nie pełniła dyżuru, nikt nie pilnował monitora.

Dookoła panowała kompletna cisza. Oznaczało to...

Z przerażeniem spojrzała na wyłączony aparat tlenowy. Tym razem ktoś słono zapłacił za zaniechanie, pomyślała z zimną wściekłością.

Dopiero widok podnoszącej się regularnie kołderki Kat, jej cichy oddech nie wspomagany maszyną sprawił, że emocje z niej opadły. Na wszelki wypadek ostrożnie, żeby nie obudzić córeczki, zbadała ją i wsłuchana w cudowną melodię spokojnego oddechu opadła ciężko na fotel.

Coś się zmieniło.

Uważnie, ze skupieniem obserwowała swoje dziecko i powoli docierało do niej, co widzi.

Po pierwsze buzia. Zaróżowiona od snu, normalna twarz dziecka. Porażenie ustąpiło, skrzywiony nienaturalnie kącik ust, jeden z symptomów paraliżu, teraz wyglądał zupełnie normalnie. Mięśni policzka nie zaciskał permanentny skurcz, a lewa rączka wystawiona na kołdrę nie miała wykrzywionych palców. Odczyty na ekranie upewniły Vic, że wszystko jest w idealnym porządku.

Nie wierząc jeszcze własnym oczom, przejrzała wyniki z całego dnia, następnego i kolejnego. Każdy z nich potwierdzał, że nie jest świadkiem tylko chwilowej poprawy Doktor Barrow wszedł po cichu do pokoju i gestem wskazał drzwi na taras.

Zrozumiała. Wyszła za nim, po drodze narzucając na siebie kurtkę. – Musisz przygotować następne dawki – powiedział. – To, co zrobiłaś, już się skończyło.

– Nie rozumiem – powiedziała oszołomiona.

Informacje docierały do niej za szybko, nie mogła nadążyć z ich przetwarzaniem.

– Jak sądzisz, ile dni spałaś? – zapytał, uśmiechając się do niej. Jego słowa przeraziły ją nie na żarty.

– Jakich dni, na miłość boską?

Zauważywszy zdumienie w jej oczach roześmiał się szczerze.

– Kompletnie straciłaś poczucie czasu – powiedział. – Według ciebie, jaki jest dziś dzień?

Zaczęła się intensywnie nad tym zastanawiać. Atak Kat miał miejsce w sobotę, może poświęciła ze trzy dni na badania, spała dobę i jakoś tak wyszła jej środa, w ostatecznym przypadku czwartek. Na wszelki wypadek ostrożnie powiedziała:

– Czwartek?

– Niewiele się pomyliłaś. – Jego uśmiech mówił coś zupełnie innego. – Jest piątek.

– To w czym tkwi problem? – zapytała, uznając że błąd w rachubie, wynikał pewnie z zarwanych nocy w laboratorium. W jego głosie zabrzmiało wyraźne rozbawienie – Dziś jest piątek... – zawiesił głos dla efektu. – Drugiego grudnia.

Wstrzymała oddech, gdyby miała na czym usiąść, padłaby z wrażenia, tu niestety mogła się tylko oprzeć o mur.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Sprawdź – odpowiedział.

Straciła gdzieś po drodze półtora tygodnia. Nie mogło jej się to pomieścić w głowie.

– Jak to możliwe? – zapytała nadal będąc w szoku.

– Pamiętasz nasze przedostatnie spotkanie? Rozmawialiśmy o problemie, który notabene jest już rozwiązany, potem udałem się na poszukiwania, a ty zamknęłaś się w laboratorium na tydzień.

– Tydzień?

Wydawało jej się, że upłynęły najwyżej dwa lub trzy dni.

– Dokładnie. Później pojawiłaś się zniecka i napędziłaś wszystkim niezłego stracha.

– Co się działo w tym czasie?

Nawet nie mogła sobie tego wyobrazić.

Opowiedział jej ze szczegółami o wszystkich wydarzeniach, a w miarę jak je poznawała, włosy jeżyły się na karku. Nie było dobrze, co zresztą pośrednio było jego zasługą.

Zniknął na trzy dni, a gdy wrócił, w domu panował kompletny chaos. Beth opowiedziała mu o ataku i o tym, że Vic zniknęła bez śladu. Od razu domyślił się, że napad musiał podzielać na nią jak wyzwalacz i pewnie nie wróci, zanim lek nie zostanie opracowany, toteż nie pozostało mu nic innego, jak przejąć kontrolę nad sytuacją.

Zabronił im prób kontaktu z nią i wezwał Mata, żeby ocenił stan Kat. Rokowania lekarza były złe, mała bardzo ciężko zniosła przebudzenie aktywności glejaka. Doszło do poważnych uszkodzeń. Lewa strona twarzy została kompletnie sparaliżowana, funkcje życiowe upośledzone, wystąpiły kłopoty z mową.

Mat zasugerował mu, żeby poważnie rozważył możliwość oddania Kat do szpitala. Nie zgodził się.

Przerażone pielęgniarki oczywiście musiały donieść lekarzowi o dziwnym zachowaniu Vic, więc doktor Barrow mianował się tymczasowym prawnym opiekunem Kat. Poświadczyły ten fakt właściwe dokumenty sporządzone przez sąd kilka miesięcy wcześniej. Mówiąc o tym, uśmiechnął się znacząco. Po wyjeździe Mata nastroje nieco się poprawiły, uspokojony personel z powrotem wrócił do swoich zajęć, aż do momentu, gdy Vic wyłoniła się niczym upiór ze swojej nory. Biorąc pod uwagę jej stan psychiczny, zachodziła obawa, że podejmie jakieś nieracjonalne kroki. Wtedy wybuchła panika.

Martha i Dorotha postanowiły nie spuszczać Kat z oka, były przerażone tym, do czego zdolna jest matka, która najprawdopodobniej kompletnie straciła zmysły. Nie dementował tych pogłosek, nie usprawiedliwiał Vic, świadomy, że prędzej czy później pielęgniarki będą stanowiły poważny problem. Ich niepotrzebne zainteresowanie zastrzykami, jakie robiła córce, mogło sprowadzić na nich kłopoty. Dlatego popchnął delikatnie Beth do odejścia, sugerując, jak poważnym obciążeniem w papierach byłby wpis o akceptowaniu dokonującego się na jej oczach proceduru.

Do ostatniej chwili przy łóżku Kat została tylko Dorotha, która uważała, że konieczne jest powiadomienie władz o tym, co się dzieje. Ją przekonały do opuszczenia posterunku dopiero specjalne argumenty.

W ten sposób został sam w domu z dzieckiem, które wymagało całodobowego nadzoru. Najgorsze były urządzenia, dzięki którym mała oddychała i jadła. Nie umiał ich obsługiwać, nie potrafił także odłączyć.

Po dwóch pierwszych zastrzykach stan dziewczynki zaczął się gwałtownie poprawiać. Rurka intubacyjna drażniła gardło, powodując nieustające problemy, sam doszedł do wniosku, że kroplówki są zbędne, ale nie podjął się ich odpięcia. W tym czasie musiał także zająć się Vic, bo najwyraźniej wymagała natychmiastowej pomocy. Jej stan przypominał jakiś rodzaj nabytej katatonii, z której należało ją za wszelką cenę wyrwać, bo zachodziła obawa, że wycieńczona do granic ludzkich możliwości, nie da rady kontynuować badań. Dlatego, zanim podjął decyzję, sprawdził, czy przygotowała odpowiednią ilość leku i pozwolił jej pójść spać.

Na szczęście dla wszystkich zjawił się z odsieczą doktor Kent. Przyjechał pełen złych przeczuć, zaalarmowany tym, że od trzech dni nikt nie odpowiadał na jego telefony. Stary lekarz pomógł mu uporać się z niepotrzebnymi urządzeniami, nie zadając zbyt wielu pytań.

Stan Kat zmieniał się niemal w oczach, najpierw odzyskała zdolność mówienia i, co było oczywiste, pierwsze pytanie, dotyczyło nieobecności matki, a ponieważ nie uważał za właściwe okłamywanie dziecka, powiedział wprost, że pracuje nad lekarstwem dla niej. Od tej pory cud następował po cudzie.

Ustał skurcz mięśni, efekty porażenia cofały się błyskawicznie i Kat odzyskiwała siły. Doktor Kent, zgodnie z ustaleniami, zajął się wszystkim. Odłączył kroplówki, wyjął cewnik i na bieżąco monitorował wszystkie funkcje życiowe.

W laboratorium Vic zostawiła tylko sześć przygotowanych porcji, dlatego sam był zmuszony podjąć decyzję o zmniejszeniu ilości podawanych zastrzyków na dobę. Zamiast czterech, maksimum trzy, dzięki temu pozwolił jej spać aż do teraz, ale nadszedł najwyższy czas, żeby z powrotem zabrała się za robotę. Ostatnia dawka poszła ponad sześć godzin temu.

– Możesz mi podziękować – powiedział. – Wszystko wyszło nawet lepiej, niż się spodziewałem.

– Skąd miałeś klucz do laboratorium? – zapytała równocześnie wściekła i bezmiernie szczęśliwa. – I skąd znałeś szyfr?

Popatrzył na nią wymownie, jakby zaskoczony pytaniem. Postanowiła nie kontynuować tematu. O niektórych sprawach nie należało wiedzieć za wiele. Tak jak na przykład o tym, że trzy pielęgniarki wyjechały stąd w przekonaniu, że niemal na ich oczach dokonuje jakiegoś nielegalnego procederu. Aż dziwne było, że do tej pory nie zjawiła się policja.

Oczywiście była to zasługa jego specjalnych umiejętności przekonywania ludzi. Ale jakie miało to wszystko znaczenia wobec faktu, że lek działał, a jej córka właśnie wracała do zdrowia.

Wyrzuciła niedopałek, który parzył już palce, i była gotowa wrócić do laboratorium. Nad konsekwencjami należało zastanawiać się z chłodnym umysłem, o którym mogła zapomnieć w jego obecności. Do tego potrzebne jej były: błękitne ściany, ascetyczne wyposażenie i absolutny brak wampirów w najbliższej okolicy.

Zatrzymał ją w połowie tarasu.

– O czymś zapomniałaś – powiedział.

Rzeczywiście, miał przecież jej klucze, bez słowa wyciągnęła dłoń w jego

stronę.

– Mówiłem o podziękowaniu.

Nie uśmiechał się. I zdecydowanie podchodził za blisko. Cofnęła się o krok. Dużo jej to pomogło...

– Nic mi się od ciebie nie należy? – zapytał. – Uważasz, że nie zasłużyłem sobie, choć na jedno dobre słowo?

– Słowo tak – odpowiedziała, ignorując jawną prowokację. – Dziękuję.

A teraz pozwól mi zabrać się do pracy.

Milcząc, oddał jej klucze i wrócił do domu.

Dziwne, pomyślała. Wydawał się zawiedziony. Gdybym go nie знаła, doszłabym do wniosku, że jest mu przykro. W tym domu naprawdę zdarzyła się rewolucja.

Poszła do laboratorium, po drodze zastanawiając się nad wszystkim, co od niego usłyszała, a jeszcze bardziej nad tym, co zataił. Sporo spraw wymagało sprawdzenia, a kilka z nich należało do kategorii niebezpiecznych. Jedna opatrzona była wieloma czerwonymi wykrzyknikami i od niej właśnie zaczęła zaraz po przekroczeniu drzwi.

Uruchomiła komputer i sprawdziła wypadki z kilku ostatnich dni, szukając tam zdjęć znanych jej tylko ze snu twarzy. W okolicy nikt taki nie zaginął, nie było niewyjaśnionych zbrodni. Czterej mężczyźni rozplłynęli się w powietrzu, jakby nigdy nie istnieli.

Drugą było sprawdzenie, czy nieprzeparata ciekawość Obcego doprowadziła go do skrytki, w której trzymała notatnik. Sama ją wymyśliła i zrobiła, więc istniała spora szansa, że się do niej nie dostał. Odkręciła listwę pod szafką i podważyła szeroki kafelek. Metalowy sejf wyglądał na nienaruszony. Odetchnęła z ulgą, recepturę leku miała zakodowaną w pamięci, a przecucie, intensywniejsze niż zwykły przebłysk intuicji, ostrzegało, żeby pod żadnym pozorem nie zdradziła tajemnicy czynnika W. Nie wiedziała, dlaczego miało to takie znaczenie, ale postanowiła na razie nic mu nie mówić. Wyciągnęła z ogrzewacza żelazny zapas, trzy próbówki wypełnione jego krwią, i zauważyła, że na blacie nadal leżą niepotrzebne już akcesoria, naładowana broń oraz strzykawka. Wyobraziła sobie, co pomyślał na ich widok, i odłożyła z powrotem na miejsce.

Dopiero teraz przyszedł czas na poważniejsze rozważania. Zaczęła od przygotowania bazy do leku i zrobiła sobie w głowie listę pytań. Chciałaby poznać odpowiedzi chociaż na jedno z nich.

Jak długo należało podawać Kat lek? Czy rzeczywiście nowotwór ustępował?

Od trzech dni krwi jej dziecka nikt nie badał, czy wobec tego w jej płytkach wykształciły się potencjalnie niebezpieczne banieczki? Po czym można poznać, że jej dziecko staje się wampirem? I kto zabije Kat, jeśli się w niego przemieni?

Wcześniej była pewna, że da radę zrobić to sama, teraz na widok jej odmienionej buzi, nadziei, którą powoli odzyskiwała, obawiała się swojej reakcji. Czym innym było skrócenie męki chorego dziecka, czymś zupełnie innym zabicie go z zimną krwią, gdy zacznie się przeistaczać. Ale przecież alternatywne rozwiązanie nie istniało, gdyby Kat przeszła na drugą stronę, ona jako osoba za to odpowiedzialna musiałaby podjąć decyzję i ponieść wszystkie konsekwencje. Wydawało jej się, że była na to gotowa. I pomyliła się, niedoceniając siły, z jaką podziałał na nią widok zdrowiejącej Kat.

Przygotowała pięć kolejnych dawek leku, usuwając z nich możliwie największą ilość czynnika W, przy jednoczesnym zachowaniu ich własności. Postanowiła, że po tej kuracji, Kat wróci do szpitala na badania.

Przepis na stworzenie specyfiku był bardzo prosty. Krew należało pozbawić płytek, z nich, po użyciu odpowiedniego roztworu siarki, wydobyć płyn z napęczniałych banieczek i dodać do odpowiednio przygotowanej surowicy, pilnując, aby procent substancji był idealnie odmierzony. Bez swoich bąbelkowych gniazd czynnik W. wydawał się nieszkodliwy. Ich dość trwałe struktury prawdopodobnie były odpowiedzialne za kompletną przemianę w wampira. Nie miała o nich bladego pojęcia, czym są, jaką pełnią funkcję, ale nie miało to znaczenia, ponieważ jego krew była absolutnie wolna od jakichkolwiek zarazków i pasożytów. A tylko obecność banieczek w płytkach odróżniała ją od krwi każdego, normalnego człowieka.

Zaryzykowała i najwyraźniej wygrała. Kat wracała do zdrowia w tempie, o jakim wcześniej nawet nie miałyby odwagi marzyć. Trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny od podania pierwszej dawki.

Zabrała ze sobą napełnione strzykawki i dopiero teraz zauważyła wepchnięty pod blat telefon. Wracając do domu przeglądała nieodebrane połączenia. Kilka z nich ją zastanowiło. Najpierw musiała zrobić dodatkowe badania, później przyjdzie pora na zamartwianie się, dlaczego Jane natrętnie do niej wydzwaniała.

Weszła po cichu, ale wampira nie można było zaskoczyć. Czekał na nią w pokoju Kat, czytając jakąś książkę. Patrzył uważnie na rękę, gdy wstrzykiwała małej kolejną dawkę, a jeszcze uważniej obserwował, kiedy pobierała krew.

– Wygląda na to, że ci się udało – powiedział szeptem. – Gratuluję. Skinęła głową, przyjmując jego słowa za dobrą monetę.

– To było trudne? – zapytał, a w jej mózgu zapaliła się ostrzegawcza lampka.

– Bardzo – odpowiedziała. – Gdyby nie cały ten sprzęt... – zawiesiła głos. – Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe. Poza tym nadal nie mamy pewności, na ile zadziałało. Poprawa może być przypadkowa i chwilowa. – Kłamała w żywe oczy i, co najgorsze, on o tym wiedział.

– Całkowitą pewność uzyskamy dopiero po skończonej kuracji i badaniach.

Przytaknął z dziwnym uśmiechem na ustach. Patrzył na nią taksująco jak szuler przy stole pokerowym, który próbuje rozszyfrować innego oszusta.

Odwróciła się na pięcie i poszła swoją, wydeptaną tam i z powrotem, drogą. Pod mikroskopem wszystko wyglądało dobrze. Odetchnęła z ogromną ulgą, widząc, że krew jej dziecka nie została zainfekowana. Pojawiło się w niej natomiast dużo przeciwciał, sugerujących, że organizm z czymś walczył.

Uśmiechnęła się do siebie. Nie miała jeszcze ochoty wypowiedzieć na głos tych słów, bojąc się, że przedwczesną radością mogłaby coś zepsuć. Czowała się doskonale – wyspana i wypoczęta, z błyskiem zwycięstwa w oku niemal przypominała dawną Vic. Sprawdziła przy okazji także swoją krew. Wszystko było w idealnym porządku, oprócz tego, że...

Sprawdziła jeszcze raz, nawet wzięła do ręki lupę. I nic. Na jej dość głęboko przeciętej dłoni, nie było nawet cienkiej szramy. Rana nie tylko się zagoiła, lecz zupełnie zniknęła, jakby została wymazana.

Z jednej strony była to dobra wiadomość, ale z drugiej... wyglądało to dość przerażająco. Postanowiła kontynuować eksperyment, który mógłby jej odpowiedzieć na pytanie, jak długo powinna trwać pełna kuracja Kat.

Wyjęła podręczny notesik i zaczęła z zapalem uzupełniać zapiski. Ostatni kończył się wpisem o jadłowstręcie, co naocznie przypomniało jej, że od wieków nie miała w ustach prawdziwego posiłku. Wraz z tą myślą pojawił się spychany w ciemny kąt głód, który odezwał się głośnym burczeniem. W tej chwili oddałaby majątek za hamburgera. Musiała jednak wcześniej skończyć to, co zaczęła.

– Zakładając, że nie mam już w sobie krwi wampira, należy sprawdzić, jak długo będzie przebiegał proces gojenia – powiedziała do siebie i wzięła do ręki skalpel.

Tym razem nie chciała ryzykować, że uszkodzi ścięgna w dłoni, więc starannie wybrała miejsce i nacięła ramię powyżej łokcia. Zrobiła to delikatnie i płytko, a jednak krew połała się obficie.

Plan okazał się kompletnie niedorzeczny, ponieważ musiała sama zrobić sobie opatrunek jedną ręką, co nie szło jej zbyt sprawnie, tym bardziej że rozdrażniony żołądek domagał się natychmiast jakiegokolwiek posiłku. Obwiązała ramię chustą, byle jak tamując upływ krwi i starając się utrzymać je w górze, zamknęła

laboratorium. Ruszyła do domu napędzana wizją pełnej lodówki.

Mam nadzieję, że pełnej, pomyślała spanikowana Ku niewypowiedzianej uldze znalazła w kuchni wszystko, czego potrzebowała. Z rozmachem przystąpiła do przygotowania pierwszego od ponad tygodnia posiłku. I gdy już siadała do stołu pobudzona zapachem unoszącym się znad talerza, pojawił się on.

– Zrobiłaś coś także dla mnie? – zapytał.

Zmieszała się, w żadnej książce ani na filmie wampiry nie jadły hamburgerów, dlatego nawet nie zapytała, czy miałyby ochotę.

– Mogę ci przygotować. – Pogodziła się z myślą, że jej posiłek jeszcze trochę poczeka.

– Dziękuję za to świństwo – powiedział spokojnie, lecz spokojny nie był. – Zauważyłem, że przyniosłaś ze sobą coś znacznie smaczniejszego.

Zaskoczył ją, spojrzała na niego nic nierozumiejącymi oczami i głośno wciągnęła powietrze. Wchodzenie do domu z płynącą po ręce krwią nie było najlepszym z jej pomysłów, szczególnie gdy w pobliżu znajdował się wampir. On chyba uważał inaczej.

Oczy zmieniły mu się w dwie płonące szkarłatem pochodnie i zobaczyła w nich czyste zło. To zło, przed którym chciała za wszelką cenę chronić Kat. Pierwotny, dziki głód, którego nic na świecie nie jest w stanie zaspokoić.

Nie było sensu robić scen i walczyć z nim, ryzykując obudzenie dziecka. Podniosła się ciężko i podwinęła rękaw. Odplątała niechłujnie zamotany opatrunek i spojrzała mu w twarz. Cienka, ciepła strużka popłynęła w dół aż do dłoni.

– Szkoda, żeby się zmarnowało – powiedział i już był przy niej. Poderwał jej rękę i zaczął spijać czerwone krople, zaczynając od dołu.

Był obrzydliwy. Był straszny i potwornie przy tym podniecający. Patrzyła na niego i wstręt zaczynał pokornie ustępować niezdrowej fascynacji. Poprzedni głód zastąpił inny, zaczynający się bólem w dole brzucha. Jego język, wędrujący krwawym śladem, wyprawiał z jej sercem przedziwne rzeczy. Nie przypominało to prawdziwego ataku wampira, raczej element gry wstępnej, od której zaczynało się kręcić w głowie.

Urywany oddech zdradził ją szybko. Podniósł na nią swoje niesamowite oczy i zamiast przestać, o co go błagała w duchu, zaczął się nią bawić.

Osunęła się na krzesło i zamknęła oczy. Nigdy nie myślała, że pieszczota wnętrza dłoni może doprowadzić kobietę do takiego stanu. A robiło się coraz gorzej, usta przesunęły się na nadgarstek i powędrowały w zagięcie łokcia. Westchnęła i odpłynęła niesiona powoli narastającym pożądaniem.

Przypominała sobie poprzednie upokorzenie, cierpienie psychiczne i fizyczne po tym, jak ją odtrącił. Nic nie pomogło. Kiedy część mózgu wrzeszczała głośno NIE, druga zatapiała się z przyjemnością w bolesnej słodyczy, szepcząc: nareszcie. I ta była silniejsza.

Poczuła jego usta na szyi, wędrujące w poszukiwaniu odpowiedzi. Nie myślała, była jednym wielkim oczekiwaniem. Miał jeszcze jej krew na wargach, gdy znaleźli się nawzajem.

Oddała mu pocałunek z żarem i pasją, którą dopiero niedawno w sobie odkryła. – Patrz na mnie – szepnął jej do ucha. – Nie zamykaj oczu.

Jego oddech podrażnił wrażliwe miejsce na szyi, sprawiając, że westchnęła głośno. Była posłuszna, była gotowa na wszystko, nie musiał prosić o nic. Spojrzała na niego zamglonym wzrokiem.

– Na to czekałem – powiedział. – To było nareszcie właściwe podziękowanie.

Odsunął się od niej. Znowu.

Ile razy dam z siebie jeszcze zrobić kompletną szmatę? – pomyślała, bo wściekłość ogarnęła ją natychmiast, gdy zabrakło jego ust.

– Dosyć – rzuciła mu w twarz. – Nigdy więcej. Zostaw mnie w spokoju. Nie wiem, jak to robisz, ale żądam, żebyś raz na zawsze przestał.

– Nie podobało ci się? – Był szczerze zdziwiony.

– Nie – odpowiedziała zimno. – Zdecydowanie. Chyba czerpiesz jakąś chorą satysfakcję z dręczenia mnie. Sprawia ci to większą przyjemność niż sam seks. Jesteś zwykłym sadystycznym zbrojcem.

Nawet nie zarejestrowała momentu, gdy znalazł się przy niej i złapał za ramiona. Tym razem jednak gniew wygrał, a z czułości została jedynie niepohamowana chęć wymierzenia mu policzka.

– Czego ty chcesz ode mnie? – zapytał. – Zaczynam się gubić. – Żebyś przestał mnie dręczyć – wysyczała. – Jakimś cudem zdobyłeś nade mną władzę, podejrzewam, że użyłeś swoich specjalnych umiejętności i teraz pogrywasz sobie, jak kot ze złapaną myszą. Dlatego nie pytaj mnie, jak mi się to podoba.

– Pogrywam? – Nie udawał, był naprawdę zdziwiony. – Bawię się tobą? Nawet mi do głowy nie przyszło używać na tobie moich zdolności. Naprawdę doszczętnie oszalałaś.

– A jak nazwiesz – ani trochę mu nie wierzyła – swoje dramatyczne wyjścia, choć doskonale wiesz, co wtedy czuję, jeśli nie jakąś chorą grą?

– Grą? – Wyglądał na poirytowanego. – A ja jak mam odebrać to, że wpadasz w moje ramiona tylko wtedy, gdy jesteś na wpół przytomna? Powiedz raczej, że to ty doskonale się bawisz, torturując mnie, wykorzystując moje uczucia.

Zmuszasz mnie za każdym razem, żebym odchodził jak niepyszny. Upokorzony i wściekły. Tak się mścisz za Eve? Ile jest prawdy w twoich oczach? Zaczynam wątpić, czy w ogóle cokolwiek czujesz, gdy jesteśmy blisko.

Odebrało jej mowę. Zupełnie. Każdą sytuację odwrócił, przekreślił i rzucił jej w twarz jak oskarżenie. Z trudem się opanowała.

– Przed chwilą dałeś idealny przykład, naprawdę. To ja z tobą się zabawiłam, ja odeszłam z głupim uśmiechem na twarzy.

– Jesteś skończoną idiotką – powiedział spokojnie. – Na górze śpi twój ulubiony doktor, a obok córka. Prowokując mnie, doskonale wiedziałaś, że nie posunę się dalej. Nie tu i nie teraz. Zdajesz sobie sprawę, jak się teraz czuję? Ale uważaj – w jego oczach błysnął jakiś wyraz, który jej się nie spodobał – sprowokujesz mnie o jeden raz za dużo i mogę przestać nad sobą panować. I nic nie będzie miało znaczenia. Ani miejsce, ani czas. Dostanę to, czego chcę, i będzie mi obojętne, w jaki sposób. Za twoją zgodą, czy bez.

– Grozisz mi? – zapytała zaskoczona.

– A to cię dziwi? – odparował. – Mimo swojego wieku nie umiem panować nad sobą tak jak ty. Udało ci się nadać nowe znaczenie słowu cierpienie. Postaram się, żebyś także je dobrze zrozumiała. Zrobię to twoją metodą, obudzę cię w końcu, zmuszę, żebyś porzuciła lodową maskę i pozwolę odejść. Porozmawiamy wtedy o tym, jak się czujesz.

Naprawdę zaczął jej odpowiadać kierunek, w którym zmierzała rozmowa, lepiej, że uważał ją za wyrachowaną, zimną zdyrę, niż miałby wiedzieć, jaką władzę zyskał i jak destrukcyjny miał na nią wpływ.

A niech sobie myśli, że jestem bryłą lodu, błyskawicznie podjęła decyzję.

I koncertowo zagrała kompletną kretynkę.

– Naprawdę mnie pragniesz? – powiedziała aksamitnym głosem.

– A musisz pytać?

– Za każdym razem ci to pokazuję. – Nie spuszczał z niej wzroku, a jego niski, cichy głos podziałał na nią jak zmysłowa pieszczota. Trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć. Siła mojego pragnienia jest większa niż twoja pogarda. Dlatego, mimo obrzydzenia, które czujesz, i tak pewnego dnia wygram. Okiełznam cię i oswoję. Wtedy poczuję twoją wściekłość pulsującą pod rozpaloną skórą i będę się nią upijać aż do bólu.

Jego słowa podziały na nią zdecydowanie zbyt intensywnie.

Drobnymi kroczkami zdobywał nad nią pełną władzę, uzależniał, prowadząc prostą drogą ku zatraceniu. Na szczęście mu nie wierzyła, nie przekonało jej ani jedno pieprzone słowo, które powiedział. Gdy opadły emocje, mogła się

logicznie i chłodno zastanowić nad tym, co usłyszała. I doszła do wniosku, że nakarmił ją stekiem bzdur.

Mężczyzna doskonale wie, jak działa na kobiety. Tym bardziej taki, który ma kilkusetletnie doświadczenie. Musiał wiedzieć, czuć jej podniecenie. Dawno ją rozszyfrował i wiedział, że żadna z niej aktorka.

W jego zachowaniu, słowach i przybranej na poczekaniu pozie skrzywdzonego kochanka musiał tkwić jakiś haczyk. Podstęp, na który niemal dała się złapać, był zbyt starannie wyreżyserowany i świadczył o tym, że gra toczyła się o naprawdę wysoką stawkę.

Dlaczego mężczyzna za wszelką cenę przekonuje kobietę, że bardzo mu na niej zależy? Odpowiedź była oczywista – manipulacja. Pozostawało się tylko dowiedzieć, co jest dla niego tak ważne, że jest gotów na każde poświęcenie. Rozwiązań było kilka, więc musiała zachować szczególną ostrożność, aby nie wpaść w starannie przygotowaną pułapkę.

Pojawienie się zniecka w drzwiach doktora Benjamina Kenta wyzwoliło ją od teoretycznych dywagacji.

I tak prędzej czy później poznam jego prawdziwy cel, pomyślała i wylewnie przywitała dawno niewidzianego przyjaciela.

Zmienił się bardzo – ogorzały, szczuplejszy, z bujną, siwą czupryną wyglądał doskonale. Tylko gdzieś na dnie jego oczu czaiło się głębokie zmęczenie. I nie był to wynik dwudniowej opieki nad Kat. Wyglądało bardziej na rezygnację oraz rozczarowanie życiem.

Z bólem pomyślała, że są to pierwsze oznaki nadchodzącej starości, której nie zdołało zatrzeć kalifornijskie słońce, białe plaże i tabuny młodych dziewcząt, czyhających na nobliwie wyglądającego pana z zasobnym kontem.

Bardzo chciała z nim porozmawiać i dopiero po kilku wymijających odpowiedziach zorientowała się, jak ostrożnie wypowiadał każde zdanie. Było to tak niepodobne do żywiołowo-ironicznego doktora Kenta, którego znała wcześniej, że zaczęła się gwałtownie zastanawiać, o co chodzi. Wsłuchiwała się uważnie w to, o czym mówi, i zrozumiała ukryte między słowami przesłanie.

– Teraz, gdy wróciłaś – powiedział – mogę z czystym sumieniem zostawić was samych.

– Chcesz wyjechać?

Zrobiło jej się przykro. Powoli odchodzili od niej wszyscy, część odstraszyła sama, innych pozbył się wampir. Chaos do niedawna panujący w domu zastępowała dojmująca pustka.

– Niezupełnie – odpowiedział powoli. – Mam tu jeszcze do załatwienia kilka

spraw, a oprócz tego wolałbym na wszelki wypadek pozostać blisko.

– Co masz na myśli?

– Uważam, że powinienem trzymać rękę na pulsie. Gdybyś miała jakiś problem lub zdarzyłoby się coś nieprzewidzianego w okolicy, powinien być ktoś, kto fachowo umiałby się zająć Kat. Dużo się u ciebie ostatnio dzieje. Nawet nie masz pojęcia jak dużo, pomyślała.

– Zostaniesz u mnie? – zapytała, ale już знаła odpowiedź.

– Nie – powiedział z namysłem. – Wynająłem pokój w hotelu. Czworo pod jednym dachem to tłum – zażartował niewesoło. – Zostawię ci swój adres, ale będzie lepiej, jeśli wcześniej zadzwonisz.

Nie musiał mówić nic więcej.

Doktor Kent miał dom w miasteczku i z tego, co pamiętała, jeszcze go nie sprzedał. Zrobił zresztą na tym całkiem niezły interes, bo stawki ofiarowane przy wykupie nieruchomości były o wiele wyższe niż kilka lat temu. W końcu za ich domy płacił teraz rząd. Skoro postanowił wynająć pokój w hotelu, zamiast zatrzymać się u niej lub wrócić do siebie, musiał mieć poważny powód. Z drugiej strony nie zdecydował się wyjechać, co oznaczało, że poważnie zaniepokojony, czuł się w obowiązku trzymać rękę na pulsie.

Konieczność musiała z nim porozmawiać w cztery oczy, aby wyjaśnić całą sytuację.

Czyżby się czegoś domyślał? Lecz po chwili uznała to przypuszczenie za absurd.

W końcu, który normalny, inteligentny człowiek wzięłby poważnie pod rozwagę istnienie wampira, do tego mieszkającego z nią pod jednym dachem.

Nawet jeśli był czymś zaniepokojony, na pewno nie myślał o takiej ewentualności – nieskutecznie próbowała się uspokajać.

Czuła, że ostrożność Benjamina miała znacznie głębsze podłoże i nie była nim niechęć do doktora Barrowa. Przywitali się i rozmawiali jak ludzie, którzy darzą się, jeśli nie sympatią, to na pewno szacunkiem. Para dobrych kumpli, których zjednoczyła opieka nad chorym dzieckiem. Cała sprawa wyglądała podejrzanie i była pewna, że do niego zadzwoni raczej prędzej niż później.

Owa myśl wywołała w niej pewne skojarzenie, które uciekło przepędzone okrzykiem z pokoju obok.

– Mamusia? – Kat się obudziła i wszystko musiało zejść na dalszy plan.

Weszła do niej z uśmiechem, a promienna buzia córeczki odpowiedziała jej tym samym. Jeśli choć przez chwilę miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy postępuje właściwie, zaróżowiona od snu twarz Kat rozviała je zupełnie. Jej

mały skarb mówił, śmiał się i wiercił, odkrywając na nowo, do czego służą wszystkie, niespełnane skurczem kończyny. Mimo pochmurnej pogody i ciężkiego, ołowianego nieba za oknem, w pokoju weszło słońce i cokolwiek uczyniła, aby tak się stało, miała absolutną słuszość.

Warto było, powiedziała do siebie w myślach i zajęła się zabawą.

Tę cudem odzyskaną sielankę przerwał telefon. Już miała odrzucić połączenie, ale na widok numeru, który się wyświetlił, zdecydowała inaczej. Uśmiechnęła się przepraszająco i wyszła. Lepiej, żeby jej córka nie słyszała, o czym rozmawia z babcią. I jakim tonem. – Czego chcesz? – zapytała obcesowo.

– Musimy porozmawiać. – Głos Jane zabrzmiał głucho.

– O czym?

– Nie przez telefon.

– Daruj, ale nie mam teraz czasu – w myślach zaś dodała: – żeby marnować go dla ciebie.

– To go znajdź. – Tym zdaniem powróciła jej dawna teściowa, kategoryczna, nieznosząca sprzeciwu despotka.

Vic chciała się po prostu rozłączyć, ale coś powstrzymało ją od naciśnięcia przycisku. Może tylko liczyła na słowo „proszę”. Nie doczekała się.

– To jest ważne...

– Dla kogo? – odparowała. – Wzięłam rozwód z twoim synem. Nie pamiętasz? To, co jest ważne dla ciebie, mnie nie interesuje, już od lat.

– Wydaje mi się, że dla nas obu.

– Wobec tego zapraszam. – Nie wiedziała, dlaczego jej się to wyrwało, przecież nie chciała widzieć ani rozmawiać z Jane.

– Nie – odpowiedziała za szybko. Vic była pewna, że usłyszała w jej głosie strach.

– Nie u ciebie.

– Dlaczego?

– Powiem ci, jak się spotkamy. Wyjdź na spacer koło trzeciej. Będę czekała na wzgórzu.

Przeciągłe buczenie poinformowało ją, że Jane właśnie skończyła rozmowę.

Dochodziła druga. Vic przez chwilę zastanawiała się, czy w ogóle iść na spotkanie, ale ciekawość zwyciężyła. Kat za chwilę i tak miała pójść spać, więc wymyśliła na poczekaniu jakiś błahy pretekst i z bólem serca zostawiła dziecko pod opieką niezastąpionego doktora.

Zarzuciła na siebie zimową kurtkę, włożyła ciepłe buty – w końcu do szczytu wzniesienia miała spory kawałek. Po drodze z szafki wyjęła paczkę papierosów,

znając Jane, na pewno jej się przydadzą.

Spacer zajął więcej czasu niż zazwyczaj, bo wijąca się pod górę droga uświadomiła jej boleśnie, jak bardzo była słaba. Trzy razy złapała ją zadyszka i klnąc w duszy na siebie, własną głupotę i chorą ciekawość, musiała odczekać kilka minut na poboczu. Do celu dotarła trochę przed trzecią.

Na parkingu, przez miejscowych zwanym punktem widokowym, czekało już niebieskie volvo. Drzwiczki od strony pasażera się otworzyły i Jane gestem zaprosiła ją do środka.

– Po co ta cała konspiracja? – zapytała.

– Nie ufam mu i ty też nie powinnaś – powiedziała. – Mógł sobie ten twój doktor Barrow kupić Marca, na pewno jest doskonałym lekarzem...

i jeszcze lepszym kochankiem. I tak mu nie ufam. Jest... – zawahała się, szukając odpowiedniego słowa. – Zbyt gładki. Tylko pozornie oszlifowany. Znałam kilku podobnych do niego i wierz mi, do dziś bardzo tego żałuję.

Aż dziwne, pomyślała ze złością Vic, którą do żywego ubodła wyraźna insynuacja, że sypia z Obcym, jak ty, przy całej swojej mądrości, mogłaś nie widzieć, jaki psychopata dorasta u twojego boku.

– Po co chciałaś się ze mną spotkać? – Głos Vic zabrzmiał zimno i nieprzyjemnie.

– Wydaje mi się, że wbrew temu, co mówi twój doktorek, możesz jednak coś wiedzieć o zniknięciu Roberta.

– Jak to o zniknięciu? – Nie udawała, była szczerze zaskoczona.

– Wiedziałam! – Jane powiedziała to tonem osoby pewnej, że w ostatecznym rozrachunku tylko ona miała rację, a jej słowa „nie mówiłam” sprawdziły się co do joty. – Wbrew swoim obietnicom, nic ci nie powiedział.

– O czym?

Serce ścisnęło jej złe przecucie. Nie kochała Roberta, nie zależało jej na nim od dawna. Sam zrobił wszystko, aby wykopać między nimi głęboką przepaść. Był nikczemnym, małym i egoistycznym tyranem o wyolbrzymionym poczuciu własnej wartości. Jednak równocześnie był kiedyś jej mężem i dawno temu coś do niego czuła. Nie był obcym człowiekiem, którego śmierć, mimo iż tragiczna, pozostawia innych w głębi duszy obojętnymi.

Nie zwiódło jej słowo „zaginiął”. Była w pełni przytomna i świadoma sceny, która rozegrała się na jej oczach w kuchni. Naiwnością na pograniczu głupoty byłoby szukanie innego scenariusza. Doktor Barrow zabił Roberta, prawdopodobnie zaraz po tym, jak ten opuścił jej dom.

Wróciła pamięcią do swojego niesnu i przypomniała sobie słowa niesione

głuchym echem przez korytarz.

– Dlaczego? Znała odpowiedź, udzielił jej sam Azdaroht tej samej nocy. „Odwieczny kodeks nakazał mu bronić tego, co dla niego najcenniejsze”.

Jak jednak miała o tym powiedzieć Jane. W końcu rozmawiała z tragicznie doświadczoną matką, która kochała swojego syna miłością taką samą, jaką ona darzyła Kat. Nie było dobrego sposobu, aby powiedzieć prawdę. Dlatego postanowiła milczeć.

– Odwiedził was, a potem słuch po nim zaginął. Zadzwoił z trasy koło północy, powiedział coś, czego nie rozumiałam. – Jane zamilkła, jakby zbierała rozsypane myśli.

– Co powiedział?

Może była to tylko gra wyobraźni, ale wydawało jej się, że świat wokół pociemniał. Stał się ponury i straszny.

– Że wyjeżdża, zostawia wszystko, bo chce mieć to już za sobą. Próbowałam się dowiedzieć, o co mu chodziło, ale się rozłączył. – Ciche łzy popłynęły jej po policzkach. – Takie były ostatnie słowa mojego syna.

Chciał mieć wszystko za sobą. Może ty wiesz, o co mu chodziło, rozumiesz go? Powiedział lub zrobił coś wskazującego na jego późniejsze, dziwne zachowanie, gdy był u was? Wiem, że – złapała ją za rękę, a jej oczy były jednym wielkim, niemym błaganiem – nie darzysz mnie sympatią, a moja rodzina zrobiła ci wiele złego i nadużyciem jest prosić cię o przysługę. Jednak, jeśli cokolwiek sobie przypomnisz...

– Oczywiście zadzwonię – odpowiedziała. – Myślisz, że rozstanie z Natalią nie miało wpływu na jego decyzję? Jane uśmiechnęła się smutno.

– Znam stosunek Roberta do kobiet. – Zamyśliła się – Był, jeśli można użyć tego słowa, mechaniczny. Rozstania, powroty, zabiegi o ich zainteresowanie nigdy go tak naprawdę nie obchodziły. Traktował je jak wyzwanie, któremu należało sprostać, a gdy dostawał to, czego chciał...

Jedynym wyjątkiem byłaś ty, nigdy nie mówił o waszym związku w czasie przeszłym. Podejrzewam, że nie potrafił pogodzić się z twoim odejściem.

Vic błyskawicznie zrozumiała cel, do którego Jane zmierzała. Kobieta próbowała grać na wygasłych dawno uczuciach, aby uzyskać cichego współnika i zaangażować ją przynajmniej emocjonalnie w poszukiwania. I od razu wybaczyła jej ten podstęp. Trudno było nie utożsamiać się z cierpieniem, które przeżywała matka, tym bardziej że to ona – Vic była za nie całkowicie odpowiedzialna. Czuła się, jakby własnoręcznie zabiła Roberta, a głos, który wrzeszczał w niej – a nie mówiłam, nie ostrzegałam, czym mogą się skończyć

układy z wampirem – nie dawał jej spokoju. Dlatego położyła dłoń na ramieniu swojej, kiedyś znienawidzonej, teściowej i powiedziała pocieszająco:

– Każdy potrzebuje takiej chwili. Momentu, gdy z daleka od wszystkiego i wszystkich chce przemyśleć swoje życie. Na twoim miejscu poczekalabym z zamartwianiem się. Może okazać się, że zaszył się w jakiejś dziurze i wróci odmieniony, z nową wizją przyszłości.

– Spędzić choć jeden dzień w separacji ze swoimi kartami kredytowymi, bez telefonu, aby przemyśleć swoje życie? To nie Robert.

– Jane nie dała się przekonać. – Znam go doskonale i wiem, że prędzej, w celu odnalezienia sensu istnienia, pożyczylby odrzutowiec i razem z kilkoma stewardesami zaszył na Szeszelach, niż zniknął w jakiejś dziurze, zamknięty w podrzędnym hotelu. Mój syn, gdziekolwiek jest, mam nadzieję, że wybaczy mi to, co teraz powiem, nie jest aż tak uduchowiony, a jego potrzeby bywają zaskakująco proste, choć dość kosztowne w realizacji. Źle go wychowaliśmy, wiem, ale jak każda matka chciałam dać swojemu jedynemu synowi wszystko i najprawdopodobniej tym wyrządziłam więcej szkód niż pożytku. Ale mimo wszystko wciąż i na zawsze jest to moje dziecko.

Vic nie potrafiła wymyślić nic więcej, nie umiała dać tej kobiecie wsparcia ani pocieszenia. Przekonać, że jej syn prędzej czy później wróci. Wiedziała bowiem, jak silna jest więź między matką i dzieckiem, która czasem trwa nawet poza granice życia. Jane panikowała, bo podświadomie знаła prawdę. I żaden argument nie mógł jej zmylić. Szukała po omacku potwierdzenia własnych przeczuć, bojąc się, że okażą się prawdą. Żadne słowa, żaden gest nie mogły tego zmienić.

Na koniec Jane uraczyła ją jeszcze jedną sensacyjną wiadomością.

– Na wszelki wypadek kazałam sprawdzić tego twojego doktora i dowiedziałam się całkiem interesujących rzeczy. Jest znakomitym psychologiem, ma doskonałą reputację i prawdopodobnie około sześćdziesięciu lat. Nie wydaje ci się to mocno podejrzane?

– To pewnie jakaś pomyłka. – Vic próbowała ratować sytuację.

– Prawdopodobnie. – Jane nie wydawała się przekonana. I nic dziwnego.

Vic objęła ją mocno na pożegnanie i wysiadła. Niebieskie volvo zakręciło, a potem odjechało. Została sama ze swoimi myślami. Nie były one wesołe.

Po pierwsze nie mogła zdradzić się przed Obcym, że wie o Robercie. Że domyśliła się prawdy i oskarża go o zabicie byłego męża. Dopóki nie skończy kuracji, musi trzymać buzię zamkniętą na kłódkę.

Odruchowo wsadziła dłoń pod kurtkę, wysunęła ramię i sprawdziła, czy nadal

tam jest – cienka, szorstka blizna. Jednoznaczny dowód jej człowieczeństwa.

Zanim ruszyła w stronę domu, zadzwoniła pod zapisany przez doktora Kenta numer.

Recepcjonistka w hotelu zamiast od razu połączyć ją z Benjaminem, ku jej zaskoczeniu podała jeszcze inny numer, pod który powinna zadzwonić. Wystukała nowy ciąg cyfr. Odezwał się po chwili, a jego pierwszym pytaniem było:

– Jesteś sama?

– Tak – odpowiedziała niepewnie. – Dlaczego pytasz? – Dzwonisz z domu?

– Nie, stoję właśnie w naszym punkcie widokowym.

– To doskonale – powiedział, a w jego głosie dało się słyszeć westchnienie ulgi. – Nie możemy za długo rozmawiać, spotkajmy się jutro w jakimś neutralnym miejscu. Proponuję przychodnię. Idź tam pod jakimkolwiek pretekstem, ale po drodze sprawdź, czy cię ktoś nie obserwuje.

– Nie masz wrażenia, że zachowujesz się nieco paranoidalnie? Roześmiał się, ale zabrzmiało to odrobinę histerycznie. Nie bardzo jej się to spodobało.

– W twojej sytuacji mówienie o paranoi to czysta ironia, chyba że jesteś zbyt głupia albo zakochana. Pamiętaj, jutro o trzeciej. Rozłączył się, a ona została ze słuchawką przy uchu wsłuchana w buczący dźwięk.

Albo oszalał, pomyślała, albo domyślił się prawdy. W obu przypadkach nie jest dobrze.

Wróciła do domu z głową nabitą czarnymi myślami i nawet widok córki, która wesoło bawiła się z Obcym, nie podziałał na nią kojąco. Może dlatego, że to właśnie on był u jej boku, zachowywał się jak prawdziwy ojciec i tak łatwo było zapomnieć, jak wiele krwi ma na rękach.

Z drugiej strony był tym, kim był, został tak stworzony. Czy zatem można mieć pretensje do lwa, że poluje na swoje ofiary? Winna tej całej sytuacji była tylko ona. Zaprosiła go do swojego domu, wyzwalając lawinę wydarzeń, sama odpowiadała za każdą śmierć poniesioną z jego ręki. Kiedyś usłyszała takie zdanie: „to tylko koszty własne” i nie spodobało jej się to, co oznaczało, teraz sama zachowywała się jak ktoś, kto zmierza do celu, udając, że nie ma na swojej drodze żadnych ofiar. Ktoś pozbawiony sumienia i człowieczeństwa. Łatwo byłoby przyjąć tezę, że działa pod wpływem woli wampira, ale doskonale wiedziała, że to nieprawda. Nie było nic, co mogłoby ją we własnych oczach usprawiedliwić.

Wolna wola, pomyślała gorzko, to przekleństwo. Branie odpowiedzialności za każdą decyzję i ponoszenie jej konsekwencji jest ciężarem, któremu człowiek rzadko jest w stanie podołać.

Uśmiechała się, rozmawiała z Kat, ale przed doktorem Barrowem niewiele dało się ukryć.

W najmniej oczekiwanym momencie zapytał. – Stało się coś?

– Nie, dlaczego pytasz? – Udawała zdziwioną.

– Zachowujesz się, jakby coś cię ugryzło.

A owszem, ty – chciała odpowiedzieć, ale w porę się opanowała.

– Wydaje ci się. Po prostu martwię się o wyniki eksperymentu i obawiam, że coś może pójść nie tak.

– Nie uspokoiły cię ostatnie rezultaty? – Jedno mu trzeba było przyznać, potrafił być naprawdę uparty.

Musiała coś wymyślić, na tyle wiarygodnego, żeby dał jej spokój. Przynajmniej dziś, kiedy miała jeszcze przed oczami złamaną bólem twarz Jane, a w uszach spanikowany głos doktora Kenta.

– Nie zanudzajmy Kat. – Skinęła znacząco w stronę córki zajętej swoimi zabawkami.

– Musimy z mamą porozmawiać. – Doktor Barrow nie miał zamiaru tak łatwo zrezygnować z przesłuchania. – Zostaniesz przez chwilę sama, ale nie zdemoluj całego pokoju.

Kat podniosła na niego oczy ze zdziwieniem, a potem roześmiała się wesoło.

– Tak jest, sir – powiedziała. – Pan tu dowodzi.

Bez wątpienia tych dwoje potrafiło się ze sobą dogadać. I Vic poczuła, że nagle sprawia jej to przykrość.

Wstał, a ona posłusznie poszła w jego ślady. Dotarli na górę, szarmancko otworzył przed nią drzwi do jej pokoju.

– Więc, o co chodzi? Rozsiadł się wygodnie.

– Nie ufam swoim badaniom – odpowiedziała. Przez te kilka metrów zdążyła już wymyślić, według siebie całkiem wiarygodne, tym lepsze, że prawdziwe, tłumaczenie. – Obawiam się, że jeśli coś pójdzie nie tak, Kat stanie się...

– Wampirem?

Przerwał jej, zanim dokończyła. A chciała powiedzieć: zimnym, nieludzkim zabójcą, pozbawionym sumienia i litości – oczywiście te słowa padły tylko w wyobraźni i tam miały pozostać na zawsze. Skinęła potakująco.

– Nie musisz się obawiać. Kat nie zamieni się w wampira. Był rozluźniony i swobodny.

– Skąd masz tę pewność? – Zaintrygował ją.

– Wiesz, skąd się bierze surowica?

Chciała odpowiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu. Doktor Barrow miał

prelekcję i należało go słuchać z uwagą i szacunkiem.

– Koniom wstrzykuje się jad węża i potem pobiera od nich krew. Po obróbce jest ona podawana choremu. Słyszałaś, żeby ktoś po takiej terapii zamienił się w konia?

– To nie jest argument.

Zirytował ją, wymądrzał się, udawał wszechwiedzącego, a co mógł tak naprawdę wiedzieć o skutkach ubocznych leku, który dopiero co opracowała?

– Nie dotarło do ciebie, że jesteśmy innym gatunkiem? Pomimo że jesteśmy podobni do was fizycznie, mamy podobne zmysły i jak sądzę zbieżne geny, różnimy się jednak zasadniczo. Nie można zostać wampirem, przyjmując naszą krew, tak jak nie można zostać koniem po wstrzyknięciu surowicy. Wszystkie filmy i książki sprzedają wierutne bzdury, owoce wyobraźni autorów.

– Oświeć mnie. – Nie starała się być ironiczna. Na widok jego niezmaconej pewności siebie przybierała ten ton automatycznie. – Bo pojęcia nie mam, jak może zadziałać lek. Zapewne ty wiesz doskonale, w końcu od dawna znałeś jego recepturę.

– To, że nie wiem, jak się go wytwarza, nie znaczy, że nie znam skutków. – Zignorował jej jawne szyderstwo. – Aby stać się jednym z nas, potrzeba nieco więcej niż kilku zastrzyków. Zresztą miałabyś coś przeciwko temu, oczywiście zakładając teoretycznie, żeby twoja córka stała się nieśmiertelna? Obdarzona zmysłami, o których wam ludziom nawet się nie śniło? Dysponująca potęgą, przed którą ustąpić musi każdy przeciwnik?

– Zdecydowanie tak – odpowiedziała z absolutnym przekonaniem. – Nigdy bym sobie nie wybaczyła, że przyłożyłam do tego rękę.

– Dlatego na wszelki wypadek miałaś przygotowane swoje zabawki?

– Uśmiechnął się drapieźnie. – Moja dzielna dziewczynka wolałaby widzieć swoją córkę martwą, niż obdarzoną darami, których jej mózg nie zdołałby nigdy pojąć ani docenić. Cóż, to bardzo chwalebne.

– Darami? – Złość w niej zawrzała. – Przypominam ci, że to nie my jesteśmy obecnie gatunkiem ginącym. Tylko ktoś taki jak ty ma czelność nazywać darem wyspecjalizowany instynkt zabijania. Ile poematów stworzyła wasza rasa, ile zbudowała świątyń i skomponowała symfonii? Jesteście tylko doskonałymi myśliwymi i każda wasza wspaniała cecha ma wyłącznie jeden powód, dla którego ewoluowała: dopaść ofiarę. Nigdy bym świadomie nie skazała nawet najgorszego wroga na takie życie.

– Niewiele o nas wiesz. – Wydawał się zirytowany. – Dlatego wybaczam ci te bzdury, które powiedziałaś. Twój przodek nie wiedzieli, który koniec patyka

wetknąć sobie do nosa, gdy my już tworzyliśmy cywilizację. Może zapytaj się raczej o to, ile naszych świątyń zburzyli dzicy ludzie z maczugami, ile ksiąg spalili, niszcząc nasze miasta? Chcesz znać odpowiedź, dlaczego jesteśmy gatunkiem ginącym?

– Nie czekał aż odpowie. – Powód jest prosty. Rozmnażacie się jak króliki. Wasza masa zalewa cały świat, nie zostawiając marginesu dla innych istot. Miasta zepchnęły dzikie zwierzęta do rezerwatów, autostrady przecięły ich odwieczne trasy migracji, syf, który bezmyślnie wprowadzacie do wód, zabija nawet was samych. Ale i tak w ostatecznym rozrachunku wygracie, bo rozmnażacie się szybciej niż inne gatunki, oprócz szczurów i karaluchów oczywiście. Nas stworzono jako doskonałych myśliwych, jesteśmy na szczycie drabiny pokarmowej i dlatego nasz przyrost jest niewielki i ograniczony. Wy potrafiście zmylić naturę, najpierw przedstawiając się jako bezbronni padlinożercy, żeby, gdy tylko uzyskaliście przewagę, zamienić się w żądne krwi maszyny do zabijania. Jesteście groźnym wirusem, który opanował ziemię i mnoży się bez opamiętania, aż pożre sam siebie. Powiem ci, jak przychodzimy na świat, to powinno ostatecznie rozwiązać twoje wątpliwości. W ciągu stulecia rodzi się jedno dziecko, nie tysiąc ani milion, jedno jedyne, którego krew jest czystym darem Azdarotha. Do osiągnięcia wieku dwunastu lat zachowuje zdolność przemiany. Spośród was wybieramy kilku wyjątkowych ludzi i proponujemy, aby do nas dołączyli. Gdy się zgodzą ofiarujemy im krew naszego dziedzica, dar nieśmiertelności. Jeśli dziecko zginie za wcześnie, przez wieki nie możemy stworzyć swoich następców. Jak sama widzisz, nijak nie możemy konkurować z waszą rasą.

– Kim jest to dziecko? Człowiekiem?

Jego opowieść zafascynowała ją do tego stopnia, że postanowiła odłożyć na bok ironię.

– Nigdy – odpowiedział. – Jest jednym z nas.

– Jak się rodzi, skoro jesteście... – Nie dokończyła, choć słowo bezpłodni, samo cisnęło jej się na usta.

– Nie mamy pojęcia. Cuda nie są wyłączną własnością ludzi. Dlatego tak trudno jest znaleźć i ochronić przyszłą matkę i jej potomka.

– Tworzycie pary? – Ten temat z jakiegoś powodu niezwykle ją interesował. – A co się dzieje, gdy jedno ginie?

– Partner opłakuje go do końca życia, które bywa wtedy bardzo krótkie. Pograżeni w żałobie za wszelką cenę szukają śmierci, żeby ukoić ból po stracie. I odnajdują ją na różne sposoby. To dodatkowo wyniszcza naszą, już i tak

znikomą, populację. Ale nie da się zmusić do życia kogoś, kto tego nie chce.

– Ile jest prawdy w tym, że aby stać się wampirem, trzeba wcześniej umrzeć?

– Tyle samo co w opowieści o człowieku, który zmarł na krzyżu, a trzy dni później spacerował wśród przyjaciół.

– A więc to nieprawda?

– Martwi są martwi i takimi zostają, aż rozsypią się w proch. Nie chodzą, nie rozmawiają ani nie próbują zaciągnąć atrakcyjnych kobiet do łóżka.

Zmieszała się i lekko zaczerwieniła, na co odpowiedział swoim krzywym uśmiechem.

– Rozwiąłem wszystkie twoje obawy? Tylko ten problem wywołał ponurą zmarszczkę na twoim czole? Czy może jeszcze coś do dodania? – I poklepał łóżko koło siebie. Ten jednoznacznie obraźliwy gest sprawił, że odwróciła się na pięcie. Jakoś nagle straciła ochotę na kontynuowanie rozmowy, więc wróciła do Kat.

Reszta wieczoru upływała w rodzinnej, cichej atmosferze. Doktor Barrow właśnie czytał Kat bajkę, gdy zadzwonił telefon. Odebrała go w kuchni zaniepokojona, dlaczego Mat dzwoni o takiej porze.

– Wyjaśnij mi jak lekarz lekarzowi – zaczął obcesowo. – Co się u was dzieje?

Oj, dużo by mówić, pomyślała i odpowiedziała:

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli?

– Zapomniałaś, że mam z wami bezpośrednie połączenie? Macie awarię sprzętu?

– Wszystko w porządku. – Powoli zaczynało do niej docierać, o czym będzie rozmowa. – Nie ma żadnej awarii. Dostajesz właściwe odczyty.

– Wiesz, że to niemożliwe! – tłumaczył jej jak dziecku. – Lepiej kogoś wezwij i sprawdź. Od dwóch dni przesyłasz mi wzorcowe dane. Kat nawet w okresie względnej poprawy nie miała takich wyników.

– Sporo się zmieniło – odpowiedziała spokojnie, żeby nie wzbudzać podejrzeń. – Mam wrażenie, że rak się cofa.

– Wrażenie może robić piękna kobieta, a nie suche dane. – Albo jej się wydawało, albo naprawdę był wzburzony. – Prosiłem cię o fachową opinię, a nie o domniemania i myślenie życzeniowe. Rozmawialiśmy o prognozach, zdajesz sobie sprawę, że tego guza nie da się wyleczyć. Skąd więc takie odczyty?

– Powiedz mi szczerze. – Była cierpliwa i opanowana. – Czy ty jako onkolog z dość pokaźnym stażem i praktyką, nigdy nie byłeś świadkiem cudu? Nagłego ozdrowienia, kompletnej remisji rozwiniętego stadium?

– Nie – odpowiedział bez namysłu. – Co zrobiłaś?

– Oprócz żarliwej modlitwy, niewiele.

Nie miała najmniejszego zamiaru ani teraz, ani nigdy opowiadać mu o tym, co naprawdę zrobiła.

– Nie wierzę. Poznałem cię dobrze i wiem, że nie masz zwyczaju odpuszczać. – Musiała mu w duchu przyznać rację. – Lepiej, żebyś mi powiedziała prawdę, bo wydaje mi się, że zasłużyłem na szczerść.

– Chcę wrócić z Kat do szpitala – zbyła go, bo w tej chwili nie miała nic do powiedzenia. – Za dwa do trzech dni pojawię się u ciebie. Zrobimy badania i porozmawiamy szczerze. – Nie mogła sobie odmówić delikatnego pstryczka. – Tak jak na to zasługujesz.

– Trzymam cię za słowo – powiedział chłodno i pożegnał się zastanawiająco szybko.

Po tej rozmowie doszedł jej jeszcze jeden powód do zmartwienia. Natychmiast należało wymyślić wiarygodną historyjkę, którą nakarmi Mata, a znając go, powinna ona być przekonująca i logiczna. Tym bardziej jeśli sprawdziły się jej przypuszczenia i guz rzeczywiście zanikał.

Niekonwencjonalne metody leczenia? – myślała intensywnie. Odpada. Za bardzo kontrowersyjne. Najlepsza będzie wersja możliwie blisko trzymająca się prawdy. A więc lek, który opracowałam na bazie...

Nic mądrego nie przychodziło jej do głowy, więc z pełnym rezygnacją westchnieniem weszła z powrotem do Kat.

– Za trzy dni jedziemy do szpitala – zakomunikowała obcesowo, postanawiając raz na zawsze zakończyć owijanie wszystkiego w dziesięć warstw bawełny. Jak głupi był to pomysł przekonał ją widok skrzywionej buzi córeczki i łez na policzkach. Mimo to nie zaszlochała, nie zaczęła histeryzować – chociaż ten cichy płacz by jeszcze gorszy.

Doktor Barrow spojrział na Vic z wyrzutem. Widocznie jego teoria o przekazywaniu dzieciom prawdy działała bardzo wybiórczo i zależała od tego, czym owa prawda była.

– Musimy zrobić badania. – Z mówieniem takich rzeczy było podobnie jak z odrywaniem plastra. Im szybciej miało się to z głowy, tym lepiej, nie istniał żaden sposób, aby przekazywać takie informacje inaczej, łagodniej.

– Dzwonił Mat, on także chce cię zobaczyć. Czujesz się dużo lepiej, masz więcej siły, musimy po raz ostatni odwiedzić szpital. Upewnić się, że wszystko jest w porządku i nigdy już tam więcej nie wracać. Obiecuję.

Nie pomogło, usta w rozpaczliwą podkówkę były jedyną odpowiedzią. Doktor Barrow przejął inicjatywę.

– Zawrzyjmy umowę – powiedział. Kat spojrzała na niego zaintrygowana. Bez wątplenia umiał ją przekonać do wszystkiego i Vic poczuła brzydkie ukłucie zazdrości. – Za każdy dzień spędzony w szpitalu spełnię jedno twoje marzenie. Każde, nawet najgłupsze. Dasz się przebadać tak, jak robiłaś to już wcześniej, bez hysterii, odważnie. Pokażesz im wszystkim, jak dzielną dziewczynką jesteś, a za to... Możesz teraz popuścić wodze fantazji.

– Każde? – Kat nie dowierzała jego słowom, były zbyt piękne, aby mogły być prawdziwe.

– Absolutnie – powiedział z pełnym przekonaniem.

– Nawet najgłupsze?

Pokiwał potakująco głową, a Vic zaczęła mieć złe przeczucia.

– A jak będę chciała być piratem? – Zostaniesz.

– Kupisz mi psa?

– Powiedz tylko jakiej rasy. Bawił się doskonale.

– A jeśli... – Spojrzała na niego chytrze. Łzy obeschły, pozostała tylko pożerana ciekawością dziewczynka, której wyobraźnia nie miała granic.

– Poproszę cię, żebyś się ożenił z moją mamą?

Vic zamrużyła gwałtownie powiekami i wbrew sobie zaczęła czekać na jego odpowiedź, ciekawa, jak z tego wybrnie.

– Widzisz, Kat, tę prośbę spełniłbym natychmiast, dziś, w tej sekundzie, ale jest pewien problem. Popatrzył na Vic z krzywym uśmiechem. Nie lubiła jego wzroku, a najbardziej na świecie nienawidziła tego uśmiechu.

– Mama nie chce? – Kat popisała się nad wiek rozwiniętą domyślnością.

– Zgadłaś. Żaden ksiądz nie da nam ślubu, jeśli będzie krzyczeć, wierzgać i zapierać się jak osioł. Chyba że ją uspimy albo zahipnotyzujemy.

Spojrzał na nią wyzywająco.

– To ja już nie chcę. – Jej córeczka ruszyła z odsieczą. – Jeśli mama, wbrew naszej woli, powie nie, chociaż nie powinno się odmawiać niczego swojemu choremu dziecku...

Zawiesiła głos i spojrzała na nią badawczo.

– Oboje oszaleliście, a ty wstrętny, rozkapryszony bachorze nie szantażuj mnie swoją chorobą. Co za paskudne dziecko – powiedziała Vic, podejmując rękawicę. – Ciekawe, kto podmienił na ciebie moją ukochaną córeczkę, która nigdy by mnie nie swatała w taki sposób. Musisz być skrzatem lub krasnoludkiem. Złośliwym trollem. Zaraz cię odczaruję.

– Panie doktorze! – pisnęła roześmiana Kat. – Krzywdzą!

– Nie mam z tym nic wspólnego. – Odwrócił wzrok i szukał czegoś na suficie.

– Ale przypominam, jesteście nagrywane, mam w garści niezbity dowód na to, że jestem jedyny, który tu nie stracił zupełnie rozumu.

Dowód na to, że ciebie tu w ogóle nie ma, pomyślała Vic.

Po żalu, płaczu i rozpaczycy nie pozostał nawet ślad. Do samego pójścia spać mała kombinowała i wymyślała coraz bardziej idiotyczne życzenia, wypróbując ich cierpliwość, aż zmęczona odesłała ich na górę.

– Idźcie już sobie – powiedziała, ziewając. – Muszę się jeszcze zastanowić.

Vic pocałowała ją w czoło i poszła do swojego pokoju. Miała wiele spraw do przemyślenia, a jeszcze więcej takich, które natychmiast powinna rozwiązać.

Na zewnątrz ołowiane niebo niosło pierwszą zimową śnieżycę. Na sam widok tego, co działo się za oknem, zrobiło jej się zimno. Otuliła się szczelnie pledem, zapaliła lampkę przy biurku i wróciła do lektury.

Sterna listów oraz pism po jej lewej ręce nie zmaląła, mimo iż co najmniej godzinę poświęciła na ich czytanie. Każdy z nich niósł zapowiedź burzy, która mogła skutkami dorównać śnieżycy na zewnątrz.

Niespłacone raty kredytów, ponaglenia z banków, przekroczone salda debetowe, brak wpłat za energię, zawalone doszczętnie terminy opłat za telefony. Same doskonałe i podnoszące na duchu wiadomości.

Każda z białych kopert zawierała kolejny gwóźdź do trumny jej samopoczucia. Jednak po dwóch miesiącach całkowitego ignorowania rzeczywistości musiała się zmusić do powrotu w nieprzyjazne realia; w przeciwnym razie skończy, o czym dobitnie informowała ją co najmniej jedna trzecia korespondencji, w więzieniu. Taka perspektywa nie wydawała się w tym momencie najciekawsza.

Na kartce obok zapisywała najpilniejsze ze spraw i nie dało się ukryć, iż właśnie dochodziła do końca wolnego miejsca. Jej niemała fortuna wyparowała. Kompletnie. Była splukana, bez grosza przy duszy, za to z długami aż po horyzont. Zdecydowanie nie było dobrze. Sama do tego doprowadziła, nie pilnując swoich finansów. Automatycznie przesyłane przelewy z comiesięczną pensją Eve, pielęgniarek i gosposi, koszty leków oraz najważniejsze opłaty regularnie opróżniały konta bez jej kontroli, co gorsza świadomości.

W ponurym nastroju otworzyła pudełko czekoladek leżące awaryjnie w biurku, ale nawet mdląca obfitość słodczy nie była w stanie podnieść jej na duchu.

Znów spojrzała w okno. Nieprzenikniona ściana nadchodzącej zawiści była znacznie lepszym widokiem niż biała wieża obok. Cały świat zatonął w szarej poświacie, w której zaginęła ona, jej dom i cały ten bałagan nagromadzony mimochodem.

Zanim zorientowała się, że za nią stoi, poczuła znajomy zapach. Odwróciła się

i spojrzała na niego zirytowana. Nie usłyszała, jak wszedł, co akurat nie było niczym zaskakującym.

Miała zamiar powiedzieć mu, że wpadł nie w porę, dodać, jak bardzo jej teraz przeszkadza, ale nie wykrztusiła z siebie ani słowa.

Ubrany w aksamitnie głęboką czerń, od której idealnie odbijała się blada twarz, stał w drzwiach i patrzył na nią bezczelnie. Milczał, a w jego oczach płonęło coś pierwotnego i ludzkiego zarazem.

Chciała wstać, zatrzasnąć mu drzwi przed nosem, jednak jego wzrok sprawił, że nie była się w stanie ruszyć. W kolanach poczuła słabość, powoli pnącą się ku górze. Serce przyspieszyło, spłycony oddech odpowiedział na jego wzrok szybciej, niż była w stanie nad nim zapanować.

Co się dzieje? – pomyślała spanikowana, ale jakaś cząstka jej umysłu doskonale знаła odpowiedź.

Można ją było bez trudu znaleźć niedbale ukrytą w jego wzroku, w sposobie, jak na nią patrzył, w lekko rozchylonych ustach.

To, co dostrzegała w szarych oczach, przerażało bardziej niż pulsujące czerwienią spojrzenie wampira. Jawne i gwałtowne pożądanie.

Jej ciało odpowiedziało za nią.

Pierwotny zew emanujący z jego wzroku poruszył odległą, zamkniętą szczelnie w umyśle strunę, która teraz przejęła nad nią kontrolę, obalając wszystkie bariery i mury z siłą lawiny.

– Czego chcesz? – wyrzuciła z siebie, czując dotkliwą suchość w ustach. Nawet głos, zdrajca, nie chciał słuchać jej poleceń i zadrzał.

– Przecież wiesz... – powiedział z drwiną w głosie.

A jej, zamiast złości, dreszcz podniecenia przebiegł wzdłuż kręgosłupa. Po ostatnim epizodzie obiecała sobie, że już nigdy nie pozwoli mu wykonać żadnego gestu, przekroczyć granicy bliskości. Powinna za wszelką cenę pozostać zimna i opanowana. Okazało się to łatwe. W teorii.

Znalazł się przy niej. Patrzył na nią z góry, a ona nie odważyła się ponieść wbitego w podłogę wzroku i odpowiedzieć stanowczo na jego aroganckie, zuchwałe spojrzenie, które paliło ją poprzez skórę, głęboko w środku.

Jego oddech na karku...

Szeptane słowa, które sprawiały, że roztapiała się powoli, znikająca, ogarnięta dziwną gorączką.

Kontrolę nad jej ciałem przejęła jakaś obca Vic, która czekała na to od tak dawna. Dzika, absolutnie pierwotna istota owładnięta tylko jedną myślą. Jednym pragnieniem. Czekająca na obiecaną nagrodę, która tym razem nie może jej się

wymknąć.

Wszystko, co nastąpiło potem, nie miało prawa się wydarzyć. Nie powinno było się wydarzyć.

Klęknął przed nią, a jego usta znalazły do niej drogę.

Zamknęła oczy i zapadła się w pustkę.

Najpierw był tylko zapach. Zapach jesiennej polany przed burzą. Zapach namiętności wsączającej się niczym kwas prosto w żyły. I serce pompujące truciznę zapomnienia.

Później doszedł do tego smak – słodki smak zatracenia, niedopowiedzianej obietnicy.

Chwycił ją brutalnie za szyję i przyciągnął do siebie. Zsunęła się z fotela wprost w jego objęcia. Usta odnalazły się, rozpalone ogniem tańczącym w ich ciałach.

Jego długie palce budziły do życia dawno zapomniane rozkosze i te nowe, których dopiero stawała się świadkiem.

Obudzona do życia wszystkimi swoimi receptorami skóra żądała fizycznej bliskości. Rozerwała mu koszulę, przywierając rozdygotana do jego nagiego torsu.

Pragnęła go teraz, pożądała, jak żadnego mężczyzny wcześniej, jednocześnie nienawidząc się za to uczucie. Wiedziała przecież, że po wszystkim nie będzie w stanie na siebie spojrzeć. Ale jej rozsądek został zduszony pocałunkami, które odbierały dech, nie dając w zamian nic oprócz dojmującej pustki wewnątrz. Pustki domagającej się natychmiastowego wypełnienia.

Zapadała się w ciemność zniewalającą zmysły. Świat wokół zawirował.

Cicho czekała na całe zło, jakie mógł jej ofiarować, dlatego pokornie poddała się jego woli, gdy rozpiął jeden po drugim guziki bluzki, odtrącając jej niecierpliwe dłonie.

Z całą bezwzględnością przeciągał każdą sekundę, patrząc na nią zmrużonymi oczami. Cyzelował, bawił się wręcz, gdy ona właśnie umierała, czekając na jego dotyk.

Odsunął się i oparty na łokciach patrzył na jej stojące w płomieniach ciało. – Naprawdę tego chcesz? – zapytał, z okrucieństwem przedłużając męczarnie.

Nie była mu w stanie odpowiedzieć, jej usta zrobiły to za nią. Bez słów. Czas się zatrzymał i była tylko ona unoszona szaleństwem zmysłów. Zachłysnęła się nim, odkrywała w sobie nowe brzmienia i smaki, które spijał z niej, sprawiając, że coraz bardziej brakowało jej tchu. Osuwała się ku zatraceniu i nie było już niczego, co mogło ją powstrzymać przed upadkiem.

Wbiła paznokcie w jego nagie plecy. Odpowiedział jej brutalnie, ale tego właśnie pragnęła. Tylko tak mógł powstrzymać ból, który czuła, płynący obnażonymi końcówkami wszystkich nerwów.

I gdy pomyślała właśnie, że więcej już nie znieśie, nie wytrzyma napięcia, stali się jednością. Nie krzyknęła, nie potrafiła. Razem z rozdzierającą każdą komórkę mózgu błyskawicą rozkoszy nadeszły łzy. Zamknęła oczy, odpływając w niebyt, a one płynęły po policzku cieniutkim strumyczkiem.

Starł je wierzchem dłoni.

ROZDZIAŁ XI

Obudziła się sama po krótkiej, niedającej odpoczynku drzemce. Rozejrzała się, rozpaczliwie szukając tego, któremu udało się zeszłej nocy całkowicie ją usidlić i opętać. Co najgorsze, za jej zgodą.

Co ja najlepszego zrobiłam? – pomyślała, biorąc szybki prysznic.

Spojrzała w lustro i zobaczyła nową inną siebie.

Płonące gorączką oczy, zaróżowione policzki i blask bijący z twarzy oczywiście umknęły jej uwadze. Zamiast tego dostrzegła zapadniętą, zbyt szczupłą twarz oraz podkrążone oczy, wynik nocnego...

Nie mogę o tym myśleć, skarciła się gwałtownie, i nie cofnę tego, co się stało.

Za każdym razem, gdy nieposłuszna pamięć podsuwała kolejne wspomnienia i jej wstyd rósł, czuła się coraz bardziej upokorzona, sprowadzona do roli zabawki. To, co robiła, jak się zachowywała, przerażało ją bardziej niż wszystkie, możliwe do przewidzenia, konsekwencje nocy spędzonej z wampirem.

Rumieniec wstydu wypełził na twarz, gdy przed oczami pojawił się jeden z niechcianych obrazów. Udało mu się dotrzeć do jej pierwotnego, zwierzęcego ja, które bez względu na wszystko dopominało się tylko zaspokojenia. Z opanowanej, zimnej kobiety, o żelaznej woli pod wpływem jego dotyku przeistoczyła się w tajfun emocji. Zasmakowała doznań, o których do tej pory nie wiedziała nawet, że istnieją.

Nigdy nie wolno płakać nad rozlanym mlekiem, przypomniały jej się słowa matki.

Łatwo jednak było tak powiedzieć, łatwo pogodzić się z tym, co się stało. Gorzej, gdy decyzja o wpuszczeniu do łóżka największego wroga, mogła zaważyć na życiu jej i córki.

Cała sytuacja zrobiła wolte o sto osiemdziesiąt stopni, musiała więc dokonać rozsądnej analizy i przegrupować swoje wojska. Z jej dawnych planów nie został nawet ślad. Zniszczyła je, pogrzebała razem z chłodem, który roztapiał dotyk jego ust.

I za to powinna włożyć na siebie włosiennicę i rozpocząć samobiczowanie.

– Ty bezmyślna idiotko, kretynko – powiedziała do siebie na głos. – Jak mogłaś?

– Też uważam, że było nieźle – odpowiedział jej głos za plecami. – Całkiem

zaskakująco, że tak powiem.

– Nieźle? – zapytała z niedowierzaniem i odwróciła się do niego, pałając żądzą mordy.

Pokiwał głową potakująco, a w jego oczach zobaczyła ironiczne uznanie.

– Nie oczekuj komplementów po pierwszym razie, bo albo zapeszysz, albo spoczniesz na laurach. A prawdziwa kobieta powinna się starać cały czas.

Bezczelność wampira przebrała wszelką miarę.

– Ty wstrętna kreaturo!

Nie zdobyła się na inny argument oprócz starannie wymierzonego policzka.

Oczywiście był szybszy i złapał ją za rękę.

– Tę grę musimy odłożyć na później – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Jeśli posuniesz się dalej, utkniemy w sypialni na cały dzień. A tego byś pewnie nie chciała.

Cofnęła się i – gdy puścił nadgarstek – skrzyżowała ręce przed sobą.

– Daj mi przejść – syknęła.

Odsunął się, przepuszczając ją przez drzwi.

Ciekawe, jak mogłam iść do łóżka z kimś, kogo do tego stopnia nienawidzę, pomyślała, przesuając się obok niego.

Musiała uważać, aby przez przypadek ich ciała się nie zetknęły, mogłoby wówczas dojść do samozapłonu.

– Wyjdz, muszę się ubrać – powiedziała chłodno, choć do tego uczucia było jej równie daleko jak do rozsądku.

Jego obecność zdecydowanie źle na nią wpływała.

– Wiesz, mnie to specjalnie nie przeszkadza – odpowiedział, swobodnie rozsiadając się w fotelu. Patrzył na nią spod zmrużonych powiek, a ona miała wrażenie, że nocna fala wraca do niej z podwójną siłą.

– A mnie zdecydowanie tak, nie osiągnęliśmy jeszcze odpowiedniego stadium bliskości. – Złapała się na tym, że mówi przez zaciśnięte zęby.

– I tu pozwolę się z tobą nie zgodzić. – W żywe oczy z niej drwił – Dzisiejszej nocy przekroczyliśmy wszystkie stadia i parę innych, o których mi się nawet nie śniło.

Otworzyła szafę i zajęła się wybieraniem ubrań, postanowiła go kompletnie ignorować, licząc, że się znudzi i sobie pójdzie.

Zupełnie nieświadomie wybrała czarny, wełniany golf, spodnie w tym samym kolorze i swoją ulubioną koszulę. Z rzeczami przewieszonymi przez ramię odwróciła się, żeby iść do łazienki, i mimowolnie wybuchnęła śmiechem. Miał na sobie czarne spodnie i golf, na który założył koszulę.

Zdecydowanie tego poranka zbyt wiele ich łączyło.

Wrzuciła rzeczy z powrotem do szafy i wybrała na chybił trafił zupełnie inny komplet. Zamknęła starannie za sobą drzwi od łazienki i szybko wbiła się w ubrania.

Powstrzymała chęć uczesania włosów i użycia odrobiny pudru. Głęboko, poza logiką i rozsądkiem, odkryła w sobie odwieczną potrzebę podobaania się mężczyźnie, który dawał jej tak wiele, jednak uznała, że byłoby to grubą przesadą, sugerującą, jak pustą, próżną jest kobietą.

Czekał na nią w tej samej pozie, w której go zostawiła. Bawił się nożem do rozcinania kopert.

– Kłopoty? – zapytał, wskazując ostrzem stertę listów.

– Jak zwykle – odpowiedziała. – Muszę iść do Kat, przyłączysz się?

– Jeszcze śpi. My natomiast mamy do omówienia kilka poważnych spraw.

– Nie mogą poczekać?

Jak na dwa dni miała dosyć problemów, a jednym z najpoważniejszych był pewien rozparty w jej fotelu wampir.

– Nie – odpowiedział stanowczo. – Potrzebny nam plan. W tym całym szaleństwie możesz zapomnieć o kilku kwestiach i dlatego wolałbym wiedzieć, na czym stoję, tym bardziej że...

Wyjął z kieszeni kopertę opatrzoną czerwonymi stemplami i rzucił ją na łóżko. Dawno temu doręczył ją ponury mężczyzna w garniturze.

Zwinął ją, pomyślała, patrząc na niego krzywo. Po prostu wszedł i ukradł list adresowany do mnie.

– O co chodzi?

Skąd wiedział, że urzędowe pismo nie zawiera informacji o wygranej na loterii?

Jest siódma, a ja już mam kolejny problem do rozwiązania, pomyślała.

I ten dzień zdecydowanie przestał jej się podobać.

– Informują w nim, że ostatecznie do połowy grudnia musisz opuścić nieruchomość. Po tym czasie zostaniesz przymusowo eksmitowana, ponieważ zamierzają przeprowadzić próbne zalanie. – W zimie? – zdziwiła się.

– Widocznie czas ich goni. Miasteczko, jakbyś nie zauważyła, jest puste, tama po drugiej stronie jeziora prawie ukończona. Pozostaje tylko odkręcić kurki i sprawdzić, co się stanie. – Idiotyczny termin.

– Możliwe, ale zostało ci – poprawił się – nam mało czasu, jeśli zaleją choćby część terenu, nie uda ci się wywiązać ze swojej części umowy...

– Mówiłeś, że mam uwolnić wampiry?

– To nie jest tak dosłownie. – Był lekko zniecierpliwiony, jakby irytowało go tłumaczenie jej rzeczy oczywistych. – Zamknięto ich w jaskini po drugiej stronie jeziora. Musimy się tam dostać, zanim woda zaleje wejście.

– A jeśli nie zdążymy? – Nie prowokowała go, była po prostu ciekawa, co odpowie. Spojrzał na nią z uwagą, szare oczy przyciemniły błyski purpury. Szykowały się kłopoty, ale brnęła dalej, chciała poznać jego prawdziwą naturę i granicę do jakiej może się bezkarnie posunąć.

– Masz szczęście – odpowiedział, powoli cedząc słowa – że po tym wszystkim.. To, co planujesz, oznacza, że bardzo się w stosunku do ciebie pomyliłem. – Twój problem – odpowiedziała, obserwując, jak tęczęwki z wolna zamieniają się w dwa pulsujące czerwienią ognie.

– Nie próbuj mnie wyprowadzić z równowagi – powiedział cicho. – Ani rozpoczynać ze mną starych gier. Odpowiedz jednoznacznie, zamierzasz wywiązać się z umowy, czy nie? – A mam inne wyjście? – zapytała zimno.

Wstał i odwrócił się do okna. Widocznie uznał, że nie powinna go widzieć w takim stanie, nie chciał, żeby spojrzała mu w twarz. Tym razem nie udawał, był naprawdę zły, czego najlepszym dowodem było panujące w pokoju ciężkie milczenie. Żarty, ironiczne ukąszenia i lekki ton wzajemnych docinków odeszły w zapomnienie. Czekał na odpowiedź. Nie chciała tego przedłużać. Wiedziała, że musi dokończyć, zamknąć ich umowę i zrobić to, czego od niej oczekiwał. Ich wzajemne relacje może i zmieniła poprzednia noc, jednak on nadal był wampirem, więc nie mogła sobie pozwolić na ryzyko spotkania się z jego złością oraz rozczarowaniem. Na pewno nie wtedy, gdy Kat nie była jeszcze zupełnie zdrowa i znajdowała się pod tym samym dachem..

– Możesz być spokojny. Zrobię to – odpowiedziała.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłem – skłamał gładko.

– Takie są zasady – powiedziała. – Umów, nawet tych niewygodnych, należy dotrzymywać.

– Cytujesz nasz kodeks.

Już wszystko było w porządku. Odwrócił się z powrotem i tylko uważny obserwator dostrzegłby poszerzone czerwone żyłki w jego stalowoszarych oczach.

– To wszystko, o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Na to wygląda. – W pokoju zrobiło się chłodniej. – Pozostaje tylko kwestia terminu.

– Za trzy dni Kat jedzie do szpitala, badania zajmą koło pięciu dni, ale odpowiedź, czy guz się cofnął, możemy poznać od razu. Wykorzystam ten czas

i uwolnię twoich braci. Ustalmy termin na siódmego grudnia, do tego czasu zdążę uporządkować swoje sprawy.

– Odpowiada mi to. Zyskamy więcej czasu, żeby prowadzić nasz własny, mały eksperyment.

Uśmiechnął się. Widmo gniewu zniknęło tak samo jak krwawe błyski z tęczy, mimo to wstrząsnął nią wewnętrzny dreszcz wywołany lękiem, podświadomie obecnym przez cały ten czas. Lękiem, który w świetle dnia przeradzał się w niepokój, aby później, im słońce wschodziło wyżej, zamienić w lekceważące wzruszenie ramion i pogardę za poddawanie się niczym nieuzasadnionym emocjom. Gdy jednak nadchodził wieczór, a z nim noc wydłużająca cienie, on wracał, stając się z powrotem duszącym, obezwładniającym pytaniem – co dalej?

Dlatego tym razem jego słowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia, nie zmusiły serca do wywrócenia koziółka. Strach, który ścisnął jej żołądek, gdy patrzyła na jego plecy i zastanawiała się nad tym, do czego jest zdolny, zabił całkowicie podniecenie.

Obcy nie był sympatycznym doktorem Barrowem – namiętym kochankiem, cudownym opiekunem Kat. To był El'lar z rodu Hanedar – nieśmiertelny wampir.

Istota tak niebezpieczna, że dwudziestu wytrawnych, szkolonych łowców nie mogło sobie z nim. Tak stara, że znane jej były wszystkie podstępny tego świata. Tak potężna, że na samą myśl o jego zemście oddech niemal zamierał w okolicach przepony.

Nie mogła sobie pozwolić, aby oszukały ją pozory.

Oswojona przez niego, oślepią rodzącą się namiętnością nie powinna nigdy zapomnieć, że ma drugie oblicze, które starannie ukrywał wpatrzony w biały puch za oknem.

Bez słowa wyszła, zamykając za sobą drzwi. Dopiero teraz wzięła głębszy oddech. Tak naprawdę nie bała się go – jeszcze.

Miała jednak pewność, że nadejdzie dzień, w którym gorzko pożałuje zawartego kontraktu. Dzień, w którym wampir nie odwróci się do okna, a ona stanie z nim oko w oko. Wtedy dopiero zrozumie, czym jest prawdziwy strach. Ale nie śmierci się wtedy będzie bać, lecz tego, co ją będzie czekało, zanim kły rozszarpia jej gardło.

Zeszła do Kat i przybrała swój codzienny uśmiech. Córka nie powinna się zorientować, że matka ma problemy. Tyle przynajmniej była jej winna. Zajęta przygotowaniem śniadania myślała intensywnie. Po obserwacjach, jakie robiła na sobie, zauważyła, że wraz z upływającym czasem maleje skuteczność krwi

Obcego.

Po pierwszej próbie, gdy przecięła dłoń, rana i blizna zniknęły niemal natychmiast. Po drugiej, rana zagoiła się dużo szybciej niż normalnie, ale pręga na ramieniu nie zniknęła. Dlatego musiała być ostrożna z dawkowaniem leku, aby nie dopuścić do jego przedwczesnego usunięcia z organizmu. Termin badań Kat wypadł według niej zdecydowanie zbyt blisko granicy bezpieczeństwa. Należało się więc upewnić, że wystarczy zapasów krwi na każdą ewentualność, nawet terapię trwającą rok, chociaż na szczęście dawka potrzebna do wytworzenia leku nie była duża. Niemniej jednak powinna zatroszczyć się już teraz o odpowiednią rezerwę.

Zniosła Kat śniadanie i szeptem do niego powiedziała:

– Znowu potrzebuję krwi.

Kiwnął głową na znak, że się zgadza. Tym razem pobrała dużo więcej niż zwykle, przez ułamek sekundy wydawało jej się, że spojrzął na nią zdziwiony, gdy tłok przekraczał kolejne poziomy na skali, ale nic nie powiedział.

Zostawiła go z córką i wróciła do laboratorium. Znowu utknęła w jakimś idiotycznym, błędnym kole. Nie mogła zrobić dużego zapasu samego leku, bo nie wiedziała, jaki ma termin przechowania. Nie mogła zostawić samej krwi, bo musiałaby zdradzić recepturę. Czysty absurd.

Usiadła, a ręce jej opadły z bezsilności. Wtedy przyszedł jej do głowy doktor Benjamin Kent. Tylko on mógłby zostać strażnikiem receptury, potrafiłby na jej podstawie sporządzić lek i podałby w razie czego jej dziecku.

Postanowiła na spotkaniu z nim poruszyć jeszcze jedną kwestię.

Ciekawe, jak mu się to spodoba? – pomyślała.

I wykorzystując kilka minut świętego spokoju, postanowiła załatwić parę spraw ze szczytu czarnej listy – jak ją zaczęła nazywać w myślach. Najpierw należało zdobyć pieniądze. Rozwiązanie w gruncie rzeczy było proste, ale nie chciała z niego korzystać. Nie wyobrażała sobie, że dzwoni do Jane i Marka z prośbą o wsparcie. Pierwsze, co jej przyszło do głowy, to poszukanie gotówki w każdym możliwym miejscu.

Zaczęła od banków, w których miała konta. Rozmowy nie były łatwe, biorąc pod uwagę, że skandalicznie przekroczyła wszystkie dopuszczalne terminy. Miała wrażenie, że pętla na gardle coraz mocniej się zaciska.

Zmęczona jałowymi dyskusjami doszła do wniosku, że ma poważniejsze sprawy niż odsetki, upomnienia i monity. Nie była w stanie nieść na swoich barkach wszystkich problemów tego świata i postanowiła poprosić o pomoc.

Zadzwoiła do posiadłości teściów i zażądała rozmowy z Markiem.

Nie wydawał się zaskoczony tematem rozmowy.

– Możesz mi polecić kogoś, kto poprowadzi moje sprawy finansowe? – zapytała.

Nie, bo każdy doradca zedrze z ciebie skórę. Jeśli chcesz sensownej rady i pomocy, mogę ci polecić swojego asystenta. To bardzo zdolny, młody człowiek. A co się dzieje?

– Pogubiłam się. – Przyznanie do tego sporo ją kosztowało. – Od czasów, kiedy Kat wróciła do domu, zaniedbałam sprawy finansowe i utknęłam w bagnie po uszy – Potrzebujesz pieniędzy?

– Nie, potrzebuję tylko rady – odparła może nieco zbyt obcesowo, więc postanowiła złagodzić ton. W końcu to ona prosiła go o pomoc, a nie odwrotnie. – Sądzę, że powinnam sobie poradzić z tym, co mi zostało.

– A cokolwiek zostało? – Był zaskakująco przenikliwy.

– Właśnie tego nie wiem – skłamała. – Aby mieć pewność powinnam zrobić rundę po bankach, sprawdzić swoją sytuację, ale jak się zapewne domyślasz, szkoda mi na to czasu.

– Dam ci telefon do niego, porozmawiajcie i gwarantuję, że jeśli istnieje jakieś rozwiązanie, on na pewno je znajdzie w ramach zwykłej przysługi.

– Dziękuję ci – powiedziała, pewna, że skorzysta z oferty. Oczywiście linia telefoniczna pomiędzy teściem a jego asystentem na pewno zrobi się gorąca od przekazywanych rewelacji na temat jej sytuacji finansowej, ale tym razem duma musiała ustąpić praktycznemu podejściu do życia. Tak było lepiej i wygodniej.

– Chcesz jeszcze porozmawiać z Jane?

Już miała zaprzeczyć, lecz nagle wpadło jej coś do głowy.

– Tak, proszę.

Po drugiej stronie zapadła cisza i po chwili kobiecy głos zapytał z nadzieją.

– Dowiedziałaś się czegoś?

– Niestety... Dzwonię w innej sprawie. Mam poważny problem.

– Jeśli tylko będę mogła, coś dla ciebie zrobić.

– Nie dla mnie – powiedziała szybko. – Dla Kat.

Po drugiej stronie zapadło pełne oczekiwania milczenie, ale Vic nawet tutaj, w zamkniętym laboratorium, nie czuła się bezpieczna. On zawsze był zbyt blisko.

Spotkajmy się koło czwartej w mojej przychodni. Wytłumaczyła jej dokładnie, gdzie ma się udać i skończyła rozmowę. Plan, jaki powoli układała w głowie, był desperacki, być może nawet szalony, lecz oprócz niego nie miała nic.

Westchnęła głośno i wystukała zapisany na kartce numer. Odezwał się miły,

męski głos. Przedstawiła się i od razu przeszła do rzeczy. Wysłuchał jej, zaczął zadawać konkretne pytania, odpowiedzi zaś przyprawiły ją o spoczone dłonie oraz lekkie kołatanie serca.

Mój Boże, co on o mnie sądzi? – pomyślała. Zawaliłam tak wiele spraw.

Uspokoił ją jednym zdaniem.

– Poprowadzę pani sprawy, jeśli jeszcze dziś dostarczy mi pani kopie rachunków i listów.

Nadszedł najgorszy moment.

– Nie chcę – powiedziała spokojnie – wprowadzać pana w błąd. Marc w ogóle nie powinien wiedzieć o tej sytuacji i absolutnie nie będzie regulował zaciągniętych przeze mnie zobowiązań. W tej sprawie muszę poradzić sobie sama lub, jeśli będzie pan tak miły, z pańską pomocą. Okoliczności nie wyglądają dobrze. Z tego, co wiem, obecnie nie dysponuję żadną rezerwą gotówki. Zrozumiem, gdy w tej sytuacji wycofa się pan z naszej współpracy.

– Nie biorę tego nawet pod uwagę, a pani sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Na przykład możemy zastawić lub spieniężyć pani wysoką polisę na życie. Proszę się nie martwić na zapas, spróbuję najmniejszym kosztem rozwiązać te sprawy. – Jego słowa podziały niczym okład na skołatany umysł. Vic w myślach podziękowała sobie za genialny pomysł zwrócenia się po pomoc i nieco spokojniejsza wróciła do domu.

Czekało ją jeszcze obmyślenie wymówki, która pozwoliłaby bez wzbudzania podejrzeń, czmychnąć z domu koło drugiej. Pomysł, jak to zwykle bywa, pojawił się na poczekaniu.

– Muszę dziś wyjść – powiedziała do Kat. – A ty zostaniesz ze swoim ulubionym panem doktorem. Jego nie zabieram.

– Dokąd idziesz? – Był szybszy i ubiegł jej córkę, która tylko spojrzała na nią z ciekawością.

Nie chce ci zawracać głowy swoimi sprawami – powiedziała, patrząc na dziecko. Jawnie ignorowała jego obecność.

– Powiedz. – Kat przejęła pałeczkę. – Jestem ciekawa.

– Czujesz się coraz lepiej, więc muszę załatwić kilka spraw, zanim się stąd wyprowadzimy. Już dawno temu powinnam opróżnić przychodnię. Wykorzystam dzisiejszy dzień i zabiorę stamtąd wszystkie rzeczy. Chyba że – teraz mówiła do obojga – macie coś przeciwko temu? Równie dobrze mogę to załatwić każdego innego dnia.

– Dobrze, mamusiu. – Kat zgodziła się łaskawie. – Ale obiecaj, że nie będziesz tam za długo.

– Kochanie, a ileż czasu zajmie mi zebranie dokumentów? Dwie, góra trzy godziny. Poradzicie sobie doskonale beze mnie.

Tego akurat była pewna. Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że Kat o wiele lepiej się bawi z doktorem Barrowem, niż z wiecznie zatroskaną matką.

Ich wzajemne relacje były zaskakujące.

Dla Kat wampir zamieniał się w tak doskonałego opiekuna, o jakim nawet nie mogłaby marzyć. Cierpliwy, spokojny pozwalał małej na wszystko i spełniał jej zachcianki. Sam wymyślał ciekawe gry, szukał dobrych książek, które miał zwyczaj czytywać na głos wieczorami. Był równocześnie niebywale troskliwy i ciepły. Idealny niania.

A mała była zapatrzona w niego jak w obraz. Nie da się ukryć, że Vic czuła się odrobinę zazdrosna o więź tych dwojga. Do tej pory ona była w centrum uwagi swojej córeczki, to ją widziała, zasypiając i przy niej się budziła. Razem rozmawiały i śmiały się z różnych zabawnych wydarzeń. Od pewnego czasu pierwszym pytaniem Kat tuż po otwarciu oczu było: – Gdzie jest pan doktor?

I nie interesowały jej żadne wymówki. Miał być przy łóżku i zabawiać ją, a Vic mogłaby robić, co jej się żywnie podobało. Już nie była tą jedyną. Z jednej strony było to wygodne, choć bolało jak cholera.

Zupełnie inną kwestią było jego zachowanie. Dlaczego pozwalał sobie na to, żeby mała dziewczynka całkowicie zawłaszczyła jego czas i godził się bez protestów na bycie opiekunką? On, którego jedyną pasją do tej pory było polowanie na ludzi, teraz grywał z Kat w warcaby, oglądał filmy i wymyślał przeróżne rozrywki. To było tak niepodobne do tego, co Vic wiedziała i sądziła o wampirach, że zaczynało budzić podejrzenia. Tak jakby jej córka wyrwała kły wściekłemu lwu i zrobiła z niego pluszowego kotka. A on zgodził się na to bez protestów, stając się grzecznym, potulnym wampirem.

Za nic nie pasowało to do obrazu mrocznego El'lara. Istoty, która, gdy była wściekła, odwracała twarz, bo żaden człowiek nie był gotów, aby spojrzeć w jej oczy. Nieodrodnego syna demona i najwierniejszego sługę piekielnej córki kompletnie oswoiła, zmuszając do zabawy lalkami.

Mogła to dla świętego spokoju złożyć na karb niezaspokojonego instynktu ojcowskiego, ale coś jej mówiło, że prawda może wyglądać nieco inaczej.

– Jeśli chcesz, przyjdę po ciebie – powiedział doktor Barrow. – Na pewno będziesz miała sporo rzeczy do zabrania.

– Nie ma mowy – odpowiedziała nieco za szybko, więc spojrzał na nią zdziwiony. – Nie możemy jeszcze zostawiać Kat samej, w razie czego poproszę Benjamina o pomoc, podrzuci mnie do domu, jak sądzę, on także chciałby się

pożegnać ze starymi kątami.

Prawdopodobnie udało jej się go przekonać. Ale pewności nie mogła mieć nigdy.

Przed drugą zaczęła się zbierać. Nie zapomniała o niczym, a do podręcznego plecaka włożyła księgę brata Jakuba – na wszelki wypadek. Zostawiła na stoliku kolejną dawkę leku dla Kat i ubrana na cebulkę, ruszyła do wyludnionego miasteczka.

Nie było sensu kłamać i oszukiwać, gdyby chciał poznać cel jej wyprawy, nic by go nie powstrzymało. Wtedy byłoby jeszcze gorzej.

Przyspieszyła kroku. Spustoszone domy straszyły wybitymi oknami, sterty śmieci pokrywające ulice przykryła cienka warstwa śniegu. Dookoła było pusto i przygnębiająco.

Miasteczko ostatecznie umarło, konając w samotności i opuszczeniu. Gdy przemierzała dobrze znaną trasę, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że z żywych pozostały już tylko ona i Kat – dwie samotne istoty w głuchej ciszy, wśród ruin przesiąkniętych zapachem rozkładu. Nie podobało jej się to, co widziała. Jeśli do tej pory miała jakiegokolwiek obiekcje przed wyjazdem stąd na zawsze, teraz umknęły, przepłószone obrazami, które wpędzały w depresję.

Wraz z odejściem mieszkańców nie zostało nic, co chciałyby zapamiętać.

Przysypany cienką warstewką bieli szkielet ich ulubionej restauracji. Skwer zawalony gruzem, spod którego wystawała dłoń powalonego pomnika, skierowana oskarżycielsko ku niebu.

Niemy ratusz ziejący czarnymi dziurami na miejscu okien. Rozorana szeroką blizną droga. Nagie ściany sterczące niczym samotni strażnicy ponad zwałowiskiem cegieł. Na niektórych z nich powiewały jeszcze smutno resztki rozdartych tapet, ostatnie świadectwo czyjejś troski i miłości.

Przychodnia trzymała się w miarę dobrze. Co prawda nie było już ani okien, ani drzwi, lecz mury nie zostały naruszone.

Weszła do środka i zatonąła w kompletnych ciemnościach. Zapomniała, że światło odcięto jakiś czas temu, a oczywiście, nie wzięła latarki.

Tyle z mojej zapobiegliwości, pomyślała, zirytowana własną głupotą.

Łącząc po omacku mogła sobie co najwyżej zrobić krzywdę.

Doktor Kent okazał się o wiele bardziej przewidujący, jego mocna lampa sztormowa wskazała jej kierunek.

– Nie śledził cię?

Opuściła sobie udawanie, nie zadała pytań w rodzaju kto i dlaczego miałby to robić?

Zagrała w otwarte karty.

– Sądzisz, że gdyby tak było, mogłabym go zauważyć? Pozwoliłby mi na to?

Sprawdzali się, ostrożnie badali granice swojej wiedzy, przezornie bojąc się wypowiedzieć to jedno słowo, z którego trzeba będzie się długo tłumaczyć. Nawet jeśli kiedyś byli o krok od przyjaźni, przedmiot tej rozmowy mógłby okazać się dla niej zbyt poważną próbą.

– Masz rację.

– Od kiedy wiesz? – zapytała i przysunęła do siebie pudło. Zapowiadało się interesujące i długie popołudnie.

– Od początku – odpowiedział. – Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłem. Otworzył mi drzwi i zrozumiałem, że powinienem być zupełnie gdzie indziej. Natychmiast. Ale ucieczka niczego by nie zmieniła.

Uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą. Wiedział, a zatem był potencjalnym sprzymierzeńcem.

– Musiałam go zaprosić.

Czuła potrzebę spowiedzi, nareszcie mogła porozmawiać z kimś, kto mógłby zrozumieć jej pobudki. Opowiedziała mu w skrócie o pierwszym spotkaniu i jego konsekwencjach. Zakończyła patrząc mu w oczy, szukała w nich rozgrzeszenia i zrozumienia.

Nie znalazła.

– W mojej sytuacji postąpiłbyś inaczej?

– Tak – odpowiedział twardo. – Ale nie moją rolą jest cię oceniać. Musimy teraz znaleźć sensowne wyjście z bagna, w które wpadłaś po uszy, a ja razem z tobą.

– Zastanawia mnie – z trudem przełknęła gorzką pigułkę jego dezaprobaty – skąd znałeś prawdę.

– Niewiele o mnie wiesz. Urodziłem się w Lake Falls.

Zaskoczył ją. Widziała jego dokumenty, które jako miejsce urodzin podawały Boston, i od zawsze myślała – być może sam jej to nawet kiedyś powiedział – że przyjechał tu już jako dorosły człowiek.

– Moim ojcem był Jasper Black, który prowadził tu przez lata księgarnię. Mieliśmy dom poniżej wzgórza, w tym miejscu, gdzie dzisiaj jest parking. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, w feralnym sześćdziesiątym drugim miałem zaledwie dziesięć lat, ale pamiętam wszystko. A to, o czym zapomniałem, przypominał mi nieustająco ojciec. Do znudzenia, abym nigdy nie przestał się bać i nie traktował swoich wspomnień, jak złego snu. W pewnym momencie dostał z ich powodu obsesji, dlatego uciekłem na studia,

jak najdalej od niego. Gdy dorosłem, łatwo było mi traktować jego słowa z przymrużeniem oka, uważając je za opowieści nawiedzonego wariata. Podświadomie jednak znałem prawdę i noc nigdy już nie była dla mnie tym samym, czym dla moich nieświadomych niczego kolegów. Mój ojciec i kilkudziesięciu innych mężczyzn tamtego styczniowego wieczoru spotkało się z Obcymi. Widziałem to na własne oczy. Od tej pory moje życie zamieniło się w wieczną ucieczkę i zacieranie śladów. Nie pamiętam, ile razy musiałem od początku uczyć się na pamięć kolejnej historyjki o tym, jak się nazywam i skąd pochodzę. To była nasza jedyna rozrywka, gdy inni oglądali telewizję, bawili się na dyskotekach, my tworzyliśmy wysrane z palca drzewa genealogiczne, szukaliśmy odpowiednich, trudnych do zweryfikowania danych. I oprócz tego, że jestem całkiem niezłym lekarzem, w wieku piętnastu lat zostałem także doskonałym fałszerzem. Do tej pory potrafię podrobić niemal wszystkie dokumenty. W moim życiu nigdy nie było nic stałego i prawdziwego. Każde miejsce, które miało być tym ostatecznym, po kilku miesiącach względnego spokoju zamieniało się w, jak to mówił mój ojciec, gorący punkt. W ciągu jednej nocy zamykaliśmy swoje sprawy i szukaliśmy nowego domu, nowego nazwiska, nowej przyszłości. Dla dziecka była to trudna szkoła przetrwania. Do tej pory nie wiem, na ile lęki ojca były uzasadnione, a ile było w tym przesady. Jedno wiem na pewno. Wypadki tamtej nocy bezpowrotnie go zmieniły. Mnie zresztą także. Szukałem później ludzi, których nazwiska miałem spisane z jego opowieści i zgadnij, co się stało... – Zniknęli?

– Część tak, reszta od dawna spoczywa na małym cmentarzyku, tu niedaleko. Zginęli w wypadkach drogowych, zabici przez swoje własne narzędzia lub potopili się w basenach. Na dwudziestu mężczyzn dwunastu nie dożyło czterdziestki. Ciekawe, prawda? Trochę przeczy statystykom.

– Co się wtedy stało?

– Sezon turystyczny tamtego roku zakończył się w ostatnich dniach października i miasteczko opustoszało. Zostali tylko stali mieszkańcy, zapanował spokój. Do czasu. Pierwszą niepokojącą informacją były listy poszukiwanych. Nie masz pojęcia, ile zawierały nazwisk, zdjęć osób, które miały przybyć do Lake Falls, a potem ślad po nich zaginął. Całe słupy obwieszane były białymi kartkami, aż zabrakło miejsca na następne. Uspokajaliśmy się tym, że mogli przecież nie dotrzeć na miejsce, oszukiwaliśmy, udając ślepych i głuchych. W końcu dopadli jednego z naszych. Był to młody nauczyciel ze szkoły, syn szanowanej mieszkanki.

Nazywał się Peter Collins. – Vic znała dobrze to nazwisko. – Wracał wieczorem do domu, gdy go zaatakowali. Nie miał żadnych szans. Lecz nasi

goście – zmiął to słowo z obrzydzeniem – zrobili się bezczelni i niedbali. Porzucili zwłoki na głównej ulicy pod pomnikiem. To miało być ostrzeżenie lub próba zastraszenia. Nieważne. Nawet nie zadali sobie trudu usunięcia śladów. Dlatego niektórzy już wiedzieli. Zwołano nadzwyczajne posiedzenie rady i powołano pięćdziesięciu mężczyzn w sile wieku do obrony mieszkańców. Na ich czele stanęła pewna kobieta, jak się okazało jedyna, która mogła pokonać Obcych. Ale o tym jeszcze nie wiedzieliśmy. Burmistrz oddał jej dowództwo nad grupą, wywołując tym niemały skandal. – Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie tamtych wydarzeń. – Nam, dzieciarni przydzielono zadanie tropienia intruzów. Mieliśmy uważnie wypatrywać znaków, szukać dziwnych zjawisk, ale wolno nam było poruszać się tylko w dzień. Jeden z naszych, Tim, odnalazł ślady prowadzące do kryjówki Obcych i powiadomił o tym starsząznę. Zgodnie z planem dorośli chcieli zaatakować świtem, lecz tego dnia nic nie poszło tak jak trzeba. Dzień wstał mglisty i ponury, nie można było liczyć na wsparcie światła słonecznego. Nagonka ruszyła, ale Obcy zmylili jej trop, prowadząc myśliwych na manowce. Godziny mijały, a mężczyźni ogarniali rozpacz i bezsilność. Nieświadomy tych wydarzeń bawiłem się z kolegami na boisku szkolnym. Zrobiliśmy sobie tam prawdziwy stadion i całymi dniami, gdy kończyliśmy szukać śladów, graliśmy w baseball. W trakcie zaciętej rozgrywki, jeden z nas odbił za mocno, piłka pofrunęła przez siatkę i spadła na podwórko domu Burtonów. Poszliśmy po nią we trzech, a serca nam chciały wyskoczyć z piersi. Baliśmy się Dawida Burтона, który był prawie dwumetrowym drwalem, lubił sobie wypić i nie tolerował dzieci, co dawał nam fizycznie odczuć nieraz. Po cichu przeszliśmy przez dziurę w płocie i znaleźliśmy się na podwórku. Do dzisiaj nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zajrzeć przez okno. Ciekawość? Głupota? Nieistotne. Siedział sztywny niczym kołek w swojej zapuszczonej kuchni i patrzył przed siebie. Był przerażony, tak przerażony, że koło jego krzesła pojawiła się mokra kałuża. Ten widok podziałał na mnie jak zimny prysznic, uciekłem stamtąd prosto do ratusza. Wiedziałem już, gdzie ukrywają się Obcy. Byli tuż pod naszymi nosami, po sąsiedzku. Kpili z nas w żywe oczy. Dzielni mieszkańcy zwiertzyli szansę na rozprawienie się z intruzami. Uzbrojeni po zęby ruszyli na dom Burтона. Prowadziła ich mała, drobna kobieta, bo tylko ona wiedziała, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Mężczyźni ufni w siłę swojej broni, pieszcząc kolby winchesterów, coltów i innego bezużytecznego badziewia, nie chcieli słuchać jej słów. Pamiętam, jak jeden z nich powiedział: „Nie znam niczego, co nie zdechłoby po zasmakowaniu mojej czterdziestki piątki”. Mylił się straszliwie. Nie mogliśmy opuścić takiego

widowiska i gdy zaczęła się akcja, przekradliśmy się z powrotem na boisko, żeby popatrzeć. Do tej pory tego żałuję. Dom został otoczony szczelnym kordonem, stali obok siebie najsilniejsi, najsprytniejsi, znakomici strzelcy i byli wojskowi. Elita miasteczka, najlepsi z najlepszych. Wtedy z nieba uderzyły cztery smugi, za szybkie, aby w nie wycelować, za silne, żeby powalić kolbami. Rozpoczęła się rzeź, na szczęście przed zaskoczonych obrońców wystąpiła kobieta. Dziwaczny zaśpiew, słowa rzucane w nieznanym języku dokonały cudu. Potężny wichur targnął lecącymi w powietrzu Obcymi, każdego z nich otoczyła kula ognia, a lodowe lance przygwoździły do ziemi. Rozpętało się piekło. Dziesiątki wystrzałów równocześnie rozdzierały rozgrzane do czerwoności lufy. Raz po raz któryś z intruzów próbował poderwać się do walki. Bezskutecznie. Moc wiedźmy trzymała ich w żelaznym uścisku. Zgodnie z jej rozkazem mieli zostać zamknięci w jaskini, aby po wsze czasy cierpieć za swoje uczynki. Resztę opowieści znam tylko z ust ojca, żaden z nas nie miał odwagi iść w ślad za konwojem odprowadzającym spętane potwory na miejsce ich uwięzienia. Po tym, co widzieliśmy, mieliśmy już dosyć. Nikt, kto tego nie zobaczył na własne oczy, nie wie, do czego są zdolne, nikt nie zrozumie strachu, który czuliśmy. Żadne słowa nie oddadzą grozy, która na zawsze zamieszkała w naszych umysłach. Wystarczyło spojrzeć na pobojowisko, aby zrozumieć, dlaczego opuściliśmy ostatni akt. Trawnik Burtona usłany był ludzkimi szczątkami. W ciągu kilku sekund pierwszej fazy ataku, liczba obrońców uszczupliła się o ośmiu dzielnych mężczyzn, rozszarpanych, rozdartych lub zagryzionych na śmierć. Dlatego dobrze, że nie widzieliśmy dalszego ciągu, który rozegrał się w jaskini. Trzech Obcych już zostało zamkniętych, gdy zniemacka pojawiła się odsiecz.

Napadli na niespodziewającą się niczego grupę i dokonali masakry. Do domów wróciła mniej niż połowa z bohaterskich obrońców, a tych, którym udało się przeżyć, czekała długa rekonwalescencja. Ojciec, który stracił wówczas rękę, opowiadał, że nagle zrobiło się czarno i nad nimi otworzyły się strugi krwawego deszczu. Przyjaciele, bracia, sąsiedzi... ginęli jeden po drugim, porywani, rozszarpywani przez dzikie monstra. Ich kończyny i okaleczone ciała spadały niczym makabryczne confetti ze stropu jaskini. Żaden pocisk nie zdołał dosięgnąć szalejących bestii, a strzelając na oślep, wyrządzali tylko sobie więcej szkody. Wtedy wróciła wiedźma. To jej ocalała dwudziestka zawdzięcza życie. Ojciec mówił, że nic nie pamiętał po tym, gdy jeden z Obcych poderwał go do góry. Żaden z ocalonych nie mógł sobie przypomnieć tego, co się stało pomiędzy początkiem rzezi, wejściem wiedźmy i nagłą ciszą, która zapadła dookoła. Intruzi zniknęli, wycieńczona wiedźma dokończyła swoje zadanie, pomogła rannym i na

tym zakończyła się największa bitwa w Lake Falls. Między mieszkańcami zapanowała zмова milczenia. Nikt nie wracał do tych wydarzeń, nikt nie opowiadał mroźnych krew w żyłach historii. Nikt także nie napisał o tym książki ani nie nakręcił filmu. Pamięć o nich trwała przechowywana przez mieszkańców, lecz żaden z nich nigdy nie wymówił tego jednego słowa, bojąc się, że sprowadzi ono na nich nieszczęście. Jeślibyś sprawdziła zbiory miejskiej biblioteki nie znajdziesz tam Zmierzchu ani Draculi. I nie pytaj dlaczego.

Skończył, a jej kompletnie zaschło w gardle, z trudem przełknęła ślinę i zapytała ochrypłym głosem.

– Co ja mam teraz zrobić?

– Poszukaj sojuszników – odpowiedział. – Olej umowę, natychmiast uciekaj dalej niż cię oczy poniosą. Zmieniaj nazwiska, myl tropy. Może ci się uda. Przez jakiś czas... – A potem?

– To zależy, jak blisko z nim jesteś.

Spojrzał na nią pytająco. Spuściła wzrok. Wystarczyło.

– Masz jeszcze kogoś, komu możesz zaufać? – Oprócz siebie?

Myślała intensywnie i nagle przyszedł jej do głowy Jonathan. Opowiedziała mu szczerze o tym, kim był jej ewentualny sprzymierzeniec i co mu zrobiła. Pokiwał głową.

Dzwoń. Pora się przekonać, ile rzeczywiście jest wart.

Ale nie zdążyła wybrać numeru, bo głośny dźwięk klaksonu postawił ich oboje na nogi.

– Kto, do licha?

– Moja była teściowa – uspokoiła go Vic i szybko wybiegła.

Po kilku minutach perswazji udało jej się przekonać Jane, żeby weszła z nią do zrujnowanej przychodni. Szybko dokonała formalnej prezentacji i nie zważając na to, że Benjamin na widok obcej kobiety prychnął ze złością, przystąpiła do załatwienia najważniejszej dla niej sprawy. Zignorowała potok pytań Jane i od razu przeszła do rzeczy.

– Za trzy dni Kat pójdzie do szpitala na badania. Jej lekarz, Mat zatrzyma ją tam tydzień. Tyle mamy czasu, żeby ją ukryć. Właściwie, wy macie tyle czasu. Musicie wszystko wcześniej przygotować, bo o powrocie do rezydencji nie ma mowy. Daję wam moją córkę – te słowa z trudem przeszły jej przez gardło – ale nie wolno wam nikomu powiedzieć, gdzie się ukrywa. Nawet mnie – zawahała się – a tym bardziej doktorowi Barrowowi.

– Tak jak myślałam. – Jej teściowa gładko przełknęła wszystkie szczegóły i skupiła się na tym, co było najmniej ważne. – Kim się w końcu okazał?

Pedofilem, gwałcicielem, czy oboma naraz?

Vic znacząco spojrzała na Benjamina. Zrozumiał, o co jej chodziło.

– Powiedzmy, że się nie myliłaś, ale nie czas i miejsce, aby o tym rozmawiać. Pewnego dnia poznacie całą prawdę. Obiecuję.

– On ma coś wspólnego ze zniknięciem Roberta?

Jedno trzeba było przyznać jej teściowej – była naprawdę inteligentną kobietą, przenikliwą i trochę zbyt ciekawską.

– Zapewniam cię, że nie. – Z Vic zaczynała się robić prawdziwa kłamczucha. – Ta sprawa dotyczy tylko mnie i Kat. Dam wam kilka dni na załatwienie lokum, później odbierzecie Kat ze szpitala i znikniecie.

– Bezsens. – Jane spojrzała na nią lekceważąco. – Jeśli taki wymyśliłaś plan, żeby ukryć swoją córkę, ja w niego nie wchodzę.

– Dlaczego? – Vic nie kryła zaskoczenia. – Przecież od lat marzyliście, żeby odzyskać ukochaną wnuczkę?

Moja droga. – Właśnie na ten protekcyjny ton teściowej, miała uczulenie. – Twój pomysł jest naiwny i niebezpieczny, prowadzi zbyt oczywistymi ścieżkami i palcem wskazuje, kto jest odpowiedzialny za zniknięcie Kat. Dodatkowo niemożliwy do zrealizowania. Jeśli chcesz, żebyśmy ją ukryli, musisz dać mi wolną rękę, a nie dyktować warunki.

– Co chcesz zrobić?

– Dowiesz się w swoim czasie, gdy będziesz gotowa opowiedzieć nam całą prawdę. Na razie potrzebuję dwóch informacji i twoich podpisów in blanco. Da się zrobić?

– Co chcesz wiedzieć?

Vic chyba nie doceniała swojej byłej teściowej. Gdy nadszedł czas próby, okazała się nadzwyczaj operatywna i zaskakująco konkretna.

– Jaki dokładnie jest jej stan?

Tego pytania mogła się spodziewać, ale nie była na tyle przewidująca, żeby wymyślić jakąś kolejną bajeczkę. Musiała uciąć w zarodku wszystkie hipotezy i przypuszczenia.

– Kat zdrowieje. Nie pytaj mnie dlaczego ani jak tego dokonałam. Z każdym dniem jej stan będzie coraz lepszy. Dostaniesz na wszelki wypadek kilka porcji leku, gdyby zachodziła obawa nawrotu. Zdeponuję go w szpitalnym sejfie.

Jej lęki się nie potwierdziły, Jane nie zapytała o żadne szczegóły.

– Jak będzie się można z tobą skontaktować i kiedy?

To było trudne pytanie, zamilkła i gwałtownie szukała rozwiązania, gdy z pomocą przyszedł jej doktor Kent.

– Ogłoszenie w gazecie. Ustalcie tytuł, termin i treść. Nikt niepowołany nie domyśli się, o co chodzi.

– Doskonały pomysł. – Jane spojrzała na niego z uznaniem. – Potrzebuję jeszcze twoich podpisów, najlepiej kilku. Możesz być spokojna, wykorzystam je tylko do zorganizowania pełnomocnictw.

– Oczywiście – odpowiedziała i już chciała umówić się z nią w tym celu na jutro, gdy na kolanach wylądowała jej ledwo zaczęta ryza papieru.

– Wystarczy?

Benjamin okazał się nieoceniony. Wyjęła z plecaka długopis i podpisała się na kilkunastu pustych stronach. Jane odebrała od niej kartki i skierowała się do wyjścia.

Vic bez słowa zabrała lampę i ruszyła przed siebie. Gdy dotarły do samochodu, Jane zatrzymała się i powiedziała:

– Nie wiem, w co się wplątałaś, i nie wnikam w żadne szczegóły z nadzieją, że pewnego dnia udzielisz mi obszernych oraz wyczerpujących wyjaśnień. Szanuję także twoją decyzję w sprawie Kat, ale muszę zapytać, czy jesteś absolutnie pewna, że tego chcesz?

Pewna była tylko jednego. Za nic na świecie nie chciała się rozstawać ze swoją córką, lecz skoro był to jedyny sposób, aby ją chronić, musiała podjąć taką decyzję.

Bezpieczeństwo Kat było ważniejsze niż wszystkie jej uczucia ze złamanym sercem i rozpaczą włącznie.

Uratowałam swoje dziecko tylko po to, żeby je teraz stracić – ta myśl wycisnęła jej łzy z oczu.

I wtedy Jane zrobiła coś, czego by się po niej w życiu nie spodziewała. Podeszła i objęła ją mocno.

Dwie matki, obie pogrążone w bóleści, trwały w jednoczącym je uścisku, który miał moc obalania uprzedzeń, narosłej niechęci i zadawnionych uraz.

Pierwsza odsunęła się Jane. Wsiadła do samochodu, na odchodne rzucając szczere:

– Powodzenia.

Vic nie mogła opanować łez, które – gdy znalazły już ujście – nie chciały przestać płynąć. Zagryzła zęby i próbowała nad sobą zapanować, czego jedynym efektem był krótki, urywany szloch rozrywający pierś.

Drżącymi rękami wygrzebała paczkę i wyjęła z niej przedostatniego papierosa. Zaciągnęła się dymem, który tym razem nie okazał się jej przyjacielem.

Kiedy wróciła do Benjamin, łzy nadal ciurkiem płynęły po policzku, znacząc

swoją drogę rozmazaną smugą. Bez słowa podał jej chusteczkę.

– Daj mi swój telefon – powiedział.

Pochlipując spazmatycznie, wyjęła go z kieszeni i zanim zdążyła się zorientować, co robi, oddał z powrotem. W słuchawce zabrzmiał znajomy głos.

Słucham? – Głos Jonathana docierał do niej niczym z innej planety, odległej o lata świetlne od ponurego, ciemnego wnętrza jej dawnego gabinetu. I jeszcze bardziej ponurego, obecnego życia. Był wspomnieniem, może nie najlepszym, ale...

Opanowała się i łykając ostatnie łyki, powiedziała:

– Muszę z tobą porozmawiać. – O czym?

– Jeśli twoja oferta jest nadal aktualna, po prostu przyjedź do przychodni.

Rozłączyła się i spojrzała na Benjamina ze złością. Nie musiał tego robić, nie w ten sposób.

– Na płacz, na to zawsze przyjdzie czas – powiedział zimno. – Teraz mamy ważniejsze sprawy do załatwienia. – Nie wybacysz mi, prawda?

– Jeszcze tego nie zrozumiałaś? To nie jest sprawa wybaczenia, ale walki o życie. Moje, twoje, Kat i wszystkich ludzi, którzy w niewłaściwym czasie znaleźli się w waszym otoczeniu.

Z jakiegoś powodu jego słowa ją zraniły. Nie tego po nim oczekiwała. Łudziła się nadzieją, że powie coś pocieszającego, kojącego, może po prostu zwykłe: rozumiem i nie osądzam.

Ale kolejne pytanie całkowicie wytrąciło ją z równowagi. – Co wiesz o Eve?

– Nic, oprócz tego, że przespała się z Obcym, odstawiła niezgorszą scenę u mnie w domu i zniknęła.

– Jeśli chcesz, powiem ci, gdzie obecnie przebywa.

Popatrzył na nią twardo. Nagle ogarnęły ją złe przeczucia, mimo to skinęła głową potakująco.

– Będziesz ją mijać po drodze – mówił przez zaciśnięte szczęki. – A raczej to, co z niej zostało. Wystarczy szpadel i odrobina cierpliwości.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Udawała. Doskonale rozumiała, co chce jej powiedzieć.

– Zabił ją i pozbył się ciała koło parkingu. Może z nią porozmawiasz o wybaczeniu?

Zatkało ją. Owszem Eve koniec końców okazała się wredną suką, ale nie zasługiwała na to, co jej zrobił. Ona ani nikt inny. Całkowitą odpowiedzialność za tę zbrodnię ponosiła Vic. Zaprosiła do swojego życia wampira, sprowadziła śmierć na Roberta oraz Eve, zaślepiona nadzieją pozwoliła, aby wokoło zaczęli

ginać niewinni ludzie. Czyją jeszcze krew miała na rękach?

W gardle zaczęła jej rosnać gula. Piękna, młoda Eve padła ofiarą jej egoizmu. Ta śmierć była tak niepotrzebna i bezsensowna. Przypomniała sobie sytuację, gdy widziała ją po raz ostatni, bezwolną lalkę z pustymi oczami wpatrującymi się tępo w przestrzeń.

Zredukował ją do roli zabawki, wartej uwagi przez krótką chwilę, aby zaraz potem porzucić gdzieś w kącie, niepotrzebną, pomyślała ze złością. I za co? Eve popełniła tylko jedną zbrodnię, zakochała się w wampirze, a on jej za to odpłacił cierpieniem i śmiercią.

Poczuła się zdruzgotana. Nie czekała już na odpuszczenie win. Nie zasługiwała na to. Powinna zostać zabita razem z nim, gdyż powoli, nieubłaganie stawała się potworem.

Czarne myśli przerwało wejście Jonathana.

– Co się stało?

Był chłodny, wręcz odpychający. Nie mogła z nim rozmawiać, nie teraz. Pałeczkę przejął doktor Kent.

– Znamy się – powiedział, wyciągając do niego dłoń. – Nazywasz się Carter.

– Witam, doktorze – skierował swoje słowa do niego, ale nie spuszczał z niej wzroku. Cekał na wyjaśnienia, których nie była w stanie mu udzielić.

– Twój ojciec był kaleką. – Benjamin udawał, że nie widzi jego spojrzenia. – Utykał na jedną nogę. Wiesz dlaczego? Dopiero teraz przykuł uwagę Jonathana.

– Miał w młodości wypadek – odpowiedział ostrożnie młody mężczyzna, taksując stojącego przed nim starego lekarza, jakby sprawdzał, jaką reakcję wywołają te słowa.

Czyżby wiedział? – pomyślała Vic i skupiła się na rozmowie.

– Dokładnie gdy miał dwadzieścia dwa lata, nieprawdaż? – bardziej oznajmił, niż zapytał Kent.

– Tak. Wezwaliście mnie, żeby rozmawiać o moim ojcu?

Nie krył zdziwienia, taki był prostoduszny Jonathan, otwarty i szczery, zupełnie inaczej, niż...

– Jak zmarł? – Benjamin kontynuował przesłuchanie.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

– Powiedz jej, musi poznać prawdę.

Jonathan popatrzył na nich oboje, jakby razem urwali się z choinki, lecz bez protestów opowiedział, jak jego ojciec złamał kark podczas nieszczęśliwego upadku z dachu.

– Jesteś absolutnie pewien, że jego, jak to nazywasz wypadek, nie miał nic

wspólnego z wydarzeniami sprzed pięćdziesięciu lat?

Zapadło ciężkie milczenie, Jonathan spuścił oczy i odpowiedział:

– Miał wiele wspólnego, jak sądzę.

– Zatem wiesz już, o czym będziemy rozmawiać?

– Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi bzdurami... Doktor Kent przerwał mu brutalnie.

– Mamy gościa – ostatnie słowo zabrzmiało dziwnie twardo i zgrzytliwie. Poprawił się: – To znaczy Vic go ma.

Otwarte, zszokowane oczy wystarczyły za całą odpowiedź.

– Musisz nam pomóc, sobie zresztą też. Ojciec dobrze cię wychował, to był dzielny i szlachetny człowiek. Miałby prawo oczekiwać, że jego syn stanie się taki sam. Twój ojciec i wielu innych zginęło, abys ty mógł się narodzić i żyć bezpiecznie. Nadeszła pora spłacić dług.

Otworzyła plecak i wyjęła książkę brata Jakuba. Miała zamiar dać ją – Nie wszystko jest tym, czym się wydaje na pierwszy rzut oka – powiedziała. – Musiałam was oboje za wszelką cenę trzymać od niego z daleka. Może za bardzo chciałam chronić ciebie i Eve. – To imię wypowiedziane na głos, ścisnęło jej serce głębokim smutkiem. – Dlatego wymyśliłam bajeczkę o naszym romansie. Nie zadziałała. Eve wpadła w jego sidła, a tobą manipulował jak dziesięciolatkiem.

Oburzyła go uwaga o tym, że uległ manipulacji, już otwierał usta, żeby zaprzeczyć, więc musiała mu wyjaśnić. Do końca i ostatecznie.

– Zastanów się dobrze, skąd wiedziałeś o romansie Eve, w jaki sposób odkryłeś, że sypia z Obcym, i jak zdołałeś ich na tym przyłapać. Sądzisz, że gdyby miało to pozostać tajemnicą, dowiedziałbyś się czegokolwiek?

Zamyślił się i zobaczyła w jego oczach błysk zrozumienia.

– Wszystko było tylko grą? – zapytał.

Zdecydowanie jak na jeden dzień dali mu dużo do przemyślenia. Nie odpowiedziała wprost.

– Mój były mąż przyjechał odwiedzić Kat. Potem zniknął bez śladu. Eve, z tego, co mówi Benjamin, także nie żyje. Ilu potrzebujesz ofiar, żeby uwierzyć?

– Jak do tego doszło?

Po raz drugi tego popołudnia musiała opowiedzieć swoją historię. Wysłuchał jej cierpliwie i nie przerywał, dopiero na końcu zadał najważniejsze pytanie.

– Jaka była cena?

– Muszę uwolnić jego braci z jaskini.

Wiedziała, że to wywrze na nich wielkie wrażenie. I nie pomyliła się.

Dopiero po chwili zdołali się opanować i rozpoczęli wspólny atak na nią.

Przerwała im od razu, i tak nie mieli jej do powiedzenia nic, czego by sama o sobie nie myślała.

– Nie spotkaliśmy się tu, aby planować wspólną ucieczkę, nie muszę także wysłuchiwać waszych komentarzy na mój temat. Powinno być dla was jasne, że skoro o tym powiedziałam, oczekuję sensownego planu, żeby nie dopuścić do uwolnienia wampirów.

Wypowiedziała słowo tabu, które podziałało niczym kubek zimnej wody. Obaj natychmiast zamilkli, wpatrzeni w nią wyczekująco.

Tak oto zostałam dowódcą swojej własnej krucjaty, pomyślała. Oczekują po mnie, że znajdę sposób pokonania zła i poprowadzę ich do walki. Jak kiedyś wiedźma.

– Możemy wykorzystać to, że od pięćdziesięciu lat są uwięzieni i słabi. – Podniosła się z pudła. Jej czas dramatycznie dobiegał końca, musiała wracać. – Pomyślcie o tym i dajcie mi znać, jeśli wpadniecie na jakiś pomysł.

Dochodziła piąta, miała już serdecznie dosyć planowania i spiskowania, teraz wypadła ich kolej na dopracowanie szczegółów, bo ją obchodziły tylko konkretne ustalenia.

Jonathan natychmiast poderwał się z miejsca.

Odwiozę cię – zaproponował Jona, ale widząc karcące spojrzenie Benjamina, szybko dodał: – Oczywiście, nie zatrzymam się pod domem, a jak wrócę, obaj przemyślimy sposoby zakończenia naszej sprawy i skontaktujemy się z tobą.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Razem wyszli przed przychodnię i wsiedli do samochodu. Jonathan próbował z nią rozmawiać, ale to było bezcelowe. Całą drogę była rozkojarzona, zastanawiała się nad jednym.

Wydałam na nich wyrok, bo byli zbyt blisko mnie w niewłaściwym czasie. Kogo jeszcze przyjdzie mi po tym wszystkim opłakiwać?

Podrzucił ją do połowy stoku, wysiadła i zdawkowo pożegnała się ze swoim nowym sprzymierzeńcem. Nie powinna była w ogóle go wtajemniczać, chociaż z drugiej strony prawdopodobnie i tak stałby się ofiarą, tyle że nie miałby świadomości z czyich rąk padł cios.

Naprawdę polubiła Jonathana i myśl, że przyjdzie mu zapłacić najwyższą stawkę za jej decyzje i błędy, doprowadzała ją do szału. Znała winnego, wiedziała, kto jest za to wszystko odpowiedzialny.

Wróciła do domu nabuzowana i wściekła. Nie chciała go widzieć na oczy, rozmawiać z nim, znowu udawać słodkiej idiotki. Adrenalina szalała jej w żyłach

i zalewała mózg. W takiej sytuacji nie powinna w ogóle przebywać z nim w tym samym pomieszczeniu. Mogłaby przez przypadek palnąć jakieś głupstwo i na zawsze pogrzebać jedyną nadzieję na odzyskanie wolności. Od razu poszła do siebie, zasłaniając się jakimś wygodnym pretekstem.

Oczywiście zauważył, w jakim stanie przekroczyła próg domu, i nie zostawił jej w spokoju. To byłoby zbyt proste. Wszedł za nią do pokoju i zapytał:

– Stare dokumenty tak cię zdenerwowały? – zapytał, mrużąc oczy. Już wiedziała, że nie zdoła umknąć przed konfrontacją. – Nie – odcięła się błyskawicznie. – Eve.

– Spotkałyście się?

– A mogłyśmy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

W jego wzroku pojawiło się kompletne zaskoczenie i dezorientowanie.

– Zwolnij trochę, bo nic z tego nie rozumiem. O co ci chodzi? Byłam w gabinecie i przypomniała mi się Eve. Dziwi cię to? – Nie mówiła, ale oskarżała. Wyczuł to doskonale.

– Skończyłem z nią. – Przysunął się bliżej. Niemal odskoczyła. – Chcesz mi teraz robić sceny zazdrości?

– Właśnie tego się obawiam, że z nią skończyłeś – odpowiedziała ze złością.

– A nie tego chciałaś?

Nikt nie mógł być aż tak dobrym aktorem. Cały emanował zdumieniem, graniczącym z niedowierzaniem. – Nie w ten sposób – syknęła.

– Nikt nie wymyślił jeszcze czegoś takiego, jak dobre zerwanie, szczególnie gdy kobieta...

– Tak to nazywasz? Zerwaniem? – przerwała mu i szyderczo dodała: – Takiego eufemizmu używasz, żeby nazwać bestialskie morderstwo? – Co sugerujesz?

Teraz to on się odsunął, porażony bijącą od niej wściekłością.

– Wiem, że ją zabiłeś – powiedziała z przekonaniem.

– Skąd?

– Nazwij to przecuciem.

– Twoje przecucie zapewne ma jakieś imię. Pewnie Jona, bo któż inny.

W oczach zapaliły mu się pierwsze, czerwone błyski.

– Mylisz się – odpowiedziała szybko. – Dzwoniłam do niej i nikt nie odpowiadał.

– A przyszło ci może do głowy, że ona nie chce z tobą rozmawiać, Sherlocku?

Ten argument trochę ją przystopował, ale nie na tyle, żeby nie zdążyła z rozpędu zadać kolejnego pytania.

– Jak możesz mi udowodnić, że jest cała i zdrowa?

– A jak mogę ci udowodnić, że nie jestem zebra?!

– Daj mi dowód – powiedziała twardo.

Nie mogła pozwolić, żeby znowu wplątał ją w swoje słowne gierki i spojrzała mu głęboko w oczy, szukając tego ziarenka kłamstwa, które kiełkuje w chwili, gdy przypiera się łgarza do muru. Ku jej zdziwieniu, wyjął z kieszeni telefon i wręczył po wystukaniu numeru.

Słucham? – Kobięcy głos bez wątpienia należał do Eve. Wyłączyła telefon i zastygła z nim w dłoni.

– Oczekuję przeprosin. – Teraz to jego głos brzmiał twardo, a ona poczuła się nagle słabo, jakby cała krew odpłynęła jej do stóp.

Boże, pomyślała. Dlaczego to wszystko jest takie trudne?

Komu należało wierzyć, komu mogła zaufać? Każde wydarzenie przypominało labirynt, w którym tkwiła, nie mogąc odkryć początku ani końca. Słowa, obrazy nakładały się na siebie, tworząc nieogarnięty galimatias. Skoro wszyscy kłamali, co zatem było prawdą?

Manipulowana przez dwie przeciwstawne siły, wplątana w beznadziejnie zawikłaną sytuację nie umiała znaleźć rozwiązania. Skąd Benjamin wiedział, że Obcy w ogóle zabił Eve? Skąd mógł znać miejsce jej pochówku?

Zapewne doktor Barrow nie ogłaszał tego publicznie. Jeśli zabiłby Eve, na pewno zrobiłby to dyskretnie. Z drugiej strony, jaki cel mógłby mieć Benjamin w okłamywaniu jej? Cała ta łamigłówka powoli okazywała się zbyt trudna.

Wyprosiła go z pokoju i zamknęła się w łazience. Musiała zdobyć kilka minut, aby w spokoju pomyśleć.

– Najpierw należy uporządkować priorytety, a później fakty – powiedziała do siebie zmęczona.

Gdyby nie usłyszała głosu Eve w słuchawce, wypadki tego wieczoru zapewne potoczyłyby się inaczej, lecz zasiane w umyśle wątpliwości otworzyły sekretne drzwi, które po spotkaniu w przychodni postanowiła zatrzaskać na zawsze. Nie udało jej się.

Bez względu na wszystko pragnęła go w sposób urągający zdrowemu rozsądkowi i jeśli myślała, że po szaleństwach ubiegłej nocy jej uczucia do niego się zmienią, myliła się bardzo. Źródłem jej pomyłki były, gdzieś dawno temu przeczytane słowa, że zaspokojona namiętność pozwala człowiekowi odzyskać równowagę umysłu, bo im gwałtowniejsza żądza, tym szybciej się wypala i zostaje obojętność. Ale, jak zwykle w książkach, była to jedynie teoria.

– Nawet po tym wszystkim, czego się o nim dowiedziałam? – zadała sobie pytanie, doskonale znając na nie odpowiedź.

I do jej wewnętrznego monologu włączyła się druga Vic. A nawet jeśli? – zapytała.

Była inteligentna, używała rozsądku jak oręza i była doszczętnie zdemoralizowaną mistrzynią kłamstwa i samooszukiwania.

– W ten sposób uśpisz jego czujność. A wasz związek i tak skończy się bardzo szybko i nieodwołalnie. Korzystaj z każdej chwili, dziewczyno, bez ciągłego roztrząsania i analizowania konsekwencji.

Ten głos potrafił ją przekonać, bo trafiał idealnie w czuły punkt, używał słów, które bardzo chciała usłyszeć. Dawał rozgrzeszenie i pozwalał grzeszyć dalej.

Mimo to przez cały wieczór unikała jak ognia jego dotyku, spotkań sam na sam i przewiercających na wylot spojrzeń. Do dziewiątej bawiła się z Kat, ale im bardziej zbliżała się pora usypiania małej, tym bardziej jej ambitny plan trzymania go na dystans brał w łeb.

Najpierw pojawiły się zawisające w próżni słowa bez większego znaczenia, później wyparło je dwuznaczne milczenie. Nie mogła pozbierać myśli, a jego drażniąca obecność powodowała, że traciła kontakt z rzeczywistością, bo wracały do niej niechciane obrazy, które wywoływały permanentną słabość. Jego zapach przypominał, oczy kusiły, a usta obiecywały.

Rozkojarzenie matki zauważyła nawet Kat, która kilka razy musiała przywołać ją do porządku. Z niezrozumiałym dla siebie zainteresowaniem Vic co rusz spoglądała na zegar. Coraz gorzej szła jej gra w pokera – ostatnie odkrycie małej. Gdy na kołdrze pośród rozrzuconych żetonów przez przypadek dotknęła jego ręki, serce wywróciło takiego koziołka, że musiała na chwilę wyjść na zewnątrz, aby ochłodzić myśli.

Zapaliła papierosa oparta o mur, ale nie mogła się uspokoić. Wcześniej było źle, teraz – jeszcze gorzej. Kilka dni temu mogłaby powiedzieć, że ma na niego ochotę. Po wspólnej nocy odkryła, jak bardzo go potrzebuje. Bez niego czuła się niekompletna, rozdarta i pusta. Te uczucia ją przerażały, bo o ile mogła się do tej pory oszukiwać, że kierują nią zwykle zwierzęce popędy, o tyle nie była w stanie niczym wytłumaczyć braku tchu, gdy stawał obok, przyspieszonego bicia serca, gdy się do niej odzywał.

Tonęła, a znikąd nie było ratunku.

Jeszcze trochę i się w nim kompletnie zakocham, pomyślała, gwałtownie odtrącając przerażającą potrzebę zamiany czasu przyszłego w przeszły dokonany.

Jedno było pewne, wyczekiwała nocy, myślała o niej cały czas i pragnęła jej bardziej niż czegokolwiek innego do tej pory.

W końcu nadeszła upragniona chwila. Z wyrzutami sumienia za swoją

niecierpliwość usypiała Kat i jednocześnie zastanawiała się, jak spędzi resztę wieczoru, ale każdy scenariusz sprowadzał się do jednego...

Wykończona całodzienną walką ze sobą zawlokła się na górę i postanowiła wziąć kąpiel, mając przy tym nadzieję, że odprężający relaks w wannie, pozwoli jej fantazjom, choć na chwilę, wziąć sobie wolne.

Napuściła wody, dodała olejków i zanurzyła się w przyjaznym cieple. Tyle że leżąc, zatopiona przez flotyllę pachnących bąbelków, zamiast znaleźć spokój, odkryła kolejny poziom swojej wyobraźni.

Przecucie kazało jej otworzyć oczy. Stał w przejściu do swojego pokoju i uśmiechał się dziwnie.

– Masz zamiar w końcu mnie zaprosić? – zapytał.

Nie odezwała się. Westchnienie i gwałtownie bijący puls odebrał jej zdolność ułożenia najprostszej odpowiedzi. Niemal czuła go w sobie, widziała jego wzrok, przecinający ciemność, który sprawiał, że była naga, obnażona ze wszystkiego. Pozbawiona tajemnic.

Tak jak chciała.

Rozebrał się i dołączył do niej, a wtedy kąpiel przestała być relaksem.

Kiedy w końcu wylądowali w łóżku, zapytała wprost:

– Jak ty to robisz? Naprawdę nie wykorzystujesz swoich specjalnych umiejętności, żeby zmusić kobietę, aby się zachowywała tak...

– Nieprzyzwoicie? – wszedł jej w słowo. – To masz na myśli?

– Nie – odpowiedziała. – Jeszcze nigdy... – zachnęła się, uświadamiając sobie, że właśnie próbuje mu się zwierzać i przerwała w pół słowa.

Chciała powiedzieć, że będąc z nim, czuje się wolna. Wyswobodzona od krępujących zasad i narzuconych ról, lecz na takie wyznanie było za wcześnie.

– W życiu nie nauczysz się mówić wprost – uśmiechnął się do niej niemal łagodnie. – Nie robię nic, czego nie ma w tobie. Nauczyłem się wiele o miłości i wiem, że pośpiech i niedbalstwo są jej głównymi wrogami. Jestem dobrym kochankiem i mam tego pełną świadomość. Zagadką dla mnie zawsze pozostanie odpowiedź drugiej strony. Nie przywołasz do życia kogoś, kto nie umie czuć, nie potrafi się zatracić. Ogień był w tobie, zepchnięty gdzieś na margines przez rozsądek. Udało nam się go wskrzesić dzięki wspólnej pracy.

– A jak było z Eve? – zapytała, zanim zdążyła się ugryźć w język. Spoważniał i odwrócił się na plecy. Wpatrzony w sufit, powiedział:

– Nie mam zamiaru do tego więcej wracać – zabrzmiało to nieprzyjemnie, chłodno. – Była moim błędem. Prawdopodobnie chciałem ci pokazać, jak bardzo się myliłaś, nazywając mnie eunuchem, może chciałem się też zemścić za lodowy

dystans, jaki narzucałaś. Niestety Eve jest dziwką i nic tego nie zmieni. Dlatego nigdy więcej się do niej nie porównuj.

Jego słowa dziwnie ją zabolaly.

– Nie szanujesz jej, bo za szybko poszła z tobą do łóżka? Jakie to typowe i płytkie.

– Wierz mi lub nie, bycie dziwką to stan umysłu, nie profesja. Poznałem wiele z nich, niektóre miały charakter księżniczek i wiele prawdziwych księżniczek z umysłami dziwek. A łóżko ma z tym niewiele wspólnego.

– Nie rozumiem...

– Przypomnij sobie waszą rozmowę na werandzie. – Znów patrzył jej w oczy. – Słowo, które ci dała, że nigdy nie okradnie głodnego z ostatniej kromki chleba. Tak dosłownie brzmiała metafora, której użyłaś. Zastanawiająco niewiele się starałem, a jednak zaprosiła mnie do siebie.

Właściwie zostałem przez nią uwiedziony. Nie tak zachowuje się prawdziwa przyjaciółka, za którą ją uważałaś.

– Biedactwo. – Po jego słowach poczuła się przedziwnie lekko. – Jak ona mogła? Uwiodła cię, zmusiła do uprawiania seksu i wykorzystwała. Zła kobieta z niej.

– A owszem – odpowiedział cicho. – Aczkolwiek ogólnie nie mam nic przeciwko – mówił coraz wolniej – uwiedzeniu i wykorzystaniu. Może spróbujesz?

– Mam cię zaciągnąć do łóżka? Przecież, już w nim jesteśmy. Roześmiał się chrapliwie.

– Miło by było, gdybyś teraz ty zechciała mnie wykorzystać. Obiecuję, że będę trudnym obiektem. Nie pozwolę ci od razu zdobyć tego, czego chcesz. Będziesz musiała się bardzo, bardzo postarać.

I pokazała mu, jak mocne było jej pragnienie.

Błada poświata rozlewająca się po podłodze była pierwszym sygnałem nadchodzącego świtu. Zmęczona całą nocą poszukiwań, marzyła o śnie, ziewnęła, przeciągając się w jego ramionach.

– Idę do siebie – powiedział cicho. – Bo jeśli zostanę, nie masz szans na odpoczynek.

Złapała go za rękę, chciała za wszelką cenę zatrzymać, nie czuła się jeszcze gotowa na jego odejście.

– Nie mogę przestać, gdy leżę koło ciebie – powiedział. – Dlatego lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

Zniknął, a ona poczuła się straszliwie samotna i nieszczęśliwa. Zwinęła się

w kłębek i zasnęła przytulona do jego zapachu na poduszce.

Tylko tyle po nim zostało.

A potrzebowała znacznie, znacznie więcej.

Obudziła się po krótkim śnie wypełnionym przeróżnymi majakami, z których zapamiętała jeden, za to bardzo przyjemny.

Byli w nim we dwoje, świeciło słońce, las wokoło szumiał kojąco, a on mówił słowa, które sprawiają, że krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Zdziwiła się, że mogą razem cieszyć się słońcem oraz cudownym letnim dniem, i zapytała. Odpowiedział krótko...

– Stałem się człowiekiem. Dla ciebie.

Radość, która wypełniła jej serce, nie miała granic.

Tego naprawdę pragnę, pomyślała i niestety obudziła się, trafiając wprost w jeden z tych złych tygodni, które, gdy nadchodzą, pozostawiają po sobie tylko ruiny i zgliszcza.

ROZDZIAŁ XII

Cały poranek spędziła w laboratorium, tworząc zapasowe dawki leku.

Zrobiła ich dwanaście. Miały być jej zabezpieczeniem i polisą dla Kat.

W sobotnie południe podała córce ostatnią dawkę leku i z zacięłą determinacją rozpoczęła ostatni etap przygotowań. W ciągu kolejnej godziny spakowała wszystkie rzeczy i zgodnie z umową zadzwoniła do Mata.

– Jesteśmy gotowe – powiedziała, zagryzając zęby, żeby nie zacząć łkać do słuchawki.

Mógłby nie zrozumieć dlaczego.

– W porządku – odpowiedział. – Już wysłałam karetkę. Dokonało się. I nie było odwrotu.

Na zewnątrz spokojna jak kamień, z każdą upływającą minutą zamieniała się w rozdygotany strzęp człowieka. Tylko swojej żelaznej sile woli, która trzymała emocje na wodzy, zawdzięczała, że nie stała się jednym wielkim skowytom bólu i rozpacz. Nie mogła okazać słabości przed nim ani Kat, dlatego działała jak automat, ale była kompletnym wrakiem, któremu do pełnego załamania wystarczyłoby lekkie pchnięcie.

Wyczuwając ów nastrój, doktor Barrow schodził jej z drogi. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, nie komentował i nie ironizował, lecz starał się po prostu pomóc.

Karetką zjawiła się po niecałej godzinie i obie odjechały. Kat na zwykłe badania, ona razem z nią prosto do własnego piekła.

W szpitalu czekał na nie Mat, sprzęt był przygotowany i teraz należało tylko sprawdzić wyniki. Chodziła cały czas tam i z powrotem po zielonym korytarzu, przemierzała kilometry i nie mogła przestać. Nic nie było w stanie zagłuszyć w niej zwierzęcego bólu i strachu.

Tomograf wykazał, że guz zniknął. W szpitalnym łóżku leżało zdrowe dziecko. Powinna się ucieszyć, ale nie mogła z siebie wykrzesać nawet jednego uśmiechu.

Coraz bardziej podekscytowany Mat przynosił kolejne rewelacje, które odbierały jej sens życia. Do niedawna była pewna, że oszaleje ze szczęścia, gdy usłyszy takie wiadomości. Teraz rzeczywiście było jej niedaleko do szaleństwa, tylko nie miało ono nic wspólnego ze szczęściem. Każda kolejna, dobra wiadomość miała drugie, ukryte znaczenie, a było nim nieuchronne rozstanie

z córką.

Najgorsza z tego wszystkiego okazała się niepewność – nie miała pojęcia, kiedy ją znowu zobaczy i czy w ogóle, ale nie dała rady zadzwonić do Jane, bo za bardzo trzęsły jej się ręce.

Mat naiwnie przypisał ten dziwny stan zaskoczeniu i radości. Próbował z nią porozmawiać, ale widząc jej kompletnie puste oczy, dał sobie w końcu spokój. Vic wystarczyło jeszcze sił na zdeponowanie leku w sejfie szpitalnym, ale gdy tylko poczuła, jak pierwsza łza spływa po policzku, poszła do łazienki i bez wahania wstrzyknęła sobie przygotowaną końską dawkę środków uspokajających.

Po kilku minutach wyszła stamtąd inna, nieco zubożona, wolniej kojarząca i przede wszystkim dostatecznie znieczulona, żeby nie robić scen. Była już gotowa, żeby zadzwonić do Jane.

Usiadła na łóżeczku obok Kat i trzymała ją za rękę. Teraz śmiertelnie bała się tylko jednego, że ktoś każe jej wyjść z tego pokoju, że będzie musiała wypuścić małą dłoń dziecka – jedyną kotwicę trzymającą ją jeszcze na powierzchni.

Dziewczynka, niczym nastawiony na właściwy kierunek radar, bezbłędnie wyczuła, w jakim jest stanie. Wyostrzone przez chorobę zmysły Kat zareagowały paniką na widok zapatrzonyj tępo przed siebie matki, która mocno, zbyt mocno trzymała jej dłoń.

– Mamusiu – słowa córki docierały do niej powoli. – Co się dzieje? Spojrzała nic nierozumiejącymi oczami na leżącą, małą istotkę. Wykrzywiona do płaczu buzia, oczy, w których zaśniły łzy, nic jej nie powiedziały, dopiero płaczliwe „to boli” lekko ją otrzeźwiły. Puściła rękę córki i pomyślała, że najcudowniejszą rzeczą w dzisiejszym dniu byłoby położyć się obok niej, zwinąć i ciasno objąć, żeby żaden zły wichur nie wywiał drobnego ciała z jej ramion.

Nie takiej reakcji oczekiwali od niej podnieceni lekarze i pielęgniarki. Po raz pierwszy w dziejach oddziału onkologicznego zdarzył się najprawdziwszy cud.

Dziewczynka, która niecały miesiąc wcześniej wyszła stąd z wyrokiem, wróciła całkowicie zdrowa. Każdy chciał złożyć Vie i Kat gratulacje, powinszować szczęścia i dowiedzieć się, jak to było w ogóle możliwe.

Obcy ludzie wchodzili i wychodzili, ich słowa unosiły się niczym czarny dym pod sufitem, a w oczach matki uleczonogo dziecka nie znajdowali radości, lecz najgłębszą rozpacz.

Uratowała swoje dziecko, zawierając pakt z najmroczniejszymi siłami na ziemi, wyrwała ze szponów śmierci, zaprzędając własną duszę, teraz przyszedł czas, aby za to zapłacić, a cena była wysoka. Zbyt wysoka dla kobiety, która przeszła przez piekło, oszukała swoje demony, by teraz przekonać się, że nic jej

już nie zostało.

Nie chciała wstawać, więc połknęła dwie tabletki valium na sucho, bo znieczulająca moc psychotropów okazała się niewystarczająca. Jej siły słabły, powoli dochodziła do punktu, w którym zaczynała szukać innych rozwiązań, choć doskonale wiedziała, że ich po prostu nie ma. Aby ocalić Kat musiała się z nią rozstać, a to z każdą chwilą stawało się coraz trudniejsze. Przyszedł Mat i coś do niej powiedział, odpowiedziała mu spojrzeniem zaszczutego zwierzęcia. Popatrzył na nią dziwnie i wyszedł.

Czas stanął w miejscu, zawiesił się na brzoskwińowych ścianach i zaczął powoli, ciężko oddychać. Nie wpadła na to, że ten irytujący dźwięk pochodził z jej płuc, które ściśnięte obręczą tamowanego szłochu, zaczęły pracować jak u zmęczonego długą gonitwą konia. Krótkie urywane spazmy szarpały nią, próbując wydostać się na wolność.

Kat, zmęczona badaniami, zasnęła i pora była najwyższa wrócić do domu, który przestał być już ich domem. Tam, oprócz niemożliwej do zapełnienia pustki, czekał na nią on. Główny powód, sprawca i przyczyna.

Wstała i bez pożegnania wyszła ze szpitala. Nie zadawała sobie trudu zastanawiania się, w jaki sposób wróci do Lake Falls, było jej to kompletnie obojętne. Cały czas do znudzenia powtarzała jedno zdanie – modlitwę kierowaną do wszystkich mających władzę nad ludźmi sił.

– Wrócę jutro, a ona będzie na mnie czekać – mamrotała, idąc korytarzami, nieświadoma zdziwionych spojrzeń rzucanych przez mijanych ludzi.

Vic ukryła się już w innym świecie, gdzie Kat jutro i na zawsze witać ją będzie z wesołym uśmiechem.

Kompletnie otepiąca dała się bez protestów zaprowadzić do samochodu, usiadła na tylnym siedzeniu i od razu zapadła w pełen majaków półsen. Nie miała pojęcia, dokąd jedzie, kto prowadzi ani co się z nią dzieje. Nic jej nie obchodziło.

Zapytana, jak w końcu trafiła do domu, nie umiała udzielić odpowiedzi. Nie wiedziała, jak znalazła się w swojej sypialni. Zdołała jedynie wejść do łazienki, żeby łyknąć kolejną dawkę pigułek.

Dowlokła się do łóżka i padła na nie w ubraniu. Ktoś położył się obok, delikatnie głaszcząc ją po włosach.

– Po prostu bądź – powiedziała i przytuliła się do niego.

Objął ją mocno. Zasnęła jak kamień, zwalona z nóg potworną dawką leków uspokajających.

Nad ranem, gdy cudowna moc tabletek przestała działać, przyśnił jej się

dziwny sen. Tym razem nie pojawił się krwawy demon lecz...

Stała w ciemnym korytarzu, a naprzeciwko szalała ściana niebieskich płomieni. Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę. Zimne języki ognia polizały opuszki jej palców, wybuchając białym światłem.

Przestrzeń eksplodowała i zatopiła ją w białym niebycie, z którego powoli zaczęły się wynurzać kontury postaci i miejsca.

Znalazła się we wnętrzu niedużego salonu pełnego starych książek i kwiatów. Oprócz niej było tam jeszcze dwoje ludzi. Młoda, ładna kobieta i siwy mężczyzna o grubych, topornych dłoniach, które nieprzyjemnie kontrastowały z eleganckim garniturem.

Odwrócony plecami, mówił coś, żywo gestykulując.

– ...nie możesz. Za wiele trudu włożyłem, żeby to miasteczko znów pojawiło się na mapie. Ludzie chcą tu przyjeżdżać. Taki skandal nas zrukuje. Poza tym nie masz żadnych dowodów.

– Zastanów się, Arturze. Ile ofiar potrzeba, żebyś uwierzył? Młoda kobieta prawie nie otwierała ust podczas mówienia. Jej zielone oczy przewiercały mężczyznę na wylot.

– Potrzebuję faktów, nie domysłów. Dobrze wiesz, Elizabeth, że nie mogę nic zrobić bez jakiś namacalnych dowodów. Jestem bezradny...

Kobieta wstała i odłożyła na stolik szydełko.

– W takim razie zrobię to sama. – Jej słowa zabrzmiały oschle i stanowczo, mężczyzna zrobił krok do przodu.

– El, posłuchaj proszę...

– Nie, Arturze. To ty mnie posłuchaj. Albo staniesz po mojej stronie, albo całe twoje przekłete miasteczko zniknie z powierzchni ziemi.

Wyminęła go, otworzyła drzwi i stanęła w progu.

– Wszystko. Tak jak każdy, kto ci zaufał. – El, nie dramatyzuj.

Artur odwrócił się i Vic zobaczyła jego twarz. Od razu wydała jej się znajoma. Jego zdjęcie wisiało w głównym korytarzu ratusza. Napis pod nim głosił: burmistrz Artur Sanford, lata 1956–1975.

– Nie waż się tak do mnie mówić. – Kobieta była wyraźnie wzburzona.

– Nie waż się Arturze. Po tym wszystkim, co było między nami, proszę cię tylko o jedno. Uwierz mi, nic więcej. W głębi duszy wiesz, że mam rację.

Burmistrz spojrzał na nią i podszedł bliżej, jego czerwone dłonie objęły talię kobiety. Było w tym geście coś obleśnego, nieprzyjemnego. Wywinęła się lekko, odwracając do niego tyłem.

– Dobrze, El, dostaniesz wszystko, czego żądasz. Miejmy nadzieje, że się nie

mylisz. Inaczej tylko Bóg nas osądzi.

Elizabeth odsunęła się od drzwi, pozwalając mu przejść. Westchnął głośno i wyszedł bez słowa. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, kobieta podeszła do regału i wepchnęła jedną z książek.

Z cichym skrzypnięciem jedno skrzydło biblioteczki przesunęło się, otwierając przejście do małej, rześcicie oświetlonej izby. Vic zajrzała jej przez ramię i od razu zrozumiała, dlaczego Elizabeth tak pilnie strzegła tego pokoju.

Na środku pomieszczenia wyrysowany był czerwony pentagram, a na ścianie...

Choć trudno byłoby nazwać to ołtarzem, bardzo go przypominał. Na czarnym aksamicie leżały tajemnicze akcesoria, wokoło płonęły świece i kadzidła. Szczyt wieży z ułożonych starannie kości przyozdabiała wąska czaszka o nienaturalnie wystających kłach. Za nią wisiała odwrócona do góry nogami ogromna karta tarota przedstawiająca skaczącego z baszty mężczyznę. Dziwne znaki wymalowane dookoła i niesamowita atmosfera wnętrza były odpowiedzią na pytanie, kim jest Elizabeth.

Na stoliku leżały pootwierane stare grimoary i księgi. Jedną z nich przesłoniła złożona wpół gazeta, krzycząca wytłuszczonymi literami nagłówka „Brutalny mord w Lake Falls. Społeczność spokojnego miasteczka w New Hampshire jest zdruzgotana. Świadkowie, którzy pierwsi dotarli na miejsce zbrodni, mówią o rytualnym morderstwie. Burmistrz uspokaja i nawołuje do rzetelnego śledztwa”. Znalazła się w jaskini prawdziwej wiedźmy.

Stała jeszcze chwilę, wpatrzona w drobną postać nachyloną nad księgą i mamroczącą coś w nieznanym języku, gdy wizja zaczęła się zamazywać i wróciło oślepiające białe światło, które wyrwało Vic ze snu.

Po raz kolejny obudziła się z przeszywającym bólem głowy i głuchym kołataniem serca. Nadal miała w pamięci wszystkie szczegóły snu, które udało jej się zapamiętać bardzo dokładnie.

Twarz Elizabeth wydawała się taka bliska, rzeczywista i w pewien sposób znajoma. Spojrzała półprzytomnym wzrokiem na leżącego obok mężczyznę. Nie spał tylko patrzył na nią z... troską?

– Jak się czujesz? – zapytał cicho.

Powstrzymała chęć rzucenia się w stronę telefonu i sprawdzenia, co się dzieje u Kat.

Nie mogła wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, bo już w tej chwili świat robił się coraz mniej wyraźny i bardziej odbarwiony.

– Mógłbyś – wyszeptała wyschniętymi na pieprz wargami – przynieść mi z łazienki strzykawkę w czarnym etui. Obawiam się, że sama nie dam rady. – Nie

wystarczy ci już tych prochów? – w jego głosie zabrzmiała wyraźna dezaprobatą.

– Głowa mnie boli – powiedziała. – Jeśli czegoś nie zrobię, będzie nieciekawie.

Odsunął się ostrożnie i wstał. Po chwili wrócił, trzymając w dłoniach upragnione etui, jej jedyną szansę na powstrzymanie ataku.

– Jesteś pewna? – zapytał, podając strzykawkę.

Niemal wyrwała mu ją z dłoni, sprzęty dookoła już traciły kształty i kolory. Było to ostatnie ostrzeżenie przed ciosem, który mógł nadejść w każdej chwili.

Odsłoniła kołdrę i ze zdziwieniem zauważyła, że ma na sobie piżamę.

Nie przejmowała się zasadami, wbiła igłę przez spodnie prosto w udo.

Teraz należało już tylko czekać na pierwsze efekty.

Usiadł koło niej. Gdy zamknęła oczy, zaczął delikatnie głaskać twarz, jakby próbował za pomocą dłoni i palców zapamiętać jej kontury, utrwalić rysunek ust, policzków i czoła. Było to przyjemne i kojące, poddała się jego dotykowi, czekając, aż ustąpi ścisk w skroniach, a serce zacznie normalnie bić.

– Kto mnie przywiózł? – zapytała.

– Poprosiłem Benjamina, czekał na ciebie pod szpitalem od szóstej.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Miałam wczoraj ciężki dzień.

– Dało się zauważyć, tylko nie bardzo rozumiem dlaczego? – Był wyraźnie zdegustowany jej zachowaniem. – Dzwoniłem kilka razy. Mat niemal krzyczał do słuchawki, tak był podniecony wynikami badań. Wygląda na to, że wszystko się udało, a ty wracasz jak z pogrzebu.

– Nie wytrzymałam napięcia – odpowiedziała, modląc się w duchu, żeby nie wychwytał fałszu w jej głosie. – Ostatnie dni były dla mnie bardzo trudne. W szpitalu złamały mnie niepewność i strach. Przed każdym badaniem miałam wrażenie, że wszystko, co się wydarzyło, było tylko snem i okaże się, że Kat nadal jest chora. Tak bardzo się bałam.

– Mogę to zrozumieć – powiedział spokojnie. – Ale to nie zmienia faktu, że chyba masz poważny problem z lekami.

– Nic podobnego – zaprzeczyła gwałtownie, otwierając oczy. Wnętrze pokoju znów zaczęło nabierać barw, atak został w porę zażegnany. – Od czasu do czasu dostaję migreny, tylko wtedy po nie sięgam. Wczoraj była sytuacja nadzwyczajna.

– Dobrze wiedzieć. – Nadal był czujny, chyba nie do końca jej uwierzył. – Badałaś się?

– Od lat je miewam, lekarze uważają, że mają podłoże emocjonalne, a wyzwalaczem jest stres, czasem przepracowanie.

– I oprócz silnych środków przeciwbólowych nie ma innego sposobu, żeby

zatrzymać atak?

– Jak widziałeś. Nachylił się nad nią i wyszeptał do ucha: – Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką, po uratowaniu moich braci rozwiążę na zawsze twój problem, pomogę ci się uporać z bólem.

Nie chciała wiedzieć, jak tego dokona, i wołała nie pytać. Po zakończeniu drugiej części umowy prawdopodobnie pomoże jej uporać się z każdym bólem i wyleczy ze wszystkiego. Na zawsze.

Imperatyw w jej mózgu był ważniejszy od zastanawiania się nad mglistą i odległą przyszłością. Natychmiast musiała zadzwonić do szpitala, ale nie powinna tego robić przy nim. Miał ciut za dobry słuch.

– Zrobiłbyś mi śniadanie?

– Oczywiście – odpowiedział. – Cokolwiek sobie życzysz. I zniknął. Dopiero teraz zerwała się i szybko wybrała numer do Mata.

Odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Zdenerwowana zadzwoniła do recepcji oddziału.

I usłyszała wiadomość, której się spodziewała. Najgorszą ze wszystkich.

– Katherine? – powiedziała zdziwiona pielęgniarka. – Przecież rano, za pani pisemną zgodą, zabrano ją do kliniki w Bostonie. Nie wiedziała pani o tym?

– Zapomniałam – odpowiedziała i ciężko usiadła na łóżku. Miała wrażenie, że gdzieś w okolicy żołądka zaległ głaz, który stawał się cięższy z każdą upływającą minutą.

– Kto z nią pojechał?

– Doktor Matthew Brown oraz dwóch przysłanych z kliniki lekarzy. Czy pani się dobrze czuje?

– Tak – odpowiedziała sztywno. – Dziękuję za informację. A więc się stało.

Kat nie trafi do żadnej kliniki, zostanie wywieziona na koniec świata i ukryta przed nią. Tak jak prosiła.

Zagryzła wargi. Z jednej strony rozłąka z Kat była dla niej czymś niewyobrażalnym i potwornym, z drugiej...

Jej córka była już bezpieczna, a to, jak teraz ona się czuła, nie miało znaczenia. Tym rozstaniem została ukarana za własną krótkowzroczność i brak wyobraźni. Za zawarcie karygodnej umowy, w której stawką okazało się nie tylko życie bliskich jej ludzi.

Zeszła na dół w pizamie. Nie miała siły się ubrać. Doktor Barrow nakładał na talerz pięknie przyrumieniony omlet, ale wiedziała, że nie przełknie ani kęsa.

– O której chcesz jechać do szpitala? – zapytał.

– Nie dziś. – Patrzyła przed siebie, bo bała się spojrzeć w stronę pokoju Kat. –

Mat zabrał ją na dodatkowe badania do Bostonu.

– Wiedziałaś o tym? – zdziwił się.

– Nawet jeśli mi o tym mówił... – zawiesiła głos.

– No tak, nie byłaś w stanie zapamiętać – powiedział z przekąsem. – Zjedz coś, dobrze ci to zrobi.

Usiadła na krześle i zanim sięgnęła po talerz, zadzwonił telefon. Odebrała przy nim, żeby nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. – Witam.

Tego feralnego poranka nie była przygotowana na rozmowę ze swoim doradcą finansowym. Nie miała ochoty omawiać żadnych spraw, które tak naprawdę w ogóle jej nie obchodziły. Przynajmniej nie w tym momencie.

– Miło, że pan zadzwonił – powiedziała chłodno – lecz... Przerwał jej bezceremonialnie.

– Rachunek za pobyt pani córki w klinice pokrywam osobiście, mój pracodawca nie ma z tym nic wspólnego.

Przez chwilę nie rozumiała, o czym w ogóle mówi, dopiero po jakimś czasie zaczął do niej docierać sens poszczególnych słów.

– Wszystkie rachunki zostały opłacone i w każdej chwili może pani opuścić Lake Falls. Dom nie jest obciążony hipoteką, uzyskaliśmy całkiem niezłą kwotę z jego wykupu. Zasiłła ona pani podstawowe konto. We wszystkich sprawach dotyczących kosztów pobytu dziecka w szpitalu i pani przeprowadzki proszę się osobiście ze mną kontaktować. Zostały one zorganizowane w taki sposób, aby pani w każdej sekundzie – zaakcentował to dobitnie – mogła dołączyć do córki.

– Czyli nie mam już żadnych długów? – Nie o to chciała zapytać, ale musiała odwrócić uwagę Obcego od właściwego tematu rozmowy.

– Wszystkie pani zobowiązania zostały uregulowane. Jest pani wolna.

– Pan osobiście zajął się tymi sprawami?

– Zgodnie z poleceniem. Mam nadzieję, że przynajmniej w tej kwestii panią uspokoiłem.

– Dziękuję bardzo – powiedziała i rozłączyła się.

Była mu naprawdę wdzięczna za wszystko, co powiedział, i każdą informację, którą zataił. Kamień spadł jej z serca.

– Kto to był? – zapytał jak zwykle zbyt dociekliwy wampir.

– Doradca finansowy, prosiłam go o pomoc przy załatwieniu spraw, które zawałam – odpowiedziała. – Wiesz, kredyty, długi i tym podobne.

Bank poszedł mi na rękę i polecił człowieka, który pomógł mi, jak zresztą słyszałeś, uregulować zaległe zobowiązania.

– To miłe z ich strony – powiedział zdawkowo.

– Miłe? – udała oburzoną. – Wiesz ile ten człowiek bierze za godzinę? Dobre sobie. Rachunek, który mi wystawi, nie będzie w żaden sposób miły.

Ucięła dyskusję, ostentacyjnie pakując sobie do ust kawałek puszystego omletu.

Kat była bezpieczna, sekretarz Marca załatwił jej przenosiny i z nim mogła się kontaktować we wszystkich kwestiach dotyczących córki. To była doskonała wiadomość. Nie spodziewała się, że w tym całym zamieszaniu Jane pomyśli o jej uczuciach. Prawdopodobnie bardzo się pomyliła w ocenie swojej byłej teściowej. Mimo wcześniejszej awersji do jedzenia jakoś skończyła posiłek i wstając, powiedziała do niego z prośbą w głosie: – Pozwolisz, że wrócę do siebie. Nie najlepiej spałam tej nocy. Pozwolił. Zamiast jednak iść od razu do jeszcze ciepłego łóżka, na co miała nieprzepartą ochotę, otworzyła szafę i zaczęła przeglądać swoje rzeczy. Musiała spakować najważniejsze drobiazgi, dokumenty, kilka ubrań na zmianę. Najlepiej byłoby, gdyby udało jej się zmieścić całe swoje życie do niewielkiej torby. Na wszelki wypadek.

Z wiszących smutno wieszaków, które czuły, że na zawsze czeka je opuszczenie i zapomnienie, zabrała tylko dwa komplety ubrań. Z biurka wyjęła niewielki, posegregowany stos najważniejszych dokumentów, pozostało jeszcze zabrać notatnik z laboratorium i była w każdej chwili gotowa do ucieczki.

Dopiero teraz mogła wrócić do łóżka i poszukać zagubionego spokoju. Sen jednak nie nadchodził, przewracała się z boku na bok zła i niezadowolona, bo strumień myśli skutecznie odpędzał zmęczenie i senność. Miała tyle rzeczy do zrobienia, a jeszcze więcej do przemyślenia, że każda wykradziona chwila odpoczynku wydawała jej się niepotrzebnym luksusem.

W końcu nie wytrzymała i zeszła na dół, aby przygotować sobie herbatę. Odruchowo włączyła telewizor.

Usłyszana wiadomość zmroziła jej krew w żyłach. Poszła do jego pokoju i włączyła odbiornik. Gdy informacja o tragicznym wypadku wybrzmiała, a na ekranie pokazały się dwa zdjęcia w czarnych ramkach, spojrzała na niego oskarżycielsko.

– Dlaczego uważasz, że miałem z tym coś wspólnego? – zapytał.

– Oczywiście, że nie miałeś, tak samo pewnie, jak ze zniknięciem Roberta – powiedziała szyderczo. – Obrażasz mnie, uważając za kompletną kretynkę.

– Po pierwsze, nie uważam cię za kretynkę, tylko hipokrytkę – odpowiedział zimno. – Po drugie, nie powiedziałem nic na temat zaginięcia twojego męża. A ty, przypomnij sobie dobrze, nie pytałaś. Gdybyś jednak to zrobiła, odpowiedziałbym szczerze, tak jak robię to teraz. – Popatrzył jej głęboko w oczy. – Tak, zabiłem go. I nie żałuję. Zrobiłbym to jeszcze raz, jeśli byłaby taka

konieczność. Należę do ginącego gatunku, który uważa, że mężczyzna powinien chronić kobietę, zapewniać jej bezpieczeństwo i opiekę, nawet za cenę własnego życia. Nie grozić jej, straszyć procesami i prześladować w czasie, gdy walczy o życie swojego dziecka. Tchórzliwi sadyści powinni zostać zapomniani tak jak miejsce ich pochówku. Jest ci naprawdę szczerze przykro z powodu jego śmierci?

– Moje odczucia nie mają z tym nic wspólnego, liczy się tylko to, że był człowiekiem, a ty go zamordowałaś z zimną krwią.

Roześmiał się, jakby w jej słowach było coś zabawnego.

– Tak całkiem zimna nie była, zdążył mi przed śmiercią zdrowo podnieść ciśnienie. Nie dostrzegasz ironii całej tej sytuacji? Wysyłasz mnie, żebym zabił czterech – wyraźnie zaakcentował ostatnie słowo – ludzi i ich los nie spędza ci snu z powiek, a robisz scenę, bo ośmieliłem się oczyścić świat z niepotrzebnego nikomu pasożyta? Dawno temu nazywano nas strażnikami, bo chroniliśmy ludzi przed bestiami czającymi się w mroku. Te same bestie przeniosły się teraz do środka waszych siedzib, a ja, zgodnie z tradycją, po prostu je eliminuję.

– A kto dał ci prawo, żeby decydować o czymś życiu lub śmierci, o tym, kto jest bestią, a kto nie?

Argumentem, którego użył, przywołując niechciane wspomnienie czterech mężczyzn z motelu, wytrącił jej broń z ręki.

– Prawo starsze niż wasze wszystkie razem wzięte. – Spoważniał nagle. – Nakazujące mężczyźnie zawsze stać u boku kobiety, którą wybrał, bronić jej, a gdy nadejdą złe chwile, osuszyć łzy. I żadna cena, jaką za to przyjdzie mu zapłacić, nie jest zbyt wysoka. Nasz gatunek wyginąłby dawno temu, gdybyśmy nie przestrzegali tego prawa. A jeśli z biegiem czasu zapomnielibyśmy o nim, nie byłibyśmy godni, aby przetrwać.

– Robert miał swoje wady, ale był... Przerwał jej gwałtownie.

– Nie może się nazywać człowiekiem istota, która krzywdzi kobietę lub dziecko. W naszym języku było kiedyś takie określenie: mahande. Mówiono w ten sposób o tych, którzy zapomnieli, czym jest honor i odwaga albo przekroczyli je dla własnej korzyści. Wiesz, jak brzmi jego tłumaczenie? – Nie czekał, aż odpowie, tylko dodał: – Śmieć. I nie było bardziej obelżywego wyzwiska. Ktoś, kogo w ten sposób nazwano, mógł zmasakrać jedynie własną krwią. Robert był mahande i doskonale o tym wiesz.

– Wampir dający wykład o tym, jak powinien zachowywać się człowiek. – Szyderstwem chciała pokryć zmieszanie. – Tego jeszcze nie było.

– Nie różnimy się od siebie tak bardzo. Wszyscy mamy jakieś wady, wampir,

człowiek, zebra to gatunki nastawione przede wszystkim na przetrwanie. A zabijanie dzieci, katowanie samic swojego gatunku nie jest najlepszym na to sposobem. Istoty, które tak postępują, skazane są na zagładę. Ja tylko trochę przyspieszyłem jego własną apokalipsę. I nie żałuję, nawet jeśli miałabyś za to ukarać mnie w jakiś wyrafinowany i zapewne dotkliwy sposób.

– A za co zemściłeś się na Jane i Marku?

Obserwowała go uważnie, szukając jakiegokolwiek oznaki kłamstwa.

– Z ich śmiercią nie miałem nic wspólnego. Nie całe zło tego świata można przypisać wampirom. Sporo zgonów zbierają śliskie drogi, mgła i nieuwaga kierowcy. Za Hiroszimę, bombardowanie Drezna i atak na Pearl Harbor także nie jestem odpowiedzialny, jeśli miałabyś jakieś wątpliwości. Mógłbym pokusić się nawet o stwierdzenie, że więcej ludzi ginie rocznie z powodu własnej głupoty, niż zabiły wampiry w ciągu całej swojej historii. W tym miejscu jesteśmy zdecydowanie w tyle za waszym postępem.

Puściła mimo uszu ów wykład z historii. Teraz interesowało ją jedno, konkretne zdarzenie, które nie było aż tak odległą przeszłością.

– Dajesz słowo, że w żaden sposób nie przyczyniłeś się do ich wypadku?

Ostatni wyraz nasączyła taką dawką jadu, że tylko głuchy by się nie zorientował, co sądzi o tej katastrofie.

– Nawet jeśli dam, uwierzysz mi? – Uśmiechnął się krzywo. – Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Jane i Marca. Uspokoilo cię to? Pozbyłaś się wątpliwości raz na zawsze?

Nie odezwała się słowem. Miał rację. Jakaś częścią swojego umysłu chciała mu wierzyć, bardzo potrzebowała tej wiary i przekonania, że pomimo wszystko nie jest potworem. Inna głośno rechotała z jej naiwności i głupoty.

Ale obojętne, czy samochód faktycznie zsunął się ze stromego wzgórza, czy ktoś zepchnął ich z oblodzonej drogi, pozostawał głęboki smutek i żal. Marc oraz Jane zginęli, odeszli, gdy odkryła w nich przyjaciół, ludzi, którzy w momencie próby stanęli u jej boku. Kiedyś miała do nich wiele zastrzeżeń i nagromadzonych pretensji, wtedy nie uwierzyłyby, że jeszcze będą mogli rozmawiać ze sobą jak dobrzy znajomi.

Po wydarzeniach w Lake Falls zrozumiała, że źle ich oceniła, nie dając szansy na normalne relacje, a teraz było już za późno na wszystko. Nie mogła im podziękować, nie mogła ich przeprosić. Każda śmierć zostawiała za sobą tak wiele niezłatwionych spraw, tak wiele zapomnianych słów, które w porę nie zostały wypowiedziane.

Poczuła się przeraźliwie samotna i opuszczona. Zabrano jej Kat, a Robert, być

może Eve, Marc i Jane zniknęli z jej życia na zawsze.

Przyjmując pod swój dach pewnego niezwykle gościa, zapoczątkowała wbrew swojej woli spiralę wydarzeń, które powoli odbierały jej wszystkich.

Od wieków zazdrosna śmierć była jego najbliższym towarzyszem i starą przyjaciółką, nietolerującą jakiegokolwiek konkurencji. A ona znalazła się na jej drodze i musiała za to zapłacić samotnością i ciągłą żałobą. Pozostając w cieniu śmierci, Vic stawiała się powoli kimś, kim nigdy nie chciała być. Złą, samolubną kobietą, pozbawioną sumienia i zasad, ale gdyby ktoś zadał jej dzisiaj pytanie, jak postąpiłaby tamtego październikowego wieczoru, mając świadomość wszystkich przyszłych konsekwencji, odpowiedziałaby bez wahania tak samo.

Uratowała życie Kat i to było najważniejsze, tylko ten fakt miał jakiegokolwiek znaczenie. Inne sprawy, inni ludzie...

Żeby zachować resztki zdrowego rozsądku powinna oddzielić grubą, czerwoną kreską uczucia od działań. Postawić szczelne granice między logiką, obowiązkiem a emocjami. Inaczej oszaleje, miotana, niczym liść na wietrze, wykluczającymi się wzajemnie interesami.

Należało zrobić listę niepodważalnych priorytetów i nawet wbrew sobie trzymać się jej do samego końca. Nawet jeśli miał on nadejść szybko i niezapowiedzianie. Każda z ofiar domagała się od niej teraz konkretnego działania. Żądała uwagi i zemsty.

Mogła analizować po wsze czasy swoje uczucia do Obcego, utonąć w morzu żalu i smutku, jednak to nie nasyciłoby głodu tych, którzy odeszli z jej winy. Była ich dłużniczką i musiała za wszelką cenę pozostać twardą, opanowaną Vic, kobietą, która nie pozwoli, aby ich poświęcenie poszło na marne. Bardzo potrzebowała papierosa. Tak bardzo, że nie zwracając na Niego uwagi, zdjęła kurtkę z wieszaka i machinalnie spojrzała w kierunku pokoju Kat.

Nie powinna była tego robić. Sączące się stamtąd blade światło hipnotyzowało. Zrobiła pierwszy krok, a później następne, aby ostatecznie przekroczyć próg rozpacz.

Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Sprzęty, rzeczy, książki leżały na swoim miejscu, ale...

Od razu to wyczuła. Powietrze zastygło w niepokojącym bezruchu, a ona zaczęła się pocić, najpierw delikatnie po karku spłynął jej cieniutki strumyk, żeby po chwili zrosić gęstymi kroplami czoło i osiąść cienką mgiełką na drżących dłoniach.

W pokoju unosił się jeszcze zapach Kat, jej pościel, ubrania nasycone subtelnym aromatem zdawały się wytwarzać swoją własną aurę. Rozrzucone

zabawki zastygły bezradnie w niekończącym się oczekiwaniu, aż sięgną po nie małe rączki.

Podeszła do łóżka i oparła się o nie, bo miała wrażenie, że za chwilę się przewróci. Czegoś brakowało w tym pokoju, dojmujące poczucie straty było wręcz namacalne.

Nie zastanawiała się wcześniej nad tym, co pomyśli Kat, gdy odkryje prawdę. O tych wszystkich urwanych w połowie zdaniach, niedopowiedzianych kłamstwach mówionych przez obcych ludzi. Strachu, którego smak pozna, gdy odkryje, że nie ma już matki u boku.

Osunęła się na podłogę, ściskając kurczowo w dłoni róg kołdry. Przycisnęła go do ust, żeby stłumić rodzący się szloch i zatrzymać przy sobie choć na chwilę zapach Kat, który wydawał się blednąć, zatracać się razem ze wspomnieniem roześmianej buzi i błękitnych oczu. Kiedy znowu ją zobaczy? Za miesiąc, rok?

Każdy dzień, każda godzina z dala od niej była najgorszą z możliwych kar. Jeśli popełniła błąd, dopuściła się zbrodni, przyszło jej za to słono zapłacić. Koszt okazał się niewspółmierny do przewinienia, bo najgorszy przestępca zna długość swojego wyroku, a jej odebrano nawet to pocieszenie. Zakręciło jej się w głowie i przed oczy napłynęły niechciane obrazy. Pokój Kat wypełniony unoszącymi się w promieniach słońca drobinami kurzu, osadzającymi się na poszarzałej pościeli i brudnym, nieużywanym prześcieradle. Łóżko pachnące starością i rozkładem. Zamarłe pod warstwą pyłu maskotki wpatrujące się w nią oczami pełnymi wyrzutu i wszechobecnego smutku. Zegar na ścianie odmierzający czas wstecz. Obraz pokoju zaczął się wykrzywiać i zaginać. Linie czasu i miejsca nachodziły na siebie, załamując perspektywę. Odpływała, niesiona falą przenikających się wizji. – Co ty wyprawiasz?

Ten głos przywrócił właściwy porządek rzeczom, ustawił je z powrotem na swoich miejscach i przywołał Vic ze świata mroku, do którego na chwilę odeszła.

Patrzył na nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Pomógł wstać i posadził na łóżku. Co miała mu odpowiedzieć? Że nie może wchodzić do pokoju własnego dziecka, bo czuje się tam, jak człowiek, któremu właśnie wydarto serce? Przecież nie mogła mu powiedzieć prawdy.

– Zrobiło mi się słabo.

Za wszelką cenę musiała wziąć się w garść i wrócić do rzeczywistości skrzętnie ukrywanej pod maską póz, ugrzecznionych gestów i mnóstwa małych kłamstw.

Nie dodała nic więcej, zarzuciła na siebie kurtkę i wyszła na zewnątrz.

Bez względu na to, co się działo, musiała wykonać jeszcze jeden telefon.
Najważniejszy.

Jonathan odebrał po pierwszym sygnale.

– Co słychać? – zapytała zdawkowo.

Ustalili wcześniej, że w ten sposób da mu znać o dodatkowej, niepowołanej parze uszu w pobliżu.

– Możemy się spotkać? – zapytał. Był wyraźnie zdenerwowany.

– W żadnym wypadku – odpowiedziała krótko.

– Nie mogę się skontaktować z doktorem Kentem, nie wiesz, co się stało?

– Nie mam pojęcia.

Wczoraj wieczorem odwiózł ją do domu i zniknął.

Czyż to nie było dziwne i zaskakujące? – pomyślała z goryczą i przełknęła kolejną złą informację, której sens i znaczenie, były aż nazbyt oczywiste.

– Zostaw ten problem – powiedziała zimno.

– Zrobiłem wszystko, co ustaliliśmy po naszym spotkaniu.

– I?

– Wszyscy są bezpieczni.

W ten sposób przekazywał jej informację, że udało mu się wywieźć całą rodzinę. Na placu pozostali zatem we dwoje. Pokażny oddział.

– Zostawiłem sobie wsparcie, będziemy mieć do pomocy moich braci i trzech godnych zaufania pracowników. Miejscowych.

Określenie, które wyjaśniało wszystko. Zostali ludzie, którzy wiedzieli, z czym przyjdzie im walczyć. To ułatwiało sprawę.

– Moja działka?

– Czekamy na słoneczny dzień. Dasz mi znać kiedy i wszystko będzie przygotowane.

– Dziękuję, że się tym zająłeś. – Westchnęła cicho. Nie miała mu już nic więcej do powiedzenia.

Dwa kolejne dni upłynęły jej na niekończącej się szarpaninie, a jedynym wytchnieniem od strasznych myśli były chwile, gdy dotyk jego dłoni oddzielał ją od koszmarnej rzeczywistości.

Była z nim rozpaczliwie i zachłannie, jakby świat miał się skończyć za każdym razem, kiedy spełniona próbowała zasnąć u jego boku.

Każdego ranka uważnie sprawdzała prognozę pogody. Każdego ranka bała się tego, co usłyszy. Czekwała na znak, a gdy nie nadchodził, rezygnacja walczyła z coraz mocniejszym pragnieniem. Zatracona doszczętnie w euforii zmysłów błagała:

– Jeszcze nie teraz. Proszę, tylko o kolejny dzień, tę jedną, ostatnią noc.

I natychmiast dopadały ją wyrzuty sumienia, rozszarpujące duszę na tysiące sobie wiadomych, skutecznych sposobów.

W końcu usłyszała słowa wypowiedziane przez zadowoloną z siebie pogodynkę. Zgodnie z jej prognozą kolejne nadchodzące dni zapowiadały się słonecznie. Mróz miał ścisnąć, zjeżdżając mocno poniżej zera, ale razem z nim pojawiała się cudowna, zimowa pogoda, która powinna utrzymać się do końca tygodnia.

Od tego momentu nie miała już czasu do stracenia. A przedłużanie w nieskończoność męczarni wewnętrznego rozdarcia pomiędzy tym, co należało zrobić, a tym, czego naprawdę pragnęła, zakrawałoby na czyste okrucieństwo, więc wieczorem, leżąc koło Niego, zapytała od niechcienia.

– Jak chcesz ich uwolnić i do czego jestem ci potrzebna? Opowiedz mi, na co powinnam się przygotować. Lepiej, żebym wiedziała wcześniej, bo przynajmniej zdążę się z tym oswoić. Zakładam nie bez powodu, że nie będzie łatwo...

– Uwierz mi, gdyby był jakikolwiek inny sposób. – Uniósł się na łokciu i czule pogładził jej włosy. – Jeśli postąpisz dokładnie według moich wskazówek, nic ci się nie stanie. Obiecuję.

– Muszę się do tego psychicznie przygotować.

– Ponad pięćdziesiąt lat temu została tu złapana i uwięziona grupa moich braci. Przerwała mu.

– Czytałam, że dwudziestu łowcom brata Jakuba sprawił problem jeden wampir. Kto był tak potężny, że poradził sobie z czwórką?

– Właściwie sami sobie byli winni. Nie docenili tutejszych ludzi, a szczególnie pewnej kobiety. Okazało się, że była potężną wiedźmą, władającą na wpeł zapomnianą magią żywiołów. Osoba tak niepozorna, skromna i oszczędna w rzucaniu zaklęć, że nie dostrzegli jej istnienia, i złamali przy tym jedną z najważniejszych zasad.

– Poczekaj, bo się pogubiłam. Pokonała ich wiedźma?

– Oczywiście. – Usiadł, opierając się o zagłówek. – Nikt inny nie dałby rady. Nie była sama, pomagała jej grupa mężczyzn wykonujących tylko polecenia. – Jaką zasadę złamali?

Każda informacja mogła się okazać istotna, dlatego nie mogła przeoczyć najmniejszego tropu.

– Nigdy nie poluje się w miejscach, gdzie wyczuwalny jest ślad magii. Ale ona, tak jak powiedziałem, nie była typową wiedźmą, zachłystującą się darowaną mocą. Nie rzucała zaklęć i dlatego ją przeoczyli.

– Jak to możliwe, że żyła tu wiedźma? To były już czasy nauki i racjonalizmu.

– W każdej epoce przychodzi na świat ktoś, kto wykracza nieco ponad panujące ogólnie ramy. I na kogoś takiego mieli pecha trafić. Rozgrywka była krótka, rzuciła na nich potężny czar i kazała swoim pachołkom zamknąć ich w jaskini po drugiej stronie jeziora. Łatwo tam trafić.

– Dlaczego czekałeś, aż pięćdziesiąt lat, żeby ich uwolnić?

– Daj mi opowiedzieć wszystko po kolei i nie przerywaj. Pytania zadasz później.

Skinęła głową i zatopiła się w niesamowitej historii rodem z mrocznych baśni.

– Czterech moich braci znalazło tę dolinę i postanowiło osiąść na trochę, bo zwabiła ich spokojna okolica. Najpierw przestrzegali ustalonej wieki temu reguły, żeby nie polować w bezpośredniej bliskości swoich kwater, ale dość szybko skusiła ich łatwa dieta, złożona z turystów, przybywających tu każdego sezonu. A że nikt nie zwracał większej uwagi na zniknięcia ludzi rozbijających w drodze jednodniowe biwaki, ich ostrożność stępsiała. Pewnego dnia, gdy nadeszła zima, zamiast udać się na polowanie daleko poza swoją okolicę, pożywili się jednym z miejscowych.

I wtedy okazało się, jak poważny popełnili błąd. Osaczono ich bez trudu, ale zamiast uczciwego pojedynku pojawiła się wiedźma, młoda dziewczyna, władająca niesłychanie potężną magią. Jedno zaklęcie wystarczyło, aby czwórka nieostrożnych głupców zapadła w sen. Zamiast ich dobić, mieszkańcy zamknęli ich w magicznie zabezpieczonej jaskini. To miała być kara rozciągnięta przez wieczność, tak sobie wymyśliła wiedźma. I właśnie z jej czarami spotkasz się po drodze. Zbadałem sprawę dokładnie i niewiele szczegółów umknęło mojej uwadze, stąd wiem, że będziesz bezpieczna. Zastawione pułapki miały uniemożliwić nam udzielenie pomocy. To akurat wyszło wiedźmie doskonale. Wykorzystała przeciwko nam jedno z najświętszych miejsc – Jaskinię Azdarotha, którą sami opatrzyliśmy najpotężniejszą barierą, tworząc z niej fortecę nie do zdobycia. Gdy staniesz u stóp wzniesienia, zobaczysz wydeptaną ścieżkę, która poprowadzi cię wprost do wejścia. Każdy z mieszkańców zna ją doskonale, żaden jednak nie wie, że oprócz głównej sali jest tam jeszcze labirynt przejść i zapomnianych komnat. Nie wie, ponieważ ich nie widział. Zamaskowane potężną iluzją są dostępne i otwarte jedynie dla wybranych. Przejdziesz oświetlonym korytarzem do ogromnej kawerny, tam zobaczysz posąg. To święta sala, miejsce, w którym wampiry oddają cześć Azdarothowi, dokładnie za plecami posągu znajduje się więzienie moich braci. Jedynie człowiek może tam wejść, po drodze jednak musi pokonać cztery bramy, wyznaczone przez

kolejne żywioły. Każda z nich jest śmiertelnie niebezpieczna dla wampirów. Pierwszą będzie otwarcie przejścia. Wiedźma, z typową dla siebie ironią, zadbała, aby każda z bram była jednocześnie testem. Pierwszą jest gliniana ściana – to próba ziemi.

Tylko dotyk człowieka może ją zburzyć.

Jest tam specjalny występ, dotknięcie go spowoduje rozsypanie się całej konstrukcji. Kolejną przeszkodą jest żywioł powietrza. Staniesz naprzeciwko golema i jeśli stracisz zimną krew, rozniesie cię na strzępy. Musisz pozwolić mu przez siebie przejść, wtedy otworzy się kolejna brama. Czeka cię tam ściana ognia, jeśli kiedykolwiek twój umysł był pod wpływem władzy wampira, spłoniesz. Jeśli nie, przejdiesz do niewielkiej sali, gdzie będzie na ciebie czekać ostatnia z pułapek. Zobaczysz jezioro bez dna, zatopieni głęboko będą leżeć moi bracia w stanie półsnu. Tak naprawdę nie ma tam żadnej wody, to tylko doskonała iluzja. Jeśli odważysz się wejść do zbiornika, przekonasz się sama. Aby ich obudzić, wystarczy podać kilka kropel krwi, którą ci wcześniej przygotuję. To wszystko.

– Czegoś w tym nie rozumiem – powiedziała. – Skąd wiesz o tym wszystkim? Wiedźma dała ci mapę i powiedziała, jak pokonać pułapki?

– Nie doceniasz mnie. Miałem trochę czasu, żeby poszperać tu i ówdzie. Wiem, czego możesz się spodziewać. Niestety nie wejdem tam z tobą, dopiero, gdy pokonasz ostatnią z prób, będę mógł przyjść ci z pomocą.

– Jaką mam gwarancję, że twoi ożywieni bracia nie zechcą rozerwać mi gardła, zanim cokolwiek zdołam wyjaśnić?

Zdziwił się i spojrzał na nią, jak na kogoś, komu zupełnie pomieszało się w głowie.

– Nie tknie cię żaden wampir, nosisz przecież na sobie znak Pierwszego.

Odruchowo spojrzała na nadgarstek. Nie było na nim żadnego śladu, żadnego wypalonego piętna, a mimo wszystko była naznaczona. Sny mówiły prawdę.

– Jak dostanę się do głównej kawerny, świątyni Azdarotha, skoro nie może tam wejść nikt poza wampirami?

– Powiedziałem, że dostać się tam mogą jedynie wybrani, ty jesteś jedną z nich. Sam Pierwszy cię nazaczył i dlatego każde nasze sanktuarium stoi przed tobą otworem. Jesteś człowiekiem, lecz jednocześnie jednym z jego dzieci, dlatego możesz przejść pomiędzy komnatami. Wiedźma uknuła arcyprzewrotny plan. Żeby dostać się do głównej sali trzeba być wampirem, ale żeby wydostać więźniów, trzeba być człowiekiem. Te wzajemnie wykluczające się warunki były, aż do teraz, idealnym zabezpieczeniem.

– Dlaczego tak długo zwlekałeś z ich uwolnieniem?

– Cóż mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Może chciałem, żeby dostali nauczkę... Z drugiej strony, wiesz, ilu ludzi na ziemi nosi na sobie znak Azdarotha? – Sam odpowiedział na to pytanie. – Nikt, oprócz ciebie. Aby Pierwszy wybrał swoje naczynie, musi ono spełniać wiele warunków. I żeby było zabawnie, wszystkie są zbieżne z próbami wymyślonymi przez wiedźmę. Przy pierwszej musisz się wykazać posłuszeństwem, przy drugiej odwagą, przy trzeciej czystym sercem, a przy czwartej wiarą. Skoro Azdaroth sam uznał, iż jesteś godna stać się wybraną, musisz mieć w sobie wszystkie te cechy.

Jedno ją niepokoiło.

– Golem – powiedziała i przełknęła ślinę. – Skąd wiesz, że nic mi nie zrobi?

– Odwaga zawsze wiąże się z miłością. Jeśli kolos zobaczy ją w twoim sercu, rozsypie się w nicość. – Jesteś tego pewien?

Uśmiechnął się do niej i delikatnie musnął ustami jej policzek.

– Gdybym nie był, nie pozwoliłbym ci tam iść i nikt, nawet sam Azdaroth w swojej własnej postaci, nie zmusiłby mnie do tego. Przejdiesz wszystkie próby bez problemów, wiem o tym. Musisz mi zaufać i uwierzyć, że nigdy nie naraziłbym cię na żadne niebezpieczeństwo. W końcu jesteś tą jedyną. Prawdziwą i ostatnią.

Wolałbym, aby ci nieostrożni głupcy zgnili w swojej celi, niż pozwolić, żeby coś ci się stało.

– A jeśli jednak zdarzy się coś, czego nie przewidziałeś?

– Będę o krok za tobą. Zresztą, w każdej chwili możesz po prostu wrócić. Zrozumiem. To nic nie zmieni między nami. Pytaniem jest bowiem – zsunął się z powrotem na poduszkę – jakich wrażeń mogą dostarczyć moi ożywieni bracia, abym dla nich zrezygnował z tego... Jego dłonie były tam, gdzie się ich spodziewała. Tam, gdzie być powinny.

– Co mogą mi ofiarować – niski, ochrypły głos szepnął jej do ucha – żebym dla nich poświęcił to.

Chłodne usta dotknęły jej warg i cały świat powoli odpłynął w nicość. Tym razem nie zasnęła. Wysłuchana w ciemność najpierw czekała na jego równy, spokojny oddech. Tak zadziałał koktajl środków uspokajających i usypiających zdolny powalić słońca.

Niespodzianka dodana do każdego woreczka z krwią. Na wszelki wypadek. Strach ścisnął jej wnętrzności. Zaczęło się i nie było już odwrotu.

Do względnej równowagi przywrócił ją chłodny dotyk strzykawki. Nadszedł czas. I nie powinna go bezmyślnie zmarnować, bo nie da się odzyskać ani sekundy

z ofiarowanej szansy. Odsłoniła mu ramię i wbiła igłę z płynną esencją snu – podwójne zabezpieczenie.

Zerwała się z łóżka, rzeczy miała już zawczasu przygotowane, więc ubranie się połączone z wykonaniem najpilniejszego telefonu, nie zajęło jej więcej niż kilka minut.

Zanim wyszła, zrobiła jeszcze jedno – odsłoniła okna, pozwalając, aby blask zimowego słońca otoczył łóżko. To była jej ostatnia linia obrony. Właśnie wkładała na siebie kurtkę, gdy usłyszała wizg opon na ścieżce.

Kawaleria przybyła.

ROZDZIAŁ XIII

Spał głęboko, lecz nie aż tak, żeby jego uwadze umknął dziwny dźwięk za oknem.

Otworzył oczy i pierwsze, co zobaczył, to padające wokoło promienie słoneczne. Był otoczony, złapany w świetlną pułapkę.

Uśmiechnął się do siebie i wystawił dłoń na zetknięcie z jasnością, która płynęła strumieniem z odsłoniętych okien. Dopiero po chwili lekkie szczypanie zmusiło go do cofnięcia ręki.

Oczywiście mógłby, nie ryzykując niczym, wstać z łóżka i podążyć jej śladem. Dopadłby ją pewnie zanim samochód ruszył sprzed domu.

Wiedział doskonale, co się święci. Zobaczył to w jej oczach i poczuł to w smaku krwi, którą pił. A podczas namiętych pieścizot wymacał strzykawkę pod poduszką. Był więcej niż pewien tego, co zrobi. Przez chwilę nawet był z niej dumny.

Pionowa zmarszczka przecięła mu czoło, a oczy zalśniły.

– Ofiara jest konieczna – przemówił do niego wczoraj Azdaroth. – Musisz się z tym pogodzić.

Nie było łatwo czekać, gdy inni decydowali o życiu i śmierci jego braci. Nie tak go uczono i nie tak nakazywało prawo. Musiał się podporządkować, choć nie przyszło mu to lekko. Dlatego zamiast gonić samochód po krętych drogach, położył się z powrotem. Teraz odpoczywał, bo czekało go inne poważniejsze zadanie.

Jonathan nie odezwał się słowem. Siedzieli oboje spięci i zdenerwowani, a ich strach unosił się w samochodzie, jak kurz w niewietrzoną od wieków pokój. Jeśli ona – której stała obecność Obcego pozwoliła się przyzwyczaić do myśli, kim jest – była przerażona, nie mogła dziwić się jego reakcji. Do samego rynku nie padło między nimi ani jedno zdanie.

Pod ratuszem zgodnie z umową czekał van, a w nim dwóch braci Jonathana i trzech zaufanych pracowników. Byli gotowi.

Dojechali razem na ostatni, położony przed podnóżem góry parking i wysiedli. Pięciu ponurych mężczyzn o złych, zaciętych twarzach rozpakowywało sprzęt, na którego widok Vic poczuła gwałtowny skurcz w żołądku.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę? – zapytał Jonathan.

– A nawet jeśli nie jestem tego pewna – odpowiedziała mu twardo. – Mamy

inne wyjście? Znasz kogoś, kto mógłby mnie zastąpić?

Spuścił wzrok. Oboje wiedzieli aż za dobrze, że dotarli do punktu, z którego nie mogli się już wycofać.

– Na pewno potrafisz nas tam wprowadzić?

Teraz był konkretny, nie pytał o jej samopoczucie, za co była mu szczerze wdzięczna.

– Zobaczymy – powiedziała, siląc się na spokój, którego nie czuła. – Jeśli nie uda się was wciągnąć, przekażecie mi, co mam zrobić. Dalej dam sobie radę sama.

Jonathan spojrzał na nią i przestał zadawać pytania.

Drobiazg, pomyślała, a rzut oka na zgromadzone przedmioty tylko powiększył jej zaciekłość.

Jakim cudem mogłabym nie dać sobie rady z magicznymi barierami, golemem i czterema wampirami. W końcu będę miała prawdziwy miotacz ognia, pomyślała gorzko.

Odwróciła się i wkroczyła na ścieżkę prowadzącą prosto do świątyni przeklętych.

Była zadowolona, że nikt już nie może spojrzeć jej w twarz i zobaczyć tam pierwszych oznak rodzącej się paniki.

Uważnie rozejrzała się dookoła. Leśny dukt, który z minuty na minutę stawał się coraz węższy i mniej widoczny, ostatecznie zniknął.

Wejście do jaskini powinno być gdzieś w pobliżu, pomyślała. Nużące i ostre podejście w głębokim śniegu mocno nadszarpnęło jej siły. Od dwóch miesięcy prawie w ogóle nie ruszała się z domu, co zemściło się teraz ciężką zadyszka.

Żeby odzyskać pełnię sił i zregenerować się przed czekającym go wyzwaniem wystarczyła mu godzina ciężkiego, pozbawionego marzeń snu.

Wstał, ignorując padające dookoła promienie. Musiałby być poddany ich działaniu przez wiele godzin, aby rzeczywiście wyrządziły mu szkodę. Wampiry nie lubiły słońca, co nie oznaczało, że zabijało ich ono na miejscu.

Ubrał się starannie i założył na siebie swój ulubiony, długi płaszcz. Był gotów do drogi. Dotarcie do ratusza nie zajęło mu więcej niż kilka minut. W pustych korytarzach zwielokrotnione echo niosło jego kroki i odbijało się od zamkniętych na głucho drzwi. Dotarł do małej salki, która dawniej służyła za archiwum urzędu. Opróżniona z szaf, z zaciekami starego brudu i kratami w oknach robiła przygnębiające wrażenie, jakby czekała na to, by stać się ostatnim przystankiem więźnia przywiązanego do krzesła.

Podszedł do niego i jednym szarpnięciem zdarł mu z głowy kaptur. Doktor

Benjamin Kent zamrugał oczami, oślepiony resztką bladego światła, które wpadało przez zakurzone rolety. Nie było w tym nic dziwnego. Dwa dni spędzone w kompletnych ciemnościach, z oczami zasłoniętymi szerokim kapturem, dłońmi ciasno przywiązanymi do krzesła i nogami spętanymi kajdanami, to było za dużo dla starego człowieka.

Przez kilka godzin wzywał pomocy, walczył z więzami, szarpał się, bezskutecznie próbując poluzować sznury. Efektem tego były tylko głębokie aż do krwi otarcia i kompletna rezygnacja. Później stracił poczucie czasu, a czające się w zakamarkach mózgu czarne myśli przystąpiły do ataku. Razem z mijającymi godzinami tracił nadzieję i rozum.

Gdy światło ponownie trafiło do jego źrenic, niewiele zostało doktora Kenta w przerażonym, sprowadzonym do roli żebrzącego o życie, strzępie człowieka. Chciało mu się pić, był rozpaczliwie głodny i pragnął uwolnić się z uwierających coraz mocniej pęt. Dlatego na widok Obcego rozplakał się cicho. – Sza – uciszył go niski głos, któremu był posłuszny.

Ten człowiek w czarnym płaszczu mógł go uwolnić, mógł go napić, więc łzy przestały płynąć. Benjamin oczami jak u zbitego psa wpatrywał się w ogromny ciemny kształt, który nie nabrał jeszcze rozpoznawalnych rysów. Miał nadzieję, wierzył, że jego niewola właśnie się skończyła, lecz nieznajomy nie rozciął sznurów. Stał tylko i patrzył, a jego twarz z wolna nabierała znajomych rysów.

Stary człowiek ciężko westchnął na widok oczu z czerwonymi żyłkami.

Nadzieja zgasła.

– Ty... – wychrypiał.

– A kogo się spodziewałeś? – Podstawił sobie stołek i usiadł naprzeciwko. – Swojej ulubienicy Victorii? Nie przybędzie ci na ratunek, bo jest zajęta łamaniem naszej umowy.

– Zabij mnie. – Starzec błagał, ale Obcy tylko się uśmiechnął.

– W swoim czasie – odpowiedział. – Najpierw udzielisz mi kilku ważnych informacji.

Dawny doktor Kent protestowałby, próbował do ostatniej chwili udawać bohatera.

Stary człowiek już nie chciał próbować. Spuścił oczy i utkwiał wzrok w podłódze.

– Musiała ci powiedzieć, w jaki sposób robi się lekarstwo. Teraz podzielisz się ze mną tą wiedzą. – Nic nie wiem – mruknął.

Obcy ujął jego brodę i zmusił, żeby podniósł na niego oczy. Wpatrywał się w nie z intensywnością, od której Benjaminowi zakręciło się w głowie.

– A teraz mów.

Jego przytłumiony głos docierał z daleka. Z jakiegoś odległego miejsca, w którym nie było już bólu. Nie prosił, lecz nakazywał, a starzec odpowiadał zgodnie z prawdą. – Nic nie wiem.

– Gdzie jest dziecko? – Nie wiem.

– Kto, oprócz was dwojga, brał udział w spotkaniu? – Jonathan i Jane.

– Ilu mężczyzn zabiorą ze sobą do jaskini?

– Dwóch braci Jonathana i trzech jego pracowników. – Ile im powie?

– Tylko to, co konieczne. Jadą do jaskini, żeby zabić wampiry. Nic więcej nie wolno im było przekazać. – Dlaczego?

– Polecenie Vic.

Pstryknięcie palcami sprowadziło go z powrotem do pokoju pełnego cierpienia i posadziło na krześle, miejscu kaźni.

– Pomyliłem się co do ciebie – powiedział Obcy, a w jego głosie słyhać było rozczarowanie. – Myślałem, że jesteś ważnym ogniwnem, z racji wieku dowódcą. A jesteś nikim. Wobec tego przydasz mi się tylko do jednego...

Wstał i kopnięciem posłał stołek w bok. Z etui wyjął strzykawkę i wbił w nogę starca.

Nareszcie, pomyślał Benjamin, powoli odpływając w ciemność. Ostatnią rzeczą, którą poczuł, był niemal czuły dotyk dłoni i do wtóru głośnego chrupnięcia jego głowa opadła na pierś.

Ale Obcy nie dokończył jeszcze swoich spraw z doktorem Kentem.

Musiał uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Spojrzał na zegarek i rozpoczął przygotowania. Możliwe, że środki podjęte do uwięzienia starzejącego się lekarza, były wystarczające, ale to, co pojawi się lada moment na krześle zamiast niego, nie będzie przejmowało się sznurem ani śmiechu wartymi kajdanami.

Chyba że krew dziecka, źródło mocy, okazałaby się sterylna. A wtedy wszystkie plany obróciłyby się w niwecz.

Zgrzytnął zębami ze złością, źle się stało, że mimo starań, nie znalazł notatnika. Na szczęście udało mu się zgromadzić dostateczny zapas krwi dziecka. Tego jedyne – przyszłości ich gatunku. Tego, które pozwoli rozerwać okowy natury, stwarzać potomków na obraz i podobieństwo Azdarotha. Dlatego nie pozwalał sobie niecierpliwością ani niewczesną dumą nawet na krok odstąpić od planu zesłanego przez Pierwszego.

Zniósł niewyobrażalne katusze, upokorzył się, żeby zdobyć dwadzieścia dawek krwi zdolnej zamienić wybranych śmiertelników w swoich braci.

Kat nie była wampirem, była kimś znacznie ważniejszym i potężniejszym. Była dawcą. Wybrańcem, którego należało strzec jak oka w głowie, chronić i zabezpieczać przed każdym nieprzewidzianym zdarzeniem. Jej krew była świętym darem, teraz pozostawało tylko sprawdzić, czy rzeczywiście działa.

Otworzył przyniesiony ze sobą, owinięty materiałem pakunek i srebrzyste ostrze zaślnęło w przytłumionym świetle. Ręce oraz nogi martwego mężczyzny spętały dodatkowe okowy – potężniejsze niż wszystkie liny – prastare zaklęcia szeptane w dziwnym, syczącym języku.

El'lar miał czas. Bardzo dużo czasu.

Wypatrzyła wejście głęboko ukryte pośród uschniętych gałęzi dzikiej róży. Zapuszczona i zarośnięta jaskinia najwyraźniej nie była największą atrakcją turystyczną Lake Falls.

Po kilku minutach mozolnej przeprawy przez najeżone kolcami krzaki Vic stanęła wewnątrz niewielkiego korytarza, który skręcał ostro w prawo.

Odetchnęła głośno. Napędzaly ją skrajne emocje. Była jednocześnie wściekła, zdeterminowana i przerażona. Razem te uczucia tworzyły najlepszą mieszankę paliwową, która dawała siłę popychającą ją do przodu.

Bezpieczne przejście w ciemnościach ułatwiała mocna czołówka – podarunek zapobiegliwego Jonathana. Szerokim snopem światła omiatała nagie i gładkie ściany jaskini, szukając znaku, o którym powiedział jej wampir.

Znalazła go na samym końcu niskiego i długiego tunelu szczelnie zamkniętego naturalną, skalną przegradą, dość łatwy do przeoczenia występ majaczył w rozedrganym świetle.

Ostrożnie podeszła i zgodnie z instrukcją położyła na nim dłoń, dokładnie wypełniając niewielką, wypukłą przestrzeń. Poczwała delikatne ukłucia na opuszkach palców i nim zdążyła się zorientować, ściana przed nią zniknęła.

– Iluzja – powiedziała na głos.

Magia nie należała do jej świata, była odległa i obca. Niezrozumiała. Rozejrzała się po ogromnej komnacie, oświetlonej mnóstwem płonących pochodni. W jej centralnym punkcie tkwił kamienny postument, na którym, górując ponad śmiertelnikami, stał olbrzymi pomnik Azdarotha.

Potężny demon o krzywych rogach miał łeb zwrócony w dół, jakby wpatrywał się w każdego, kto ośmielił się przekroczyć próg sanktuarium i naruszyć jego spokój. Wyglądał inaczej niż w jej snach.

Ciało okrywała bogato zdobiona zbroja, tylko na twarzy i odsłoniętych rękach widać było płonące czerwienią żyły.

To krew, czy ogień? – pomyślała, przyglądając mu się uważnie.

Nie miała pojęcia, jakiego materiału użyto do stworzenia rzeźby. Podobnie jak nie wiedziała, z czego był błyszczący miecz, który demon trzymał oburącz przed sobą na wysokości piersi. Jego ostrze wskazywało ogromną misę stojącą na postumencie. Miejsce składania krwawych ofiar.

Ten miecz, przyszło jej nagle do głowy, dzierży w sobie moc kierowania losem i przeznaczeniem synów ciemności, którzy przyszli tu oddać swój hołd.

Przypomniała jej się obserwowana w czasie snu scena, gdy El'lar z rodu Hanedar użył go, aby przypieczętować przysięgę. Dopiero teraz zauważyła na rowku, biegnącym przez całą długość ostrza, brązowy ślad – zakrzepłą krew najwierniejszego z wyznawców.

To miejsce działało na nią dziwnie, ale nie dlatego, że widziała je wcześniej. Coś w atmosferze ogromnej kawerny, słodkawo-mdłym zapachu unoszącym się dookoła, sprawiało, że zaczęło jej się kręcić w głowie.

Spojrzała w oczy Pierwszego i zobaczyła w nich siebie. Ogromne, wylupiające ślepie wyglądały jak zawieszony w powietrzu ciemne lustro.

– Oto jesteś – zdawał się mówić do niej sam Azdaroht. – Trafiłaś do mojej świątyni, złóż mi pokłon, ofiaruj daninę...

– Vic! – Czyjs słumiony głos przywrócił ją do rzeczywistości. Przemiana nadeszła, jak zwykle, nagle. Nie było żadnych oznak zapowiadających zmartwychwstanie. Ciało nie wyprężyło się i nie zerwało okowów. Tylko głowa lekko uniosła się do góry i na Obcego spojrzały wściekłe oczy z żółtymi, drgającymi plamami.

– Uwolnij mnie – wysyczała istota, która kiedyś była doktorem Kentem. Obecnie nosiła tylko jego ułomną, ludzką powłokę.

– Nie mogę – odpowiedział i cofnął się o krok.

Nie powinien teraz ryzykować. Moment przemiany był trudny, czasem bolesny, prawie każdy reagował na niego inaczej, ale wspólnym mianownikiem była zawsze niepowstrzymana żądza krwi i mord. To ona właśnie płonęła w poznaczonych jaskrawożółtymi żyłkami źrenicach.

– Co mi zrobiłeś?

Nowa istota bez trudu rozerwała sznury i z lekceważącą łatwością wyswobodziła się z kajdan. Głowa wróciła do pionu. Przekreślił ją kilka razy, jakby upewniając się, że jest już na właściwym miejscu, przytwierdzona na stałe kręgami do kręgosłupa.

– Stworzyłem cię – odpowiedział El'lar.

– Dlaczego? – Istota zasyczała ze złością.

– Musiałem sprawdzić – odpowiedział. – Zdobyć pewność, że krew dziecka

daje dar przemiany.

– Wystarczyło zapytać.

Nowy nie wydawał się usatysfakcjonowany tłumaczeniem.

– Słowa kłamią. Są puste, nie mają znaczenia. Liczą się jedynie dowody.

El'lar wiedział, że w mózgu istoty pozostały wspomnienia, które nosił ze sobą świętej pamięci doktor Kent. Wszystkie, włącznie z ostatnim obrazem, który zapamiętał – dłoni łamiących mu kark.

I zgodnie z oczekiwaniami El'lara siedział przed nim wampir, którego obsesją stała się żądza zemsty. Dlatego nie należało przeciągać struny.

– Co z tamtą kobietą? – Benjamin uśmiechał się chytrze. – Czy nie powinienesz właśnie ratować swoich braci?

– Są bez znaczenia – odpowiedział. – A kobieta... Cóż, przyznaję, wydawała się idealną kandydatką do roli, jaką jej wyznaczyłem. Sama z dzieckiem, pozbawiona rodziny i przyjaciół. Mądra i gotowa na wszystko. Nie było lepszej. Łatwo wpadła w sidła, które w snach zastawił na nią Pierwszy, szybko się poddała. Od lat opuszczona i zaniedbywana potrzebowała kogoś takiego jak ja. Wydawało mi się, że łatwo nią będzie manipulować. Bo przecież prawdziwą lojalność kupuje się tylko uczuciami. – Zamilkł i spojrzał na siedzącego wampira, który przez cały czas próbował rozerwać magiczne okowy. – Przyznaję, nie doceniłem jej, ale wszystko można naprawić.

– Zabijesz ją?

Nowa istota nie wydawała się poruszona tą wizją. Z obojętnością przyglądała się El'larowi.

– Być może – odpowiedział. – Najpierw musi mnie doprowadzić do dziecka, które jest dla nas najważniejsze.

Schylił się i podniósł z podłogi miecz. Wzrok siedzącego wampira skupił się na lśniącym ostrzu, a mocne szarpnięcie poważnie nadwątlilo siłę zaklęcia. Przeczuwał, co nadchodzi, i dlatego chciał się uwolnić.

– Przemieniłeś mnie tylko po to, żeby teraz zabić?

Był nowy, nie rozumiał i nie znał praw. A one były w takich sprawach bezwzględne.

Nie wolno dokonywać przemiany dzieci ani starców. Byli nieużyteczni, a przez to niebezpieczni dla wszystkich członków wspólnoty. Mimo że odrazę budziła w nim myśl o egzekucji kogoś z własnego klanu, musiał to zrobić.

Nie tak powinien umierać wampir, pomyślał, biorąc potężny zamach. Odcięta głowa potoczyła się przez pokój, wzniecając drobinki kurzu. I doktor Kent umarł po raz drugi. Ostatecznie. Jego ciało rozsypało się w proch.

Nie była to honorowa śmierć godna opowieści. Bracia krwi powinni odchodzić w chwale i glorii, zabierając ze sobą daninę dla Azdarotha. Dlatego El'lar uklęknął i odprawił prastary obrzęd, skrapiając proch krwią z ostrza. Każdy, bez względu na okoliczności, zasługiwał na godne pożegnanie. Nawet tak bezużyteczny starzec jak on. W końcu przez chwilę był jednym z nich.

Nie przyszła tu składać hołdów ani oddawać pokłonów. Miała misję do wykonania i tylko ona się liczyła. Wróciła do wejścia. Tak jak myślała, żaden z mężczyzn nie był w stanie przekroczyć magicznej bariery. Nie bez jej pomocy.

Miotali się po wąskim korytarzu bezradnie, a ona mogła ich obserwować, bo z jej perspektywy skalna ściana przypominała cienką, przezroczystą błonę. Przeszła przez nią, po kolei przeprowadzając całą oszołomioną i zdezorientowaną szóstkę.

Stanęli razem, ramię przy ramieniu przed posągiem i, może z powodu sztucznego światła latariek, Azdarothe nie zrobił już na niej takiego wrażenia.

Przerośnięta gigantyczna statua o oczach z obsydianu. Nic, czym warto byłoby się fascynować. Nie zapomniała o czekających ją próbach. Bez wahania okrążyła postument i skierowała się w stronę ściany za plecami posągu.

Wskazówki wampira znów okazały się prawidłowe. Przyłożyła dłoń do za dużego dla niej odcisku i popchnęła mocno.

Poczuła energię przepływającą przez ciało. Energię, która ją uważnie badała i sprawdzała. Zamknęła oczy, gotowa poddać się pierwszej próbie. Zachłysnęła się, wrażenia były tak rzeczywiste, że wręcz namacalne. Widziała, czuła i słyszała.

Ogień ogarnął wioskę głośnymi trzaskami, zagłuszając rozpaczliwe krzyki i nawoływania. Zobaczyła płomień w oczach młodej dziewczyny. Kamień, który zamienił się w mur. Oddech, który napędzał nienawiść i strach. Spojrzała w twarz zemsty.

Przerazona otworzyła gwałtownie oczy, u jej stóp spoczywało niewielkie gruzowisko, a przed nią rozciągał się mroczny i zakurzony korytarz.

Włączyła latarkę i ruszyła przed siebie, odgarniając po drodze gęste zasłony pajęczyn, którymi przez dziesięciolecia zarosło przejście.

Lekki podmuch musnął jej czoło, z każdym krokiem w głąb tunelu wzrastał się pęd powietrza, od przepojonego stęchlizną powiewu aż do uderzeń gorącego wiatru. Zdmuchnięte pajęczyny osuwały się po gładkich ścianach. A wiatr dmuchał prosto w jej twarz, przeistaczając się w trąbę powietrzną, która wirowała dookoła, wznosząc tumany kurzu. I wtedy go zobaczyła.

Stał pośrodku korytarza w kompletnym bezruchu.

Był olbrzymi. Potężna głowa zastygła w oczekiwaniu wyrastała wprost z szyi.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak wyciosany z jednego kawałka kamienia. Dopiero, gdy podeszła bliżej, zauważyła spękania i ubytki, spod których wyzierały czarne jak noc kości.

Zatrzymała się przed nim, wiedząc, że i tak nie udałoby się jej przemknąć niezauważenie.

Olbrzym ożył. Pod masywnym czołem zapaliły się czerwone ślepia, a strużki krwi płynęły jak łzy po skamieniałych policzkach.

Spojrzenie giganta paliło, była w nim wściekłość i żądza mordy. Golem podniósł nogę do pierwszego kroku, wzbudzając przy tym burzę kurzu i kawałków gliny odpadających z jego stawów. Potężny łomot wypełnił korytarz, gdy olbrzym ruszył na spotkanie.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, nawet gdyby chciała, nie dałaby rady uciec. W myślach modliła się tylko, żeby słowa wampira okazały się prawdą. Tymczasem nic nie wskazywało na to, że olbrzym się zatrzyma. Uwolniony z pęt bezruchu, cieszył się odzyskaną wolnością, stawiając ogłuszający krok za krokiem.

Nie zamknęła oczu, nawet wtedy, gdy wiatr smagnął twarz odłamkami skał i gliny, która dokładnie oblepiła jej ciało.

Upadła na kolana, ciężar, który dźwigała na barkach okazał się zbyt wielki. Jej krew zamieniła się w gęstą ciecz – esencję golema.

Łomot w uszach i rozpaczliwe, głuche bicie serca sprawiły, że bezwiednie osuwała się w mrok. Czuła się tak, jakby odebrano jej wszystko, co kochała. Wszystko, co nadawało jej życiu jakikolwiek sens. Jakby zniknęła każda drobinka człowieczeństwa, a szczęście raz na zawsze odeszło z ziemi. W zamian otrzymała pustkę kamienia.

Nagle wszystko minęło. Odzyskała oddech, ciężar przygniatający jej ciało zniknął. Podniosła się, próbując otrząść z zastygłych grud gliny, ale nie było tam niczego oprócz kurzu. Spojrzała dookoła i przeczytała napis na ścianie namalowany czarną farbą: „Oto, czym się stajesz, wybierając ścieżkę przeklętych”.

Na końcu korytarza załśniło światło. Ruszyła w jego stronę, starając się zignorować falę gorąca, która rosła w miarę zbliżania się do przejścia. Tej próby bała się najbardziej. Nie miała odwagi zapytać go, czy kiedykolwiek użył na niej swoich dziwnych zdolności, bo w gruncie rzeczy chciała usłyszeć, że tylko dzięki temu zaciągnął ją do łóżka. Niestety, skoro był absolutnie przekonany, że przejdzie próbę, nie manipulował jej umysłem w żaden sposób, a zatem sama z własnej wolnej woli została dziwką wampira. I to była bardzo zła wiadomość.

Ściana ognia wyrosła tuż przed jej nosem. Atawistyczny strach ścisnął za gardło. Pamiętała instrukcję, ale nie mogła przemóc lęku, który ogarnął ją na widok rozszalałych płomieni, liżących sufit i ściany. Miała wrażenie, że zaczyna jej się topić skóra na odsłoniętych częściach ciała, a każdy oddech palił płuca żywym ogniem.

Nie ma odwrotu, pomyślała i weszła w płomienie.

Ogień lizał ją cal po calu, nie wyrządzając żadnej szkody.

Przed nią otworzyła się ostatnia sala. I Vic stanęła nad brzegiem jeziora wypełnionego czarną, oleistą cieczą, która nie pozwalała jej spojrzeć w głąb. Teraz powinna się cofnąć, aby wezwać posiłki, bo to, co spoczywało od półwiecza w mętnej wodzie, na pewno nie było martwe. Jeszcze nie.

Sprowadziła szóstkę mężczyzn drogą, której pokonanie zajęło jej tak wiele czasu i siły. Korytarz okazał się zaskakująco krótki, więc sprzęt i sojusznicy byli w kilka minut gotowi, aby raz na zawsze zakończyć dzieło zaczęte przez wiedźmę.

Razem stanęli na brzegu jeziora, patrząc z niedowierzaniem, jeszcze nie rozumiejąc siły iluzji, nie potrafili porzucić swojego zdroworozsądkowego racjonalizmu. Musiała im pokazać.

Weszła bez wahania w czarne odmęty, zanurzając się głębiej z każdym krokiem. Gdy woda doszła jej do wysokości ust, przystanęła. Mogła za pomocą rozumu i zmysłu dotyku stwierdzić, że tak naprawdę jezioro nie istnieje, ale mimo wszystko zanurkowanie do tej obrzydliwej, ciemnej cieczy przyprawiało ją o dreszcze.

Zamknęła oczy i po omacku ruszyła przed siebie. Tak było lepiej. Potknęła się o jakąś przeszkodę, spojrzała i zobaczyła ich, ale nie był to przyjemny widok. Gdyby to byli ludzie, serce ścisnęłoby jej żal, bo nie spali tu snem sprawiedliwych. Przynajmniej nie od razu.

Zasuszone, chude ciała, porwane zmarszczkami i zapadnięte bardziej przypominały stuletnie mumie, niż istoty zdolne w każdej chwili odzyskać przytomność i ruszyć do ataku. Trwali w jakimś stanie hibernacji, pokonani przez głód i zaklęcia wiedźmy.

Zdrapane ściany dookoła świadczyły o straszliwej walce, jaką stoczyli uwięzieni i wydani na pastwę palącego pragnienia. Połamane aż do kości pazury, odsłonięte kły i twarze oblepione cienką jak pergamin skórą dawały świadectwo – tym razem ludzkiego – okrucieństwa.

Lepiej było ich zabić od razu, pomyślała.

Każdy z nich, w dniach swojej świetności, był potężnym wampirem. Ile czasu musiało upłynąć, aby zamienili się w kompletnie wyschnięte naczynia? Ich męka

była straszna, równie potworna i niehumanitarna, jak zemsta owładniętej szaleństwem wiedźmy.

Vic nie mogła sobie pozwolić, aby godny pożalowania stan wampirów uspił jej czujność. W każdej chwili zapach ludzi mógł sprawić, że zamiast tych pustych skorup mieliby przeciwko sobie cztery oszalałe z głodu bestie. Bo tym w ostatecznym rozrachunku byli. Mordercami, których nienasycona żądza trwała przez wieczność.

Odsunęła się i skinęła na gotowych do ataku mężczyzn. Uzbrojeni w miotacze płomieni dokonali dzieła. Tylko niehumanitarny skowyt, który rozdarł ciemność, świadczył o tym, że ostatni z Nieumarłych wrócili do Azdarotha – swojego ojca.

Nie wytrzymała tego wrzasku, który rozdzierał jej duszę, i uciekła. Czekając na nich przed wejściem do jaskini, paląc papierosa za papierosem. Wiedziała, że postąpiła właściwie, ale nie czuła się z tym dobrze. Spełniła swój obowiązek, uratowała wiele ludzkich istnień przed mrocznymi łowcami, tylko dlaczego krzyk pełen rozpacz, skowyt tak głęboko przepełniony bólem ścigał ją aż tu?

Wyszli wszyscy, dumna szóstka cała i zdrowa w chwalebnym poczuciu spełnionej misji. Obce im były jej wahania i rozterki, oni po prostu zabili wampiry z jaskini. I to było dobre. Rozmawiali, śmiali się wesoło, a całe napięcie oraz strach ustąpiły.

W końcu zadanie okazało się łatwizną.

Potraktowane płomieniami żyjące szkielety próbowały resztkami sił wydrapać się z niecki, w której leżały. Wystarczyło tylko nie podrywać dysz i dokładnie wymierzyć strumień ognia w ich chude korpusy. Płonęli jak szczapy w kominku, a dzielni zwycięzcy mogli teraz wrócić na obiad do domów.

Zrobiło jej się niedobrze.

– Została ostatnia sprawa – powiedział cicho Jonathan.

On jeden chyba się domyślał, dlaczego, blada jak ściana, trzęsącymi się rękami, odpala papierosa za papierosem. On jeden nie śmiał się wesoło, wychodząc z jaskini.

– Ten przeciwnik nas przerasta – odpowiedziała. – Nie damy mu rady.

– Jest nas siedmioro, a on sam, osłabiony środkami nasennymi. Mamy szansę. – Musiał zaprotestować, przecież najgroźniejszy z wrogów nadal pozostawał wolny.

Oczywiście miał rację. Dlatego musiała skłamać. Do samego końca wierzyła, że gdy nadejdzie ten moment, nie zawaha się i podejmie właściwą decyzję. Oszukiwała się, że w ostateczności sama będzie w stanie zrobić to, co konieczne. Nawet dziś rano, gdy wybiegając z domu, rzuciła mu ostatnie spojrzenie, myślała

o tym, że odnajdzie w sobie siłę woli, konieczną do wykonania egzekucji. Będzie gotowa. Ale nie była.

Oczami wyobraźni zobaczyła scenę, która mogłaby się wydarzyć. On, śpiący kamiennym snem w jej łóżku, sześciu mężczyzn z miotaczami płomienia i jego głowa tocząca się do jej stóp. Wzdrygnęła się ze wstrętem.

To nie jego się brzydziła, ale samej siebie. Tego, kim by się stała po ostatecznym zamknięciu rozdziału: wampiry w Lake Falls. Nie mogła tam wrócić i nie mogła go zabić. Mimo wszystko.

Wzięła za to całą odpowiedzialność i patrząc Jonathanowi prosto w oczy, powiedziała:

– Skłamałam, nie udało mi się go uspić. Zorientował się, że dodałam mu środki nasenne do krwi i wylał cały zapas. Teraz prawdopodobnie jest przytomny i tylko czeka na zachód słońca. Lepiej, żeby nas tutaj nie zastał.

– Nadal jest nas siedmioro. Jakkolwiek ostrożnie licząc, mamy znaczącą przewagę. – Jonathan nie dał się przekonać.

Kompletnie stracił instynkt samozachowawczy. Ta konkretna rozgrywka nie dotyczyła tylko problemu eliminacji wampira. Ani dla niego, ani tym bardziej dla niej.

– Nie mamy żadnej przewagi – powiedziała zmęczonym głosem, czuła się podle. Była wykończona i bardzo nieszczęśliwa, a on jej niczego nie ułatwiał. – Zanim się do niego zbliżymy, nie zostanie nas nawet połowa. Jak opowiesz o tym swojej matce? Jak przekonasz ją, że do końca chroniłeś swoich braci? Dwudziestu wyszkolonych łowców wampirów nie mogło sobie poradzić z jednym. Czytałeś opowieść brata Jakuba? Chcesz bezradnie patrzeć, jak rozszarpuje ich wszystkich na strzępy?

Oni tak naprawdę nie wiedzą, z kim przyjdzie im walczyć. Ufają swojej sile i broni, a to błąd, który będzie ich kosztował życie. Zginą jeden po drugim – użyła ostatniego argumentu. Musiała go przekonać. – Mnie zostawi sobie na koniec. I wierz mi, będę długo żałowała tego, że nie zginęłam razem z wami. Tylko ja jedna wiem, do czego naprawdę jest zdolny i na mnie skupi się jego gniew. Mimo tego ostrzeżenia, chcesz podjąć ryzyko?

Nie odpowiedział, choć nie wydawał się do końca przekonany. Zeszli z góry. Otworzył przed nią drzwiczki. I po raz ostatni mogła rzucić okiem na tchnący spokojem krajobraz za szybą. Nigdy już nie dane jej będzie wrócić do Lake Falls, ta myśl żelazną obręczą ścisnęła jej serce. Wiedziała, że podejmując decyzję o wyjeździe, skazała się na wieczną tęsknotę.

Wszedł do jaskini i głęboko wciągnął powietrze. Był sam, a niknący powoli

wrogi zapach ulatniał się z każdą sekundą. Nie można było dłużej zwlekać.

Przeszedł przez kawernę, pokonał tunel zablokowany niegdyś kolejnymi barierami i dotarł do ostatniej sali. Z jego gardła wydobył się przeraźliwy ni to skowyt, ni wściekły bulgot. Zwęglone ciała czterech braci spoczywały u jego stóp.

Dotknął każdego z nich, szukając oznak życia. Bezcelowo. Byli martwi, spaleni przez ludzi, którzy samą swoją obecnością zbeczcili świątynię Azdarotha i za to zapłacą. W ciemnościach jego oczy zapłonęły.

Mimo że Pierwszy miał rację, bo nawet, gdyby udało mu się ich ocalić, nie byłiby zdolni do istnienia po pięćdziesięciu latach głodu, i tak ich śmierć z ręki intruzów musiała zostać pomszczona. Krwawo. Wyrok został wydany, teraz zostało mu już tylko jedno.

Stanął przed ścianą i wyszeptał zaklęcie. Mur zniknął, otwierając przejście do ostatniej sali. W stworzonych dłońmi dawnych mistrzów wykuszach leżało sześć ciał – jego osobista gwardia.

Przeciął żyłę na nadgarstku i podchodząc do nich, wpuszczał parę kropli krwi w martwe usta, szepcząc tak dobrze pamiętane imiona.

Gdy dzieło zostało dokonane, wyszedł i czekał na nich przed posągiem Azdarotha. Z tunelu wyłaniali się jeden po drugim. Nie byli słabi, wycieńczeni przez trwający pół wieku głód.

Nie oni.

Przypomniawszy sobie ostatnią wielką bitwę, której krwawy finał rozegrał się kilka godzin temu. Osaczone przez mieszkańców miasteczka wampiry szybko zorientowały się, z kim mają do czynienia, i wezwały pomoc. Na miejsce przybył ze swoimi gwardzistami, lecz było już za późno na ratunek. Wleczeni przez mieszkańców jego bracia znikali w jaskini, do której nikt oprócz dzieci Azdarotha nie miał wstępu. I wtedy rozpętało się piekło, wybrańcy byli o krok od zwycięstwa, ale pojawiła się ona. Wiedźma okazała się potężniejszym przeciwnikiem, niż był w stanie przypuszczać.

Uratował swój oddział, nie dopuszczając do masakry i poszedł na haniebny układ. Wybrał mniejsze zło. Jego umiłowana gwardia musiała stać się zakładnikami paktu, odejść, aby zadośćuczynić furii czarownicy, lecz zamiast skazać ich na męki wiecznego głodu, uspił swoich żołnierzy, obiecując, że gdy tylko nadejdzie właściwy moment, przywróci ich do życia.

Za błąd zlekceważenia przeciwnika Azdaroth ukarał go po dwakroć. Kazał mu zapłacić daninę krwi i zmusił do kontaktów z ludźmi, aby uratować tych, którzy spoczęli w ciemnościach.

Przewycięzył wstręt i podporządkował się rozkazom, ponieważ taka była wola Pierwszego, któremu przysięgał posłuszeństwo. Wyrzekł się swoich zasad, nauczył żyć, jak jeden z ludzi i czekał na rozkaz swojego pana.

Mijały lata, przeradzając się w dekady. Jego niecierpliwość rosła, lecz rozkaz nie nadchodził. Aż do niedawna. Tak wiele razy tu przychodził, aby żądać, przyzywać i błagać, ale zimny posąg nie odpowiadał. Rozgoryczony, zarzucał mu obojętność i odwrócenie się od swoich dzieci, lecz rzeźba milczała, a jego nawet sny przestały prowadzić między światami.

Nauczony pokory i karności El'lar mógł mieć tylko nadzieję. I pewnego dnia naszedł rozkaz z obietnicą, która uczyniła go szczęśliwym. Oto miał okazję dowieść swojej lojalności i wiary. Jego próba była straszna, lecz jej przejście obiecywało godne miejsce u boku krwawego demona. Na wieki.

Stanęli w kręgu. On zajął swoje miejsce u stóp posągu. Miejsce wyjątkowe i należne mu z racji czynów, których dokonał.

Otoczyli go, a ich blade twarze drżały w świetle pochodni. Każdy z nich należał do elity elit. Rodów tak starych, że pamiętały czasy początków. Epok, gdy prawo klanu było nadrzędną religią, obowiązującą wszystkie żywe istoty. Jego gwardia była prawie gotowa.

Przemówił do nich, a echo poniosło dźwięk mowy od dawna tu niesłyszanej. Dziwny gardłowy zaśpiew, tak miły uszom ich pana.

– Zahane eh.se na la adesse: witajcie ci, których zwą potępionymi.

– Zahane mah tease: witaj bracie – odpowiedział mu idealnie zgrany chór.

– Przyszedłem. – Jego głos odbił się od szczytu kawerny. Odwrócił się do nich plecami i skierował przemowę do Niego.

– Zgodnie z twoim życzeniem przyniosłem ci w darze dziecko. Niebawem do nas dołączy. Chwała niech będzie mądrości Azdarotha.

W blasku ognia wyrzeźbiona postać wyolbrzymiała, a po jej ciemnym ciele zaczęły spływać strugi czerwieni. Azdarothe rozmawiał ze swoim synem. – Jakie są twoje rozkazy, panie? – Ciemna postać wyłoniła się z korytarza. – W końcu dołączyłeś do nas Meerah z rodu Aerass, dobrze cię widzieć.

Szóstka mężczyzn stojących w kole pokornie schyliła głowy. Byli w komplecie i czekali.

– Każdy winny waszego uwięzienia będzie martwy – powiedział. – Wiedzmą zająłem się sam. Nasz pan domaga się daniny. Od pięćdziesięciu lat czuł głód i ból wszystkich swoich synów, lecz teraz nadeszło odrodzenie. Nasz ród nie wyginie. Z jego woli i za przyzwoleniem uczyniłem to, co uczyniłem – zawiesił głos. – Stworzyłem nowy rodzaj wybrańca. Nie będziemy już czekać na cud.

Dokonaliśmy go sami. Dziecko, które niebawem poznacie, jest naszą nadzieją. – Spojrzał z triumfem w ich twarze. – Jego krew ma dar przemiany. Bracia zrozumieli, co to oznacza. Wraz z pojawieniem się tego cudu, rozpoczynała się nowa era. Czas ich panowania.

Byli gotowi.

– Han Abedal ass: zabijcie wszystkich – wysyczał gardłowo. – Moja jest tylko kobieta i dziecko – dodał, wzbijając się do lotu.

PODZIĘKOWANIA

Szczególne dla tej, która bez wątpliwości stała u mojego boku.
Książkę tę dedykuję jedynej w swoim rodzaju babci.